

ELAINE COFFMAN

MATNIA

Prolog

O Komanczach mówiono, że są najdzikszyimi Indianami na Południowym Zachodzie. Byli jednak tylko spadającą gwiazdą, która przez pewien czas świeciła ostrym blaskiem, a potem zgasła.

Przez ponad sto lat nazwa Komancze była synonimem słowa Indianie. Byli panami południowych równin, niedościgłymi w kradzieży i rozbojach. Ci doskonali złodzieje i wyśmienici jeźdźcy siali grozę w sercach Hiszpanów, Meksykanów, a także innych indiańskich plemion zamieszkujących południowe równiny. Nawet symbole ich języka migowego budziły strach - kiwający cofnięty palec wskazujący oznaczał węża.

Jednakże rozwój osadnictwa na terenach nazwanych Teksasem sprawił, że dotychczas niepokonane, wojownicze plemię musiało się zmierzyć z nowym wrogiem, groźnym i przerażającym, takim, jakiego jeszcze nie znało.

W nieokrzesanych, upartych i zawziętych Teksasńczykach Komancze znaleźli wreszcie godnego siebie przeciwnika.

Mniej więcej w tym czasie, jak głosi legenda, banda Komanczów o ostrych, jastrzębich rysach i czarnych włosach, splecionych w warkocze i ozdobionych wojennymi piórami, wdarła się do historii, wznosząc przeraźliwe bojowe okrzyki, które brzmiały dziwnie proroczo.

Była to pora roku, kiedy zielona szczecina wschodzącego zboża dopiero zapowiada plony, urodzone z wiosną cielaki

trzymają się matek, jabłka są zielone i twarde, a słońce nie świeci jeszcze z pełną mocą.

W jeden z takich dni, w słoneczne majowe popołudnie 1836 roku, banda Komanczów, powiewając białą flagą, wjechała do Fortu Parker w Teksasie. Przekonawszy się, że niewielkiej twierdzy strzeże zaledwie pięciu czy sześciu ludzi, spokojnie odjechali. Powrócili wkrótce, w wojennych barwach wymalowanych farbą na miedzianej skórze, z czerwonymi wstążkami wplecionymi w końskie ogony. Uzbrojeni we włócznie i łuki, sforsowali nędną palisadę, a potem zabijali i rabowali.

Kiedy już było po wszystkim, odjechali, zabierając ze sobą pięcioro zakładników: Rachel Plummer, dziewięcioletnią Cynthię Parker, sześciioletnią Margery Mackinnon oraz dwoje innych zakładników.

Margaret Mackinnon i jej córka Margery tego właśnie ranka pojechały do Fort Parker, żeby odwiedzić przyjaciół. Zazwyczaj Komancze nie zapuszczali się aż tak daleko na wschód, więc Johnowi Mackinnonowi z początku trudno było uwierzyć, że jego jedyna córka została porwana jako zakładniczka. Ale już parę dni po ataku on i pięciu z sześciu jego synów przed świtem osiodłali konie, by odnaleźć bandę Komanczów, która zabrała Margery.

Przed wyruszeniem w drogę John zwrócił się do swego syna Andrew:

- Zostań tu i opiekuj się matką.
- Ale, ojcze, sam mówiłeś, że Indianie nigdy nie zapuszczają się tak daleko na wschód.
- Bo tak kiedyś myślałem. Drugi raz nie dam się nabrać. Słyszałeś, co powiedziałem. Jesteś najstarszy i twoim zadaniem jest pilnowanie matki. Ostatnim razem omal nie została zabita. Nie dam tym czerwonym draniom następnej okazji.

John Mackinnon i jego pięciu synów skierowali konie na zachód. Podczas dwóch miesięcy wyteżonych poszukiwań sprawdzali trop za tropem, aż w końcu odkryli, że wszystkie prowadzą donikąd. Wyczerpany, zniechęcony, pełen obaw, co powiedzieć żonie, John wrócił z synami do domu. Jednak tym razem

Margaret nie powitała go, stojąc na ganku i wycierając ręce w fartuch, jak zawsze do tej pory. Ze spalonego domu pozostał jedynie komin. Zniknęła Margaret, a wraz z nią Andrew.

Siedlisko Mackinnonów leżało na łagodnych pagórkach Limestone County, nad potokiem Tehuacana, niedaleko Groesbeck, gdzie kończy się bezdrzewna preria i wyrastają pierwsze dęby. Wzdłuż odległego krańca ich ziemi biegła droga do Waco, skręcała łagodnym łukiem i wiała się dalej przez bezkresne morze traw. Brzegi potoku porastały krzewy czeremchy o szorstkiej, brodawkowatej korze, oplecione gęsto jemiołą. W pobliżu sąsiedniego domu rósł leszczynowy zagajnik, tak piękny, jak tylko można sobie wyobrazić.

Kiedy tamtędy przejeżdżali, jeden z chłopców Mackinnona dostrzegł dwa świeże groby. Podjechawszy bliżej, John zduszonym, łamiącym się głosem odczytał imiona wyryte na polnych kamieniach.

Margaret Mackinnon, żona Johna, widniało na pierwszym. A na drugim: *Andrew Mackinnon, syn Margaret i Johna*.

- Pomyślałem, że chciałbyś ich pochować w tym zagajniku, bo kiedyś planowaliście z Margaret wybudować tu dom.

Odwróciwszy się ciężko w siodle, John uniósł zacerwienione oczy i ujrzał swego najbliższego sąsiada, Jubalę Sawyera, który prowadził dereszowatego wierzchowca należącego do Andrew.

- Jonas, mój chłopak, zobaczył, jak nadjeżdżacie drogą. Pomyślałem, że zechcesz wziąć tego konia. Pojawił się u mnie parę dni po tym, jak pogrzebałem Margaret i twojego syna. Miał wplecione w grzywę indiańskie pióra, więc się domyśliłem, że chcieli go zatrzymać.- Jubalę podał wodze Johnowi. - Nie umiem wyrazić, jak mi przykro, ale ty to wiesz, John. Mógłbym coś dla ciebie zrobić? - dodał po chwili.

John pokręcił głową.

- Nie... ale jestem wdzięczny za to, że zająłeś się pochówkiem Andrew i Margaret.

- Ty też zrobiłbyś to dla mnie. Moja Mary kazała powiedzieć, że ty i twoi chłopcy możecie się u nas zatrzymać tak długo, jak tylko zechcecie.

Przez dłuższą chwilę John siedział w milczeniu na wielkim siwym koniu, wspominając żonę taką, jaka była w dniu, kiedy jej ojciec, urodzony w Szkocji prezbiteriański duchowny, udzielał im ślubu. Wydawało mu się, że to wcale nie było tak dawno, lecz kiedy przesunął zmęczonym wzrokiem wzdłuż rzędu koni stojących obok, uświadomił sobie, co zostało z jego rodziny. Pięciu synów.

Patrzył na tych młodych chłopców, smutnych i przestraszonych, pięć ptaków, odbywających swój pierwszy samodzielny lot. Zatrzymał wzrok na swym drugim synu, czternastoletnim Nicholasie, który był dość rostry, żeby wyglądać jak mężczyzna, lecz zbyt młody, by dowieść, że nim jest. Raz jeszcze John odbiegł myślami w przeszłość, kiedy mając dwadzieścia pięć lat, wraz z Margaret wyjechał do Teksasu. Andrew ledwie zaczynał chodzić, a Nicholas urodził się w drodze. Dzięki katorżniczej pracy i szkockiemu uporowi zdołali się wzbogacić.

I po co to wszystko?

John już nie wrócił do siebie po tym, jak ujrzał groby Margaret i Andrew. W ciągu następnych miesięcy kilkakrotnie podejmował próby wykupienia i odzyskania Margery, ale wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. W rocznicę porwania córki John wyruszył w drogę znowu, tym razem samotnie. Przed wyjazdem, już siedząc w siodle, spojrzał na synów jak na dzikie żrebaki, narowiste, potrzebujące wędzidła. Przy tym dobrzy z nich byli chłopcy, pracownicy. To o tym myślał tamtego dnia, kiedy opuszczał synów, żeby wskrzesić na nowo marzenie, które rozsypało się w proch.

Nigdy nie powrócił.

W pochmurny listopadowy ranek w obejściu Mackinnonów zjawił się szeryf. Wjechał na podwórze na gniadym koniu z krótko przyciętym ogonem w takim pośpiechu, że kurczęta rozpierchły się przed nim na wszystkie strony. Nicholas i dwunastoletni Travis, słysząc wrzask drobiu, przerwali rąbanie drewna, podczas gdy Adrian i Alexander byli zbyt zajęci obrzucaniem się nawzajem rzepami, żeby cokolwiek zauważyć. Dziesięcioletni Ross, narzekając gderliwie na nadmiar obowiąz-

ków, usiłował miotłą zrobioną z pęku gałązek zamieść ganek niewielkiego domu, który ojciec postawił w miejscu dawnych zabudowań.

- Dzień dobry, szeryfie. - Nicholas mocnym uderzeniem zatopił ostrze siekiery w pniaku. - Co pana sprowadza na to odludzie, mimo nadchodzącej ulewy? - zapytał, starając się, by jego głos miał w sobie powagę godną głowy rodziny, jako że nic nie wskazywało na to, by ojciec miał kiedyś zaprzestać poszukiwania Margery.

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jak sam przywiozę wam wiadomość, zamiast posyłać kogoś innego. Chociaż Bóg mi świadkiem, że to trudna rola. Doszły nas dziś słuchy o waszym tacie. Komancze oskałpowali go parę tygodni temu.

- Jest pan pewien, że to był nasz tata?

- Tak. Opis pasował do Johna jak ulał. Była mowa nawet o dołku w brodzie.

- Może to był ktoś inny, bardzo do niego podobny - powiedział Nick z nadzieją.

- Niestety. To był John. Pewien człowiek znan z San Saba znał waszego ojca i go rozpoznał. Mówiłem mu, żeby nigdzie nie jechał... próbowałem mu przemówić do rozumu... powtarzałem, żeby dał spokój. Ale Johnowi Mackinnonowi nie dało się nic wyperswadować.

Przez kilka następnych lat młodzi Mackinnonowie starali się, jak mogli, prowadzić rodzinną farmę. Oczywiście, nie całkiem im się to udawało. Byli nauczeni ciężkiej pracy już od najmłodszych lat, ale zawsze pod okiem ojca. Nadal harowali, lecz utraciwszy oboje rodziców, nie mieli tego, co niektórzy z sąsiadów nazywali przewodnictwem. Niemniej ci sami sąsiedzi byli przekonani, że dzielni chłopcy Mackinnonów z biegiem czasu znajdą właściwą drogę.

W 1845 roku Nicolas, wówczas dwudziestotrzyletni, pierwszy wyruszył z domu szukać swego przeznaczenia. Odszedł, podążając ku oceanowi, który fascynował go od czasów dzieciństwa.

Nigdy nie widział morza, lecz to nie przeszkadzało mu ciągle o nim marzyć, za co zresztą niejedną raz jako mały chłopiec obrywał po uszach od któregoś z rodziców.

Postanowił udać się do Galveston i zarobić tam na podróż do Nantucket. Po przybyciu na miejsce zamierzał odszukać swojego wuja, Roberta Grahama. Matka wiele opowiadała o swoim bracie Robercie, który według jej słów był „łotrem zbyt sprytnym, by pracować w pocie czoła”. Nicholas zawsze był ciekaw, jak można zostać bogatym kupcem i właścicielem statku, kiedy się jest zbyt sprytnym, by pracować. I za wszelką cenę chciał się tego dowiedzieć. Wyruszając z domu, zabrał ze sobą Trvisa.

19 lutego 1846 roku Teksas stał się jednym z amerykańskich stanów. 24 kwietnia armia meksykańska, dowodzona przez generała Mariana Aristę, przekroczyła Rio Grande i zaatakowała amerykańskie oddziały. Pozostali bracia Mackinnonowie, Ross, Adrian i Alexander, z których żaden nie miał ani kropli marynarskiej krwi w żyłach, dołączyli do Strażników Teksasu, żeby walczyć w wojnie meksykańskiej. Wojna zakończyła się w roku 1848 podpisaniem układu w Guadalupe Hidalgo. Adrian i Alexander, skuszeni obietnicą złota, podążyli na zachód. Ross Mackinnon wrócił do rodzinnego siedliska i pozostał tam, dopóki nie nadszedł list od rodziny Johna Mackinnona ze Szkocji. Nie będąc w stanie nawiązać kontaktu z którymkolwiek z braci, Ross Mackinnon dał się namówić na powrót do rodowych dóbr Mackinnonów, miejsca narodzin ojca na wyspie Skye.

Młodzi Mackinnonowie byli jak pyłki na wietrze, kiedy dotknęło ich sieroctwo, i teraz, niczym pyłki niesione wiatrem, rozpierzchli się po świecie. Chociaż Margaret i John Mackinnonowie odeszli na zawsze, ich ród nie wygasł.

Adrian i Alexander wzbogacili się na złotonośnych polach Kalifornii i zbudowali potężną firmę zajmującą się handlem drewnem na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Ross dokładał starań, żeby poskromić swą kłębłą naturę i przyjąć styl życia godny utytułowanego szkockiego dżentelmena. Tylko Nicholas i Travis

odpowiedzieli na zew krwi - miłość do morza, odziedziczoną po rodzinie matki. Travis, urodzony człowiek interesu, przejął po wuju zarządzanie firmą okrętową i wielorybniczą, a Nicholas został budowniczym statków i marynarzem, dzięki czemu podróżował po całym świecie.

Jedną z tych podróży zaprowadziła go do małego miasteczka w Teksasie - Indianola.

Indianola w Teksasie, luty 1849

Nie był stworzony do bywania na proszonych herbatkach.

Nicholas Mackinnon miał sześć stóp i trzy cale wzrostu. Ważył prawie dwieście funtów. Zmaganie się z utrzymaniem na kolanie delikatnej chińskiej filiżanki panny Sukey Porter Merriweather nie było w jego wyobrażeniu najlepszym pomysłem na spędzenie chłodnego zimowego popołudnia.

- Doprawdy, czyż to nie zdumiewające - mówiła panna Merriweather. - Przebyć taki kawał drogi do Teksasu, żeby zbudować statek?

Nick przytaknął skinieniem głowy. Skrępowany własną niezręcznością, bał się wykonać jakikolwiek śmielszy gest, podnosząc do ust filiżankę, w której mieścił się ledwie łyk herbaty. Niech go lichy, jeśli nie potrafiłby jej napełnić jednym splunięciem! Nie mógł precyzyjnie palca przez filigranowe uszko, a trzymanie czegoś tak kruchego za obrzeże wydawało się dość ryzykowne... poza tym coś mu mówiło, że panna Merriweather nie należy do osób, które łatwo darują zniszczenie jednego z jej porcelanowych cacek.

- Niebawem! Zawsze się zastanawiałam, jak by to było spędzić kilka tygodni na statku. Co nie znaczy, że bym się na coś podobnego odważyła. Na statku może się wydarzyć tyle nieprzewidywanych kłopotów, nie sądzi pan? Słyszałam o prze-

ciekach i tym podobnych awariach. I co bym zrobiła, gdyby zaczął przeciekać podczas mojego pobytu na pokładzie? Według mnie, dobry Bóg nie bez powodu umieścił mnie na suchym lądzie. Gdyby chciał mnie przeznaczyć do wody, stworzyłby mnie rybą.

Nick zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał, przypominając sobie rozmiary wielorybów i to, jak wdzięcznie poruszają się w wodzie. Może panna Merriweather powinna być rybą? Na suchym lądzie wydawała się wielka i niezgrabna jak wół. Nicholasa niewiele obchodziła ta kobieta i jej tusza, podobnie zresztą jak jej cenne filizanki, ale matka włożyła wiele starań w jego wychowanie, które nakazywało mu grzeczność wobec starszych. Przede wszystkim jednak obawiał się, że nie wynajmie mu domu, jeśli zdarzy mu się coś złego. A miał już taki paskudny zwyczaj, że jak się na coś uparł, nigdy nie rezygnował. „Zawzięty jak tata”, zwykł o nim mawiać Travis.

Travis zapewne miał rację. Nicholas pragnął wynająć dom panny Merriweather, więc zamierzał siedzieć i pić herbatę z tych jej okropnych filizanek aż do skutku. Mówiła o „bardzo przyzwoitym młodym człowieku”, który pytał o jej dom wcześniej, i o tym, że domów do wynajęcia jest w Indianoli „mniej niż zębów w kurzym dziobie”. Nick dobrze o tym wiedział i bez jej ciągnących się w nieskończoność wywodów, a co do owego przyzwoitego młodego człowieka, to mógł sobie dać spokój ze staraniami, bo nie miał żadnych szans zdobyć tego domu dla siebie.

Panna Merriweather prychnęła, dając wyraz zniecierpliwieniu wyraźnym brakiem uwagi Nicka, po czym spytała bardzo głośno:

- Jeśli pan wybaczy, panie Mackinnon, dlaczego potrzebuje pan domu w Indianoli na sześć miesięcy do roku?

Nick spozjrzał na pannę Merriweather, której ciasno zasznurowany tułów spoczywał na małym palisandrowym krzeselku, równie eleganckim i kruchym jak to, na którym się on męczył. Zadała mu pytanie głosem zdradzającym pewność siebie i moc huraganu. Wyłupiaste oczy na płaskiej, ogłędnie mówiąc, mało

urodziwej twarzy przewiercały go na wskroś, domagając się natychmiastowej odpowiedzi.

- Wybudowanie statku długo trwa.

Wyprostowała się, zmuszając wąskie usta do wygięcia się w coś na kształt uśmiechu.

- Och... To pan buduje, nie tylko pływa. Wspaniale.

- Owszem, pływanie pomaga mi projektować i budować lepsze statki. Chyba można powiedzieć, że to moja zasada: nigdy nie sprzedaję statku, który zbudowałem, dopóki sam na nim nie popływam... chociaż rzadko obejmuję dowództwo.

- A gdzie pan zazwyczaj buduje? Pytam, ponieważ wiem, że choć Indianola jest najważniejszym morskim portem w Teksasie, nie ma najlepszej stoczni na świecie.

- Rzeczywiście, to prawda. Jestem do spółki z bratem i wujem właścicielem stoczni w Nantucket. Tam powstaje większość naszych statków. Jednak od czasu do czasu mamy zamówienia i z innych miejsc, tak jak w tym przypadku. - Nick miał nadzieję, że to wyjaśnienie okaże się wystarczające i będą mogli przystąpić do omawiania sprawy wynajmu domu.

Ale zachwycona i promienna panna Merriweather, która tymczasem zaproponowała, by Nick nazywał ją jak większość mieszkańców Indianoli panną Sukey, dopiero zaczęła wyciągać z niego informacje. Panie z miejscowego Towarzystwa Szycia Regionalnych Kołder spotykały się następnego dnia, więc musiała zebrać odpowiednio dużo wiadomości na temat tego przystojnego kawalera (stan cywilny mężczyzny uważała za cechę pierwszorzędną wagi), żeby skupić na sobie uwagę członkiń towarzystwa.

- Doprawdy szkoda, że będzie pan mieszkał w Indianoli tylko do czasu ukończenia budowy statku... Sześć miesięcy do roku, powiedział pan?

- Właśnie. Trudno dokładnie określić, ile czasu to zajmie. Wiele zależy od dostępności siły roboczej, punktualności dostaw, no i, oczywiście, od pogody.

- Zimy są u nas znacznie łagodniejsze niż w Massachusetts, panie Mackinnon. Myślę, że pogoda będzie panu sprzyjać.

- Tak, proszę pani. Wiem. Sam pochodzę z Teksasu.

- Naprawdę? - Pochyliła się gwałtownie do przodu; krzesło zaskrzypiało niebezpiecznie. Nick modlił się, żeby wytrzymało. Nie miał pojęcia, jak się zabrać do podnoszenia i podłogi kobiety o tak potężnej tuszy. Filiżanka na kolanie Nicka zagrzechotała o spodeczek. - Z której części Teksasu pan pochodzi?

- Z Limestone County.

- Skąd dokładnie w Limestone County?

- Z małej osady na wschód od Waco, nad potokiem Tehuacana, zwanej Council Springs.

- Jakim cudem przywędrował pan z Teksasu aż do Nantucket?

- Przyplłynąłem statkiem.

Nie to chciała usłyszeć, oczywiście. Nie była ciekawa, czym podróżował, lecz co go skłoniło do tej podróży. Nick nie krył irytacji tymi wszystkimi pytaniami, ale biedna panna Sukey, której dotkliwie brakowało wycucia, wcale tego nie dostrzegała. Uznała, że nieborak po prostu źle zrozumiał jej pytanie. Postanowiła nie wytykać mu tego, żeby nie poczuł się zmieszany. Zazwyczaj nie była aż tak taktowna, ale ostatecznie przyszedł do niej po to, by wynająć dom, który wystarczająco długo stał pusty.

- Wspomniał pan, że ma brata w Nantucket. Przybył tu razem z panem?

- Tak, proszę pani.

- Jestem pewna, że wyjazd was obydwu w tym samym czasie musiał zmartwić rodziców...

- Moi rodzice nie żyją. Komancze.

Dotknęła ręką szyi.

- Och, jakież to straszne. Rzadko która rodzina nie ucierpiała w ten czy inny sposób z rąk tych czerwonych diabłów.

- Jestem skłonny przyznać pani rację w tej kwestii.

- Więc wrócił pan do Teksasu. Dziwne, jak czasami toczy się życie. Człowiek nigdy nie wie, co go spotka w najmniej oczekiwanym momencie.

Wywód panny Merriweather ciągnął się jak stara wiejska

droga, kręcąc, klucząc i prowadząc donikąd. W innych okolicznościach Nick grzecznie by przeprosił i wziął nogi za pas, ale ta kobieta posiadała jedyny dom do wynajęcia w Indianoli. Jeśli nie zechce mu go wynająć, będzie musiał szukać kwatery w jakimś pensjonacie. A pensjonaty prawie zawsze prowadzone były przez wdowy lub stare panny. Nie chciał mieć do czynienia ani z jednymi, ani z drugimi. Miał dość wdów i starych panien próbujących go wcisnąć w ślubny garnitur. Nie nadawał się do tego.

Lubił kobiety.

Ale bardziej cenił swoją wolność.

Pozostawanie w stanie kawalerskim bywało męczące w otoczeniu istot spragnionych małżeństwa, ale w całym swoim dwudziestosiedmioletnim życiu Nick nie spotkał kobiety, która by potrafiła wzbudzić jego zainteresowanie na dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Miał poważne wątpliwości, czy taka w ogóle istnieje.

Po następnej godzinie i dwóch dodatkowych filiżankach herbaty panna Sukey Porter Merriweather ogłosiła Nicka dumnym najemcą swego domu.

- Jestem zobowiązany, proszę pani.

Nim zdążyła się przygotować do następnej potyczki, Nick złapał kapelusz i płaszcz i skierował się do wyjścia. Jednakże panna Merriweather miała pewne doświadczenie w postępowaniu z nieśmiałymi mężczyznami. Zatrzymała go, nim dopadł drzwi.

- Zapomniałam powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy. Nie pozwalam na złe prowadzenie się, głośne przyjęcia, żadne... - Już miała rzec „żadne kobiece odwiedziny”, ale mężczyzna, który wyglądał tak jak on, nie byłby skłonny przystać na ten warunek. Mimo to musiała przecież trzymać się swoich zasad, więc dodała: - Jestem przekonana, że taki miły, przyzwoity człowiek jak pan nigdy by nie zaprosił do siebie kobiety bez towarzystwa przyzwoitki.

W odpowiedzi Nick dotknął róna kapelusza, uśmiechnął się szeroko i zniknął za drzwiami.

Gęś podążała za Tibbie Buchanan przez całą drogę do miasta. Nie było to przyjacielskie odprowadzanie. Za każdym razem, gdy Tibbie przyspieszała kroku, gęś robiła to samo. Ten krótki, szybko poruszający się pochód wzbudzał u mijanych przechodniów spore zaciekawienie. I nic dziwnego, w końcu nieczęsto widzi się kobietę ściganą przez szare ptaszysko gubiące pióra.

Gęś była zła na Tibbie za zabranie jednego z piskląt. Tibbie już dawno zdążyła oddać puchate stworzonko matce, ale ta najwyraźniej nie darowała występku. Z wyciągniętą do przodu szyją, łopoczącymi skrzydłami, wydając z siebie wściekły jazgot, zbliżała się nieubłaganie. Ci, którzy nigdy nie byli w podobnej sytuacji, nie są w stanie pojąć grozy gęsiego ataku, albowiem rozgniewana gęś jest zaiste straszliwym przeciwnikiem. Dlatego też Tibbie, widząc, że wróg może zwyciężyć, rzuciła się biegiem, wdzięczna losowi, że zszarzałe zabudowania Indianoli są nieopodal. Miała nadzieję, że w mieście prędzej zdoła umknąć zawziętemu ptakowi.

Ale rozgniewanej mamy gęsi niełatwo się pozbyć, a ta aż kipiała z gniewu. Słyszac tuż za sobą wściekłe syczenie i czując podmuchy wzbudzone machaniem skrzydeł, Tibbie wbiegła w wąską uliczkę między dwoma budynkami. Nieustępliwa gęś zaskrzeczała donośnie i groźnie rozpostarła skrzydła. Tibbie, nie zatrzymując się ani na chwilę, przemknęła przez drewniany chodnik, a potem między dwoma stojącymi wozami, na których piętrzyły się beczki i skrzynki. Nagle znalazła się na ulicy.

Upuściwszy wreszcie pannę Merriweather, Nick kilkakrotnie podrzucił na dłoni błyszczący klucz, nim wreszcie wsunął go do kieszeni. Spojrzał na słońce. Pozostało ledwie parę godzin dnia. Wyjął zegarek i pstryknięciem otworzył kopertę. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że dobrze określił czas, zamknął zegarek i udał się prosto do miejscowego właściciela stajni, żeby sprawić sobie wierzchowca.

Długonogi kasztan widać podobnie jak Nick był spragniony wolności, ponieważ ruszył tak dziarsko, że jeździec musiał mocno ściągać wodze, żeby go utrzymać w kłusie. Koń szarpał na boki i rzucał głową; wyraźnie miał ochotę puścić się galopem, tak że Nick, odzwyczajony po długich miesiącach na morzu od jazdy wierzchem, miał pełne ręce roboty.

W ostatniej chwili dostrzegł tę kobietę, okutaną w gruby brązowy szal i zieloną pelerynę. Szarpnął tak mocno wodzami, że szyja kasztana wygięła się w łuk. Kobieta wyszła wprost na niego spomiędzy dwóch wozów ustawionych wzdłuż chodnika. Koń stanął dęba; przednie kopyta śmignęły w górę tak blisko jej głowy, że ruch powietrza rozwiął luźne kosmyki włosów.

Kiedy potężny koński bok pchnął ją do tyłu, Tibbie straciła dech w piersi i omal nie upadła. Poderwawszy głowę, zobaczyła rozmiary konia i skamieniała. Nick, rozpaczliwie starając się zapanować nad zwierzęciem, wrzasnął:

- Cofnij się, do cholery!

Odkoczyła natychmiast i przyciskając dłonie do ust, patrzyła z przerażeniem w oczach, jak koń znów wierzga, tańczy na tylnych kończynach, a noga jeźdźca uderza o burtę jednego z wozów. A potem, tak nagle, jak się zaczęło, wszystko minęło. Ostatecznie zapanowawszy nad koniem, Nicholas wpatrywał się ze złością w niedoszłą ofiarę, przygotowany na to, że gdy tylko dojdzie do siebie, rzuci się na niego, krzycząc i złorzecząc. Koszyk wypadł jej z ręki, schludnie owinięte pakunki rozsypały się po ziemi. Zauważył, że przyglądając mu się, na dłużej zatrzymała wzrok na złotym łańcuszku jego zegarka i lśniących nowością butach. Zważywszy na jej skromny strój, pomyślał, że pewnie zechce wykorzystać okazję, by zażądać odszkodowania... finansowego, ma się rozumieć. Zdarzały mu się już takie rzeczy, nawet nieraz.

Nicholas dostrzegł zdecydowanie w jej oczach, dumne zadarcie podbródka, widział też niechęć, jaką biedni zawsze okazywali tym, którym się w życiu lepiej powiodło. Nagle usłyszał dźwięki

rozstrojonego pianina, które przyciągnęły jego uwagę do saloonu, znajdującego się za jej plecami. Czyżby stamtąd właśnie wyszła? Była gospodynią czy też kobietą, której profesji nie wypadało głośno nazwać? Coś mu podpowiadało, że raczej wchodzi w grę ta druga możliwość, choć nie potrafił odpowiedzieć dlaczego.

Ręce mu drżały, a serce wciąż mocno waliło na myśl, że to ona mogła teraz leżeć na ulicy w błocie, a nie jej pakunki. Ta sama przyzwoitość, która nie pozwoliła mu wymienić jej domniemanej profesji, wcale go nie powstrzymała przed wybuchem złości na widok jej wrogiego spojrzenia.

- No patrz, do diabła, nasyć swoją ciekawość!

Widział, jak nieznajoma przenosi wzrok na gromadzących się wokół gapiów, dostrzegł też cień paniki, wywołany nie tyle groźnym przeżyciem, co lękiem przed upokorzeniem. Schyliła się po koszyk, a potem ukłękła i zaczęła zbierać rozsypane w błocie pakunki. Następnie odwróciła się, już na niego nie spojrzawszy.

Co to ma znaczyć, zdziwił się. Dziwki nie są takie pokorne. Najwidoczniej źle ją ocenił. Ze ściśniętym sercem patrzył, jak się oddala. Nagle zabrakło mu słów, które zazwyczaj przychodziły bez żadnej trudności. Ścisnął konia piętami, ruszając za nią.

- O mało nas pani nie zabiła. Nie ma pani nic do powiedzenia? Odwróciła się i patrzyła na niego przez chwilę.

- Ja...

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie zdążyła, bo spomiędzy dwóch budynków wyskoczyła rozsierdzona gęś i popędziła w jej stronę.

W tym samym czasie stary Emery Enoch szedł chodnikiem, opierając się na kulach, jako że miał tylko jedną nogę. Widząc przed sobą gęś, Emery machnął kulą.

- Ty szelmo - mruknął, trafiając końcem kuli w gęśią szyję. Gęś wyróciła się z przeraźliwym wrzaskiem. - Trzeba ci trochę przetrzepać skrzydła. - Zachichotał, po czym poprawił uchwyt na kulach i oddalił się, powłócząc swą jedyną kończyną.

Gęś przez chwilę miotła się bezładnie, jak pijana, drepcząc w kółko, dopóki Karl Heist, poczmistrz, nie przegonił jej miotłą.

Nick nie widział ostatniej sceny, ponieważ nie mógł odebrać oczu od nieznanym. Wiedział już, że pierwsze wrażenie go zmyliło, może z powodu jej prostego stroju. Bo ta kobieta była jak kieliszek francuskiego koniaku. Lodowaty wiatr wiejący od wody szarpał grubym wełnianym szalikiem, którym osłaniała włosy i dolną połowę twarzy. Jeden z bardziej porywistych podmuchów odsłonił ją na tyle, że Nick zdążył się lepiej przyjrzeć, nim szybko znów szczelnie się owinęła. Odnosił wrażenie, że jej pośpiech bierze się bardziej z chęci ukrycia przed nim niż przed zimmem. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo mimo jej skwapliwości i tak zobaczył to, co chciał widzieć.

Miała włosy ciemnoblond, w kolorze starych hiszpańskich dublonów, a jej cera wyglądała jak kapana w miodzie. Mógłby przysiąc, że równie słodko musiała smakować. Kiedy na niego spojrzała, jej oczy przywiodły mu na myśl sznur polerowanych bursztynów należący kiedyś do jego matki. Nigdy nie widział blondynki o takiej barwie oczu. Blondynki miały zawsze oczy niebieskie albo zielone.

- Podróżuje pani w niebezpiecznym towarzystwie - powiedział, wskazując na gęś.

Nie odezwała się. Może była nieśmiała. Niezależnie od powodu jej milczenia, postanowił się nie poddawać. Wyglądało na to, że jeszcze nie jest gotowa na uśmiech, ale nie zrezygnował z żartobliwego tonu.

- To pani przyjaciółka?

Był czas odwrotu, czas ataku, czas milczenia i czas ugody. Spróbowała już odwrotu i milczenia. Atak nie wchodził w rachubę. Pozostawała więc ugoda. Może wtedy ten brutal będzie zadowolony i da jej spokój. Rozejrzała się dyskretnie. Gapie stracili zainteresowanie i rozchodzili się powoli.

- Tak... to znaczy Ciotka Rhody jest naszą gęsią - powiedziała głosem stłumionym przez zwoje szalika. - To moja вина. Niepokoiłam jedno z jej piskląt. A ona jest po prostu dobrą matką.

- Więc pani...

Nie wyglądał na udobruchanego. Czas spróbować przeprosin. Czegokolwiek. Byle się go pozbyć. I to szybko!

- Spieszyłam się. Powinnam patrzeć, gdzie idę. Przykro mi, że naraziłam pana na kłopot. - Tak! To powinno zadowolić nawet takiego namolnego potwora.

Przyglądał jej się przez chwilę niebieskimi oczyma, a potem wykonał głową ruch, który można było odczytać jedynie jako kpiący ukłon.

- Ależ to była wyłącznie moja wina, bez wątpienia.

Jeśli nawet dostrzegł błysk urazy w jej oczach, nie dał tego po sobie poznać. Jego ostry, stanowczy ton nie wykraczał wprawdzie poza granicę uprzejmości, ale brzmiała w nim wyraźna przygana, co oznaczało, że odrzucając jej przeprosiny, zaliczył ją do kategorii osób niezdolnych panować nad swymi poczynaniami. Zawrzała gniewem. Kilka lat temu cisnęłaby w niego grudą ziemi albo spłoszyła konia, na którym siedział, uderzając w zad koszykiem. Ale te rozwiązania były już dla niej zakazane. Wszystko się zmieniło. Teraz musiała się pilnować.

Zauważyła pannę Merriweather wyglądającą zza kropkowanej firanki w oknie sklepu modniarskiego. Nic nie mogło ujść czujnemu oku tej kobiety, począwszy od zakupu kapelusza po napad na bank, nie wspominając o wszystkim, co mieściło się pośrodku. Niewielu było ludzi w Indianoli, którzy by tak żywo uczestniczyli w tym, co się wokół nich działo, równocześnie znajdując czas na pilnowanie własnych spraw, ale panna Sukey Porter Merriweather radziła sobie z tym doskonale. Można by powiedzieć, że rządziła Indianolą. I w trakcie tego rządzenia często pozbywała się różnych osób z miasta: do tej pory z jej powodu ubyło Indianoli trzynastu mieszkańców.

Mniej więcej sześć lat temu Tibbie o mały włos nie została numerem dziewięć. Tym bardziej nie miała zamiaru być numerem czternastym.

Milczała, więc Nicholas odezwał się pierwszy.

- Niechże pani tak nie stoi jak słup soli. Przecież mnie pani

nie zabiła, a tylko rozdarła bryczesy. - Na twarzy stojącej przed nim kobiety nie dostrzegł śladu ulgi... ani rozbawienia, mimo iż starał się być dowcipny. Nie zniechęcał się jednak. - Sama pani widzi, że wszystko jest w porządku, ja jestem cały i zdrowy i zakładając, że nie chciała się pani celowo rzucić pod końskie kopyta, w sumie nic strasznego się nie stało. Radziłbym pani jednak bardziej uważać na to, co pani robi. Odrobina ostrożności naprawdę się opłaca.

Pochylił głowę, ciekaw, czy kobieta spojrzy na niego łaskawiej po tym, jak zaskoczył ją pokazem swej szkockiej porywczoci. Ale ona nie dała po sobie poznać, co czuje. Po prostu odwróciła się i zniknęła za tymi samymi wozami, spomiędzy których niedawno wyskoczyła. Nie wiedzieć czemu, Nicholas był rozczarowany, że nie zobaczył całej jej twarzy i nie usłyszał wyraźnej głosu, stłumionego przez zwoje szalika.

Przywiązał konia do słupka i ruszył ulicą przed siebie. Chwilę później wszedł do sklepu Twitwilera, żeby zakupić kilka niezbędnych rzeczy do świeżo wynajętego domu. Czekać, aż sprzedawca zgromadzi towary wymienione na liście, Nick ogrzewał się przy kominku.

Drzwi się otwarły, wpuszczając do sklepu strumień zimnego powietrza; donośnie zabręczał dzwonek przytwierdzony do framugi. Nick odwrócił się i natychmiast rozpoznał kobietę, która weszła. Patrząc, jak ściąga grube szare rękawiczki, pomyślał, że wcale nie wygląda na lepiej usposobioną niż kilka minut temu, kiedy omal jej nie stratował. Już miał się z powrotem odwrócić do ognia, kiedy zaczęła odwijać długi szal z twarzy i głowy, nieostrożnie naruszając kok spięty nisko na karku. Fala niewiarygodnie długich, bujnych włosów o barwie miodu spłynęła jej po plecach. Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. Bez wątplenia była piękna. W głowie zaroiły mu się setki słów, określających jej urodę: Niewiarygodna. Wspaniała. Absolutnie doskonała. Żadne nie wydawało mu się wystarczająco dokładne. Żadne nie oddawało w pełni wyjątkowego czaru zjawiska, na które patrzył. Na moment ich spojrzenia się spotkały, lecz

kobieta zaraz uciekła wzrokiem, jakby spłoszona. Nick poczuł, że brakuje mu tchu. Nim zdołał zaczerpnąć powietrza, ona zwinęła lśniące włosy z powrotem w ciasny węzeł, dziękując dwóm młodym chłopcom, którzy oddali jej spinki pozbierane z podłogi.

Nick obserwował, jak porusza się po sklepie, wdzięcznie i szybko niczym koliber, nie zatrzymując się nigdzie na tyle długo, by mógł się lepiej przyjrzeć. Przyszło mu do głowy, że musi być przyzwyczajona do ciągłych spojrzeń, bo wydawało się, że nic sobie z nich nie robi.

Tylko raz zbliżyła się do niego, zatrzymując się przy dębowej beczce i zdejmując pokrywę. Jeszcze długo po tym, jak się znów oddaliła, w powietrzu unosił się zapach wanilii i róż. Zaczerpnęła trzy miarki cukru i sięgnęła po pokrywę.

- Proszę pozwolić. - Nick pochylił się, żeby jej pomóc. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

Miarka wypadła jej z ręki, uderzając głośno o podłogę. Cofnęła się o krok, a zaraz potem, już opanowana, rzuciła mu spojrzenie zimniejsze od wiatru wyjącego za oknem sklepu.

- Mieszka pani w pobliżu? - spytał. Zagryzła wargi, jakby pytanie należało do wyjątkowo trudnych. Zaśmiał się niepewnie. - Wystarczy zwykłe „tak” lub „nie”.

- Proszę mnie nie zmuszać, bym zawołała pana Ridleya, żeby pana wyrzucił - powiedziała.

- Zdarzało mi się już być wyrzucanym... z miejsc znacznie gorszych niż to - odparł lekko. - Na tyle często, że nie potrafię zbyt długo się tym przejmować. Obawiam się jednak, że to pani byłaby zakłopotana. - Uśmiechnął się, zamykając beczkę pokrywą. Kiedy się odwrócił, kobieta stała już w pewnej odległości; musiała się odsunąć tak cicho, że tego nie usłyszał. Patrzył, jak starannie owija się szalem. Potem wyciągnęła szare rękawiczki z kieszeni ciemnozielonej peleryny, włożyła je, a w końcu wrzuciła owiązany sznurkiem pakunek do koszyka.

- Dziękuję, panie Ridley. Dopisze pan to do naszego rachunku?

- Już to zrobiłem. Nie zapominam, jak ciężko chora była moja Priscilla i ile razy doktor Buchanan przychodził do nas w środku nocy, nie biorąc ani centa za dodatkową fatygę. A te lekarstwa, które pani dla niej przyrządziła...

- Cieszę się, że pomogły - przerwała mu. - Proszę pozdrowić ode mnie Priscillę, dobrze?

- Oczywiście. Proszę uważać, idąc do domu. Stary Ambrose był tu przed chwilą, mówił, że droga jest miejscami oblodzona.

Kobieta pokiwała głową. Dzwonek zabrzączał dwukrotnie: kiedy otwierała drzwi i kiedy zatrząskiwiała je za sobą.

Owiany zimnym powietrzem Nick zatarł ręce nad ogniem.

- Kim ona jest?

Pan Ridley spojrzął najpierw na niego, potem na drzwi.

- Kto? Ta kobieta, która właśnie wyszła, czy ta, co stoi na placu?

- Ta w zielonej wełnianej pelerynie.

- Nie ma sensu mówić panu, kim ona jest. Nic to panu nie da. Tylko pan straci czas.

- To już sam osądzę. Kim ona jest?

- Mówię wyraźnie, na nic panu wiedzieć, kim jest. Ta dziewczyna jest poza zasięgiem.

- Mężatka?

- Nie, ale równie dobrze mogłaby nią być.

- Co to znaczy?

- Znaczy, że obejdzie się pan smakiem. Może pan za nią latać do upadłego, a i tak nic pan nie wskóra. Nie jest pan pierwszym młodym samcem, który o nią pyta.

- Dowiem się wreszcie, kim ona jest, czy nie?

- Nie - odparł spokojnie kupiec i wrócił do swoich zajęć.

Nick poczuł złość. Przyglądał się, jak chudy sprzedawca wyciera ładę, a potem z przesadną starannością układa w słoju ziołowe lizaki. Nickowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się uderzyć człowieka w okularach. Przez chwilę rozważał taką możliwość, ale w końcu uznał, że potencjalna ofiara wygląda niewiele solidniej niż filiżanka panny Merriweather.

Wyszedł ze sklepu prosto w lodowatą wichurę, jednak prawie

tego nie zauważył. Jego szkocki charakter znów dał o sobie znać, wypełniając go złością tak gorącą, że mogłaby ogrzać pół Indianoli. Nawet kasztan jakby wyczuł jego podły nastrój, bo nie próbował żadnych sztuczek, kiedy jechali w stronę małego szarego domu stojącego na wprost portu.

Znalazłszy się w domu, Nick napalił w piecu i przygotował sobie gorący rum z korzeniami. Następnie stanął w oknie, rozsunął zasłony i wyglądając na zewnątrz, popijał rozgrzewający trunek. Opróżniwszy szklanę do połowy, poczuł odprężenie. Wodził wzrokiem po szarej połaci morza, obserwując, jak wiatr stroi każdą falę koronką białej piany. Morze wydało mu się tak samo nieprzyjemne jak tamta kobieta. Mimo to nie mógł przestać myśleć o tym, jak na niego spoglądała. Miała oczy jak kot, dumne i tajemnicze. Czy umiała też mrużyć?

Najwyraźniej nie była nim zainteresowana, ale to akurat nigdy nie zniechęcało Nicholasa Mackinnona. Prawdę mówiąc, raczej podsycało jego ciekawość.

- Słowo daję - rzekł sam do siebie, podnosząc szklanę do ust i pociągając sążnisty łyk - zostanę tu tak długo, że zdążę wybudować pięćdziesiąt statków, jeśli będzie trzeba. Ale zapamiętaj dobrze moje słowa: Twoje dni są policzone, moja jasnowłosa pani. Bo kiedy się uprę, zawsze zdobywam to, czego pragnę. - Zaciągnął zasłonę i dopił resztkę rumu. - Zawsze.

2

Muszę ci powiedzieć, co babcia znalazła w żołądku tego kurczaka, kiedy go rozcięła dziś rano.

Effie Buchanan odkroiła porcję szarlotki i spojrzała na męża w momencie, kiedy kawałek kurczaka wypadł mu z ręki i spoczął na tłuczonych ziemniakach.

- Dobry Boże, Effie! Nie widzisz, że jem? - doktor Coll Buchanan zgromił wzrokiem żonę, która z niewinną miną położyła szarlotkę na talerzyku i postawiła przed nim na stole.

Patrzył na Effie spod gęstych, krzaczastych brwi.

- Co ma oznaczać twój kamienny wyraz twarzy? - spytał.

Effie była wyraźnie zaniepokojona.

- Myślę, że stanowczo za dużo pracujesz - oznajmiła. - Wyglądasz blado.

- Do diabła z moją bladością! - zdenerwował się Coll. - A skoro już o tym mowa, zechcesz łaskawie mnie pozostawić stawianie diagnoz w tym domu?

- Ale...

- Pani Buchanan, ma pani medyczne wykształcenie?

- Wiesz, że nie mam.

- I dobrze! Jeden lekarz w rodzinie wystarczy. - Zadowolony, że postawił sprawę jasno, Coll wziął do ręki kurze udko i już miał zatopić w nim zęby, gdy sobie przypomniał, od czego się

zaczęła cała awantura. - Co, na litość boską, znalazła twoja matka w tym cholernym kurzym żołądku? I czemu odczekałaś, aż zjem trzy kawałki, nim o tym wspomniałaś?

- Łatwiej bym zawróciła Missisipi kijem, niż oderwała cię od tego kurczaka, Collu Buchananie. Trzymałeś go z całej siły obiema rękami.

- I oblizywałeś palce - dorzuciła babcia Grace, siedząca przy piecu w bujanym fotelu i wycinająca paski jedwabiu oraz tafty, które zamierzała wykorzystać do szycia narzuty o barwach flagi Teksasu. Robiła to w chwilach, gdy nie była zajęta narzutą o wzorze znaczków pocztowych, rozciągniętej na ramie w wolnej sypialni. Coll nazywał to zlepianiem strzepów, ale ostatecznie co mężczyzna może wiedzieć o pracy kobiet?

Babcia Grace Stewart, matka Effie Buchanan, miała osiemdziesiąt lat i umysł ostry jak pinezka, ale czasami bywała roztargniona i zapominalska.

- Babciu, co znalazłaś w kurczaku? - spytał Coll.

- Wnętrznosci - odparła staruszka.

Do kuchni weszła Tibbie. Odstawiwszy koszyk na stół, zdjęła szal i rękawiczki, po czym szybko podeszła do pieca.

- Brrr. Na zewnątrz jest strasznie zimno - powiedziała, wyciągając dłonie do ciepła. Uśmiechnęła się do babci, rozpoznawszy w żółtych skrawkach swoją starą sukienkę z tafty. Paski niebieskiej satyny kojarzyły jej się z podszewką starej peleryny, noszonej kiedyś przez matkę. Nikt się nie odzywał, więc Tibbie spojrzała pytająco najpierw na ojca, który dziwnie przyglądał się zawartości swojego talerza, a potem na matkę. - O co chodzi? Czyżby tacie nie smakowała pieczona kura?

Babcia przestała się huścić.

- Kto umarł?

- Nikt nie umarł, babciu - uspokoiła ją Tibbie.

- Chciałabym, żeby ludzie wokół mnie zrozumieli, że choć jestem stara, lubię wiedzieć, co się dzieje. Nikt mi nigdy nic nie mówi. Wiem tylko tyle, ile zdołam podsłuchać...

- W dodatku zawsze źle - rzekł cierpko Coll.

- Wielkie nieba - westchnęła Tibbie. - Co się dzieje z tatą?
Jest miły jak boa dusiciel.

- Widziałeś kiedyś boa dusiciela? - zainteresował się Coll.

- Nie na żywo, tylko na obrazku.

Coll przybrał nieco łagodniejszy wyraz twarzy. Tibbie uniosła brwi, zerkając pytająco na matkę.

- Twój ojciec i ja mieliśmy właśnie małą dyskusję o niczym - wyjaśniła Effie.

- No tak - jęknął Coll. - Tego rodzaju logika zaprowadziła chrześcijan na arenę między lwy.

- Lepiej pójde się przebrać w moją nową czarną sukienkę - oznajmiła babcia, podnosząc się ociężale z fotela.

- Ta, w której jesteś, wygląda całkiem dobrze. Czemu chcesz włożyć tę nową? - spytała Effie.

- Na pogrzeb - odparła babcia, wstając. - Coll powiedział przecież, że chrześcijanie będą ronić łzy.

- Siadaj, babciu. Nie ma żadnego pogrzebu - powiedziała głośno Effie, ponieważ wszyscy Buchananowie wiedzieli, że poza roztargnieniem i zapominalstwem, babci Grace doskwiera także słaby słuch.

Staruszka z westchnieniem opadła z powrotem na fotel, mrużąc pod nosem coś na temat spóźniania się.

Tibbie, przyzwyczajona do takich scen, częstych w rodzinie Buchananów, zachowała całkowity spokój.

- Czy mama ci mówiła, co znalazła dziś rano w żołądku kurczaka... a raczej, co babcia znalazła?

Coll jęknął, opierając czoło na wyciągniętych dłoniach. Coraz bardziej irytował go przedziwny zwyczaj żony i córki - zadawały pytania tam, gdzie należało użyć prostego zdania oznajmującego.

- Kobiety. Nigdy ich nie rozumiałem i pewnie już nigdy nie zrozumiem. Rozumiem fizykę. Rozumiem medycynę. Prawa natury też rozumiem. Mam nawet pewne rozeznanie w polityce i religii. Ale zrozumieć własną żonę i córkę? Są dla mnie jak obce osoby.

Kiedy skończył, głos zabrała Effie.

- Coll...
- Kto to jest Coll? - zainteresowała się babcia.
- Ten, co je kurczaka - odparła Tibbie, tłumiąc śmiech.
- Powiedziałas mu, że znalazłam pierścionek w kurczaku? - spytała babcia.
- Pierścionek? - zdziwił się Coll.
- Niezupełnie - sprostowała Effie, patrząc na męża. - Właściwie to był rabin, ale od razu go rozpoznałam. Pamiętasz ten rubin, który Rosemairi zgubiła miesiąc temu?
- Czemu od razu mi tego nie powiedziałyście, zamiast mnie narażać na najgorsze domysły? A gdybym tak jadł zatrutego kurczaka? Też byście czekały tak długo, żeby mi powiedzieć?
- Nigdy by mi się to nie udało. - Effie westchnęła, po czym, widząc rosnące zniecierpliwienie męża, dodała: - Nie dałeś mi czasu, żeby cokolwiek powiedzieć. Cały czas się awanturowałeś.
- Effie, masz wątpliwy dar bezustannego wprawiania mnie w irytację. Gdybyż Bóg uczynił cię bardziej skłonną do milczenia... lub niemową.
- Mów tak dalej, Collu Buchananie, a będę ci dolewać opium do kawy. Spróbuj się przekonać.
- Jeśli dalej będę słyszał te bzdury, chętnie wypiję.
- Nie będzie to pierwszy raz - mruknęła Effie.
- Zapadła chwila ciężkiej ciszy.
- Co znaczy nie pierwszy raz? Chcesz powiedzieć, że już dolewałaś kropli opium do mojego jedzenia?
- Nie do jedzenia... do kawy.
- Do kawy. Naprawdę to robiłaś?
- Przecież powiedziałam, Coll. Parę razy i tylko do kawy.
- Mogę spytać, dlaczego uznałaś za konieczne podtruwać męża? Próbujesz mnie zabić?
- Nie bądź niedorzeczny.
- Dolewanie kropli opium do mojego jedzenia nie jest niedorzeczne?
- Oczywiście, że nie. Nigdy nie wlałam aż tyle, żeby ci zaszkodziło - obruszyła się.

- To pocieszające. Możesz mi powiedzieć, ile razy to zrobiłaś?
- Niewiele. Tylko wtedy, gdy się zachowywałeś jak uparty stary kozioł.

Coll długo przetrwał w milczeniu wyznanie żony.

- Strasznie tu cicho - odezwała się Tibbie. - Gdzie są wszyscy?
- Beth jest na górze - odpowiedziała jej Effie. - Mairi poszła do Mabrych pomóc w gotowaniu. Pani Mabry urodziła dziś dziecko.

- Założę się, że jeszcze jedną dziewczynkę - powiedziała Tibbie.

- Już szóstą - potwierdziła jej matka. Nalała herbaty do filiżanki i podała córce. - Może pójdziesz jutro ze mną do miasta na zebranie? Potem ma być małe przyjęcie.

Tibbie w zamyśleniu popijała herbatę.

- Wiesz, że nie bawią mnie takie rzeczy. Czemu nie proponujesz tego Mairi?

- Bo proponuję tobie. Gdybym chciała spytać twoją siostrę, tobym ją spytała. Co ci szkodzi raz na jakiś czas wyjść trochę do ludzi? Masz dopiero dwadzieścia jeden lat, Tib. Dlaczego musisz żyć jak stara kobieta?

- Mamo, rozmawialiśmy już na ten temat. Nadal czuję to samo co wtedy. Nic się nie zmieniło. Pójdę między ludzi, kiedy będę na to gotowa, ani minuty wcześniej. - Tibbie ukroiła sobie grubą kromkę chleba i posmarowała masłem.

- Wydaje mi się, że to wielka szkoda. Pani Triplet mówiła, że jej syn George oddałby połowę miesięcznej pensji, żeby raz z tobą zatańczyć.

- George Triplet jest głupcem - wtrącił się Coll.

- Dlaczego? Bo podkochuje się w Tibbie?

- Był głupcem na długo przedtem. Ma to po matce.

- To, że ty i Maud nie możecie się dogadać, nie upoważnia cię do wygłaszania takich opinii - skarciła go żona.

- Dogaduję się z nią tak samo jak wszyscy inni. Tej kobiecie nawet Pan Bóg by się nie spodobał - bronił się Coll.

- Skoro już mowa o Bogu - przypomniała sobie Tibbie -

spotkałam dziś wielebnego Woolridge'a. Mówił, że pani Woolridge znów ma kłopoty z gardłem.

- Chyba po jedzeniu do niej zajrzę - stwierdził Coll.

- Powiedziałam wielebnemu, żeby zrobił jej napar z korzenia anżeliki. Zaczekaj do jutra. Do tego czasu może się poczuć lepiej - poradziła mu córka.

- Powinna też zjeść trochę korzenia. To by złagodziło ból.

- Też mu to powiedziałam - przyznała Tibbie.

Coll odsunął talerz i podniósł się zza stołu.

- Szkoda, że nie jesteś chłopcem. Byłabyś świetnym lekarzem.

- Jestem lekarzem - sprostowała Tibbie. - Mówiłeś, że wiem tyle samo co ty.

- To prawda. Jesteś moją prawą ręką. Nie dałbym sobie rady ze wszystkimi obowiązkami, gdybyś mi nie pomagała.

- Poradziłybyś sobie.

- Nie jestem taki pewny. Sama widzisz, siadam do jedzenia godzinę po wszystkich domownikach... mimo twojej pomocy. Bez ciebie pewnie w ogóle bym nie jadał.

- A mnie by ominęły te wszystkie ciekawe dyskusje, jakie prowadzimy przy posiłkach - wtrąciła Effie.

- Kobieto, jeśli masz szyję, to ci ją uknęczę.

Tibbie wybuchnęła śmiechem.

- No to się doigrałeś - ostrzegła.

- Chcesz szyi do skręcenia? Proszę! - Effie chwyciła surową szyjkę kurczaka i cisnęła w męża, a ten odruchowo ją chwycił.

Kiedy Coll, pozbywszy się drobiowego ochłapu, wycierał ręce, Tibbie zaproponowała:

- Pójdę i zobaczę, jak pani Mabry się czuje.

- Może najpierw zaprowadzisz babcię na górę - włączyła się Effie. - Dawno zasnęła.

Tibbie podeszła do staruszki i zabrała z jej kolan pocięty materiał.

- Babciu? - Potrząsnęła lekko ramieniem śpiącej. - Babciu, pomogę ci wejść na górę.

- Czas się szykować na pogrzeb? - spytała staruszka, stając na nogach z pomocą wnuczki.

- Jeszcze nie teraz - zapewniła Tibbie, wyprowadzając ją z kuchni.

Odprowadziwszy babcię do sypialni, wstąpiła do gabinetu ojca, otworzyła jego czarną torbę, wyjęła z niej kilka rzeczy, które mogły jej być potrzebne, i przełożyła do swojego koszyka. Zatrzymała się w progu, żeby nałożyć rękawiczki. Wtedy właśnie usłyszała śmiech matki, a potem stłumiony głos.

- Collu Buchananie! Co w ciebie wstąpiło, stary głupcze!

- To pewnie samcza gorączka.

- Do wiosny jeszcze daleko. A poza tym jesteś za stary na samczą gorączkę.

- Nigdy się nie jest zbyt starym. A teraz przestań gadać i chodź tutaj.

- Coll... nie w kuchni.

- A niby dlaczego nie w kuchni? Jest przyjemnie ciepło. I przytulnie jak...

- Collu Buchananie! Licz się ze słowami! Ktoś cię może usłyszeć.

- Effie, zamkniesz się wreszcie?

- Ale któraś z dziewcząt mogłaby...

- Strasznie trudno pocałować rozgadaną kobietę.

- Już nie gadam, Coll.

Tibbie przycisnęła dłonie do ust, żeby powstrzymać śmiech. Szybko wyszła z domu, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi.

Na zewnątrz ciągle trwała zawierucha, ale deszcz, którego spodziewała się od wczesnego popołudnia, już nie zagrażał. Było natomiast strasznie zimno, więc podciągnęła szal wysoko na nos, także widać było tylko oczy. Nie miała przed sobą długiej drogi, jako że wielki, rozłożysty dom, w którym mieszkała rodzina Buchananów, leżał zaledwie dwa kilometry od miasta. Ściskając koszyk za pazuchą, ruszyła szybkim krokiem, powtarzając sobie w duchu, że będzie jej cieplej, gdy tylko dotrze do pierwszych zabudowań na przedmieściu.

Spacer do miasta bywał całkiem przyjemny w lecie, pośród krzewów kapryfolium i jeżyn rosnących na poboczach oraz pojedynczych drzew, które jakaś zapobiegliwa dusza posadziła przy drodze, żeby dawały miły skrawek cienia. Owe zacienione miejsca stawały się szczególnie ważne dla tych, którzy wędrowali pieszo i do tego na bosaka.

Tak, wszystko, co rosło przy drodze, wydawało się piękne latem. Ba, nawet sama droga wyglądała wtedy uroczo, porośnięta dzikim kwieciami pośrodku, między dwiema koleinami wyłobionymi przez koła wozów. Latem w ciepłym powietrzu unosiły się drobinki soli przynieszone wiatrem znad morza, słychać też było delikatne brzęczenie pszczół, milknące dopiero w pobliżu oceanu, skąd odstraszały je fale. Tego dnia jednak powietrze było ostre i zimne, a wiatr od wody chłostał bezlitośnie. W taką pogodę Tibbie nie zwracała uwagi na otoczenie i była zadowolona, że większość okolicznych mieszkańców nie wychyla nosa z ciepłych domów, dzięki temu bowiem mogła się szczerze opatulić po uszy i patrząc pod nogi, gnać przed siebie.

W lecie było inaczej. W lecie trzeba było zwracać uwagę na otoczenie, patrzeć, kto się zbliża, pilnować, by każdego mijanego człowieka pozdrowić skinieniem czy uśmiechem, ponieważ w Indianoli panował niepisany zwyczaj, nakazujący się uśmiechnąć lub przynajmniej skinąć każdemu, niezależnie od tego, czy był znajomym, czy nie. Skinąć i uśmiechnąć się. Tibbie zawsze robiła jedno i drugie, na wszelki wypadek. Zasadniczo bała się spotkań na drodze, ponieważ ludzie zwykle chcieli przystawać na pogawędkę, a na to szkoda jej było czasu.

Czasami cieszyła się, że ojciec wybudował dom poza miastem, ale bywały też dni, jak choćby ten, że wołałaby mieszkać gdzieś bliżej. Przycisnęła koszyk mocniej do boku i poprawiła szal, schylając nisko głowę. Wiatr wiał jej w plecy, popychając ją naprzód, jakby ważyła nie więcej od zgubionego kapelusza. Walcząc z powiewającą spódnicą i koszykiem, dotarła do chodnika przy stajniach handlarza koni, gdzie jeszcze przyspieszyła kroku. Minawszy pocztę i saloon, przecięła wąską uliczkę

biegnącą między siedzibą miejscowej gazety i składem handlowym.

- No, no, no. Czyż to nie Czerwony Kapturek ze swoim koszykiem pełnym przysmaków?

Tibbie odwróciła się tak gwałtownie, że aż strzyknęło ją w karku. Przez moment nie była w stanie nic zobaczyć w głębokim cieniu między plamami słabego światła, padającego ze skąpo oświetlonych okien. Dojrzała wprawdzie kilka beczek ustawionych pod ścianą budynku, ale nic, co by przypominało ludzką postać. Nagle z cienia wychynął człowiek i zatrzymał się naprzeciw niej. Tibbie stała jak wryta, oddychając szybko ze strachu.

- Czy pora nie jest trochę zbyt późna, jak na odwiedziny u babci? Nie boi się pani wielkiego złego wilka?

Głos rozlegał się tak blisko, że czuła ciepły powiew oddechu na policzku. Ten, kto ją zaczepił, był potężnej postury, bo musiała zadrzeć głowę, żeby na niego spojrzeć,

Poznała go od razu - to był ten człowiek, który omal jej nie stratował, a potem zagadywał w sklepie. Dwa spotkania w jednym dniu to już było za wiele. Trzecie nie mogło być przypadkowe.

Nie mówiąc ani słowa, uniosła brzeg spódnicy i próbowała go wyminąć.

- Proszę chwilkę poczekać - powiedział, chwytając ją za ramię.

- Niech pan mnie nie dotyka, bo zacznę krzyczeć.

Parsknął śmiechem.

- No to niech pani krzyczy. Wątpię jednak, czy ktoś usłyszy przez to rozstrojone pianino i szczebiotliwe damskie trele. - Odwrócił ją do światła, żeby lepiej zobaczyć twarz, sprawdzić, czy rzeczywiście jest taka śliczna, jak sobie wyobrażał.

Wolno unióś rękę i odwinął szal. Kiedy skończył, cofnął się o krok.

Nagle jakby mu brakło powietrza w płucach. Dziewczyna była piękna. Piękniejsza, niż sądził. Miała ten typ urody, który rzuca mężczyzn na kolana i wywołuje wojny, twarz, której się nie

zapomina i która może doprowadzić mężczyznę na skraj szaleństwa.

Jej urok i własny zachwyty przypomniały mu, od jak dawna nie był z kobietą. Zgiętym palcem delikatnie uniósł jej podbródek. Nie pamiętał, żeby się kiedyś kochał z tak piękną dziewczyną. Drugą ręką zsunął jej szal z głowy. Miała burzynowe oczy, w których każdy mężczyzna mógł się zatracić. Teraz patrzyły na niego, wielkie i niewiarygodnie czyste, a jednak niezgłębione. Miała wydatne kości policzkowe, doskonale prosty nos, a usta nie czerwone, lecz bladoróżowe. Kojarzyły mu się z nagością. Był ciekaw, czy brodawki jej piersi mają ten sam kolor. Poczul w środku jakiś dziwny, trudny do określenia niepokój.

W przyćmionym świetle jej włosy miały barwę miodu. Wilgoć ciągnąca od zatoki osiadała na nich, zwijając wymykające się z ciasnego wężła kosmyki w drobne loczki, które okalały jej twarz na kształt anielskiej aureoli. Miał ochotę rozpuścić te włosy, sprawdzić, jakie są w dotyku. Ale dziewczyna wyglądała na przestraszona, gotową uciekać, a poznanie jej imienia było ważniejsze... przynajmniej na razie.

- Nie wiem, kim pan jest, ale najwyraźniej bierze mnie pan za kogoś innego - powiedziała ostro. - Nie jestem taka, jak panu się wydaje.

Błysnął zębami w ciemności.

- A jaka pani jest? - spytał wyraźnie rozbawiony.

- Nie mam czasu ani ochoty stać tu i marznąć dla pańskiej przyjemności. W Indianoli jest pełno chętnych kobiet. Radzę znaleźć sobie jedną z nich i zostawić mnie w spokoju.

- Nie interesują mnie chętne kobiety z Indianoli. Interesuje mnie tylko pani, chętna czy niechętna.

- Nie jestem ani chętna, ani tym bardziej dostępna. A teraz proszę mnie puścić.

- Zbyt miła też pani nie jest.

Szarpnęła ramieniem, ale nie puścił, tylko jeszcze wzmocnił uścisk.

- Proszę się tak nie spieszyć. Przecież nie da się przyspieszyć bajki.

- Jeśli dobrze pamiętam, wilk pozwolił, by Czerwony Kapturek odszedł.

- Dopiero kiedy się dowiedział, dokąd zmierza.

- Nie pański interes, dokąd zmierzam.

- Więc proszę mi powiedzieć, kim pani jest.

- Czerwonym Kapturkiem, zapomniał pan?

- Jak się pani nazywa?

- A pan?

- Nicholas Mackinnon, do pani usług, a wkrótce, mam nadzieję, pani dłużnik.

- Prędej pan będzie, panie Mackinnon, w więzieniu, kiedy podam szeryfowi pańskie nazwisko. Przetrzykuje mnie pan wbrew mojej woli. Nie domagałam się ani nie pragnęłam pańskiej uwagi. Jeśli pan mnie natychmiast nie puści, będę zmuszona złożyć skargę. Istnieją przepisy, broniące kobiet przed takimi jak pan.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu, a Tibbie po raz pierwszy mogła mu się przyjrzeć, i to dokładnie. Stał przed nią mężczyzna, który z całą pewnością nie musiał zaczepiać kobiet w ciemnych uliczkach. Jeśli nawet miał jakieś niedostatki, bez wątpienia nie dotyczyły wyglądu zewnętrznego. Nie mogły dotyczyć, przy takiej twarzy o szerokich, pełnych ustach, leciutko wygiętych ku górze w kącikach, męskiej, mocno zarysowanej szczęce i rzymskim nosie, który u innego mężczyzny może wyglądałby śmiesznie, ale do jego rysów pasował wręcz idealnie. Podobnie jak ciemne włosy, połyskujące plamkami odbitego światła. Nie wiedziała, skąd jej się wzięła chęć odgadnięcia koloru jego oczu. Niebieskie. Poczuła złość. Przecież nie obchodziło jej nawet to, czy w ogóle ma oczy, nie mówiąc już o kolorze.

Niezależnie od domysłów na temat koloru oczu, najbardziej niepokojący był dołek w jego podbródku. Taki jak kobiety miewają czasem w policzkach. A on miał w podbródku. Nigdy

wcześniej takiego nie widziała... i pewnie tylko dlatego miała ochotę go dotknąć.

Jednakże Tibbie nie była już ani tak wrażliwa, ani podatna na męskie uroki jak w wieku szesnastu lat. Nie była już tamtą naiwną dziewczynką, której łatwo mogły zawrócić w głowie ujmująca powierzchowność czy miłe słówka. Widywała już mężczyzn tego rodzaju. Wiele razy. I była przez nich zaczepiana. Także wiele razy. Wszyscy byli tacy sami, mówili to samo i niezależnie od tego, czy używali takich samych czy podobnych słów, wszystkim chodziło o jedno. Wezbrał w niej gniew. Tak, ten był taki jak wszyscy inni i chodziło mu o to co innym, ale wzbudzał w niej odczucia, jakich nie wzbudził żaden inny... przynajmniej od pięciu lat.

Dlaczego on?

Dlaczego akurat ten miałby ją zaciekać, skoro tylu innym się to nie udało?

Kilku pijaków wytoczyło się z saloonu, dając jej okazję do wymknięcia się z kłopotliwej sytuacji. Wykorzystała moment, kiedy obejrzał się w tamtą stronę, by oswobodzić ramię. Odkwasywszy wolność, bez namysłu chwyciła spódnicę i uciekła. Biegła przed siebie, nawet nie czując mrozących porywów wiatru, dopóki się nie znalazła na ulicy, przy której stał kościół i plebania.

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu Tibbie zauważyła, że wiatr ustał. W sypialni panował lodowaty chłód, co skłoniło ją do szybkiego ubrania się i zbiegnięcia na dół po dwa stopnie naraz. Stwierdziwszy, że w kuchni jest pusto, nalała sobie filiżankę herbaty i zabrała ją ze sobą do gabinetu ojca. Pomyślała, że Coll zapewne przyjmuje już pacjentów, chociaż reszta rodziny jeszcze smacznie spała. I chociaż kusiło ją, by pozostać choć trochę w łóżku, miała świadomość, że może być ojcu potrzebna. O tej porze roku bywało wiele przypadków krupu i kokluszki, a nie dalej jak wczoraj doszły ich wieści, że w San Antonio

zanotowano ponad tuzin zachorowań na dyfteryt, potocznie nazywany błonicą.

Kiedy weszła do gabinetu, ojciec zaglądał właśnie do gardła małej Herbie Gillingwater. Widząc jego poważny wyraz twarzy, Tibbie zaniechała żartobliwego tonu, jakim zwykle witała ojca.

- Dzień dobry, tato. Dzień dobry, pani Gillingwater - powiedziała, kłaniając się skinieniem siedzącej obok kobiecie. Podeszła do szafki, wyjęła i włożyła czysty fartuch.

- Dyfteryt - usłyszała zatroskany głos ojca.

Nie widziała nigdy wcześniej przypadku dyfterytu, ale do czwartej po południu zdołała obejrzyć żółtoszary nalot na gardłach i migdałkach pięciu pacjentów. Najbardziej przykre było to, że chodziło o dzieci, ponieważ, jak stwierdził ojciec, dyfteryt zwykle atakuje dzieci powyżej szóstego miesiąca życia.

Tibbie otarła pot z czoła. Wiedziała, że pachnie siarką, którą gotowała w wodzie wapiennej i wpuszczała do nosa chorych małych pacjentów za pomocą gęsiego pióra. Kiedy wreszcie skończyła zabieg u ostatniego, była zbyt zmęczona, żeby cokolwiek zjeść, i marzyła jedynie o kąpieli i łóżku.

Podczas gdy Tibbie zmywała z siebie siarkę, Nick Mackinnon siedział nad szklanką whisky w saloonie Pod Zszarganym Aniołem. Co za dzień! Co za miasto, pełne mrukliwych, nieprzyjaznych ludzi. Pytał chyba tuzin mieszkańców zacnego miasta Indianola o miodowowłosą kobietę... i wszyscy zachowywali się dość miło, dopóki jej nie opisał. Wtedy bowiem nabierali wody w usta.

Thorn Newberry radził mu pilnować własnego nosa. Pani Weatherby stwierdziła, że „obszczekuje niewłaściwe drzewo”. Panna Merrilee Jackson powiedziała: „Niech pan idzie węszyć gdzie indziej”. A pastor wykrzyknął: „Odejdź precz, szatanie!” Nick aż się obejrzał, żeby sprawdzić, do kogo wielebny się zwraca. Dopiero stwierdziwszy, że nikogo innego nie ma w pobliżu, zrozumiał, dla czyich uszu przeznaczone były surowe słowa. Fryzjer na pytanie o piękną nieznajomą groźnie machnął nożyczkami. Kowal sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę przyłożyć rozgrzaną podkowę do pośladka Nicka. Nawet dziwka ze

Zszarganego Anioła okazała jawną wrogość, wlewając mu na kolana whisky, którą jej postawił, i żądając stanowczo, żeby się wynosił i zostawił w spokoju porządne kobiety z Indianoli.

Za każdym razem, gdy spytał o anioła o miodowych włosach, powtarzało się to samo. Mały pucybut pozostawił jeden but niewyczyszczony, kobieta w restauracji wyrwała mu talerz z jajkami na szynce, kiedy jeszcze jadł, szeryf poradził, żeby jechał zaspokajać swe lubieżne chucie do Nowego Orleanu. Nim dotarł do redakcji gazety, jej właściciel musiał usłyszeć, że nadchodzi, bo obserwował go przez przeszklone drzwi. W momencie, gdy Nick położył rękę na klamce, mężczyzna przekręcił klucz, wystawił tabliczkę „Zamknięte” i zaciągnął żaluzje.

Nick dopił drinka, cały czas rozmyślając o nieznanym dziewczynie. Wprawdzie wymknęła mu się poprzedniego wieczoru, ale przecież będą inne okazje. Dojdzie do tego, kim jest ta tajemnicza zjawka. A potem dowie się, dlaczego wszyscy w Indianoli tak bardzo chcą ją chronić. Jaką władzę miała nad nimi? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie wcale nie wydawało się łatwiejsze niż odkrycie tożsamości tajemniczej nieznanym.

Następne go ranka Nick zjawił się w pełnej drewna stoczni, gdzie miała się rozpocząć budowa statku. Człowiek, który zamówił ów statek, Josiah P. Bitterworth, był, oględnie mówiąc, ekscentrykiem i prowadził osobistą kampanię na rzecz zaopatrzenia stanu Teksas w statki „produkowane wyłącznie w Teksasie”. Kiedy Nick próbował mu tłumaczyć, że budowa mogłaby przebiegać znacznie szybciej w jego stoczni w Nantucket, usłyszał stanowcze:

- Ten statek musi być wybudowany w Teksasie.

Nick już dawno przyswoił sobie zasadę, że lepiej zbyt głęboko nie wnikać w motywy kierujące ludźmi. Pieniądze tego inwestora nie budziły podejrzeń. Nie żądał też niczego, co by wykraczało poza prawo. To wystarczało w zupełności.

Nick szedł ulicą, niosąc pod pachą plany kadłuba zwinięte

w ciasny rulon. Pierwsze kroki skierował do biura, z którego rozpościerał się widok na całą stocznię. Jego stary znajomy, Porter Masterson, pochylał się nad biurkiem. Przy wejściu Nicka podniósł głowę znad papierów.

- Nick, dzień dobry! Właśnie przeglądałem te instrukcje, które zostawiłeś mi wczoraj. Kazałem umieścić model we wzorcowni. W tej chwili nasi ludzie pracują nad konstrukcją pokładu.

- Deski na pokład są gotowe?

- Od przedwczoraj. Wczoraj zostały zamocowane. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym tygodniu będziemy wycinać szablony.

- No to chodźmy popatrzeć.

Nick był niespokojny. Nie chodziło o rysowane kredą linie na pokładzie, bo te były w porządku. Niepokój brał się stąd, że Nick nie potrafił się skupić. Parę razy nie odpowiedział na pytanie Portera, bo go po prostu nie usłyszał. Nie był w stanie myśleć o budowie statku, ponieważ jego umysł zaprzętała bez reszty pewna dziewczyna o włosach w kolorze miodu. W tym stanie zupełnie nie nadawał się do pracy. Zachodziła obawa, że jeśli tak dalej pójdzie, statek nigdy nie zostanie ukończony.

Kiedy skończyli, było wpół do piątej, ale lutowy dzień już ustępował przed zimowym zmrokiem. Nick kilka minut stał przed drzwiami biura i rozmawiał z Porterem. Potem naciągnął kołnierz płaszcza wysoko na uszy i oddalił się w stronę miasta.

Musiał się napić.

Potrzebował whisky.

Droga miejscami zamarzała, a całe otoczenie wydawało się surowe i ponure. Myśli Nicka, tak jak przez cały tydzień, krążyły wokół pięknej nieznajomej.

Po drugiej stronie miasta doktor Coll Buchanan myślał o tej samej kobiecie.

Tibbie siedziała na łożku, rozmawiając z matką, kiedy Coll wszedł na górę. Przystanął na chwilę w progu, przyglądając się obu kobietom. W rozproszonym świetle lampy stanowiły doprawdy uroczy widok - Effie, śniadolica po swej rosyjskiej

babce, z ciemnymi włosami ledwie przyprószonymi siwizną - oraz Tibbie -jasna i promienna jak jego szkoccy rodzice. Kiedy mówiła, gestykulując z ożywieniem, w jej oczach zapalały się żółte punkciki. Oczy córki zawsze go fascynowały, już choćby dlatego, że nigdy wcześniej nie widział oczu o tym kolorze, jasnobrązowych, złociście nakrapianych, podobnych do burztynowych kolczyków, jakie nosiła jego matka. Kiedy Tibbie uśmiechnęła się do Effie, która szczotkowała jej długie włosy, przypomniała Collovi jego własną matkę. Pamiętał, jak ojciec zawsze szczotkował jej włosy. Jaka szkoda, pomyślał ze smutkiem, patrząc na córkę. Jaka wielka szkoda... Powinna mieć ukochanego, który by to robił.

3

Nie wiem, dlaczego zawsze chcesz iść na skróty przez pastwisko, zamiast drogą, jak wszyscy normalni ludzie. Wiesz, że nasze chodzenie po polu irytuje starego pana Harkingtona. A poza tym tato da ci w skórę, jeśli się dowie.

Szczupła dziewczyna o poważnych brązowych oczach przystanęła, spoglądając na trasę, którą jej siostra nazwała „nudną i monotonna”. Uznając, że nie jest ani nudna, ani monotonna, Mairi stwierdziła z prostotą:

- Ja cię nie rozumiem.

I Tibbie musiała przyznać jej rację. Sama też nie rozumiała siebie, a już najbardziej tego dziwnego nastroju, który sprawiał, że przez większość czasu bujała w obłokach. Nie rozumiała, jak to jest, że słyszy melodie, których nikt inny nie słyszy, albo że w jej umyśle znajdują się magiczne drzwi, za którymi rozpościera się słoneczny ogród wyobraźni i marzeń. Tata twierdził, że Tibbie ma jakiegoś szalonego współlokatora w swoim pokoju na poddaszu, matka nazywała to fantazją, babcia widziała u niej skłonność do patrzenia na świat oczyma duszy. A Mairi uważała, że Tibbie jest po prostu zwariowana.

I może rzeczywiście była.

Wychyliła się przez płot, spoglądając na pastwisko, gdzie cudownie złocista mgiełka otulała łagodnie wzgórza, a suche

łodygi traw szeptały z wiatrem. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że po jednym krótkim miesiącu może stanąć w tym samym miejscu i zobaczy wszędzie jaskrawoniebieskie bławatki, pomarańczowe ostróżki, ostre kontrasty czerwieni i żółci. I złote słoneczniki. Jednolicie brązowa płaszczyzna drogi w żaden sposób nie mogła się równać z takim bogactwem natury.

Na tym barwnym tle potężna, groźna postać pana Harkingtona również stawała się jakby mniejsza i mniej ważna.

Farma pana Harkingtona przylegała do ziemi Buchananów od wschodu i żeby najdogodniej skrócić sobie drogę do domu, należało przeciąć na ukos wysunięty kawałek jego posiadłości. Pan Harkington mieszkał w tym miejscu prawie tak długo, jak istniała Indianola. Krążyły pogłoski, że jego ojcem był aligator, zamieszkujący bagniste tereny wybrzeża, a matka była krabem. W miarę dorastania Tibbie coraz lepiej rozumiała te plotki, jako że pan Harkington w istocie odziedziczył kilka cech typowych dla tych dwóch gatunków - był zgryźliwy i niezgrabny.

Babcia Grace twierdziła, że jest starym dziwakiem, bardziej szalonym od kompletnego wariata. Tibbie nie całkiem się orientowała, do jakiego stopnia szaleni są kompletni wariaci, a co do dziwactwa... Cóż, może właśnie z powodu dziwactwa przybił na drodze prowadzącej do jego domu słup z tablicą, na której było napisane: GŁUPCOM, KOBIE TOM I WŁÓCZĘGOM WSTĘP WZBRONIONY.

- Co go opętało, żeby wywiesić taki bzdurny napis? - dziwiła się Effie, gdy któregoś ranka mijali słup w drodze do kościoła. - Głupcom, kobietom i włóczęgóm, też coś! Przecież między tymi osobami nie ma żadnego związku.

Coll, który dawno nauczył się dbać o spokój w rodzinie, tylko uniósł pytająco brew i cmoknął na klacz, poganiając ją do szybszego biegu, co natychmiast odwróciło uwagę żony, bo musiała przytrzymywać czepek na głowie.

Tak czy inaczej, Tibbie skłonna była przyznać, że pan Harkington jest trochę dziwny. Nikt nigdy nie widział jego domu od środka, po części dlatego, że nikogo nie zapraszał. Tibbie

podejrzewała jednak, że ważniejszym powodem była stara strzelba, z którą zawsze ich witał. Poza tym nie dość, że sam był trochę dziwny, trzymał bandę najdziwniejszych zwierząt w całym stanie Teksas. Każdy, kto widział jego starą bryczkę zaparkowaną w mieście, wiedział, że należy się trzymać z daleka, ponieważ zaprzężony do niej koń, rozłożysty deresz o imieniu Zołza (bo w istocie była to klacz), lubi gryźć.

Dratowi Wilsonowi, miejscowemu pijackowi, odgryzła prawe ucho, a szeryfowi cygaro wraz z kawałkiem wargi. Stąd właśnie mieszkańcy miasta nazywali go Zającem, co było nawiązaniem do zajęcej wargi. Pan Harkington posiadał także starego łaciatego psa o imieniu Tuman, który uganiał się jak szalony za kurami, choć na szczęście dla Tumana nigdy żadnej nie zrobił krzywdy... poza tym, że biedaczki słaśniały się z wyczerpania i rozkładały skrzydła, żeby ochłonać.

Jednakże to stary czerwony byk o imieniu Młot napawał Tibbie prawdziwą grozą. Podejrzewała, że pan Harkington nazwał go Młotem, bo to potworne zwierzę potrafiło rogami wbijać ludzi w ziemię. Parę razy sama o mało nie doświadczyła jego straszliwej mocy, kiedy pojawiał się jak spod ziemi i gonił ją, aż czuła na karku gorący byczy oddech. Nie dość tego, miała na ramieniu bliznę, po tym jak zahaczył ją rogiem. Z tego powodu Coll kategorycznie zabronił jej chodzenia na skróty.

I nie chodziła.

Co najmniej przez pół roku.

Jednakże Tibbie miała zwyczaj raczej stawiać na zalety, niż unikać wad, a w tym przypadku dogodność skrótu przez pastwisko pana Hartingtona znacznie przeważała nad monotonią wiejskiej drogi i obawami przed złośliwym starym bykiem. Mairi tylko pokręciła głową, widząc, jak siostra przechodzi przez płot i przeczuciwszy koszyk przez ramię, gna przez pastwisko, jakby jej się paliło pod stopami.

Tibbie chodziła szybko i zdecydowanie, jakby zawsze wiedziała, dokąd zmierza i co będzie robić, jak już tam dotrze. Trudno to było zrozumieć Mairi, która lubiła wędrować bez

pośpiechu, raz jedną, raz drugą stroną drogi, przystając na pogawędkę z każdą napotkaną osobą.

- Tibbie! - zawołała. - Tibbie Anne Buchanan, wiem, że mnie słyszysz!

Jeśli nawet Tibbie ją słyszała, udała, że nie słyszy.

- Świetnie! - krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem Mairi. - Niech ci będzie. Zniszcz sobie sukienkę, ubłoć buty, nic mnie to nie obchodzi. Ja idę drogą. - Przeszła jakieś pięć stóp, po czym obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy siostra się przypadkiem nie opamiętała. Ale zobaczyła jedynie jej podskakujący w rytm kroków złoty warkocz i zaraz potem Tibbie zniknęła za pagórkem. - Uparciuch! Uparciuch! Uparciuch! - Mairi aż tupnęła nogą ze złości. - Słowo daję, gdyby ta kobieta urodziła się jako kura, toby zносиła graniaste jajka. - Choć nadal przekonana, że jej wybór był nie tylko najlepszy i najbardziej logiczny, ale też jedyny, jakiego mogła dokonać normalna osoba, rozejrzała się na wszystkie strony i nie widząc nigdzie Młota, przeszła przez płot i ruszyła biegiem za siostrą.

W parę minut dogoniła Tibbie, zdyszana i czerwona na twarzy, wciąż niezadowolona. Jedną ręką przytrzymała kapelusz na głowie, drugą rozmasowywała klucie w boku, równocześnie zrzędlwym głosem powtarzając zarzuty:

- Popatrz tylko na nasze spódnice! Całkiem je zniszczymy w tej mokrej trawie. I spójrz na moje buty. Są całe ubłocone.

- Możesz je wyczyścić po powrocie do domu - zbyła ją Tibbie. - Jak już otrzepiesz spódnice.

- Nigdy nie rozumiałam, po co się narażasz na dodatkową pracę i ryzyko tylko dlatego, żeby skrócić drogę - powiedziała Mairi, drobiąc szybko, żeby nadażyć za wyciągniętym krokiem Tibbie.

- Nie chodzi o skrót. Po prostu lubię chodzić przez pastwisko. Chodzenie drogą jest strasznie nudne.

- A to niby nie? - zawodziła Mairi, rozglądając się i nie znajdując nic godnego uwagi. Siostra w tym czasie znacznie ją

wyprzedziła, więc, chcąc nie chcąc, Mairi zadarła spódnice i pobiegła, żeby się z nią zrównać. - Gdzie się tak spieszymy, Tib? Widziałaś Młota?

- Nie przypominam sobie.
- No to dlaczego tak pędzimy?
- Noga za nogą też byłoby dla ciebie za szybko.

Przypadkowy obserwator nigdy nie wzięłyby tych dwóch dziewcząt za siostry. Tibbie, dziedzicząca wygląd zewnętrzny po szkockich przodkach ojca, była blondynką o drobnej budowie ciała, natomiast Mairi miała ciemniejszą karnację i mocniejszą posturę po rodzinie matki. Jedyne oczy miały podobne, choć nie do końca, bo przy ciemnych, nasyconych tęczęwkach Mairi, oczy Tibbie wydawały się znacznie jaśniejsze. Mairi często droczyła się z siostrą, mówiąc, że mają barwę cukierków toffi. Ta nie pozostawała dłużna, odpowiadając, że oczy Mairi są koloru zastygłej melasy.

Mairi nie potrafiła wprawdzie sama dostrzec różnicy w kolorze między zastygłą a niezastygłą melasą, lecz Tibbie zapewniła ją, że taka różnica istnieje, i stwierdziła to z taką stanowczością, że siostra była skłonna jej uwierzyć.

Rozpościerające się przed nimi pastwisko opadało łagodnym zboczem. Szarozielona trawa, jeszcze z zeszłego lata, spłowiwała od deszczu i wilgotna, ścieliła się po polu jak okiem sięgnąć. Tibbie odetchnęła pełną piersią.

- Czujesz ten zapach, Mairi?! - wykrzyknęła. - Jakie wszystko jest cudownie świeże. Uwielbiam zapach powietrza po deszczu.

Mairi pociągnęła nosem.

- Czuję tylko mokrą trawę i krowie placki.

Tibbie już miała zrobić siostrze wykład na temat czarnowidztwa, gdy nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Poruszyło się coś czerwonego.

- Młot nas zobaczył! - krzyknęła, popychając Mairi. - Uciekaj!

Rzuciły się przed siebie dzikim pędem. Dopadłszy płotu, Tibbie jednym ruchem przerzuciła górą koszyk, po czym błys-

kawicznie obie przecisnęły się między żerdziami na drugą stronę. Przez moment Tibbie obawiała się, że Młot przesadzi ogrodzenie, ale zatrzymał się w miejscu, parszkając i groźnie potrząsając łbem. Zdyszane i przerażone, przez chwilę stały nieruchomo, głośno chwytając oddech.

- Oho! - odezwała się nagle Mairi. — Nadchodzą kłopoty.

Rzeczywiście nadchodzący w osobie pana Harkingtona, wściekłego jak szerszeń, zmierzającego w ich stronę tak szybko, jakby ktoś przypalał mu pięty. Gdy wreszcie stanął przed nimi, jego łysa głowa miała płomiennoczerwony odcień, a twarz wyrażała najwyższe wzburzenie.

- Mówiłem wam nieraz, żebyście się trzymały z dala od mojej własności! I co widzę? Znowu wy! - wrzasnął, grożąc długim kościstym palcem z taką mocą, że Tibbie aż się cofnęła.

- Nie zrobiłyśmy nic złego.

- Nie odpowiadaj mi, pannico! Zostawiłyście błotniste ślady na moim polu i rozwścieczyłyście mojego byka. Chyba wystarczy.

- Pański byk zawsze jest wściekły, panie Harkington, dobrze pan o tym wie. A co do śladów na polu, to pan i pański byk zdeptaliście je znacznie gorzej niż ja i moja siostra.

- Dosyć was ostrzegałem. Idę porozmawiać o tym z waszym ojcem... a jak będzie trzeba, to i z szeryfem.

- Szeryfowi nie bardzo się będzie chciało otwierać usta w pańskiej sprawie - odparła Tibbie, odpowiednio akcentując słowo „usta”. Złość nie pozwoliła jej zwrócić uwagi na ostrzegawcze syknienie Mairi.

Twarcz pana Harkingtona przybrała głęboki odcień purpury.

- Akurat tobie przystoi grzebać w przeszłości, pustogłowa mała ladacznico!

Pan Harkington przypominał swego rozjuszonego byka.

- Wolę mieć pustą głowę niż zakuty czerep... i przynajmniej nie muszę hodować włosów długich na stopę, żeby zakrywać łysinę. A co do reszty...

Mairi kurczowo ścisnęła siostrę za ramię.

- Tibbie... proszę cię...

Tibbie niecznie wykorzystała fakt, że pan Harkington był bardzo wrażliwy na punkcie swojej łysiny, a kiedy biedak zaniemówił, dławiąc się ze złości, próbowała opanować własne wzburzenie.

- Chciałabym powiedzieć, że żal mi pana, panie Harkington, bo jest pan najbardziej żalosalną istotą, jaką znam, ale potrafię współczuć jedynie osobom, które nie mają wpływu na swój ciężki los, podczas gdy pan znajduje przyjemność w uprzykrzaniu życia sobie i innym. Żyje pan tu na uboczu ze swoimi złymi humorami i gromadą złośliwych zwierzaków, i proszę, co się dzieje. Któregoś dnia będzie pan potrzebował tych ludzi, których pan tak podle traktował, i co pan wtedy zrobi? Co będzie, jeśli następna wichura zdmuchnie pana dom i obejście, tak jak się ostatnio przytrafiło Ramseyom? Zdoła pan wszystko odbudować z pomocą psa, kur i tego wściekłego byka? Co pan robi, jeśli następna epidemia żółtej febry albo ospy zwali pana z nóg? Przyśle pan konia po mojego ojca? A co będzie, kiedy pan umrze, panie Harkington, jako że z pewnością to pana nie minie? Myśli pan, że ten czerwony byk złoży pana do grobu? Czy raczej będzie spokojnie żuł trawę, zostawiając pana na pastwę drapieżnego ptactwa?

- Jeszcze raz wejdziecie na mój teren, a użyję strzelby - przerwał jej, już mniej pewnym tonem. Odwrócił się i klepnął byka po łopatce. - No już... Wynocha! - Odszedł, mamrocząc pod nosem, że dawno powinien był ją zastrzelić.

Siostry wymieniły pełne ulgi spojrzenia.

- On jest gotów to zrobić - ostrzegła Maui. -. Zapamiętaj moje słowa. Któregoś dnia doprowadzisz go do ostateczności i zastrzeli cię z tej swojej strzelby.

- Ta stara pukawka jest tak zardzewiała, że nie ma cudów, aby wystrzeliła.

- Zawsze może jej użyć jako maczugi.

Zgodnie ruszyły w stronę domu, tym razem przez własne pastwisko.

- Zrobiłam to po raz ostatni - oświadczyła Mairi.

- Zawsze tak mówisz.

- Tym razem poważnie. Stanowczo odmawiam... - Mairi zadarała głowę ku niebu. - ...Boże, odbierz mi słuch i mowę, jeśli jeszcze kiedykolwiek wetknę choćby mały palec za płot pana Harkingtona.

- Chodź.

Mairi posłusznie ruszyła za siostrą i dopiero po chwili zorientowała się, że wcale nie idą prosto do domu.

- Straciłaś poczucie kierunku?! - zawołała. - Nasz dom jest tam. - Machnęła ręką we właściwą stronę.

- Musimy najpierw coś załatwić.

Mairi przyspieszyła kroku, żeby zrównać się z Tibbie. Kiedy doszły do następnego płotu, stanęła jak wryta.

- Czyś ty rozum postradała? Przecież to jego ziemia.

- Wiem.

- Moja noga tam nie postanie.

- Boisz się paru świń?

- Boję się wszystkiego, co należy do tego człowieka. - Mairi przyjrzała się trzodzie widocznej przez ogrodzenie. Liczyła około trzydziestu sztuk. Odwróciwszy się, zobaczyła, że siostra zrywa liście bielunia.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

Tibbie podeszła z naręczem zielska do płotu i przerzuciła je na drugą stronę. Świnie podbiegły, kwicząc, i rzuciły się na jedzenie.

- Mój Boże! Przecież to je zabije.

- Nie dałam im tak dużo. Grozi im najwyżej ból brzucha.

- O Boże, lepiej się stąd wynośmy.

Tym razem Tibbie przyznała siostrze rację i wycofały się zgodnie, wkrótce docierając do miejsca, gdzie wcześniej spotkały pana Harkingtona. Tibbie spojrzała wzdłuż płotu i zobaczyła ich krowę rasy Jersey, która wcisnęła łeb między poprzeczki, próbując dosięgnąć trawy po drugiej stronie.

- No nie! - jęknęła Tibbie. - Co za uparte bydło!

Mairi przystanąła, patrząc ze zdumieniem na młodszą siostrę. Nim zdążyła spytać, o co chodzi, ta zwróciła się do niej:

- Zabierz ten koszyk do domu. Powiedz mamie, że zaraz przyjdę. - Wręczyła siostrze koszyk pełen suszonych owoców.

- Co w nim jest?

- Powiedz mamie, że pani Pickney przysłała te owoce w podziękę za to wszystko, co tata i ja zrobiliśmy dla Horace'a, kiedy złamał nogę. Ma zatrzymać koszyk i serwetę także.

- A dokąd ty idziesz, Tib? - zdziwiła się Mairi.

- Berta znów wsadziła łeb między poprzeczki.

Mairi spojrzała w kierunku wskazanym przez siostrę.

- Głupia krowa! Powinnaś ją tak zostawić. Może to by ją wreszcie nauczyło.

Tibbie odrzuciła warkocz na plecy.

- To dobra mleczna krowa, nie można jej tak zostawić. Jeśli się za bardzo zdenerwuje, przestanie dawać mleko. Będę musiała jej pomóc... chyba że ty wolisz to zrobić.

Mairi poprawiała koszyk na ramieniu.

- Zawsze lepiej ode mnie radziłaś sobie ze zwierzętami. - Owinęła się szczelniej szalem. - Tylko się pospiesz, słyszysz? Wiesz, jak mama lubi, żebyśmy były na czas.

- Przyzwyczała się do spóźnień taty i moich - uspokoiła siostrę Tibbie.

- Wcale się nie przyzwyczała - sprostowała Mairi z naciskiem. - Po prostuje toleruje. - Ruszyła przez pastwisko. - Jedno wiem na pewno - rzuciła przez ramię. - Nigdy nie wyjdę za lekarza.

- Są gorsze zawody, a ten daje nam utrzymanie. Poza tym tata bardzo go lubi.

- Ty i tata bardzo go lubicie.

Najgorszy zimowy chłód wyraźnie już minął, a tego dnia było wręcz niezwykle ciepło jak na luty. W swawolnym nastroju, w jakim zapewne musiała być Berta, kiedy wtykała łeb między żerdzie płotu, Tibbie patrzyła, jak siostra znika za niewielkim wzniesieniem, a potem odchyliła głowę do tyłu, żeby się rozkoszować dotykiem słońca na twarzy. Na koniec kilka razy okręciła się w miejscu, trzymając w rozpostartych rękach końce szala. Wyrzuciwszy z pamięci niemiłe spotkanie z panem Har-

kingtonem, zaśmiała się w radosnym uniesieniu. Jeszcze tylko miesiąc, pomyślała, i wszędzie widać będzie oznaki wiosny.

Wiosna.

Jej ulubiona pora roku, kiedy cała ziemia promieniuje energią budzącej się natury. Wiosna. Zanim upał i dokuczliwe owady każą człowiekowi chować się w domu. Znow zawirowała, obracając się coraz szybciej, aż zakręciło jej się w głowie i upadła na miękką, suchą nadmorską trawę. Urwała cienkie źdźbło i już miała je włożyć do ust, kiedy jej oczom ukazała się nadjeżdżająca drogą postać na koniu. To był mężczyzna, ale znajdował się zbyt daleko, by mogła rozpoznać twarz. Kimkolwiek był, zatrzymał konia i najwyraźniej patrzył w jej stronę. Odrzuciła zerwane źdźbło, wygładziła spódnicę i podniosła się z ziemi. Czyżby go nie uczono, że nieładnie jest się gapić?

Odwróciła się do niego plecami, stojąc na porośniętym morską trawą pagórku, który kiedyś był piaszczystą wydumą, dawno temu, gdy podczas huraganu wody zatoki wdarły się w głąb lądu. Teraz jednak nie było wiatru, a spokojna płaszczyna wody lśniła w słońcu, mieniąc się niczym potłuczone szkło. Poniżej trawiastego zbocza, za słonym stawem, zaczynała się Zatoka Matagorda, a za nią już Zatoka Meksykańska. Dalej w głąb lądu ciągnęły się błotniste równiny, bagna i pasy zarośli, rozdzielające płytkie rozlewiska.

Lubiła tu przychodzić; często przynosiła koc i leżąc na trawie całymi godzinami, spoglądała na zatokę, zastanawiając się, jak wygląda świat tam po drugiej stronie. Ojciec opowiadał jej o wielu miejscach, a Tibbie mogła je sobie jedynie wyobrazać, ponieważ nigdy nie była dalej na wschód niż Nowy Orlean, na północ niż San Antonio i na zachód niż Corpus Christi.

Nagle przypomniała sobie o nieszczęsnej Bercie uwięzionej między poprzeczkami płotu. Ruszając krowie na odsiecz, oberzała się przez ramię, ale jeźdźca już nie było.

Skupiona na swojej misji, skierowała się ku kępie dębów o konarach zniekształconych wiatrem i słoną mżawką ciągnącą często znad morza. Swoim nadejściem spłoszyła małego strzy-

żyka, który przysiadł na powykęcany drzewie niedaleko miejsca, gdzie cierpliwie czekała Berta.

Słodka Berta, z mokrym nosem i ufnyimi brązowymi oczami, wiecznie pakująca się w kłopoty. Nie pierwszy raz jej się to bowiem zdarzało. Nigdy nie była zadowolona z tego, co ma. Kiedy była na pastwisku, zachciewało jej się trawy zza płotu. Gdy była w oborze, chciała być w zagrodzie. Będąc w zagrodzie, spoglądała tęsknie na zielone połacie pastwiska. Podobnie było z dojeniem. Jeśli Tibbie się z tym spóźniała, Berta „poruszała niebo i ziemię”, jak mawiał tata. A kiedy ją dojono, trzeba było uważać, żeby kopnięciem nie wyrzuciła wiadra. Ta krowa po prostu nigdy nie była w pełni zadowolona... jak niektórzy znani Tibbie ludzie.

Idąc wzdłuż płotu, Tibbie przemieszczała się równolegle do drogi. Dotarłszy do miejsca, gdzie ogrodzenie ostro zakrecało, poszła na przełaj, okrążając zarośnięty staw. Kilkadziesiąt metrów dalej inny płot dzielił pastwisko na dwie części. Tibbie musiała go pokonać, żeby się dostać do Berty.

Słyszając za sobą głośne buczenie, odwróciła się i ujrzała parę kuraków odbywających ceremonię godową, jak zawsze w lutym. Widok był zaiste niezwykły. Skradając się, Tibbie podeszła całkiem blisko, jako że ptaki, całkowicie pochłonięte odprawianiem rytuału, w ogóle jej nie zauważyły. Przedstawienie wydało jej się tak zabawne, że przycisnęła ręce do ust, by powstrzymać śmiech, co wcale nie było łatwe. Samiec nadymał wielkie pomarańczowe wola po obu stronach szyi i kroczył przed kurą, kiwając głową w górę i w dół, żeby zwrócić jej uwagę. Przez cały czas trwania tego komicznego pokazu wydawał z siebie głośny, buczący dźwięk.

Berta zaczęła się niecierpliwic i szarpać uwiezionym łbem. Słyszając jej dzwonek, Tibbie porzuciła ptaki i pośpieszyła na ratunek. Zbliżywszy się do krowy, zwolniła, żeby jej nie przestraszyć. W odległości kilku metrów od nieszczęsnego zwierzęcia uniosła spódnicę i precisnęła się między poprzeczkami płotu, żeby być po tej samej stronie co łeb Berty.

- Do licha! - zaklęła, czując szarpnięcie, a zaraz po nim ostry ból w czaszce. Pociągnęła za włosy, ale zaczęły się mocno i nie wyglądało na to, żeby się łatwo dały odzepić. - Do licha ciężkiego. - Przesunęła palcami wzdłuż deski i wyczuła stary zardzewiały gwóźdź.

Tkwiła w pułapce, tak samo jak Berta.

Udało jej się przemieścić tak, że stała obiema stopami po tej samej stronie, ale żeby nie wyrwać sobie włosów, musiała trzymać głowę opuszczoną, co nie byłoby takie znowu straszne, gdyby nie fakt, że kiedy głowa jest w dole, inna część ciała sterczy wypięta do góry.

Tak właśnie było, kiedy stanął za nią Nicholas Mackinnon i spytał:

- Czy to ma być zachęta?

Tibbie podskoczyła jak oparzona, szarpiąc zaczepionymi o gwóźdź włosami, co dało jej niezłe pojęcie o tym, jak się czuje skalpowana ofiara. Kiedy próbowała przesunąć głowę, żeby zmniejszyć ból, uderzyła potylicą w drewnianą poprzeczkę, która głośno trzasnęła.

- Nie ma końca atrakcjom w pani życiu, co?

Brzmienie tego głosu wydało jej się dziwnie znajome. Ostrożnie przechyliła głowę w nadziei, że uda jej się zerknąć na bezczelnego wesołka. Nick podszedł bliżej i przykucnął, tak że jego twarz znajdowała się tuż przy jej twarzy. Rozpoznała go natychmiast.

- Czego pan chce? - spytała zimno.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu. Tibbie nigdy nie uważała się za osobę nieśmiałą, ale w tym momencie straciła całą pewność siebie. Brakowało jej tchu, zaschło w gardle. Na oślep wymacała gwóźdź i próbowała odpłatać włosy z coraz większą zaciętością, lecz bez pożądanego skutku. Wręcz przeciwnie, warkocz rozplótł się i rozwiane wiatrem włosy jeszcze bardziej się zaplątały. Na widok jej tyleż rozpaczliwych co bezowocnych wysiłków przystojna twarz Nicka rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- Wygląda na to, że złapała się pani na dobre - stwierdził.

Przynajmniej mi nie uciekniesz, dodał w duchu. Nie masz wyboru, skarbie. Będziesz musiała ze mną porozmawiać. Przeniósł wzrok na jej kształtne siedzenie, uniesione wysoko w górę. Do licha, ależ miał ochotę ją poklepać. Co za okazja!

- Może by się pan zajął swoimi sprawami, zamiast mnie prześladować? Nie widzi pan, że jestem zajęta?

Zaśmiał się głośno.

- Ależ widzę, że jest pani zajęta. Widzę też, że będzie pani tak zajęta przez resztę dnia. Nie uda się pani rozplatać tych włosów. Będzie trzeba je obciąć.

- Jeśli będę chciała pańskiej rady, to o nią poproszę.

- Ma pani szczęście, że jestem bardzo cierpliwy... i chętnie zaczekam, aż pani to zrobi.

- Jeśli chodzi o pana, to wcale nie mam szczęścia. Jest pan okropnie dokuczliwy. Bardziej od gza. - Próbowała zmienić pozycję, bo ścierpła jej szyja, - Może pan sobie czekać do końca świata. Nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Chyba wyraziłam się jasno.

- Och, wyraziła się pani wystarczająco jasno. Aż nazbyt jasno. Według mnie, nawet przesadnie jasno. Zastanawiam się dlaczego. - Podniósł rękę i wierzchem dłoni leciutko pogładził ją po policzku. - Taka delikatna na zewnątrz i taka twarda w środku.

Tibbie patrzyła na niego z bliska i czuła, że wszystko w niej drży, niczym wrzątek w szczelnie nakrytym garnku. Dawno zapomniane uczucie podniecenia przyspieszało jej oddech. Przyszło jej na myśl, że mężczyzna przykucnięty obok niej, barczysty, muskularny, przypomina wielkiego drapieznika, osaczającego schwytaną w pułapkę ofiarę. Przebiegł ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodem, kiedy dotknął skóry za jej uchem, a potem przeciągnął palcami po luźnym kosmyku włosów.

- Takie wspaniałe włosy... Szkoda obcinać coś tak pięknego.

Oddech uwiązał Tibbie w gardle, kiedy jednym palcem przypadkiem musnął jej pierś, wzbudzając żar poprzez wełnianą tkaninę

sukienki. Odruchowo chciała się uchylić i aż syknęła, bo ból przeszył jej czaszkę. Nie cofnął dłoni, dalej przesuwając ją po jej włosach aż do miejsca, gdzie tkwiły zaplątane o gwóźdź. Próbowano się od niego odsunąć, ale drągi ogrodzenia za plecami nie dawały jej możliwości ruchu.

- Proszę się łaskawie stąd oddalić.

- Dlaczego? Czyżbym pani przeszkadzała?

- Pana obecność jest niepożądana. Nie potrzebuję pańskiego towarzystwa.

- Mój Boże! Więc jestem aż takim utrapieniem. - Przechyliwszy głowę na bok, przyjrzał jej się uważnie. - To już wszystko?

- Nie. Pańskie zachowanie jest wysoce nieodpowiednie.

- Doprawdy? W jaki sposób?

- Zbyt wiele pan sobie pozwala.

Sprawił wrażenie zdumionego.

- Ja? - Uśmiechnął się szeroko. - Na co sobie pozwalam?

- Dżentelmen nie dotyka damy.

- Rozumiem. W takim razie, proszę mi powiedzieć, jak mam panią wyplatać bez dotykania, a zaraz się do tego zabiorę.

- Niczego pan nie będzie robił. Już mówiłam, nie potrzebuję pańskiej pomocy.

- Bardzo pani zadziorna. Z takim podejściem może pani spędzić noc na tym pastwisku. Na pani miejscu spróbowałbym być trochę pokorniejszy.

- Pokorne kobiety wzbudzają we mnie mdłości!

Wybuchnął śmiechem.

- Pawica o dumnym charakterze pawia. Niech mnie licho, jeśli to do pani nie pasuje. Jest pani jedną wielką sprzecznością... Doskonały wizerunek kobiecości. Idealna kobieta o miłym, skromnym usposobieniu, a w środku nieustraszona dusza.

- Ma pan zamiar stać tu przez cały dzień i nudzić mnie swoimi trywialnymi uwagami?

- Jeśli nadal będzie pani odrzucać moją ofertę pomocy...

Zacęła się szarpać, próbując za wszelką cenę uwolnić włosy.

Kiedy drzazga wbiła jej się w dłoń, tylko syknęła, ani na chwilę nie przerywając walki... dopóki nie chwycił jej za rękę.

- Tylko pani pogarsza sprawę. - Ostrożnie wyciągnął drzazgę. - Nie mogę patrzeć, kiedy coś tak pięknego ponosi uszczerbek.

Cofnęła rękę ze złością.

- No to niech pan sobie idzie.

- Czy uprzejmość panią boli? Nie mogę sobie przypomnieć, bym czymś zasłużył na takie traktowanie. Ilekroć nasze drogi się krzyżowały, moje zachowanie było, mam nadzieję, co najmniej poprawne. Próbowiałem miłej pogawędki, która pani nie odpowiadała, zaproszenia, które pani odrzuciła. Zagadywałem panią, ale pani udawała, że nie słyszy. Kłaniałem się, ale pani udawała, że nie widzi. Ja przynajmniej uczciwie przyznaję, że mi się pani podoba.

- Też coś! Ukąszenie przez pszczołę też można nazwać uczciwym, ale i tak boli.

- Nawet teraz - mówił dalej - zaproponowałem pani pomoc, którą pani natychmiast odrzuciła. Proszę mi powiedzieć, co trzeba zrobić, żeby się do pani zbliżyć?

- A nie przyszło panu do głowy, że mogę nie chcieć, żeby pan się do mnie zbliżał? Że wolę, by mnie zostawiono w spokoju? Że mogę nie lubić nagabywania przez pana czy jakiegokolwiek innego mężczyznę?

Próbowała zmienić pozycję, zmęczona dokuczliwym bólem w krzyżu, ale znów uderzyła się w głowę. Na ogół trudno ją było wyprowadzić z równowagi, lecz teraz ledwie panowała nad irytacją. Kobieta nie powinna być narażona na takie rzeczy.

- Kiedy wreszcie do pana dotrze, że nie mam ochoty się z panem zaprzyjaźnić ani nawet pana poznać.

- Co pani ma przeciw mężczyznom?

Zawrzała gniewem.

- Nie mam nic przeciwko mężczyznom jako takim, a tylko niektórym z nich... przede wszystkim rozpustnikom o nieuczciwych zamiarach. Widywałam już takich jak pan. Ciągłe przyjeżdżają do miasta. Naprawdę pan wierzy, że jest pierwszym, który

mnie czaruje uśmiechami i prawi pochlebstwa? Nie dam się nabrać na takie plewy, jak jakaś głupia dziewczyna. Nie wskakuję mężczyźnie do rąk ani do łóżka, tylko dlatego, że zwrócił na mnie uwagę. Może pan mieć złote usta i najpiękniejsze niebieskie oczy, ale w środku chowa pan mroczne serce i nieczne zamiary.

Nick odpowiedział pełnym uznania uśmiechem. Ta dziewczyna miała więcej wigoru od wyścigowego konia, dość wytrwałości, żeby wydrążyć litą skałę, nie mówiąc już o języku, tnącym ostrzej od skórzanego bicia. Była przy tym niesamowicie uparta i bez wątpienia najbardziej elokwentna ze wszystkich znanych mu kobiet. Już miał spełnić jej życzenie, zostawiając ją na pastwę losu, gdy nagle sobie przypomniał coś, co powiedziała, a raczej co jej się bezwiednie wymknęło.

Najpiękniejsze niebieskie oczy.

Tymi słowami przypieczętowała swój los. Zatem nie był jej aż tak wstrętny, jak to próbowała okazać. Nie potrzebował lepszej zachęty.

Ona była po prostu inna. Nie poświęcała uwagi mężczyźnie, któremu nie ufała.

- A gdybym dał słowo, że chcę z panią tylko porozmawiać...
- Pańskie słowo jest dla mnie warte tyle co worek piasku.
- Mógłbym pani przypomnieć, że nie jest tu panią sytuacji.

Nie zrobiłem pani nic złego, choć przecież mógłbym.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Miał rację i ona o tym wiedziała.

- Zawrę z panią układ - zaproponował.
- Żadnych układów - ucięła ostro.
- Wygrała pani. - Podniósł się z westchnieniem.

Przesunęła się na tyle, na ile mogła, żeby widzieć jego poczynania. Był zdecydowanie przystojny. Kiedyś bez wątpienia przyciągnąłby jej uwagę, ale teraz była mądrzejsza.

Wiedziała, że u mężczyzny nie wystarczą oczy błękitne jak czyste niebo ani ciało gibkie niczym woda opływająca skały. Był przystojny, owszem. Nie miał urody greckiego boga, lecz bardziej surową, męską powierzchowność. Była pod urokiem

jego... nie, nie wdzięku, bo ten trudno mu było przypisać. To, co ją w nim pociągało, było raczej siłą połączoną z łagodnością. Nazwał ją kobietą pełną sprzeczności. To samo można było powiedzieć o nim. Męska siła i łagodność rzadko chodzą w parze. Tak czy inaczej ten niebieskooki brutal był uosobieniem męskości.

Niech go diabli! Co on wyprawiał?

Odchodził! Złość w niej kipiała, doprowadzając ją na skraj wybuchu. Jak on śmie mnie tak zostawić, zzymała się w duchu. Przecież mogą upłynąć długie godziny, nim ta roztrzepana Mairi sobie przypomni, że w ogóle ma siostrę, a co dopiero wpadnie na pomysł, żeby mnie szukać. A kręgosłup mi się łamie... Nogi mi zdrtwiały... Czaszka mi pęka... Boli mnie głowa...

Doprowadzona do ostateczności, chwyciła się za włosy i zaczęła ciągnąć z całej siły. Wiatr od wody rozwiewał długie rozpuszczone pasma, zaczepiając kolejne kosmyki o wystające z płotu drzazgi. Żałowała, że nie ma przy sobie nożyczek.

Obejrzała się za odprawionym natrętem. Był już w pewnej odległości, z rękami w kieszeniach; pogwizdując jakąś melodię, zmierzał w stronę pasącego się nieopodal konia. Ten podły drań naprawdę ją opuszczał. I dobrze, pomyślała za złością. Prędzej tu szczenę, niż go poproszę o pomoc.

Bliska łez, zamknęła oczy, skrzyżowała ramiona na poprzeczce płotu i oparła na nich głowę. Zerknęła na niego ukradkiem, nie do końca wierząc, że odejdzie, zostawiając ją w tak żalnym położeniu. Resztki nadziei przysły, kiedy zobaczyła, jak wsiada na konia.

Wolałaby trafić do kotła z wrzącą oliwą, niż go zawołać. Nie miała w zwyczaju spoufalać się z byle kim, a przyznanie się do błędu było dla niej prawdziwą torturą. Jednakże plecy bolały ją niemiłosiernie, a na inną pomoc raczej nie mogła liczyć. Kolejne spojrzenie nie pozostawiło złudzeń - odjeżdżał. Postanowiła chwilowo zapomnieć o zranionej dumie.

- Proszę zaczekać! - zawołała. I jakby nie dość jej było upokorzenia, musiała dodać: - Nie może mnie pan tak zostawić!

Zatrzymał się, odwrócił w siodle i patrzył na nią, jakby czekał na jej dalsze słowa. Zaciśnęła zęby. I tak powiedziała już za dużo.

Głupia! Nie mogła uwierzyć, że tak łatwo się podda. Ty bekso, przeklinała się w duchu. Ty niedorajdo! Wzywać na pomoc takiego typa! Dobrze ci tak! Gdyby mogła, chętnie by się kopnęła. Nagle zobaczyła, jak męczyzna wzrusza ramionami, odwraca się i spina konia piętami.

- Niech pan zaczeka! - krzyknęła piskliwie. - Proszę!

Niemal słyszała jego westchnienie, kiedy zawróciwszy konia, zbliżał się do niej. Nie obchodziło jej jednak, co ten człowiek może czuć lub myśleć, bo nie mogła sobie poradzić z własnymi odczuciami. Z jednej strony cieszyła się, że wkrótce odzyska swobodę ruchów, z drugiej doskwierało jej upokorzenie, że postawił na swoim. Pewnym pocieszeniem była myśl, że kiedyś będzie jeszcze miała okazję, żeby się na nim odegrać. Chociaż patrząc z bliska, musiała przyznać, że nie wyglądał na człowieka, który by się komukolwiek pozwolił na sobie odgrywać. Nie wyglądał też na kogoś, kto się łatwo poddaje. Coś jej podpowiadało, że wzywając go z powrotem, wprowadza zamęt do swego dotychczas spokojnego życia.

- Wołała mnie pani?

Jego kpiący ton bynajmniej nie poprawił jej humoru. Miała ochotę powiedzieć mu prosto w beczelnie uśmiechnięte oczy, żeby się wynosił do diabła.

Nicholas siedział na koniu i obserwował pasjonujące zmagania dumy z rozpaczą, malujące się wyraźnie na jej ślicznej twarzy. Wcale nie lubił być brutalny, ale też nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Wiedział, czym grozi ustępstwo wobec kobiety o takim charakterze. Więc kiedy nie odpowiedziała, ponownie udał, że zamierza odjechać.

Wysoka, sztywna stójka sukienki wpijała jej się w szyję, skóra na głowie nieznośnie bolała, dłonie piekły od zadrapań, nogi były jak z waty, a do tego kark i plecy zeszywniały w niewygodnej pozycji. Uznała, że w pewnych sytuacjach duma nie jest najważniejsza.

- Tak! - wrzasnęła z całych sił. - Tak, wołałam, a pan dobrze słyszał!

Z trudem się opanował, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Dobry Boże, nie pozwól mi się roześmiać, modlił się w duchu. Ona ma w sobie więcej dumy niż paw... Jeden nieopatrzny grymas i cofniesz się o całe tygodnie, Mackinnon. Lepiej, żebyś o tym pamiętał.

Zmusił się do zachowania powagi, bo za wiele miał do stracenia. Podjechał bliżej i zsiadł z konia. Przez zasłonę splecionych włosów widziała tylko jego muskularne nogi... zbyt długie i zbyt dobrze umięśnione jak dla kobiety, która starała się zapomnieć o istnieniu mężczyzny.

Na próżno. Uczucia, które próbowała w sobie tłumić, kobiece pragnienia i tęsknoty za mężczyzną, żyły ukryte głęboko w niej, tak samo silne i niepokojące jak przed pięciu laty, mimo surowej dyscypliny, jaką sobie narzuciła. Przez ostatnie pięć lat walczyła, żeby sobie udowodnić, że nie potrzebuje mężczyzny... nie potrzebuje i nie chce.

Ale się myliła.

Dlaczego Bóg uznał za stosowne poddać ją kolejnej pokusie, dlaczego rzucał następny kamień na ścieżkę jej życia, kiedy ledwie uporała się z poprzednim? I dlaczego ta pokusa wyglądała tak nieodparcie pociągająco? Szczerze żałowała, iż nie zostawiła Berty na pastwę losu. W głębi serca wiedziała jednak doskonale, że nie może winić biednej, pocziwej krowy.

Bo to nie Berta stanowiła problem.

Problem tkwił w niej samej.

- Rozumiem, że postanowiła pani przyjąć moją pomoc?

Z trudem wykręciła zdętwiałą szyję, żeby na niego spojrzeć. Stał przed nią, gotów do pomocy, ale jego twarz miała jakiś dziwny, jakby kpiący wyraz. Cóż, zważywszy na sytuację, Tibbie niewiele mogła zrobić dla ocalenia resztek boleśnie nadwerżonej dumy. Nie była w stanie unieść podbródka, a ponieważ włosy zasłaniały jej twarz, nawet wyniosła mina nie na wiele by się zdała.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, proponował mi pan swoją pomoc. Przyjmuję propozycję. Nie widzę powodu, by dalej roztrząsać tę sprawę.

- Jestem do pani usług - zapewnił - gdy tylko zawrzemy pewien mały układ.

- Układ? - powtórzyła, zła na siebie za drzenie w głosie. - Jaki układ?

- Ponieważ moje słowo nie jest dla pani warte worka piasku, zadowolę się pani słowem. Chcę, żeby mi pani coś obiecała.

- Co mianowicie?

- Że poświęci mi pani dwie godziny z każdego tygodnia.

- Po co?

- Na to, czego sobie zażyczę. - Zachichotał, usłyszawszy gniewne sapnięcie. - Oczywiście w granicach zachowania uznawanego za normalne pomiędzy mężczyzną i kobietą.

- To określenie ma luki tak wielkie, że może przejechać przez nie wóz z sianem - odrzekła szybko.

- Możliwe, ale nie ma możliwości negocjacji. Może się pani zgodzić albo spędzić noc na pastwisku. Co pani wybiera?

- Przez ile tygodni?

- Tyle, ile zechcę.

To mogło oznaczać nieskończoność, ale przecież była w stanie tak obrzydzić mu wspólnie spędzane godziny, żeby po tygodniu zrezygnować z umowy.

Zastanowiła się przez chwilę. Nie było trzeciego wyjścia. Albo przyjmowała propozycję, albo ją odrzucała. Innymi słowy, albo za chwilę będzie mogła się wyprostować, albo pęknie jej kręgosłup. Ale jakże trudno było wydusić z siebie te słowa.

- Zgadza się pani na moje warunki?

- Chyba tak - szepnęła.

- Proszę mówić głośniej, bo nie słyszę.

- Chyba tak!

- To niezbyt precyzyjna odpowiedź.

- Tylko taką pan dostanie. Pomoże mi pan wreszcie czy nie?

- Mógłbym.

- Mógłby pan? Co to za odpowiedź?
 - Mniej więcej taka sama, jak pani: „Chyba tak”.
 - No dobrze - powiedziała z rezygnacją.
 - Co dobrze?
 - Dobrze! Zgadzam się na pańskie warunki.
 - Dwie godziny co tydzień tak długo, jak będę chciał?
- Pokiwała głową.
- Akceptuję jedynie pisemne albo ustne umowy. Gesty nie wchodzi w rachubę.

Pomyślała o tym jednym gościu, na jaki miałyby ochotę.

- Tak.
- Świetnie - ucieszył się. - Myślę, że pani nie pożałuje.
- Też coś! Już żałuję.

Roześmiał się, stając tuż za nią, tak że jego twarde uda dotykały jej pośladków.

- Musi pan tam stać? - obruszyła się.
- A gdzie mam stać, jak nie na ziemi?
- Wie pan, o co mi chodzi.
- Nie, nie muszę tu stać... chyba że pani chce, żebym odczepił jej włosy.

Skrzywiła się, kiedy napał mocniej, ale już nic nie mówiła. Przez dłuższy czas pracował w milczeniu. Zaczynała się zastanawiać, czy szykuje jakiś postęp, gdy nagle się odezwał:

- Będę musiał obciąć trochę włosów.
- Może mi pan ogolić głowę, nie dbam o to. Byle mnie pan uwolnił.

- Włosy są koroną kobiecej urody. Zaczyna, chodząca do kościoła dziewczyna powinna o tym wiedzieć.

- Nie obchodzi mnie żadna korona.
- Z tego, co widzę, w ogóle niewiele panią obchodzi. Nie obchodzi pani nawiązywanie nowych znajomości. Nie obchodzą pani mężczyźni. Nie jest pani nawet zainteresowana odrobiną miłej rozmowy. Proszę mi powiedzieć, na czym pani zależy.

- Zależy mi na tym, żeby się uwolnić od tego przeklętego

płotu i znaleźć jak najdalej od pana. Jeszcze pan nie skończył? Mam wrażenie, że wyrósł mi garb na plecach.

- Prawie skończyłem - zapewnił, sięgając do kieszeni po nóż. Zadrżała, kiedy rozległ się szelest ostrza o włosy, a potem poczuła lekkie szarpnięcie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała po wszystkim.

- Już - powiedział, mrugając porozumiewawczo. - Proszę wstać. Jest pani wreszcie wolna.

Powoli, przyciskając dłoń do krzyża, Tibbie rozprostowała plecy. Nadal trzymał w rękach końce jej włosów.

- Co ma pan zamiar teraz zrobić?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu; przypominał lisa siedzącego nad zajęczą norą.

- A co by pani chciała, żebym zrobił?

- Zniknął.

- Niech pani będzie miłsza, bo inaczej spędzimy tu całą noc.

- Na początek może pan puścić moje włosy- zauważyła, próbując się odsunąć. Ale trzymał mocno. A potem, nie mówiąc ani słowa, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, zaczął ją do siebie przyciągać, nawijając sobie jej włosy na rękę. Była już tak blisko, że czuła na policzku jego ciepły oddech, kiedy do niej dotarło, że powinna stawiać opór. Tak zaskoczył ją swoim zachowaniem, że kiedy wreszcie chciała zaprotestować, słowa uwięzły jej w gardle.

- Chce pani, żebym jej pomógł?

- W czym jeszcze miałyby mi pan pomagać?

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że pani obecność tutaj ma coś wspólnego z tamtą krową, uwięzioną między dragami ogrodzenia.

- Berta! - wykrzyknęła Tibbie, spoglądając na nieszczęsne zwierzę, które czekało cierpliwie, oganiając się ogonem, z łbem wciąż tkwiącym między poprzeczkami płotu. Tibbie czuła, że twarz jej płonie, sądząc po fali gorąca, jaka ją nagle oblała. Jak mogła zapomnieć o biednej Bercie? - Poradzę sobie, dziękuję.

- W takim razie domagam się jednej z moich obiecanych

godzin. - Patrzyła szeroko otwartymi oczyma, jak podnosi kosmyk jej włosów do ust i całuje. - To zbrodnia obcinać takie piękne włosy - powiedział, opuszczając je ostrożnie na jej ramię. - Ale przynajmniej mogę zatrzymać jeden pukiel. - Ujrzała w jego dłoni dość długie pasemko. Odruchowo podniosła rękę do głowy.

- Proszę się nie martwić - uspokoił ją, zwijając odcięty kosmyk i chowając do kieszeni na piersi. - I tak zostało pani więcej, niż przeciętna kobieta chciałaby mieć.

Sięgnął tym razem do kieszeni w spodniach, wyjął zegarek i otworzywszy kopertę, sprawdził czas.

- Jedną godzinę - powiedział, chowając zegarek z powrotem. Wziął ją pod łokieć i poprowadził wzdłuż płotu do miejsca, gdzie stała Berta, spoglądająca w ich stronę łagodnymi brązowymi ślepiami.

Kiedy Tibbie wyciągnęła ręce do krowy, chwycił ją za ramiona, niezbyt mocno, lecz zdecydowanie.

- Pozwoli pani, że ja się tym zajmę - powiedział, biorąc Bertę za rogi i przekrzywiając jej łeb na bok. Przepchnął pod poprzeczką najpierw jeden krowi róg, potem to samo zrobił z drugim... i krowa była wolna. Potrząsnąwszy łbem, odwróciła się i ruszyła truchtem przez pastwisko w kierunku obory. Pełne wymię kołysało się ciężko na boki, dzwonek brzęczał przy każdym kroku.

Nagle poderwał się wiatr, szeleszcząc w suchych trawach. Tibbie otuliła się szalem i uniosła głowę, żeby podmuchy odgarnęły jej włosy z twarzy. Ciekawa była, co teraz będzie.

- Zimno pani?

Zerknęła na niego podejrzliwie, ale nie dostrzegła cienia kpiny ani zaczepki. Po prostu zadał pytanie i oczekiwał szczerą odpowiedzi.

- Nie, właściwie nie. Ale temperatura spada i wiatr przybiera na sile.

- Czeka nas zimna, wietrzna pogoda - stwierdził, spoglądając na horyzont. - Może nawet będzie padać. - Znów wziął ją pod

ramię, a ona postanowiła się nie sprzeciwiać. Ostatecznie dała mu słowo... Jednak gdyby chciała być tak do końca uczciwa, musiałaby przyznać, że jest w tym człowieku coś pociągającego, co sprawia, że w jego towarzystwie czuje się swobodnie.

Był od niej starszy o kilka lat, ale nie za stary. I, jak odkryła, lubił się droczyć. Jednak miał w sobie szczerłość i uczciwość, które nieczęsto spotykała u mężczyzn. Nie wydawało jej się możliwe, żeby szeptał do damskich uszu słodkie obietnice, nie mając zamiaru ich dotrzymać. Coś jej mówiło, że ten człowiek nie składa obietnic, a jeśli już, to się z nich wywiązuje. Jakie to jednak mogło mieć dla niej znaczenie? Znała już pułapki, w jakie wpadają kobiety na tyle głupie, by wierzyć w miłe słówka i czarujące męskie uśmiechy.

Szli obok siebie tą samą drogą, którą wcześniej pobiegła Berta. Niewiele się odzywali. Tibbie patrzyła pod nogi, omijając głębokie ślady krowich kopyt; brzeg jej sukienki ocierał się o zeschniętą trawę, wydając cichy szelest. Nick próbował poruszać różne tematy w nadziei, że któryś wreszcie zachęci ją do rozmowy. Już prawie zrezygnowany, spytał ją, czy zna pannę Sukey Porter Merriweather.

- Oczywiście, że ją znam. Wszyscy w Indianoli ją znają. A pan skąd ją zna?

- Wynająłem od niej dom.

- Och... chyba nie ten przy Grapevine Street?

- Grapevine sto dwadzieścia jeden, mówiąc ściśle. Czemu pani powiedziała to tak, jakby z tym domem było coś nie w porządku?

- Naprawdę tak to zabrzmiało?

- Owszem. Proszę mi powiedzieć dlaczego.

- Chodzi o to, że w zeszłym roku zamordowano tam jakiegoś człowieka.

- Ale pani Merriweather nie miała z tym nic wspólnego?

Tibbie parsknęła śmiechem.

- Widział ją pan?

- W całej okazałości.

- No właśnie. Może pan sobie wyobrazić pannę Merriweather machającą siekierą?

Wzdrygnął się.

- Tak zginął ten nieszczęśnik? Zarabany na śmierć?

- Tata twierdził, że zginął od pierwszego ciosu. Następne trzydzieści nie miało większego znaczenia.

- Trzydzieści? Święty Sebastianie! Jest pani pewna, że panna Merriweather nie miała z tym nic wspólnego?

- Nigdy nie była podejrzana. W ogóle nie było podejrzanego, nie mieli pojęcia, kto mógł to zrobić i dlaczego. Osobiście nie sędzę, żeby miała z tym cokolwiek wspólnego. Panna Merriweather jest trochę dziwna, to prawda, lecz nie można jej niczego zarzucić. Ta rodzina zawsze była dziwna, ale nieszkodliwa. Zresztą ona jest jeszcze najbardziej normalna z nich wszystkich. - Tibbie zamyśliła się na moment. - Nie jest taka zła, naprawdę. Trzeba tylko czasu, żeby do niej przywyknąć. A przywyknąć można do wszystkiego, nawet do stryczka, jak mawiają Irlandczycy.

- Kto tak mówi?

- Moja babcia.

- Założę się, że pani babcia mówi dużo różnych rzeczy.

- O tak, tak.

Nick spojrział na nią, miło zaskoczony jej lekkim tonem. Dostrzegł ożywienie w oczach dziewczyny i zamyślony uśmiech. Na ten widok sam także nie mógł powstrzymać uśmiechu. I nagle zrobiła coś najzupełniej nieoczekiwanego. Puściła się biegiem przed siebie, z głośnym śmiechem, który unosił się za nią w powietrzu niczym radosny ptasi trzask. Ogarnęło go dziwne ciepło. To była ostatnia rzecz, jakiej by się po niej spodziewał. Jeśli tak reagowała na samo wspomnienie babki, chciał jak najszybciej poznać tę staruszkę.

Zwolnił, przypatrując się jej z upodobaniem. Biegła wydeptaną przez krowy ścieżką, w zwykłym, skromnym ubraniu, a sprawiała wrażenie świetlistej istoty, utkanej ze słonecznych promieni. Stanowiła zaiste uroczy widok; rozwiane włosy falowały jej

wokół głowy, raz po raz w biegu ukazywała się kształtna kostka lub biały rąbek halki. Na szczycie wzniesienia odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Policzki miała zaróżowione z wysiłku, a w ślicznych oczach i wygięciu ust pozostały resztki śmiechu. Samo patrzenie na nią sprawiało mu niewiarygodną przyjemność. A ostatnio ciągle na nią patrzył, bo po pierwsze, była najpiękniejszą istotą, jaką widział w życiu, a po drugie, strasznie trudno było ją zmusić do rozmowy. Jemu, Nicholasowi Mackinnonowi. Mężczyźnie, który do tej pory miał wszystkie kobiety, jakich zapragnął, a nawet kilka takich, których wcale nie chciał.

Poza tą jedną. Była jedyną kobietą, która go nie chciała, i niech go diabli, jeśli w to nie wierzył!

Kiedy doszli do miejsca, gdzie zaczynał się sad, Nick skręcił. Przystanąła, patrząc na niego pytająco.

- Ta ścieżka prowadzi tylko do sadu - powiedziała.

- A ja mam wielką ochotę obejrzeć sad - odparł, chwytając ją znowu za łokieć.

- Nic tam nie ma o tej porze roku.

- To mój czas - przypomniał - więc proszę mnie zabawić. - Przeszli przez starą żeliwną bramę, przechyloną na jedną stronę. Nie puszczając łokcia dziewczyny, prowadził ją między nagimi drzewami, aż doszli do szopy, pod którą stały skrzynki na owoce i piętrzyła się sterta trocin używanych do podsypywania drzew.

Serce jej podskoczyło, ściśnięte nagłym lękiem, kiedy zdjął surdut i rozłożył na trocinach. Następnie chwycił ją za ramiona i skłonił, by usiadła. W odruchu paniki zadała sobie pytanie, czy znajdują się wystarczająco blisko domu, by ktoś usłyszał, gdyby musiała krzyknąć, ale szybko się opamiętała. Miała przed sobą człowieka, który z pewnością nie musiał od kobiet brać niczego siłą. Uznała, że nie grozi jej przemoc. Jednakże szczególny błysk w jego oczach mówił jej, że może się spodziewać słownej zachęty. Radziła sobie już z podobnymi sytuacjami, ale w tej było coś nowego.

Stał przed nią chwilę, a ona nie podnosiła wzroku, skupionego na własnych dłoniach, ciasno splecionych na kolanach. Jej

zmysły uległy wyostrzeniu, czuła ruch powietrza i powiew ciepła, kiedy mężczyzna się zbliżył. Usiadł koło niej. Odgłos jego oddechu współbrzmiał harmonijnie z szelestem suchych traw. Wiatr poświstywał cicho w nagich gałęziach drzew, gdzieś w oddali zaszczekał pies. Podskoczyła na dźwięk przeraźliwego krzyku mewy lecącej nad sadem, ściągnęła razem końce szala i zawiązała je w węzeł na piersi.

Patrzył, jak zawiązuje szal, a potem wpatruje się w dal przed siebie.

- Boi się pani? - spytał
- Czego?
- Mnie. Boi się pani być tu ze mną?

Chciała odpowiedzieć, że nie, lecz z drugiej strony nie chciała go ośmielać. W jej życiu nie było miejsca dla takich jak on. Ale nie powiedziała mu tego. I tak sam miał się wkrótce przekonać.

- Zachowuję się tak, jakbym się bała?
- Jest pani skrupowana. To może być wyrazem strachu. Albo nieśmiałości. Albo nawet...
- Tego, że jestem tu wbrew swojej woli.
- Nie musi się pani niczego obawiać z mojej strony. Skoro nie boi się pani Beuli, nie powinna się bać i mnie.

Zaśmiała się, a on pomyślał, że jeszcze nie słyszał tak melodyjnego śmiechu.

- Ta krowa ma na imię Berta.

Patrzył zafascynowany, jak pod wpływem śmiechu zmienia się cała jej twarz. Zawsze wydawała mu się piękna, ale teraz była promienna, jakby rozświetlona od środka. Poczuł ukłucie zazdrości wobec jej rodziny, przyjaciół, wszystkich, którzy ją taką widywali. Otwartą. Swobodną.

- Jest pani śliczna, kiedy się śmieje.

Spoważniała.

- Nie mówiłem tego, żeby pani przestała.
- W ogóle nie wiem, po co pan to mówił.
- A czemu nie miałbym powiedzieć? Nie jest pani przyzwyczajona do męskich komplementów?

- Nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn, poza moim ojcem i braćmi.

- O rany! Braćmi, mówi pani?

Zerknąwszy na niego, dostrzegła minę, wyrażającą udawany przestrah.

- Wielu braci - zapewniła. - Przeróżających. I zawziętych. Twardszych od skały.

- I jest ich przynajmniej sześciu, co? - rzucił ze śmiechem.

- Połowa z tego.

- Domyślam się, że są od pani starsi... i więksi.

- Znacznie starsi i o wiele, wiele więksi.

- Jak duzi?

- Ogromni. - Pokazała, rozpościerając ramiona.

- Jestem przerażony.

- Ma pan skłonność do przesady.

- No widzi pani? Nie ma się czego bać - rzucił trochę zaczepnie.

Cisnęła w niego grudką ziemi.

- Niech pan podsuwa rajskie jabłka komuś innemu... jakiejś biednej naiwnej dziewczynie. Ja jestem odporna na takie zabiegi.

Rozejrzał się z uśmiechem.

- Więc uważa pani, że podsuwam rajskie jabłka? Pewnie się pani dobrze na tym zna, bo widzę tu tyle jabłoni...

Ona także się rozejrzała, spoglądając czule na ukochane drzewa, słuchając skrzypienia gałęzi, które przywoływało wspomnienia.

- Lubi pani to miejsce, prawda? Ma dla pani szczególne znaczenie. - Zaskoczyło ją brzmienie jego głosu. Ruchem głowy wskazał na rozciągający się przed nimi teren. - Myślę, że przychodziła tu pani często jako dziecko. I łączy panią z tym miejscem wiele wspomnień. - Odchylił się do tyłu, opierając plecami o ścianę szopy. - Miałem też takie miejsce jako chłopiec. Nawet teraz, kiedy zamknę oczy, dobrze je pamiętam... Leszczynowe zarośla, bulgotanie potoku na kamieniach, krzyki moich dowodzących braci. - Otworzył oczy i spojrzał na nią. - Pani też ma takie myśli, kiedy tu przychodzi, prawda?

Przytaknęła, podciągając kolana pod brodę i obejmując je

ramionami. Miał rację. Pamiętała, jak przychodziła tu jako dziecko, przyglądała się, jak ojciec sadi drzewa owocowe, spocona i zdyszana uganiała się po świeżo zaoranym polu, szukając robaków. Oczyma wyobraźni widziała gałęzie starszych drzew uginające się pod ciężarem owoców, czuła zapach skoszonych trawy, słyszała leniwe brzęczenie pszczoł i swój śmiech, zmieszany ze śmiechem Mairi biegającej po sadzie i trzech braci - Barry'ego, Caluma i Robbiego.

Wszystko wtedy było takie zielone.

Teraz sad nie był zielony. Teraz szarobrązowe gałęzie wydawały się cienkie i obce, pożółkła trawa leżała płasko na ziemi. Nie było owoców na drzewach ani piskliwego dziecięcego śmiechu. Teraz były tu tylko pozostałości minionego lata i niepokojąca obecność tego mężczyzny.

Jakby wyczuwając, że magiczny nastrój prysnął, odezwał się rzeczowym tonem:

- Proszę mi o coś sobie opowiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym opowiadać.

- Na początek wystarczy, żeby mi pani zdradziła swoje imię. - A w duchu dodał: chociaż wolałbym usłyszeć, dlaczego nosi pani te przesadnie skromne ubrania, dlaczego się ukrywa, dlaczego taka piękna kobieta jak pani nie ma męża i gromadki dzieci albo chociaż stałego adoratora.

- Pan mi nie powiedział, jak się nazywa.

- Jest pani szybka. Bardzo szybka.

- Podobnie jak pan.

Och, moja droga, tu się pani myli, pomyślał. Nie robię niczego pochopnie.

- Podałem pani moje nazwisko parę dni temu.

- Jeśli tak, to go nie pamiętam.

- Auu! Widać wywarłem na pani wielkie wrażenie? - Ściągnął z głowy kapelusz, włosy miał rozczochrane. Nic nie wskazywało na to, by choć trochę przejął się faktem, że zapomniała jego nazwisko. - Nicholas Mackinnon.

Na moment straciła wątek, wpatrzona w jego rękę, którą gładził się po wyciągniętym udzie, jakby chciał rozmasować ból. Nagle poczuła jego wzrok i uświadomiła sobie, że przyłapał ją na gapieniu się.

- Zawsze używa pan tej oficjalnej formy, Nicholas?

- Proszę mi wierzyć, mnóstwo razy nazywano mnie znacznie mniej oficjalnie. - Uśmiechnęła się mimowolnie, ale był rozczarowany. Miał nadzieję, że znów usłyszy jej śmiech. - Znajomi zwykle nazywają mnie Nick. Nie mogę powiedzieć, jak mówią moi bracia. Siostra nazywała mnie Nicky. A matka - Cole.

- Nazywała? Chce pan powiedzieć, że jest już pan na to za stary?

Po jego twarzy przebiegł cień, słaby i przelotny, ale Tibbie należała do osób, które zauważają takie rzeczy.

- Nie. Chcę powiedzieć, że już mnie tak nie nazywają, ponieważ obie nie żyją.

- Och, bardzo mi przykro. Nie chciałam wzbudzać bolesnych wspomnień.

- Nie szkodzi. To się stało bardzo dawno temu. Miałem wtedy czternaście lat,

- Stracił je pan obie w tym samym czasie?

- Prawie, ale nie całkiem równocześnie. Z pewnością słyszała pani o napaści Komanczów na Fort Parker...

- Wszyscy słyszeli historię Cynthii Ann Parker. Została porwana wraz z kilkoma innymi osobami.

- Dokładnie pięcioma. Jedną z nich była moja sześcioletnia siostra, Margery.

- Nie odnaleźliście jej?

- Nie. Mój ojciec, czterech braci i ja od razu wyruszyliśmy na poszukiwanie. Mój starszy brat, Andrew, został w domu z matką. Kiedy wróciliśmy, nie znalazłszy śladu Margery, dom był spalony, a matka i Andrew nie żyli. Ojciec już nigdy nie doszedł po tym do siebie. Mówił, że nie potrafi żyć bez Margaret.

Tak miała na imię pańska matka?

- Tak. Po jej śmierci ojca ogarnęła obsesja. Koniecznie chciał znaleźć małą Margery. Zostawił nas pięciu, żebyśmy odbudowali dom, najlepiej jak zdołamy. Jakiś rok po śmierci matki i brata otrzymaliśmy wiadomość, że John Mackinnon został zabity i oskaipowany przez Komanczów.

Jego słowa miały dla niej dodatkowy, głębszy sens, jakby opowiadając o tym wszystkim, pokazywał jej, że świat jest pełen bólu, że oprócz niej także inni ludzie cierpieli i potrafili wrócić do życia. To, co mówił, nadawało mu nowy wymiar, którego wcześniej nie dostrzegała. Ludzki wymiar. Dotąd nie myślała o nim jako o człowieku, o kimś, kto miał matkę, ojca, rodzinę, o kimś, kto kochał i wiedział, co to znaczy śmiać się i płakać, cieszyć się, gdy wszystko idzie dobrze, walczyć i znajdować siłę, gdy się nie wie.

Podniósł kamyk i cisnął nim w mysz, siedzącą na kopczyku ziemi. Mysz pisnęła i uciekła. Tibbie żałowała, że i w nią nie cisnie kamykiem, by mogła zrobić to samo. Ale dla niej miał tylko pytania. I był gotów zadać następne.

- Opowiedziałem pani własną historię - powiedział cicho - a nawet nie znam pani imienia.

W łagodnym tonie jego głosu był chwyający za serce smutek. Na krótką chwilę zapomniała o ranach z przeszłości i stał się dla niej tylko samotnym człowiekiem, który ofiarował jej przyjaźń.

- Tibbie... Tibbie Buchanan.

4

W jaki sposób zranił się pan w nogę?

- Włócznia Komanczów - odparł bez zastanowienia. Dopiero po chwili przyjrzał się Tibbie ze zdumieniem. - Skąd pani wie, że byłem ranny w nogę?

- Poznałam po tym, jak ją pan masuje.

- Dużo pani wie o takich sprawach.

- Mój ojciec jest lekarzem.

- Mój ojciec umiał mówić po celtycku, ale to nie znaczy, że ja także umiem.

- Jestem czymś w rodzaju asystentki ojca. Nauczył mnie prawie wszystkiego, co sam umie.

Nie powiedziała nic więcej. Siedzący obok niej Nicholas Mackinnon także zachowywał milczenie, z brwiami ściągniętymi w wyrazie namysłu. O czym tak poważnie myślał? Czy jego myśli miały coś wspólnego z nią? Wydało jej się to prawdopodobne, ponieważ co jakiś czas na nią zerkał. Mimo iż siedział całkiem nieruchomo, wyczuwała w nim niepokój, który stopniowo i jej się udzielał.

Zadawała sobie pytanie, dlaczego dokładał tylu starań, żeby się do niej zbliżyć. Żałowała, że nie może poznać jego myśli. Tymczasem Nicholas zmrużył oczy i przechyliwszy głowę na bok, przyglądał się Tibbie, jakby ją oceniał. Taki mężczyzna jak

on mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął, więc dlaczego akurat nią zawracał sobie głowę? Nie mogła mieć z nim nic wspólnego. Starła się wyrazić to jasno przy różnych okazjach. Gdyby było inaczej, wtedy może... Szybko odrzuciła tę myśl. Zastanawiała się, ile o niej wie. A zaraz potem zjawilo się pytanie, ile ona o nim wie.

Niewiele.

Ukradkiem przyjrzała się jego twarzy z boku. To, co o nim wiedziała, było bardzo ogólne i w sumie niewiele mówiące. Ot, kilka uwag zasłyszanych w mieście czy strzępki rozmowy przechwycone w gabinecie ojca. Żadnych konkretnych wiadomości, bardziej wytwory egzaltowanych kobiecych umysłów. Na przykład Drucilla Fielding opisywała go w pełnych podziwu, górnolotnych słowach, a Tansy Peabody rozpływała się w zachwytach nad jego uprzejmością, bo przytrzymał jej otwarte drzwi, gdy w zeszłym tygodniu wchodziła do apteki Appletona.

Tansy osłupiała, słysząc uwagę Tibbie:

- A niby co innego miał zrobić, Tansy? Uderzyć cię tymi drzwiami w twarz?

Teraz przyglądał jej się z tajemniczym uśmieszkiem. Doszła do wniosku, że nie podoba jej się ten mężczyzna. Nawet gdyby jej życie wyglądało inaczej, gdyby mogła przyjmować męskie zaloty, jak inne dziewczęta w jej wieku, nie okazałaby mu zainteresowania. Na starość pewnie będzie gruby, pomyślała. Gruby i łysy. Jednakże tusza i łysina wydawały się całkiem niegroźne i jakoś do niego nie pasowały. Bo on był męski i drapieźny. Był kimś, od kogo powinna się trzymać z daleka. Kogo powinna się obawiać.

- Myślę, że pańska godzina już minęła, a ja i tak jestem mocno spóźniona. Berta pewnie szaleje, nie mogąc się doczekać na dojenie, a Fortuna doprowadza moją matkę do rozpaczcy.

- Fortuna? Kto to taki?

Zdrętwiała z wyrazem paniki na twarzy. Nie chciała wyjawiać temu człowiekowi niczego więcej o swoim życiu. I tak już za

dużo mu powiedziała. Odetchnęła głęboko, opuszczając wzrok na zakurzone czubki butów, wystające spod prostej brązowej spódnicy. Prostej i brązowej. Stanowiącej odbicie jej życia. Jakże tęskniła za czymś innym. Dobry Boże! Jak tęskniła za odrobiną koloru. Choćby przez jeden dzień.

Jeden dzień. Jeden maleńki, nic nie znaczący wycinek roku. Byłoby jej wszystko jedno, jaki dzień... czy nawet w jakim miesiącu. Jeden dzień. Jeden cały dzień na to, żeby się śmiać, tańczyć i zapomnieć. Jeden dzień na to, żeby sobie przypomnieć, jakie życie było dla niej kiedyś.

Ale tamte czasy minęły. Teraz było inaczej. Nie było powrotu. Nigdy. Nie było powrotu do przeszłości i niewiele nadziei pozostawało na przyszłość. Przyszłość była jak ta nudna szara droga, bez zakrętów i niespodzianek, które by przerwały jej monotonię.

- Czemu pan mnie prześladowuje?

- Nie wiedziałem, że pani tak to odbiera. Po prostu chciałem porozmawiać.

- Mogę rozmawiać na dwa tematy, panie Mackinnon, o pogodzie lub medycynie. Proszę wybierać.

- Wszystko inne jest tabu?

- Wszystko.

- Wciąż mi pani nie ufa, prawda?

- Nawet pana nie znam. Jak pan może oczekiwać, że będę panu ufała?

- Nie musi pani mnie znać, żeby mi ufać.

- Nie ufam nikomu poza moją rodziną.

- Dlaczego?

- Moja babcia zawsze mówiła: „Wszystko, co może lizać, może też gryźć”.

Uśmiechnął się pod nosem.

- A mój dziadek podobno mawiał, że kobieta, która się opiera, może być zdobyta, a siła jej namiętności jest równa sile oporu.

Nagły zwrot w rozmowie rozczarował ją. Nie chciała tego przyznać, ale czas spędzony z tym mężczyzną był pewną odmianą w jej zwyczajnym życiu. A teraz próbował wejść na zakazany temat.

- Pański dziadek mnie nie znał.
- Czego pani się boi?
- Nigdy nie mówiłam, że się boję.
- Ale jest pani spięta w moim towarzystwie.
- Nie jestem spięta, po prostu nie spoufałam się z nikim poza moją rodziną i przyjaciółmi. A pan do nich nie należy.
- Mógłbym być pani przyjacielem, gdyby mi pani pozwoliła.
- Przyjaźń w naszym przypadku nie wchodzi w grę.
- Dlaczego?
- Choćby dlatego, że w żaden sposób nie jesteśmy do siebie podobni.

- Założę się, że szybko byśmy coś takiego znaleźli - powiedział z uśmiechem. - W każdym razie ja chętnie bym spróbował.

- Och, nie wątpię, nie wątpię, że ma pan doświadczenie w takich poszukiwaniach.

- A pani ma doświadczenie w odrzucaniu wszelkich starań. To chyba jesteśmy kwita.

- Doświadczony mężczyzna, któremu nie chodzi o uwiedzenie, i niedoświadczona kobieta, której... wcale nie są kwita.

- A pani jest niedoświadczona? Czy chodzi pani o uwiedzenie?

Obserwował grę uczuć na ślicznej twarzy dziewczyny, wciąż oszołomiony jej świeżością, całkowitym brakiem kokieterii, naturalnością i niemal wiarygodnym brakiem zainteresowania płcią przeciwną. Była jak piękność, której stłuczono lustro, zanim miała okazję się w nim przejrzeć. Była wyszorowana do różowości, włosy jej błyszczały, po niefortunnej przygodzie z ogrodzeniem już znów schludnie zaplecione w warkocz. Pachniała jedynie mydłem i ciepłym kuchennym aromatem drożdży i wanilii. Nie nosiła żadnych ozdób, żadnych widocznych koronek czy falbanek. Choć nie starała się upiększyć, w jego oczach była najpiękniejszą istotą chodzącą po ziemi. Pewnie właśnie dlatego, że była taka naturalna. Tak jak naturalny jest górski szczyt. Albo wodospad. Czy zroszony deszczem kwiat.

Otrząsnęła się, wracając do rzeczywistości. Może to skrepowanie jego obecnością, a może lęk, co mogłoby się wydarzyć,

gdyby została z nim dłużej, kazał jej trzeźwo myśleć. Zebrała w dłonie fałdy spódnicy, jakby chciała wstać. Nick przyjrzał się wyblakłej tkaninie w jej dłoni, dostrzegając słaby ślad po dawnym szwie w miejscu, gdzie spódnica musiała być przedłużana. Jej upodobanie do skromnego stroju wydało mu się dziwne, skoro reszta jej rodziny ubierała się zgodnie ze swym statusem majątkowym i społecznym. Wziął ją za rękę, nie zważając na to, że się wzdrygnęła i próbowała cofnąć. Jakby trzymanie jej za rękę było dla niego czymś całkowicie naturalnym, przesunął palcem po wnętrzu jej dłoni, odnajdując ślady ciężkiej pracy.

- Taka śliczna mała rączka, a tak spracowana. Nie ma pani kto pomóc?

Wyszarpnęła dłoń i ukryła w fałdach spódnicy.

- Oczywiście, że mamy pomoc. Po prostu niektóre rzeczy wolę robić sama. Dobry Bóg dał mi dwie silne ręce, panie Mackinnon. Nie widzę powodów, żeby ich nie używać.

- Można ich używać do innych zajęć - odparł cicho. Zastanawiał się, dlaczego nagle przybrała wrogi ton. Była zmieszana, skryta i najwyraźniej chciała już sobie pójść. Męczyła go jej tajemniczość. Nie wyglądała na kobietę z przeszłością, ale też nie była dziewczęco naiwna. Tak czy inaczej, miała prawo skrywać swoje sekrety, tak jak i on skrywał kilka własnych. Nie miał zamiaru ich od niej wyciągać, lecz był zdecydowany poznać ją lepiej.

- Jest mnóstwo innych rzeczy, które może robić kobieta taka piękna jak pani. Uroda może pani służyć.

- Kiedy zszywam rany albo robię opatrunki, uroda nie bardzo mi się przydaje. Wolałabym już, żeby Bóg zamiast niej dodał mi trochę wzrostu i parę funtów wagi.

Wstał i pomógł jej się podnieść. Staneła przed nim, ze wzrokiem utkwionym w guzik jego koszuli, a on wziął do ręki jej warkocz, jakby oceniał jego wagę.

- Myślę, że pani rozmiary są doskonałe, przynajmniej oceniając po tym, co widzę.

Nie była przyzwyczajona, żeby mężczyzna jej dotykał, czuła

się nieswojo. Patrząc na śniadą rękę trzymającą warkocz, zauważyła, że mankiet eleganckiej białej koszuli jest nieskazitelnie czysty. Nosił drogie, dobrze utrzymane ubrania. Domyśliła się, że same buty musiały go kosztować ponad dwadzieścia dolarów. Miał pieniądze... więc niechby ich użył, opłacając sobie jakąś inną kobietę, a ją zostawił w spokoju. Była rozczarowana i dziwnie rozdrażniona. Dotarł do niej w pełni sens jego słów: „Oceniając po tym, co widzę”.

Odepchnęła go od siebie obiema rękami, po czym jeszcze się cofnęła.

- Widział pan wszystko, co było do zobaczenia. Rozumiem, że spłaciłam już swój dług wobec pana - rzuciła gniewnie. Nie wiadomo, czy z powodu odwagi, czy głupoty patrzyła mu przy tym w oczy. - Może w mieście są kobiety, którym łatwo zawrócić w głowie, ale ja do nich nie należę. Na szczęście potrafię odróżnić ziarno od plew.

Uśmiechnął się, próbując jakoś dopasować do siebie to porównanie. Widział ją, kiedy przyszła z siostrą do miasta, obserwował, kiedy zatrzymały się przed składem handlowym. Tibbie wyglądała jak szare pisklę w swojej brązowej spódnicy i ciemnym szalu, kiedy stała obok siostry, ubranej w wymyślną trawias-tozieloną suknię. Widział, jak rozchodzą się w przeciwne strony; jej siostra krążyła po mieście niczym barwny motyl, rozmawiając z napotkanymi ludźmi, śmiejąc się i flirtując z każdym młodzieńcem, który ją zaczepił, podczas gdy Tibbie skrupulatnie załatwiała sprawunki. Po mniej więcej godzinie spotkały się w tym samym miejscu i ruszyły w drogę powrotną do domu. Zaciekawiony, poszedł za nimi.

Musiał w duchu przyznać, że trochę go bawiła jej nadmierna powściągliwość. Zachowywała się tak, jakby była dużo, dużo starsza. I tak też była ubrana. Mógłby się założyć, że pod tym luźnym siermiężnym strojem jest doskonała, jak cygaro po dwa dolary za sztukę - smukłe, kształtne i zrobione z najlepszego surowca. Podziwiał jej zasadniczość i prostolinijność. Kobieta, która do tego stopnia nie przejmowała się swoim wyglądem,

musiała być bardzo silna. W pewnym sensie przypominała mu staruszkę uwięzioną w ciele młodej kobiety. Bardzo by chciał wiedzieć, jak ją uwolnić.

Próbował sobie wyobrazić, jak by wyglądała w innym stroju. Gdyby ją ubrać w bursztynowy jedwab, ułożyć włosy pod modnym kapeluszem... albo jeszcze lepiej rozpuścić na ramiona. Wpiąć kolczyki do uszu, zawiesić na szyi rubin. Sama błyszczałaby jak klejnot. Omal się nie zaśmiał, wyobrażając sobie, jak by zareagowała, gdyby poznała jego myśli. A może je odgadła, bo zgarniając jedną ręką fałdy spódnicy, drugą, zaciśniętą w pięść, zamierzyła się na niego, kiedy chciał ją przytrzymać za ramiona.

- Nie lubi pani być dotykana. Dlaczego?

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Wreszcie, uświadomiwszy sobie, że gotów tak stać i na nią patrzeć, dopóki ona będzie stała i na niego patrzyła, powiedziała:

- Po prostu nie lubię. Nie wystarczy? Czy wszystko musi mieć jakiś powód?

Nicholas wpatrywał się w nią z taką samą intensywnością, z jaką ona patrzyła na niego. Ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Mimo nonszalanckiej pozy i dość swobodnego zachowania, obserwował ją bardzo uważnie, dlatego dostrzegł nagłą bledość i sztywne wyprostowanie ramion, dowodzące, że poruszył w tej złotowłosej dziewczynie jakąś czułą strunę. Przebiegł w pamięci wszystko, co między nimi zaszło, oceniając, ważąc i porównując. Czyżby w przeszłości jakiś mężczyzna źle ją potraktował? Jeśli tak, to co jej zrobił? Zgwałcił ją? A może ojciec ją bił? Albo brat uprzykrzał jej życie? Intuicja podpowiadała mu, że nie chodzi o żadną z tych możliwości. Do licha, mógłby się założyć o swój najlepszy statek. Miał wrażenie, że jej niechęć do mężczyzn bierze się nie ze strachu, lecz z czyjejs złej woli. Ktoś okaleczył jej duszę. To nie była powierzchowna blizna. Ta dziewczyna została ciężko zraniona. I jej rana wciąż nie chciała się zagoić.

Patrzył na jej doskonały profil, kiedy odwróciła głowę, wodząc

wzrokiem po pustym sadzie, na długie ciemne rzęsy odbijające się wyraźnie od poblaskłych policzków. Boże! Jakaż była piękna. Piękna i krucha jak gołębnica. Jaki sekret mógł przyniatać tak młodą i cudowną istotę? I dlaczego tak mocno pragnął znaleźć odpowiedź na to pytanie? Wzruszała go jak dotąd żadna inna kobieta, poza matką. Przy niej jego lekkie, zalotne słowa zupełnie traciły wagę i nikły jak rozpylona w powietrzu wodna mżawka, wpadająca z powrotem do morza.

- Wszystko ma swoją przyczynę, czy tego chcemy, czy nie. Weźmy panią, na przykład. Z jakiegoś względu unika pani mężczyzn, stara się być dla nich jak najmniej atrakcyjna, wreszcie próbuje robić wrażenie starszej, niż jest w istocie.

Stała jak porażona, ze ściśniętym paniką żołądkiem, z nerwami napiętymi aż do bólu. W głowie, regularnie jak światło latarni morskiej, pulsowała jej jedna myśl: uważaj... uważaj... uważaj... Ten mężczyzna grał w inną grę niż pozostali, bardziej niebezpieczną. Jego zainteresowanie nią i jej przeszłością sięgało głębiej, nie było zwykłą ciekawością. Był inteligentny i dociekliwy. Łagodność i zrozumienie służyły mu za broń, tnącą precyzyjnie, odkrywającą warstwa po warstwie. Prosił, żeby mu zaufała, ale to by oznaczało wyposażenie go w kolejny oręż. Nie był jeszcze jednym zalotnikiem do odprawienia. Ten człowiek stanowił prawdziwe zagrożenie dla jej bezpiecznie płynącego życia, podobne do rafy koralowej, czającej się pod powierzchnią spokojnych wód.

- Nie mogę zostać ani chwili dłużej - powiedziała przez ściśnięte strachem gardło. - I tak zabawiłam tu zbyt długo.

- Jest powód, dla którego ucieka się przed różnymi rzeczami, tak samo jak istnieje powód, dla którego wybiera się walkę. Od czego pani ucieka, Tibbie? Czemu jest pani taka nieufna?

- Nie jestem nieufna. Po prostu jestem potrzebna w domu - wydusiła z siebie chropawym szeptem.

- Miałem na myśli to, że nie ufa pani sobie. - Ujął ją za podbródek i uniósł jej głowę, tak że nie miała wyboru, musiała

na niego spojrzeć. I znowu miała przed oczyma tę jego ujmującą łagodność, czuła delikatny dotyk męskich dłoni.

- Naprawdę jest pani potrzebna w domu czy to tylko wymówka, żeby uciec?

- Ja... - Miała powiedzieć, że naprawdę jest potrzebna, ale wyraz tych przepastnych niebieskich oczu, widoczne w nich zrozumienie... Nie potrafiła skłamać i przerażało ją to, że nie wie, dlaczego tak się dzieje. - Jest pan dla mnie zagrożeniem - odezwała się drżącym, niepewnym głosem. - Boję się o życie. Nie wszystkie drapieżniki mają kły i ostre pazury. Przy panu... - Urwała, uciekając wzrokiem. Nie była w stanie mówić dalej. Pragnęła tylko jednego: jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od niego. Pragnęła tego, co miała, zanim nadjechał na tym swoim kasztanowym koniu i wdarł się w jej życie. Pragnęła spokoju, ustalonego porządku rzeczy... i samotności.

- Ja też przy pani czuję się trochę zagubiony. - Sprawiała wrażenie bliskiej łez, więc objął ją za ramiona gestem pocieszenia.

- *Proszę mnie puścić - wykrztusiła z trudem. - Nie chcę pana dotykać i nie chcę, żeby pan mnie dotykał.*

- Obawiam się, że już jest za późno. Już mnie pani dotknęła, mocniej, niż sobie pani zdaje sprawę. - Pogładził ją lekko po ręce. - Jest aż tak niemiły... mój dotyk?

Nie odpowiadała, więc zajął jej w oczy, nie zdejmując ręki z jej ramienia. Uparcie wpatrywała się w czubki jego butów, choć czuła falowanie włosów przy każdym jego oddechu.

- Mam dużo czasu - powiedział. - z jestem bardzo cierpliwy.

Wiedziała, że mówi prawdę. Pragnienie, żeby się jak najszybciej od niego oddalić, skłoniło ją wreszcie do uniesienia głowy. Nie była w stanie ukryć łez, które bezlitośnie napływały jej do oczu.

- Ależ pani jest piękna. Wiele bym dał, żeby móc ucałować te drżące usta. Ale coś mi mówi, że odskoczyłaby pani jak spłoszona łania.

Słyszac to, poczuła dziwne ciepło w środku. Jak by smakował

jego pocałunek? Gzy byłby tak samo delikatny jak cicho wypowiedziane słowa? Skarciła się w duchu za te niedorzeczne rozważania. Mogła sobie z łatwością wyobrazić, co by nastąpiło po takim pocałunku. I to wystarczyło, żeby brać nogi za pas. Wyswobodziła ramię z jego objęcia i zaczęła się oddalać.

- Tibbie! - zawołał, a ona się zatrzymała.

Nie odwróciła się jednak, tylko rzuciła przez ramię:

- Co?

- Ucieczka nie powstrzyma pani przed rozmyślaniami, jak by to było. Ciekawość trudniej stłumić niż pożar na prerii.

- Nie uciekam i nie jestem ciekawa.

Zaśmiał się głośno.

- Ależ tak, jest pani. Założę się o wszystko, że kiedy nocą będzie pani leżała w łóżku, odezwie się w pani ciekawość.

- Akurat! Mam ważniejsze sprawy do przemyślenia.

- Jakież to mogą być sprawy? O czym rozmyśla pani nocą, Tibbie? Jakie myśli wypełniają panią, kiedy jest ciemno i nikt nie wie, co pani chodzi po głowie?

- Myślę głównie o tym, jak się wystrzegać osobników panu podobnych. Jest pan gorszy od wrzoda na pośladku.

Znów się roześmiał.

- Jeśli na pani pośladku, to nie mam nic przeciwko temu!

Rozgniewana tupnęła nogą. Jej niespodziewany ruch spłoszył kasztana, pasącego się spokojnie w pobliżu. Nick pokręcił głową ze zdumienia. Z jednej strony miał ochotę dać jej klapsa, z drugiej jednak nie mógł powstrzymać śmiechu, kiedy machając rękami, zawołała do konia:

- Zejdź mi z drogi, ty ocieżała góro mięsa! -. Zwierzę nawet nie drgnęło, więc cisnęła w nie grudą ziemi i obeszała dookoła, mrużąc do siebie: - Jesteś tak samo nieznośny jak on.

Nick z wodzami w ręce patrzył, jak Tibbie oddała się krowim traktem. Przez całe dwadzieścia siedem lat ani razu nie słyszał, żeby ktoś nazwał konia „ocięzałą górą mięsa”.

- Jeśli nic nie wypadnie, spotkamy się tu za tydzień! -

zawołał za nią. - W tym samym miejscu, o tej samej porze. Będę czekał, więc proszę się nie spóźnić.

- Nie spóźnię się - odkrzyknęła przez ramię - bo wcale nie mam zamiaru przychodzić! Może pan czekać, aż pan zapuści korzenie.

Mówiła coś jeszcze, ale nie zdołał rozróżnić słów. Zsunawszy kapelusz na tył głowy, patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z pola widzenia. Uśmiechał się bezwiednie. Czuł się dziwnie lekki. Ta mała zadziorna Szkotka była naprawdę niesamowita.

Wróciwszy do domu, Tibbie nieco głośniejszą niż zwykle zamknęła za sobą drzwi, lecz matka, zajęta wykładaniem na półmiskę smażonego kurczaka, nawet nie podniosła wzroku.

Effie była dość wysoka, zgrabną kobietą, „zaokrągloną we właściwych miejscach”, jak mawiał Coll. Wciąż miała ciemne włosy, podobnie jak Mairi, ale gdzieniegdzie pojawiały się w nich pasemka siwizny. Cesała się w modny kok, podtrzymywany dwoma grzebieniami z kości słoniowej, ale o tej porze dnia zwykle jej twarz okalało już wiele luźnych kosmyków. Miała piwne oczy, miłe usposobienie i dowcip prawie tak samo cierpki jak babcia Grace... choć tak do końca nikt nie mógł się równać z babcią pod tym względem. No i nikt nie był tak zapominałski i głuchy. Manewrując zręcznie kurczakiem, Effie spytała:

- Wydoiłaś już Bertę?

- Przyszłam właśnie po wiadro. Nie doiłam jej jeszcze.

- Kto jest w areszcie? - spytała babcia, która jak zwykle po południu siedziała w swoim bujanym fotelu przy piecu i huštała się zawzięcie, jakby chciała nadrobić stracony czas. Obok niej na podłodze stał koszyk z rzeczami do cerowania.

- Nikogo nie ma w areszcie, babciu - zapewniła ją Tibbie.

- Niby czemu? Po co wybudowaliśmy to nowe więzienie, skoro nikogo w nim nie zamykamy? Lepiej było wykorzystać te pieniądze na zbudowanie dzwonnicy na kościele metodystów

albo postawienie wieży zegarowej w środku miasta. - Mruczając do siebie, staruszka wzięła butelkę po occie i naciągnęła na nią skarpetę, żeby lepiej widzieć dziurę, którą zamierzała zacerować.

Effie porzuciła na moment swoje zajęcie i popatrzyła na Tibbie, która odwzajemniła spojrzenie, wzruszając ramionami. Effie była bardzo podobna do swojej matki, poza tym, oczywiście, że ta była siwa jak gołąbek. Podobnie jak córka, babcia Grace czesała się do góry, tyle że zamiast koka upinała na czubku głowy mały twardy węzeł, pełen wystających szylkretowych spinek. Nie była w stanie usłyszeć syreny z odległości trzech kroków, jak mawiał Coll, ale wciąż miała doskonały wzrok. Czego nie słyszała, to widziała, a bogactwem wyobraźni niewiele ustępowała Tibbie. Dzięki temu całkiem nieźle orientowała się w domowym życiu. Była przy tym kobietą o dużym doświadczeniu oraz wielkim sercu i uczyła wnuczki korzystania z uroków życia, co czasami przyprawiało Effie i Colla o poważne zgrzyoty.

- Jakiś młodzian zalecał się do ciebie? Dlatego masz taką minę, jakby dawali zupeć, kiedy ty miałaś tylko widelec? - odezwała się przebiegle spod pieca.

Tibbie domyśliła się, że babci chodzi o jej przygaszony humor, ale uznała, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Zresztą babcia Grace wcale nie oczekiwała odpowiedzi.

- Powinnaś sobie znaleźć jakiegoś miłego chłopaka i wyjść za mąż, zanim się zestarzejesz - nie dawała za wygraną staruszka.

- Myślę teraz o ważniejszych rzeczach niż schlebianie męskim gustom - powiedziała Tibbie.

- Cudzołóstwo! - wykrzyknęła babcia ze zgrozą. - Jeśli o nim myślisz, to jest gorzej, niż przypuszczałam.

Ta uwaga także nie wymagała komentarza. Którego, nawiasem mówiąc, babcia Grace i tym razem się nie spodziewała. Posłała wnuczce karcące spojrzenie.

- Dobrze, że Bóg Wszechmogący nie ciebie wybrał na partnerkę dla Adama, bo nie byłoby następnych pokoleń.

- Masz rację - przyznała Tibbie. - Dobrze, że Bóg mnie nie wybrał. Gdybym była Ewą, powiedziałabym: „Znajdź sobie inną”.

Effie parsknęła śmiechem.

- Adamowi byłoby dość trudno, bo poza Ewą nie było tam innych kobiet.

Tibbie wzruszyła ramionami, wzięła do ręki wiadro i stojąc, przyglądała się babci. Szpilki sterczały z przekrzywionego siwego koczka niczym promyki światła z jakiejś odległej gwiazdy. Okulary w drucianej oprawie zsunęły się staruszce do połowy nosa, a w jej uszach lśniły brylantowo-szafirowe kolczyki, które babka otrzymała w dniu ślubu od brata rosyjskiego cara. Na stojącej czarnej jedwabnej sukienki pyszniła się wspaniała broszka z kameą.

Babcia Grace zawsze nosiła się na czarno.

Nie z powodu żałoby po mężu, zmarłym przed czterdziestu laty. I nie dlatego, że zakupiła sześćdziesiąt sztuk najlepszego chińskiego jedwabiu, wyłącznie czarnego, kiedy skończyła pięćdziesiąt lat. Nie, babcia Grace po prostu uwielbiała czarny kolor.

- Kiedy byłam młoda, dziewczętom nie wolno było ubierać się na czarno. A kiedy byłam już w odpowiednim wieku, żeby nosić czarne stroje, powiedziano mi, że czerń nadaje się wyłącznie na żałobę albo dla staruszek. Cóż, na wszystkie świętości, teraz jestem stara i zgrzybiała, więc nie ma żadnego powodu, bym nie mogła się ubierać na czarno... i będę się tak ubierać. I nic mnie nie obchodzi, czy to się komu podoba, czy nie.

Effie skończyła wreszcie układać kawałki drobiu na półmisku.

- Wyglądasz na strasznie wymęczoną. Pozwól, dotknę twojego czoła - zwróciła się z troską do córki.

Tibbie się ociagała.

- Tibbie Ann, odłóż to wiadro i lepiej zmierz sobie temperaturę.

- Kto wpadł w dziurę? Gdzie była ta dziura? Czy ten ktoś się zabił?

- Babciu, kończ to cerowanie - upomniała staruszkę Effie. - Nikt nie wpadł do żadnej dziury.

- Gdyby wpadł, to ja bym się i tak dowiedziała o tym ostatnia. Nikt mi nigdy nic nie mówi. Skąd człowiek ma wiedzieć, co się wkoło dzieje, skoro nikt mu nic nie mówi?

- I tak wszystko przekręcasz! - krzyknęła Effie. - Kończ z tymi skarpetami, zanim Coll po nie przyjdzie. Zaraz będzie gotowy, żeby iść do Skinnermeyerów, i chce im zanieść te skarpetki. Biedna pani Skinnermeyer ma dom pełen dzieciaków, *a pan Skinnermeyer zaniemógł i nie zarabia pieniędzy*. Potrzebują tych skarpetek, a ty mitrężysz czas na gadanie!

Babcia, pomrukując coś pod nosem, wróciła do swego zajęcia. Effie podeszła do córki.

- Ten rumieniec... Na pewno nie masz gorączki? - Dotknęła twarzy Tibbie w czterech lub pięciu miejscach. - Nie, nie jesteś rozpalona.

- Nic mi nie jest, mamo.

- No to co się dzieje?

- Nic.

- Coś jest nie tak, moja tajemnicza panno, i mam zamiar się dowiedzieć, co to takiego. Jestem twoją matką od dwudziestu jeden lat. Znam cię jak siebie samą. Mów mi zaraz, co cię tak poruszyło.

Tibbie wiedziała, że nie da się oszukać Euphemii Stewart Buchanan, ponieważ nie było na świecie drugiej kobiety, która by miała więcej wyczucia od Effie. Tibbie, nie mając wyboru, odstawiła wiadro i opowiedziała matce o Nicholasie Mackinnonie.

Tak jak się spodziewała, matka zachęciła ją, by mu się lepiej przyjrzała. I na tym polegał cały problem. Ponieważ już i tak za wiele w nim widziała. Musiała wyjść z kuchni i zastanowić się nad wszystkim w samotności. Wzięła ze stołu wiadro.

- Przemyśl to, co powiedziałam, Tibbie.

- Dobrze, mamo. Przemyślę to dokładnie. Obiecuję.

- Prędkiej mi kaktus wyrośnie na dłoni! - dobiegł ją piskliwy głos z fotela przy piecu.

- Czasami mogłabym przysiąc, że babcia jednak lepiej słyszy, niż widzi - mruknęła Tibbie.

- Nie zdziwiłabym się - zawtórowała jej Effie, zerkając wymownie na staruszkę. Babcia Grace, jakby nigdy nic, pilnie

machała igłą. - Pod tym względem dzieci bardzo przypominają starych ludzi. Słyszą tylko to, co chcą usłyszeć. - Effie poprawiała szal na ramionach córki i delikatnie pchnęła ją w stronę drzwi. - Pospiesz się. Robi się późno.

Było już całkiem ciemno, kiedy Tibbie skończyła doić Bertę i wróciła do domu na kolację. Jednak tego wieczoru nie dane jej było spokojnie zjeść, bo ledwie Coll wrócił od Skinnermeyerów i zasiadł do posiłku, ktoś zastukał do drzwi.

- To cud, że jeszcze nie wychudłem na wiór - stwierdził Coll, odrzucając serwetkę i podnosząc się od stołu.

- Może to nie po ciebie tym razem - wyraziła nadzieję Effie.

- Ależ z pewnością po mnie. Jeszcze się nie zdarzyło, bym zasiadł do smażonego kurczaka i jakaś pilna sprawa mnie od niego nie oderwała. - Nim zdążył dojść do drzwi, Mairi weszła z wiadomością, że widziała jednego z synów Carpenterów wieżdżającego na podwórze.

- Wygląda na to, że tata znów nie zje kolacji.

Pięć minut później Coll z powrotem pojawił się w kuchni.

- Tibbie, weź moją torbę z narzędziami, a ja w tym czasie wyprowadzę bryczkę. Nie zapomnij wymienić rzeczy, których używałem u Skinnermeyerów.

- Już to zrobiłam, tato.

- Dzielna dziewczyna- pochwalił ją ojciec, znikając w drzwiach.

- Podobno do wszystkiego się można przyzwyczaić - stwierdziła Effie, pakując kilka kawałków mięsa do serwetki i związując ją na końcach. - Ale ja jakoś nie mogę. Powiem ci jedno. Jeśli istnieje coś takiego jak reinkarnacja, to w następnym wcieleniu nie wyjdę za lekarza.

- Skąd wziął kwiaty o tej porze roku? - zdziwiła się babcia Grace.

- Jakie kwiaty? - spytała zniecierpliwiona Effie. - Babciu, co ty znowu pleciesz?

- Powiedziałaś, że lekarz dał ci złocienie. Chcę wiedzieć, skąd je wziął. Mamy luty. Skąd wziął złocienie w lutym?

Effie bezradnie potrząsnęła głową.

- Dopilnuj, żeby ojciec coś zjadł, zanim dojedziecie na miejsce - zwróciła się do córki. - Nie wiem, skąd mam się wstawać rano z łóżka.

- Stąd, że nie możesz się oprzeć ciekawości, co ci przyniesie dzień - powiedziała wesoło Tibbie, pieszczotliwie szczypiąc matkę w policzek.

- Przynosi mi same kłopoty i troski, nic więcej. - Effie westchnęła.

- Och, mam, nie narzekaj na swój los, bo to i tak niczego nie zmieni. Wiesz, jak mówi tata: „Co ma wisieć, nie utonie”.

- Mówiłyście przecież, że nikt nie siedzi w areszcie? No i proszę, nic nie wiedziałam!

- O czym nie wiedziałaś, babciu? - spytała Tibbie.

- O wieszaniu. Już powiesili tego, co siedział w areszcie i teraz Coll będzie go zdejmował ze stryczka.

- Tata i ja jedziemy do Carpenterów. Pani Carpenter będzie rodzic, a tata jest prawie pewny, że to będą bliźnięta. Musimy się spieszyć. Willi Carpenter powiedział, że jego matka ma już bóle parte.

- Ha! - wykrzyknęła babcia. - Do tego nie potrzeba lekarza. Niech sobie ugotuje suszonych śliwek. Pomogą jej.

- Suszone śliwki są dobre na zaparcie.

- No właśnie. Przecież o tym mówił Willi. Że ma zaparcie. Tibbie załamała ręce.

- Willie mówił, że ma bóle parte, babciu. Ona rodzi.

- Idę spać - stwierdziła Effie z rezygnacją.

- A ja jadę do Carpenterów - oświadczyła Tibbie.

Narodziny bliźnięt Carpenterów zajęły prawie całą noc, więc kiedy następnego ranka Tibbie wygrzebała się z łóżka o wpół do siódmej, miała za sobą dwie godziny snu. Po tym wszystkim, co zaszło poprzedniego dnia i po spędzeniu połowy nocy na nogach, nie była w najlepszym nastroju. Kiedy przygotowując

sobie śniadanie, wysypała cukier do kawy zamiast do miseczki z owsianką, jak zamierzała, po jej zwykle pogodnym nastawieniu do życia nie było śladu.

W takim właśnie humorze wyruszyła do miasta, wysłana przez ojca, żeby sprawdzić, czy nadeszły już z Nowego Orleanu zamówione dostawy medykamentów.

- Lepiej każ Hiramowi zaprzęgnąć do wozu - poradził Coll. - Będzie zbyt wiele paczek, żeby się zmieściły do bryczki. A jak już będziesz w mieście, wstąp do kuźni i powiedz Clovisowi Rafferty'emu, żeby rzucił okiem na oś, bo coś w niej dziwnie zgrzyta.

Tibbie przyznała ojcu rację, kiedy siedząc na twardej drewnianej ławce, patrzyła na szerokie zady Nipa i Tucka, wałachów, które Hiram zaprzęgnął do wozu. Oś, albo jakaś inna część koła, wydawała dziwny dźwięk. W połowie drogi Tibbie postanowiła wstąpić do kuźni i poprosić Clovisa o sprawdzenie wozu jeszcze przed udaniem się na pocztę. Kawałek przed miastem oś wydała przeraźliwy zgrzyt i wóz rozleciał się na środku drogi. Jakby tego było mało, Tibbie zobaczyła, że w jej stronę zbiegają Rafe Tucker i młodzi Bucknerowie. A trudno było o bardziej podłych, niegodziwych łobuzów w całym stanie Teksas niż Rafe Tucker i młodzi Bucknerowie.

- No, no, czy to przypadkiem nie sama jaśnie panna we własnej osobie siedzi na tym wozie jak żółty ptaszek na grzędzie, czekając na rycerza, który przyjedzie ją ratować? - zakpił Clive Buckner.

- Przecież już miała swojego rycerza, nie pamiętasz? - przypomniał mu Rafe.

- Zostawcie mnie w spokoju.

- Czemu patrzysz na nas z góry, skoro wszyscy w mieście wiedzą, co z ciebie za kobieta?

- Obojętnie, jaka ze mnie kobieta, nie chcę mieć z wami nic wspólnego, więc zbierajcie się stąd i zostawcie mnie w spokoju. Mam ważne sprawy do załatwienia w mieście.

Rafe zsiadł z konia i obszedł wóz dookoła.

- Coś mi się zdaje, że masz złamaną oś, aniołeczku. Nie dojedziesz do miasta ani nigdzie indziej tym wozem. Może ja bym cię podwiózł, gdzie trzeba?

- Nie, dziękuję, poradzę sobie.

- Jak sobie poradzisz ze złamaną osią?

- Mogę iść pieszo, Rafe. Mam dwie mocne, zdrowe nogi.

- Miałbym lepsze zajęcie dla dwóch mocnych, zdrowych nóg. Owiń mnie nimi w pasie, to cię zabiorę aż do Nowego Orleanu.

- Co ty powiesz? Myślałam, że umiesz tylko wrzucać żaby do zupy i moczyć świniom ogony w atramencie - zadrwiła Tibbie, sięgając po bat. - A teraz zejdź mi z drogi, bo inaczej zrobię ci znak, który będziesz widział za każdym razem, kiedy się przejrzyś w lustrze. A chyba nie chcesz mieć moich śladów na swojej pięknej buźce, co?

- Nie ma się co złościć, panno Tibbie. Próbuję tylko pomóc.

- Dzięki, ale nie potrzebuję pomocy.

- Daj spokój, Tib. Po co iść na piechotę, kiedy mam porządnego konia, który z łatwością uniesie nas oboje?

- Wolę jednak pójść na nogach.

- Nie masz powodu, żeby tak zadzierać nosa, Tibbie Buchanan. Każda kobieta, która się oddała jednemu mężczyźnie, może się oddać i innym.

- Nie chciałabym cię, Rafe, nawet gdybyś był ostatnim żyjącym mężczyzną na ziemi.

Rafe zagadywał ją niby przyjaźnie, ale Tibbie nie dała się nabrać. Widziała, jak ukradkiem się do niej zbliża. Najwyraźniej coś knuł. Poprawiła bat w dłoni, lecz nim zdążyła go użyć, Rafe dopadł do niej jednym susem, chwycił za ramię, owinał sobie wokół ręki i szarpnął, przewracając Tibbie na kolana. Szybko zsunęła się z wozu, gotowa biec drogą przed siebie i wołać o pomoc, ale Rafe z resztą swoich kompanów odciął jej drogę. Przyparta do wozu, oddychała ciężko, czując na sobie lepkie spojrzenia.

- Odprzęgnij konie - polecił Rafe Wilejowi Bucknerowi.

Ten spełnił polecenie.

- Teraz je puść.

- Dlaczego?! - zawołała Tibbie. - Czemu je puszczasz? Minie tydzień, zanim je znajdziemy.

Rafe nie zwracał uwagi na jej protesty. Zaraz potem Nip i Tuck pobiegły spokojnym kłusem w stronę miasta; wlokące się za nimi pasy uprząży wzniecały tuman kurzu. Tibbie spojrzała na bat w ręce Rafe'a.

- Jeszcze ci nie pokazałem, jak dobrze umiem się tym posługiwać. - Tibbie przełknęła z trudem ślinę, przywierając mocno plecami do wozu. - Chwyćcie ją za ręce.

Will i Wiley mocowali się z nią przez chwilę. Will zawył, chwytając się za krocze, kiedy kopnęła go kolaniem. Ochłonawszy z pierwszego szoku, uderzył ją w twarz i sądząc po minie, natychmiast tego pożałował, widząc strużkę krwi na jej policzku.

- Przykro mi, Tibbie. Naprawdę. Ale nie powinnaś była mi tego robić.

- Odsuńcie tego głupka - rzucił Rafe.

Clive Buckner zajął miejsce Willa. Trzymana z jednej strony przez Wileya, a z drugiej przez Clive'a, dziewczyna wkrótce stała unieruchomiona, z rozpostartymi na całą szerokość ramionami.

- Teraz pokażę wam, chłopaki, jak się zabrać za rozbieranie niechętnej kobiety. - Rafe strzelił z bata, zahaczając końcówką rzemienia o stanik sukienki Tibbie. Poczowała palące smagnięcie i odpadł pierwszy guzik. Potem następne. Trzask... trzask... trzask...

Jeden po drugim, odpadły wszystkie guziki. Potem w ten sam sposób zerwał jej z głowy czepek. Włosy wysunęły się z koka i opadły falami na plecy. Rafe podnosił bat do kolejnego uderzenia, kiedy nagle rozległ się wystrzał.

Bat wypadł mu z ręki.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, skąd padł strzał. To był Nicholas Mackinnon. Siedział na wielkim kasztanie, z pistoletem w dłoni.

- Macie stąd zniknąć, zanim doliczę do pięciu. Potem zacznę strzelać i nie będę się przejmował celowaniem.

- Nic do pana nie mamy.
- Ale ja mam do was. No już, zbierać się!
- Niech pan posłucha...
- Raz!
- To nie pańska sprawa...
- Dwa!
- Będzie pan żałował, że się wtrąca...
- Trzy! - Nick odbezpieczył pistolet.

Rafe rozejrzał się nerwowo. Bracia Bucknerowie już wsiadali na konie.

- Cztery! - Nick uniósł lufę.
- Bucknerowie ruszyli z kopyta.
- Pięć! - Tym razem Nick wycelował.
- Rafe Tucker pognał za kompanami.

Nick odczekał, aż znikną mu z oczu, po czym uderzył swojego wierzchowca piętami.

- Naprzód, Koniu.
- Czemu nie nada mu pan jakiegoś imienia? - spytała Tibbie, przytrzymując razem brzegi stanika.
- Nazwałem go.
- Jak?
- Koń.
- Oryginalnie.
- Zabawne, ale właśnie to samo miałem powiedzieć o pani wyglądzie. Mam wrażenie, że ma pani szczególny talent do warzenia sobie piwa.

- To moje piwo i wypiję je tak, jak będę chciała, więc niech pan wraca tam, skąd przyjechał, i zostawi mnie w spokoju.

- Ostrożnie, żeby pani sobie nosa nie odgryzła...

Rozzłościł ją nie na żarty.

- Szkoda, że nikt panu nie odgryzie! Wtedy by pan nie mógł go wtykać w cudze sprawy.

Tibbie kurczowo ścisnęła w palcach materiał zniszczonej sukienki. W pierwszym odruchu Nick miał ochotę wygłosić jakąś cierpką uwagę na temat jej wyglądu, tak po prostu, żeby

jej dopiec. Jednak kiedy na nią spojrzeł, brakło mu słów, nie tylko z powodu częściowo odsłoniętych wdzięków... choć i te zrobiły odpowiednie wrażenie. Oniemiał z podziwu, że stoi w podartej sukience, ze zmierzwionymi włosami i ciska gromy z oczu, podczas gdy każda inna kobieta w takiej sytuacji potrafiłaby tylko płakać. Wydała mu się jeszcze bardziej niezwykła.

- Jeśli uważa pani, że wtrącam się w jej prywatne sprawy, to przepraszam. Myślałem, że potrzebuje pani pomocy. Podwieźć panią do miasta?

- Dziękuję, nie - odparła sucho. - Poradzę sobie.

- Jak pani zamierza to zrobić?

- Udam się do miasta, tak jak planowałam. Znajdę zaprzęg, potem wstąpię do kuźni i powiem Clovisowi, żeby przysłał kogoś po wóz. Pożyczę od niego inny wóz, żeby odebrać dostawy medyczne.

Zmierzył ją od stóp do głów zaciekawionym spojrzeniem.

- Konie już są w kuźni. Przybiegły do miasta, jakby im ktoś podpalił ogony. Jak już się dały złapać i trochę uspokoić, Clovis powiedział mi, do kogo należą. Pomyślałem wtedy, że przejadę tędy i sprawdzę, co się stało. I dobrze zrobiłem.

- Tak... rzeczywiście, jeszcze raz dziękuję. - Otarła usta z krwi.

Patrzył, jak rusza w stronę miasta.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Co?

- Pójdzie do miasta w takim stanie. Wystarczy, że pokaże się pani pierwszemu lepszemu mężczyźnie i będzie wojna.

Tibbie spojrzeła po sobie. Chociaż starała się przytrzymywać złączone brzegi sukienki, nie zdołała ukryć wszystkiego. Widać było, co się znajduje pod jej zaciśniętymi palcami.

- Nie może pani iść do miasta w takim stanie - powtórzył.

- No nie...

- I domyślam się, że w domu też się pani nie może tak pokazać.

Zmarszczyła czoło. Znowu miał rację. Gdyby poszła tak do domu, ojciec dowiedziałby się, co zaszło, i pojechałby najpierw

do Bucknerów, a potem do Tuckera wyjaśnić sprawę. A człowiek, który ostatnio chciał coś wyjaśnić z Bucknerami, leżał sześć stóp pod ziemią. Nie chciała, żeby to spotkało ojca. Już dość wycierpiał z jej powodu.

Nick patrzył na jej stropione oblicze, a przynajmniej starał się na nim skupić wzrok, co nie przychodziło mu łatwo, bo jego oczy uporczywie kierowały się niżej. Chociaż przytrzymywała stanik sukni jedną ręką, nie mógł zapomnieć cudownych wypukłości, rysujących się pod cienką koszulą. Ta dziewczyna była wyjątkową pięknoscią. Na samą myśl o niej pewne części męskiego ciała zaczynały żyć własnym życiem. Wiedział to lepiej niż ktokolwiek już od tamtego pierwszego dnia, kiedy omal nie stratował jej na ulicy.

Nick zeskoczył z siodła, otworzył juki i wyjął z nich niewielką skórzaną saszetkę. Następnie podszedł do Tibbie i stanął koło niej, bliżej, niż sobie życzyła.

Zaskoczona, spojrzała na jego twarz i zobaczyła w niej tęsknotę połączoną z rezygnacją. Zamknęła oczy. Na moment, wbrew rozsądkowi, puściła wodze wyobraźni. Wyobraziła sobie dotyk jego ust, ciepły i mocny, potem jego język w swoich ustach, sprężysty i natarczywy. Serce zabiło jej szybciej, oddychała z trudem, w głowie jej się kręciło. Ocknęła się z westchnieniem i natychmiast ujrzała w oczach Nicka odbicie tego samego pragnienia. Rzeczywistość wstrząsnęła nią jak strumień zimnej wody.

- Co pan, u licha, wyprawia?

Nie odpowiedział, tylko zaczął krążyć wokół niej, szukając czegoś na ziemi, tu i ówdzie roztrzając grudy pyłu i pokruszonych muszli, schylając się raz po raz i coś podnosząc-

- Co pan robi?

- Szukam guzików.

- Po co? Kolekcjonuje pan guziki?

- Tylko te, które należą do pani - odparł ze śmiechem. - Ścisłej mówiąc, szukam ich, żeby je z powrotem przyszyć. Wtedy nikt się o niczym nie dowie.

Ale ona wiedziała swoje. Wiedziała, gdzie znajdują się jego dłonie, kiedy będzie przyszywał guziki do jej stanika.

- Nie, dziękuję. Sama je przyszyję.
- Żeby to zrobić, będzie pani musiała zdjąć sukienkę.

Dużo wiedział o kobiecych sprawach; patrząc na niego, nietrudno było się domyślić, skąd pochodzi ta wiedza. Tibbie nie dałaby dwóch centów za to, co robił, kiedy był z dala od niej. Jednak co do jednego miał rację: żeby własnoręcznie przyszyć te guziki, musiałaby ściągnąć sukienkę. Stała przed trudnym wyborem. Albo miał jej dotykać, albo oglądać ją bez ubrania.

- Nie może pani w takim stanie iść ani do miasta, ani do domu. Proponuję pani pomoc w przyszyciu guzików, chyba że ma pani jakiś lepszy pomysł.

Oczywiście nie miała i bardzo ją to irytowało.

- Coś wymyślę.

- Niech pani nie będzie głuptasem. - Znalazł ostatni guzik i podszedł do niej. - Upieranie się do tego stopnia graniczy z głupotą. - Cofnęła się, trafiając plecami na burtę wozu. Spłoszona, uciekła wzrokiem. Nie potrafiła zrozumieć pewnych rzeczy, które ją spotykały. Bo jak można było wytłumaczyć jej nagłą chęć, żeby dotknąć jego twarzy, sprawdzić, czy rzeczywiście jest tak gładka, jak się wydaje, albo wziąć go za rękę i poprowadzić daleko od tego miejsca, pokazać mu wszystkie swoje dziecięce kryjówki? Musiała być niespełna rozumu, skoro myślała o takich rzeczach.

- Dalej się chyba nie da - powiedział, usłyszawszy, jak dziewczyna uderza głową o deski wozu.

- Słucham?

- Jestem skłonny uwierzyć, że tyłem porusza się pani szybciej niż do przodu. Często pani to robi?

- Tylko kiedy jestem napastowana.

- Nie napastuję pani, lecz pomagam, mała uparciucho. - Otworzył saszetkę i wyjął z niej przybory do szycia. Zafascynowana, patrzyła, jak nawleka igłę. Szło mu to bardzo sprawnie.

Ciekawość wzięła górę nad ostrożnością.

- Gdzie się pan nauczył szyć?

- Jestem właścicielem statków, panno Buchanan. A na statkach żaglowych jest mnóstwo płótna.

Sądziła, że właściciel statków, czy choćby człowiek o jego statusie i sposobie bycia, nie para się takimi przyziemnymi pracami, a już z pewnością nie szyje.

- Proszę. - Wyciągnęła rękę po igłę z nitką i guzik. - Pozwoli pan, że sama to zrobię.

Z westchnieniem oddał jej igłę.

Nie przypuszczała, że tak łatwo się zgodzi, więc na moment zastygła w bezruchu, lecz widząc, że przygląda jej się jak kompletnej idiotce, szybko wbiła igłę w materiał stanika i natychmiast wyciągnęła ją po drugiej stronie.

- Wydaje mi się, że najpierw trzeba zawiązać supełek na końcu.

- Och... - Czerwona ze wstydu, zrobiła węzełek na nitce. Pomyślała ze złością, że prędzej wbije sobie igłę w oko, niż znów na niego spojrzy.

Przy drugim podejściu ukłuła się boleśnie w palec. Przy trzecim upuściła guzik. Czwarte skończyło się strzyknięciem w szyi. Przy piątym... cóż, piątego właściwie nie było, bo Nick zaklął cicho i wyjął jej igłę z ręki.

- Wiem, że jeden porządny szew jest lepszy od dziewięciu byle jakich, a przy tym tempie spędzimy tu całą noc. Wcześniej czy później trzeba stawić czoło prawdzie i pozwolić sobie pomóc, choćby panią skręcało.

Niech go wszyscy diabli! Osoby, które mają zawsze rację, strasznie działały jej na nerwy. Aż ją skręcało, jak to nazwał.

- No więc, jak będzie, panno Nieustępliwa? Rozbieramy się i szyjemy... czy maszerujemy do domu, żeby tam odpowiadać na różne pytania? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: - Myślę, że ostatecznie, w tym wyjątkowym przypadku, oczywiście, może pani przełknąć dumę i pozwolić mi się tym zająć.

- Rozumie pan, oczywiście, że zgadzam się na tę niedyskrecję tylko dlatego, że nie mam wyboru?

- Ma się rozumieć - zapewnił z szerokim uśmiechem.

Nim zdążył wypowiedzieć ostatnie słowa, skrzyła włosy w węzeł, ale nie miała ich czym spiąć, więc chwilę stała zamyślona, z uniesionymi rękami, dopóki nie spostrzegła, że Nick ją obserwuje.

- Przypominam, że ma pan zwracać całą uwagę na to, co pan robi.

Znowu się uśmiechnął, wprawiając ją w jeszcze większe zakłopotanie.

- Och, tak właśnie zamierzam. Byłbym skończonym głupcem, robiąc inaczej.

Nałożyła na głowę czepek, upchnęła pod nim włosy i zawiązała wstążki pod brodą. Odnosiła wrażenie, że Nicholas Mackinnon niekoniecznie myśli to, co mówi, lecz nim się zdążyła dobrze nad tym zastanowić, polecił:

- Proszę tu podejść, żebyśmy mógł się wziąć do szycia.

Odwróciła głowę.

- Wstydzi się pani? - spytał miękko.

- Nie - prychnęła. Czuła się jak na torturach. - Próbuje rozruszać szyję, bo złapał mnie skurcz.

- Proszę mi coś powiedzieć o tych ludziach. - Patrzył z bliska na jej brwi, czuł spinające ją napięcie. - Najwyraźniej panią znają...

- Oni mnie znają, a ja znam ich... podli nicponie. Mają więcej pieniędzy niż rozumu i stanowczo za dużo wolnego czasu.

- Nie wyglądali mi na rodzaj towarzystwa, z jakim by się pani... zadawała.

- Bo nie są, a ja się z nikim nie „zadaję”, proszę łaskawie przyjąć do wiadomości. Czasami człowiekowi zdarzają się w życiu takie rzeczy, po których łobuzy w rodzaju Rafe'a i Bucknerów myślą, że mają prawo się spoufalać.

- I to się pani zdarzyło... Coś, co pozwala im myśleć, że mają prawo źle panią traktować? - Zajrzał dziewczynie w oczy, a potem uniósł rękę i dotknął kącika jej ust.

Wzdrygnęła się gwałtownie.

- Nadal mnie pani nie lubi, prawda?
- To nic osobistego. Po prostu znam takich jak pan.
- Nie można poznać wina od spoglądania na beczkę.
- Małpa jest małpą, a dureń jest durniem, choćby ich odziać w jedwab i purpurę.

Ze śmiechem wyciągnął do niej drugą rękę. Cofnęła się z niechęcią.

- Proszę się nie bać, nie zamierzam pani skrzywdzić. Nie mam w zwyczaju znęcać się nad kobietami. Warga jeszcze trochę krwawi. - Starł kciukiem czerwoną strużkę z jej podbródka.

- Nie szkodzi. Przetrę ją spirytusem po powrocie do domu.
- Lepiej tego tak nie zostawiać, bo po co niepotrzebnie przyciągać uwagę - stwierdził, wyciągając z kieszeni chusteczkę i dokładnie wycierając krew.

Odwróciła głowę, spoglądając gdzieś w dal, ponad drogą. Wykorzystał okazję, żeby się z bliska przyjrzeć jej ślicznej brzoskwińowej cerze.

- Zawsze nosi pani ten czepek?
- Kiedy wychodzę z domu.
- Czemu uważa pani, że musi się pod nim ukrywać?
- Nie wiedziałam, że się ukrywam. Czepek służy do ochrony, panie Mackinnon. Przed słońcem.
- Ukrywanie się pod tym właśnie jest... ochroną.
- Mówię o ochronie przez czynnikami natury... takimi jak wiatr, deszcz, ślota i słońce.
- Ach, rozumiem.
- Nie, myślę, że pan nie rozumie, ale to nieważne.
- A te ponure barwy? One też mają panią chronić? Przed czynnikami natury?

Jego bliskość była niepokojąca, strumień ciepłego oddechu budził wspomnienia, których lepiej było nie przywoływać. Nie chciała pamiętać ciepła męskich ramion, słodczy pocałunków. Zerknęła na urodziwą męską twarz, próbując odgadnąć, czy w jego pytaniach jest jakiś ukryty cel, czy też usiłuje jedynie

podtrzymać niewinną rozmowę. Jedno spojrzenie wystarczyło, by się upewnić, że o żadnej niewinności nie może być mowy. Wyglądał tak dobrze, że musiał dużo wiedzieć o grzechu. Rozpierała ją ciekawość, niepożądana i całkiem nie na miejscu, więc ją w sobie stłumiła, choć zrobiła to z niemałym trudem. Zastanawiała się, czy słyszał o jej przeszłości, czy wie... choć jego zachowanie sugerowało, że nie ma o niczym pojęcia. Nazwała go w duchu stuprocentowym dżentelmenem.

- Uważa pan, że nieodpowiednio się ubieram?

- Mówiąc szczerze, tak. Trochę jak stara matrona. A te kolory nadają się na pogrzeb. W ogóle do pani nie pasują. Nosi pani takie ubrania pod przymusem? Ojciec pani każe?

- Moi rodzice do niczego mnie nie zmuszają, panie Mackinnon. Ubieram się tak, jak uważam za stosowne.

- Nie może chodzić o pieniądze, bo wiem, że pani ojciec jest jedynym lekarzem w okolicy, no i widziałem dom, w którym pani mieszka. Więc o co chodzi? Dlaczego różowy flaming ubiera się jak mały szary strzyżyk?

- Może nie podoba mi się zainteresowanie, jakie wzbudzam jako flaming.

- Bezpieczniej jest być szarym strzyżykiem?

- Właśnie.

- Hm. To potrafię zrozumieć. Problem w tym, że ja wciąż widzę flaminga pod skromnymi piórkami strzyżyka i mam wielką ochotę go uwolnić.

- Chce pan siłą...

- Nie, nie, nie. - Zaczął się śmiać, zwalczając w sobie chęć, by porwać ją w ramiona, mocno przygarnąć do siebie i całować do utraty tchu, aż ustąpi z niej napięcie. Boże, posiadać taką kobietę, po tych wszystkich portowych dziwkach, którymi musiał się dotąd zadowalać. Z trudem powściągał żądzę, nie był pewien, czy zdoła się powstrzymać, dopóki nie zdobędzie jej zaufania, i dopiero wtedy... Co wtedy? Od kiedy zaczął o niej myśleć poważniej niż o ciepłym kobiecym ciele w zimnym łóżku? Właściwie nie potrafił jeszcze tak do końca ocenić swoich

intencji wobec niej, ale był absolutnie pewien, że nie zadowolili się jedną wspólną nocą. Skan i przerobienie poną.

Popatrzył na nią i natychmiast stracił wątek. Włosy upchnięte pod czepkiem wymykały się niesfornymi kosmykami, więc sapnąwszy ze złością, zdjęła czepkę i rozpuściła je, potrząsając głową. Ten niewinny, odruchowy gest wydał mu się niezwykle, choć niezamierzenie uwodzicielski. Kilkakrotnie przeczesła palcami złociste fale, po czym zaczęła je splatać w ciasny warkocz. Podniósłszy wzrok, stwierdziła, że Nick zastygł w bezruchu, obserwując każdy jej gest. Wyraz jego oczu sprawił, że wypuściła warkocz z rąk. Nagle sobie uświadomiła, że stojący przed nią mężczyzna wzbudza w jej ciele coś niepokojącego. Nogi jej zmiękły, serce waliło jak oszalałe. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gorączkowo poszukując w umyśle właściwych słów, czegoś, co by przełamało tę nagle zgęstniałą atmosferę między nimi. Ale nic nie chciało jej przejść przez gardło, poza długi wstrzymywanym oddechem.

- Tibbie - odezwał się napiętym, jakby zmęczonym głosem - jeśli nie chcesz, żebym cię zaczął całować, lepiej uciekaj ode mnie jak najszybciej.

Nie mogłby jej zaskoczyć bardziej, nawet gdyby ją uderzył. Stała w miejscu jak wmurowana. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl: jeśli teraz zechce ją pocałować, nie zdoła go przed tym powstrzymać.

Kiedy wreszcie ochłoneła na tyle, by się poruszyć, chwycił ją za ramiona, zmuszając do pozostania na miejscu. Wyraz zdumienia na jej twarzy podziałał na niego otrzeźwiająco. Honor wymagał powściągliwości za wszelką cenę.

- Niechże pani będzie rozsądna! - powiedział nienaturalnie podniesionym tonem. - Nie może pani nigdzie iść w takim stanie. To zajmie jeszcze tylko chwilę. - Jedną ręką przytrzymał brzeg stanika, drugą wbił igłę od spodu. Kostki jego ciepłych palców musnęły miękką wypukłość piersi nad rąbkiem koszuli.

Jego dotyk wzbudził w niej dreszcz nie dlatego, że był odrażający, przeciwnie, wywołał falę niechcianych, niepotrzebnych wspomnień. Zawstydzające wydarzenia z przeszłości odbiły

się ciemnym rumieńcem na jej twarzy. Czy zawsze miało tak być? Czy już nigdy nie zazna spokoju? Bezradnie odwróciła głowę. Czasami tak trudno jest być kobietą.

Nick zakończył szycie. Biedne maleństwo, pomyślał ze współczuciem. Nachylił się, żeby odgryźć nitkę przy guziku. Tym sposobem jego twarz znalazła się tuż przy najśłodszej kobiecej krągłości, jaką widział w życiu. Kierowany bardziej naturalnym odruchem niż żądzą, przycisnął do niej usta.

Tibbie aż podskoczyła; w okamgnieniu powróciła uśpiona gotowość do walki.

Nicholas Mackinnon dostał swój pocałunek.

Dostał też po uszach za zuchwałość.

I mógł przysiąc, że długo mu w nich będzie dzwoniło.

Można było powiedzieć o Tibbie Buchanan, że upadła na dno, ale też było powszechnie wiadomo, że nie pozostanie tam długo. Nick jeszcze się nie otrząsnął po pierwszym ciosie, kiedy spadł na niego kolejny. Zaskoczony i lekko ogłupiały, nie mógł powstrzymać śmiechu, kiedy Tibbie go odepchnęła i zamaszystym krokiem podeszła do pasącego się spokojnie kasztana. Następnie, nie oglądając się za siebie, wsiadła na konia i ruszyła galopem w stronę miasta. Wciąż się śmiał, dopóki do niego nie dotarło, że sam będzie musiał iść piechotą. Śmiech zamarł mu na ustach.

- Cholera! - krzyknął do królika, przycupniętego za kępą trawy. - Na co się gapisz? Ty też jesteś zdany na własne nogi.

Królik uciekł.

Nickowi już nie było do śmiechu. Przez całą drogę do miasta rozmyślał o tych wszystkich rzeczach, które zrobi tej złotowłosej czarownicy, kiedy jej tylko dopadnie.

Cudownych rzeczach.

5

Tibbie? - Drzwi się zatrzęsły od pukania. - Tibbie, jesteś tam?
Zamknęła oczy, wyrwana z błogiej ciszy.

- Jestem tu.

Drzwi się otwały i do pokoju weszła Mairi. Gruby ciemny warkocz kołysał jej się na ramieniu.

- Mama mówiła, że nie przyszłaś na kolację. - Marii obrzuciła siostrę pytającym spojrzeniem. - Źle się czujesz? Chcesz, żebym wezwała tatę?

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. - Tibbie wbiła wzrok w okno.

- Nie jesteś chora. Coś cię zdenerwowało. Co się dzieje?

- Nic. Jestem po prostu zmęczona. Oboje z tatą jesteśmy zmęczeni. Ludzie ostatnio dużo chorują. Chodzimy późno spać, więc...

- Akurat! Jestem twoją siostrą, czyżbyś zapomniała? Jeśli nie mądrzejszą, to w każdym razie starszą. Dobrze cię znam, Tib. Zmieniałam ci pieluchy, jak byłaś mała, i uczyłam cię pierwszych słów. W trzeciej klasie broniłam cię przed zaczepkami chłopaków, a w ósmej dostałam po nosie aż do krwi, kiedy chciałam przerwać bójkę między tobą i Audrey Schneider.

Tibbie spojrzała na siostrę, uśmiechając się blado.

- To była wina Audrey. To ona puściła ci krew z nosa.

Choć Tibbie starała się zachować humor, Mairi dostrzegła

w oczach młodszej siostry ból, który mieszkał tam od dawna i właściwie nigdy jej do końca nie opuszczał. Podeszła do niej i objęła ją mocno.

- Kiedy przestaniesz traktować leczenie jako sposób na ucieczkę od życia?

- Wcale tak nie jest.

- Ależ jest, Tib. Właśnie tak to wygląda. Czego ty się boisz? Nie rozumiesz, że tym swoim wiecznym lękiem, tym chowaniem się za medycynę robisz sobie krzywdę? Straciłaś kierunek w życiu. Już nie podejmujesz inicjatywy, nie ryzykujesz. Biernie patrzysz, jak świat kręci się wokół ciebie. Kiedyś taka nie byłaś.

- Nie potrzebuję twoich kazań. Wystarczy mi ich na całe życie. Zostaw mnie w spokoju. Za chwilę mi przejdzie.

- Nie tym razem. Tym razem posłuchasz.

- Odsuść sobie. Nie mam siły na twoje pouczające wykłady. Wystarczą mi te, których słucham w kościele.

- Wiem, czego chcesz. Chcesz, żeby ci dać spokój, żebyś mogła się oddawać tym wszystkim zajęciom, które ci zastępują prawdziwe życie. Kiedy zaczęłaś pomagać tacie w klinice, wydało mi się to świetnym pomysłem. Robiłaś coś pożytecznego, zyskiwałaś sobie wdzięczność i uznanie. Ale to poświęcenie dla chorych stało się twoim więzieniem. Czas, żebyś wyszła z tego bezpiecznego światka, który sobie zbudowałaś. Czas, żebyś zaczęła żyć naprawdę.

- Po co? Żeby znów mnie ktoś zranił? Żeby znów musiała cierpieć? Ludzie nie zapominają i nie wybaczą, Mairi. I nie chcą, żebym ja zapomniała. Mam pamiętać. Chcą, żebym zapłaciła.

- A ty płacisz, prawda? Pamiętasz każdy dzień. To ty sama nie chcesz zapomnieć, Tibbie. z co jeszcze smutniejsze, nie możesz sobie wybaczyć.

- Nieprawda!

- Owszem, prawda. Nie umiesz sobie wybaczyć, więc wciąż wierzysz, że należy ci się kara. I karzesz się. Bezustannie. Ty nie żyjesz, ty egzystujesz. I to jest smutne, znacznie smutniejsze od tego, co ci się przydarzyło.

- Zostaw mnie... proszę.

- Żebyś mogła się rzucić na łóżko i płakać? Żebyś się mogła

nad sobą rozczulać? Biedna Tibbie Buchanan, ze wszystkimi jej nieszczęściami i wredną siostrą na dodatek! Zastanów się, Tib. Najłatwiej by mi było odejść. Nie lubię doprowadzać cię do łez, ale ktoś musi tobą trochę wstrząsnąć.

- Mama i tata nie...

- Mama i tata są za blisko całego problemu. Nie widzą lasu, tylko pojedyncze drzewa. Mama chce cię mieć przy sobie, swoją małą dziewczynkę, tak jak dawniej. A tata cieszy się z twojej pasji do medycyny... zawsze chciał, żeby któryś z chłopców poszedł w jego ślady. Wiesz, jak się zmartwił, kiedy Barra i Calum związali się z morzem, a Robbie wybrał studia prawnicze. Składasz swoje życie w ofierze, Tib. To nie jest wolny wybór.

- Nieprawda. Uwielbiam leczyć. Mam do tego wrodzony talent. Sama tak mówiłaś.

- Owszem, mówiłam. Masz talent. Ale to ci nie może wypełniać całego życia. Tata kocha medycynę, ale znalazł czas, żeby się ożenić i założyć rodzinę. - Mairi westchnęła. - Nie chcę cię ranić, Tibbie. I bez tego dość cierpisz, wiem. - Kładąc siostrze ręce na ramionach, zmusiła ją do spojrzenia w lustro. - Popatrz tylko, Tib. Co widzisz?

Tibbie przyjrzała się swemu odbiciu.

- Niedorzeczne pytanie. Widzę siebie, oczywiście.

Mairi potrząsnęła siostrą.

- Wcale nie. Nie widzisz prawdziwej Tibbie. Jej tu nie ma, odkąd Eric cię porzucił. Widzisz kobietę, która się przedwcześnie starzeje, niedojrzały owoc usychający na krzaku. Nie rób sobie tego. Co się stało z twoim duchem przygody?

Tibbie wzruszyła ramionami i spojrzała ponad zaścienionym łóżkiem w stronę okna, za którym opadała czerwona kula słońca. Mairi nadal coś mówiła, choć mogła się domyślić, że siostra wcale jej nie słucha. Zawsze ją irytowało, że Tibbie potrafi się wyłączyć na zawołanie. Stosowała ten wybieg, kiedy sytuacja stawała się dla niej z jakiegoś względu niewygodna. Mairi rozzłościła się nie na żarty; czerwona na twarzy, walnęła dłonią w blat stołu.

- Jeśli tak dalej pójdzie, wpędzisz się w chorobę. Chorobę samotności, goryczy i żalu.

Tibbie wzdygnęła się przy odgłosie uderzenia o stół.

- Powinnaś się przynajmniej zastanowić nad tym, co mówię - powiedziała Mairi z naciskiem.

Tym razem Tibbie nie odpłynęła do innego świata, lecz wydała z siebie zduszony okrzyk bólu, zakrywając uszy rękami.

- Nie będę słuchać ani słowa więcej. - Zaszlochała.

Mairi siłą opuściła jej ręce.

- Właśnie że będziesz, Tibbie. Bo w głębi serca wiesz, że mam rację. Nie jesteś szczęśliwa, prawda? Nie byłaś szczęśliwa, od kiedy on cię opuścił.

- A jeśli nawet, to co? Przecież go kochałam, do cholery!

- Wiem, że go kochałaś, ale on do ciebie nie pasował. Modłę się, żebyś wreszcie sobie to uświadomiła. Nie dlatego jednak jesteś nieszczęśliwa. Jesteś nieszczęśliwa, ponieważ jesteś martwa w środku. Znam moją siostrę, moją prawdziwą siostrę. Jest pełna życia i radości. Wcześniej nigdy się niczego nie bała.

- Teraz też się niczego nie boję.

- Czyżby? - Mairi zacisnęła palce na ramieniu Tibbie, niemal przyklejając jej nos do lustra. - No to przyjrzyj się lepiej, Tib. Dobrze się przyjrzyj, bez pośpiechu. Widzisz szczęśliwą, bez-troską młodą kobietę? Widzisz?

Po policzkach Tibbie spłynęły dwie bezgłośnie łzy.

- Widzisz? - powtórzyła Mairi z uporem. - Chociaż raz bądź wobec siebie szczerą. Widzisz?

- Nie! - przyznała Tibbie, wstrząsana szlochem. - Nie! Nie! Nie!

- Masz dwadzieścia jeden lat, na miłość boską! Spójrz na siebie! Nie możesz wiecznie uciekać przed swoim lękiem. I kryć się przed nim też nie możesz bez końca. Zawsze będzie na ciebie czekał. - Mairi potrząsnęła głową. - Nie wiem, dlaczego tak się karzesz. Wyglądasz i ubierasz się, jakbyś miała pięćdziesiąt lat. I czyja to wina? Mamy lub taty?

- Nie.

- Moja?

- Nie.

- Więc czyja? Odpowiedz mi! Kto kazał ci tak żyć? Kto jest twoim najbardziej surowym sędzią?

- Ja! - zawołała Tibbie, uderzając się w pierś wyprostowanym palcem. - Ja! Ja! Ja!

I miała rację.

Siedząc na łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach, zanosła się płaczem. Maui objęła ją czule i zapłakała razem z nią.

- Nie pozwolę ci na to dłużej. Chcę odzyskać moją dawną siostrę. Moją prawdziwą siostrę. Mam dość tej nieszczęśliwej męczennicy.

Tibbie też miała dość, ale wątpiła, czy uda jej się coś zmienić. Wiedziała, że Mairi ma wiele racji, i to ją jeszcze bardziej przynębiało. Nie wierzyła, że potrafi się zmienić. Jej obecne życie stało się zbyt wygodne. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale głęboko w środku rzeczywiście była pełna lęku. Bała się znowu być sobą. Bała się zaufać. Bała się kochać. Bała się stracić czujność. Ponieważ już raz to zrobiła. I została skrzywdzona. A przecież lepiej być bezpiecznym, niż cierpieć.

- Och, Tibbie - westchnęła Mairi. - Nie chcę ci uprzykrzać życia.

- Wiem.

- I nie chcę ci zepsuć dnia.

- To też wiem - zapewniła Tibbie.

- Powiem mamie, że śpisz.

- Dziękuję.

Mairi ucałowała siostrę i cicho wyszła z pokoju.

Po tej rozmowie Tibbie starała się całkowicie unikać Nicka. Ale to nie zawsze było możliwe.

Ilekróć ich drogi przypadkowo się krzyżowały, kłaniał się grzecznie, mówiąc: „Dzień dobry, panno Buchanan”, albo: „Dobry wieczór, panno Buchanan”, a ona odpowiadała chłodno, nawet na niego nie patrząc. Za to wiele o nim myślała. I bardzo ją to złościło. Nie chciała o nim myśleć, nie chciała, żeby serce jej trzepotało niczym głupiej pensjonarce za każdym razem, kiedy go widziała. Jakim prawem wchodził w jej życie, rzucał na nią swój męski urok, podstępem wkradał się w myśli? Czemu

przez niego znów myślała o pięknych strojach, wstążkach do włosów i wodzie różanej? Jak to możliwe, że nakrywając wieczorem do stołu, nuciła pod nosem, wywołując zdumione spojrzenia innych członków rodziny?

Zwrócił na nią uwagę, gdy tylko pojawił się w Indianoli, i nie dawał za wygraną, dopóki i ona nie zaczęła go zauważać, a nawet tęsknić do spotkań z nim. Wcale tego nie chciała. Więcej, bardzo ją to gniewało. Wolałaby, żeby się trzymał od niej z daleka, ponieważ, Boże dopomóż, miała do niego jakąś dziwną słabość. Przystawała rozumieć samą siebie, nawiedzały ją niepokojące myśli. Nie dalej jak w ostatnią niedzielę miała ochotę dzielić go w głowę modlitewnikiem, ponieważ ośmielił się przyjść do kościoła i jego obecność nie pozwalała jej się skupić na nabożeństwie. Zaczynał się wkradać nawet w jej modlitwy.

Jedyne, co mogła zrobić, żeby się ustrzec przed całkowitą ruiną, to wymykać mu się na wszelkie możliwe sposoby. Dlatego też starannie unikała wszelkich miejsc, gdzie mogła go spotkać, nawet jeśli wiedziała, że będzie tam tłum ludzi, w którym może go w ogóle nie zauważyć. Czasami widywała go w mieście, jak szedł ulicą ze swoim przyjacielem Porterem lub wychodził ze sklepu, i wówczas życzyła mu w duchu, by ten jego przeklęty statek spalił się do cna. Bo wtedy może Nick wyniosłby się z miasta i zostawił ją w spokoju.

Niekiedy jednak łapała się na myśli, jak by to było, gdyby mógł być jej oficjalnym adoratorem. Och, zachowywać się znów jak młoda beztroska dziewczyna, tańczyć i... Dość tego, karciała się w duchu. Precz z moich myśli, Nicholasie Mackinnonie. Wynoś się z mojego życia i trzymaj się z daleka. Nie chcę cię więcej widzieć, powtarzała sobie z uporem.

I nie widziała go przez prawie dwa tygodnie, co oczywiście bardzo martwiło Nicka. Dotychczas świetnie sobie radził z kobietami, lecz w przypadku Tibbie czuł się jak nieopierzony żółtodziób. Los bywał złośliwy. Nick wiedział, że może wybierać spośród wszystkich młodych kobiet w mieście, ale żadna z nich go nie interesowała. Znał jedną, która go interesowała, jednak ta nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Odchyliwszy się na oparcie fotela, położył skrzyżowane nogi

na biurku, uważając, by nie uszkodzić rozrzuconych na nim planów statku. Włożył do ust zapalone cygaro i splótł ręce za głową. Jeszcze nigdy w życiu nie miał do czynienia z kobietą, którą tak trudno było poznać. Przypomniawszy sobie godzinę spędzoną z nią w sadzie. Czyżby się mylił, uznając, że ich rozmowa, jej niemal przyjazny ton oznaczał, że Tibbie zaczyna się do niego przekonywać?

Najwyraźniej się mylił.

Po ostatnim spotkaniu z nią sprawy nie układały się najlepiej... przynajmniej dla niego, zważywszy na to, ile razy próbował ją zobaczyć i ile razy ona sprowadzała go na ziemię albo wręcz go unikała. Była zupełnie niedostępna. Widywał ją tylko w przełocie i był na nią taki zły, że mógłby ją chyba udusić, gdyby tylko miał okazję.

Z początku jego gniew brał się stąd, że nie dotrzymała danego mu słowa. Tamtego dnia na pastwisku, kiedy uwolnił jej krowę, obiecała poświęcić mu co tydzień trochę czasu. Jednak dotąd dwukrotnie nie wywiązała się z obietnicy. Nicholas Mackinnon ponad wszystko nienawidził kłamstwa i oszustwa, nie tolerował bowiem nieuczciwości pod żadną postacią.

Wreszcie po dwóch tygodniach szczęście mu dopisało, bo spotkał ją, kiedy była całkiem sama. Ucieszony, zbliżył się do niej, a ona go odtrąciła jak uprzykrzonego owada. Swe rozczarowanie przypisywał odkryciu, że najwidoczniej Tibbie nie podziela jego pragnienia, by się częściej widywać. Jej szorstkie zachowanie go ubodło, co było widać po ściągniętych brwiach i sztywności postawy. Potem przeklinał się w duchu za to, że nie potrafił ukryć niezadowolenia.

Musiał przyznać, że jest konsekwentna. Za każdym razem, kiedy ją spotykał, czuł się tak mile widziany jak nieślubny syn na rodzinnym zjeździe. Po prostu nie była nim zainteresowana i dawała temu wyraz. Podczas ostatniej próby nawiązania z nią rozmowy usłyszał:

- Co mam zrobić, panie Mackinnon, żeby do pana wreszcie dotarło, że nie jestem panem zainteresowana ani też nie działają na mnie pańskie pochlebstwa i umizgi. Denerwuje mnie pańska namolność. Proszę się z tym pogodzić i znaleźć sobie bardziej przychylne towarzystwo.

Jednakże Nick nie zniechęcał się odmową... ponieważ w tonie jej głosu było coś nieprzekonującego, a jej spojrzenie przeczyło niechętnym słowom. Choć ze wszystkich sił starała się przekonać go, że jest zadowolona ze swego dotychczasowego życia i nie pragnie zmian, wyczuwał w niej bezbronność i cierpienie. Zdarzało się też, że pod jej buńczuczным zachowaniem widział smutek, od którego ściszało mu się serce.

Była najśłodsza istotą, jaką spotkał w całym swoim życiu, i bardzo go pociągała, a świadomość, że ma własne, odrębne życie i sekrety, których nie chce mu wyjawić, jeszcze podsycala jego zainteresowanie. Jej niechęć nie do końca go przekonywała, co z kolei dawało mu poczucie pewnej siły, która miała mu pomóc przełamać opory dziewczyny i poznać przyczynę jej smutku.

Nie wiedział, dlaczego jego tajemnicza dama odziana w ciemne barwy tak się zachowuje. Ale był zdecydowany się tego dowiedzieć. Albo od niej, albo wbrew niej.

Zdarzało mu się pokonywać w życiu większe przeciwności i to wiele razy. I tym razem nie miał zamiaru się poddawać. Znał swój nieustępliwy charakter. Upór miał we krwi, podobnie jak ojciec i bracia. Jeśli Mackinnonowie byli z czegoś znani, to właśnie z wytrwałości, dlatego Nick Mackinnon nie mógł dopuścić, by jakaś dziewczyna, choćby nawet była upartą Szkotką, pokonała go.

Któregoś popołudnia Nick siedział na odwróconej do góry dnem beczce po gwoździach przed składem handlowym. Była sobota i mieszkańcy Indianoli roili się jak pszczoły w ulu na wiosnę. Do miasta musieli przybyć w tym dniu chyba wszyscy farmerzy i przedsiębiorcy z najbliższych pięćdziesięciu mil. Odkąd usiadł przy ulicy, przed jego oczyma przedefilowała większość miejscowych i okolicznych obywateli. Nie widział jednak tej jednej osoby, na którą czekał. Nie dostrzegł nawet śladu Tibbie Buchanan.

Rube Weatherspoon, prowadzący biuro przesyłkowe, siedział obok na krześle ze szczebelkowym oparciem. Właśnie obierał jabłko; skórka tworzyła długą spiralę, dotykającą końcem desek

chodnika. Nick przed chwilą złożył u Rube'a zamówienie na płótno, którego potrzebował do uszycia żagli.

Rube skończył obieranie jabłka i wyrzucił skórkę na ulicę, gdzie natychmiast dopadło do niej pięć lub sześć kur. Odkroił kawałek mięszu i nabity na czubek noża wyciągnął do Nicka w geście poczęstunku.

- Nie, dziękuję.

- Na pewno? - spytał Rube. - Przyjechały dziś rano ze statku Strikera. Zwykle nie miewamy tu jabłek o tej porze roku.

- Wiem - powiedział Nick. - Może innym razem.

- Niech pan nie czeka za długo, bo wkrótce ich nie będzie. Te jabłka rozchodzą się szybciej niż gorące bułeczki. - Rube przyjrzał się Nickowi z uwagą. - Niewiele pan zrobił, odkąd tu jestem. Budowanie statku musi długo trwać.

Nick przytaknął, a potem patrzył, jak Rube przechodzi na drugą stronę ulicy, po drodze rzucając kurom ogryzek. Rube miał rację. Niewiele zdziałał. Próbował się skupić na szkicach pokładu, które miał rozłożone na kolanach, i zdecydować, czy użyje typowych półtoracalowych gwoździ. Nic z tego. Nic go nie obchodziły drewniane belki ani gwoździe. Był w stanie myśleć wyłącznie o miodowowłosej dziewczynie z ciepłymi brązowymi oczyma. Nigdy by nie podejrzewał, że jakaś kobieta aż tak zawróci mu w głowie.

Miał świadomość, że podczas zalotów mogą się czasami trafiać irytujące potknięcia, podobnie jak nawet największa rzeka tworzy mielizny spowalniające jej bieg, ale nie mógł znaleźć wytłumaczenia tego dziwnego kobiecego zwyczaju, żeby okazywać obojętność, kiedy mężczyzna dosłownie wychodzi ze skóry, chcąc być zauważonym. Właściwie trudno to było nazwać zwyczajem. Udawanie obojętności należało do podstawowych zasad kobiecego postępowania i brało się z głęboko zakorzenionego instynktu wabienia samców. I sprawiało biednym samcom niezliczone kłopoty. Czasami jednak Tibbie nie udawała obojętności, ona wręcz rzucała mu ją w twarz.

I oto proszę, krążył jak dorodny samiec wokół delikatnej,

kruchej samiczki, całkowicie ignorowany lub wręcz unikany, mimo swoich wysiłków. Trudno mu było znieść, a już tym bardziej zrozumieć, że im bardziej kobieta wydaje się niedostępna i niechętna, tym mocniej rozbudza męskie pożądanie.

Doszedł do wniosku, że najłatwiej mu będzie uporać się z tym problemem, zmieniając obiekt zainteresowania. Tylko że, niestety, siła wyższa, rządząca tymi sprawami, nie wzięła pod uwagę takiego rozwiązania. Nie potrafił nawet patrzeć na inne kobiety. Na dobrą sprawę, Tibbie mogłaby być jedyną przedstawicielką przeciwnej płci na całym świecie. Oto jak źle z nim było.

Czyż nie było ironią losu, w istocie smutną, że znany z unikania miłości i małżeństwa kawaler, który wcześniej nie zagrażał miejsca przy żadnej kobiecie, choćby nie wiem jak chętnej, w końcu zakochał się w takiej, która miała go za nic.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni puściła mu prosto na twarz drzwi stodoły, omal nie łamiać mu przy tym nosa. Odepchnęła go z taką siłą, że stracił równowagę i wpadł na postawną panią Weatherspoon, przewracając ją na błotnistą ulicę. Innym razem wylała mu na głowę wiadro wody („żeby ostudzić niewczesne zapędy”, jak powiedziała). Nie wspominając już, że trzykrotnie się z nim umówiła, raz wysyłając w zastępstwie najbrzydszą kobietę z całego stanu Teksas. Za drugim razem przysłała mu kartkę z przeprosinami oraz koszyk ciasteczek. Ciasteczka były pełne pieprzu, który sparzył mu usta i gardło. Za trzecim razem zjawiła się w otoczeniu gromady ludzi i posyłając mu spojrzenie zdolne zabić wołu, spytała:

- Życzy pan sobie czegoś, panie Mackinnon?

Do diabła, owszem, życzył sobie! Życzył sobie, żeby okazała mu odrobinę zrozumienia. Żeby spojrzała na niego bez znudzenia i niechęci. Życzył sobie, by się śmiała z jego żartów. Żeby oczy jej jaśniały radością na jego widok. Żeby z nim flirtowała chociaż troszkę. Pragnął, by się ubierała tak jak inne kobiety, a nie w te ciemne, przynębiające kolory. Pragnął zobaczyć, jak wygląda bez ubrania.

Pragnął jej. Po prostu.

Ale nie wyglądało na to, by jego pragnienia miały się spełnić choćby w najmniejszym zakresie. Mógł sobie siedzieć na tej beczce, dopóki nie dostanie odcisków na tyłku. I po co? Spojrzał na rozłożone na kolanach szkice.

- Biedny, nieszczęsny głupcze - mruknął do siebie, kręcąc głową.

Miał opóźnienia w pracy.

Nie był w stanie się skupić.

Nie mógł tak dalej żyć.

Coś musiało się zmienić.

Obawiał się, że inaczej postrada zmysły.

- No dobrze - powiedział, spoglądając w niebo. - Boże, jeśli masz jakiegoś asa w rękawie, wyłóż go teraz, bo mi już brakuje cierpliwości i pomysłów.

Nie wierząc, że otrzyma odpowiedź, Nick spojrział na opustoszałą ulicę, po której hulał tylko wiatr, podnoszący z ziemi kurz i śmieci.

- W porządku! - rzekł twardo. - Skończyłem, mam dość, rezygnuję. - Podniósł się z beczki. - Baw się kim innym. Żadna kobieta nie jest warta takiego zachodu. Muszę zbudować statek. - Zwinął szkice w rulon i właśnie upychał je pod pachą, kiedy dostrzegł Rube'a stojącego w drzwiach składu.

- Ucinamy sobie prywatną pogawędkę z Wszechmogącym? - zagadnął go Rube z domyślnym uśmiechem.

- Coś w tym rodzaju.

- Założę się, że jakaś kobieta siedzi panu w głowie.

- Owszem, a przecież są dla nich lepsze miejsca.

Nick już miał zejść z chodnika na ulicę, kiedy ją zobaczył. Wjeżdżała do miasta, siedząc w bryczce obok ojca. Minęli skład, a choć Tibbie nie dała żadnego znaku, że go widziała, Nick nie spuszczał z niej oczu.

- Dziwię się panu - rzekł Rube - że pan tak stoi beczczynnie. Bóg dał panu mleko. Na co pan jeszcze czeka? Na wiadro?

Doktor Buchanan zatrzymał bryczkę przed kuźnią. Nick domyślił się, że Tibbie przyjechała z ojcem po naprawiony wóz.

Widząc, jak ojciec pomaga jej wysiąść, Nick przestał wygładzać rondo kapelusza i włożył go na głowę.

Ruszył w kierunku Tibbie.

Rube podrapał się po brodzie.

- Niektórzy nie dość, że mają szczęście, to jeszcze by chcieli, żeby samo do nich przyszło. - Westchnął, znikając w drzwiach.

Tymczasem Nick był już przed kuźnią.

- Może by pani poszła ze mną na tańce z okazji Dnia Niepodległości Teksasu?

Tibbie poderwała głowę. Dobrze знаła ten głos, ale się nie odwróciła. Ten człowiek musiał mieć brata bliźniaka. Bo przecież niemożliwe, żeby jedna osoba pojawiała się w tylu miejscach.

- Chyba pana nie słyszała - zauważył Fisher Huffington, pomocnik kowala.

Nick spojrział na młodego człowieka pracującego przy miechach.

- Tak sądzisz?

- Na to wygląda - odparł Fisher głosem równie potężnym jak jego bary.

- Zaraz to naprawię.

Nie słysząc żadnego odgłosu, powodowana ciekawością Tibbie obejrzała się za siebie. Nicholas Mackinnon kłęczał na jednym kolanie, przyciskając kapelusz do piersi.

- Piękna panno Buchanan, czy zrobi mi pani ten zaszczyt i pójdzie ze mną na tańce w Dniu Niepodległości?

- Proszę wstać - szepnęła, rozglądając się niespokojnie. - Niech pan wstanie - powtórzyła głośniejszym głosem. - Czy pan oszalał?

Uśmiechnął się szeroko.

- Prawdopodobnie.

Znów się rozejrzała, wyraźnie zakłopotana. Nie wiedziała, czy ma go ignorować, czy lepiej uciec. Jednym i drugim zwróciłaby na siebie uwagę.

- Proszę wstać. Słyszysz pan? - Wreszcie zniecierpliwiona krzyknęła: - Niech pan wstanie, głupcze! Ludzie się na nas gapią! Nie wstyd panu?

- Nie... ani trochę. A pani?
- Och! - Tupnęła nogą ze złości. - Wstanie pan wreszcie? Robi pan z siebie widowisko!
- Proszę odpowiedzieć, to wstanę.
- Nie. Niektóre pytania nie zasługują na odpowiedź. - Odwróciła się do niego plecami.

Nick zastanawiał się, czy żartobliwy ton był aby najlepszym pomysłem. Zamiast rozkoszować się jej śmiechem (ostatecznie zadowoliby go choć słaby uśmiech), patrzył na plecy młodej kobiety, która odpowiedziała na jego humor lodowatym spojrzeniem i odwróciła się od niego. Czuł się jak wiejski głupek. Widząc, że Fisher mu się przygląda, bąknął:

- Chyba nie bardzo mi to wychodzi.
- Na to wygląda - przyznał Fisher. - Powiedziałbym, że w ogóle panu nie wychodzi.

Nick zmarszczył czoło. Zaczynał rozumieć, dlaczego Fisher jest tylko pomocnikiem kowala.

- Cóż, muszę użyć bardziej kwiecistych słów.
- Albo rozumu - poradził dobrodusznie Fisher.

Tibbie wydeła usta, przybierając minę urażonej niewinności. Jeśli w ten sposób chciała pokazać, że jest bezbronną ofiarą bezczelnego natręta, znakomicie jej się to udało. Nick spojrzał najpierw na nią, potem na kowala, na końcu na pomocnika.

Wszyscy troje przyglądali mu się z politowaniem. W każdym innym przypadku, gdyby chodziło o każdą inną kobietę, dałby sobie spokój. Ale jego szkocka dusza wydała odwieczny krzyk bojowy Mackinnonów, a do głowy przyszło mu nie wiadomo skąd przysłowie, że muła można oskórować na wiele sposobów. Jeszcze raz popatrzył na Tibbie. Kwaśna mina, wrogie spojrzenie i rumieniec zażenowania na policzkach dowodziły niezbicie, że ta dziewczyna stanowczo za rzadko się śmieje.

Dobrze, Mackinnon. Już zrobiłeś z siebie głupka. Czyż można wyglądać jeszcze głupiej?

Postanowił się o tym przekonać.

Jeśli Tibbie Buchanan uważała, że teraz wyglądała na wiejskiego idiotę, to znaczy, że niewiele widziała.

- Niech pani idzie ze mną na tańce - powiedział, wkładając kapelusz na głowę i podnosząc się z kolan. - Niech pani idzie ze mną na tańce - powtórzył głośniej.

Tibbie zauważyła, że na ulicy pojawia się coraz więcej ludzi; niektórzy z nich zaciekawieni zbliżali się do kuźni.

- Niech pani idzie ze mną na tańce, Tibbie - rzekł jeszcze głośniej. - Moje szkockie serce każe mi panią zaprosić. - Już prawie krzyczał.

- Idź z nim, Tibbie! - zawołała Laura Shrewbush. - Bo złamiesz jego szkockie serce!

Rozległy się pojedyncze śmiechy, grupa chłopców w wieku szkolnym zaczęła coś pokrzykiwać.

- Panie Mackinnon, pan chyba nie wie, co robi. Niech mnie pan zostawi w spokoju! Proszę!

- Chce pani być jedyną osobą w Indianoli, która w przyszłą sobotę będzie siedzieć w domu?! - zawołał. Podszedł do koryta z wodą dla koni i stanął na nim okrakiem, rozkładając ręce na boki. - Chcę, żeby pani poszła ze mną na tańce. Bez pani nie pójdę. Przyszyję włosy. Kupię sobie nowe ubranie. Przyniosę pani bombonierkę. Wezmę kilka lekcji tańca i dam pani słowo, że nie będę jej deptał po nogach.

Wokół robiło się coraz weselej. Gromadził się tłum gęstszy niż na wieszanie skazańca czy paradę.

Pewnie dostanę po pysku, ale warto, jeśli tylko mi się uda, pomyślał Nick.

- Jest tylko jeden sposób, żeby mnie stąd ściągnąć, żebym się zamknął i przestał panią prześladować, jeden sposób, żebym dał pani spokój i przestał robić z siebie widowisko. Zgodzić się pójść ze mną na tańce.

Od strony gapiów dobiegł szum poparcia, liczne okrzyki i kilka gwizdów.

- Słyszysz pani? Zacni obywatele Indianoli też uważają, że powinna się pani zgodzić. - Uniósł obie ręce. - Proszę powie-

dzieć, że pójdzie pani ze mną na tańce, i natychmiast zamilknę. Proszę powiedzieć „tak” i już nie będzie pani musiała mnie słuchać. Proszę mi obiecać, to przestanę robić z siebie durnia na tym korycie. - Patrząc jej w oczy, ostrzegł: - Proszę powiedzieć „tak”, bo inaczej spędzimy tu cały dzień.

- Tak! - krzyknęła piskliwie.

Nick wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, wyrzucając przy tym kapelusz wysoko w górę. A potem zrobił coś, czego nikt, nawet on sam, nigdy by się nie spodziewał. Z wyciągniętymi nad głową rękami, z radosnym uśmiechem na twarzy zaczął się odchyłać do tyłu, coraz bardziej, aż wreszcie wpadł do koryta jak kłoda.

Rozległ się głośny plusk, przestraszone konie zaczęły się szarpać; kwicząc i rżąc, zrywały wodze. To z kolei spłoszyło stojący przed składem handlowym zaprzęg, który ruszył z kopyta; spiętrzone na wozie klatki z drobiem posypały się na ulicę z hukiem i wściekłym ptasim jazgotem. Zaroiło się od kur, dzieci, pierza i brykających koni.

- Nie będzie pani żałować - oświadczył Nick, próbując przetrząść wrzawę. Wygramoliwszy się z koryta, poklepał się po piersi. - Brrrr! - parsknął.

- Nie będę pana żałować, jak się pan przeziębi - powiedziała Tibbie, myśląc o tym, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała, by dorosły człowiek zrobił coś podobnego.

Po głębszym zastanowieniu musiała przyznać, że nie widziała również czegoś takiego w wykonaniu dziecka.

Na koniec doszła do wniosku, że po prostu nikt by nie zrobił czegoś takiego, nawet niedorozwinięty osiłek, który mieszkał w szopie na przedmieściu. Nim zdążyła dojść do dalszych wniosków, Nick został aresztowany przez Harry'ego Zajacę i odprowadzony do celi pod zarzutem zakłócania porządku i wywołania paniki.

Później dowiedziała się, że szeryf Zajac dodał jeszcze „zniszczenie mienia” do długiej listy oskarżeń, ponieważ stary siwy muł Hecka Tuckera tak się zdenerwował, że wbiegł do zakładu fryzjerskiego Fletchera. Było więc niedobrze. Co gorsza, pan

Fletcher chwycił laskę i zaczął nią okładać siwego muła. I muł w końcu opuścił jego zakład, tyle że przez nowiutkie okno wystawowe, które pan Fletcher sprowadził sobie aż z Chicago. Było bardzo niedobrze.

Tibbie wróciła do domu i nie wytykała z niego nosa aż do następnego ranka, kiedy to doktor Buchanan zapakował całą rodzinę do bryczki i zawiózł do kościoła.

W nocy zawiał do Indianoli lodowaty północny wiatr i było strasznie zimno, więc kiedy doktor Buchanan podjechał pod same drzwi kościoła, Tibbie wraz z resztą rodziny wysiadła w wielkim pośpiechu. Już w przedsionku zdjęli z siebie grube wierzchnie okrycia, a Tibbie postanowiła pozostać w szalu, ponieważ zęby szczękały jej z zimna.

Mimo niekorzystnej zmiany pogody pobożna ludność Indianoli przybyła do kościoła wyjątkowo licznie. Wielebny Timothy Woolridge czytał z ambony różne ogłoszenia, podczas gdy jego żona, niemal tak szeroka jak pianino, przy którym siedziała, rozpaczliwie walczyła z sennością. Rodzina Buchananów, robiąc przy tym nieco więcej szumu, niż wypadało w Domu Bożym, przemaszerowała środkiem kościoła do swojej ławki i stanęła.

Coś było nie tak.

Wdowa Hevers wraz z dziewięciorgiem pociech siedziała w ławce, którą Buchananowie zajmowali od czasu, gdy przybyli do Indianoli przed dwudziestu pięciu laty. Żeby dostrzec istotę problemu, wystarczyło spojrzeć na sąsiednią ławkę, o jeden rząd bliższą ołtarza, gdzie zwykle zasiadała wdowa Hevers. W ławce pani Hevers siedział stary pan Dimmesdale z córką i jej rodziną. Przed nimi, w ławce Dimmesdale'ów, siedziała rodzina Gutcherów. A przed Gutcherami, w ich ławce, siedział dyrektor miejscowego banku, Hector Peabody, z panią Peabody i wszystkimi małymi Peabodymi. A przed Peabodymi siedział nie kto inny, jak sprawca całego zamieszania, Nicholas Mackinnon. A ponieważ państwo Peabody mieli tyle dzieci, że po-

trzebowali całej ławki, Nicholas siedział w ławce Peabodych zupełnie sam.

Wielebny Woolridge doszedł do wniosku, że może przestać czytać ogłoszenia, ponieważ i tak nikt go nie słucha. Wszyscy patrzyli, jak doktor Buchanan usuwa wdowę Hevers i jej dziewięcioro dzieci ze swojej ławki. Wdowa Hevers, niewiele myśląc, przyłożyła Biblią w ramię staremu panu Dimmesdale'owi, w ten dość szorstki sposób nakłaniając go do usunięcia się, wraz z rodziną, z tej ławki. Co zrozumiałe, pan Dimmesdale kazał zwolnić swoje miejsce Gutcherom, którzy tak samo potraktowali dostojnego bankiera, pana Peabody'ego, panią Peabody oraz ich liczne potomstwo. Całe to zamieszanie z opuszczaniem ławek i przesiadaniem się na właściwe miejsca powodowało, że drewniana podłoga kościoła dudniła i skrzypiała, jeszcze potęgując wrażenie chaosu.

- Doktooorze Buchanan! - zaczął donośnie wielebny Woolridge. - Czy byłby pan łaskaw zgodzić się, bym pozwolił sobie unieźenie prosić o wyświadczenie mi tej uprzejmej przysługi i ulokowanie swojej trzódki, byśmy mogli w spokoju przystąpić do dzielenia się owocem słowa bożego?

- Przepraszam, wielebny, nie zrozumiałem. Mógłby wielebny powtórzyć?

- Mógłby pan wreszcie usadzić swoją rodzinę, żebyśmy mogli zacząć? - niemal ryknął poczciwy pastor.

- Staram się, wielebny, właśnie się staram.

Bębniąc palcami w pulpit, pastor odczekał, aż Coll i jego rodzina będą gotowi, po czym stwierdził sucho:

- Doktorze Buchanan, łatwiej sowę zmusić, żeby w dzień latała, niż pana pogodzić z Najwyższym.

Nicholas Mackinnon, który był przyczyną całego zamieszania, zdążył przemknąć chyłkiem na tyły kościoła i usiadł koło Marvaleny Bruce, która westchnęła tak potężnie, że zdmuchnęła trzy pióra z czarnego kapelusza wdowy Dudley.

Po kościele Tibbie i Beth czekały na resztę rodziny przy bryczce. Beth była zajęta robieniem min do Timmy'ego Satterly'ego przez wielkie szprychy kół, a Tibbie przestępowała z nogi

na nogę, modląc się, by rodzina trochę się pospieszyła, kiedy ukazał się Nick. Widząc Beth przykucniętą przed kołem, z twarzą wykrzywioną okropnym grymasem, obszedł bryczkę dookoła, także przykucnął i wykrzywił się do dziewczynki. Beth pisnęła z zachwytu i podskoczyła, klaszcząc w dłonie.

- Zrób to jeszcze raz! Zrób jeszcze raz!

Tibbie rozejrzała się, żeby sprawdzić, o co dziecku chodzi, i napotkała spojrzeniem dziwnie zmarszczoną twarz Nicka, podobną do wysuszonej śliwki.

- Dobrze się pan bawi? - spytała.

Z uśmiechem stanął obok niej.

- Kiedyś byłem w tym bardzo dobry - pochwalił się, otrzepując bryczesy.

- Nadal pan jest. - Roześmiała się, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widziała.

Beth podbiegła do Nicka i chwyciła go za rękę.

- Chodź, pokaż Timmy'emu. Pokaż mu, jak się robi taką minę.

- Nie teraz - wtrąciła pospiesznie Tibbie. - Beth, nie nudź pana Mackinnona.

Nick uśmiechnął się do dziewczynki, pociągając ją lekko za warkoczyk.

- Wcale nie nudzisz, prawda, Beth?

- Wcale - powiedziała Beth, ciągnąc Nicka za rękę.

Posłusznie poszedł za dziewczynką, odprowadzany niespokojnym spojrzeniem Tibbie. Jeszcze nie widziała mężczyzny, który by się tak zupełnie nie przejmował tym, co inni o nim pomyślą. Stojąc pod wielkim dębem, robił z siebie głupca, pokazując gromadce pięciorga czy sześciorga dzieci różne straszne miny, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że połowa mieszkańców Indianoli dziwnie mu się przygląda.

Po kilku minutach Nick i Beth wrócili do bryczki. Rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów.

- Słuchaj! - wykrzyknęła radośnie Beth.

- Kiedy byłem małym chłopcem, mama mi mówiła, że za

każdym razem, kiedy dzwonią kościelne dzwony, jakiś anioł dostaje skrzydeł.

- O rany! - zdumiała się dziewczynka. - To musi być dużo aniołów!

- Owszem - potwierdził Nick z powagą. - A wiele z nich jeszcze nie ma skrzydeł. - Mówiąc to, patrzył na Tibbie. Zadarła nos, co go rozśmieszyło.

- Idę powiedzieć Timmy'emu. - Beth pobiegła do swego kolegi.

- Chyba już pójdę. Życzę miłego dnia, panno Buchanan - powiedział Nick, odpychając się od bryczki, o którą był oparty.

- Miłego dnia. - Tibbie skinęła mu lekko.

Mijając ją, dotknął kapelusza i szepnął:

- Szkoda, że nie jest pani taka beztroska jak pani mała siostrzyczka. Jeśli się pani postara, to może też dostanie kiedyś skrzydeł.

Tibbie patrzyła oniemiała, jak Nick wsiada na konia i odjeżdża. Mała siostrzyczka? Myślał, że Beth jest jej siostrą? Cóż, niech sobie myśli, co mu się podoba. Wsiadła do bryczki i otworzyła parasolkę.

Dwa dni później o wpół do piątej Nick z Porterem Mastersonem szli chodnikiem przez miasto. Zakończywszy na ten dzień pracę w stoczni, zmierzali do saloonu Pod Drewnianym Miedziakiem, żeby przy szklaneczce czegoś mocniejszego porozmawiać o interesach. Jak na marzec, dzień był całkiem ładny, nawet niezbyt zimny. Zwykle dokuczliwy wiatr tym razem poprzestawał na wzniecaniu obłoczków kurzu i dawno zeschniętych liści. Bezchmurne niebo i ciepłe promienie słońca sprawiły, że tego dnia więcej mieszkańców miasta wyległo na ulice.

Doszedłszy do rogu ulicy Butternut, Porter i Nick skręcili w Pecan. Drewniany Miedziak znajdował się zaledwie o jedną przecznicę od nich. Podobnie jak Tibbie Buchanan.

Widząc, że zbliża się z naprzeciwka, Nick przestał słuchać, co mówi do niego Porter. Myślał tylko o tym, jaką piękną istotę

ma przed sobą i jak bardzo chciałby z nią spędzić trochę czasu sam na sam. Za parę dni była sobota. Czy będzie pamiętała o obietnicy pójścia z nim na tańce z okazji Dnia Niepodległości Teksasu, czy raczej planuje inną niespodziankę?

Był tak zajęty rozmyśleniami o Tibbie, że w pierwszej chwili nie zauważył idącej z nią małej dziewczynki. A kiedy już dostrzegł, rozpoznał ją natychmiast. To była Beth, mała siostrzyczka Tibbie. Przyjrzał się dziewczynce uważniej, bezwiednie porównując ją z siostrą, której okazywała szczególne przywiązanie. Beth, podobnie jak Tibbie, była blondynką, ale jej włosy nie miały miodowego odcienia, jak włosy Tibbie, lecz były koloru lnu, tak jasne, że prawie białe. Kiedy podeszły bliżej, zauważył, że Beth ma oczy inne niż siostra - w kolorze niebieskich szklanych koralików i błyszczące jak koraliki. Beth była elegancko ubrana, w czerwony aksamitny płaszczyk wykończony białym futerkiem, do tego białą futrzaną czapkę i mufkę. Tibbie, jak zwykle, miała na sobie ciemny strój - spod czarnej peleryny wystawała spódnica ni to w kolorze bordo, ni to brązowa. Czepek w podobnym odcieniu skrywał jej piękne włosy i rzucał cień na twarz. Nick miał ochotę zerwać jej z głowy to szkaradne nakrycie, zaciągnąć ją do najbliższego sklepu i kupić jej najładniejszą sukienkę.

Porter i Nick mijali właśnie skład handlowy, gdy w jego drzwiach ukazały się dwie kobiety w wieku Tibbie. Nickowi zdawało się, że przez śliczną twarz Tibbie przebiega cień, ale nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Odstępując na skraj chodnika, żeby przepuścić kobiety, przyglądał się, jak Tibbie i Beth prześlizgują się pomiędzy nimi, niczym zgrabny kliper między dwiema górami lodowymi.

Góry lodowe stanęły i odwróciły się, obserwując, jak Tibbie z dzieckiem wchodzi do składu. Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał i zamilkł.

Nick z Porterem spojrzeli po sobie i ruszyli dalej chodnikiem. Nagle usłyszeli, jak jedna góra lodowa mówi do drugiej:

- Co ona sobie wyobraża? Paraduje ze swoim bękartem między przyzwoitymi ludźmi, jakby się miała czym chwalić.

- Moim zdaniem, ma więcej tupetu niż muł. Mama mówiła...
Nick nie słyszał niczego więcej. W głowie szumiało mu echem jedno słowo: bękart... bękart... bękart...

Nic dziwnego, że Beth tak do niej lgnęła.

Już w sklepie Tibbie ścisnęła rączkę dziewczynki tak mocno, że ta pisnęła.

- Zgnieciesz mi rękę!

- Przepraszam, skarbie. - Tibbie sięgnęła do kieszeni peleryny, wyciągnęła monetę i podała Bethany. - Masz, kup sobie lizaka, tak jak mówił dziadek. Tylko się pospiesz, bo musimy już iść.

Z całych sił ściskając w dłoni pieniądze, Beth podbiegła do lady. Tibbie wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak siostry Carter przystają na chodniku pogrążone w rozmowie, a zaraz potem dostrzegła dziwny wyraz twarzy Nicholasa Mackinnona.

Więc teraz już wie, domyśliła się. I dobrze. Tak jest nawet lepiej. Dowiedziałyby się prędzej czy później. Dobrze, że nie robiłam sobie fałszywych nadziei. Cieszę się, że nie uległam. To prawda, że jest czarujący. Ale dla mnie te rzeczy już są niedostępne. Na zawsze. Żaden mężczyzna nie zechce... kobiety takiej jak ja.

Tibbie błyskawicznie uporała się ze sprawunkami..

- Mamo, czemu idziemy tak szybko? - marudziła Beth. - Czemu nie możemy wstąpić do pani Hibbets i pożyczyć od niej tej książki, którą nam obiecała? - Wreszcie spytała z żalem: - Mamo, jesteś na mnie zła?

Tibbie stanęła jak wryta. Odwróciła się do Beth i przykładając dłoń do różowych policzków dziecka, powiedziała:

- Nie, aniołku. Nie jestem na ciebie zła. Jestem zła na siebie.

- Aha - powiedziała Beth, znów biorąc matkę za rękę. - A dlaczego?

- Nie zrozumiałabyś tego. Powiem ci, jak będziesz większa.

- Kiedy będę miała pięćdziesiąt lat, tak jak ty?

- Tyle jeszcze nie mam - obruszyła się Tibbie. Ale na Boga, na tyle się czuję, dodała w duchu. Nawet na więcej.

Dalszą drogę do domu przebyły w milczeniu. Beth, zadowolona

z wyjaśnień, poświęciła całą uwagę miętowemu lizakowi. Tibbie, daleka od zadowolenia, nie miała ochoty na rozmowę.

Kręgi. Życie płynęło, zataczając kręgi.

Najpierw przyszło uspokojenie, kiedy ucichły plotki i życie potoczyło się dalej, jakby nic złego się nie stało. Wówczas Tibbie była w stanie prawie zapomnieć. A czasami nawet potrafiła zachowywać się beztrzesko, jak szczęśliwa dwudziestojednoletnia dziewczyna.

Prawie.

Ale na jej świadomości pozostała na zawsze ciemna plama, niczym chmura bezlitośnie pozbawiająca jej życie słonecznego blasku, rzucająca dotkliwy chłód, którego żadna ilość ciepła nie mogła rozproszyć.

Któregoś popołudnia, idąc drogą do miasta, przystanęła na łagodnym zboczu, skąd w oddali widać było stocznię, w której pracował Nicholas Mackinnon. Żagle, posepnie szare pod ołowianym niebem, spowijała gęsta zimna mgła. Od czasu do czasu przerzedzała się w niektórych miejscach i wówczas Tibbie przez moment widziała zarys miasta lub nawet ruchomy ciemny punkt, który mógł być bryczką lub powozem jadącym drogą do Indianoli. Pomiędzy stocznią a miastem stał niewielki dom, gdzie mieszkał Nick. Ale tego domu nie udało jej się zobaczyć.

Tamtej nocy, siedząc w łóżku oparta o poduszki, pisała w swoim pamiętniku. Napisała, że życie jest jak długi łańcuch i nie sposób widzieć go w całości do końca, bo za każdym razem można ogarnąć wzrokiem tylko jedno ogniwo. Nie mogła wybierać swego losu. Wiedziała jednak, że to, jak sobie z nim poradzi, zależy tylko od niej.

- Proszę. - Westchnęła, opuszczając głowę na piersi. - Nie wiem, co robić. Pomóż mi. Pomóż mi wrócić do życia. Powiedz mi, jak żyć, komu ufać. Daj mi jakąś wskazówkę. Jestem taka zmęczona swoim dotychczasowym życiem, ale boję się cokolwiek w nim zmienić. Pomóż mi. Pokaż mi drogę. Daj mi znak.

6

„Człowiek ustanawia cele, Bóg rozwiewa nadzieje”. Powiedział to wielbny Woolridge czy Cervantes?

Po namyśle Tibbie zdecydowała, że te słowa bardziej pasują do Cervantesa niż do zacnego pastora. I nie myliła się.

Proszę o znak i co otrzymuję? Odkrycie, że Bóg ma poczucie humoru. Według niej, kiedy chodziło o odpowiedź na modły, człowiek wołałby więcej szczęścia, a mniej dowcipu.

Z samego rana Tibbie przypomniała sobie swoją wieczorną modlitwę. Wskoczywszy z łóżka, podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła słońce.

Słońce! To mógł być dobry znak.

Słońce skryło się za chmurą.

Zobaczyła, jak Beth bawi się ze swoją świnką, Fortuną.

Śmiech! To dobry znak.

Ale Beth potknęła się, upadła i z płaczem pobiegła do domu.

Tibbie otworzyła okno. Był piękny, iście wiosenny dzień, aż za piękny jak na początek marca.

Obiecujący dzień. To też mógł być dobry znak.

I wtedy zobaczyła Nicholasa Mackinnona zmierzającego drogą w stronę domu.

To nie był dobry znak.

Spojrzała pytająco w niebo. Chybabyś mi tego nie zrobił?
I słońce wyszło zza chmury.

Tibbie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie ten znak - szepnęła. - Wszystko, tylko nie to.

Ale kiedy odjęła ręce od oczu, Nicholas Mackinnon wciąż tam był, coraz bliżej. Słońce świeciło mu w plecy, a on uśmiechał się jak skończony głupiec. Trudno ignorować Boga, kiedy nas wali między oczy.

Z bolesnym westchnieniem Tibbie odeszła od okna, ściągnęła przez głowę nocną koszulę i rzuciła na niezaścielone łóżko. Uznała, że jeśli się pospieszy, zdoła wyjść z domu, zanim on do niego wejdzie. Włożyła sukienkę i przejechała grzebieniem po włosach, splatając warkocz już w drodze do drzwi. Zbiegała po schodach po dwa stopnie naraz.

Powinna była wiedzieć.

Tymczasem próbowała się wymknąć z domu niepostrzeżenie. Ona. Tibbie Buchanan. Ta sama Tibbie Buchanan, której nic nigdy nie uchodziło na sucho.

I przez kogo została przyłapana? Tym razem cała zasługa przypadała Fortunie. Kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby nazwać świnie Beth Fortuna? Była wszystkim, tylko nie tym. Bo to ona wydała Tibbie. I to w sposób, który trudno by nazwać subtelnym.

Świński kwik bywa irytujący, irytujący i całkiem donośny. Bez wątplenia przyciąga uwagę. Tak właśnie się stało, kiedy Fortuna odkryła ucieczkę Tibbie kuchennymi schodami i ruszyła w pościg, zręcznie przebijając raciczkami po drewnianych podłogach. Równocześnie ciszę spokojnego poranka przeszył kwik, godny najstraszniejszego z upiorów.

- Na litość boską, co ta świnia robi w domu?! - wrzasnęła Coll, ukazując się w drzwiach kuchni, z obliczem srogim jak gradowa chmura.

- Ciągłe przychodzi do domu - powiedziała spokojnie Effie, wychodząc z kuchni za mężem i wycierając w fartuch mokre dłonie.

- Nie wtedy, kiedy ja tu jestem!

- Ależ owszem, tylko jej nie zauważasz, bo nie robi hałasu - upierała się Effie.

- Nie zauważam! Jak można nie zauważyć stukilowej świni płaczącej się po domu?

- Ja też tego nie rozumiem - wyznała Effie. - Myślę, że tym razem ją zauważyłeś, bo kwiczała na Tibbie.

Coll spojrział pytająco na córkę.

- Czemu tak na ciebie kwiczała?

- Nie wiem - bąknęła niepewnie Tibbie.

- Ale ja wiem - włączyła się Beth. - Mama skradała się kuchennymi schodami i Fortuna ją zobaczyła. Nie lubi zostawać sama.

- Skąd wiesz, że się skradała? - spytała Effie.

- Bo schodziła ze stopni bardzo szybko... i trzymała buty w garści.

- Przypuszczam, że ja mogłem mieć z tym coś wspólnego - odezwał się mocny męski głos za ich plecami.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się do drzwi i ujrzeli babcię Grace wprowadzającą do holu Nicholasa Mackinnona.

- Widzi pan - oświadczyła triumfalnie, wskazując na Tibbie. - Mówiłam panu, że tu jest.

Buchananowie spojrzeli na Nicholasa Mackinnona, ubranego w jasne spodnie z bawolej skóry - zdaniem Tibbie stanowczo zbyt obcisłe - i ciemnoniebieską kurtkę. W opuszczonej ręce trzymał kapelusz. Stanowił ciekawy kontrast z babcią Grace, która stała po jego lewej stronie, z ręką na klamce. Staruszka najwyraźniej jeszcze nie zaczęła dnia na dobre, ponieważ wciąż miała na sobie szlafrok i nocny czepek, leżący płasko na rozczochranych siwych włosach.

Co on tu robi, zastanawiała się Tibbie. Przecież nie powinien przychodzić po tym, co usłyszał na jej temat w mieście, po tym, jak widział ją z Beth. Spojrzała na babcię. Siwy koczek, który poprzedniego wieczoru znajdował się na czubku jej głowy, teraz smętnie zwisał nad jednym uchem. Krzyżując ramiona na piersi, Tibbie oparła się plecami o ścianę.

- Babciu - odezwała się napiętym ze złości głosem. - Dlaczego otwierasz drzwi w takim stroju, w dodatku nic nikomu nie mówiąc?

- Bo pukał- stwierdziła babcia, nie siląc się na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

Nick omal się nie udławił, widząc, jak Tibbie zaciska zęby. Z trudem powstrzymywany śmiech łaskotał go w gardle. Popatrzył z góry na staruszkę, filigranową, siwą jak gołąbek i ostrą jak szpilka. Znienacka przyszło mu do głowy, że chciałby ją znać, kiedy była młodą kobietą. Teraz przyglądał się, jak stawia czoło całej rodzinie, i szczerze ją podziwiał.

- Wielkie nieba, jak można zadawać babci sensowne pytanie? - mruknął Coll.

- Coll, nie mów takich rzeczy w towarzystwie. Wprawiasz babcię w zakłopotanie - skarciła go Effie.

Bynajmniej nie okazał skruchy.

- Wprawiam w zakłopotanie? Jak można wprawić w zakłopotanie kogoś, kto przyjmując komunię pod postacią wina, osusza kielich do dna... na oczach całej parafii, zwróć uwagę, po czym oddaje pastorowi ze słowami: „Bardzo dobre, chyba poproszę o jeszcze”.

- Po prostu zapomniała, gdzie się znajduje, Coll. Poczekał tylko. Twój czas też nadchodzi.

- No to jak już nadejdzie, proszę, wyświadczyć mi przysługę. Zamykaj mnie na klucz! Albo mnie zastrzel! Ale nie puszczaj mnie między porządnymi ludźmi, kiedy mnie rozum opuści.

Nicholas poczuł się lekko skołowany. Jeszcze nie spotkał takiej rodziny. Spojrzał najpierw na doktora Colla Buchanana, zażywnego mężczyznę z łysiną okoloną wianuszkami srebrnych włosów i groźnie ściągniętymi brwiami, które jakby nie pasowały do ciepłego wyrazu jego oczu. Potem przyjrzał się Effie Buchanan, która sprawiała wrażenie zbyt młodej na to, by mieć córkę w wieku Tibbie; miała wciąż dziewczęco smukłą figurę, a w ciemnych włosach ledwie parę białych nitki. W końcu przeniósł wzrok na Tibbie, jak zawsze piękną, choć nadmiernie poważną w ciemnym surowym stroju.

Jednak największe wrażenie zrobiła na nim babcia. Nie widział w tej drobnej postaci odzianej w zwoje czarnego szlafroka, w zawadiacko przekrzywionym czepku, spod którego siwe włosy wymykały się na wszystkie strony, zdziecinniałej staruszki, tylko mądrego Merlina, czyniącego czary.

- Czemu wszyscy na mnie patrzą? - zdumiała się babcia. - Czyżbym zrobiła coś złego?

- Tak! - Trzy głosy zabrzmiały zgodnym chórem.

- Nie powinnaś otwierać drzwi w takim stroju - upomniał Coll.

- Powinnaś mnie uprzedzić, zanim komuś powiesz, że jestem w domu - powiedziała Tibbie.

- Lepiej będzie, jak otwieranie drzwi zostawisz gospodyni, mamó - dodała Effie. - To należy do jej obowiązków.

- Jakiej gospodyni?

- Dobry Boże! - jęknął Coll. - Gospodyni to ta kobieta, która od trzech lat codziennie podaje ci śniadanie!

- Cóż, nie wiedziałam, że Gladys jest gospodynią. Nikt mi nigdy nic nie mówi - pożałowała się babcia. - Słyszę wyłącznie narzekania.

- Ty przecież nic nie słyszysz! - przypomniał jej Coll. - Jesteś głucha jak pień.

- Też coś! - obruszyła się babcia, rzucając im wyniosłe spojrzenie. - Wracam do łóżka - dodała, kierując się ku schodom. Stojąc na pierwszym stopniu, odwróciła się i mrużąc oczy, powiedziała do Nicka: - Na pana miejscu poszłabym z wizytą do jakiejś innej rodziny. Ta jest nieznośna. - Poszła na górę, mrużąc do siebie: - Nikt mi nigdy nic nie mówi. Jak mam cokolwiek wiedzieć, kiedy nikt mi nic nie chce powiedzieć. Powtarzają mi tylko, czego nie powinnam albo co powinnam, albo co zrobiłam źle. - Machnęła ręką. - Dzieci - rzuciła tonem przekleństwa. - „Błogosławiony mąż, który nimi napełnił sądak swój” - zacytowała, kiwając głową. - Grace, powinnaś była pozostać dziewicą.

Niepowstrzymany śmiech Nicka odbił się echem po domu.

- Muszę wracać do pracy - stwierdził Coll. - Skoro już mam

słuchać narzekań, to niech mi przynajmniej za to płacą. Ale w moim gabinecie słucham takich, na które mogę coś poradzić.

- O rany! - wykrzyknęła Effie, chwytając się za szyję. - Czuję, że moje bułeczki się palą... - Zniknęła w drzwiach kuchni, pozostawiając córkę samą na samą z Nickiem.

Tibbie myślała gorączkowo nad jakąś wymówką, która pozwoliłaby jej także uciec, ale niestety żadnej nie znalazła.

- Wygląda na to, że jest pani na mnie skazana - stwierdził Nick.

Tibbie westchnęła, bezradnie zaciskając dłonie.

- Czemu nie? Babcia ma swoją drzemkę. Tata ma pacjentów. Mama ma swoje spalone bułeczki. A ja, szczęściara, mam pana! - Posłała mu lodowate spojrzenie. - Wolałabym już spalone bułeczki.

- Moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Nie kryjąc zniecierpliwienia, poprowadziła go do salonu.

- Tu możemy rozmawiać - oznajmiła chłodno, podchodząc do okna, żeby rozsunać zasłony. - Chociaż ja nie mam panu nic do powiedzenia.

- Ale ja mam coś do powiedzenia pani, mamusiu - wypalił Nick bez zastanowienia.

Zatem już wiedział. Spodziewała się tego, oczywiście, po tym, jak widziała go w mieście, ale stać naprzeciw niego z tą świadomością to było zupełnie co innego.

Jego słowa raniły, przesywały na wskroś. Mamusia... mamusia... mamusia... dudniło jej w głowie, dławiło jak trujący dym. Nagle dziwnie zziębnięta i odrętwiała, zacisnęła palce na fałdach zasłony, jakby grubo tkany materiał mógł jej dać oparcie. Zamknęła oczy.

Wielki zegar w holu tykał jednostajnie, jakby nic szczególnego się nie stało. Z kuchni dobiegał głos matki, utyskującej na własną nieuwagę, przez którą spaliła bułeczki. Na piętrze skrzypiał bujany fotel babci. Dochodzący z zewnątrz odgłos kowalskiego młota donosił, że któryś z koni dostaje nową podkowę. Świnia Beth kwiknęła głośno. Wokół Tibbie rozlegały się dobrze znane

dźwięki rodzinnego domu, nic się nie zmieniło z powodu tych okropnych słów. Tylko ona odczuła ich niszczącą siłę. Nagle z niespodziewaną mocą dotarł do niej stęchły zapach kurzu i starości, utrzymujący się w zasłonach.

Przypomniawszy jej się inny głos i inne słowa, z odległej przeszłości. Z tamtego straszego wieczoru, kiedy powiedziała rodzicom, że Eric ją porzucił i że jest w ciąży.

- Najlepiej będzie, jak zamieszkasz u krewnych i wrócisz tu, podając się za wdowę. Bóg mi świadkiem, nie chcę, żebyś wyjeżdżała, ale ludzie potrafią być tacy okrutni. Nie mogłabym znieść twojego upokorzenia, Tibbie. Jeśli zostaniesz w Indianoli, nie będziesz miała życia. Ludzie nie zapomną. Przeszłość zawsze cię będzie prześladować. Musisz coś zrobić, żeby się chronić... siebie i dziecko - mówiła jej matka.

Ale została. Stawiła czoło tym, którzy ją oskarżali, znosiła ich pogardę, żyła pomimo odrzucenia. To babcia zachęciła ją do pracy w klinice ojca, babcia nauczyła ją, że nieszczęście może człowieka zniszczyć albo wzmocnić, a wybór należy do niej.

- Patrzenie na cudze cierpienie i ból pomaga nam zapomnieć o własnym - mówiła babcia. - Ludzie nie zapomną, ale przebaczą. I miała rację.

Tamtego dnia Tibbie złożyła sobie przysięgę, której nigdy nie złamała, ani razu. Przysięgła sobie, że już nigdy nie da się skrzywdzić żadnemu mężczyźnie. Że już nigdy dla żadnego mężczyzny nie straci głowy. Nigdy nie da się nabrać na gładkie słowa obietnic, nie zaufa paru kradzionym pocałunkom. Nigdy nie pozwoli żadnemu mężczyźnie zbliżyć się do siebie. Nie odstąpi od swoich zasad. Nie zapomni. Będzie pamiętała do ostatniego tchu. I pokaże im, pokaże im wszystkim... tym, którzy ją krytkowali i oskarżali, tym, którzy obrzucali ją wyzwiskami i odsuwali się, kiedy przechodziła w pobliżu, jakby się bali, że może ich dotknąć i zostawić na nich ślad swojego piętna. Szybko się nauczyła, że najłatwiej unikać przykrości, stając się jak najmniej widoczną, zachowując milczenie i dystans, prowadząc życie, któremu nikt nie może nic zarzucić. Więc nie szukała

towarzystwa, całkowicie unikała mężczyzn, odpowiadała uprzejmie nawet na niewybredne zaczepki, a kiedy musiała pójść do miasta, zachowywała dobrze wyuczoną powściągliwość.

Zapamiętała wszystko dokładnie i po kolei: zdradę, potępienie, niechęć, cierpienie, a potem długą, trudną drogę do odzyskania ludzkiego szacunku. Doświadczyła tego wszystkiego i udało jej się podźwignąć. Myśląc o tym, bezwiednie uniosła głowę i wyprostowała plecy. Przetrwiała wrogie spojrzenia, obelgi i oskarżenia, przetrwała i stała się silniejsza.

Otworzyła oczy; wewnętrzne napięcie uszło z niej w postaci twardego, nieugiętego spojrzenia, skierowanego na osobę Nicholasa Mackinnona.

Nick chłonał wzrokiem postać Tibbie, piękną, dzielną i dumną. Nawet ponure kolory i brzydota stroju nie mogły ukryć smukłości jej sylwetki, naturalnej urody, wdzięcznego sposobu poruszania. Prześwietlone słońcem włosy miały ciepły złocisty odcień, zaczesane i upięte odsłaniały delikatną linię szyi. Była uosobieniem wdzięku, dumy i pewności siebie. Ale w jej oczach, cudnych bursztynowych oczach, dostrzegł lęk. Jednak najmocniej ścisnęło go za serce cierpienie wyzierające spod lęku.

Nagle dotarło do Nicka, że Tibbie musi być przekonana, iż przeżył szok, że jest wstrząśnięty jej przeszłością. Tę pomyłkę łatwo było sprostować w mgnieniu oka, martwiło go coś innego. W jej twarzy nie wyczytał żalu. Była opanowana i wyniosła. Ale ból potrafi się chować głęboko. Przypomniał sobie, co mówiła mu matka: „Usta są narzędziem kłamstwa, ale oczy nigdy nie kłamią”.

Zajrzał jej w oczy. I przeklął się w duchu, że zaczął rozmowę, nazywając ją „mamusią”.

Wiadomość, że jest matką, dodała nowy wymiar jej postaci, tak jak dodanie koloru ożywia szkic wykonany ołówkiem. To nagłe odkrycie było tak ważne, że przesłoniło wszystko inne. Tak wiele wyjaśniało, rzucało nowe światło na wiele spraw. Była matką, matką nieślubnego dziecka. To, przez co musiała przejść, a czego nie potrafił sobie nawet wyobrazić, zmieniło

jej nastawienie do życia. Nagle jej wyniosłość, wrogość, niechęć, by mieć z nim cokolwiek wspólnego, znalazły wytłumaczenie. Kto raz się sparzy, ten na zimne dmucha.

Poczuł, że brakuje mu tchu. Tibbie zmieniła się z radosnej, kochającej życie dziewczyny w ostrożną, boleśnie doświadczoną kobietę. Jakże żałował, że nie poznał jej wcześniej. Zacisnął pięści w bezsilnej złości. Mógłby zabić gołymi rękami tego drania, który jej to zrobił.

Nick westchnął, czując, że zaszła w nim jakaś wewnętrzna przemiana. Wcześniej, kiedy się dowiedział o dziecku, pożądanie ustąpiło przed gniewem. Teraz z gniewu zrodziło się współczucie. Odpowiedzi na kilka pytań miały mu przynieść to, czego pragnął najbardziej - zrozumienie.

- Opowie mi pani o tym?

- Nie - odparła bez namysłu. - Nie opowiem.

Widziała grę uczuć na jego twarzy, dostrzegła moment, kiedy rysy mu zmiękły, ale nie potrafiła zaufać swoim odczuciom. Nawet łagodny ton jego głosu nie mógł jej przekonać. Już raz uległa czułym spojrzeniom i ciepłym słówkom. Tibbie wiedziała, że nie uda jej się uniknąć rozmowy, skoro jemu tak zależało... a poznała już jego upór. Pamiętała, jak nie okazując żadnego wstydu, rzucił się do końskiego koryta, zwracając na nią niepożądaną uwagę i czyniąc ją tematem rozmów w całej Indianoli przez następnych kilka dni. Po pięciu latach cichego, spokojnego życia, wypełnionego staraniami, by nie rzucać się ludziom w oczy.

Przez kilka minut panowało między nimi milczenie.

- Nie mam zbyt wiele czasu, panie Mackinnon - odezwała się pierwsza. - W okolicy jest wiele przypadków krupy. Jestem potrzebna ojcu. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić, żebym się mogła zabrać do pracy. Chociaż muszę pana ostrzec, że wszystko już słyszałam.

- Pani z pewnością tak, ale ja nie słyszałem.

- W Indianoli znalazłoby się wiele osób, które z największą przyjemnością podałyby panu wszelkie szczegóły.

- Nie chcę ich słyszeć od nikogo poza panią.

Wydała mu się jeszcze bardziej tajemnicza niż kiedykolwiek. Postanowił jednak, że nie wyjdzie z tego domu, dopóki nie usłyszy całej historii, choćby w tym celu musiał zabarykadować drzwi przed jej rodziną i trzymać ją o głodzie.

Z westchnieniem odstaąpiła od okna i szeleszcząc spódnicą, podeszła do wypchanej końskim włosiem kanapy.

- Nie rozumiem pana. Twierdził pan, że przyjechał tu budować statek. Więc czemu pan się nie zajmie budową i nie zostawi mnie w spokoju? Chyba wyrażałam się jasno? Nie chcę pańskiego towarzystwa, pańskiej przyjaźni ani niczego innego. Czemu pan nalega?

- Bo ma pani coś, czego pragnę. Bo nie wierzę, że jestem pani aż tak obojętny, jak pani chce mi wmówić. Ponieważ przyszedłem tu po pewne odpowiedzi i nie wyjdę, dopóki ich nie usłyszę. - Podeszedł do drzwi i przekreślił klucz w zamku. - A pani, słodka Tibbie, nie wyjdzie, dopóki mi ich nie udzieli. - Oparł się o drzwi, splatając ręce na piersi.

Tibbie poczerwieniała z gniewu.

- Jak pan śmie mnie zamykać? - wybuchnęła.

- Śmiem - odpowiedział z uśmiechem.

Tibbie, musisz się wziąć w garść, myślała gorączkowo. Tego człowieka trudniej się pozbyć niż zarazy. Czemu jest aż tak uparty? Jak długo można walczyć z kimś takim? Przeniosła wzrok z jego urodziwej twarzy na smukłą sylwetkę. Dobry Boże, z kimś takim! Miała wrażenie, że z każdą chwilą pokój staje się coraz ciaśniejszy. Paliła ją świadomość, że on jest tak blisko, że są razem zamknięci. Patrzyła na swego prześladowcę, opartego o drzwi w niedbałej pozie, która jeszcze podkreślała jego męską gibkość i drapieżny urok. Był przystojniejszy, wyższy, szerszy w ramionach i bardziej zdecydowany od wszystkich innych, którzy bezskutecznie próbowali się do niej zbliżyć. Była w nim jakaś wewnętrzna siła, wskazująca na skłonność do dominacji, i niesamowita zmysłowość, przejmująca ją lękiem. Wprawdzie urodziła dziecko, lecz czuła się niedoświadczona i bezbronna wobec takich męskich atrybutów. Zaszło jej w ustach. Serce

waliło w piersi, mocno i szybko, jakby chciało jej przypomnieć, że istnieje. Czuła się schwytała w pułapkę, przyparta do muru, pozbawiona możliwości obrony. Przebiegła ją dreszcz, wprawiający w drżenie całe ciało, była bliska paniki.

Może to właśnie panika sprawiła, że Tibbie sięgnęła po najlepszy cynowy świecznik matki i trzymała go jak maczugę.

- Ostrzegam, lepiej, żeby pan otworzył te drzwi i to natychmiast.

- A jeśli nie otworzę?

Pomachała świecznikiem.

- To pan oberwie.

Odpowiedział uśmiechem, od którego dziwnie zmiękły jej kolana.

- Tylko na to czekałem.

- Nie wierzy pan, że nim rzucę, tak? - Zatrzęsa się, tym razem ze złości.

- Och, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zawsze podejrzewałem, że ma pani małego diabełka za skórą. Rzecz w tym, że ciśnięcie świecznikiem nic pani nie da. Nie trafi pani we mnie, zrobi dziurę w ślicznej tapecie swojej matki i prawdopodobnie zniszczy jej cenny świecznik. I wtedy, kiedy będzie już za późno na odwrócenie zniszczeń, zda sobie pani sprawę z tego, że ukarała nie mnie, tylko swoją matkę. - Odepchnął się od drzwi. - Więc niech pani to lepiej odłoży, zanim zrobi coś, czego będzie żałować.

Zrobił krok w jej stronę, a ona odruchowo uniosła rękę uzbrojoną w świecznik. Jednak na jej ślicznej twarzy pojawiło się wahanie. Westchnął, kręcąc głową.

- Uparta z pani dziewczyna. - Uśmiechnął się szeroko. - Osobiście wolałbym, żeby pani rzuciła, bo na widok zniszczeń doznałaby pani wyrzutów sumienia. Pewnie tak wielkich, że zaczęłaby pani płakać, a ja, ponieważ mam miękkie serce... cóż, nigdy nie mogłem znieść widoku dziewczęcych łez. Zatem nie mając wyboru, musiałbym panią wziąć w ramiona i pocieszyć. - Ścisnąc głos niemal do szeptu, dodał: - W jedyny sposób, jaki znam.

Doskonale wiedziała, jaki to może być sposób. Oczywiście zrobiły jej się okrągłe ze strachu. Całkowicie opuściła ją pewność siebie. Spuściła rękę, odstawiając świecznik na stół. Tylko złość pozostała. Można powiedzieć, że nawet jej przybyło.

Musiał jej oddać sprawiedliwość - była waleczna. Miał ochotę wykrzyknąć swój podziw dla niej. Nie miał pojęcia, skąd w tej drobnej postaci bierze się tyle siły i hartu ducha. Mógłby się założyć o niedzielny obiad, że musi być niesamowita w łóżku. Uświadomił sobie, że dziewczyna, którą brał za wylęknioną pisklę, jest nieustraszonym jastrzębiem, kiedy przychodzi do walki. Niewiele kobiet potrafiłoby po takich przeżyciach, jakich ona musiała doświadczyć, mając los przeciwko sobie, podnieść się i żyć dalej z uniesioną głową. Był dla niej pełen podziwu, bo wiedział, ile dzielności i wysiłku musiało ją kosztować pokonanie wszystkich przeciwności i odzyskanie ludzkiego szacunku. Od nadmiaru uczuć aż zakręciło mu się w głowie. Pragnął tej kobiety tak bardzo, że nocami nie mógł spać, ale bał się to wyznać w obawie, że straci wszelkie szanse na zyskanie jej przychylności, już i tak mizerne. Znalazł się potrzasku, nie wiedział, jak dalej postępować. Wymyślał sobie w duchu od głupców, nie wiedząc, czy iść dalej, czy się wycofać.

Tibbie już była gotowa rzucić mu w twarz jakąś lodowatą uwagę, gdy dostrzegła zachodzącą w nim przemianę. Jakby stanął przed nią inny człowiek. Wciąż był ubrany w te same skórzane spodnie i niebieską kurtkę, nadal miał tę samą urodziwą twarz i czarujące niebieskie oczy, ale coś się zmieniło w jego postawie, w tonie głosu i w tych oczach!

Wiedziała, że poradzi sobie z obelgami, oskarżeniami, nawet z gniewem, lecz bała się czegoś innego - jego cierpliwości, zrozumienia i łagodności, bo to one mogły ją doprowadzić do zguby. Ten człowiek umiał używać łagodności jako obosiecznego miecza. Nawet teraz, kiedy stał w milczeniu, czuła, jak kruszy jej opór.

Niepostrzeżenie przekroczyli granicę, za którą leżało obce terytorium. Dotychczas żaden mężczyzna nie zaprowadził jej

tak daleko. Zmrożona tym odkryciem, stała nieruchomo, kiedy się do niej zbliżał. Znała to spojrzenie, wiedziała, co ono oznacza, bo widywała je często w oczach Erica.

I nie miała wątpliwości, co nastąpi. Gdzieś od środka rozlewało się po jej ciele dziwne ciepło. Przebiegły ją ciarki. Jakby wyczuwając, co się z nią dzieje, wolno unióś rękę i pogładził ją po ramieniu, a potem ujął jej dłoń, podniósł do ust i pocałował.

Tibbie przełknęła z trudem ślinę, czekając, jaki będzie jego następny ruch.

- Od tej chwili gramy już w inną grę. Zdaje pani sobie z tego sprawę, prawda? - Pokiwała głową, bez słowa cofając rękę. Znow przebiegł ją dreszcz, kiedy ciepłą dłonią ujął jej podbródek i zmusił ją do uniesienia głowy, żeby na niego spojrzała. - Tym razem gramy na poważnie.

Chyba po raz pierwszy w życiu Tibbie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła znieść myśli, że miałyby się poddać po tym, jak wiele wytrzymała.

Nick uśmiechnął się, pewien, że w końcu będzie ją trzymał w ramionach.

Tibbie zeszytniała, zbierając w sobie resztki woli. Nie mogła po raz drugi tak łatwo się poddać. Czyżby poprzednia porażka niczego jej nie nauczyła?

z tak się zaczęło. Dla Tibbie najbardziej zaciekle obrona przed Nicholasem Mackinnonem. Dla Nicka nieustępliwa batalia o kobietę, bez której nie wyobrażał sobie przyszłości. Pole walki zostało wytyczone i oboje mieli świadomość, że tylko jedno z nich może zwyciężyć.

Nagle rozległ się dziecięcy śmiech i ostry, przenikliwy kwik świni. Tibbie wyjrzała przez okno; dostrzegła mignięcie czerwonego płaszczyka Beth, a potem biegnącą świnię.

- Pani córka - domyślił się Nick.
- Tak.
- A pani... mąż?

Wzdrygnęła się jak rozjuszona kotka i Nick natychmiast pożałował, że użył tego określenia, zamiast spytać po prostu o ojca dziecka.

- Nie mam męża, jak pan dobrze wie. Beth jest bękartem, nazywając rzecz po imieniu. Niech pan nie myśli, że coś zyska, obrażając mnie. Słyszałam obelgi tyle razy, że zdążyłam się do nich przyzwyczaić. Istnieje granica, do której człowiek odczuwa ból. Potem już nie boli.

- Nie chciałem...

- Wiem, co pan chciał - przerwała mu, starając się zapanować nad drżącym głosem. - Wszyscy jesteście do siebie podobni. Hipokryci.

- Chyba źle mnie pani zrozumiała...

- O nie! To mi się akurat nie zdarza. Nie w tej kwestii. Minęło już kilka lat, więc jeśli coś rozumiem, to właśnie to. Niech się panu nie zdaje, że jest pierwszym, który stara się być subtelnym. A co do różnych określeń, moje uszy słyszały ich tysiące. - Odetchnęła głęboko. - Nie ma takiego określenia, którego bym nie słyszała, ani takiego wyzwiska, którym by mnie nie obrzucono milion razy.

Przytłaczał go ogrom jej cierpienia. Boże, ileż ta dziewczyna musiała znieść, pomyślał ze smutkiem.

- Nie przyszedłem tu, żeby pani cokolwiek mówić. Wręcz przeciwnie. Przyszedłem, bo chciałem się od pani dowiedzieć paru rzeczy.

- Niby jakich? - rzuciła drwiąco. - Co pan chciał usłyszeć, panie Mackinnon? Szczegóły, wszystkie brudne, grzeszne szczegóły, jak wszyscy pozostali?

- Może i szczegóły, ale nie grzeszne...

- Proszę, niech pan nie kłamie! Nie jestem głupia. Wiem, czego pan tu szuka. To przecież oczywiste. Chce pan zaspokoić ciekawość, prawda? Patrzy pan na mnie i wciąż ma wątpliwości. Nie wyglądam na rozpustnicę, co? I nie ubieram się jak dziwka. Nie pracuję w Szklanym Pantofelku i nigdy mnie nie widziano umalowanej. To pana dziwi, prawda? Jestem otoczona kochającą rodziną. Chodzę do kościoła. Cieszę się wśród tutejszych ludzi pewnym szacunkiem. Nic nie pasuje. Nie o to panu chodzi? - Urwała dla zaczerpnięcia oddechu. - Proszę nie zaprzeczać -

powiedziała szybko, widząc jego uniesione brwi. - Wiem, co pan sobie myśli. Że musiała zająć jakaś pomyłka. Może była zamężna albo zaręczona, a ten młody człowiek tragicznie zginął. A może jest ofiarą okrutnych rodziców, którzy zabronili jej poślubić mężczyznę, którego kochała. Nic z tych rzeczy. Po prostu się zakochałam. Na tym polegał mój występki. Zakochałam się w mężczyźnie o imieniu Eric i uwierzyłam w jego kłamstwa. A kiedy było już po wszystkim, kiedy dostał to, czego chciał, odszedł. Żadnej tragedii ani powodu do chwały. Popełniłam błąd. Zgrzeszyłam w oczach Boga i Kościoła. Zostałam potępiona przez tutejszą społeczność. Urodziłam nieślubne dziecko. I odcierpiałam swoje. - Zamilkła, jakby zbierała siły na to, co miało nastąpić. - Teraz proszę pytać o szczegóły, po które pan tu przyszedł.

- Nadal go pani kocha?

Po jej minie poznał, że tego się nie spodziewała. Wydała z siebie urywane westchnienie. Stała zwrócona do niego profilem. Przez chwilę walczyła z pokusą, żeby nie mówić mu nic więcej, ale wiedziała, że będzie ją prześladował aż do skutku. Może jeśli udzieli mu odpowiedzi, których pragnął, odejdzie i zostawi ją w Spokoju?

Złożyła dłonie jak do modlitwy i przycisnęła do ust, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Nie wiem - odpowiedziała po chwili całkiem szczerze. - Czasami nienawidzę go tak bardzo, że chyba bym potrafiła naładować broń i strzelić mu w głowę, gdybym go jeszcze kiedyś spotkała. Kiedy indziej łapię się na rozmyślniach, jak by to było, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, gdyby odwzajemniał moją miłość. I zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby wrócił.

Poczuł dotkliwe ukłucie w sercu; musiał odczekać chwilę, żeby zapanować nad głosem.

- A gdyby rzeczywiście wrócił? Co by pani zrobiła?

Opuściła ręce wzdłuż boków, a potem uniosła pytającym gestem.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. - Popatrzyła mu w oczy. -

Nie znam odpowiedzi, choć Bóg jeden wie, że często o tym myślałam. Kiedyś go kochałam. Jego odejście omal mnie nie zabiło. Urodziłam jego dziecko. To stworzyło między nami nierozzerwalną więź. *Urodziłam jego dziecko. I cierpiałam z tego powodu.* Czy można wymazać z życia drugą osobę? Nie wiem.

Patrzył na nią półprzytomnym wzrokiem. Czuł się wytracony z równowagi. Nadal kochała tamtego mężczyznę, to było dla niego oczywiste. Miał ochotę chwycić ją za głowę i ścisnąć, dopóki nie wyprze z niej pamięci o tamtym człowieku. Mógł zrozumieć, że w przeszłości kochała innego. Mógł się pogodzić z tym, że urodziła dziecko innego. Ale nie mógł znieść myśli, że wciąż kocha innego.

Zrobiło mu się niedobrze. Otrzymał cios, na który zupełnie nie był przygotowany. Ale wreszcie skłonił ją do mówienia i nie mógł tego zaprzepaścić, zdradzając swoje odczucia. Musiał jedynie zmienić temat, bo nie mógł słuchać o tym draniu, przez którego zamknęła przed wszystkimi swoje serce.

- Proszę mi powiedzieć, co pani czuła - powiedział dziwnie zduszonym głosem.

- Po co?

- Bo mnie to też dotyczy. Bo chcę wiedzieć. Bo zżera mnie ciekawość. Bo wiem, co pani przeszła, i też chcę to poczuć, a mogę to zrobić tylko w ten sposób. Do diabła! Nieważne po co, Tibbie, niech mi pani powie.

W jego głosie było tyle desperacji, że musiała mu odpowiedzieć.

- Co czułam? Kiedy on odszedł? Kiedy odkryłam, że urodzę jego dziecko? Czy po urodzeniu Beth?

- Wiedziała pani, że nosi w sobie Beth, kiedy on odszedł?

- Tak.

- A on wiedział?

Zaśmiała się z goryczą.

- Oczywiście. Tym łatwiej podjął decyzję, że czas się zbierać. Pan by nie postąpił tak samo?

- Nie, ale nie o tym teraz mówimy. Nie próbowała się pani

z nim później kontaktować, żeby mu powiedzieć o narodzinach dziecka?

- Nie. Po co? On mnie nie chciał. Dziecko interesowało go o tyle, że chciał czmychnąć, zanim się urodzi. Dlaczego potem miałby chcieć mieć z nami coś wspólnego?

- A teraz? Jak jest teraz?

- Co pan ma na myśli?

- Jak pani zamierza ułożyć życie sobie i Beth?

- Jak pan widzi, już to zrobiłam.

- Nie chodzi mi o pani rodzinę tutaj.

- Chodzi panu o samodzielne życie?

- Tak, albo małżeństwo - powiedział cicho.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej.

- Małżeństwo? Ja? - Głos jej się załamał, więc zaśmiała się, by to zatuszować. - Och, nie sądzę. Nie wie pan, co myślą o mnie ludzie z miasta? Nie mówią mi tego w oczy, bo wiedzą, że mój ojciec jest jedynym lekarzem w okolicy. I wielu z nich ma u mnie dług wdzięczności za pomoc w uratowaniu życia. Ale myślą to, co myślą. Zawsze znajdują się tacy, co uważają, że dziwka pozostanie dziwką.

Skrzywił się na to słowo.

- Nie myślę...

- To może pan powinien. Jestem pewna, że kiedy pan zacznie myśleć, wróci panu rozum i pójdzie pan stąd do diabła. Właśnie to wszyscy robią, kiedy się dowiadują prawdy. A zawsze się dowiadują.

- Jestem przekonany, że wielu mężczyznom nie przeszkadzałoby to, że ma pani dziecko. Jest pani niezwykle piękną kobietą. Już to pozwala przymknąć oko na wiele rzeczy. Mógłbym przysiąc, że miała pani wielu adoratorów.

- A tak, owszem. Szybko wychodziło na jaw, czego oczekiwali.

- Czy nie wyciąga pani zbyt pochopnych wniosków? Nie sądzę, by tutejsi ludzie aż tak nisko panią cenili. Przeciwnie, są wobec pani raczej opiekuńczy. Musiałem dołożyć wielu starań,

żeby się czegokolwiek o pani dowiedzieć. Wydaje mi się, że mają wiele szacunku dla pani i pani talentów medycznych.

- Tak, tylko że to nie ci ludzie szukają mojego towarzystwa. A co do moich talentów medycznych, wzbudzają szacunek, bo podobnie jak mój ojciec, jestem bardzo użyteczna. Moja „dobra” reputacja jest na nich oparta, ale nie daje mi w pełni poczucia bezpieczeństwa. - Chcąc ostatecznie zakończyć kłopotliwą rozmowę i pozbyć się upartego Szkota, dodała: - Czy zaspokoiliam już pańską ciekawość, która pana tu dziś przywiodła?

- Potrzebowałem odpowiedzi na kilka pytań, ale nie dlatego tu przyszedłem.

- Więc dlaczego?

- Z powodu pani.

- Z mojego powodu?

- Proszę nie udawać, że to panią dziwi. Kobiętę taką piękną jak pani?

Nie chciała od niego komplementów, bo, prawdę mówiąc, nie wiedziała, jak ma je przyjmować.

Widząc jej zakłopotanie, dodał:

- Tak całkiem szczerze, to chciałem jeszcze raz zerknąć na tę uroczą suknię, którą pani ma na sobie.

- Bardzo dziękuję.

- Myślę, że w pewien sposób do pani pasuje.

Uniosła pytająco brwi.

- Smutna bezbarwna suknia na smutne bezbarwne życie.

Policzki jej spąsowiały, a w oczach dostrzegł cień urazy.

- Rozumiem.

- Nie. Chyba pani nie rozumie.

Nick z upodobaniem przyglądał się jej czystym rysom. Nieskazitelnym - tylko to określenie przychodziło mu do głowy. Poza tym, że pięknym, ma się rozumieć. Miała wręcz idealne rysy twarzy, jakie mistrzowie rzeźbią w najcenniejszym marmurze. Nawet jej karnacja pasowała do tego porównania, podobnie jak jasne włosy i oczy w kolorze palonego cukru. Anioł

wyrzeźbiony w marmurze: chłodny, twardy, uwięziony w kamieniu. Czy nie było sposobu, żeby go uwolnić?

Czy to miał na myśli Michał Anioł, mówiąc: „Ujrzałem w marmurze anioła i kułem, dopóki nie stał się wolny”? Czy i tu właśnie o to chodziło... żeby skuwać lodowy mur, którym się otoczyła, dopóki nie stanie się wolna? Przypomniał sobie, że ma wybudować statek dla ekscentrycznego człowieka, który ma więcej pieniędzy niż cierpliwości. I musi się trzymać terminów. Zobowiązania nie pozwalały mu na spędzanie czasu z kobietą. Jednak kiedy patrzył na Tibbie, wiedział, że nie będzie w stanie niczego dokonać, jeśli mu się nie uda choć trochę do niej zbliżyć. Była dla niego zagadką. Wiedział tylko tyle, że jej pragnie. Zamyślił się na chwilę. Pragnienie. To słowo miało dla niego wiele znaczeń. Zawsze jej pragnął, ale z czasem to pragnienie przybrało wiele różnych postaci. Na początku wynikało z czysto fizycznego przyciągania. Była piękną kobietą, budzącą pożądanie. A on był mężczyzną, lubiącym uprawiać miłość. Później, kiedy już przyjrzał jej się dokładniej, zaintrygowała go do tego stopnia, że zapragnął czegoś więcej niż tylko nocy spędzonej z nią w łóżku. Zaczął odkrywać, że w istocie pragnie lepiej poznać tę tajemniczą kobietę. A w końcu, po spotkaniu na pastwisku, po spędzeniu z nią tamtej godziny w sędzie, stwierdził, że lubi jej towarzystwo i pragnie być z nią częściej. A teraz?

Zastanowił się głębiej. Oczywiście, nadal jej pożądał, aż do szaleństwa, ale teraz liczyło się także co innego. Pociągało go w niej tak wiele rzeczy. Budziła w nim czułość, jakiej dotąd nie wyzwoliła w nim żadna inna kobieta. Odkrył, że obok cielesnego pożądania, czuje z nią jakąś ciepłą, miłą więź. Lubił ją, podziwiał, sprawiało mu przyjemność samo przebywanie w jej towarzystwie, uwielbiał na nią patrzeć i poznawać ją coraz bardziej. Mimo iż okazywała mu niechęć, czuł się przy niej jak róża w słońcu. Czy to była miłość? Zdziwiło go nie to, co czuł, kiedy był z nią, lecz raczej to, *co* czuł, kiedy jej przy nim nie było. I domyślał się, że to właśnie jest miłość.

Ocknąwszy się z zamyślenia, spojrzął na nią i stwierdził, że jest zakłopotana. Jakby niepokoiły ją myśli, kłębiące się w jego głowie. Skarbie, gdybyś tylko wiedziała...

Problem polegał na tym, że Tibbie całkiem dobrze się domyślała. Jednak najbardziej przerażało ją to, że w głębi duszy pragnęła tego samego. Słowa dławiły ją w gardle. Nie była w stanie się odezwać. Nie była w stanie myśleć. Trudno jej było nawet oddychać. Nie potrafiła się oprzeć fali ciepłego pożądania, wzbierającego gdzieś w głębi. Oszołomiona, cofnęła się i oparła plecami o ścianę pod kopią obrazu Gainsborough. Zawadziła głową o ramię, aż obraz się przekrzywił, ale nawet tego nie zauważyła.

Nie zauważyła też, że Nick wpatruje się w nią z dziwnym wyrazem twarzy, że podchodzi bliżej.

- A może byśmy dali spokój tym wszystkim bzdurom, tym podchodom i unikom, i zaczęli poważne zaloty?

Zaloty. Nie żądza. Nie szukanie mocnych wrażeń. Nie wulgarnie zaczepki. Zaloty. Dobry Boże, od jak dawna nikt nie próbował się do niej zalecać ani nie patrzył na nią tak jak ten mężczyzna? Ciepło rozlało jej się wokół serca. Zaloty. Smakowała każdą głoskę tego słowa. Czyżby naprawdę miał uczciwe zamiary? Kiedy pochylił się ku niej, zrobiło jej się gorąco i zawirowało jej w głowie, aż musiała się chwycić jego ramienia. Zamknęła oczy, czekając, aż minie zawrót głowy. Kiedy musnęła wargami jej usta w lekkim, ciepłym, krótkim pocałunku, nie czuła urazy, niechęci ani wstydu, tylko przyjemność.

Zadzwonił zegar w holu, przywołując ją do rzeczywistości. Otworzyła szeroko oczy, próbując odzyskać jasność myślenia.

- Nie powinien pan tego robić - powiedziała cicho, wciąż jeszcze trochę oszołomiona.

- Nie powinienem - przyznał - ale cieszę się, że zrobiłem.

- Zegar...

Przechylił głowę na bok, uśmiechając się kącikiem ust.

- Zegar - powtórzył. - Czy to będzie następny temat naszej rozmowy?

Mimowolnie odwzajemniła uśmiech.

- Nie, chciałam tylko powiedzieć, że właśnie wybija godzinę.
- Podobno zegary robią to regularnie.

Całkiem oprzytomniała.

- Jest późno. Naprawdę muszę już iść. Mnóstwo chorych czeka na przyjęcie. Wczoraj pracowaliśmy do ósmej wieczorem, a mimo to część ludzi odeszła z niczym.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i ruszył za nią ku drzwiom. Kiedy sięgnęła do klamki, położył dłoń na jej dłoni. Popatrzyła na niego z wyrzutem, ale nie cofnęła ręki. Czując, jak drży, pomyślał: „Masz szczęście, mój aniele... Gdybym uległ swemu pragnieniu, wziąłbym cię w ramiona i całował jak szalony, aż twoje śliczne miękkie usta byłyby tak samo zdumione jak twoje piękne oczy”.

- A co do tańców w Dzień Niepodległości... - zaczął z wahaniem, spodziewając się, że mu przerwie.

- Nie mogę z panem pójść.

- Przyjęła pani moje zaproszenie w obecności połowy miasta. Wyjdzie pani na oszustkę, jeśli się teraz wycofa.

- Lepiej wyjść na oszustkę, niż zostać oszukaną. Myślałam, że pan zmieni zdanie, po tym jak...

Targnął nim gniew.

- Postawmy sprawę jasno. Nie obchodzi mnie, czy spała pani z połową stanu Teksas i czy ma dość dzieci, żeby zapełnić dwudziestopokojowy dom. Zaprosiłem panią na tańce, a pani przyjęła zaproszenie. Nie pozwolę pani złamać tej obietnicy. - Widząc, że znów chce mu przerwać, dodał szybko: - Musi pani zrozumieć jedną ważną rzecz. Zaprosiłem panią, ponieważ bardzo mi się pani spodobała i chciałem panią lepiej poznać. Nadal jest tak samo. To, o czym tu dziś rozmawialiśmy, niczego nie zmienia. Może tylko trochę komplikuje, to wszystko.

- Komplikuje?

- Dla pani. Nie dla mnie. - Wyraźnie nie rozumiała. - Nie jestem gruboskórnym osiłkiem, Tibbie, jak się pani wydaje. Wiem, ile pani musiała wycierpieć afrontów i obelg, okrutnych

uwag, paskudnych domysłów, wiem też, że nie będzie pani łatwo pokazać się z mężczyzną publicznie, jeśli to jest pierwszy raz od czasu...

- Tak, to pierwszy raz.

- Więc rozumiem pani obawy. Nie chcę dokładać trosk do tego, co już pani zniosła. Chcę poprosić do tańca najpiękniejszą kobietę w promieniu sześciu powiatów i spędzić z nią kilka miłych godzin, zapominając o własnej nielekkiej przeszłości. Chcę tańczyć, aż oboje będziemy padać z nóg, a pani będzie miała pantofelki przetarte na wylot. Chcę z panią wirować po sali, aż ci wszyscy gapie spod ścian staną się jedynie smugą twarzy ulatującą z pamięci. I zamierzam stanąć na głowie, żeby zobaczyć panią roześmianą. A potem wsadzę panią do mojej bryczki i odwiezę do domu w świetle księżyca, modląc się, żeby było zimno, bo może wtedy pani się do mnie bardziej przysunie.

- Jeśli z panem pójdę, panie Mackinnon, to musi pan coś przyjąć do wiadomości. Nie będzie... To znaczy, nie zamierzam panu pozwolić... Nie życzę sobie...

Porwał ją w ramiona tak gwałtownie, że nie wiedziała, co się dzieje. Okręcił ją dokoła siebie kilka razy i postawił z powrotem na ziemi.

- Może teraz pani sobie nie życzy, słodka Tibbie, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani sobie życzyła, nim odwiezę panią do domu.

- Nie będzie żadnego okazywania uczuć - oznajmiła stanowczo.

- Publicznie czy na osobności? - spytał z chytrym uśmieszkiem.

- W ogóle - powiedziała bez cienia żartu.

- To będzie zależało wyłącznie od pani.

- Już ja tego dopilnuję, panie Mackinnon. Na pewno.

- Na pewno? - Podniósł rękę i leciutko pogładził ją po policzku. - Przekonamy się.

- Proszę nie traktować tego jako wyzwania. Tylko by pan stracił czas.

- Być może. Ale jeszcze pani nie poznała całego nieodpartego wdzięku Mackinnonów - powiedział, cmokając ją szybko w czoło. Następnie porwał z krzesła kapelusz i już go nie było.

Tibbie zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami. Czuła się dziwnie poruszona. Cały nieodparty wdzięk Mackinnonów...

Serce jej się ścisnęło. Wydawał się taki inny od nich wszystkich. Gdyby tylko mogła wierzyć, że jego zamiary są uczciwe, że chce spędzić z nią trochę czasu, tańczyć, śmiać się, zrozumieć ją i lepiej poznać.

Gdyby mogła.

W jej życiu było zbyt wiele gdybania. Gdyby nie uległa zniewalającym słowom Erica i jego nordyckiej urodzie. Gdyby nie uwierzyła, że ją kocha, że pragnie małżeństwa. Gdyby nie zaszła w ciążę. Gdyby się zdecydowała wyjechać z Indianoli i uchodzić gdzie indziej za wdowę. Gdyby ten czarujący Szkot o kusząco niebieskich oczach nie wpadł na nią tamtego dnia na ulicy. Gdyby ją zostawił w spokoju, tak jak prosiła. Gdyby nie był tak piekielnie pociągający. Gdyby jej nie przypominał, że tak wiele sobie w życiu odmawiała. Gdyby nie obudził w niej tych wszystkich uczuć. Nieodparty czar Mackinnonów...

Gdyby wiedział...

Tak bardzo jej się podobał. Owszem, miał nieodparty urok i dobrze o tym wiedział ten niebieskooki dzikus. I jak tu się opierać nieodpartemu urokowi, czy ktoś mógłby jej powiedzieć? Tibbie Ann, westchnęła, jesteś w kłopotach. Jeśli tak dalej pójdzie, przypadniesz z kretesem.

Zegar w holu wybił kwadrans. Ojciec od dawna już przyjmował pacjentów i pewnie się zastanawiał, co ją zatrzymało. Ale Nicholas Mackinnon poruszył w niej zbyt wiele strun, żeby mogła się szybko uspokoić i dojść do siebie. Wciąż dziwnie rozedrgana, odbiegła myślami w przeszłość, sześć lat wstecz. Widziała samą siebie, śpieszącą chodnikiem w stronę portu, z lekarską torbą ojca w ręku. Nowa liliowa halka z tafty szeleściła przy każdym jej kroku.

Dotarli do statku, na który wezwano jej ojca. Norweskiego statku o nazwie „Nordic Star”. Przystając, żeby się upewnić, czy dobrze trafił, ojciec wziął od Tibbie torbę i kazał jej czekać, jako że nie wiedział, co zastanie na pokładzie. Znalazł tam ośmiu członków załogi złożonych gorączką i jednego bogatego pasażera, który okazał się synem właściciela „Nordic Star”.

Młody człowiek był w ciężkim stanie, więc po długich namowach kapitana Coll zgodził się na zabranie go ze statku i umieszczenie w swojej klinice. Wtedy po raz pierwszy Tibbie zobaczyła Erica Neilsona. Przez następne tygodnie pielęgnowała go, kąpała go w winnym occie, przy użyciu gąbki co piętnaście minut podawała mu do ust mieszaninę soku z miodem. A kiedy przystojny młody olbrzym odzyskał siły, zwrócił uwagę na Tibbie, która właśnie skończyła szesnaście lat.

Dopiero teraz, patrząc z perspektywy, Tibbie zrozumiała, że dwudziestosiedmioletni naówczas Eric miał mnóstwo czasu, żeby się wiele nauczyć o kobietach. I dopiero teraz wiedziała o sprawach, które wtedy wydawały jej się nieistotne, o sprawach, które starszej, mądrzejszej Tibbie Buchanan kazałyby wziąć nogi za pas. Jednak w wieku szesnastu lat nie wiedziała, że należy się trzymać z daleka od każdego przystojnego łobuza, który jest zepsutym dzieckiem pobłażliwych bogatych rodziców, od człowieka, który urodził się nie tylko w czepku, ale i w kapeluszu, od mężczyzny obdarzonego tak olśniewającą męską urodą, że zbyt długie patrzenie na niego dawało taki sam skutek jak patrzenie na słońce.

Eric zawsze miał wszystko, czego zapragnął. Jeśli na swej drodze natrafiał na jakąś przeszkodę, ojciec natychmiast usuwał mu ją sprzed nóg, korzystając ze swych pieniędzy. Ponieważ wszystko przychodziło mu łatwo, Eric nie miał szacunku dla wartości. Ani rzeczy, ani ludzi. Istnieli tylko po to, żeby mu służyć. A kiedy już zostali wykorzystani, można się było ich pozbyć. Tibbie miała okazję boleśnie się przekonać, że nie stanowiła wyjątku.

Jednak przez pewien czas było wspaniale. Pozostawała pod

jego potężnym urokiem od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. Był jasnowłosy, piękny, pełen życia, miłości i śmiechu, Kiedy na nią patrzył, czuła, że rośnie. Kiedy ją całował, czuła się jak księżniczka. Był pierwszym, który ją pocałował, i pierwszym, który dotykał jej tam, gdzie nie miał dostępu żaden mężczyzna. Ale kochała go wtedy. Najbardziej ją przerażało, że po tym wszystkim nadal go kochała.

Trudno było go zapomnieć. Nawet teraz pamiętała tamtą noc, kiedy po raz pierwszy przyszedł do jej sypialni i rozbudził jej uśpione ciało, pierwszy raz, kiedy się z nią kochał.

Tamtej nocy śniła o Ericu, jak zawsze, ale tym razem jakoś inaczej. Czuła, że jej ciało się otwiera, jak płatki kwiatu, jak fale morskie ściągane odpływem. To było jak letarg, w którym powoli narastało napięcie, coraz silniejsze, wreszcie tak wielkie, że czuła, jak całe ciało spina dreszcz, który obudził ją w środku snu. Przez chwilę jakby unosiła się w próżni, lekka niczym liść niesiony wiosennym strumieniem. Potem ciało znów stało się ciężkie, oddech głęboki, a umysł zawisł między jawą a snem.

Nagle po raz drugi zaczęło się dziać to samo, znów wypełniło ją to leniwe ciepło.

- O tak, mój kwiatuszku, rozchyl nogi.

Otworzyła oczy. To nie był sen. Już nie spała, choć w pokoju nadal było ciemno. Uświadomiła sobie, że wciąż leży w swoim łóżku, tylko że już nie sama.

- Eric! - Próbowała zacisnąć uda, ale Eric był szybszy, zdążył się ułożyć między jej nogami. Ogarnęła ją panika. - Nie, Ericu! Proszę!

- Przed chwilą ci się podobało.

- Co ty robisz?

- Zaczekaj - rzekł miękko, pieszcząc pacami delikatne różowe brodawki dziewczęcych piersi. - Jesteś taka jędrna i gładka - szeptał. - Jeszcze nigdy nie dotykał cię mężczyzna, prawda Tibbie, mój skarbie?

- Nie w taki sposób - przyznała drżącym głosem.

- Ale podoba ci się.

- Nie, nie podoba mi się, Ericu. Boję się.
- Ciii, skarbie. Boisz się tego, czego nie znasz. Ale kiedy już poznasz, będziesz się dziwić, że tak długo się opierałaś... Zobaczysz. - Przesunął rękę niżej, odnajdując to szczególne miejsce, które ożyło w jej śnie.

- Ericu, nie!
- Przecież mówiłaś, że mnie kochasz.
- Bo kocham.
- Więc pozwól mi.
- Nie mogę. To jest złe.

Poruszył dłońmi, aż Tibbie wydała z siebie zduszony jęk.

- Czujesz się... źle, Tib?
- Nie wiem. Czuję się... dziwnie.
- Kocham cię, Tibbie. A kiedy mężczyzna kocha kobietę, chce się z nią kochać, chce jej dotykać w taki sposób. To nie jest dziwne. Ani złe. To naturalne między mężczyzną i kobietą.

- Kiedy są małżeństwem.
- Tego chcesz, Tib? Małżeństwa?
- Jedno idzie w parze z drugim, czyż nie? Miłość i małżeństwo? Uprawianie miłości i małżeństwo?
- Na tym polega problem? Chcesz tego, ale tylko pod warunkiem małżeństwa?

- Tak mnie uczono, Ericu.
- Jeśli chcesz małżeństwa, Tibbie, mój skarbie, będziesz miała małżeństwo. A teraz powiedz, że mnie kochasz.
- Kocham...

Nim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, Eric już był w niej. Jednak nie było małżeństwa. Były nocne odwiedziny w jej sypialni, kilka razy w tygodniu przez następny miesiąc. A dwa tygodnie po tym, jak Coll zakończył jego leczenie, Eric zniknął, pozostawiając po sobie bilecik z przeprosinami i maleńką różyczkę wyciętą z koralu, zawieszoną na złotym łańcuszku.

Nie, nie było małżeństwa.

Była ciąża.

Kiedy powiedziała rodzicom, po raz pierwszy zobaczyła, jak jej ojciec płacze. Nie było małżeństwa. Nie miała męża. Ale miała dziecko. I zyskała coś jeszcze - stała się mądrzejsza.

Nieodparty urok Mackinnonów. Jeśli chodzi o męski urok, Nicholas Mackinnon bez wątpienia go posiadał, ale znacznie subtelniejszą odmianę niż ta, którą dysponował Eric. Nicholas powoli obłaskawiał kobietę, krok po kroku, jak erozja. Eric działał jak fala przypływu, rozbijając siłą wszelkie przeszkody. Nick, bez wątpienia przystojny i miły dla oka, nie miał oszałamiającej aparycji Erica. Eric był brylantem - twardym, błyszczącym, przyciągającym uwagę, lecz służącym głównie za ozdobę. Nick był jak złoto - błyszczał, ale nie oślepiająco, był elastyczny i wielowymiarowy.

Porównywanie Erica z Nicholasem nie miało wiele sensu, ponieważ Eric był jedynie fragmentem jej przeszłości. Jej obecne troski nie miały nic wspólnego z Erikiem. Martwił ją Nicholas Mackinnon. Wpatrywała się w jeden punkt na przeciwległej ścianie pokoju, ale nie widziała nic poprzez zamęt myśli wypełniających jej głowę. Może najlepiej dla niej byłoby na jakiś czas wyjechać, zabrać Bethany i odwiedzić krewnych na wschodzie. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Tu był jej dom. Zbyt wiele starań włożyła w to, by móc tu pozostać, żeby teraz wyjeżdżać. No i miała tu pracę, której była bardzo oddana. Ta praca była dla niej ważniejsza niż niechciane awanse Nicholas Mackinnona.

Postanowiła być ostrożna. Pamiętaj, przez co musiałaś już raz przechodzić, mówiła sobie. Pamiętaj o upokorzeniu, bólu, poczuciu, że nie warto żyć. I o tym, że nawet teraz... nawet teraz tęsknisz za Erikiem, chociaż go nienawidzisz.

Och, Ericu, dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Czemu mnie oszukałeś? Czemu kłamałeś? Byłeś taki przekonujący w tym, co mówiłeś, i taki dobry w tym, co robiłeś. A ja byłem taka pewna, taka pewna, że mnie kochasz, że myślisz to, co mówisz. A wcale tak nie było. Czy tacy właśnie są mężczyźni?

7

„Wojny i podboje”, taką nazwę miałyby ten miesiąc, gdyby Tibbie, wzorem babci Grace, miała zwyczaj nadawać miesiącom nazwy.

Według babci, marzec został tak nazwany na cześć Marsa, boga wojny. I nim dobiegł końca, Tibbie uznała, że było w tym wiele mądrości. Uważała za całkiem naturalne dedykowanie całego miesiąca bóstwu wojny, ponieważ wojny i podboje odgrywały wielką rolę w życiu wczesnych Rzymian. Jej zdaniem, niewiele się w tym różnili od współczesnych społeczności.

Wojny i podboje.

Podboje i wojny.

Czy ten miesiąc miał się nigdy nie skończyć?

Jak zwykle, marzec był gwałtowny, szalał i groził, ale też przynosił nadzieję na to, co miało nastąpić po nim: na wiosnę.

Pewnego nietypowo spokojnego, słonecznego popołudnia Tibbie zapakowała do koszyka cydr, ciasteczka, książkę i koc. Z koszykiem w jednej ręce, Beth uczeponą drugiej poszła na plażę. Fortuna potruchtała za nimi. Pięcioletnia Beth, która na dobre weszła w wiek bezustannego podniecenia i zadawania pytań, niedługo trzymała się matczynej dłoni. Pobiegła przodem, coraz to zrywając jakiś kwiatek i pędem wracając do matki, żeby spytać o jego nazwę.

- Bławatek - powiedziała Tibbie, wskazując na wdzięczną, niebiesko kwitnącą roślinę.

- A ten? - dociekała Beth, podsuwając jej pod nos białą kwitnącą gałązkę.

- Anielska trąbka.

Beth przyjrzała się kwiatkowi z wielką uwagą.

- Co to jest trąbka?

- Błyszczący rożek, w który się dmucha i wtedy gra muzykę.

- Jak skrzypce dziadka?

- Tak, jedno i drugie daje muzykę, ale dziadek używa smyczka do gry na skrzypcach. Widziałas kiedyś, żeby w nie dmuchał?

Beth zachichotała.

- Może dmuchnie, jak go poproszę.

Tibbie zmierzwiła córce włosy i połaskotała ją pod brodą.

- Mój słodki aniołku, jeśli ktoś może namówić dziadka, żeby dmuchał w skrzypce, to tylko ty.

Beth znów przyjrzała się kwiatkowi.

- Naprawdę anioły w nie dmuchają? - Przytknęła kwiatek do ust i sama spróbowała dmuchnąć, ale wyfrunął jej z rączki. - Nie wydał żadnego dźwięku. - Spojrzała rozczarowana na matkę.

Tibbie czułym gestem pogłaskała Beth po policzku, a potem schyliła się, żeby zerwać jeszcze jeden biały kwiatek.

- Tak naprawdę anioły wcale na nich nie grają. Ludzie nazwali je tak, bo kształtem przypominają trąbkę. - Odwróciła roślinkę bokiem. - Widzisz?

- To dlaczego nie nazwali go po prostu trąbkowym kwiatkiem?

- Nie jestem pewna, ale chyba dlatego, że jest piękny, smukły i biały jak długa biała szata anioła.

Beth wzięła kwiatek z rąk matki, przyjrzała mu się z szacunkiem, po czym schowała do kieszeni.

- Dam go babci, żeby zasuszyła w mojej książce.

Po chwili zbiegała z piaszczystego zbocza, krzycząc do matki, żeby się pospieszyła. Tibbie spełniła polecenie córki i wkrótce siedziała na kocu, napawając się ożywczym szumem i zapachem morza.

Czytała Bethany babciną *Księgę miesięcy*. Od czasu do czasu przerywała, żeby, marszcząc czoło, pomyśleć nad przeczytaną treścią, albo odkładała książkę grzbietem do góry i patrzyła gdzieś w dal ponad wodą. Zbyt wiele było podobieństw między marcem a jej życiem. Choćby to, że kamieniem przypisanym marcowi był krwawnik.

Nic dodać, nic ująć.

Albo na przykład stare wierzenie, że krwawnik może powstrzymać krwotok, leczyć zapalenia, koić gniew i niezgodę... Przydałaby się jej choć cząstka tych mocy. Twierdzono także, że ten kamień może powodować wrzenie wody, a temu, co go nosi, dawać popularność, odwagę i mądrość. Mądrość? Ta też by jej się przydała.

- Kwiatem marca jest żonkil albo narcyz - przeczytała Tibbie.

- Wiosenny żonkil stanął na trawniku, w żółtej sukience, zielonym płaszczyku - zaśpiewała czystym głosem Beth. Stojąc na skraju koca, zgięła się nisko i popatrzyła między nogami na matkę. - Śmiesznie wyglądasz, mamó. Jesteś do góry nogami!

Tibbie ze śmiechem poderwała się z koca. Obróciwszy się plecami do córki, zadarła spódnice, schyliła się i zrobiła to samo co Beth.

- Ty też śmiesznie wyglądasz! Jesteś do góry nogami!

Beth padła na koc, zanosząc się chichotem. Tibbie porwała ją w objęcia, łaskocząc po całym ciele. Beth pocałowała matkę wilgotnymi usteczkami.

- Lubię, jak jesteś taka. Podobasz mi się do góry nogami.

- Czemu nie. - Tibbie westchnęła i sięgnęła po książkę. - Mniej więcej tak wygląda moje życie - dodała ciszej, tak żeby córka nie mogła usłyszeć.

- Co?

Tibbie potrząsnęła głową. Zapomniała o niezwykłej czujności dziecięcych uszu.

- Nic.

- Czemu zawsze mówisz „nic”, kiedy naprawdę coś powiedziałaś? Widziałam, że usta ci się ruszały, mamó. Naprawdę widziałam. Słyszysz?

Tibbie roześmiała się serdecznie. Nigdy nie miała dość słuchania melodyjnej paplaniny Beth, jej dorosłych przemyśleń.

- Oczywiście, że słyszę. - Przytuliła córkę mocno i ucałowała. Przestała się śmiać, a oczy nagle jej się zaszklily, jakby wezbrały w nich łzy. Cmoknęła dziewczynkę w czubek głowy, po czym spoglądając w niebo, szepnęła: - Dziękuję.

Nie wiadomo skąd nad ich kocem pojawiła się mewa. Zaskrzeczała, przelatując nisko, i narobiła na skraj koca.

- Fui! - Beth skrzywiła się z obrzydzeniem, przywierając do matki.

Tibbie ponownie wzniosła oczy ku niebu. Zechciej zapamiętać, powiedziała w duchu, że już nie proszę o żadne znaki, ale jeśli to miała być wskazówka co do czekających mnie łask, to może przez jakiś czas obdarzaj łaskami kogoś innego.

Beth przysypała piaskiem niespodziankę zostawioną im przez mewę i szukała czegoś na kocu, w kieszeniach, a potem także w koszyku.

- Czego szukasz?

- Mojego kwiatka. Włożyłam go do kieszeni, ale go tam nie ma.

- Musiał widocznie wypaść, kiedy biegłaś. Zerwiemy inny w drodze powrotnej.

- Może znajdę ten stary, to nie będę musiała zrywać nowego.

- Może, ale zgubione rzeczy zwykle się nie odnajdują. - Tibbie znów pograżyła się w lekturze. Co jakiś czas unosiła wzrok, żeby spojrzeć na Beth, która siedziała spokojnie, z wyrazem zamyślenia na buzi.

- Mamo, gdzie się podziewają zgubione rzeczy? - spytała po dłuższej chwili.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, te rzeczy, które mieliśmy, ale już ich nie mamy, jak nóż dziadka czy poduszka do igieł babci i ten kawałek laku, którego szukała ciocia Mairi. Zgubiłam moją najładniejszą niebieską wstążkę, a ty nie możesz znaleźć swojego naparstka. Tych zgubionych rzeczy jest tak dużo, że muszą zajmować wiele

miejsca, więc dlaczego nie możemy ich znaleźć? Gdzie one wszystkie się podziewają?

- Są w wielu różnych miejscach, ale przeważnie są po prostu zgubione... w niewłaściwym miejscu.

- Aha. Kiedy zdechł ten rudy pies, to też się znalazł w niewłaściwym miejscu?

- Nie, został pochowany, nie pamiętasz? Włożyliśmy go do pudełka, a potem do ziemi. Wiemy, gdzie jest, więc nie można powiedzieć, że się zgubił.

- Ale mój kwiatek się zgubił, bo nie wiem, gdzie jest. Więc gdzie się podział, mamu? Przecież musi gdzieś być!

Tibbie starała się wymyślić jakąś odpowiedź. Żałowała, że nie ma z nimi babci Grace. Babcia zawsze umiała wszystko doskonale wyjaśnić. Przypomniawszy sobie o tym, poczuła się trochę winna za te dziesiątki pytań, podobnych do pytań Beth, jakie sama jej zadawała, będąc dzieckiem. Ciekawe, czy babcia miała podobne kłopoty z odpowiedziami jak ona teraz?

- Mamu? Słuchasz mnie?

- Tak, pączuszk, słucham. Myślę. Zgubione rzeczy nigdzie się nie podziewają. Pozostają tam, gdzie były, kiedy je zgubiłaś. - Zerknęła na córkę, żeby sprawdzić, czy zadowolona. - Powiedź. Mina Beth świadczyła, że raczej nie jest zadowolona. Tibbie z uśmiechem pokręciła głową. Chyba niepotrzebnie jej namieszałam, pomyślała. - O czym teraz myślisz?

- O dziadku. Powiedział, że dobrzy ludzie idą do nieba, kiedy umrą, a zgubione dusze... tam na dół! - Wskazała w odpowiednim kierunku. Oczy zrobiły jej się okrągłe jak spodki. - Powiedział też, że syn pani Pomfreet zaginął na morzu, a biedna stara pani Adeerley zgubiła wszelką nadzieję...

- Straciła wszelką nadzieję.

- Straciła wszelką nadzieję - powtórzyła Beth. - Czy ta stracona nadzieja pozostała tam, gdzie ją straciła?

- Nie. Przedmioty, takie jak nóż dziadka czy mój napałek, są tam, gdzie zostały pozostawione, ale nadziei nie traci się tak jak zgubionego kwiatka. Stracić nadzieję, to znaczy poddać się,

zrezygnować. Pani Adeerley niczego tak naprawdę nie zgubiła, tylko po prostu była bardzo, ale to bardzo zmęczona.

- To powinna się przespać.

- Zwykle to robi w kościele - zauważyła Tibbie ze śmiechem. Wbiła wzrok w niewielki ślad świńskiej raciczki na piasku. - Gdzie jest Fortuna? - zaniepokoiła się. - Nigdzie jej nie widzę.

- O rany! - wykrzyknęła Beth. - Mam nadzieję, że się nie zgubiła.

- Nie liczyłabym na to. - Tibbie westchnęła.

- O, tu jest, pod kocem. Zapomniałam, że ją przykryłam.

- Po co? Przecież nie jest zimno.

- Żeby słońce jej nie spiekło. - Beth przyjrzała się świni. - Ale chyba jej się to nie podoba.

Tibbie musiała przyznać córce rację, bo Fortuna właśnie wygrzebała się spod koca i pochrzakując, zaczęła krążyć wokół nich. Wywróciła koszyk i zeżarła trzy ciastka, zanim Tibbie i Beth zdążyły jej w tym przeszkodzić.

- Musimy ją wiązać na sznurku - stwierdziła Tibbie. - Robi się za bardzo niesforna.

- Nie spodoba jej się to - wyraziła obawę Beth.

- Nie ma nic do powiedzenia - ucięła jej matka. Wstała, wyciągając rękę do córki. - Chodź, przejdziemy się plażą. Może uda nam się zmęczyć Fortunę tak, żeby po powrocie zasnęła.

Przeszły plażą jakieś pół mili. Beth i świnia biegły przodem; dziewczynka szukała muszli, a Fortuna, kwicząc, podążała za nią krok w krok. Obserwując je, Tibbie zastanawiała się, czy Fortuna lubi coś bardziej niż jedzenia i kwiczenia.

Kiedy się z nimi zrównała, Beth spytała:

- Możemy już wracać? Jestem głodna. Możemy teraz zjeść podwieczorek? Ty też jesteś głodna, mamó?

- Umieram z głodu.

- Prześcignę cię! - zawołała Beth, puszczając się pędem.

- Ty mały łobuzie! - wykrzyknęła Tibbie, rzucając się w po-

goń. Gdy tylko Fortuna zobaczyła, że dziewczynka ucieka, ruszyła za nią z głośnym kwikiem, wpadając pod nogi Tibbie, która omal nie fiknęła koziołka, potykając się o niesforne zwierzę.

- Zamknij się, głupia świni! - zawołała do Fortuny, hałasującej przeraźliwie, jakby ją co najmniej zarzynano. Wygrzebawszy się spomiędzy splątanych nóg i halek Tibbie, świnia stanęła naprzeciw niej, poruszając płaskim różowym rykiem. - No już! - zrywała się Tibbie. - Zabieraj się stąd, porco wie-przowiny! Wynocha! - Klasnęła w dłonie. - Sio!

Fortuna jednak ani myślała się ruszyć, stała jak wmurowana z zadartym ogonem.

- No dobrze - poddała się Tibbie. - Ta przeklęta świnia mnie kiedyś wykończy. - Pozbierała w jedną rękę fałdy spódnicy i podniosła się na nogi. Wiedziała, że Fortuna nie da się zostawić i gdy tylko Tibbie spróbuje się oddalić, pogna za nią, szybko przebijając raciczkami i kwicząc.

Nie myliła się. Beth zdążyła odbiec spory kawał drogi i znajdowała się w miejscu, gdzie plaża otaczała zakolem niewielką, płytką zatoczkę. Tibbie zadarła wyżej spódnice i pobiegła na wprost. Fortuna lubiła wodę, ale niekoniecznie cały ocean naraz, więc pełna obaw raz po raz podbiegała do brzegu i cofała się. W końcu zaczęła się awanturować, widząc, jak Tibbie chłapie, biegnąc przez płyciznę, stopniowo dogania Beth i coraz bardziej oddala się od Fortuny.

- Poczekaj tylko, niech cię złapie! - zawołała ze śmiechem Tibbie do córki. Przyjemnie ciepła woda przybrzeżnego prądu pryskała jej nawet na twarz.

Beth odwróciła się i widząc matkę prawie całkiem moką, chlapiącą się w wodzie jak jakiś rozbawiony szczeniak, natychmiast zawróciła, biegnąc jej naprzeciw.

- Nie złapiesz! Nie złapiesz! - pisnęła, kiedy Tibbie podskoczyła, chcąc ją schwytać, a złapała jedynie sznur paskudnych brązowych wodorostów.

- Dostaniesz za swoje - powiedziała jej matka, wypływając słoną wodę. Rozchichotana Beth próbowała uciec, ale tuż po

wyjściu z wody zaplątała się w namokniętą spódnicę. Tibbie wykorzystała ten moment, żeby ją wreszcie złapać, i obie przewróciły się na piasek. Zaśmiewały się głośno, a Fortuna wtórowała im radosnym kwikiem, nic więc dziwnego, że nie usłyszały niskiego męskiego śmiechu, który przetoczył się po wydmach za nimi.

Świadomy, że może zdradzić swą kryjówkę, Nick uniósł wyżej głowę i patrzył, jak Tibbie i Beth dokazują na plaży. Jeszcze nigdy nie widział takiej sceny. Pożałował, że brak mu artystycznych talentów, to bowiem, co widział, z pewnością mogło zainspirować malarza, poetę czy muzyka, podczas gdy on mógł to jedynie podziwiać.

Czasami całkiem niespodziewanie dowiadywał się o Tibbie Buchanan różnych zaskakujących rzeczy. Marzył, by usłyszeć jej uśmiech, i nawet mu się nie śniło, co poczuje, widząc ją taką swobodnie roześmianą, tarzającą się w piasku z wysoko zadartą spódnicą, machającą w powietrzu cudownie zgrabnymi nogami. A kiedy uklękła na plaży i zobaczył, jak mokre ubranie przylega do jej boskich kształtów, ten szczególny fragment jego ciała jakby zaczął żyć własnym życiem. Do diabła! Aż niewygodnie mu było leżeć na brzuchu.

Jakiś czas później Tibbie i Beth kończyły przyniesioną z domu przekąskę. Fortuna, napchana resztkami jedzenia, pochrząkiwała z zadowoleniem na skraju koca. Nick zastanawiał się, czy powinien wkroczyć na scenę, kiedy na plaży zjawiła się siostra Tibbie.

- Halo! - zawołała, zmierzając w stronę koca. - Halo, Tibbie!
- Mairi! - odrzyknęła Tibbie, machając do siostry. - Chodź, dołącz do nas!

Mairi zatrzymała się tuż przed nimi.

- Nie mogę. Mama kazała mi was znaleźć. Pani Rafferty przychodzi do Beth na lekcję fortepianu, zapomniałaś?

Tibbie przycisnęła dłonie do ust.

- O wszyscy święci! Zapomniałam. Która godzina? - spytała, grzebiąc w koszyku w poszukiwaniu zegarka. - Wpół do piątej! Chryste Panie! Jesteśmy tu od pierwszej!

- Wiem. Mama się bała, że obie utonęłyście. Oczywiście babcia powiedziała jej, że to niemożliwe, bo obiecałaś trzymać się z daleka od wody. - Mairi obrzuciła wymownym spojrzeniem mokrą sukienkę i zmierzwiłone włosy siostry. - Wygląda na to, że babcia się myliła. - Parsknęła śmiechem. - Lepiej zabiorę Beth, a ty doprowadź się jakoś do porządku. Wyglądasz, jakby cię wyłowiono z morza.

- Co masz na myśli?

- To, że wyglądasz okropnie. Wiesz, co powie mama.

Tibbie mogła sobie z łątwością wyobrazić, co powie matka, i to wystarczyło, by zgodziła się z Mairi.

- Dobrze, zabierz Beth do domu. Ja przyjdę niedługo.

- Nie spiesz się za bardzo - poradziła Mairi, kpiąco patrząc na siostrę. - Potrzebujesz sporo czasu, żeby dojść do ładu. - Wzięła Beth za rączkę i odskoczyła, kiedy Tibbie cisnęła w nią garścią piasku. - Nigdy nie umiałaś trafić we wrota stodoły, Tib - powiedziała ze śmiechem.

- Ty jesteś mniej więcej tych samych rozmiarów - odcięła się Tibbie.

Przez dłuższą chwilę siedziała, przebierając bosymi stopami w ciepłym piasku i spoglądając na wodę. Potem z leniwym westchnieniem rozciągnęła się na kocu.

- Zamknę oczy tylko na pięć minut - mruknęła sennie.

Pół godziny później Nick stał nad nią, walcząc z przemożnym pragnieniem, by wziąć ją w ramionach i pocałunkami stłumić wszelkie jej protesty. Patrzył na jej delikatną, uśpioną twarz. Dobry Boże! Chciałby móc tak spać, móc znowu sypiać tak spokojnie. Gdy poczuł, że wzbiera w nim czułość, szybko przywołał się do porządku. Przedłużanie tego szaleństwa z pewnością nie leżało w jej najlepiej pojętym interesie, ale pewne sprawy trzeba doprowadzać do końca. I ta sprawa właśnie do takich należała.

Długo ją obserwował, zdawało mu się, że przez całe wieki. Widok jej radosnej bez troski jeszcze wzmógł jego pożądanie, choć Nick wiedział, że tym trudniej będzie mu odejść, kiedy

nadejdzie pora. Wynoś się stąd natychmiast, stary głupcze, powtarzał sobie w duchu. Szybko! Zanim zrobisz coś, czego oboje będziecie żałować.

Ale Nicholas Mackinnon zawsze był upartym człowiekiem. Nie mógł oderwać od niej oczu. Widywał już śpiące kobiety. Wiele razy. Przeważnie nagie. Ale jeszcze nie widział, żeby któraś tak spała. Słodko. Spokojnie. Niewinnie. I do tego była taka piękna. Zamknął oczy w nadziei, że z jego łędźwi ustąpi bolesne napięcie. Nie pomogło. Każdy szczegół miał wryty pod powiekami, każdą cudowną kobiecą krągłość, każdą nieskończoność długą rzęsę ocieniającą piękne bursztynowe oczy. Przewodząc obserwacje od wielu tygodni, Nick przekonał się, że wszystkie poczynania tej niezwyklej dziewczyny cechuje pasja i dotyczyło to nawet snu.

Czy także uprawiania miłości?

Wysłuchiwał się w miękki, delikatny szum fal liżących ciepły piasek. W oddali zaskrzeczała mewa. Słońce ogrzewało mu twarz, wiatr łagodnie głaskał plecy. Było cicho i spokojnie jak na bezludnej wyspie. Puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, że są we dwoje na wyspie, gdzie ma Tibbie tylko dla siebie, na całe długie miesiące, nie musi już godzinami czatować na jedno jej spojrzenie czy chwilę rozmowy. Trudniej ją było złapać niż złotą rybkę. Wymykała się z pola widzenia, wiecznie nieuchwytna, niedostępna. Z westchnieniem otworzył oczy.

Patrzyła na niego jak na zjawę.

- No, no - odezwał się - co my tu mamy? Pień wyrzucony przez morze? Czy raczej syrenę? A może kępę wodorostów? Powiedz mi, jak zdołałaś umknąć Posejdonowi, mała ślicznotko?

- Miałam szczęście - powiedziała bardzo cicho. Właściwie tylko nieznaczny ruch ust zdradzał, że w ogóle coś powiedziała. Zamknęła oczy, lecz zaraz szybko znów je otworzyła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności. - Czego pan chce?

Czego chciał? Osunął się przed nią na kolana, na co odpowiedziała, natychmiast podnosząc się do pozycji siedzącej,

i zaczęła pakować rzeczy do koszyka. Czego chciał? Przebiegł go dreszcz pożądania. Okazała więcej swobody, dała z siebie więcej podczas niewinnych igraszek w wodzie, niż jakakolwiek inna kobieta dała mu w łóżku.

- Co pan tu robi? - spytała tym razem głośniej, wyraźnie zdenerwowana.

- Można powiedzieć, że przyszedłem odebrać obiecaną godzinę pani czasu. Bardzo pani oszczędna w dotrzymywaniu słowa.

- Coś mi mówi, że odebrał pan swoją godzinę z nawiązką. Od jak dawna pan mi się przyglądał?

- Dość długo, żeby wiedzieć, że jest pani wodnym elfem - odpowiedział z uśmiechem.

Widział, jak z jej twarzy znika łagodny spokój i zastępuje go tak dobrze mu znany wyraz ostrożności zaprawionej niechęcią.

Odruchowo wyciągnął rękę i położył jej na karku, w miejscu, gdzie zaczynają wyrastać włosy, jakby ten mało znaczący gest mógł uśmierzyć strach, który w niej wyczuwał.

- Nie musi się pani mnie bać - powiedział, nachylając się nad nią.

Miała najśodsze usta na świecie - podatne, ciepłe, miękkie i słodkie jak dojrzały owoc. Pachniała kobietą, słońcem i słonym powietrzem. Kolana mu drżały, wyciągnięte ramię dziwnie drętwiało. Kiedy ostatni raz czuł tę chłopięcą nieporadność? Czy brała się z jej niewinności?

Bo była niewinna, choć miała nieślubne dziecko.

Z początku w ogóle nie reagowała, sztywna i nieruchoma. Potem delikatny powiew ciepłego oddechu musnął mu policzek. W jej dziewczęcej świeżości było coś niezwykłego, co kazało mu bezustannie pamiętać, z kim ma do czynienia, tak jak nowe buty nie pozwalają o sobie zapomnieć, uciskając palce. Wzięła ją pod rękę, uniósł i przygarnął do siebie.

Od chwili, gdy otwarła oczy i uświadomiła sobie, że on nie jest senną zjawą czy wytworem jej wyobraźni, Tibbie czuła się tak, jakby nie była sobą. Gdzie się podziała ta dociekliwa, surowa

w osądach, ostrożna istota, za jaką się uważała? Jego pojawienie się na plaży całkiem ją zaskoczyło. Podobnie jak to, że ją pocałował. A to, jak ją całował i co czuła, było wręcz przerażające. Powtarzała sobie w duchu: Tibbie, czyżbyś się niczego nie nauczyła? Nadal podążasz do zguby tą samą drogą, którą dałaś się prowadzić Ericowi? Nie rozumiesz, o co chodzi temu mężczyźnie, czego on chce?

Nicholas, czując jej opór, przytulił ją mocniej, zacisnął palce w jej włosach, aż krzyknęła z bólu.

- Nich pan przestanie! To boli! - Ale on jakby nie słyszał. Całował ją coraz bardziej zapamiętale, z gardła wydobył mu się tłumiony jęk. - Proszę! - szepnęła resztką tchu. - Czego pan ode mnie chce?

- Chcę pani. Chcę, żeby mnie pani całowała tak, jak tego pragnie.

Podniosła rękę, żeby wymierzyć mu policzek.

- Prosiłem o pocałunek, mała złościco - powiedział ze śmiechem. - Na wypadek, gdyby pani nie wiedziała, to informuję, że nie ma w tym nic obraźliwego!

- W moim przypadku jest!

- Dobry Boże! Jak by się pani zachowała, gdybym powiedział, że chcę się z panią przespać?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź, bo tym razem boleśnie trafiła go w ucho.

- Ty zбочeńcu! Ty... ty jaszczurko o paskudnym języku!

W uszach mu dzwoniło, zarówno od uderzenia, jak i od obelg, ale to, co miało go ostudzić, jeszcze wzmogło i tak już niebezpiecznie nabrzmiała żądzę. Błysk gniewu pojawił się i natychmiast zgasł, a jedyna kara, jaką był w stanie jej wymierzyć, polegała na objęciu jej jeszcze mocniej i przyciśnięciu do siebie, tak że nie mogła się opierać. Pocałował ją gwałtownie, natarczywie, wciskając jej język do ust.

Tibbie straciła głowę. Uważała się za kobietę doświadczoną, jeśli idzie o mężczyzn... ostatecznie, czyż nie urodziła dziecka? A teraz to przekonanie zostało poddane ciężkiej próbie. Kiedy

Nick ją całował, z narastającą pasją, uświadomiła sobie nagle całą mizериę swej wiedzy o mężczyznach.

Niby wciąż miała jasny, sprawny umysł, ale jego pocałunki odbierały jej rozsądek i wolę. Czuła się niepewnie, traciła grunt pod nogami, jakby ktoś siłą wlewał jej do gardła brandy. Wiedziała, do czego on zmierza. Wiedziała, co powinna zrobić. Ale gdzieś pomiędzy tą wiedzą a działaniem zabrakło woli. Przyłgnęła do niego, poddając się miłym odczuciom, choćby tylko na chwilę. Nie zdawała sobie w pełni sprawy, jak bliskość jej młodego ciała wpływa na Nicka. Wydał z siebie przeciągły jęk, dosłownie zgniatając ją w ramionach, wpijając się w jej usta jeszcze głębiej, napełniając jej głowę dziwnymi, niepotrzebnymi myślami.

Ale już od tak dawna nie czuła bliskości mężczyzny, nie smakowała takich cudownych, namiętnych pocałunków. Resztki rozsądku przypomniały jej o winie i wstydzie.

Uczynki i ich konsekwencje. Żal i troska. Kara i cierpienie. Nie mogła przeżyć tego wszystkiego jeszcze raz od nowa.

Odepchnęła go od siebie.

- Jeśli liczy pan na moją wzajemność, to tylko traci pan czas. Pańskie pocałunki przywodzą mi na myśl jedzenie surowej wątróbki.

- Gdybym wierzył, że jada pani surową wątrobę, poważnie bym się obawiał. Ale prawda jest taka, że tylko maci pani wodę tymi swoimi wymysłami. Lepiej niech mnie pani pocałuje, bo przecież ma pani na to ochotę!

Odsunęła się od niego gwałtownie. Kiedy wyciągnął do niej dłoń, zdecydowanie ją odtrąciła.

- Proszę trzymać ręce przy sobie. Nie lubię być obłapiana.

Cień przemknął mu po twarzy, rysy stężyły w wyrazie złości.

- Nie lubi pani niczego, co dotyczy wolności lub uczucia - stwierdził cierpko.

- Mam swoje powody.

Zasepił się jeszcze bardziej.

- Tak - przyznał, gładząc ją delikatnie po policzku. - Ma pani.

Uśmiechnął się jakby ze smutkiem. Na widok tego uśmiechu zrobiło jej się ciepło na sercu. Wdzierał się w jej życie, łamał lodową skorupę, pokonywał obronne zasieki, którymi się otoczyła. Czuła, że jej determinacja słabnie, że zapomina o tym wszystkim, o czym powinna pamiętać. Jednak otrzeźwienie przyszło natychmiast, kiedy powiedział:

- Ale to nie są wystarczające powody, żeby odmawiać sobie szczęścia, żeby spędzić resztę ziemskiego życia na wiecznej pokucie. Ustanowiła pani sobie własnym sędzią. Nie ma pani prawa potępiać mieszkańców Indianoli za ich surowość, brak zrozumienia, za to, że byli gotowi rzucać kamieniami. To pani jest swoim najgorszym wrogiem, Tibbie. Karze się pani znacznie okrutniej niż oni wszyscy razem wzięci. Czas, żeby pani przestała.

- Dlaczego? Żeby zostać pana ofiarą?

- Moją ofiarą? No, to już chorobliwe podejście do rzeczywistości, nie sądzi pani?

- Nie, jeśli się wie to, co ja wiem.

Wybuchnął śmiechem.

- Tibbie, moja droga, mam wrażenie, że nie wie pani nic, poza bardzo ogólnymi zarysami.

- Wiem wystarczająco dużo - rzuciła oschle.

Nie przestawał się śmiać.

- Może pani wie, ale „wystarczająco dużo” czasem oznacza niewiele. Nie wygląda pani na kobietę, która się zadowoli namiastką. Pani należy do tych, co idą na całość, co biorą wszystko albo nic.

- Mówi pan od rzeczy! - obruszyła się.

- Słodka, słodka niewinności - rzekł miękko, dotykając czubkami palców jej ust.

- Nie jestem niewinna. Wręcz przeciwnie. I pan to wie tak samo dobrze jak ja!

- Czyżby?

- Widział pan dowód mojej głupoty.

- Tak to pani nazywa? Głupotą?

- Nie można tego nazwać inaczej... tylko głupotą.

Ujął ją pod brodę i zajął jej prosto w oczy. Jego słowa były wyważone, poważne i ostre jak nóż.

- A po co nazywać inaczej niż po prostu przeszłością? Bo to jest pani przeszłość. Coś, co minęło. Nie może pani osiągnąć i zranić, chyba że sama pani do tego dopuści.

- Dosyć! - wykrzyknęła, zatykając sobie uszy rękami. - Nie muszę tego słuchać.

- Zatem jest pani głupia.

Przeszyła go spojrzeniem, w którym była i złość, i gorycz.

- Może i jestem, panie Wszystkowiedzący, ale to w końcu moja sprawa.

- A dziecko? Co z Beth?

- Proszę ją zostawić w spokoju.

- Dlaczego? Ona i tak jest pozostawiana na uboczu.

- Co pan ma na myśli?

- Zanedbując siebie, zanedbuje pani także swoje dziecko.

- Wcale jej nie zanedbuję. Poświęcam się dla niej.

- O tak, w istocie. Ale są rzeczy, których pani jej dać nie może.

- Ona ich nie potrzebuje.

- Każde dziecko potrzebuje ojca.

- Ona ma ojca!

- Którego nie zna. Który nie może jej dać miłości i poczucia bezpieczeństwa innego niż otrzymuje od matki. Miłości i oparcia, jakie może dać tylko ojciec.

- Ma mojego ojca.

- Który jest zbyt zmęczony, zbyt przepracowany, żeby jej poświęcać tyle uwagi, ile ona potrzebuje. Dojdzie w końcu do tego, że przekaże jej pani swój lęk przed mężczyznami. Będzie dorastać, bojąc się mężczyzn i czując do nich niechęć. Tego pani chce? Starzeć się, patrząc, jak pani córka marnuje sobie życie? Ona może nie mieć tyle szczęścia co pani, może nigdy nie poznać, jak to jest być matką. I pani będzie to zawdzięczać. Myśli pani, że jako dorosła kobieta, oschła i zgorzkniała, będzie pani wdzięczna?

- Ona nie jest głupia, panie Mackinnon. Beth jest bystrym dzieckiem. Zrozumie, kiedy dorośnie.

- Jeśli pani w to wierzy, to naprawdę jest pani niewinna.
- Mówiłam, żeby pan mnie tak nie nazywał. Pan sobie ze mnie kpi! Nie jestem niewinna!

Zaskoczył ją, znów wybuchając śmiechem.

- Tamten mężczyzna obudził w pani namiętność, słodka Tibbie, ale nic więcej. Jeszcze nikt nie poruszył pani serca.

- I nie poruszy.
- Jest pani tego pewna? - spytał, wpatrując się w nią z napięciem.

- Całkowicie.

- Nie sądzę. Myślę, że właśnie dlatego pani się mnie boi.

- Nie boję się pana.

- To proszę się do mnie zbliżyć.

- Nie. - Wycofała się na drugi koniec koca.

Uniósł brew.

- Więc jednak się pani boi, tak jak myślałem.

- Nie boję się. Nie lubię pana, ale się nie boję.

- No to proszę się zbliżyć.

Rozejrzała się, jakby poszukiwała pomocy. Zrobiło mu się jej żal, ale wiedział, że żalu nad sobą miała dotąd aż nadto. Potrzebowała czegoś innego. Znacznie mocniejszego. Nicholas wiedział, czego potrzebowała. Nie wiedział tylko, jak jej to dać.

- Pewnego dnia obudzą się w pani uczucia.

- Wątpię. Nie mam żadnych... przynajmniej w stosunku do pana.

I tym razem nie mógł się powstrzymać od wesołości.

- Och, to się wkrótce zmieni. Jestem cierpliwy... bardzo cierpliwy.

Oddałbym pięcioletnie dochody, żeby się znaleźć z tobą na tej wyspie, o której marzyłem, pomyślał. Przyjrzał jej się z zadumą. Niechby i dziesięcioletnie...

- Może pan czekać, aż się panu zrobią odciski... - Oblała się rumieńcem. - Może pan czekać do dnia Sądu Ostatecznego. Nic mnie to nie obchodzi. Nigdy się panu nie poddam. Nigdy nie wejdzie pan do mego serca. Nigdy!

Uśmiechnął się, ciepło i z czułością.

- Wiele jeszcze może się zdarzyć, między ustami a brzegiem pucharu, moja słodka. Lepiej, żeby pani o tym pamiętała następnym razem.

- Nie będzie następnego razu- rzuciła ostro, ale Nicholas Mackinnon nadal się uśmiechał. Dotykając jej podbródka i patrząc głęboko w oczy, powtórzył:

- Wiele może się zdarzyć. - Na koniec dotknął jej nosa, podniósł się i odszedł.

Patrzyła, jak się oddala plażą, znikając za pasmem wydm. Fale wpełzające na brzeg szybko wymazały z piasku jego ślady, jakby w ogóle tu nie przyszedł. Ale ślady, które zostawił w jej sercu... co z nimi?

8

Poza Nicholasem Mackinnonem drugim potężnym źródłem niepokoju w życiu Tibbie Buchanan był kościół.

- Popełnianie lubieżnych czynów jest grzechem, ale powiadam wam, nawet myśli lubieżne są grzechem.

Tibbie zawsze czuła się trochę niepewnie, ilekroć wielebny Woolridge wybierał na temat kazania kwestie moralności. Nie inaczej było i tego dnia. Bo, prawdę mówiąc, myśli Tibbie bywały lubieżne. Zdarzało jej się myśleć o Nicholasie Mackinnonie. A on z pewnością był lubieżny. Oczywiście, to nie Nick był odpowiedzialny za jej poczucie winy. Tym bardziej nie była to wina zacnego pastora, że myślała o nieprzyzwoitych rzeczach.

Może tego dnia owo poczucie winy nie nękałoby jej tak dotkliwie, gdyby babcia Grace nie zwróciła jej uwagi na słowa kazania. Albowiem babcia Grace, przykładając dłoń do swej płaskiej piersi, powiedziała:

- W moim wieku pozostały mi już tylko lubieżne myśli.

Do tego momentu Tibbie po prostu nie słuchała kazania, pogrążona we własnych rozmyślaniach.

Rozejrzała się dyskretnie, stwierdziła, że wszyscy z uwagą przysłuchują się wielebnemu Woolridge'owi, i doszła do wniosku, że jest jedyną osobą w całym kościele, która ma lubieżne myśli...

i z pewnością jedyną, która powinna szczególnie wziąć sobie do serca treść kazania.

Kiedy wielebny powiedział:

- Chcę ujrzeć wszystkie głowy pochylone i wszystkie oczy zamknięte, kiedy skłonimy się w modlitwie. - Tibbie usłuchała, gotowa z pokorą przyjąć wszelkie napomnienia, dopóki nie dodał: - Oczyszczyć to nieszczęsne naczynie, o Panie! Daj mi cnotę czystości. Daj mi abstynencję i powściągliwość...

- Nie módl się o to! - ostrzegła ją szeptem babcia, równocześnie ściskając jej rękę. - Będziesz miała na to dość czasu później, jak dożyjesz mojego wieku.

Tibbie otwierała jedno oko i zerknęła na siedzącą po jej prawej stronie kochaną staruszkę, która zawsze jakimś cudem potrafiła wyczuć jej wątpliwości. Kiedyś spytała babcie, jak to jest możliwe, na co ona odparła z prostotą;

- Ponieważ jesteś do mnie podobna!

Siedząca po drugiej stronie Beth zaczęła się wiercić, więc Tibbie skarciła ją surowym spojrzeniem. Skutek był jedynie taki, że dziewczynka odwróciła się z nadąsaną miną. Beth wyraźnie miała zły dzień, jeden z tych, jakie są postrachem wszystkich matek. Parę sekund później Tibbie znów musiała ją napomnieć.

- Przestań szeleścić halką.

- Dlaczego? Bo panu Jezusowi się to nie podoba?

- Nie, ponieważ wielebny Woolridge będzie niezadowolony. Minęło ledwie parę minut.

- Zamknij oczy podczas modlitwy - nakazała Tibbie szeptem.

- Dlaczego? Bo wielebny Woolridge tak chce?

- Nie, ponieważ należy okazać pokorę.

Następna uwaga skierowana do córki brzmiała:

- Nie oglądaj się na ludzi za tobą.

- Dlaczego? Bo ci się to nie podoba?

- Nie, ponieważ tym ludziom może się nie podobać.

Zaraz potem Tibbie miała zwrócić Beth uwagę, by nie siadała na piętach, kiedy należy klęczeć, gdy Coll pochylił się i nad głową dziewczynki powiedział do Tibbie:

- Zaraz będziemy przyjmować komunię. Powiedz swojej babce, żeby nie opróżniała kielicha do dna.

Tibbie przekazała uwagę babci, która oburzona mruknęła tylko coś pod nosem. Na moment udało się Tibbie skupić na przebiegu nabożeństwa, nie na długo jednak, bo Beth zaczęła ją szarpać za rękaw. Próbowwała uspokoić córkę groźnym spojrzeniem, lecz skutek był odwrotny do zamierzonego - Beth zaczęła ciągnąć jeszcze mocniej.

- Czego chcesz? - spytała Tibbie szeptem.

- Co to jest wiekuisty żywot?

- To, kiedy się żyje wiecznie.

- Jak koty?

- Koty nie żyją wiecznie.

- Babcia mówiła, że koty mają dziewięć żywotów.

- Tak, ale po tym dziewiątym umierają.

- Aha. - Beth zmarszczyła czoło. - A ja będę mieć wiekuisty żywot?

Tibbie poklepała córkę po ręce.

- Z pewnością. A teraz bądź cicho.

Beth wytrzymała w milczeniu mniej więcej minutę, po czym znów pociągnęła matkę za rękaw.

- A kiedy go dostanę?

- Co?

- Wiekuisty żywot?

- Po śmierci.

- Jak mogę mieć wiekuisty żywot, skoro umrę?

Tibbie splótła ręce na kolanach, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Spytaj dziadka - poradziła w końcu z rezygnacją.

Wychodząc z kościoła, Tibbie dostrzegła Nicholasa Mackinnona. Podczas nabożeństwa siedział w następnym rzędzie i wstał równocześnie z Tibbie.

- Gdyby pani ojciec przypadkiem nie wiedział, proszę powiedzieć Beth, że chętnie jej wytłumaczę, na czym polega wiekuisty żywot - zachęcił, przyglądając jej się stanowczo zbyt swobodnie.

Targnęła nią złość, ale postanowiła trzymać się w ryzach. Niektóre uwagi nie zasługiwały na odpowiedź. Nie uśmiechnęła się, co powinno mu dać do myślenia. A jeśli nie dawało, to jej kamienna obojętność, dumnie uniesiona głowa i wyniosłe spojrzenie nie powinny pozostawiać żadnych wątpliwości.

Wokół nich rozlegało się szuranie kroków, ktoś zakaszał, przypominając im w ten sposób, że należy wyjść, nie torując drogi. Tibbie rozejrzała się za córką i dostrzegła ją o kilka ławek dalej, idącą z dziadkiem. Nie patrząc na Nicka, uniosła lekko spódnicę i odeszła. Jak śmie tak mnie zaczepiać, zżymała się, do tego w kościele!

Nick postać chwilę oparty o ławkę, bezwiednie skłaniając głowę przed korpulentną matroną i jej pospolicie wyglądającą córką, które natychmiast rozpląnęły się w uśmiechach. Ale Nick już na nie nie patrzył. Nie mógł oderwać oczu od złotowłosej kusicielki o wspaniałej figurze, gdzie trzeba wciętej, w innych miejscach cudownie wypukłej. Kiedy się pospiesznie oddalała, prosty krój szarej sukni bynajmniej nie skrywał tego, co tak bardzo starała się zasłonić. Nawet w odwrocie, z dumnie zadartą głową, wydała mu się niezwykle pociągająca.

Jego wzrok przyciągnęły drobne perłowe guziczki biegnące od szyi aż do niewielkiej, lecz pięknie udrapowanej na biodrach baskinki.

Ciekawe, ile czasu zajęłoby mi rozpięcie wszystkich tych ślicznych guziczków, pomyślał.

Stanowczo za dużo, uznał. Z każdym dniem stawał się bowiem bardziej niecierpliwy.

- To ci dopiero było kazanie, wielebny - powiedziała babcia Grace.

Wielebny Woolridge z szacunkiem uściskał dłoń staruszki.

- Dziękuję, pani Stewart, rad jestem, że się pani podobało - rzekł z zadowoleniem.

- Nie mówiłam, że mi się podobało - stwierdziła babcia.

Pastor puścił jej rękę.

- Cóż... no tak... myślę, że temat był całkiem odpowiedni... jako że nadchodzi wiosna. - Ignorując babcię, chwycił rękę Colla.

Tibbie spojrzała na ojca, słysząc, jak mówi:

- Wyglądało na to, że wszyscy z uwagą słuchali dzisiejszego kazania, wielebny.

- Tak, chyba tak - potwierdził pastor skwapliwie, energicznie potrząsając dłonią doktora. - Dosłownie przykleiłem ich do ławek.

- To był bardzo mądry pomysł - pochwaliła babcia.

Stojąc przy powozie, Tibbie nie spuszczała oczu z Beth, która oglądała kocięta Dorothei Winterbury. Podziwiała w duchu spryt matki Dorothei, która chcąc pozbyć się kociego przychówku, przyniosła go w pudełku do kościoła. Któżaż matka mogła się oprzeć?

Beth długo przyglądała się maleństwu, a potem z uśmiechem sięgnęła do pudełka i wyjęła stamtąd małą futrzaną kulkę. Unosząc ją wysoko, pokazała matce.

- Mogę? - spytała błagalnym tonem.

- Nie! - odparła stanowczo Tibbie. - Po tysiącokroć nie.

- Ale ja chcę mieć kotka!

- Świetnie. Pozbądź się Fortuny, to będziesz mogła mieć kotka.

Nick musiał przyznać, że Beth potrafi się pogodzić z porażką, bo natychmiast odłożyła zwierzątko z powrotem do pudełka. Wkrótce potem dołączyła do Mairi, która pozwoliła jej trzymać swoją parasolkę. Nick popatrzył na Tibbie stojącą obok powozu, skupioną na wkładaniu rękawiczek. Miał ochotę ściągnąć jej z rąk te rękawiczki i całować po kolei jej delikatne, długie palce... po tym, jak już powie, co myśli o przysłanej mu wiadomości i złamaniu obietnicy pójścia z nim na tańce z okazji Dnia Niepodległości. Ani przez chwilę nie wierzył w wymówkę o nagłej chorobie. Dla niego wyglądała jak okaz zdrowia.

- Tibbie - rozległ się cichy głos Nicka tuż za jej plecami. Wygładziła rękawiczkę na dłoni i bez pośpiechu odwróciła głowę. Natrafiła wzrokiem na niewiarygodnie niebieskie oczy rozświetlone słońcem. Przez moment czuła się wytracona z rów-

nowagi, lecz postanowiła spokojnie go wysłuchać, mimo dudnienia krwi w uszach i wirowania w głowie.

- Muszę przyznać - odezwała się, zaskoczona, że głos nawet jej nie zdrzął - że kościół jest ostatnim miejscem, gdzie bym się spodziewała pana zobaczyć. Pańska nieustępliwość jest doprawdy zdumiewająca.

- Nawet my, poganie, miewamy od czasu do czasu potrzebę refleksji. A czy pani znajduje w kościele ukojenie dla swego sumienia, panno Tibbie?

- Bardzo skuteczne - przyznała.

- Pomaga łatwiej znieść życie - podsunął.

- Niemal napełnia je nadzieją.

- I odsuwa w zapomnienie grzeszną przeszłość.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała z wahaniem. - Może pan miałby coś do powiedzenia na ten temat.

Roześmiał się serdecznie.

- Och, zawsze jak osa z żądłem gotowym do klucia. Miałem nadzieję, że kazanie zacnego pastora trochę panią zmiękczy...

- I będę skłonna powtórzyć grzechy z przeszłości? Jeśli po to pan tu przyszedł...

- Nie - przerwał jej łagodnie. - Nic podobnego. Proszę wybaczyć, jeśli to tak zabrzmiało. To nie w moim stylu.

Wiedziała, na czym polega jego styl - zabijał łagodnością. Odwróciła się od niego.

- Zaczyna mnie strasznie boleć głowa, panie Mackinnon. Więc jeśli pan pozwoli...

- Może moja obecność pomoże pani zapomnieć o bólu głowy.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Po co pan tu przyszedł? Wszyscy widzieli... jak pan paraduje przez kościół.

- Chciałem panią spotkać. Miałem nadzieję, że poświęci mi pani choć chwilę.

- Po co?

- Chcę z panią porozmawiać.

- Nie mam pojęcia, o czym. Wie pan o mnie więcej niż ja

sama. Nie mamy już o czym rozmawiać. Wyczerpaliśmy nawet te tematy, które pan narzucił siłą. Proszę odejść.

- Chyba jest mi pani winna pewne wyjaśnienie.
- W związku z czym?
- Z tańcami w Dzień Niepodległości.
- Przesłałam panu wiadomość, czyżby do pana nie dotarła?
- Ależ tak, każde kłamliwe słowo. Nie była pani ani trochę

bardziej chora niż ja, prawda?

Spodziewał się, że znów będzie próbowała go okłamać.

- Nie - odpowiedziała. - Nie byłam.
- Więc dlaczego pani skłamała?
- Chciałam oszczędzić pańskie uczucia.
- Mogła je pani oszczędzić znacznie lepiej, idąc ze mną na

tańce. Czemu pani nie poszła?

- Po pierwsze dlatego, że nie jestem jeszcze gotowa stawić czoło plotkom, jakie by się z pewnością zrodziły, gdybym poszła na tańce z panem czy jakimkolwiek innym mężczyzną. Chyba potrafi pan to zrozumieć?

- Potrafię - przyznał. - Ale mogła mi to pani powiedzieć.

- Mówię panu teraz. - Odwróciła się na pięcie i odeszła. Ruszył za nią, udając, że idzie w swoją stronę. Mijając w pewnej odległości powóz Buchananów, usłyszał, jak Tibbie mówi do ojca: - Potrzebuję chwili samotności, tato. Wrócę do domu pieszo.

- Pieszko? Jesteś pewna? Jeśli...
- Jestem pewna. Powiedz mamie, że zdążę na posiłek.
- A co z Beth?
- Jest z Mairi.
- Przyjemnego spaceru - powiedział ojciec.

Nick odwiązał kasztana i nie spiesząc się, poprowadził go ścieżką przecinającą cmentarz. Kiedy wyszedł po drugiej stronie, dostrzegł w oddali Tibbie. Jej jasne włosy odbijały światło niczym latarnia morska. Znajdowała się w sporej odległości od niego, a sądząc po kierunku marszu, zmierzała na plażę. Wskoczył na siodło i skierował konia w tę samą stronę.

Zrównawszy się z nią, zsiadł z wierzchowca, pewien, że słyszała, jak nadjeżdżał, i trochę zirytowany, że nie dała tego po sobie poznać.

- Jak długo jeszcze musimy grać w kotka i myszkę, zanim zaczniesz pani być wobec siebie uczciwa? - spytał.

Nagle zeszywniała, a oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia. Na tle zaróżowionych policzków jej źrenice, skupiające słoneczne światło, wydawały się jeszcze bardziej bursztynowe. I miała takie śliczne wargi, stworzone do całowania...

- Proszę... byłoby lepiej, żeby mnie nie widziano z panem. To mi może przysporzyć kłopotów. Więc najlepiej będzie... - Była wyraźnie przestraszona, patrzyła na niego wzrokiem zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Wiedział, jak musi się czuć, i rozumiał, że przyzwoitość nakazuje mu zostawić ją w spokoju.

Słońce go oślepiło, w uszach miał ryk oceanu, tak głośny, jakby znienacka rozpętał się sztorm. Wciąż patrzył na nią, ale nie mógł zebrać myśli ani tym bardziej ubrać ich w słowa. Po chwili szum przycichł. Odzyskał ostrość widzenia. Słońce przestało go razić.

- Wiesz, że trochę na to za późno - szepnęła.

Choć przyglądała mu się spokojnie, musiała wyczuwać, że coś się wydarzy. Cofnęła się o krok. Na co on zrobił krok w jej stronę. Słońce znów paliło z całą mocą. Odsunęła się dalej, a on postąpił kolejny krok za nią. Odwróciła się szybko i zaczęła uciekać, aż zatrzymał ją strumień pozostały po niedawnych ulewach, zmierzający w poprzek plaży do morza. Stała w miejscu, gorączkowo się rozglądając na boki. Stwierdziwszy, że nie ma innej drogi ucieczki, odwróciła się do Nicka, gotowa do walki. Tak musieli wyglądać jej przodkowie w bitwie pod Culloden. Był tak blisko, że słyszał jej oddech, szybki i urywany. Wyczuwał jej lęk.

Policzki jej pobrały, żołądek podszedł do gardła ze strachu. Jak długo jeszcze będzie ją ścigał? Tak długo, jak będzie musiał. Nie należał do ludzi, którzy się poddają/Nicholas Mackinnon stawał się częścią jej życia. I w głębi duszy wiedziała, że tego pragnie.

- Nie- powiedziała drżącym głosem.- Dobry Boże, nie!
Czemu nie zostawisz mnie w spokoju?

- Wiesz dlaczego, Tibbie. I wcale nie chcesz, żebym cię zostawił.

Wysunęła rękę przed siebie, tak jak rycerz wysunąłby tarczę. Spojrzała w lewo, potem w prawo. Widział, jak drżą jej usta. Wyciągnął do niej ramiona, bardziej po to, by ukoić to drżenie, niż dać upust swemu pragnieniu. Ale kiedy jej dotknął, kiedy już miał ją w objęciach, trudno mu się było opanować. Próbowana się wyrwać, lecz trzymał ją mocno. Teraz już nie tylko widział, lecz także czuł, że cała się trzęsie.

Słońce schowało się za gęstą szarą chmurę. Na wodę padł mroczny, brązowy cień, wiatr stał się chłodniejszy, w powietrzu zawisła gęsta sina mżawka. Mimo to żadne z nich się nie poruszyło.

Kiedy przytulił ją do siebie, już nie protestowała, nie próbowała go odpychać. Uciekła tylko wzrokiem w bok, a i ten nieznaczny wysiłek przyszedł jej z trudem. Ujął ją za podbródek i zmusił, by znów na niego spojrzała. Widział drobne kropelki wilgoci zbierające się na jej rzęsach.

Czuł bicie jej serca, pulsowanie krwi, leciutki powiew jej oddechu na twarzy. Sukienka, która z daleka wyglądała na aksamitną, była uszyta z taniej szorstkiej bawełny, miała jedynie aksamitny połysk w miejscach, gdzie się wytarła. Wiedział, że mogła sobie pozwolić na lepszą. Złościło go, że tak się ubiera, bo zdawał sobie sprawę, dlaczego to robi. Ścisnął ją mocniej za ramiona.

- Dlaczego mi to robisz? - szepnęła.

- Bóg mi świadkiem, że chciałbym wiedzieć - odpowiedział cicho, dotykając nosem jej ucha. Usłyszał gwałtownie wciągany oddech, a potem odchyliła głowę i spojrzała na niego na pół przytomnymi, błyszczącymi oczyma. Coś ścisnęło go w piersi, kazało mu ją puścić. Chciał to zrobić, ale potrzeba bycia z nią była silniejsza, nie do pokonania. Miał nieodparte wrażenie, że ona czuje tak samo, bo widział, jak błysk protestu zapala się

i gaśnie w jej oczach. Wydała z siebie zduszony szloch, kryjąc twarz w dłoniach. Wiedział, że jest jak mała łódka zagubiona na morzu, targana wiatrem, zataczająca bezradne kręgi. Ogarnęła go fala czułości. Kiedy przygarnął ją do siebie, spodziewała się, że ma zamiar ją pocałować. Pochylił głowę... i zaskoczył ją mówiąc chrapliwym, pełnym bólu głosem:

- Uciekaj ode mnie, Tibbie. Uciekaj! Natychmiast!

Już sama dzikość jego spojrzenia powinna ją skłonić do ucieczki, a tym bardziej ból w jego głosie. Ale tkliwość bijąca z jego oczu... nie pozwoliła jej się poruszyć.

- Nie mogę - szepnęła.

Przytulił ją do siebie z całych sił, ukrył twarz w miękkim zagłębieniu jej szyi, jakby chciał ją ogrzać żarem swego rozpalonego ciała. Muskając lekkimi pocałunkami gładką skórę za uchem, na karku, masował jej napięte ramiona, a potem sięgnął do miodowych włosów, uwalniając je z ciasno spiętego wężła. Rozpuszczone kosmyki, targane wiatrem, przyklejały się do ich zbliżonych do siebie twarzy. Wreszcie, słysząc jej cichy, jakby tłumiony jęk, przywarł ustami do jej ust.

- Tibbie - szepnął, odrywając się od niej dla zaczerpnięcia tchu. Czuł napór jędrnych piersi, łomot jej serca, które tak jak jego serce biło szaleńczym rytmem. - Trzymając cię w ramionach, tracę głowę.

Odwróciła wzrok, spoglądając w dal.

- Kiedy byłam mała, miałam łódkę z wiosłami. Pewnego razu złapała mnie burza i łódka wywróciła się do góry dnem akurat w momencie, kiedy dopłynął do mnie ojciec. Woda zamknęła mi się nad głową, nic nie widziałam i miałam wrażenie, że umrę. Czułam się tak, jakbym się znalazła w jakimś nieznanym nowym miejscu, zawieszona gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią, a mimo to się nie bałam. W tym momencie ojciec mnie chwycił i wyciągnął na powierzchnię. Tak samo się czuję, kiedy jestem z tobą... jakbym miała umrzeć, ale się nie boję. - Znów na niego spojrzała. -z nie wiem, co z tym zrobić - wyznała szeptem. Patrzyła na niego tak, jakby się budziła ze snu, a potem nagle odwróciła

się i pobiegła przed siebie. Przecięła płytki strumień, biegnąc i padając, podnosząc się i znów biegnąc, by po chwili upaść ponownie.

Widząc, jak upada, ruszył za nią, ale już zdążyła się podnieść. Nie na długo jednak, bo nasiąknięta wodą spódnica czepiała się nóg, ciągnęła w dół. Miała moką twarz, nie wiadomo czy od łez, czy od deszczu. Nie dbała o to. Czuła się naga, jak Ewa, bo swymi pocałunkami Nick otworzył jej oczy na zbyt wiele rzeczy, których dotąd nie chciała dostrzec. Pokazał jej, jak to jest czuć objęcia męskich ramion, po tylu latach znów smakować słodycz pocałunków. Czymkolwiek było to, co wcześniej czuła do Erica, tym mocniej czuła to do Nicholasa.

Nazywała to zbyt długo zaniedbywaną potrzebą, powtarzała sobie, że w tym człowieku nie ma nic szczególnego. Zupełnie nic. Mimo to wiedziała, że musi się trzymać od niego z daleka. Ucieczka była jej jedyną szansą na przetrwanie.

Dogonił ją i zatrzymał. Przygarnął ją do siebie, ociekającą wodą. Chciał ją znów pocałować, ale powstrzymał go wyraz jej oczu.

- Niech cię diabli! - wyrzuciła z siebie. - Niech cię diabli porwą za to, co zrobiłeś!

- Przestań - rzekł miękko. - Pozwól, żebym cię kochał, tak jak na to zasługujesz.

- Nie mogę. - Chciało jej się płakać jak jeszcze nigdy dotąd. Wiedziała, że musi uciekać.

- Nigdy nie zostawię cię w spokoju - powiedział łamiącym się głosem. - Będę cię ścigał aż po grób, jeśli będzie trzeba. Wiesz o tym. To, co czuję... nie możesz zaprzeczyć... Ty czujesz to samo.

- Nie wiem, co czuję! Powinnam cię nienawidzić... chcę cię nienawidzić.

- Ale nie możesz, Tib. Miłość jest uczuciem silniejszym od nienawiści.

- Nie kocham cię.

- Kochasz - powiedział z przekonaniem. - Tylko jeszcze

tego nie wiesz. - Przytulił ją mocno. Przez mokre ubranie wyczuwał każdą wypukłość jej ciała. Pochylił głowę, obejmując dłonią jej szyję u nasady włosów.

- Nie! - krzyknęła resztką tchu. Odepchnęła go i pobiegła plażą przed siebie.

Patrzył za nią, nagle jakby zdrętwiały, przytłoczony uczuciem pustki. Deszcz przybrał na sile, siekł zimnymi płachtami. Nick siedział pośrodku strumienia, tam gdzie upadł, kiedy go odepchnęła. Buty napełniały się wodą i piaskiem, najlepszy kapelusz leżał do góry dnem, pełen wody... a koń? Rozejrzał się po plaży, ale wokół rozciągała się jedynie bura pustka. Jego koń mógł być już w połowie drogi do piekła.

Unióśł rękę i bezmyślnie patrzył, jak spływa z niej woda z piaskiem. Rozprostował ścierpnięte palce. Na jego otwartej dłoni leżał mały szary guziczek, z kilkoma jasnymi włosami oplecionymi ciasno wokół nóżki. Długo siedział bez ruchu, w niesłabnących strugach ulewy, patrząc na niepozorny guziczek na swej dłoni. Aż w końcu deszcz ustał i na zachodniej stronie nieba pokazało się słońce.

9

Pierwszy dzień kwietnia jest dobry dla głupców, o czym każdy głupiec wie.

- Odpowiedz głupiemu według głupstwa jego, jak stoi w Biblii - powiedziała tego ranka panna Merriweather, mijając dom Nicka w drodze do miasta.

Nieco później, kiedy Nick popędzał Portera, przypominając mu o opóźnieniach w budowie statku, Porter ni stąd, ni zowąd stwierdził:

- Głupcy spieszą tam, gdzie anioły boją się stąpnąć.

I tak się zdarzyło, że tego pięknego kwietniowego dnia Nick, stojąc na rusztowaniu w stoczni, zamiast słuchać Portera, rozmyślał o Tibbie. Przeszkodziło mu to zachować należytą ostrożność i doprowadziło do opłakanych skutków. Tablica nad drzwiami głosiła: „Los zrządził, że skorupa orzecha kokosowego pływa, a kamień tonie”.

Na nieszczęście dla Nicka, w tym szczególnym przypadku miał więcej wspólnego z kamieniem niż ze skorupą orzecha. Wprawdzie nie utonął, ale spadł... jakieś sześć metrów w dół z rusztowania, które się zawaliło. Leżąc na ziemi w oczekiwaniu na przybycie doktora Buchanana, mimo dojmującego bólu przypomniawszy sobie, że na kilka sekund przed upadkiem słyszał, jak Porter mówi:

- Nie stawaj na tych deskach z kraja, bo są jeszcze nie przybite.

Żeby zapomnieć o tym, jak bardzo cierpi, Nick powrócił do rozmyślań o Tibbie. Wkrótce jednak uznał, że marzenia o wyładowaniu na bezludnej wyspie z piękną kobietą mogą człowieka doprowadzić prosto i nieuchronnie do szaleństwa. Sprawily też, że stał się nieznośnie drażliwy, jak stary ranny niedźwiedź, stanowiący niemiłe towarzystwo nawet dla samego siebie. Skręcając się z bólu, pomyślał z ironią, że nie ma co marzyć o śmietance, kiedy jest się skazanym na chude mleko.

Przez ostatnie dwa tygodnie Nick zdwoił wysiłki, żeby przyłapać Tibbie Buchanan na osobności. Bynajmniej nie potrzebował się do tego zmuszać, jako że nie mógł zapomnieć o ich niedzielnym spotkaniu na plaży. Jednakże nawet uganiając się za nią, miał świadomość, że zaniedbuje zawodowe obowiązki. Otrzymał już list, w którym inwestor dopytywał, kiedy mógłby się zapoznać z postępem robót w stoczni. I co zrobił Nick? Próbował przyspieszyć budowę. A spiesząc się, był nieostrożny. Za coś takiego zwykle zwalniał swoich pracowników.

Ból stawał się nie do zniesienia, nie pozwalał skupić myśli dosłownie na niczym. Leżał w męczarniach, zdawało mu się, że całą wieczność, dopóki szczęśliwie nie stracił przytomności. Kiedy wreszcie otworzył oczy, znajdował się w klinice doktora Buchanana. Cierpiał straszliwie, więc domyślił się, że widocznie musiał zemdleć z bólu. Przyjrzał się uważnie Collowi Buchanowski. Nietrudno było zauważyć, że on i Tibbie muszą być spokrewnieni. Stary chirurg oglądał go i obmacywał, od czasu do czasu wykrzywiając usta i złowieszczo potrząsając głową.

- Dam panu trochę tego i będzie pan spał jak dziecko - powiedział Coll, sięgając po jakąś butelkę.

Nick, któremu nie podobało się, że doktor Buchanan wciąż manipuluje przy jego prawej nodze, obawiał się najgorszego.

- Nie chcę zostać uśpiony. Chcę być przytomny, na wypadek, gdyby panu przyszło do głowy coś mi obciąć.

- Nie uprawiam takich oszukańczych sztuczek. Nie mam na

nie czasu. Jestem zbyt zajęty odbieraniem porodów, za które jeszcze mi nie zapłacono, i użeraniem się z kurami, sagami drewna, świniami, kapustą, ziemniakami i kozami, które muszą oddawać w depozyt do banku, bo tak zwykle wygląda forma zapłaty za moje usługi.

- Ja panu zapłacę twardą gotówką, jeśli tylko wyjdę stąd ze wszystkim, z czym przyszedłem. Ale nie chcę być usypiany.

- Jak pan sobie życzy - powiedział spokojnie Coll. - Ale z tego, co widzę, jest pan porządnie pogruhotany. Więc będzie bolało jak diabli. - Znienacka mocno szarpnął nogą pacjenta, na co ten odpowiedział przekleństwem.

- Mógł mnie pan ostrzec.

- Przecież mówiłem, że będzie bolało jak diabli. Wygląda pan prawie jak trup.

- To może lepiej mnie zakopać i posadzić kwiatki.

Coll spojrział na niego znad okularów zsuniętych na koniec nosa i jeszcze raz pociągnął za nogę.

- Tak jest zabawniej.

- Sukinsyn! - wrzasnął Nick. - To boli jak diabli! Co pan wyprawia? Chce mi pan wyrwać tę nogę?

- Nie może z nim być aż tak źle, jak wygląda - zwrócił się Coll do Portera. - Paskudny nastrój dobrze rokuje.

- On zawsze ma paskudny nastrój - oznajmił Porter. - Więc co nam po takiej wskazówce?

- Nie będę wiecznie tak leżał - warknął ostrzegawczo Nick - więc lepiej uważaj, co mówisz, Porter. - Skrzywił się z bólu.

- *Będę uważał. Myśli pan, że wyjdzie z tego?* - spytał doktora.

Coll popatrzył na ciało leżącego przed nim pacjenta, pełne ran i siniaków, zatrzymując wzrok na dłużej na białej kości, widocznej w miejscu złamania nogi.

- Traci dużo krwi, ma złamany nadgarstek i obie nogi, mnóstwo skaleczeń i jutro będzie cały siny, ale wyjdzie z tego. - Kręcąc głową, zwrócił się do Nicka: - Słyszałem, że spadł pan z rusztowania. Moim zdaniem, wybrał pan trudną drogę.

- Nikt pana nie pyta o zdanie - warknął Nick.

- Taaa... - Coll westchnął. - Rzeczywiście paskudne usposobienie. Wygrzebie się bez wątpienia.

Nick skrzywił się, zamykając oczy.

Jakieś dwie minuty po wyjściu Portera do pokoju weszła Tibbie.

- Babcia mówiła, że mnie szukałeś. Byłam w... - Skamieniała, zobaczywszy Nicka. - O mój Boże! Co się stało? - Spojrzała pytająco na Mairi, lecz nie znalazła odpowiedzi na jej pobladłej twarzy. Widząc, że ojciec potrząsa głową, spytała siostrę łamiącym się szeptem: - Nie żyje?

- Jakimś cudem przeżył - odpowiedział Coll.

- Dla mnie wygląda jak martwy - powiedziała Mairi.

- Pewnie by wolał nie żyć - mruknął Coll.

- Co się stało? - powtórzyła Tibbie.

- Miał paskudny upadek - wyjaśnił doktor.

Tibbie podeszła do łóżka, na którym spoczywał ranny. Wszystko wokół jakby przestało istnieć. Miała świadomość, że się porusza, że ciepła wilgoć pod powiekami to łyzy. Stojąc przy łóżku, patrzyła na spoconą twarz Nicka. Usta miał lekko rozchylone, jakby z trudem wciągał każdy oddech. Przypomniała sobie chwile z nim spędzone i nagle zdjął ją straszliwy lęk. Mairi widziała, jak siostra blednie, jak kurczowo chwyta się brzegu łóżka, więc podeszła i stanęła za nią.

- Strasznie się potłukł. Spadł z wysoka? - Na dźwięk głosu siostry, Tibbie wzdrygnęła się gwałtownie.

- Wygląda na to, że z bardzo wysoka - szepnęła nieswoim głosem.

- Wystarczy, żeby się zabić. Nie wygląda najlepiej, co?

Tibbie czuła, że ogarnia ją panika.

- Czy on... - Urwała, widząc, że Nick ma otwarte oczy. Natychmiast oblała się rumieńcem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła ukłucie w sercu, tak silne, że omal nie wydała z siebie jęku.

Nick oblizwał spieczone wargi. Tibbie. Piękna, obojętna Tibbie, taka przestraszona i zmartwiona. Czas, pomyślał, potrzebuję

więcej czasu. To niedobrze, że leżał unieruchomiony, bo przecież osiągał pewne postępy w zdobywaniu jej zaufania. A teraz musiał przerwać swoje starania. Nie był w stanie nawet kiwnąć palcem. Więc jak miał się do niej zalecać, jak miał ją uwodzić? Jak miał jej okazać swoją namiętność? Jak miał jej wyznaczyć uczucia i sprawić, żeby je zrozumiała? I dlaczego miałyby chcieć słuchać nędznego kaleki?

- Czekają go ciężkie chwile - mówił Coll. - Ale się wylize. Nick widział, że Tibbie jest bliska płaczu.

- Los sprzyja głupcom - szepnął suchym, skrzekliwym głosem.

- Głupi sędzia, prędki wyrok - mruknął zgryźliwie Coll.

Gdyby się nie starał być zabawny w takiej sytuacji, może by została w pokoju, ale znoszenie żartów Nicka, kiedy wiedziała, jak bardzo cierpi, było ponad jej siły. Nie mogąc dłużej powstrzymać łez, przycisnęła dłonie do ust i wybiegła.

- Do wszystkich diabłów! Co w nią wstąpiło? - zwrócił się Coll do Mairi. - Idź, zobacz, co ugryzło twoją siostrę.

- Kto? Ja?

Coll zaczynał tracić cierpliwość.

- Tak, chyba że widzisz jeszcze kogoś w tym pokoju - mruknął.

- Ha! - Mairi odeła się zupełnie jak babcia Grace. - Dlaczego zawsze to ja muszę być pod ręką? Nie wiem, po co mam jej mówić, żeby wróciła, skoro ona nie chce. Pewnie mi urwie głowę.

- Ostrzeżony znaczy uzbrojony - powiedział Coll, pociągając pacjenta za ramię. Nick syknął z bólu. - Przepraszam - rzekł Coll - ale musiałem nastawić, zanim zabandażuję. - Zerknął na drzwi. - Gdzie ta moja wyrodna córka? Cały czas płacze się pod nogami, a kiedy jej potrzebuję, trudniej ją znaleźć niż pomarańcze w grudniu.

Mairi wróciła po paru minutach.

- Tibbie nie może ci dzisiaj pomagać w klinice. W każdym razie nie przy tym pacjencie - oznajmiła, wskazując na Nicka.

Coll przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Niby czemu? Co ma przeciwko temu człowiekowi?
- Wybacz, tato! Musisz mnie o to pytać?
- Chyba tak, jeśli mam się dowiedzieć, o co tu chodzi. Tibbie nigdy wcześniej się tak nie zachowywała.

- Tato, ona się boi tu przyjść, boi się, że wyjdzie na głupią.
- Trochę za późno, żeby się tym przejmować. Mam dość tego zwracania głowy. Potrzebuję pomocy, a tylko ona może mi jej udzielić. Później będzie się zachowywać jak kobieta. Powiedz Tibbie, że jest mi potrzebna, i to zaraz!

Wybiegając z pokoju, Mairi omal nie przewróciła babci Grace, która stała za progiem. Widząc pośpiech wnuczki, staruszka zachichotała:

- He, he, he! Trzeba mądrej kobiety, żeby wygrać z głupcem!
Mairi nie miała zamiaru wdawać się z nią w słowne potyczki, więc ominęła ją i zbiegła szybko po schodach.

- Tib, przepadłaś z kretelem - oświadczyła, wpadając do pokoju siostry. - Tata się wścieka, chce, żebyś natychmiast przyszła do kliniki.

Tymczasem babcia Grace zajrzała do pokoju. Widząc, że dzieje się tam coś ciekawego, cicho podeszła do łóżka, na którym Coll opatrywał rannego.

- Co mu się stało? - spytała.

- Spadł.

- Spadł, powiadasz?

Coll potwierdził skinieniem głowy.

- Spadł - powtórzyła. - Z czego?

Coll otworzył usta, żeby powiedzieć, że z rusztowania, ale w ostatniej chwili się opamiętał.

- Z konia. - Oczywiście było to kłamstwo, ale w przypadku babci Grace stanowiło równie dobre wyjaśnienie, jak każde inne. Był zajęty i nie miał ochoty tłumaczyć teściowej, na czym polega budowanie statków. A przy jej skłonności do przekręcania słów „rusztowanie” kryło w sobie zbyt wiele groźnych możliwości.

- Jest okropnie błady - zauważyła babcia Grace. - Błady jak wypatroszona ryba.

Nick westchnął chrapliwie.

- Babciu, czego tu, u diabła, szukasz? - spytał Coll.

- Pora na drzemkę, więc przyszedłam po mój szlafrok, żeby móc się położyć.

- Od kiedy to zaczęłaś trzymać swój szlafrok w mojej klinice?

Babcia oczywiście nie odpowiedziała, dawno zapomniawszy, o czym była mowa. Znowu przyjrzała się Nickowi.

- Wygląda, jakby nie żył już od dłuższego czasu. - Pociągnęła wymownie nosem. - Nie powinieneś zostawiać ciała, żeby długo tak leżały. Zwłaszcza teraz, kiedy robi się coraz cieplej. Za dzień lub dwa będzie cuchnął jak wóz z odpadami.

Nick poruszył się niespokojnie.

- Czemu go nie pochowałeś? - dociekała babcia. - Nie możesz znaleźć jego krewnych?

- Ten człowiek nie umarł, babciu. Zapewne dożyje twojego wieku, jeśli mi pozwolisz go opatrzeć i przestaniesz mi przeszkadzać w pracy. Idź już stąd, dobrze? Idź poszukać szlafroka.

Babcia nie słyszała, co do niej powiedział, albo udała, że nie słyszy. Z wielką uwagą obejrzała Nicka od stóp do głów.

- Hm. Jeśli nie jest nieżywy, to znaczy, że nie wychodził na słońce. Jest zbyt błądy. Założę się, że jest przedsiębiorcą pogrzebowym. - Ostatni raz spojrzała na łóżko. Widząc, że Coll jest zajęty, ukradkiem szturchnęła bezwładne ciało Nicka. Ten nawet nie drgnął. - Lepiej jeszcze raz go zbadaj. Coś mi się zdaje, że tym razem trafił ci się trup.

Nick otworzył jedno oko.

- Chyba uduszę tego, co powiedział, że trupa nic nie boli, bo mnie boli jak diabli.

- To powinno pana upewnić, że jeszcze pan żyje - pocieszył go Coll. - Niech pan na to patrzy od dobrej strony.

Staruszka znowu dźgnęła Nicka kościstym palcem.

- Jak on się nazywa? - spytała.

- Nicholas Mackinnon - odpowiedział Coll.

- Aha. Mac Nicholson... Hm... Nie pamiętam, żeby ktoś

wspominał o jakichś krewnych Mac Nicholsona... - Spojrzała na Colla. - Kim jest Mac Nicholson?

Cierpliwość Colla się wyczerpała.

- Na miłość boską! Nie znam żadnego Mac Nicholsona - rzekł z rezygnacją.

- To skąd wiesz, że ten człowiek jest jego krewnym?

Coll był zajęty rozcinaniem nogawek spodni Nicka, więc tylko wzruszył ramionami, nie siląc się na odpowiedź... tym bardziej że nie potrafiłby udzielić żadnej sensownej.

Babcia nie miała mu tego za złe. Przyzwyczała się, że bywa ignorowana, więc uznała, że to normalne.

- Mówisz, że nie znasz żadnego Mac Nicholsona. Całkiem jak ja. Mac Nicholson... - Zadumała się, kiwając głową. Siwe loczki wystające spod koronkowego czepka podskakiwały jak sprężynki. - Nie! Pamiętałabym to nazwisko, gdybym je wcześniej słyszała...

- Dobry Boże! - jęknął Coll. Nick modlił się o utratę przytomności. - Dobry Boże! - powtórzył Coll zbolalym głosem.

Bynajmniej nie zniechęciło to staruszki, która żyła w tej rodzinie wystarczająco długo, by wiedzieć, że nic gorszego od Colla Buchanana jej nie spotka. Czasami wprawdzie posuwał się dalej i wykrzykiwał „Dobry Boże Wszechmogący!”, ale i to nie robiło na niej większego wrażenia.

- Cóż, jeśli jest krewnym Mac Nicholsona, nie może pochodzić z tych okolic, bo jak ustaliliśmy, nie znamy żadnych Mac Nicholsonów. Widocznie tylko tędy przejeżdżał.

- Mackinnon... Nazywam się Mackinnon - wydusił Nick z najwyższym trudem. - Nicholas Mackinnon.

Staruszka poklepała go uspokajająco po ręce.

- Niech się pan nic nie martwi, panie Mac Nicholson. Coll pana opatrzy jak należy i wtedy poszukamy pana krewnych. - Zmrużyła ciemne oczy, tak że przypominały maleńkie paciorki. - Nie wygląda pan najlepiej.

Drzwi się otwarły i do pokoju weszła Tibbie.

- Chodź, chodź! - ponagliła ją babcia, machając ręką.

Tibbie przystanąła, spoglądając na ojca pochylonego nad pacjentem.

- Wygląda, jakby już nie żył - poinformowała ją babcia - ale żyje. Jest krewnym Mac Nicholsona i przedsiębiorcą pogrzebowym. Tylko tędy przejeżdżał.

- Dobry Boże! - Stęknął Coll, wycierając ręce.

Babcia, tak jak poprzednio, nie zwracała na niego uwagi, ale ściszyła nieco głos, mówiąc do Tibbie dudniącym szeptem:

- Przewoził kogoś ze zmarłych do grobu, kiedy spadł z konia. Dlatego nie czuje się zbyt dobrze.

Przez chwilę Tibbie z osłupieniem przyglądała się babce, a potem przeniosła wzrok na ojca, który wyglądał jak gradowa chmura. Na koniec spojrzała na Nicka, który rzeczywiście wyglądał, jakby nie czuł się „zbyt dobrze”.

Jęknął boleśnie.

- To jakiś dom wariatów. Nie macie czegoś mocniejszego do picia? - szepnął z nadzieją.

- Zdawało mi się, że nie chciał pan być uśpiony - przypomniał mu Coll.

- Zmieniłem zdanie. Przedtem nie wiedziałem, co mnie czeka - błagał Nick.

Coll ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Tibbie, podaj mi nalewkę z opium i na miłość boską, zabierz stąd babcię!

Tibbie podeszła do szafki z medykamentami.

- A tak w ogóle, to co ona tu robi?

- Szuka swojego szlafroka.

Podawała ojcu butelkę.

- Tutaj?

Podawszy Nickowi odpowiednią dawkę leku, Coll przymierzył szynę do złamanej nogi.

- Znając swoją babkę, zadajesz mi takie pytanie?

- Nieważne - mruknęła Tibbie pod nosem. - Chodźmy, babciu. Widziałam twój szlafrok w garderobie.

- Nie trzeba go kłaść w grobie - ożywiła się staruszka. Mówiłam ci, że jeszcze nie umarł. Tylko tak wygląda.

- Nie tu, babciu, to jest szafka na lekarstwa. Właściwe drzwi są tam.

- Nie wiem, jak mam się poruszać po tym domu, skoro wiecznie przesuwają drzwi i mnie nie uprzedzają. Nikt mi nigdy nic nie mówi. Skąd mam wiedzieć, co się dzieje, skoro...

Nie przestawała się zżymać, kiedy wnuczka wyprowadzała ją z pokoju.

Tibbie szybko wróciła, żeby stanąć u boku ojca, i wkrótce potrzeba niesienia pomocy, dawania wsparcia, sprawnego wykonywania prac przy chorym, czym z chęcią i poświęceniem zajmowała się od lat, pozwoliły jej zapomnieć o rozterkach.

- Ma paskudną ranę tu na udzie, gdzie kość przebiła skórę - powiedział Coll, odcinając kolejną partię nogawki. - Nastawiłem kość, a ty zajmij się raną. Weź trochę korzenia krwawnika i dobrze rozetrzyj.

- Chcesz zrobić okład?

- Tak. Pozostawimy go w tym miejscu na jakieś pół godziny, kiedy będziemy się zajmować innymi obrażeniami. Przez ten czas powinien uśmierzyć ból, tak żebyśmy mogli oczyścić ranę.

Zajmowali się Nickiem przez ponad trzy godziny. Prawie przez cały ten czas był przytomny, tylko od czasu do czasu przyjmował niewielką dawkę opium dla złagodzenia bólu. Pomiędzy chwilami snu wywołanego lekiem Tibbie czuła na sobie jego spojrzenie. Miał napiętą bladą twarz, pokrytą kropelkami potu. Starła się nie okazywać żadnych emocji, skupiona na wykonywaniu poleceń ojca, lecz co jakiś czas uśmiechała się do niego pokrzepiająco i zwilżała mu usta kawałkiem płótna zamoczonego w zimnej wodzie.

Sam upadek spowodował poważne obrażenia, a jeszcze dołączyły otarcia i stłuczenia spowodowane lawiną gruzu, jaka się na niego posypała. Z tego, co mówił Coll, wynikało, że przyjaciel Nicka, Porter, uniknął wypadku tylko dlatego, że stał na innym odcinku rusztowania.

Porter wyjaśnił Collowi, że przed zmiążdżeniem uratowało Nicka tylko to, że główna belka podtrzymująca całą konstrukcję uderzyła o ziemię jednym końcem, podczas gdy drugi zawisł w powietrzu na wysokości jakichś dwóch metrów, oparty na

stercie gruzu tworzącej równoramienny trójkąt. Na szczęście Nick, spadając, znalazł się pośrodku tego trójkąta, pod belką, która osłoniła go przed walącymi się z góry elementami rusztowania. Wkrótce po tym, jak go wyciągnięto, główna belka, nie wytrzymaawszy naporu, pękła. Jednakże patrząc na opłakany stan rannego, Tibbie jakoś nie mogła uwierzyć, że Nick miał szczęście.

- Już. - Coll westchnął, umocowawszy ostatnią szynę. - To będzie musiało wystarczyć, dopóki nie zdejmujemy szwów. Dopiero wtedy będę mógł lepiej usztywnić kończynę. Do tego czasu opuchlizna powinna się zmniejszyć i będziemy wiedzieć, czy wdała się infekcja.

- Myślisz, że to prawdopodobne?

- W tym przypadku jak najbardziej. Ma wiele skaleczeń, a wylądował na zdeptanej ziemi, gdzie było wszystko, począwszy od końskiego nawozu po ścieki z miejskich ulic. Nie jest to najlepsze środowisko dla otwartych ran. - Coll ściągnął okulary i zaczął je przecierać chusteczką. - Umyj go najlepiej, jak się da. Najważniejsze jest utrzymanie ran i zadrapań w czystości. Zwróć szczególną uwagę na te drobniejsze, których nie zszywaliśmy. Jak skończysz, wezwij Mairi, żeby ci pomogła zmienić pościel na łóżku.

- Ale...

Coll spojrzął na zegarek.

- Boże, jak ten czas leci. Wygląda na to, że znów ominie mnie kolacja. - Wrzucił kilka rzeczy do lekarskiej torby. - Idę doglądać innych pacjentów. Jak tu skończysz, możesz do mnie dołączyć.

Tibbie nie wiedziała, jak długo jeszcze zniesie widok Nicka w tym stanie. Pragnęła wyjść z tego pokoju, uciec od tego miejsca. Nie chciała oglądać tego dnia więcej chorych, opatrywać innych ran. Było jej niedobrze od zapachu krwi i potu; żywy obraz poranionego, krwawiącego ciała Nicka wciąż stał jej przed oczyma.

- Nie sądzisz, że już dość tu zrobiliśmy i powinniśmy się zająć innymi? Nie chcesz, żebyśmy od razu z tobą poszła?

Coll patrzył na córkę, jakby nie rozumiał, co do niego powiedziała.

- Nigdy nie przerywamy pracy w połowie, Tib. Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć. Teraz zajmij się tym człowiekiem, a potem mi pomożesz.

Tibbie powróciła do łóżka i spojrzała na Nicka, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że jest prawie nagi. Całe ubranie zostało porozcinane i zdjęte i teraz leżał nakryty jedynie od pasa do połowy ud płóciennym prześcieradłem.

- Mam go umyć?

Coll zatrzasnął zamek torby.

- Czyż zwykle tego nie robimy?

- Ale on jest prawie nagi, tato.

- Aha! - Coll spojrzał najpierw na Nicka, potem na Tibbie i wreszcie w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Więc o to chodzi, tak? - Podeszedł do łóżka. - No, no, zastanawiałem się, kiedy do tego dojdzie, kiedy wreszcie jakiś mężczyzna... - Urwał, po czym, już zmierzając ku drzwiom, dodał: - Później uścisknę mu rękę.

Tibbie patrzyła za odchodzącym ojcem zupełnie ogłupiała. W końcu z westchnieniem zabrała się do pracy. Na szczęście Nick dostał na tyle dużą dawkę opium, że powinien spać przez dłuższy czas. Wystarczyło, że musiała umyć jego prawie nagie ciało, więc dobrze, że chociaż nie był tego świadomy.

Nie tracąc czasu, przyniosła miskę ciepłej wody z octem i po kolei umyła mu twarz, ramiona, klatkę piersiową, ręce, stopy, łydki... Przerwała pracę.

Spojrzała na prześcieradło zakrywające biodra.

Zerknęła na uśpioną twarz Nicka.

Nie mogła tego zrobić! Po prostu nie była w stanie.

Przypomniała sobie napomnienia ojca. Nie należała do kobiet, które porzucają pracę w połowie. Wyznawała zasadę „wszystko albo nic” i stosowała ją w swoich życiowych poczynaniach. Jednakże patrząc na rozciągnięty przed nią okaz dorodnego męskiego ciała, doszła do wniosku, że w tym szczególnym przypadku wolałaby raczej wybrać tę drugą możliwość.

Zaciskając usta w wyrazie stanowczości, przysunęła miednicę bliżej. Jedną ręką sięgnęła do wody po płócienną myjkę, równocześnie drugą ręką unosząc prześcieradło.

Myjka wpadła do miednicy z głośnym pluskiem!

Jezusie, Mario, Józefie święty! Nie mogę umyć... tego... Jednak poczucie obowiązku kazało jej zacisnąć zęby i ponownie unieść prześcieradło. Zrobiła to, używając tylko dwóch palców, jakby to miało dowieść jej całkowitego braku zainteresowania. Przez chwilę oniemiała wpatrywała się w największą ze wszystkich tajemnic.

Ma się rozumieć, męskie ciało nie było jej obce, ale Eric zawsze przychodził do jej sypialni nocą i kochali się w ciemności. Oczywiście, widywała wcześniej męskie ciała, ale to były ciała innych mężczyzn, przeważnie starców lub dzieci. Nie wiedzieć czemu, Tibbie nie mogła opuścić prześcieradła ani odwrócić wzroku. Patrzyła jak zahipnotyzowana, a to, co widziała, wzbudzało w niej fale gorąca. Nick spał. Był nieprzytomny. Półżywy. Ale to, na co patrzyła, bynajmniej nie było uśpione ani półżywe. Przeciwnie, im dłużej patrzyła, tym stawało się dłuższe. Powoli zaczęło jej coś świtać w głowie.

Przeniosła wzrok na twarz pacjenta i ze zgrozą stwierdziła, że Nicholas Mackinnon, podobnie jak pewna część jego ciała, wcale nie śpi. Zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco, tym razem z gniewu.

- Mogłeś przynajmniej udawać, że śpisz, ty... ty...
- Zupełnie normalny mężczyzno - podsunął. - Przykro mi, jeśli to ci przeszkadza, ale będziesz musiała jakoś sobie z tym poradzić.

- Ciebie to bawi, prawda?

- Co?

- Że masz okazję do tak wulgarnego zachowania.

Nicka ogarnęła czułość, zaprawiona współczuciem dla biednej Tibbie, czerwonej ze wstydu, ze łzami upokorzenia w oczach, bliskiej rozpacz. I dlaczego? Bo dała się ponieść zwykłej ciekawości? Całkowicie usprawiedliwionej i naturalnej? Prag-

nieniu, by zobaczyć coś, czego jeszcze nie widziała? Pamiętał, że nie jest chowaną pod kocem dziewczyną. Ostatecznie urodziła dziecko. Powinna wiedzieć, jak wygląda męskie ciało... i nie tylko to. Powinna, ale najwyraźniej nie wiedziała. Ciekawość Nicka została pobudzona.

- Radziłbym, aniele, jeśli już na tyle doszłaś do siebie, żebyś przestała robić to, co robisz. - Widząc, że jego słowa do niej nie docierają, spróbował wyrazić się jaśniej. - Przyglądaj mi się dalej, to pokażę ci, jak wygląda jeszcze bardziej wulgarnie zachowanie. - Nadal nie skutkowało, więc powiedział wprost: - Skarbie, w każdym innym miejscu i czasie mogłabyś sobie patrzeć, ile tylko chcesz, ale źle się czuję i bez ubrania jest mi cholernie zimno. Czy jeśli ci obiecuję, że pozwolę znowu popatrzeć, jak już wrócę do zdrowia, to mnie przykryjesz?

Tibbie wypuściła z palców prześcieradło, jakby nagle zaczęło ważyć tonę. Chciała uciec, ale Nick, przewidując jej reakcję, chwycił ją za nadgarstek. Opadła na krzesło przy łóżku, ukrywając twarz w fałdach pościeli. Nie puszczał jej ręki, Nick patrzył na tył jej głowy, gładko spleciony warkocz, płatek czerwonego ze wstydu ucha, plecy falujące w ciężkim oddechu.

- Tibbie, spójrz na mnie.

Pokręciła odmownie głową.

- No już. - Pociągnął ją lekko za rękę. - Spójrz na mnie.

- Nie mogę.

- Ależ możesz.

- Nie mogę! Uwierz mi! Już nigdy nie będę mogła na ciebie spojrzeć.

Parsknął śmiechem.

- Dalej będziesz mnie zawstydział?

- Nie chcę cię zawstydząć. Czemu widok czegoś tak naturalnego, użytecznego i powszechnego jak męski... - Miał zamiar użyć określenia „penis”, ale zrezygnował. - Dlaczego widok mężczyzny miałby cię zawstydząć?

- Jeśli musisz o to pytać, to jesteś głupszy, niż myślałam - wymamrotała w materac.

- Myślisz, że ja bym się zawstydził na widok twojej nagości?
To ją skłoniło do podniesienia głowy.

- Nie! I oboje wiemy dlaczego!

Z trudem powstrzymał uśmiech.

- Tu mnie złapałaś. Nie mam pojęcia. Możesz mi powiedzieć?

- Bo jesteś rozpustnikiem i zбочeńcem, dlatego!

- Bo jestem mężczyzną?

- Bo nie panujesz nad tym... tym czymś!

Roześmiał się i tak jak się obawiał, okropnie zabolalo. Tibbie z powrotem opadła twarzą w pościel.

- Wiedziałam, że będziesz się ze mnie śmiał. Wiedziałam.

- Rozumiem. - Westchnął. - Tibbie, wytłumacz mi coś. Twierdzisz, że jesteś zawstydzona. Dlaczego?

- Dobry Boże! - wykrzyknęła zupełnie jak Coll. - Dobry Boże!

- Gdybym spał, też byś się wstydziła?

Zwlekała z odpowiedzią, więc ponaglił ją, mówiąc, że wkrótce nadejdzie doktor Buchanan, okaże zdziwienie sytuacją i Nick będzie mu musiał powiedzieć, co się stało.

- Nie ośmieliłbyś się! - Znow poderwała głowę.

- Przekonaj się.

Próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku. Nie udało jej się, więc tylko odwróciła wzrok.

- Tibbie, odpowiedz mi albo będę cię tu trzymał całą noc. Wstydziłabyś się, gdybym spał?

- Chyba nie - przyznała z westchnieniem.

- Dlaczego?

Nagle się zirytowała.

- Dlatego, ty głupku, że gdybyś spał, tobyś mnie nie widział, a gdybyś mnie nie widział, tobym się nie wstydziła. Wstydzimy się wtedy, kiedy ktoś nas widzi.

Stracił wątek już w połowie jej wypowiedzi, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Sam jej widok był rozkoszny.

- Jesteś pewna, że to ty urodziłaś Bethany? - spytał z uśmiechem.

- A to niby co ma znaczyć?

- Nie wydajesz mi się wystarczająco świadoma i doświadczona jak na matkę.

- Urodziłam dziecko, Mackinnon, ale nie przeprowadzałam oględzin.

Była tak niesamowicie słodka, że trudno mu było ją uspokajać, gdy w istocie bardzo mu się podobała taka rozjuszona, o pałających policzkach.

- Za wiele sobie wyobrażasz, podobnie jak ludzie w Indianoli. Nie mieszaj pojęć. Popełniłam błąd. Zakochałam się. Spotkała mnie surowa kara. Musiałam znieść odrzucenie, plotki, przykrości, domyślne spojrzenia, uszczypliwe uwagi, wstyd, że chodzę w ciąży, podczas gdy wszyscy wiedzą, że nie mam męża. Moim przebaczeniem była Bethany.

Nick ledwie słuchał tego, co mówiła, bo w głowie dźwięczało mu wciąż jedno krótkie zdanie. Zakochałam się... zakochałam się... zakochałam się. Nie wiedział, dlaczego aż tak wyprowadziło go z równowagi. Przecież wydawało się całkiem naturalne, że kobieta taka jak Tibbie nie odda się mężczyźnie z żadnego innego powodu. A jednak bolało i złościło jak drzazga pod paznokciem. Na pociechę przypomniał sobie, że powiedziała również: „Popełniłam błąd”.

Patrząc na nią, widział urodę, młodość, szczerłość. Pomyślał o tamtej rozmowie, kiedy się zamknął z nią w salonie i opowiedziała mu, co przeżyła. Nic dziwnego, że go unikała, że wzdrygała się przed jego dotykiem. Sparzyła się i to bardzo dotkliwie. I to ją nauczyło trzymać się z dala od ognia.

- Tylko ludzie, którzy nie mają nic do ofiarowania, zamykają się sobie, Tibbie. Ty nie jesteś stworzona do takiego życia. Masz zbyt wiele do ofiarowania. Najlepszy sposób, żeby się wyzwolić, to mówić o tym.

- A ty, Mackinnon? Ty też nie jesteś do końca otwarty.

Zrobił zdziwioną minę.

- Ja? Dlaczego tak sądzisz?

- Bo nie mówisz o sobie. Nalegasz, bym ci opowiadała

o sobie, o swojej przeszłości, nawet trzymałeś mnie zamkniętą w pokoju, dopóki ci nie opowiedziałam historii mojego życia. A ty? Ty nigdy nie mówisz o swojej przeszłości.

Poruszyła dawno ucichłą strunę.

- Mówiłem ci, co się stało z moją rodziną.
- Niezupełnie. Powiedziałeś mi, że twoi rodzice nie żyją, a siostra została porwana przez Indian.

- Co jest prawdą.

- Miałeś potem jakieś wiadomości o siostrze?

- Żadnych.

- A twoi bracia? Ilu ich masz? Gdzie są teraz?

- Andrew, najstarszy, zginął razem z matką - zaczął, pogrążony w zadumie. - Ja jestem następny w kolejności. Po mnie jest Travis. Przybył wraz ze mną do Nantucket. Po Travisie jest Ross i...

- Gdzie jest teraz Ross? Utrzymujesz z nim kontakt?

Nick uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

- O tyle o ile, zważywszy na dzielącą nas odległość. Ross jest w Szkocji, na wyspie Skye. Moi rodzice oboje byli Szkotami. W zeszłym roku dostaliśmy wiadomość, że jakiś krewny zmarł i ja jestem następny w kolejce do jakiegoś wymyślnego tytułu. Nie namyślając się długo, obaj z Travisem odrzuciliśmy propozycję. Wtedy odpisali, składając Rossowi tę samą ofertę. Niech mnie diabli, jeśli go na to nie skuszą. Sprytnie to wymyślili. - Pokręcił głową. - Wystarczy przeczytać jego listy! Nie mogę sobie wyobrazić mojego narowistego brata Rossa w roli utytułowanego dżentelmena, ale wygląda na to, że całkiem dobrze się przystosował. Jemu się to wręcz podoba!

Tibbie roześmiała się na widok szczerego zdumienia, malującego się na twarzy Nicka.

- A po Rossie?

- Bliźniaki. Adrian i Alexander. Są gorsi od węży.

- Gdzie są teraz?

- W Kalifornii. Na jakiś czas przystali do Strażników Teksasu. Kiedy wojna się skończyła, usłyszeli, jak ktoś mówi o złocie,

i to im wystarczyło. Pędem pognali do Kalifornii, jak się okazało, nie na darmo. Jeśli można wierzyć temu, co piszą, są coraz bogatsi. Tych dwóch nic nie zdoła powstrzymać, jeśli się razem na coś zdecydują.

- Nie tęsknisz za rodziną?

- Chryste, pewnie, że tak, ale mam brata Trávisa i wuję, więc nie jestem całkiem sam.

- Chyba bym nie zniosła rozłąki z rodziną.

- Teraz tak czujesz, bo są ci potrzebni. Są ci podpora i w pewnym sensie cię chronią. Pewnego dnia poczujesz, że już nie musisz się ich trzymać. - Widząc, jak marszczy czoło, dodał: - Głowa do góry, dziewczyno. Mówię ci, jeszcze dostaniesz skrzydeł.

Puściła mimo uszu jego ostatnie słowa, wciąż poruszona tym, co usłyszała wcześniej.

- Ja się ich nie trzymam. Po prostu kocham swoją rodzinę.

Patrząc na nią oczyma szklistymi od działania leku i bólu, puścił jej dłoń i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Biedny mały aniołek. Anioł w marmurze. Skrzywdzona, nieufna dziewczyna, pogodzona ze swoim losem. Stojąc w obliczu nieszczęścia, przysięgła sobie z całego serca nie ufać i nie wiązać się z żadnym mężczyzną. - Przesunął kciukiem po jej ustach. - Odkrywam, że podoba mi się bardziej niż piękność o kamiennym sercu... i co dziwniejsze, bardziej jej pragnę.

10

Tibbie, uzbrojona w piorunujące spojrzenie, poszła do niewielkiego pokoiku na tyłach kliniki ojca, gdzie umieszczono Nicholasa Mackinnona, kiedy już Coll opatrzył go najlepiej, jak umiał. Jednak nim minął ranek, czuła się jak żaba, która chcąc być podobną do słonia, nadeła się i pękła.

Pewne rzeczy nie powinny się zdarzać.

Przystanęła pod drzwiami i nasłuchiwała. Coraz trudniej przychodziło jej udawanie obojętności przy Mackinnonie. Nie słysząc żadnych odgłosów w środku, pomodliła się na wszelki wypadek:

- Dobry Boże, spraw, żeby on spał. - Po krótkim zastanowieniu dodała: - A jeśli już ma nie spać, to czy mógłbyś przynajmniej sprawić, żebym wyglądała na silną, zdecydowaną i obojętną? Zeskanowała i przerobiła poną.

Odetchnąwszy pełną piersią, chwyciła za klamkę.

Spędziła bezsennie większą część nocy, rozmyślając o tym wszystkim, co Nick jej powiedział. Należała do osób metodycznych i zorganizowanych, które lubią uporządkowane życie. Kształtowała je na wzór kwiatowego ogródka, by spacerować po obramowanych kamieniami ścieżkach, w miarę potrzeby usuwając chwasty i zbędne kamyki, żeby utrzymać należyty porządek. Niektóre rzeczy pozwalały się ująć w ramy tego

porządku. Inne nie. Nicholas Mackinnon zaliczał się do tych drugich. Odkąd wkroczył w jej życie, o jakimkolwiek porządku nie mogło być mowy. Był kamieniem, który należało wyrzucić.

Weszła do pokoju, wciąż modląc się, żeby Nick spał. Wówczas mogłaby postawić tacę ze śniadaniem na stoliku przy łóżku i wyjść niepostrzeżenie. Ale ledwie przekroczyła próg, poczuła na sobie jego spojrzenie. To wystarczyło, by nie była ani silna, ani zdecydowana, ani też obojętna. Co masz przeciwko mnie, pomyślała z wyrzutem skierowanym do Wszechmogącego.

- Jak się czujesz? - spytała, bo nic innego jakoś nie chciało jej przyjść do głowy. Wiedziała, że musi się czuć tak, jakby się na niego most zawalił.

Patrzył na nią półprzymkniętymi oczami, jakby próbował sobie coś przypomnieć, oddzielić fakty od halucynacji. Trwało to dłuższą chwilę.

- Co? - odezwał się wreszcie.
- Pytałam, jak się czujesz.
- Fatalnie jak cholera.

Ciężkie obrażenia, jakie odniósł, musiały niekorzystnie wpłynąć na jego samopoczucie, więc choć trochę się zjeżyła, postanowiła nie udzielać mu reprimendy za niestosowny język. Podeszła do łóżka i ustawiła tacę na stoliku. Dostrzegła w trochę zamglonych oczach Nicka ból i skutki działania opium, zauważyła też sine kręgi pod oczami. Jego zwykle czerstwa cera stała się sucha i ziemista, a rysy ściągnięte.

- Zabierz to. Nie jestem głodny - powiedział, wskazując na tacę.

- Nic nie jadłeś od wczoraj rano. Tata chce, żebyś sobie choć trochę napełnił żołądek.

- Powiedziałem, żebyś to zabrała!
- Musisz jeść, czy masz ochotę, czy nie. Opium na pusty żołądek może ci zaszkodzić.
- Upadek z rusztowania też mi trochę zaszkodził.
- To był nieszczęśliwy wypadek...
- To była głupota!

- Wszystko jedno - powiedziała głośniej, trochę zdenerwowana. - Ale naprawdę musisz coś zjeść.

Wyciągnął przed siebie zabandażowane ręce.

- Niby jak mam to zrobić? Zanurzyć twarz w misce jak prosię?

Nie chciała się śmiać, ale nagle przypomniała sobie Fortunę, która chęptała pomyje, zanurzając w nich pysk aż po uszy, i podczas jedzenia szaleńczo wywijiała zakręconym różowym ogonkiem.

Przestała się śmiać na widok posępnej miny Nicka. Opuściła wzrok na jego grubo zabandażowaną klatkę piersiową. Przyszło jej na myśl, że tacy mężczyźni jak on zwykle bardzo wiele wymagają od kobiety.

Jedną ręką uniosła mu głowę, drugą spulchniła poduszkę. Następnie zabrała się do poprawiania pościeli.

- Może chciałbyś, żebym otworzyła okno? Albo przyniosła ci jakąś książkę do poczytania? - Przypomniawszy sobie, że ma niesprawne ręce, dodała: - A może chciałbyś, żebym ci poczytała?

- Chciałbym, żebyś przestała robić zamieszanie i zadawać mi te wszystkie głupie pytania. Bardziej mi się podobaś, kiedy tyle nie mówisz!

- Warczysz jak zgłodniały wilk na każdego, kto tu wchodzi. W końcu nikt nie będzie chciał ci pomóc, kiedy będziesz tego potrzebował. - Jednym strzepnięciem rozprostowała serwetkę i założyła mu pod brodę.

Mrucząc coś pod nosem, Nicholas zaczął niezdarnie poruszać zabandażowanymi rękami, aż w końcu udało mu się zaczepić serwetkę i odrzucić ją na tacę.

- Niedługo będziesz mi zakładać pieluchy. Nie chcę być niańczony!

Była zaskoczona, że tak łatwo jej przyszło zachowanie spokoju. Może dlatego, że jego nastrój był tak paskudny, że aż śmieszny.

- Jakaś kobieta strasznie cię zepsuła, Mackinnon. No i jesteś przyzwyczajony do tego, by wszystko przebiegało po twojej myśli.

- Miałem czas się odzwyczaić, odkąd cię poznałem.

Zdjęła pokrywkę z miseczki z owsianką. Kątem oka dostrzegła jego niezadowoloną minę.

- Jak będziesz się zachowywał przyzwoicie, to pomogę ci w jedzeniu.

- Skoro już jesteś taka uczynna, to może zjedz za mnie.

- Och, nie byłabym w stanie nic więcej przełknąć. Mieliśmy dziś obfite śniadanie: jajka, szynkę, kaszę, świeże bułeczki z masłem...

- Zabierz stąd te pomyje - warknął.

Jednak Tibbie była wprawną pielęgniarką i zajmowała się wcześniej nieznośnymi pacjentami... którymi w większości byli mężczyźni. Wiedziała, że musi minąć wiele dni takich jak ten, nim Nicholas Mackinnon znów stanie na nogach. Mężczyźni są najgorszymi pacjentami, westchnęła w duchu. Może jutro będzie w lepszym humorze, pocieszyła się.

Następnego ranka nastrój Nicka rzeczywiście zmienił się, tyle że na jeszcze gorszy. Balansując tacą w jednej ręce, Tibbie otworzyła drzwi i weszła do środka. Nick, oparty o poduszki, z miną wściekłego lisa wpatrywał się w drzwi, co oznaczało, że wpatrywał się w nią, odkąd tylko weszła.

- Noc dobrze ci minęła? - zagadnęła lekko.

- Nieszczególnie - odparł, nie siląc się na uprzejmy ton.

- Były jakieś kłopoty?

- Właściwie tylko jeden. Nie chciało mi się spać. Wiesz, jak to jest, gdy się leży w łóżku, obserwuje cienie na suficie i marzy o tym, by zasnąć.

- Powinieneś wziąć trochę tego środka nasennego, który ojciec dla ciebie przygotował - poradziła, stawiając tacę na stoliku.

- Mam dość medykamentów. Mam dość tego, że nie mogę się ruszyć. Mam dość leżenia w łóżku. I w ogóle mam dość tego miejsca. Mówiąc krótko, jestem śmiertelnie znudzony.

- Znudzony?

- Znudzony - potwierdził cierpko. - Znu-dzo-ny! Nie wolno

mi wstawać z łóżka, a w łóżku nie mam nic do roboty. Najciekawszym przeżyciem, jakie mnie spotkało, odkąd tu jestem, było to, jak przedwczoraj myłaś mi palce u nóg.

Opuściła wzrok, czując, że się rumieni. Była przekonana, że wtedy spał.

- Pamiętasz to?

- Ależ tak, ale nie wspominam najmilej. Znacznie lepiej bawiłem się przy goleniu.

- Z pewnością nie jest aż tak źle - powiedziała i uśmiechnęła się niepewnie.

- Rzeczywiście, zapomniałem o paru wydarzeniach. Wczoraj rano obserwowałem, jak pająk chwyta muchę w pajęczynę. A przed obiadem policzyłem sęki w drzwiach. Jest ich pięćdziesiąt siedem, gdybyś była zainteresowana. Mogę ci też powiedzieć, z ilu klepek składa się posadzka, ile jest pęknięć na suficie, ile razy twój ojciec wykrzyknął „Dobry Boże!” podczas wczorajszego badania pacjentów. Ale najlepsza ze wszystkiego była wizyta twojej babki.

- Babci? - zdumiała się Tibbie. - Babcia Grace tu przyszła?

- Jak najbardziej, we własnej osobie.

- Czego chciała?

- Spytała, czy wiem, że Napoleon i Ryszard Trzeci w chwili urodzenia mieli po jednym zębie.

Tibbie zaczęła się śmiać.

- Nie przypominam sobie, żebym powiedział coś zabawnego.

- No i co? - spytała, nie przestając się śmiać.

- Co, co?

- Wiedziałeś o Napoleonie i Ryszardzie Trzecim?

- Nie. - Wyraźnie starał się nie okazać wesołości. - Ale postaram się pamiętać. Bóg jeden wie, ile razy jeszcze będę o to pytany.

Spojrzała na jego ręce, przypomniawszy sobie, że poprzedniego dnia Coll usunął grube, sztywne opatrunki. Teraz, ze znacznie cieńszą warstwą bandaży, Nick mógł się łatwiej posługiwać rękami.

- Chcesz, żebym ci pomogła przy jedzeniu?
- Nie. Poradzę sobie.
- Zatem jeśli nie ma już nic... Mam sporo rzeczy do zrobienia.

- Podniosła się z miejsca.

- Tibbie...

Przystanąła w połowie drogi do drzwi.

- Słucham?

- Jest jeszcze coś...

Modliła się, żeby nie widać było po niej lęku.

- Jeszcze coś? To znaczy, mam jeszcze coś zrobić?

- Tak.

- Co?

- Posiedź tu chwilę i porozmawiaj ze mną.

- Naprawdę nie mam czasu...

- To znajdź czas. Potrzebuję chwili rozmowy i odrobiny towarzystwa. Leżę w tym przeklętym łóżku od prawie dwóch tygodni i przez cały ten czas nie miałem okazji przyzwycie porozmawiać.

- Przyzwycie porozmawiać? Tylko tego chcesz?

Potwierdził kiwnięciem głowy.

- O czym chciałbyś rozmawiać? - spytała, z ociąganiem wracając na miejsce przy łóżku.

- O czymkolwiek. Powiedz mi, co robiłaś wczoraj.

- Razem z Beth kąpałyśmy Fortunę - oznajmiła ze śmiechem.

- Chciałbym to zobaczyć. - Uśmiechnął się. - Słyszałem, że trudno utrzymać mokrą świnię.

- Dobrze słyszałeś. I dobrze, że było ciepło. Beth i ja po parę razy wpadałyśmy do bali. Byłyśmy przemoczone do nitki. - Urwała na moment, po czym dodała: - Fortuna nienawidzi kąpieli. Potem przez kilka dni się dąsa.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem o humorzastej świni.

- Ależ to prawda. Świnie potrafią się dąsać i długo noszą urazę. Nieprędko nam przebaczy tę kąpiel. Jej uczucia zostały zranione i dziś chodzi z opuszczonym ogonem. Mama mówi, że zaszyła się w swoim legowisku na tyłach domu. - Rozpromieniła

się, co Nick przyjął z pewną nieufnością, od razu podejrzewając podstęp. - Mam świetny pomysł! Możemy ją tu przyprowadzić i daślibyście się we dwoje.

- Nie wiedziałem, że się dasam.

- Ależ jak najbardziej! Możesz mi wierzyć!

- To już wolę liczyć dziury po sękach - przyznał Nick z kwaśną miną.

Podniosła się z krzesła, tym razem zdecydowana odejść.

- Mackinnon, jesteś zepsuty! Okropnie! - Odwróciła się, stojąc w progu. - Zepsuty - powtórzyła. - Do szpiku kości! - Zamknęła za sobą drzwi.

Tę noc Nick przespał w całości. Budząc się, poczuł ciepły dotyk słońca na twarzy. Co to za hałas, pomyślał, jeszcze nie całkiem przytomny. Otworzył jedno oko, potem drugie. Nic nie zobaczył. Zamknął oczy. Hałas rozległ się ponownie. Nick znów otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Bez rezultatu. Zamknął oczy. Hałas się powtórzył, jakby ktoś chrapał. Otworzył oczy i zaczął nasłuchiwać. Ktoś chrapał. Przesunął się do krawędzi łóżka i spojrział w dół, odkrywając, co go obudziło.

Na podłodze pod łóżkiem spała Fortuna. I chrapała. Nim do Nicka na dobre dotarło, co widzi, usłyszał tłumiony chichot. W drzwiach stały Tibbie i Beth. Napotkawszy jego spojrzenie, obie wybuchnęły histerycznym śmiechem. Nie sposób było się do nich nie przyłączyć.

W końcu weszły do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Lepiej ją stąd zabierzmy - powiedziała Tibbie. - Jeśli tata się dowie, że wpuściłyśmy świnię do kliniki, dostaniemy za swoje.

- Dziadek będzie zły? - zaniepokoiła się Beth.

- Wściekły - sprostowała Tibbie. - Stań po drugiej stronie łóżka, a ja spróbuję ją złapać, zanim się obudzi. Inaczej będzie dramat. Wiesz, jak ona lubi uciekać. Spędzimy tu cały dzień, próbując ją wyprowadzić. No już, pospiesz się.

Tibbie uklękła przy łóżku i upewniwszy się, że Beth jest po drugiej stronie, wyciągnęła rękę, żeby złapać Fortunę za obrozę. W tym momencie świnią obudziła się z chrząknięciem, po czym

rozkwiczała się przeraźliwie, gdy Tibbie, nie trafiając na obrozę, ścisnęła ją za ucho. Świnia w okamgnieniu wyskoczyła spod łóżka, jakby ktoś ją chciał przerobić na bekon.

- O rany! - jęknęła Tibbie.

- Dziadek nam nie daruje! - zmartwiła się Beth.

A potem rozpętało się istne piekło: Tibbie i Beth miotały się po całym pokoju, usiłując zapędzić Fortunę do rogu, a nieszczęsna świnia, ślizgając się na wypolerowanej posadzce, kwiczała jak zarzynana.

- W imię wszystkiego co święte, co się tu dzieje? - zagrzemiał Coll Buchanan, stając w drzwiach. - Dobry Boże! - Stęknął. - Dobry Boże! - Patrząc groźnie na córkę i wnuczkę, spytał: - Co to wszystko ma znaczyć? - Żadna z nich się nie odezwała, więc spytał głośniej: - Tibbie Ann, co tu robi ta świnia?

Tibbie ze wszystkich sił starała się zachować powagę, ale nie było to łatwe. Dosłownie cała się trzęsła w środku. Wystarczyło popatrzeć na miny Nicka i Colla, żeby paść ze śmiechu.

- Dziadek jest bardzo zły - szepnęła przejęta Beth.

- Z każdą minutą coraz bardziej - zapewnił Coll. - Odpowiadać! Co tu się dzieje?

- Och, nie zrozumiałbyś... - zaczęła wykrętnie Tibbie.

- Jednak spróbuj - przerwał jej twardo ojciec.

Westchnęła.

- No, wiesz...

- Nie, nie wiem - uciał Coll. - Co gorsza, ty chyba także nie wiesz. Co cię, u licha, opętało, żeby wprowadzać tu świnie?

- Pomyślałyśmy, że rozweseli pana Mackinnona.

- Rozweseli? Myślałyście, że ucieszy go widok zaślinionej świni?

- Fortuna wcale się nie ślini! - obruszyła się Beth. - Babcia mówi, że Fortuna jest schludniejsza od wielu znanych jej ludzi.

Coll spojrział z góry na wnuczkę.

- Porozmawiam o tym z twoją babką. Dobrze się czujesz? - zwrócił się do córki.

- Oczywiście.

Coll przeniósł wzrok z Tibbie na świnie. Następnie popatrzył na Nicholasa, który sprawiał wrażenie całkiem ogłupiałego. Wreszcie z ciężkim westchnieniem rzekł:

- Zabierzcie stąd to zwierzę i pilnujcie, żeby się trzymało z daleka, bo inaczej w niedzielę będziemy jeść wieprzowinę! - Spojrzawszy na Beth, natychmiast pożałował zbyt ostrych słów, spodziewając się, że dziewczynka wybuchnie płaczem. Jednakże Beth wiedziała, że dziadek poprzestanie na słownej groźbie, więc zamiast szlochać, obiecała pokornie:

- Zabiorę stąd Fortunę. Tak jak kazałeś.

Świnia miała jednak inne plany. Znalazła na podłodze ciepłą plamę słonecznego światła i natychmiast ułożyła się na niej do snu. Leżała na brzuchu z wyciągniętymi przed siebie nogami, z głową ułożoną tak, że słońce padało na zamknięte ślepia i ryj, niemal uśmiechnięty w wyrazie błogości. Tracona przez Beth, jedynie chrząknęła i na moment uchyliła paciorkowate oczka. Przy następnym szturchnięciu chrząknęła głośniejsze, a kiedy Beth pociągnęła ją za ucho, ze złością poderwała się na nogi i kwicząc, podbiegła do łóżka Nicka, wystukując raciczkami gniewny rytm. Najpierw wsunęła pod łóżko łeb, a potem cała się tam wpełzała. Beth na czworakach prosiła i kusiła Fortunę, żeby wyszła, lecz uparta świnia ani myślała jej słuchać.

Coll bez słowa przyglądał się niecodziennej scenie. Beth z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do matki. Martwiło go to, ale nie mógł w żaden sposób temu zaradzić. Wciąż milcząc, potrząsnął głową i wyszedł.

Dwa kroki za drzwiami przystanął i drapiąc się po brodzie, nad czymś rozmyślał. Odwrócił się, żeby spojrzeć na drzwi, które dopiero co za sobą zamknął, i znów potrząsnął głową.

- Nieee... - powiedział cicho, ruszając przed siebie. Po następnych dwóch krokach znów się zatrzymał, odruchowo podniósł rękę do brody i obejrzał się na drzwi. Tym razem zdecydował się je otworzyć.

Beth, wciąż na czworakach, przemawiała do nieznosnej świni. Każdy, kto pozwala dziecku trzymać stukilową świnie jako

domowe zwierzę, powinien sobie zbadać głowę, pomyślał Coll. Był ciekaw, czy gdyby sam nie robił tyle zamieszania wokół nieszczęsnej świni, wnuczka nie przestałaby się nią interesować i nie znalazła sobie mniej uciążliwej zabawki. Trudno było jednak na to liczyć, bo Beth bywała niezwykle uparta.

Tak naprawdę to nie ona, czy tym bardziej świnia, zaprzętała umysł Colla. Martwił się o Tibbie. Zachowywała się dziwnie. I nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Poszedł do kuchni i podzielił się swymi obawami z Effie. Była równie zaskoczona jak on.

- Sama nie wiem. Może by zastosować któryś ze sposobów opisanych w poradniku babci?

- Litości, kobieto! Pragnę zrozumieć moją córkę, nie chcę jej zabijać. Należałoby spalić tę cholerną książkę. Czytałaś ją?

- Nie. Co ci się w niej nie podoba?

- To nic innego, tylko głupie przesady. Co byś powiedziała, gdyby ci wlewano do ucha sok ze smażonej cebuli?

- Coś okropnego!

- To nie wszystko. Brudna skarpeta okręcona wokół szyi ponoć pomaga na chore gardło, jęczmień zniknie, jeśli go potrzasz ogonem czarnego kota, a ospę wietrzną można wyleczyć, puszczając choremu nad głową koguta.

- Cieszymy się, że babcia nie próbowała jeszcze żadnego z tych sposobów.

- Daj jej trochę czasu - mruknął Coll, wychodząc z kuchni. - Daj jej tylko trochę czasu.

Wrócił do pokoju Nicka i stojąc w drzwiach, przyglądał się córce. Pozornie nic się nie zmieniło od momentu, gdy ich zostawił, tyle że teraz w pokoju panowało dziwne napięcie. Nawet z pewnej odległości wyczuł, że o coś się spierali, jako że Tibbie stała przy łóżku, opierając ręce na biodrach, tak że łokcie sterczały jej na boki. Coll dobrze znał tę pozę, która świadczyła o tym, że Tibbie jest czymś wzburzona. Należało oczekiwać, że zaraz zacznie tupać nogą, co będzie oznaczało, że wzburzenie przeszło w złość. W istocie, ledwie zdążyła mu ta myśl przemknąć przez głowę, gdy stopa Tibbie zaczęła

rytmicznie postukiwać o podłogę. Sądząc po minie, Tibbie miała ochotę coś zmiażdżyć. Coll przeniósł wzrok na Nicka, który bynajmniej nie pozostawał bierny. Przeciwnie, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wściekły. W pierwszej chwili Coll miał ochotę machnąć ręką na całą sytuację, wiedząc, że każdy, kto odniósł tak poważne obrażenia, jakie były udziałem Nicholasa Mackinnona, miałby całkiem Usprawiedliwione powody do drażliwości. Znał przedziwne upodobanie kobiet do kłótni i przeszło mu nawet przez myśl, czy przypadkiem nie powinien ostrzec biednego pacjenta. Z własnego doświadczenia wiedział bowiem, że jak kobieta się uprze, nie przekonają jej żadne argumenty.

Oboje byli tak pochłonięci sporem, że nie zwracali uwagi ani na Beth, wciąż leżącą pod łóżkiem i przemawiającą do Fortuny, ani na Colla stojącego w drzwiach, więc mógł spokojnie obserwować przebieg wydarzeń. To, że zachowywali się jak dwa koty, które chcą się najeść z jednej miski, nie robiło na nim większego wrażenia. Miał dość zaufania do Tibbie, by wiedzieć, że potrafi bronić swoich racji. Ostatecznie była córką Effie. Już prędzej było mu żal Nicka, bo wiedział, że jeśli nawet nie Tibbie, to Beth i nieznośna świnia dadzą mu się we znaki. Coll cicho zamknął za sobą drzwi i odszedł do swoich codziennych obowiązków, pogwizdując pod nosem i chwalać piękną pogodę.

- Przecież pada, tato - zauważyła Mairi, przyglądając się ojcu podejrzliwie.

- A kto powiedział, że deszcz nie może być piękny? - rzucił lekko i pogwizdywał dalej.

Mairi widywała już dziwniejsze zachowanie ojca, więc tylko wzruszyła ramionami i przeszła przez hol, żeby otworzyć drzwi, które dopiero co za sobą zamknął.

Spojrzała najpierw na siostrę, potem na świnie wystającą spod łóżka Nicholasa Mackinnona. Zbuntowana Fortuna nie chciała się ruszyć, choć Beth na czworakach przemawiała do niej błagalnie. W końcu Tibbie straciła cierpliwość, okrzyknęła łóżko, chwyciła świnie za ogon i wyciągnęła ją po drugiej stronie, protestującą głośnym kwiczeniem. Mairi nie była zaskoczona.

Skoro widziała, jak siostra wylewa kufel piwa na głowę miejscowego rzeźmieszka, cóż jeszcze mogło ją zdziwić? Wprawdzie nie rozumiała tego, co widzi, ale o zaskoczeniu nie mogło być mowy. Jednakże musiał być jakiś powód, dla którego świnia znalazła się pod łóżkiem pacjenta. Mairi spojrzała pytająco na Tibbie.

- Ty chyba nie...

- Owszem, tak - przerwała jej Tibbie, nie mając najmniejszej ochoty na powtarzanie wyjaśnień, skąd ta przekłeta świnia wzięła się w pokoju Nicka. Pamiętała tylko tyle, że w pewnym momencie uznała to za dobry pomysł. Zastanawiała się z irytacją, dlaczego zawsze musi padać ofiarą swoich pochopnych działań i braku przezorności. Pożałowała, że nie jest bardziej podobna do Mairi, przyziemnej i wolno myślącej.

Tibbie rozejrzała się po pokoju. Wszyscy się na nią gapili, ma się rozumieć poza Fortuną. Widząc obrażony wyraz świńskiego ryja, domyśliła się, że zwierzę planuje srogą zemstę. Bo trzeba wiedzieć, że świnie nie puszczają płazem żadnej wyrażonej im krzywdy i znane są z długiego chowania wszelkiej urazy. Mówiąc krótko, nie ma nic gorszego od obrażonej świni.

- Nie stój jak kołek w płocie - powiedziała do Mairi. - Pomóż nam złapać to okropne zwierzę!

Mairi włączyła się do nierównej walki, a Nick musiał przyznać, że obserwowanie, jak we trzy osaczają przebiegłą świnie, znacznie poprawiło mu humor. Wręcz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak serdecznie się uśmieł. Niestety, od śmiechu rozboleło go całe poturbowane ciało. Szybko jednak zapomniał o bólu, kiedy podeszła do niego Beth, ciągnąc za sobą Fortunę, i powiedziała radośnie:

- Czyż ona nie jest najbardziej najśliczniejszą świnką na świecie?

Nick przyznał chętnie, że Fortuna jest najbardziej najśliczniejsza. Tibbie ponagliła córkę do wyjścia.

- Chodźmy już, Beth. Pan Mackinnon musi odpocząć.

Dziewczynka wdrapała się na krzesło przy łóżku i złożyła na policzku Nicka soczystego całusa.

- Proszę! - powiedziała, nie kryjąc zadowolenia. - To ci bardzo pomoże wyzdrowieć.

Po chwili już jej nie było w pokoju. Tibbie jeszcze nie widziała, żeby Beth traktowała kogoś tak serdecznie jak Nicka, a nie należała do dzieci chętnie rozdających całusy na prawo i lewo, raczej pod tym względem była podobna do matki. Z wyrazem zdziwienia na twarzy Tibbie odwróciła się do Nicka. Ich spojrzenia się spotkały. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Tibbie czuła, że robi jej się dziwnie miękko w środku, a kolana zaczynają drżeć... co zdarzało jej się coraz częściej, kiedy Nick patrzył na nią w taki sposób. Rumieniec zabarwił jej policzki, serce zaczęło łomotać. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, od niebieskich oczu przepełnionych tęsknotą... I wcale tego nie chciała.

Nie było sensu zaprzeczać. Podobał jej się ten mężczyzna, działał na jej zmysły. Jej uczucia, ledwie rozbudzone, gdy miała szesnaście lat, i wkrótce potem zgaszone niczym wątyły płomyk świecy, nagle zakiełkowały zielonymi pączkami i rozrastały się bujniej niż chwasty podczas wilgotnego lata.

- Nie bój się mnie, Tibbie. Ja cię nie skrzywdzę. Nigdy.

Te słowa zabrzmiały w jej uszach jak echo z przeszłości. Ale kiedy spojrzała na mężczyznę, który je wypowiedział, ujrzała w jego oczach czułość i szczerłość.

- Nie boję się ciebie, Nick. - Westchnęła. - Boję się Tibbie Buchanan. Boję się tego, kim jestem, i tego, czego pragnę, kiedy jestem z tobą. Nie chcę znowu cierpieć. Nie chcę popełnić następnego błędu.

- Wiem, ale przecież nie musi tak być.

- Rozumiem to - powiedziała zduszonym szeptem - i w tym cały problem.

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i wybiegła. Pozostał po niej delikatny zapach i cichnący odgłos szybkich kroków.

Nie widziała Nicka przez trzy dni. Nie mogła. Czuła się przy nim tak bezbronna, że musiała się trzymać na dystans, musiała dać sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego od nowa. Niełatwo jednak było trzymać się z dala od kogoś takiego jak on. Co z oczu, to z myśli. Akurat! Nie była w stanie choć na chwilę przestać o nim myśleć.

Nick musiał być obecny także w myślach Beth, ponieważ dziewczynka zaczęła go regularnie odwiedzać, ofiarowując mu narysowane przez siebie obrazki, lekko przywiedłe kwiatki, a któregoś popołudnia zaniósła mu figurkę z piernika, którą zrobiła przy pomocy Tibbie.

- Twoja mama jest dobrą kucharką?

- Tak, tylko często przypala różne rzeczy. Babcia Grace mówi, że to dlatego, bo ma głowę zaprzątniętą czym innym, ale mama nie chce mi powiedzieć czym.

Uśmiechnąwszy się do dziecka, Nick zamierzał spróbować wypieku.

- Zjedz najpierw guziki - poradziła. - Są zrobione z rodzynek.

Kiedy Nick zjadał guziki, powiedziała:

- Ja nigdy nie jem oczu, bo są z lukrecji, a nienawidzę lukrecji.

- Naprawdę? Ja zjem oczy. Lubię lukrecję.

- Język robi się od niej czarny!

Nick zjadł oczy.

- Masz. Możesz wziąć też moje. - Wydłubała oczy ze swojego piernika i podała Nickowi, który szybko wrzucił je do ust. - Pokaż język - prosiła, stając na krześle, żeby móc się lepiej przyjrzeć. - No! - ucieszyła się. - Całkiem czarny. Ale nie martw się. Mama mówi, że to zejdzie.

- Ty też zaraz zejdziesz z tego krzesła, moja panno - powiedziała surowo Mairi, wchodząc do pokoju. - Czas na kąpiel, mama wszędzie cię szuka.

Beth natychmiast wybiegła.

Tego wieczoru, po tym, jak już wykapała Beth i ułożyła ją do snu, Tibbie sama wzięła długą kąpiel, rozmyślając o Nicholasie. Wdarł się w jej życie i wszystko wskazywało na to, że zamierzał w nim pozostać. Jak się z tym czuła? Oszołomiona. Pełna lęku przed zatrzymaniem go przy sobie. Przestraszona, że jeśli go nie zatrzyma, zechce odejść. Nim woda całkiem wystygła, Tibbie wiedziała na pewno tylko tyle, że jeszcze nigdy w życiu nie miała tak rozmokłej skóry. Wyszła z wanny.

Wytarta i odziana w prostą bawełnianą koszulę, położyła się do łóżka, poleżała chwilę i wstała. Spróbowała posiedzieć na krześle, lecz nie wytrzymała długo i stanęła przed oknem. Tu też nie zagrzała miejsca. Przez następną godzinę krążyła po pokoju, między łóżkiem, krzesłem i oknem. Co sprawiało, że była taka niespokojna? Jeśli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, to jesteś beznadziejnie głupia, powiedziała sobie w duchu. Chciała być z Nickiem. Czy powinna do niego pójść, porozmawiać z nim? Powinna? Co powinna? Porozmawiać. Może Mairi nie była jedyną wolno myślącą osobą w rodzinie...

Drzwi sypialni otwarły się nagle i do środka wkroczyła Effie.

- Wszyscy święci! Miotasz się jak kotka. Podłoga skrzypi niemiłosiernie.

Tibbie zapomniała, że sypialnia rodziców znajduje się bezpośrednio pod jej pokojem, więc muszą słyszeć jej kroki.

- Przez to dudnienie i skrzypienie można dostać niestrawności - utyskiwała Effie. Zmierzyła córkę od stóp do głów czujnym wzrokiem. - Co się z tobą dzieje? Ostatnio jesteś jakaś nerwowa. - Podeszła do Tibbie i nie zważając na jej niechętną minę, podniosła jej najpierw jedną, potem drugą powiekę. - Jesteś trochę blada - stwierdziła z troską. - Chce ci się kichać?

- Nic mi nie jest.

- No, nie wiem - upierała się Effie. - Nawet ojciec zauważył. A ten młody człowiek, Mackinnon...

Tibbie gwałtownie poderwała głowę.

- Mackinnon?

- Pyta o ciebie za każdym razem, kiedy zanoszę mu tacę. -

Effie zmrużyła oczy, jakby się nad czymś poważnie zastanawiała. - Chyba nic ci nie zrobił?

- Nie zrobił? - Tibbie spurpurowiała. - Nie, oczywiście, że nie.
- To dlaczego go nie odwiedzisz?
- Czemu miałabym go odwiedzać?
- A czemu byś nie miała?

Tibbie wzruszyła ramionami.

- Tata mówił, że najgorsze już minęło. Za parę dni powinien dojść do siebie.

- Ale na razie jest przykuty do łóżka, dniem i nocą. Ciągłe o ciebie pyta.

Tibbie przypomniała sobie ostatni raz, kiedy go widziała. Boże, jak na nią wtedy patrzył. Nagle zapragnęła pobiec do jego pokoju, położyć mu głowę na ramieniu i zatonać w jego objęciach. Westchnęła. To był wystarczający powód, żeby się trzymać od niego z daleka.

Trzy dni później, przy śniadaniu, Coll odezwał się do Tibbie:

- Widzę, że każesz Mairi albo matce zanosić Mackinnonowi posiłki. Jest jakiś problem?

- Nie. Po prostu byłam zajęta innymi sprawami. Nie może tego robić ktoś inny?

- Kto na przykład?

Tibbie pomyślała o Gladys, ale zaraz sobie przypomniała, że gospodyni wyjechała z wizytą do swojej siostry, zaproponowała więc Mairi, lecz Effie przypomniała jej, że Mairi pomaga przy dziewięciorgu małych Dexterach, odkąd Coll odebrał poród dziesiątego. Tibbie od razu wykluczyła babcię, ponieważ ostatnim razem, gdy jej zaproponowała, żeby zrobiła panu Mackinnonowi skarpety, znalazła ją siedzącą na łóżku Nicka i dziergającą skarpetę wprost na jego nodze.

Cały czas myślała, kogo by tu polecić, kiedy Coll stwierdził:

- Wezwano mnie do Port Lavaca. Wygląda na to, że żółta febra, która pojawiła się w Galveston, rozprzestrzenia się w tam-

tym kierunku. Nie wiem, jak długo tam zabawię. Będziesz musiała zająć się kliniką pod moją nieobecność. A to oznacza, że również Mackinnonem.

Tibbie poderwała się na równe nogi, osłupiała niczym stary Harm Brewster, kiedy obudziwszy się w łóżku pani Price, zobaczył nad sobą pana Price'a ze strzelbą.

- Żółta febra?

- Tak. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Możesz zacząć od razu, zanosząc Mackinnonowi śniadanie - powiedział spokojnie Coll. - I dopilnuj, żeby je zjadł.

Idąc wolno w stronę pokoju Nicka, Tibbie martwiła się o ojca. Żółta febra to poważna choroba, a Coll był przepracowany i zmęczony. Już sama podróż stanowiła dla niego duże obciążenie. Patrząc na drzwi pokoju Nicka, pożałowała, że ma ręce zajęte tacą, bo inaczej mogłaby je zacisnąć. Trzęsła się ze zdenerwowania. Niczego bardziej nie pragnęła, niż spędzić z Nickiem popołudnie, a czuła się skrępowana jak pensjonarka. Mówienie do siebie wcale nie pomagało.

Zatrzymując się przed drzwiami, Tibbie wyprostowała ramiona, wzięła głęboki oddech, oparła tacę na wysuniętym do przodu biodrze i sięgnęła do klamki.

Nick usłyszał skrzypnięcie drzwi, powoli otworzył jedno oko i ujrzał wchodzącego do pokoju anioła. Ale był wściekły na tego właśnie anioła za to, że okrutnie unikał go przez ostatnie dni. Bał się odezwać, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będzie żałował. Udał więc, że śpi, obserwując Tibbie spod opuszczonych powiek.

Postawiła tacę na stoliku przy łóżku i przyglądała się Nickowi w milczeniu. Miał odsłoniętą klatkę piersiową, na której blizny już prawie zniknęły, pozostawiając gładką, opaloną skórę. Okrywające go prześcieradło było zsunięte niebezpiecznie nisko. W ostatniej chwili się powstrzymała przed naciągnięciem go wyżej. Nie odrywając oczu od jego twarzy, usiadła na krześle przy łóżku. Boże, jakież on był przystojny. Miała ochotę go obudzić, ale brakło jej śmiałości, by zrobić to wprost. Zaszurała

krzesłem. Nawet nie drgnął. Odchrząknęła, ale się nie poruszył. Zakaszłała, a on spał dalej. Odwróciła głowę, zamyślona. Z trudem powstrzymał uśmiech. Nie otwierając oczu, czekał, co zrobi.

Znów na niego spojrzała i westchnęła.

- No i dobrze - powiedziała do siebie szeptem. - Czuję, że dłużej nie potrafię ci się opierać.

Nick nadal udawał, że jest pogrążony we śnie. Czuł, jak miłe ciepło rozchodzi mu się po całym ciele.

- Dlaczego mi to zrobiłeś? Wszystko szło tak dobrze, dopóki tu nie przyjechałeś. - Potrząsnęła głową. - Nie mogę - powiedziała, wstając z krzesła. - Chcę, ale nie mogę. - Pospieszenie opuściła pokój.

Nick otworzył jedno oko i uśmiechnął się pod nosem.

- Ależ tak, możesz - wymruczał.

11

Następnego ranka Tibbie oświadczyła, że nie czuje się dobrze, i Effie kazała jej pozostać w łóżku. Po dwóch dniach odwiedziła ją Mairi.

- Świetnie! Już chyba wystarczy - powiedziała.

Tibbie spojrział na siostrę ze zdumieniem.

- Czego wystarczy?

- Tibbie Ann, nie jesteś wcale bardziej chora ode mnie, a ja czuję się całkiem dobrze. Chcę wiedzieć, co się dzieje, i to natychmiast, albo poślę po tatę.

W tym momencie donośny ryk, bez wątpienia męski, wstrząsnął domem w posiadach.

- Skąd ten straszny hałas? - spytała Tibbie, siadając na łóżku.

- Chcesz powiedzieć, że dopiero teraz go słyszysz?

- Pierwszy raz - zapewniła Tibbie. - Co to jest?

- Mackinnon.

- Mackinnon? Co mu się dzieje?

- Chce cię widzieć i robi z tego powodu okropny raban. - Ryk rozległ się ponownie. - To trwa już od ósmej rano.

- Powiedz mu, żeby przestał zachowywać się jak głupiec.

- Sama mu powiedz. Próbowałam, tak jak i innych rzeczy. Lepiej idź do niego.

Tibbie ubrała się szybko i zeszła do pokoju zajmowanego przez Nicka. Ostrożnie otworzyła drzwi, akurat kiedy wydawał z siebie kolejny ryk.

- Na miłość boską - syknęła. - Będziesz ty cicho!
- Wejdź tu i usiądź przy mnie. Potrzebuję towarzystwa.
- Nie!

- Albo tu przyjdiesz i usiądziesz, albo zacznę śpiewać *Gwiazdzisty sztandar...* i to wszystkie zwrotki.

- Nie ośmieliłbyś się. Poza tym wątpię, czy znasz więcej niż pięć słów.

Zaczął śpiewać. Po dwóch zwrotkach zakryła sobie uszy rękami i weszła do pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

- Jakiej potrawy najbardziej nie lubisz, Mackinnon?
- Wątroby - odparł bez namysłu.

- Jeśli usłyszę jeszcze jedną nutę, jeśli choć piśniesz, to osobiście dopilnuję, żebyś nie dostawał nic innego do jedzenia poza wątroba, do końca swego pobytu w tym domu.

Patrząc, jak odwraca się i wychodzi, miał wrażenie, że wie, czyją wątrobę zamierzała mu serwować.

Dwa dni później wrócił Coll. Rzuciwszy jedno spojrzenie na wyczerpanego męża, Effie nakarmiła go mocnym rosołem z kury i położyła do łóżka. Następnego ranka przyjął kilku pacjentów w klinice, a potem wstąpił do pokoju Nicka. Dokładnie po trzech minutach wybiegł stamtąd i pognął do swojego gabinetu, mijając po drodze Mairi.

- Znajdź swoją siostrę i powiedz jej, że chcę ją widzieć natychmiast. Wątroba! - mruknął. - Na miłość boską!

Dwie minuty później Tibbie weszła do gabinetu ojca.

- Zamknij drzwi - polecił, a ona posłusznie spełniła polecenie.

Po kwadransie Tibbie opuściła gabinet ojca. Wychodząc, była blada jak płótno, lecz nim dotarła do kuchni, policzki pały jej mocnym rumieńcem. Sięgnęła do miski stojącej na szafce, wyjęła plaster krwistej czerwobrazowej wątroby i zaniósła go

do pokoju Nicka. Bez sekundy wahania otworzyła drzwi i cisnęła wątroba od progu.

- Ty nikczemny, podstępny, podły, niegodziwy, niedojrzały, chytry łobuzie! - powiedziała, zatraskując nogą drzwi.

Gdyby ten stek obelg nie obudził Nicka z drzemki do stanu pełnej świadomości, z pewnością dokonałby tego zimny, mokry ochłap o wstrętnym zapachu, który spadł mu na twarz z głośnym plaśnięciem.

Z zamkniętymi oczyma rozpoznał to coś po zapachu. Żołądek podjechał Nickowi do gardła. I omal nie wyskoczył na zewnątrz, kiedy cuchnący flak zjechał mu po policzku, lądując na poduszce koło jego ucha.

Nim zdążył zrzucić z siebie paskudztwo, porwała je i jeszcze raz mu nim przyłożyła.

- Co cię, u diabła, napadło?! - krzyknął, chwytając w końcu plaster wątroby i odrzucając w drugi koniec pokoju.

- Nie udawaj niewiniątka. Nic ci to nie da. Ty... - wycedziła przez zęby, dźgając go palcem w pierś - łotrze bardziej podstępny od węża! Jak mogłeś?

- Co mogłem?

Rozejrzała się za czymś innym, czym mogłaby go uderzyć.

- Powiedziałaś mojemu ojcu, ty bydlaku! Ty nicponiu! Ty... ty... mazgaju!

- Mazgaj? Ja?

- Nigdy bym nie uwierzyła, że dorosły mężczyzna zniży się do czegoś podobnego. Wiesz, kim jesteś, Mackinnon?

Nick zrobił w myślach szybki przegląd najgorszych znanych mu zniewag, zastanawiając się z pewnym zaciekawieniem, którą będzie musiał przełknąć.

- Ty... - Znów wbiła mu palec w klatkę piersiową. - Ty pleciugo!

Wstrząsany niepohamowanym śmiechem, bał się, że mu popękają świeżo zrosnięte żebra.

Pleciuga? Patrzył na zmarszczoną gniewem, lecz wciąż śliczną twarz, w oczy ciskające gromy i wprost nie mógł uwierzyć, że

leży biernie przed kobietą, która wygląda niezmiernie pociągająco, nawet wyzywając go różnymi słowami, nie wyłączając „pleciugi”.

Chryste Panie! Kiedy ostatni raz ktoś nazwał go pleciugą? Chyba kiedy nosił jeszcze krótkie spodenki.

Nick uniósł brwi i posłał jej ciepły uśmiech. Gdyby nie była taka wściekła, pewnie by zauważyła, że słońce nadało jego włosom ładny brązowy odcień. Miał włosy, o jakich mogła tylko marzyć połowa kobiet w Indianoli. Jego szlachetnie wyrzeźbione rysy ułożyły się w wyraz zachwytu zmieszanego z rozbawieniem, a spojrzenie niebieskich oczu mogło z łatwością stopić lodowiec. Ale Tibbie nie zwracała najmniejszej uwagi na te męskie walory. Była nieczuła jak dobroczynność.

- Nie próbuj mnie czarować, ty wątrobiany tchórzu.

Zrobiło mu się mdło na sam dźwięk znieprawionego słowa.

- Tibbie Ann, moglibyśmy mówić o czymkolwiek innym, byle nie o wątrobie? Jesteś czymś zdenerwowana?

- Nie próbuj się wykręcać, ty oślizła jaszczurko! Dobrze wiesz, że jestem wściekła, i jeszcze lepiej wiesz dlaczego!

- Wiem? - spytał z miną niewiniątka.

- Wiesz. Powiedziałaś mojemu ojcu, że odmówiłam ci opieki i zagroziłam, że będziesz karmiony wyłącznie wątroba!

Był na tyle głupi, by nadal udawać zdumienie.

- Cóż - rzekł w końcu trochę niepewnie. - A nie było tak?

- Owszem, unikałam cię. Ale nie odmówiłam opieki.

- Bez względu na to, jak to nazwiesz, nie opiekowałam się mną i groziłam mi wątroba. - Odruchowo wytarł sobie twarz. - Jezu, ależ to cuchnie! - Patrząc jej prosto w oczy, dodał: - I można powiedzieć, że groźba właśnie została spełniona.

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

- Chodzi o to, że zachowujesz się jak nieznośny uczeń. Co będzie następne? Umocysz mi warkocz w atramencie? Włożysz mi żabę do pudełka na kanapki?

Uśmiechnął się szeroko.

- Masz pudełko na kanapki?

- Nie próbuj wykręcać kota ogonem, kłamliwa ropucho. Przez swoją głupią paplaninę wpędziłeś mnie w kłopoty. Coś ci powiem, raz i na zawsze. Nie waż się wspominać choćby mojego imienia mojemu ojcu - wycedziła powoli i dosadnie.

- Rozumiem. Cóż, chyba nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić.

- Nie dbam o to, czy mnie przeprosisz, czy nie. Nie zależy mi nawet tyle... - pstryknęła mu palcami przed nosem - ...na tobie czy twoich przeprosinach.

- Jeśli panią obraziłem, panno Buchanan, jeśli przeze mnie miała pani jakieś nieprzyjemności, to bardzo żałuję.

- Kłamiesz jak z nut, skarżypyto wyzuty z zasad. Jesteś zachwycony, że przez ciebie mi się dostało. Bo inaczej, po co byś tak podle plotkował do mojego ojca? Zdajesz sobie sprawę - mówiła głosem aż piskliwym ze złości - od jak dawna ojciec nie groził mi spuszczeniem lania?

- Niemożliwe!

Otworzyła usta do dalszej tyrady, lecz nagle brakło jej słów. Oto leżał przed nią spokojny niczym zdechły muł, podczas gdy ona dosłownie wychodziła z siebie. Dlaczego za każdym razem, gdy próbowała go przekonać do swoich racji, miała wrażenie, że na próżno się wysiła. Był śliski i nieuchwytny. Należał do typów, które wrzucone do rzeki, płyną pod prąd. Prawdę mówiąc, spieranie się z nim było nie tylko męczące, ale w dodatku przeważnie całkiem bezowocne. Z każdej kłótni wychodził radosny jak indyk w młodej kukurydzy, a ona czuła się tak przygnieciona, że mogłaby chyba przejść pod łóżkiem bez schyłania głowy. Ojciec zawsze mawiał: „Tibbie Ann, każde brykanie kończy się upadkiem”.

A jednak była gotowa przeładować broń i od nowa przystąpić do walki.

- Nie myśl, że jesteś taki mądry. Nie jesteś aż tak bystry, jak ci się wydaje, ty zarozumiały wichrzycielu! To, co zrobiłeś, było głupie i dziecinne.

- Nie zwalaj winy na mnie. To przez ciebie zachowuję się jak uczeń, ilekroć jesteś w pobliżu. Otoczyłaś się murem, na który nawet górską kozica by się nie wdrapała. Domyślam się, że zrobiłaś to umyślnie. Nie czekasz, żeby mężczyzna popełnił błąd albo cię rozczarował, prawda? Nie dajesz mu tej szansy. Wolisz go skazać bez rozstrzygnięcia o winie.

- To nieprawda.

- Ależ tak, prawda. Dokonujesz psychicznej egzekucji na każdym mężczyźnie, którego spotkasz, zanim jeszcze go poznasz. Czemu nie stawiasz tartaku tam, gdzie jest drewno, Tib? Złości cię nie to, że ojciec się dowiedział, jesteś wściekła z powodu skutków. Jesteś zmuszona spędzać czas w moim towarzystwie i to cię niepokoi jak diabli.

- Akurat! Ty mnie w ogóle nie obchodzisz. Po prostu cię nie lubię.

- Ale mnie pragniesz. - Wiedział, że trafił w samo sedno, więc postanowił dalej nie owijać w bawełnę. - Jestem zagrożeniem dla ciebie i dla tego małego, doskonałego świata, który sobie stworzyłaś na własny użytek.

- Nie próbuj mi mydlić oczu. Mówimy o twoich grzechach i wykroczeniach, nie o moich.

Posłał jej jeden z tych swoich leniwych uśmiechów, które tak ją rozbrajały.

- No, no, panno Tibbie, czyżbyś ty też miała na sumieniu jakieś grzechy? - Uniósł kpiąco brwi. - z popełniała wykroczenia? Z pewnością nie!

Zadarła dumnie głowę, starając się na niego nie patrzeć.

- Kpij sobie, ile chcesz. To mi tylko pomaga bardziej cię nie lubić.

Jak na człowieka, który ma w kościach więcej pęknięć niż upuszczona filiżanka, poruszał się zdumiewająco szybko. W jednej chwili leżał wyciągnięty na łożku, z kpiącym uśmiechem na ustach, a w następnej pociągnął ją na siebie, tak że stopy zawisły jej w powietrzu co najmniej sześć cali nad podłogą. Ręce miał wprawdzie nadal zabandażowane, lecz dość silne,

żeby ją unieruchomić, przyciskając mocno do siebie. Od kolan w górę całe ciało Tibbie spoczywało na Nicku; przez cienkie prześcieradło wyczuwała jego nagość. Jediną pociechę stanowił dla niej fakt, że nągła cielesna bliskość była dla niego najwyraźniej tak samo krępująca, jak dla niej.

Udało jej się oprzeć jedną ręką o łóżko i natychmiast próbowała to wykorzystać, żeby się od niego odepchnąć. Na próżno, bo Nick przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, przesuwając się tak, że jego usta znalazły się na wprost jej szyi.

Wiedział, że jest napięta jak struna, bo jej policzki przybrały ciemnoróżowy kolor. Wyczuwał sztywność w całym jej smukłym ciele.

- Kobieta, którą pokazujesz światu, jest taka silna, że nigdy bym nie przypuszczał, że ma takie kruche wnętrze.

- To, że się nie rzucam na ciebie z pięściami, wcale nie znaczy, że jestem krucha. A to, że jeszcze nie dostałeś po uszach, nie znaczy, że nie dostaniesz. Nie zapomniałam o twoich podstępach i niecnym uczynkach. Miałam rację, uznając cię za typa, któremu nie można ufać.

- Nie bądź cyniczna.

- Przekonałam się, jak nisko potrafisz upaść, żeby dostać to, czego chcesz. To ma świadczyć o moim cynizmie? Przez cały czas miałam w stosunku do ciebie pewne podejrzenia, a teraz jeszcze się w nich utwierdziłam. Jesteś przyjacielski jak natrętna mucha i tak samo mile widziany. Puść mnie, natychmiast, zanim ktoś tu wejdzie i nas zobaczy.

- Czemu aż tak cię złości, że twój ojciec się dowiedział, że nie chciałaś mi przynosić posiłków?

- Złości mnie nie to, że się dowiedział, tylko w jaki sposób się dowiedział. Ty mu powiedziałaś! Chciałaś się na mnie odegrać i ci się udało!

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. Jego ciepły oddech muskał jej szyję.

- Powiedziałem twojemu ojcu, to prawda. Ale nie z takiego powodu, jak sądzisz. Nie chciałem się na tobie odgrywać, Tib. Chciałem po prostu cię odzyskać.

Uniosła głowę na tyle, ile mogła, i popatrzyła mu w oczy.

- Mówisz bez sensu. Nigdy mnie nie miałeś. Jak więc mogłeś mnie odzyskać?

Leciutko dotknął wargami jej szyi.

- Nie widziałem cię od wielu dni, więc nietrudno się było domyślić, że specjalnie mnie unikasz. Wiedziałem, że nadal tak będzie, jeśli jakoś temu nie zaradzę. Jestem owinięty bandażami. Nie mogę się ruszyć z łóżka. Co innego mogłem zrobić? Po zakochanym mężczyźnie można się spodziewać różnych pomysłów. Może to akurat nie był ten najlepszy, Tib, ale nie miałem wyboru.

Tibbie już nie słuchała. Zakochany mężczyzna... Zakochany mężczyzna... Zakochany mężczyzna, dudniło jej w głowie. *Z pewnością rozumiał* to inaczej niż *ona*. Ledwie ją znał, wiec jak mógł być zakochany? Nadal miała zagubiony wyraz twarzy, kiedy dotknął jej policzka.

- Kocham cię, Tib. Z pewnością od dawna to podejrzewałaś. Podniosła rękę, żeby dotknąć jego czoła.

- Czyżbyś miał gorączkę?

- Tylko kiedy o tobie myślę. - Zaczął pieścić ustami wrażliwą skórę poniżej jej ucha. Jego ciepły oddech jakby przenikał w głąb jej ciała, rozgrzewał ją od środka. Powoli głaskał ją po włosach jednostajnym, delikatnym ruchem. Przyciskając ją do siebie, zmienił pozycję, tak że oboje leżeli teraz na boku, naprzeciw siebie. Wciąż oszołomiona jego wyznaniem, nawet nie drgnęła, kiedy dotknął ustami jej ust.

- Ach, Tibbie... Tibbie... Tibbie... krew mi się burzy na samą myśl o tobie.

Cóż, była w stanie to zrozumieć, ponieważ i jej krew zaczynała krążyć żywiej, podgrzana bliskością leżącego obok smukłego, silnego męskiego ciała. Szeptał jej do ucha czułe słowa, mówiące o jego miłości i o pożądaniu. Nie zdając sobie z tego sprawy, skwapliwie oddawała pocałunki, wtulała się w niego mocniej, z trudem wciągała do płuc powietrze. Nie zauważyła, że rozpiął jej stanik, dopóki nie zaczął całować nagich piersi. Wszędzie,

gdzie jej dotykał, w każdym miejscu, które całował, czuła żar rozchodzący się po całym ciele.

Nie powinna mu na to pozwalać... ale już od tak dawna nie znała miłego uścisku męskich ramion. A ramiona tego mężczyzny... Nagle brakło jej tchu. Nie była przygotowana na miękką pieśczętę jego ust, a już tym bardziej na odzew, jaki w niej budziła. Oślepiąca własnym pożądaniem, nie była w stanie stawić mu oporu. Nie! Odezwały się w niej resztki rozsądku. Pomyśl, Tibbie. Już raz cię to spotkało. Przecież pamiętasz. Czujesz na sobie tak samo miękkie usta, słuchałaś takich samych wyznań miłości. A potem on cię opuścił, a ty urodziłaś jego dziecko.

- Nie broń się przede mną, Tibbie. Proszę.

Otworzyła oczy i ujrziała Nicka. Nie Erica. Nicka. Twarz jej płonęła, serce waliło jak oszalałe. Opuściła wzrok na swoje odkryte piersi, nadal wilgotne od pieśczęty jego języka, zaróżowione po leciutkich ukłuciach jego wąsów. Szarpnęła rozchylone poły stanika i gorączkowo zaczęła je zapinać.

- Miałam rację, nie ufając ci - powiedziała drżącym głosem. Z ciężkim westchnieniem opuścił ręce wzdłuż boków.

- Może kierujesz swoją nieufność do niewłaściwej osoby. Bo odniosłem wrażenie, że ty także dałaś się ponieść namiętności.

- To prawda. Teraz już wiesz, dlaczego trzymałam się od ciebie z daleka. - Oczy zaszyły jej łzami. - Wiem, co się stanie, jeśli znowu się do ciebie zbliżę. Nie pozwolę na to. Możesz być pewien.

- Możesz próbować - rzekł miękko. - Ale nie sądzę, byś miała więcej szczęścia niż dzisiaj. - Pogładził ją po ramieniu. Zachnęła się, wciąż zajęta zapinaniem ubrania. - Czemu z takim uporem odgradzasz się ode mnie? Powiedziałem ci o moich uczuciach. Czy to cię nie uspokaja chociaż trochę?

- Nie zaznałam spokoju od dnia, kiedy cię spotkałam.

- Więc dlaczego się nie poddasz, Tib? Pozwól dojść do głosu swoim uczuciom. Tylko o tyle cię proszę. Nie musisz odwzajemniać mojej miłości, przynajmniej na razie.

- Nie należę do osób, które biorą, nie dając nic w zamian.

- Wiem - powiedział łagodnie, ujmując jej dłoń, drobną, zręczną, bezbronną, i podnosząc ją do ust. - Och, Tibbie, Tibbie. Co ja mam zrobić? Nie ma minuty, żebym o tobie nie myślał. Przez tyle nocy leżałem w tym łóżku, wiedząc, że śpisz gdzieś niedaleko, pod tym samym dachem. Czasami tak bardzo pragnąłem znaleźć się przy tobie, że byłem gotów się do ciebie czołgać. - Spojrzał na nią z lękiem, że te słowa mogły ją przestraszyć, ale miała minę trudną do rozszyfrowania. - Pragnę nie tylko twego ciała, Tibbie, jeśli tego się obawiasz. Pragnę ciebie całej, twojego towarzystwa, twojego śmiechu, nawet twojego uporu. - Widział, że jest na granicy płaczu. - Tibbie, ja nie jestem Erikiem. - Wykonała ruch, jakby chciała zejść z łóżka, ale ją przytrzymał. Oparł głowę na jej ramieniu i westchnął, a potem parsknął śmiechem, w którym nie było nawet cienia wesołości. - Może właśnie w tym rzecz. Nie jestem Erikiem i na tym polega cały problem.

- Nie - zaprzeczyła bez wahania. - Nie o to chodzi. Powiedziałam ci, że problem tkwi we mnie samej. Cały czas próbowałam ci to uświadomić, chciałam, żebyś zrozumiał. Wybrałeś niewłaściwą kobietę.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem sobie znaleźć kogoś innego? - Zgiął się wpół, jak rażony nagłym ciosem. Znow się zaśmiał smutnym, nienaturalnym śmiechem, na dźwięk którego aż zadrżała. - Obawiam się, że jest na to za późno, moja ukochana. Złapałaś na haczyk tę jedną rybę, której nie możesz wrzucić z powrotem do rzeki.

- Proszę cię, Nick. Jestem taka skołowana. Chcę. Nie chcę. Czuję, choć nie chcę czuć. Chcę, żebyś odszedł. Boję się, że mógłbyś odejść. - Rozpłakała się. - Chcę znowu kochać, ale tak się boję.

Pocałował ją w policzek.

- Wydaje mi się - powiedział wolno - że jesteś zakochana we wspomnieniu.

- To coś więcej.

- Ciekaw jestem. - Przez chwilę przyglądał się jej w mil-

czeniu. - Mógłbym pójść o zakład, że czułabyś się inaczej, gdyby ten człowiek... gdyby ten człowiek wrócił. Może jestem szalony, ale chyba bym chciał, żeby on wrócił.

Tibbie, zaskoczona, podniosła wzrok i napotkała jego poważne spojrzenie. Miała wrażenie, że te niebieskie oczy widzą wszystko, docierają do najgłębszych zakamarków jej duszy, nie pozwalają niczego ukryć. Jednak oprócz tej niezwykłej przenikliwości, była w nich pustka, którą mogła przyrównać wyłącznie do bólu. Promienie słońca, przenikające przez szpary w zasłonach, łagodziły bladość jego twarzy, niby kropelki wody osiadały na włosach i brwiach, uwydatniały dołek w brodzie i mocny, szeroki zarys szczęki. Czując narastające między nimi napięcie, miała ochotę natychmiast poderwać się z łóżka i uciekać.

Odwróciła wzrok, wstrząśnięta chłodnym dreszczem. Jak by się czuła, gdyby Eric rzeczywiście wrócił? Nie mógł wrócić, oczywiście, ale jak by to było? Przez tak długi czas była przekonana, że wciąż go kocha. Tylko czy teraz też była tego pewna?

Znów popatrzyła na Nicka. Ten mężczyzna, pomyślała, ten uśmiechnięty, miły mężczyzna ożywia we mnie uczucia, które dawno zepchnęłam w niepamięć, uznając, że nie będą mi więcej potrzebne. Miała poczucie, że jej własne ciało ją zdradziło, nie słuchając tego, co podpowiadał rozum. Czy tak naprawdę chodziło o Nicka, czy o pamięć o innym? Czy Nick był tylko iskrą rozpalającą wygasły ogień z przeszłości, który przez pewien czas strzelał wysoko, lecz szybko się wypalił, pozostawiając zimne pogorzeliśko?

Za którym z nich tak naprawdę tęskniła w samotni swej sypialni, w ciągnące się nieskończenie bezsenne noce? Czy wtulona w poduszkę płakała wtedy za Nickiem czy za Erikiem? Który z nich miał rozładować to dziwne napięcie w dole brzucha, graniczące z bólem, które czasami budziło ją w środku nocy? Kiedyś to był Eric. Ale jeśli nadal to miał być on, dlaczego zamiast płowych włosów i jasnej twarzy Erica widziała w snach ciemną czuprynę i ostre rysy Nicholas Mackinnona? Zacisnęła powieki, starając się powstrzymać strumień łez.

- Mój biedny mały aniołek - powiedziała cicho Nick. - Biedny mały aniołek. Uwięziony. Zziębnięty. I taki piękny. - Ucałował jej palce. - Zastanawiam się, ile czasu musi upłynąć. Ile czasu minie, nim stanie się wolny?

- Proszę - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Wołałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy.

- Wołałabyś? Więc przykro mi, że cię rozczarowuję, bo chciałem spełniać wszystkie potrzeby twojego serca. Ale tak wiele chciałem ci powiedzieć, tak wiele chciałem z tobą przeżyć. - Przerwał, jakby się nad czymś zamyślił, po czym westchnął i mówił dalej: - Jedno z moich marzeń dziś się spełniło. - Uniosła głowę i patrzyła na niego, zastanawiając się, do czego zmierza, próbując sobie wyobrazić, jakie mógł mieć marzenia. Odpowiedź była dla niej wstrząsem. - Masz piękne ciało, Tibbie... a twoje piersi... - Trzymał jej rękę w zabandażowanych dłoniach. - Nie odwracaj się ode mnie. Zamykanie oczu i zatykanie uszu nie powstrzyma tego, co muszę ci powiedzieć. Marzyłem, żeby cię dotykać tak jak dzisiaj, tylko więcej... w innych miejscach... więcej razy. Wyobrażałem sobie, jak by to było, gdybyś weszła do mojego pokoju i gdyby oczy ci rozbłysły na mój widok. Noc po nocy myślałem, jakby to było, gdybyś mnie kochała, gdybyś przychodziła do mnie z własnej nieprzymuszonej woli. A ja bym patrzył, jak się rozbierasz i rozpuszczasz włosy, jak kładziesz się przy mnie naga, bez wstydu mimo lampy palącej się przy łóżku, gotowa przyjąć mnie w siebie.

Cały świat jakby rozpuścił się w ciszy, codzienne odgłosy dnia rozplynęły się w powietrzu. W patrzących na nią oczach było tyle otwartej szczerości, że nie potrafiła odwrócić wzroku. Przez chwilę trwali w bezruchu, wpatrzeni w siebie jak zaczarowani.

- Wiem, przez co przeszłaś, co musiałaś znieść. Czasami miałbym ochotę zabić tego sukinsyna, który ci to zrobił, a kiedy indziej czuję jedynie przytłaczający smutek, że zostałem skazany na cierpienie za cudzą zbrodnię. Nie mogę odwrócić tego, co cię spotkało, Tib. Nie mogę sprawić, byś zapomniała. Mogę tylko obiecać, że się postaram.

12

Nick patrzył w wielkie złociste oczy, które mówiły tak wiele. Mówiły mu nawet to, czego Tibbie sama o sobie nie wiedziała. Czy właśnie te piękne bursztynowe oczy zwróciły jego uwagę w tym pierwszym momencie, kiedy wpadł na nią na ulicy i walczył, próbując uspokoić spłoszonego konia? Zawsze był w nich cień smutku, ale tym razem pojawił się nowy, bolesny wyraz, który z pewnością miał swoje źródło w osobie Erica. Co dziwne, jej twarz nie była smutna, tylko oczy, jakby wiedziały coś, czego ona nie wie.

Miał ochotę znów zagarnąć ją w ramiona. Pragnął ją okrywać pocałunkami, za wszelką cenę przepędzić ten smutek. Coś go jednak powstrzymywało. Jak na jeden dzień, dał jej wystarczająco dużo do myślenia. Miał przed sobą dość czasu. Westchnął, pocierając dłonią zmarszczone czoło. Niełatwo było się do niej zalecać. Stapał po kruchym lodzie i każdy kolejny krok mógł go zaprowadzić dalej albo skończyć się katastrofą.

- Czasami myślę o tobie i nie mogę cię zrozumieć - powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku. - To, co widzę na twojej twarzy, nie pasuje do słów, które wychodzą z twoich ust.

- A jak wygląda moja twarz?

- Jest mroczna i zamyślona, jak u Lucyfera.

- Przecież Lucyfer był aniołem światła.

- Światło można zapalać i gasić. Był niczym więcej, jak tylko dumnym oszustem, który się spustoszenie. - Mówiłaby dalej, lecz na parapecie przysiadła hałaśliwa sójka, rozpraszając jej uwagę.

- Tibbie... - Zapomniał, co chciał powiedzieć, bo kiedy znów na niego spoglądała, była śmiertelnie blada. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć prześcieradła na jego biodrze.

- Krew - powiedziała takim tonem, jakby nigdy wcześniej nie widziała krwi. Zaraz potem, jakby dopiero w tym momencie dotarło do niej, co widzi, stwierdziła: - Ty krwawisz. - Cofnęła szybko rękę od czerwonej plamy, rozlewającej się coraz szerzej po sztywnym białym prześcieradle.

- To nic takiego - próbował ją uspokoić. - Nic nie czuję. Po tylu złamanych kościach czymże jest taki drobiazg jak krwawiące serce? - dodał z gorzkim uśmiechem.

Uniosła podejrzliwie brwi.

- Nie wydaje ci się, że to trochę za nisko, jak na serce?
- Cała krew płynie do serca.
- Tak jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu?
- Właśnie.

Podniosła się, a na jej ślicznej twarzy pojawił się dobrze mu znany wyraz profesjonalnej troski o chorego. Zrozumiał, że na razie koniec z uwodzeniem. Poczul się zmęczony, wypalony w środku. Zamknął oczy, wchodząc w rolę posłusznego pacjenta.

Jednak to nie serce Nicka krwawiło, co Tibbie stwierdziła z tym większą ulgą, że Coll znów wyjechał tego ranka, tym razem udając się do Victorii, gdzie jedyne go lekarza w mieście kopnął w głowę własny koń. Obowiązek właściwego zadbania o pacjentów spadł na barki Tibbie. A do tych pacjentów zaliczał się również Nicholas Mackinnon.

Przecinając opatrunek na udzie, obawiała się najgorszego. Doskonale pamiętała dzień wypadku Nicka i na zawsze utkwiał jej w pamięci widok srebrzystego odłamka kości wystającego z ciała, kiedy jej ojciec rozciął nogawkę spodni.

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki nie usłyszała własnego westchnienia ulgi, gdy już zbadała ranę.

- To twoje wiercenie się na łożku i branie kobiet na kolana jak głupiec... - Uciekła wzrokiem, widząc rozbawienie na twarzy Nicka. - Kość jest na swoim miejscu - oznajmiła. - Brzegi rany puściły, ale krwawienie jest niegroźne. - Jeszcze raz dokładnie obejrzała ranę. - Będę musiała ponownie ją zszyć, ale zrobię to tylko wtedy, jeśli obiecasz grzecznie się zachowywać i trzymać ręce przy sobie.

- Nie będzie więcej aniołów w moim łożku?

Nie dając się zbić z tropu, nadal strofowała go za niestosowne poczynania, ale w głębi duszy wiedziała, że sama ponosi część winy. Odepchnęła go przecież, próbując się wyswobodzić. Wprawdzie nic nie powiedział, ale wiedziała, że rana prawdopodobnie otworzyła się raczej na skutek jej reakcji niż jego ruchu. Tak czy inaczej, nie miał prawa jej chwytać i wciągać do łożka. Jednak szykując narzędzia do założenia szwów, pomyślała w duchu, że całkiem miło jest się znaleźć w męskich ramionach, chociaż na krótką chwilę.

Ujęła igłę z nicią, ale ręce jej drżały i bała się, że zada mu więcej bólu, niż to konieczne. Rzuciła szybkie spojrzenie na jego twarz; jeśli nawet zauważył drżenie, nie dał tego po sobie poznać. Biorąc głęboki wdech, ostrzegła:

- Będzie bolało.

- Nic dziwnego, kiedy jestem przy tobie - powiedział z zaczepnym uśmiechem.

Wiedziała, że w ten sposób chce jej pomóc się rozluźnić. Poskutkowało.

Błyskawicznie uporała się z szyciem i założeniem świeżego opatrunku. Niewielka dawka opium wyraźnie zaczynała działać, sądząc po opadających powiekach Nicka. Wkrótce potem zasnął, oddychając równo i powoli. Przez chwilę stała przy łożku, spoglądając na jego spokojne uśpione rysy. Porównała go do Lucyfera i nawet to przyjął bez urazy. Uśmiechnęła się, przykrywając go lekkim pledem.

Kochał ją. Tak przynajmniej twierdził. Ale Eric mówił to samo. Wiedziała, że niektórzy mężczyźni nie szczerzą takich wyznań każdej kobiecie, z którą dzielą łóżko. Zgarnęła brudną pościel i odniosła do kosza, po czym wróciła do stolika, żeby sprzątnąć butelkę z opium, nici i nożyczki. Postąpiła chwilę przy łóżku, przyglądając się śpiącemu. Słońce padało mu na twarz, więc podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Jednak nawet w półmroku dokładnie widziała jego rysy.

Wyciągnęła rękę, by odgarnąć mu z czoła niesforny kosmyk, tak jak wiele razy odgarniała włosy z czoła Beth. Przyszło jej na myśl, że musiał być ukochanym dzieckiem jakiejś kobiety. Próbowwała go sobie wyobrazić w tej roli. Niektóre kobiety przechodzą przez straszliwe męki porodu, żeby wydać na świat piękne dziecko, tak jak jej się to zdarzyło z Beth. Potem dorastał, rozpieszczany, ukochany... śliczny chłopiec, równocześnie nieznośny i słodki, oczko w głowie matki. Ta kobieta teraz nie żyła, sądząc z tego, co jej powiedział. Tibbie pogłaskała go jeszcze raz, zastanawiając się, czy jego matka też tak robiła.

Z bolesnym jękiem rozpaczony wybiegła z pokoju. Znalazłszy się w swojej sypialni, długo stała przed lustrem, wpatrzona w swoje odbicie, ganiąc się za grzeszne myśli i przywołując do porządku. Ale żadna, nawet najsurowsza reprimenda nie pozwoliła jej zapomnieć o wydarzeniach tego ranka. Jak mogła sobie pozwolić na powtórzenie błędu? Po tym wszystkim, co przeszła, jak mogła sobie pozwalać na uczucia?

Ale stało się. Choć sama przed sobą nie chciała się przyznać, w głębi duszy miała poczucie, że przekroczyła pewną granicę. Stała przed lustrem, przyglądając się sobie, myśląc o córce i swoim życiu, i o mężczyźnie, który niespodziewanie w nie wkroczył.

Opuściła wzrok, ale nie zobaczyła nic szczególnego, jedynie czubki butów wystające spod ubrania, fałdy spódnicy, wąską talię. Nagle odniosła wrażenie, że suknia staje się zbyt ciasna, stanik zaczyna ją uwierać, a poniżej talii wyłania się okrągły brzuch. Nie mogła oderwać oczu od lustra. Zobaczyła siebie

młodsza, pełniejsza, zmęczona. Włosy miała schludnie splecione w warkocz, drobne loczki na karku wilgotne od potu, jako że panowały letnie upały. Opuściła wzrok na wielką wypukłość brzucha, w którym nosiła Bethany. A potem widziała swój poród, łóżko mokre od krwi i potu, zmartwioną twarz ojca, ból, po którym nastąpiła błogosławiona utrata świadomości. Pamięć prowadziła ją dalej, do tego, co nastąpiło - wymowne spojrzenia znajomych, pogarda sąsiadów, szeptu towarzyszące jej, kiedy szła wraz z rodziną przez kościół, długi okres odosobnienia.

Zdjęta paniką, nie mogła oderwać oczu od lustra, dopóki obraz nie zbladł, nie stał się rozmazany. Zamrugawszy, ujrzała siebie taką, jaka była obecnie, szczupłą, starszą, bardziej zrównoważoną. A w tle za nią, wyłaniając się z ciemności, stał Nicholas Mackinnon, trzymający światło.

- Nie - szepnęła, zakrywając usta wierzchem dłoni. - Nie - powtórzyła drżącymi wargami. - Dobry Boże... proszę... nie. - Odbicie Nicholasa w lustrze stawało się coraz większe, w miarę jak się zbliżał. Im był bliżej, tym jaśniejsze wydawało się światło w jego ręce i tym bardziej zaokrąglały się jej kształty. Nie przestawał się zbliżać, aż stanął tuż za nią, a światło ją oślepiło. Patrzyła z poszarzała twarzą, jak kładzie jej dłoń na ramieniu. Opuściła wzrok na sterczący brzuch. Porwała z toaletki szczotkę do włosów i cisnęła w lustrzaną taflę.

Brzęk tłuczonego szkła wyrwał ją z odrętwienia. Stuknęły otwierane drzwi i nim się zdążyła odwrócić, do pokoju wpadły Mairi z matką. Tibbie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz pokój nagle zawirował jej przed oczyma. Zemdlona upadła na podłogę, na odłamki rozbitego lustra, błyszczące odbitym słońcem.

Ocknęła się w swoim łóżku, przy zaciągniętych zasłonach i ściszonych głosach matki i siostry. Leżała przez dłuższą chwilę w pełni przytomna. Bolało ją serce. Było jej zimno. Ale jedno i drugie nie miało znaczenia. Miała w głowie jasność, po raz pierwszy od czasu, gdy Nicholas Mackinnon pojawił się, żeby zburzyć porządek i spokój w jej życiu.

Jedna z postaci wychynęła z cienia i podeszła do łóżka.

- Obudziła się - powiedziała Mairi, ujmując jej chłodną rękę. - Jak się czujesz? - spytała z troską. - Napędziłaś nam strachu. Co się stało?

- Nie teraz, Mairi - włączyła się Effie, także podchodząc bliżej. - Biegnij do babci i pomóż jej w cerowaniu. Ja posiedzę tutaj.

Tibbie usłyszała skrzywienie krzesła przysuwanego do łóżka. Effie usiadła i w milczeniu trzymała córkę za rękę. Patrząc w sufit, Tibbie pomyślała, że w dłoni matki drzemie siła dająca pociechę i odwagę, siła zrozumienia. Czuła to, tak samo jak ciepło płynące od matczynej ręki, rozgrzewające jej dłoń.

- Och, mamó - westchnęła, obracając się na bok i dając upust łzom, które zbyt długo wzbierały, i kiedy już popłynęły, zdawały się nie mieć końca.

Effie wolną ręką pogłaskała córkę po głowie.

- Moja biedna mała owieczko - powiedziała czule. - Chętnie zdjęłabym z ciebie ten ciężar, gdybym tylko mogła. Jesteś jeszcze taka młoda, a tyle wycierpiałaś.

- Nie wiem, co robić...

- Wiem. Niektórym z nas tak trudno znaleźć odpowiedź, tak wiele ich to kosztuje. Zawsze byłaś dobrym człowiekiem, Tibbie. Masz szlachetne serce. Nie wierzę, żeby Bóg zaplanował dla ciebie samo cierpienie.

- Wydaje mi się, że Bóg w ogóle o mnie zapomniał.

- Nie, choć czasem mam wrażenie, że byłoby ci znacznie łatwiej, gdyby rzeczywiście zapomniał. - Effie wstała, otulając Tibbie kocem. - Może prześpij się trochę. Ostatnio masz na głowie za dużo obowiązków. Dopilnuję, żeby Beth poćwiczyła na fortepianie.

- Ale klinika...

- Nie ma tam nikogo poza starym Thaddeusem Carlislem, który domaga się odrobiny uwagi i szklaneczki bourbona. Mairi może się tym zająć, a ty przez chwilę odpocznij.

Tibbie pokiwała głową, zamykając oczy. Natychmiast pod powiekami ukazała się twarz Nicholasa Mackinnona. Wpatrywał

się w nią tymi swoimi niebieskimi oczyma, w których była szczerść i pragnienie, a nie było skruchy ani wstydu.

Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale kiedy się obudziła, za oknem było już ciemno, a przy jej łóżku ktoś zapalił lampę. Rozproszone żółtawe światło napełniało pokój cieniami. Gdzieś w głębi domu skrzypnęły otwierane drzwi, rozlegały się jakieś głosy, a potem usłyszała śmiech Beth. Mała pewnie jej szukała. Tibbie wstała z łóżka i podeszła do toaletki, gdzie doprowadziła włosy do porządku i szczypiąc się w policzki, nadała im nieco żywszy kolor.

- Wyglądasz znacznie lepiej - zauważyła matka, gdy jakiś czas później Tibbie zjawiła się w kuchni.

- Dla mnie wygląda tak samo - stwierdziła babcia, zerkając na nią przelotnie.

Tibbie popatrzyła na babkę, która jadła pokruszoną bułkę zalaną mlekiem. Staruszka przestała jeść, widząc, że wnuczka ją obserwuje.

- Słyszałam, jak Coll mówił, że Slap Johnson podupadł na zdrowiu, a jego siostra Ruby też czuje się gorzej niż zwykle. Coś musi wisieć w powietrzu. Ty też jesteś chora?

- Nie - uspokoiła ją Tibbie. - Jestem tylko trochę zmęczona.

- Założę się, że ci niedobrze po tej brukselce. Kiedyś lubiłam brukselkę, ale teraz mi szkodzi. Ile razy ją zjem, to mam wzdęcia i Coll musi mi dawać jakieś lekarstwo na wiatry.

- Czuję się dobrze, babciu. Naprawdę.

- Lepiej więcej nie tykaj tej przeklętej brukselki, słyszysz?

- Słyszę, babciu. - Tibbie rozejrzała się po kuchni. - Gdzie jest Beth? Zdawało mi się, że ją słyszałam.

- Dobrze słyszałaś. Poszły z Mairi na podwórze zrobić Fortunie cotygodniową kąpiel.

Tibbie z westchnieniem wzięła do ręki miedziany sagan.

- Wyobrażam sobie, w jakim stanie wróci. Lepiej nastawię wodę, bo jej też będzie potrzebna kąpiel.

- Ja to zrobię - powiedziała Effie, biorąc od niej naczynie. - Może weźmiesz sobie coś do jedzenia.

- Nie jestem głodna. Będę w salonie, gdyby ktoś mnie potrzebował.

Parę minut potem Tibbie siedziała przy fortepianie, z zamkniętymi oczyma, szybko i wdzięcznie przebiegając palcami po klawiszach. Wszystko, co zdarzyło jej się tego dnia, wprawiło ją w melancholijny nastrój. Raz i drugi próbowała wydobyć z instrumentu jakąś żywszą melodię, lecz gdy tylko przestawała się pilnować, podświadomie wracała do smutnych tonów.

O wpół do dziewiątej wstała od fortepianu, wzięła lampę i udała się do przytulnie ciepłej kuchni, gdzie Beth już ściągała z siebie ubranie.

- Mam nadzieję, że Fortuna wygląda czyściej od ciebie - zwróciła się do córki.

- Och, mamo, powinnaś ją zobaczyć. Wygląda tak ładnie i pachnie całkiem miło. Zawiazałyśmy jej nawet kokardę na szyi. Jest najbardziej najśliczniejszą świnką na świecie.

- Gdyby jeszcze zechciała taka pozostać... - Tibbie wzięła do ręki kromkę razowego chleba, usiadła przy stole i zaczęła jeść, przyglądając się, jak córka wchodzi do balii.

- Chyba czas umyć jej włosy, nie sądzisz? - spytała Effie, podwijając rękawy.

- Niecee! - zaprotestowała Beth.

- Najwyższy czas - powiedziała Tibbie, karcąc córkę spojrzeniem.

Beth przystąpiła do rytuału kąpieli. Namydliwszy obficie gąbkę, przetarła ramiona co najmniej osiem razy, przy czym raz dotarła aż do barków. Ani razu jednak nawet się nie zbliżyła do twarzy i uszu. Widząc, że matka na nią patrzy, posłała jej promienny uśmiech. Zdarzało się, że kiedy obserwowała córkę tak jak teraz, stawał jej przed oczyma Eric. Można się było tego spodziewać, bo w istocie Beth była bardziej podobna do niego niż do Tibbie.

Ostatnio wiele myślała o Ericu, więcej niż przez cały ten czas, odkąd ją opuścił. Po namyśle doszła do wniosku, że to za sprawą Nicholasa, mężczyzny, który od nowa rozpałił w niej pragnienia

wygasłe wraz z odejściem Erica. Próbowwała sobie przypomnieć rysy ojca Beth, ale wciąż nakładała się na nie twarz Nicka. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem omal znów nie dała się uwieść. Z drugiej strony jednak, co mogła zrobić, żeby to zmienić? Nie była już niewinną dziewczyną, więc choćby dlatego powinna się mieć na baczności. Czasami odnosiła wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Po pierwsze, Nick, nie dający jej spokoju, wykorzystujący każdą okazję, kiedy się znalazła blisko niego. Do tego ojciec, nalegający, by pielęgnowała go pod jego nieobecność.

Chciała, żeby Nick jak najszybciej wyzdrowiał i wyniósł się z jej domu. Wszystko szło dobrze, póki nie wdarł się siłą w jej życie. A teraz doszło do tego, że zajął jedyne miejsce, gdzie znajdowała pokrzepienie - klinikę. Od czasu jego wypadku coraz trudniej przychodziło jej winić go za niepokój, który zagościł w jej sercu. Bo nie za wszystko on ponosił winę. Och, może na początku tak, ale z biegiem czasu zaczęło jej na nim zależeć, więc była tak samo odpowiedzialna za to, co się dzieje. Kiedy to się stało? Kiedy zaczęło jej na nim zależeć?

Nie potrafiła dokładnie określić momentu. Wszystko odbywało się stopniowo, uczucia po prostu wymknęły jej się spod kontroli. Nick był taki pogodny, łatwy w obejściu, naturalny. Pod wieloma względami podobny do niej. Nie sposób było go nie lubić, ale teraz sprawy zaszły znacznie dalej. Zależało jej na nim. Bardzo. Ale czy to się równało miłości? Nie wydawało jej się to możliwe. Kochała przecież Erica, a jednak od pewnego czasu była też zakochana w Nicku.

Godzinę później Tibbie położyła Beth do łóżka i przeczytała jej bajkę do snu. Nie mając nic lepszego do roboty, uznała, że czas stawić czoło temu, co nieuniknione. Nie miała innego wyjścia, musiała natychmiast się zobaczyć z Nickiem. Fatalnie się stało, że spadł z tego rusztowania. I źle się złożyło, że ojciec wyjechał, zostawiając go pod jej opieką. Świeżo odkryte uczucie ją przerażało, bo nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Nie mogła powiedzieć o tym Nickowi, przynajmniej jeszcze nie

teraz, bo nie miała pojęcia, jakie są jego zamiary. Powiedział, że ją kocha, ale to mogło oznaczać wiele rzeczy. Następny ruch należał do niego.

Bała się spotkania z nim, bała się, że natychmiast przejrzy ją na wylot. Postanowiła niczego nie wyjawiać i zachować najwyższą ostrożność.

Jeśli wcześniej Nick uważał, że Tibbie jest nieczuła na jego zaloty, to jej zachowanie przez następne dwa tygodnie było wręcz nieznośne. Codziennie wchodziła do jego pokoju, tryskając zdrowiem i urodą, która z każdym dniem wydawała mu się coraz bardziej promienna. Na jej widok niezmiennie miał ochotę wyskoczyć z łóżka. Tymczasem musiał w nim pozostać, co wprawiało go w nastrój tak paskudny, że sam siebie nie mógł ścierpieć. Z chmurą na czole przyglądał się, jak Tibbie krąży po pokoju, opowiadając radosnym tonem o tym, co się dzieje w klinice, o najświeższych wybrykach niesfornej świni czy zabawnych powiedzonkach babci Grace. Zawsze miła, zawsze serdeczna, zawsze obojętna. Ta obojętność powoli doprowadzała go do szaleństwa.

- Dzień dobry, panie Mackinnon - witała go zwykle. To, że nagle znów zaczęła się do niego zwracać po nazwisku, też nie poprawiało mu humoru. Ale nie dał się nabrać - umyślnie go prowokowała, sądząc, że poirytowany nie będzie miał miłosnych zapędów. Do pewnego stopnia rzeczywiście tak było. Noc po nocy, leżąc bezsennie, rozmyślał o tym, co chciałby z nią robić, a rano widział ją rozszczebiotaną i niedostępną, a przy tym tak niesamowicie ponętną, że równocześnie miał ochotę się z nią kochać i ją udusić.

Wydawała mu się uosobieniem słodyczy i dobroci, a teraz doszedł do wniosku, że jeszcze nie spotkał w życiu tak przewrotnej, wyniosłej i złośliwej kobiety. Gdyby tylko mógł wstać z tego przeklętego łóżka...

Przeklinając swoją głupotę, która doprowadziła do wypadku i połamania nóg, wyczekiwał czasu, kiedy wreszcie będzie

w stanie się poruszać. Tego dnia czuł się gorzej niż kiedykolwiek, więc niemal zazgrzytał zębami, kiedy drzwi się otwarły i Tibbie tanecznym krokiem weszła do pokoju, pachnąca jak słoneczny poranek, z zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczyma, i odezwała się do niego tak, jakby był domowym zwierzątkiem lub kompletnym idiotą.

- Mamy dziś piękny dzień, więc chyba powinniśmy otworzyć okna. - Rozsunęła zasłony i pokój zalała struga ostrego słonecznego światła. - Och, panie Mackinnon, widzę na pańskiej twarzy ten sam wyraz niezadowolenia co wczoraj. Jeszcze się panu nie znudził?

- Nie, przywiązałem się do niego! - warknął w odpowiedzi. Owszem, był znudzony, ale bynajmniej nie wyrazem swojej twarzy.

- Może pana ogole?

- Nie.

- A co pan powie na miłą kąpiel przy użyciu gąbki.

- Nie.

- Może chciałby pan, żebym przesunęła łóżko bliżej okna, żeby pan mógł sobie wyglądać na zewnątrz?

- Niekoniecznie.

Podeszła do łóżka i wyrwała mu poduszkę, nie siląc się na przeprosiny, kiedy uderzył głową o wezgłowie. Spulchniła poduszkę energicznymi uderzeniami.

- Mogłabym zmienić pościel, jeśli pan chce.

- Szkoda fatygi.

Rzuciła okiem na stolik przy łóżku.

- Skończył pan czytać książki, które panu przyniosłam?

- Nawet na nie nie spojrzałem.

- To miło - mruknęła, wygładzając prześcieradło i naciągając koc.

Nick chwycił ją za rękę i pociągnął. Upadła na niego i aż krzyknęła, zaskoczona. Wstrzymała oddech, niepewna, czy chce ją uwieść, czy zamordować. Wpatrywał się nią tak intensywnie, że nawet gdyby do pokoju weszło stado kóz, pewnie by tego nie zauważył. Ściskając jej ramię aż do bólu, powiedział:

- Gdybym miał choć jedną zdrową nogę, pożałowałabyś swojego zachowania przez ostatnie kilka dni. Mam wielką ochotę dać ci za nie klapsa.

Z trudem powstrzymała uśmiech.

- Nie odważyłbyś się!

- Tylko dlatego, że nie mam siły przerzucić cię przez kolano, ale nie zawsze będę przykuty do łóżka. Masz go u mnie jak w banku, ślicznotko, a zapewniam cię, że zawsze spłacam swoje długi.

- Jesteś brutalem.

- Zapewne.

- I okrutnikiem!

- To też.

- Puść mnie, bo inaczej...

- Cicho bądź, Tibbie.

- Niech ci się nie zdaje, że możesz...

Nick nie pozwolił jej dokończyć.

- Zechciej zwrócić uwagę, skarbie, że leżysz na mnie w moim łóżku. Ja jestem panem sytuacji, a ty nie masz nic do powiedzenia.

- Co masz zamiar zrobić?

- Coś, co powinienem był zrobić już dawno. Mam zamiar zamykać pocałunkiem twoje śliczne usteczka, ilekroć je otworzysz.

- Chyba zapominasz, że jesteś gościem w moim domu i...

- A ty chyba zapominasz, co powiedziałem. - Była tak zaskoczona, że kiedy przycisnął ją do siebie mocniej, tylko pisnęła. Powtarzała sobie w duchu, że musi mu stawić opór, ale jakoś nie mogła wykrzesać z siebie choćby cienia protestu. Ich oczy spotkały się na moment, a zaraz potem poczuła napór jego ust, spragnionych, natarczywych, gorących. Nicholas nie dbał już o to, czy ją przestraszy swoją gwałtowną namiętnością. Droczyła się z nim przez długie tygodnie, aż w końcu miarka się przebrała. Gdyby musiał z niej zedrzeć majtki, żeby zwrócić jej uwagę, był gotów posunąć się nawet tak daleko.

Nie wyobrażał sobie jednak, że tak trudno mu przyjdzie

zachować powściągliwość. Od tak dawna o niej myślał i marzył, że kiedy poczuł ją na sobie, jego ciało domagało się spełnienia... natychmiast.

Był tak bardzo skupiony na tym, by nie dać się ponieść żądz, że nie do końca panował nad własnymi rękami. Nie wiadomo kiedy wyciągnął jej z włosów spinki i ułożył ją na sobie tak, że jego kolana znalazły się między jej nogami.

W przeciwieństwie do Nicka, Tibbie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, chociaż i jej trochę mąciło się w głowie. Co gorsza, zaczął ją całować bez opamiętania, używając wszelkich możliwych środków i sposobów - rąk, ust, języka, czule szeptanych słów i umiejętnie stosowanego nacisku, żeby zmiękczyć jej opór. Och, był skończonym łobuzem, ale jakże pociągającym.

Nawet jej się nie śniło, że mężczyzna może posiadać aż tak wielką siłę przyciągania, że kobieta taka jak ona, wiedząca to, co wiedziała, i mająca świadomość, do czego to może doprowadzić, nie potrafi mu się przeciwstawić. A przecież powinna, za wszelką cenę.

Skąd się wzięła jego dłoń pod jej bielizną? O, Boże!

- Nicholas...

- Pragnąłem cię od tak dawna, a teraz, kiedy tu jesteś, nie mam nawet jednej sprawnej nogi, na której mógłbym stanąć - powiedział, owiewając jej ucho gorącym oddechem. - Cóż za pech - dodał z rosnącą irytacją.

Poruszyła się, zdezorientowana.

- Spokojnie - szepnął.

- Co ty robisz?

- Pozwól mi cię dotknąć. Zobacysz.

Wstrzymała oddech, odchylając głowę do tyłu. Z jej ust wydobyło się ciche westchnienie. Wprawdzie miał złamanych kilka kości i niesprawne nogi, ale z jego rękami wszystko było w najlepszym porządku, o czym skwapliwie starał się ją przekonać.

Byli tak pochłonięci sobą nawzajem, że żadne z nich nie

usłyszało stuku otwieranych drzwi. Za to oboje usłyszeli zdumiony okrzyk. Równocześnie spojrzeli w stronę drzwi i ujrzeli w nich głowę Mairi.

- Mama kazała spytać, czy miałabyś ochotę pójść z nami do sadu. Jest piękna pogoda, więc uznała, że przyda nam się trochę ruchu... - Mairi urwała, uśmiechając się szeroko. - Ale wygląda na to, że oboje macie ruchu pod dostatkiem.

Nim Tibbie zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Mairi zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

- O, nie - jęknęła Tibbie. - Jestem skończona.

- Nie wydaje mi się, żeby było aż tak źle.

- Nie znasz mojej siostry - powiedziała z naciskiem, zrywając się z łóżka i czmychając z pokoju.

Mairi czekała na nią przy końcu holu. Nie dając Tibbie odezwać się choć słowem, wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła.

- Dokąd idziemy?

- Na spacer. - Kiedy już znalazły się na zewnątrz, Mairi rozkazała: - Teraz mów.

Były w połowie drogi do miasta, nim Tibbie skończyła opowiadać swą długą historię, bez pomijania żadnego szczegółu.

- Myślisz, że oszalałam? - spytała z niepokojem.

W odpowiedzi Mairi wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli tak, to też chciałabym oszaleć. Jesteś zakochana, Tib. Ciesz się z tego.

- Jak mogę się cieszyć?

Mairi przyjrzała się siostrze z niedowierzaniem.

- Mężczyzna, który wygląda tak jak Nicholas Mackinnon, wyznaje ci miłość, a ty nie wiesz, jak możesz się tym cieszyć? Chyba rzeczywiście jesteś szalona.

- Wiedziałam, że to powiesz.

Przeszły przez płot. Mairi wspomniała coś o złośliwym byku pana Harkingtona, ale Tibbie puściła to mimo uszu i uparcie zmierzała przed siebie.

- Tibbie! - zawołała Mairi, doganiając ją po kilku krokach -

mam nadzieję, że nie będziesz na tyle głupia, by dalej do-
trzymywać wierności Ericowi. Zastanów się, Tib. Przypomnij
sobie, przez co przeszłaś. Rozczarowanie, odrzucenie, ból, więcej,
niż większość ludzi doświadcza w całym życiu. Jednak prze-
trwałaś to wszystko. Nie było łatwo, ale ci się udało. I po co?
Żeby zwiędnąć w staropanieństwie? Masz szansę na szczęście.
Chwytaj ją obiema rękami i trzymaj się jej mocno.

Zmęczony, wychudły Coll Buchanan wrócił następnego
ranka. Zbadawszy dokładnie Nicka, usunął szynę z jego prawej
nogi i oświadczył, że może zacząć próby chodzenia o kulach.

- Będzie pan zdziwiony tym, jaki jest słaby i jak szybko się
męczy. Przejdzie przez pokój, żeby się załatwić, wyczerpie pana
do ostatniego tchu. Ale za każdym następnym razem będzie lepiej.

Skończywszy z Nickiem, zaszył się w swoim gabinecie przy
jakiejś papierkowej robocie. Nie pojawił się na kolacji, więc
Tibbie poszła go szukać i znalazła śpiącego przy biurku. Zawołała
na ojca, ale nawet nie drgnął, więc podeszła do niego i dotknęła
jego czoła. Było rozpalone od gorączki. Tibbie obawiała się
najgorszego - że ojciec zapadł na żółtą febrę, jako że był
wystawiony na działanie tego groźnego wirusa.

Na szczęście to nie była żółta febra. Coll ocknął się, kiedy
Effie z córkami położyły go do łóżka. Największy strach minął.
Nie zmieniało to faktu, że był chory, a po dwóch dniach wysokiej
gorączki okazało się, że ma ospę wietrzną.

- Ospa wietrzna! - nie mogła wyjść ze zdumienia Effie. -
Tyle lat leczył dzieci z ospą wietrzną i nigdy się od nich nie zaraził.

- Cóż, ma ją teraz - powiedziała Tibbie - i to w najcięższej
postaci, jaką w życiu widziałam. W dodatku tata jest najgorszym
pacjentem, z jakim miałam do czynienia.

Z powodu choroby ojca Tibbie miała dwa razy więcej pracy
niż zwykle, jako że musiała zajmować się nim i całą kliniką.
Nie widywała Nicka nie dlatego, że specjalnie go unikała, lecz
ponieważ jej czas i umiejętności były niezbędne gdzie indziej.

Mairi informowała ją na bieżąco o jego postępach w powrocie do zdrowia, co w zaistniałej sytuacji zupełnie jej wystarczało. Kondycja fizyczna Nicka przedstawiała się nieźle, w przeciwieństwie do jego nastroju. Czwartego dnia po tym, jak Coll zachorował, Mairi oświadczyła, że rezygnuje.

- Co to znaczy rezygnujesz? - spytała Tibbie.

- Po prostu rezygnuję. Ten człowiek jest tak nieznośny, że sam ze sobą nie może wytrzymać! Bez przerwy się wydziera i rzuca czym popadnie. Wczoraj cisnął mydłem, dzisiaj szklanką. Wciąż pyta o ciebie i wścieka się za każdym razem, gdy stoję w drzwiach jego pokoju. Mówię ci, Tibbie, on mnie chyba udusi, jeśli jeszcze raz wejść tam zamiast ciebie.

- No dobrze - poddała się Tibbie. - Zobaczę, co się da zrobić.

- Przed kolacją - ostrzegła Mairi - bo ja mu nie zaniosę tacy. Dla mnie może sobie umrzeć z głodu!

Tibbie westchnęła ciężko. Przez cały dzień lało jak z cebra, więc na szczęście zjawilo się mniej pacjentów niż zwykle i wcześniej zakończyła obowiązki w klinice. Chciała wykorzystać wolny czas na kąpiel i umycie włosów. Spojrzała na zegar i jeszcze raz westchnęła. Wiedziała, co ją czeka, gdy otworzy drzwi do pokoju Nicka.

Byłoby kłamstwem twierdzić, że Tibbie wcale się tym nie przejmowała. Wiedziała, jakim człowiekiem jest Nicholas Mackinnon: dumnym, silnym, pewnym siebie i bardzo rozgniewanym.

Ociągała się, ile tylko mogła, aż w końcu wyobraźnia podsunęła jej obraz Nicholasa miotającego się po pokoju, rzucającego kulami i walącego kubkiem o stół przy łóżku. Przez niesłabnącą ulewę zrobiło się tak ciemno, że musiała zabrać ze sobą świecę. Przystanęła na chwilę pod jego drzwiami, myśląc, jak się zachować. Mogłaby wejść do niego lekkim krokiem, szczebiocząc beztroskim tonem.

Ale Nick był inteligentny. Nie dałby się na to nabrać. Poza tym takie zachowanie nie leżało w jej naturze. Może więc powinna okazać wyrzuty sumienia, wśliznąć się do pokoju cichutko jak myszka, licząc na jego współczucie i wyrozumiałość.

Jednakże z Nickiem w roli sędziego trudno było liczyć na łagodny wyrok. Raczej skazałby ją od razu, nie zważając na dowody. Oczywiście pozostawał jeszcze atak - mogła wpaść do środka, kipiąc złością, i zasypać go wymówkami, nim sam zdąży się odezwać.

Ale był już wystarczająco rozjuszony, by ryzykować. Dostałaby za swoje, gdyby jeszcze bardziej pobudziła jego porywczą szkocką naturę. W końcu doszła do wniosku, że najlepsza będzie szczerość. Jeśli ją spyta, gdzie się podziewała przez ostatnie kilka dni, odpowie zgodnie z prawdą, że była zajęta.

Kiedy weszła, w pokoju na pierwszy rzut oka panował spokój i porządek. Stała przy drzwiach ze świecą w ręce, zastanawiając się, czy Nick najpierw się odezwie, czy od razu czymś rzuci. Nic się nie działo, więc biorąc głęboki oddech, na palcach podszła do łóżka. Leżał na boku, odwrócony do niej plecami, twarzą do ściany. Oddychał równo i nie ruszał się, więc z ulgą stwierdziła, że śpi.

Nagle poderwał się jak oparzony, a minę miał taką, jakby chciał ją zabić.

- Gdzie ty się, u diabła, podziewałaś?!

Przestraszona, krzyknęła, wypuszczając z ręki świecę, która natychmiast zgasła. Słyszała, jak Nick po omacku szuka czegoś na stoliku, klnąc od czasu do czasu. Trzasnęła zapałka i przy migotliwym płomyku ujrzała jego twarz, wykrzywioną jeszcze bardziej niż wcześniej. Wychylił się z łóżka, żeby zapalić lampę. Potem ułożył się wysoko na poduszkach, skrzyżował ramiona na piersi i przeszył ją nieustępliwym spojrzeniem.

- No, słucham?

13

Wolisz paskudną prawdę czy jakieś gładkie kłamstwo?

- Zawsze wolę to co paskudne - powiedział, przeszywając ją złowrogim spojrzeniem. - Proszę, oświeć mnie po swojemu.

- Na jaki temat?

- Dobrze wiesz, na jaki.

- Jednak mi powiedz - zażądała, dziwnie podniecona obrotem sprawy. Pomyślała, że zagrożenie wywołuje w człowieku jakiś nie do końca niemiły dreszcz. Przypomniała sobie, jak babcia Grace mówiła kiedyś, że strach i rozkosz wyrastają z tego samego źródła.

- Zastanawiam się - rzekł wolno - jak to jest, że bezczelność zawsze dodaje kobiecie odwagi, choć to przecież głupie.

- Głupie?

- W zuchwalstwie zawsze powinna się mieścić odrobina dyplomacji, bo inaczej... - Uniósł wyzywająco jedną brew. - Kiedy mysz naśmiewa się z kota, w pobliżu powinna być dziura.

- Kto powiedział, że się naśmiewam?

- Za bardzo zadzieraszą nosa, skarbie. Kiedyś ktoś ci go utrże.

- Doprawdy? - Głos brzmiał jej całkiem spokojnie, więc skąd ten dygot kolan? - Niech no tylko spróbuje.

Oparł się o wezgi łóżka, podpierając brodę na splecionych dłoniach. Przyglądał się jej z wyraźnym zaciekawieniem.

- Czyżbyś rzuciła mi wyzwanie?

- Myślałam, że odpowiadam na twoje.

Jego leniwy uśmiech wzbudził w Tibbie dziwne trzepotanie serca.

- Jak mogłem przypuszczać, że na widok mojego gniewu będziesz się trzęsła ze strachu. - Ku jej zaskoczeniu dodał: - Powinienem pamiętać, że jeszcze nie udało mi się wyjść bez szwanku z żadnej kłótni z tobą.

Tibbie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Może należy pamiętać, że bawiąc się z kotami, jest się narażonym na podrapanie.

- Będę to miał na uwadze następnym razem. - Nie spuszczał z niej wzroku, uśmiechając się półgębkiem. - Może należy też pamiętać, że co się odwlecze, to nie uciecze. Teraz życzę sobie kąpieli, a potem zmiany pościeli.

Tibbie jęknęła w duchu.

- Oczywiście. Przyniosę wody.

Kiedy wychodziła z pokoju, z rękami zaciśniętymi w pięści, zawołał za nią:

- Kąpiel ma się odbyć najpóźniej za godzinę, panno Buchanan, nie w przyszłym tygodniu!

- To wykąp się sam!

- A jak się miewa ojciec? - spytał niewinnie.

Tibbie stanęła w miejscu jak wryta. Jak śmiał jej przypominać o ojcu? W podtekście tej uwagi było przecież przypomnienie, że gotów jest na nią donieść. Niech sobie mówi ojcu, co chce, pomyślała w pierwszym odruchu buntu. Zaraz jednak przypomniała sobie zmęczenie wyzierające z oczu Colla, jego wychudzone ciało pokryte wysypką. Zmartwienie epidemią żółtej febry odcisnęło na nim swoje piętno. Jak mogła brać pod uwagę narażenie go na kolejną troskę? Przecież ojciec na niej polegał. Westchnęła. Nick dostanie swoją kąpiel, ale kota można wyprowadzić w pole nie tylko jedną drogą.

Idąc do kuchni, zastanawiała się, jak gorąca może być woda, żeby nie spowodowała trwałych obrażeń... w każdym razie takich, które mógłby zauważyć ojciec.

Woda była bliska wrzenia albo tak się przynajmniej Nickowi

wydawało. Jeszcze godzinę po kąpieli skóra paliła go żywym ogniem, jeśli nie od ukropu, to z pewnością od zamaszystego, bezlitosnego szorowania, jakie urządziła mu Tibbie. Jednak na myśl o kąpieli, zamiast wpadać w złość, mimowolnie się uśmiechał.

Tibbie weszła do pokoju, niosąc dwa wiadra parującej wody. Mairi podążyła tuż za nią, jak zwykle utyskując, że musi dźwigać wielką balię. Pochód zamykała Beth, zawsze chętna do działania, z naręczem ręczników i kostką mydła. Przez chwilę Mairi stała przy łóżku, przyglądając się, jak siostra nalewa wodę do balii i szykuje ręczniki. Jednak kiedy Tibbie zaczęła odwijać bandaże przytrzymujące szynę na nodze Nicka, do Mairi dotarło, że zaraz zobaczy nagiego mężczyznę, więc wybiegła z pokoju, ciągnąc za sobą Beth. Jeśli nawet Tibbie zauważyła gorączkowy pośpiech siostry, nie dała tego po sobie poznać.

Usunęła szynę, odkładając ją na bok.

- Nie wolno ci się ruszać, chyba rozumiesz. Szyna musi wrócić na miejsce, gdy tylko będziesz... się wykąpiesz.

Bez bandaży i szyny Nick poczuł się znacznie lepiej, co od razu poprawiło mu humor. W istocie poczuł się wręcz znakomicie. Widząc, że Tibbie jest całkowicie pochłonięta pracą, uznał, że chrześcijański obowiązek nakazuje mu podzielić się z nią dobrym nastrojem.

- Czy twój ojciec pali?

- Na litość boską, nie - powiedziała, odcinając kawałek nowego bandaża i układając obok szyny.

- Ale z pewnością od czasu do czasu dostaje cygara jako zapłatę albo dowód wdzięczności?

- Owszem, dostaje. Ma ich pełne pudełko. Ponieważ sam nie pali, częstuje nimi gości.

- Więc pewnie nie miałyby nic przeciwko temu, gdybym jedno wypalił?

Przerwała pracę, chwytając się rękami pod boki.

- Czyżbyś mnie prosił w ten pokrętny sposób, żebym ci przyniosła cygaro?

- W ten pokrętny sposób, tak.

Ruszyła do wyjścia, rzucając mu przez ramię:

- Nie zapominaj, że nie wolno ci się ruszać. Pożałujesz, jak to zrobisz.

- Ani mi się śni - obiecał. Bo jeszcze wiele cię czeka, skarbie, dodał w duchu.

Wróciła po paru minutach i położyła trzy cygara na stoliku przy łóżku. Znow zabrała się za przygotowywanie bandaży. Odmierzwszy odpowiednią długość, sięgnęła po nożyczki.

- Masz może zapałki?

- A nie ma przy lampie?

- Dziś rano zużyłem ostatnią.

- Nie mogłeś powiedzieć, jak szłam po cygara?

- Nie pomyślałem wtedy. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Mogłabyś sprawdzić, czy nie masz kilku?

Rzucając mu pełne irytacji spojrzenie, odłożyła zwój bandaży i nożyczki, wkładając ręce do kieszeni.

- Nie mam żadnych zapałek - powiedziała sucho, z nadzieją, że to go zniechęci.

Znow podjęła przerwane zajęcie, kiedy spytał:

- A miałabyś coś przeciwko temu, żeby pójść poszukać?

Oczywiście, że bym miała, ty arogancka bestio, pomyślała.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zgromiła go wzrokiem.

Chciała najpierw dokończyć przygotowywanie świeżego opatrunku, ale nie dał jej spokoju:

- Mogłabyś pójść teraz?

Ze złością odłożyła nożyczki i bez słowa wyszła z pokoju. Wróciwszy po pięciu minutach, rzuciła w niego pudełkiem zapałek. Wyładowały na prześcieradle, okrywającym go od ud do pasa.

- Wbrew pozorom, to nie jest cygaro do zapalenia - zauważył cierpko.

Oblała się rumieńcem.

- Nie powinienes być taki wulgarny.

- A ty nie powinnaś rzucać tak celnie.

- Nie celowałam... - W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Nie mówiąc ani słowa więcej, dokończyła cięcie bandaży, a potem ułożyła je na stoliku. - Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Nie. - Już miała się zbierać do wyjścia, kiedy zatrzymał ją słowami: - Chyba o czymś zapomniałaś, panno Tibbie. Będziesz musiała mi pomóc. Bardzo chciałbym się sam wykapać, ale mówiłaś, że nie wolno mi się ruszać.

- Jedną rękę masz już całkiem zdrową, a druga chyba też jest wystarczająco sprawna, żebyś mógł sam się umyć.

- Twoim zdaniem, może tak jest, ale twój ojciec uważa inaczej. Nie mieszaj do tego ojca, pomyślała ze złością.

Choć się nie odezwała, był pewien, że zazgrzytała zębami. Podziękował jej niewinnym spojrzeniem, kiedy wróciła i wzięła do ręki mydło. Zanurzwszy je wraz z gąbką w wodzie, umyła mu jedno ramię. Powstrzymał ją na moment, żeby zapalić cygaro. Skończywszy z jednym ramieniem, nachyliła się, żeby umyć drugie. Wtedy wydmuchnął potężny kłęb dymu.

- Mógłbyś mi nie dmuchać prosto w twarz? - spytała, kiedy już skończyła kaszleć, a dym się rozwiął.

- Niepokoi cię moje palenie?

- Wszystko mnie w tobie niepokoi, Mackinnon. Absolutnie wszystko, co robisz.

Uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia. Właśnie tego pragnę najbardziej, skarbie, pomyślał. Wzbudzić w tobie niepokój.

Znów zaciągnął się cygarem, wypuścił dym i z rozbawieniem patrzył, jak Tibbie się wachluje. Proszę, nieznośny Szkot wyprowadził ją z równowagi. Zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma. Wiedział, że zachowuje się okropnie, ale koniecznie chciał się przekonać, co robi Tibbie. Z uśmiechem wskazał na swoją nogę. Drżała ze złości, ale nic nie powiedziała. Umyła mu jedną nogę, potem drugą i na koniec wrzuciła gąbkę do wody.

Założenie z powrotem na nogę szyny i bandaża zajęło prawie godzinę. Uporawszy się w tym wreszcie, Tibbie odetchnęła z ulgą, zadowolona, że wkrótce będzie mogła sobie pójść. Od dymu cygar robiło jej się niedobrze. Jak mógł palić to obrzydlistwo? Sięgała po czystą pościel, by prześcielić łóżko, kiedy poprosił:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś mi umyła twarz.

- Och, na litość boską - powiedziała trochę za głośno, mocno

wyprowadzona z równowagi jego wymaganiami, ale wyłowiła z balii gąbkę i parę razy przetarła mu twarz. Następnie cisnęła gąbkę do wody; zdziwiła się, nie słysząc narzekania, że go ochlapała. A on, zamiast utyskiwać, dmuchnął jej dymem w twarz.

Miała ochotę wepchnąć mu to przekłete cygaro do gardła i powiedzieć ojcu, że pacjent udusił się we śnie.

- Z przykrością muszę stwierdzić, panno Tibbie, że to jeszcze nie wszystko - powiedział Nick, przybierając wyniosły ton.

Przykro mu? Akurat! Niedorzeczność jego wypowiedzi niemal ją rozbawiła.

- Jest jeszcze jedno miejsce...

Tibbie natychmiast się domyśliła, o jakie miejsce mu chodzi.

- To miejsce możesz sobie umyć sam. Nie dotknęłabym go nawet długim patykiem.

- To pocieszające - wyznał ze śmiechem. - Bo wolę, żebyś to zrobiła ręką.

- A ja wolę...

Nicholas nie czekał, żeby się dowiedzieć, co Tibbie by wolała, tylko chwycił ją za ramię i tak, jak już zrobił dwukrotnie, wciągnął ją do łóżka.

- Cicho bądź, Tibbie. Nie wiesz, co wolisz. Nawet nie wiesz, czego chcesz. Ale ja wiem.

- Nic nie wiesz. Po prostu lubisz mnie prowokować. - Nic nie mówił, więc spytała: - Nicholasie Mackinnonie, dlaczego tak się zachowujesz?

- Lubię, jak wymawiasz moje nazwisko, panno Tibbie. Naprawdę.

- Przystaniesz się wreszcie zachowywać jak szalony głupiec, zanim ktoś tu wejdzie?

- Nikt tu nie wejdzie. Wszyscy dobrze o nas wiedzą.

- Mogę kogoś zawołać - powiedziała, choć wcale nie miała zamiaru tego robić. Chciała się tylko przekonać, jak on na to zareaguje. Nie musiała długo czekać.

Nick dopadł jej ust szybciej niż kura pędzaka. Chciał ją w ten sposób uciszyć, lecz kiedy zarzuciła mu ręce na szyję i naparła na niego piersiami, zapomniał o całym świecie. Całował ją zapamiętale, jakby zbliżał się koniec świata, a Tibbie odwzajem-

niała pocałunek z zaskakującą gorliwością. Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej, wpasowując się w jej miękkie krągłości, napawając się słodkim, długo wyczekiwany cudem.

Wreszcie oderwał się od niej po to tylko, by spojrzeć na nią tymi niewiarygodnie niebieskimi oczyma, w których można było zatonać. Tibbie nie odezwała się ani słowem. Znow zaczął ją całować, przeciągłym, głębokim pocałunkiem, który odbierał jej oddech i zdolność myślenia. Rozgniała jej usta wargami, łakomie, a jednocześnie z czułością tak wielką, że chciało jej się płakać. Wyczuwała w nim bezmiar samotności, wierzyła, że naprawdę czuł to, o czym jej powiedział. Nie była w stanie mu się opierać. Z jej ust wydarł się cichy jęk, kiedy przyłgnęła do niego w geście pełnym oddania. To jeszcze bardziej go rozpałiło, więc z gardłowym pomrukiem wdarł się językiem w jej rozchylone usta.

Znała pocałunki, ale takiego jeszcze dotąd nie przeżyła. Pragnęła, żeby się nigdy nie skończył, a sądząc po zachowaniu Nicka, on żywił podobne pragnienie.

Kiedy w końcu przerwał pocałunek, bez namysłu uniosła głowę i sama go pocałowała. Przyjął to z nieukrywaną radością i zaśmiał się głębokim, serdecznym śmiechem.

- Ty mała szelmo. - Przytulił ją do siebie zdrowym ramieniem. - Wiesz, że przez wiele nocy marzyłem o tym, że pewnego dnia mnie pocałujesz... z własnej i nieprzymuszonej woli?

- Naprawdę? - udała zdziwienie. - Gdybym wiedziała, może bym się zastanowiła.

- Za późno. Stało się i mam co pamiętać.

Och, Nicholasie, mówisz takie piękne rzeczy, pomyślała z rozrzewnieniem.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- Chciałbym cię tak trzymać już zawsze.

- Moglibyśmy zgłodzić - zauważyła trzeźwo. - Albo mógłbyś uznać, że potrzebujesz następnej kąpieli.

- Chybabym nie wytrzymał następnej kąpieli. - Przetoczył się na bok i oparł na łokciu. - Zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczyło? Czuć na całym ciele twoje ręce?

- Wiem, co znaczyło dla mnie. Czy to samo?

- Jeśli nie, to powinno - stwierdził, całując ją.

- Muszę już iść - powiedziała z żalem.
 - Ugryzł ją leciutko w czubek nosa.
 - Powinnaś zrobić wiele rzeczy, ale na pewno nie odchodzić.
 - Jakich rzeczy, Nick?
 - Przysuń się bliżej, to ci pokażę.
 - Dlaczego? - spytała drżącym głosem.
 - Ponieważ między tobą i mną jest wiele niezafatwionych spraw.
- Odchyliwszy głowę, Tibbie przyjrzała mu się nieufnie, jednocześnie rozważając w myślach różne możliwości.
- Nie będę cię do niczego zmuszał - rzekł, widząc jej wahanie.
 - Powinnaś znać mnie już na tyle.

Chciała się do niego nachylić, ale powstrzymał ją wyciągniętą ręką.

- Rozważ to, co ci powiedziałem, Tib - ostrzegł. - Bo jeśli zrozumiesz, co mam na myśli, nie będziesz mogła mnie przypisać całej winy za to, co się może stać.

Poczuła się nagle zbita z tropu. Odkąd go poznała, wszystko, co robił, miało na celu pozyskanie jej przychylności, stłumienie jej oporu. I w końcu mu się udało. Była w jego pokoju, trzymał ją w ramionach, a o jakimkolwiek oporze trudno było mówić. I co robił? Nic! Nawet gorzej - ostrzegał ją. I co ona miała zrobić?

Wiem, czego bym chciała.

Więc zrób to!

Nie wiem, czy mogę.

Czemu miałabym nie móc?

Ponieważ on chce, żebym to ja wyszła z inicjatywą.

Bez wątpienia i on wykaże dość inicjatywy, jeśli tylko będziesz chętna.

Dlaczego nie możemy się spotkać w pół drogi?

Nie wiem. Po prostu go spytaj.

- Nie moglibyśmy się spotkać w pół drogi?

Nickowi omal serce nie wyskoczyło z radości. Czy aby dobrze usłyszał? Nie spodziewał się, by zechciała choć rozważyć jego słowa, a już tym bardziej, że zechce mu wyjść naprzeciw. Spotkanie w pół drogi? Do diabła! Aż mu się paliło pod nogami, żeby przebiec całą drogę. Wiedział jednak, że Tibbie wymaga szczególnego potraktowania. Te pierwsze, najważniejsze kroki

musiała zrobić sama. Od dawna wiedział, że ona odwzajemnia jego miłość, i robił wszystko, by sobie to uświadomiła. Teraz nadeszła pora sprawdzianu.

Patrząc na jej drobną, ściągniętą niepokojem twarz, bał się, że tym, co musi jej powiedzieć, zaprzepaści swoje nadzieje.

- Nie, Tibbie, nie tym razem. Teraz ty będziesz musiała przyjść do mnie.

- Ale dla mnie to bardzo trudny krok.

- Wiem. Tak wiele cię przed nim powstrzymuje - Eric, przeszłość, niepewność uczuć. I niewiele do niego skłania, poza moją szczerą zachętą i pragnieniem, byś nigdy go nie żałowała. Zbyt długo z wszystkiego rezygnowałaś, chowając się w cieniu. Jeśli chcesz wyjść na słońce, to ty sama musisz odmienić swoje życie. Więc zostań tam, gdzie jesteś, i nadal sobie wszystkiego odmawiaj albo wyjdź z ukrycia i przyjmij to, co ci oferuję. Nie mogę ci niczego jeszcze bardziej ułatwiać.

Ledwie skończył mówić, Tibbie przywarła do jego piersi. Utulił ją, przyciskając do siebie i głaszcząc po włosach, ze ściśniętym sercem słuchając jej szlochu.

- Wypłacz się, skarbie. To jedyny sposób, żeby uwolnić anioła. Tibbie zanosła się łkaniem.

Nicholas miał ochotę dać upust pożądaniu, ale wiedział, że nie powinien sobie na to pozwalać. I tak udało mu się zyskać bardzo dużo. Nie chcąc tego stracić, musiał się wykazać cierpliwością. Zależało mu, by jutro pamiętała, że zaufała mu, a on nie nadużył jej zaufania. To był mały kamyk, który miał posłużyć za załazek fundamentu. Mógł się tylko modlić o wytrwałość i siłę woli, by znieść mękę niezaspokojonego pragnienia, dopóki cały fundament nie będzie gotowy.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Tibbie aż podskoczyła, odsuwając się od Nicka i wycierając oczy. Usłyszała w jego ustach tłumione przekleństwo. W tej rodzinie zaiste trudno było o odrobinę prywatności, ale może tak było nawet lepiej. Ostatecznie nie mogła przez resztę życia wypłakiwać się w ramionach Nicka, choć czuła się w nich cudownie.

Przygładziwszy włosy, szybko podeszła do drzwi, ciekawa,

kto za nimi stoi. Na widok Mairi uśmiechnęła się, wdzięczna, że siostra tym razem miała dość rozsądku, żeby zapukać.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. - Możesz wejść. Skończyłam już z panem Mackinnonem.

Ale pan Mackinnon jeszcze nie skończył z tobą, skarbie...

- Mama kazała spytać, czy potrzebna ci pomoc przy wyciągnięciu pana Mackinnona z łóżka, żebyś mogła zmienić pościel.

To powinno brzmieć trochę inaczej: pan Mackinnon potrzebuje pomocy przy wciąganiu panny Buchanan do łóżka.

- Tak, chyba mi się przyda. On dalej czuje się trochę niepewnie... o kulach.

Powstało małe zamieszanie, ale we dwie zdołały postawić Nicka na nogach. Przez moment walczył o utrzymanie równowagi, a potem, wspierając się na kulach, pokuśtykał do oddalonego o kilka kroków krzesła. Tibbie zerknęła przelotnie na siostrę, ciekawa, jak Mairi przyjmuje widok dorodnego męskiego okazu, osłoniętego jedynie prześcieradłem zawiązanym w pasie. Jeśli nawet Mairi była pod wrażeniem, nie dała niczego po sobie poznać. Tibbie nabrała więc przekonania, że tylko ona ma skłonność do grzesznych myśli.

Kiedy łóżko zostało obleczone w nową pościel i Nick z powrotem się położył, Mairi zebrała brudną bieliznę i wyszła, pozostawiając siostrze dokończenie porządków. Tibbie położyła na wierzchu posłania lekki pled i upychała jego brzegi pod materacem, a Nick drażnił się z nią, udając, że próbuje ją złapać, i mówiąc, co zrobi, jak już ją złapie, co przyjmowała ze śmiechem. Wtedy nagle Mairi wróciła, oznajmiając:

- Są tu Cora Belle Hamilton i jej kuzynka Ruthie.

- Cora Belle i Ruthie? - Tibbie spojrzała na siostrę ze zdumieniem. - Czy któraś z nich niedomaga?

- Nie. Obie wyglądają zdrowo jak rzepy i obie są wystrojone jak na świąteczną paradę. Powiedziały mamie, że przyszły odwiedzić pana Mackinnona i przyniosły mu wypieki domowej roboty.

Tibbie i Mairi równocześnie spojrzały na Nicka, który odpowiedział im głupawym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

- Zwykła towarzyska wizyta - rzucił przy tym nonszalancko.

- Och, z pewnością - mruknęła Tibbie, szturchając siostrę w bok. - Nie stój jak kołek. Wprowadź je.

Mairi natychmiast wybiegła z pokoju, a Tibbie podeszła do łóżka i szarpnięciem podciągnęła Nickowi pled pod samą brodę.

- Au! - zachnął się. - Nie musisz się na mnie odgrywać - rzekł z chytrym uśmieszkiem. - Ja ich tu nie zapraszałem.

- Wcale się nie odgrywam. Nie obchodzi mnie, kto cię odwiedza.

- Mam wrażenie, że straciłaś humor - zauważył. - Gdybym wiedział, że się tu wybierają, tobym ci powiedział.

- Wszystko mi jedno, czy kobiety będą tu zjeżdżać wozami, czy przemykać się po kryjomu. - Jeszcze raz szarpnęła pledem.

- Owinęłaś mnie tym kocem tak ciasno, że nie mogę nawet kiwnąć palcem u nogi.

Bynajmniej nie o twoje palce u nóg tu chodzi, pomyślała.

- Przynajmniej się nie zsunie.

- Boisz się, że te piękne panie mogłyby przypadkiem coś podejrzeć? - spytał z uśmiechem.

- Nie, ale ty z pewnością mógłbyś im przypadkiem coś pokazać!

Wzięła ze stolika tacę.

- Idę już. Mairi wprowadzi twoich... gości.

- Tib! - zawołał za nią.

Odrzuciła się w połowie drogi do drzwi.

- Nie masz żadnych powodów do zazdrości - zapewnił.

- Kto tu jest zazdrosny? - zdumiała się, kopnięciem przesuwając krzesło.

W drzwiach omal się nie zderzyła z dwiema kobietami śpieszącymi z wizytą. Przedmioty leżące na tacy zagrzecotały ostrzegawczo i pospadały na podłogę.

- Tu pan jest, panie Mackinnon! - wykrzyknęła Cora Belle Hamilton głosem, którego mogłaby jej pozazdrościć każda papuga. - Pamięta mnie pan, prawda? Wielebny Woolridge przedstawił nas sobie w kościele którejś niedzieli. A to moja kuzynka, Ruthie Faye Brewster.

Tibbie patrzyła, jak obie wślizgują się do pokoju Nicka.

- Jestem oczarowany, drogie panie. Oczarowany, że mnie

pamiętacie, a tym bardziej, że zadałyście sobie trud, żeby mnie odwiedzić. - Zerknął na Tibbie, która skończyła zbierać rozsypane rzeczy i zamierzała wyjść. Uśmiechając się promiennie, spytał: - Znają panie pannę Buchanan, prawda?

Obie kobiety odwróciły się do Tibbie.

- Tak, oczywiście. Dobrze wyglądasz, Tibbie... - Cora Belle, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiechku, spojrzała najpierw na kuzynkę, a potem na Nicka. - A jak się miewa twoja śliczna córeczka?

Tibbie zamarła.

- Macie pewnie na myśli Bethany - wtrącił szybko Nick, widząc cień bólu w oczach Tibbie. Pragnął, żeby te dwie tłuste krowy poszły sobie jak najprędzej i żeby mógł wziąć Tibbie w ramiona i przysiąc jej, że nie zamieniłby jej nawet na pięć wozów takich bab. - Z pewnością zgodzicie się ze mną, że jest absolutnie urocza.

- Ach, tak... urocza. Absolutnie urocza - potwierdziła Cora Belle głosem, jakiego Tibbie jeszcze u niej nie słyszała. - Więc, jak już mówiłam, wielbny Woolridge, który nas sobie przedstawił, jak pan pamięta, w ostatnią niedzielę powiedział mi o pańskim niefortunnym wypadku. - Omiotła Nicka łakomym spojrzeniem. - Biedaku! Bardzo pana boli?

- Tylko kiedy oddycham, ale panna Buchanan wspaniale się mną opiekuje podczas choroby doktora Colla.

Dwie pary oczu spoczęły na Tibbie.

- Tak... rzeczywiście, Tibbie ma wprawę w opiekowaniu się mężczyznami... kiedy są chorzy, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć - powtórzy Nick. - Jest w tym doskonała. Tak doskonała, że jestem pewien, iż połowa kobiet w Indianoli zazdrości jej talentu.

- Och, absolutnie! - powiedziała Cora Belle, lekko zbita z tropu. - Czy tak nie jest, Ruthie Faye?

- Ależ tak, w istocie. Ja bardzo jej zazdrozczę - wyznała. - Bardzo zazdrozczę.

W tym momencie babcia Grace, która akurat przechodziła holem, zwróciła uwagę na pobladłą twarz Tibbie. Przystanąwszy w drzwiach, spojrzała najpierw na Nicka, potem na dwie kobiety wystrojone niczym cyrkowe konie. Weszła do pokoju, szeleszcząc

czarną jedwabną suknią, jakby stąpała po suchych liściach. Natychmiast przyciągnęła wzrok wszystkich.

- Ha! Więc dobrze rozpoznałam twój powóz, Coro Belle. Co cię sprowadziło na to odludzie? Węszysz za czymś?

- Składamy towarzyską wizytę, pani Stewart. Po tym, jak wielebny Woolridge powiedział nam o nieszczęśliwym wypadku pana Mackinnona, odbyliśmy burzę mózgow i postanowiłyśmy upiec mu ciasto cytrynowe na wzmocnienie.

- Burzę mózgow? Coro Belle Hamilton, znam cię od czasu, gdy sięgałaś konikowi polnemu do kolan. O burzy w twoim mózgu mowy być nie może, co najwyżej o kapuśniaczk.

Cora Belle próbowała się roześmiać, lecz wypadło to jakoś nieprzekonująco.

Babcia spojrzała na Ruthie.

- Widzę, że przybyłaś ze wsparciem.

- Ruthie Faye ma lekką migrenę. Myślałam, że doktor Buchanan mógłby ją zbadać, ale rozumiem, że jest chory.

- Owszem - potwierdziła babcia. - Ale może Ruthie zechce się trzymać tej swojej migreny. Zawsze to przyjemnie mieć w głowie cokolwiek.

- Niesłychane! - Cora Belle poderwała się z miejsca; sznurówki jej gorsetu napięły się groźnie. - Lepiej już sobie pójdziemy.

- Dziękuję paniom za odwiedziny - powiedział szybko Nick.

- Odprowadzę was do wyjścia - zaoferowała się Tibbie.

- Nie rób sobie fatygi - prychnęła Cora Belle. - Znamy drogę.

Tibbie patrzyła, jak obie pospiesznie wychodzą, a potem zwróciła się do babki:

- Nie powinnaś być dla nich taka ostra, babciu. Były przekonane, że spełniają dobry uczynek.

- Tyle z nich pożytku, co ze szklanego oka przy dziurce od klucza.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Nie jest pani mężatką, prawda?

- Nie i nie sądzę, by był na świecie taki, co by ze mną wytrzymał.

- Ja bym się z panią ożenił bez chwili namysłu.

- Chryste Panie! Jestem dla ciebie za stara. - Szeleszcząc suknią, ruszyła do drzwi.

- Jeśli pani jest przykładem tego, jak wygląda starość, to nie mogę się jej doczekać! - zawołał za nią Nick.

- Nie wiesz, co mówisz. - Staruszka westchnęła. - Wiesz, jak to jest patrzeć na siebie w lustrze co rano i zastanawiać się, gdzie już widziałaś tę twarz? - Po tych słowach zniknęła za drzwiami.

Tibbie zamierzała wymknąć się w ślad za babką, ale powstrzymał ją głos Nicka.

- Nawet święty by do ciebie stracił cierpliwość, kobieto! Możesz się zatrzymać choć na minutę? Muszę ci coś powiedzieć.

Przystanąła, ale się nie odwróciła.

- O co chodzi tym razem? - spytała przez ramię.

- Podejdź tu bliżej.

- Mam mnóstwo zajęć.

- Ja też mam coś do zrobienia i to bardzo pilnie, możesz mi wierzyć.

- Więc zrób, co masz zrobić. Nie będę ci przeszkadzać.

- Potrzebuję twojej pomocy. Przyjdiesz tu?

Nie poruszyła się.

- Tibbie, wiem, że jesteś wzburzona, ale bądź rozsądna. Co ci szkodzi tu podejść?

- Już raz podeszłam, pamiętasz?

- Tak i jeśli pamiętasz, nic złego się nie stało.

- Tylko dlatego, że nam przeszkodzono. - Ruszyła do drzwi.

- Tibbie?

Zatrzymała się z westchnieniem.

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz to zrobić na odległość.

- Wolałbym nie krzyczeć tak, żeby wszyscy w domu słyszeli.

- Wszystko, co masz mi do powiedzenia, możesz mówić przy mojej rodzinie.

- W porządku. Niech ci będzie. Potrzebuję się załatwić i jeśli nie pomożesz mi wstać z tego cholernego łóżka, zrobię pod siebie!

- Jak sobie życzysz - rzekła spokojnie i wyszła.

- Tibbie!... Tibbie Buchanan, ostrzegam cię...

Stuknęły zamykane drzwi.

- Suka! - krzyknął, ciskając blaszanym kubkiem, który odbił się od nich i potoczył po podłodze.

Tibbie z uśmiechem przeszła przez hol, nie zwracając uwagi na dziwną minę Mairi.

- Nie masz zamiaru mu pomóc?
- Nie.
- Ależ Tibbie, a jeśli coś mu dolega?
- Nic mu nie dolega. Jest wściekły.
- A jeśli coś mu się stanie?
- To go będę leczyć.

Tibbie zdążyła ochłonać na tyle, by zacząć logicznie myśleć. Wiedziała, że Nick potrzebuje pomocy, żeby wstać z łóżka i wesprzeć się na kulach. A jeśli rzeczywiście potrzebował się załatwić? Nie poradziłyby sobie, nawet gdyby zdołał wstać o własnych siłach. Musiał się na kimś oprzeć. Przypomniała sobie widok krwi zalewającej prześcieradło, kiedy zakładała mu szwy. Westchnęła na wspomnienie Nicka opartego wysoko na poduszkach, dmuchającego jej w twarz dymem, kiedy go myła.

Prawie całkiem spokojna zawróciła do jego pokoju. Otworzyła drzwi i obserwowała go, stojąc w progu. Udało mu się wygrzebać z ciasno zawiniętego pledu i teraz, wychylony nad krawędzią łóżka, próbował dosięgnąć kul.

Miała szczerzy zamiar mu pomóc, ale przez chwilę napawała się widokiem mocnego, smukłego ciała i dobrze rozwiniętych mięśni, takich twardych w dotyku, choć gładko rysowały się pod skórą. Jakże piękną istotą był ten mężczyzna, z szerokimi ramionami, wąskimi biodrami i kształtnymi, twardymi pośladkami. Jak bardzo inny niż ona i jakże przy tym piękny.

Patrząc, jak sięga po kule, odczuła wyrzuty sumienia. Był silny, dumny... i tak bezradny. Prośenie o pomoc kobiety, za każdym razem, kiedy potrzebował wstać z łóżka, musiało być dla niego upokarzające. A teraz męczył się, żeby dosięgnąć drewnianej kuli, bez której nie mógł się obejść. W nadziei, że uda jej się ocalić resztki jego nadwerężonej dumy, cicho zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w jego stronę, kiedy wychyliwszy się za daleko, spadł z łóżka. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Nick...

- Idź sobie do diabła! Już cię nie potrzebuję - warknął, zaciskając szczęki, żeby nie krzyczeć z bólu.

Tibbie bez namysłu pobiegła do gabinetu ojca i zaraz wróciła z kroplami opium. Przykucnęła obok Nicka na podłodze.

- Masz, wypij to. - Wlała kilka kropli do szklanki z wodą. - To złagodzi ból, a ja obejrzę twoją nogę.

- Dosyć się naogładałaś, dziękuję. Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

- Nick...

- Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, pošlij kogoś, żeby odszukał Portera Mastersona i kazał mu tu przyjechać wozem jak najszybciej.

- Po co ci wóz?

- Żeby mnie na nim położył i zabrał do domu.

- Nie możesz jeszcze wrócić do domu. Ktoś musi się tobą opiekować...

- Więc poproszę Corę Belle Hamilton.

- Masz prawo się na mnie złościć, Nicholas. Pełne prawo. Przyznaję się do winy. Ale nie możesz wyjechać...

- Doprawdy? Poczekaj, to zobaczysz.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Dlaczego? Bo lubisz mieć pod ręką człowieka, który za tobą szaleje, żeby go odtrącać za każdym razem, gdy próbuje się zbliżyć? Boisz się, co powie twój ojciec, kiedy się dowie? Nie martw się. Ja mu nie powiem. - Skrzywił się, odchylając głowę do tyłu.

- Porozmawiamy, jak już to wypijesz. - Przytknęła mu szklankę do ust. Wypił wszystko do dna i zamykając oczy, oparł głowę o łożko. Tibbie próbowała mu rąbką spódnicy wytrzeć pot z czoła, ale chwycił ją za nadgarstek i mocno ścisnął.

- Chyba masz problemy ze słuchem, skarbie. Mówiłem, że niczego od ciebie nie *chcę*. Innymi słowy, nie *życzę* sobie, żebyś mnie dotykała. Jasne?

- Całkiem jasne, ty wrzeszczący brutalu, ale jesteś w takim stanie, że sam nie wiesz, czego chcesz. Zechciej pamiętać, że mój ojciec jest chory, więc teraz ja tu rządę i dopóki nie wróci, ja decyduję, kto czego potrzebuje. Teraz oprzyj się na moim ramieniu, to pomogę ci wstać.

- Żartujesz?

- Nie. - Uśmiechnęła się do niego lekko. - Och, Nicholas, tak mi przykro. Naprawdę. Nie wiem, czemu się tak okropnie zachowałam. Po prostu byłam zła, że Cora Bell tu wkroczyła i zaczęła się panoszyć. Mogę ją znów zaprosić, kiedy zechcesz, tylko się na mnie nie gniewaj.

Patrzył na nią w milczeniu, czując, jak z każdym jej słowem wyparowuje z niego złość.

- Tibbie - odezwał się w końcu głosem zdradzającym wielkie zmęczenie. - Najmniej ze wszystkiego na świecie chciałbym teraz widzieć inną kobietę.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale w głębi duszy musiała mu przyznać rację. I wcale nie miała mu tego za złe. Postanowiła, że pomoże mu wrócić do łóżka, sprawdzi, co z jego nogą, a potem znajdzie jakiegoś mężczyznę, żeby się nim opiekował.

I tak właśnie zrobiła.

14

Proszę się uspokoić, bo coś panu pęknie - ostrzegł Coll.

- Już coś pękło! Moja cierpliwość! - Nick rozejrzał się po pokoju. - Gdzie ona jest?

- Wzywałeś mnie? - spytała Tibbie, zaglądając przez szparę w uchylonych drzwiach.

- Owszem - odparł spokojnie. - Wzywałem. - Wskazał na młodego chłopca stojącego cicho w kącie. - Kto to, u diabła, jest?!

- Jeremy Pipkin - wyjaśniła. Coll wymknął się bez słowa.

- Jak miło. A ja jestem Nicholas Mackinnon - zwrócił się do Jeremy'ego. Przenosząc wzrok z powrotem na Tibbie, dodał: - A kim, u diabła, jeśli mogę spytać, jest Jeremy Pipkin i co ważniejsze, czego tu szuka?

- Ja go wynajęłam.

- Po co?

- Żeby ci asystował.

- Asystował mi. Rozumiem. A przy czym, zechciej mnie oświecić, miałyby mi asystować, skoro moja obecna aktywność jest, nazwijmy to, ograniczona... do jedzenia, spania, narzekania oraz wstawania z łóżka i kładzenia się do łóżka?

- Właśnie w tym ma ci pomagać - wyjaśniła zwięźle.

- Tibbie, mówisz od rzeczy. - Westchnął. - I nie wiem czemu, ale wcale mnie to nie dziwi.

- Myślałam...

Wzniósł ręce ku niebu.

- Boże dopomóż!

Coraz mniej się przejmowała jego złośliwymi przytykami.

- Po twoim upadku przemyślałam to wszystko, co mówiłeś.

- Wszystko mnie bolało. Ludzie w takich chwilach często mówią coś, czego by normalnie nie powiedzieli.

- Och, rozumiem, ale to, co mówiłeś... przynajmniej część z tego miała swoje uzasadnienie.

- Co, na przykład?

- Powiedziałaś, że najmniej ze wszystkiego na świecie chciałbyś widzieć inną kobietę, więc przyszło mi do głowy, że dobrym pomysłem będzie znaleźć jakiegoś mężczyznę, który zajmie się tym, co dotąd ja robiłam. - Zauważyła, jak patrzy na Jeremy'ego, unosząc pytająco brwi przy słowie „mężczyzna”. - Jeremy jest młody, ale silny i doświadczony.

- Silny i doświadczony.

- Właśnie. Jego ojciec w zeszłym roku stracił nogę w wypadku i Jeremy był mu wielką pomocą.

- Nie wątpię, tak jak nie wątpię w to, że Jeremy jest zacnym, silnym młodym mężczyzną, ale ja go nie potrzebuję.

- Przecież sam powiedziałaś...

- Tibbie, doprowadzasz mnie do obłądu, a kiedy jestem doprowadzony do obłądu, to nie myślę rozsądnie, więc nie zawsze mówię rozsądne rzeczy. Kiedy mówiłem, że najmniej na świecie chciałbym widzieć inną kobietę, miałem na myśli bardzo krótki okres. Godzinę po wypowiedzeniu tych słów już o nich zapomniałem. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Więc możesz powiedzieć Jeremy'emu...

Uciszyła go gestem, a potem odwróciła się do młodzieńca, który stał z wielce zakłopotaną miną.

- Biegnij do kuchni i powiedz babci Grace, żeby ci ukroiła porcję szarlotki. Przyjdę tam za minutę.

- Jak już mówiłem - ciągnął niezrażony Nick - możesz powiedzieć Jeremy'emu, że jego usługi nie są potrzebne. Całkiem mi odpowiada, kiedy ty pełnisz rolę pielęgniarki.

- Ale mnie nie odpowiada! - powiedziała głosem nieco wyższym niż normalnie. - Po godzinie spędzonej w twojej obecności jestem kłębkim nerwów. Przez resztę dnia z trudem dochodzę do siebie.

- Nie sędzę, by było aż tak źle - stwierdził z uśmiechem.

Zirytowana i zła na siebie, nie potrafiła się z nim zgodzić.

- Właśnie że jest! Odkąd tu zamieszkałaś, nie mogę spać, straciłam na wadze, chodzę podminowana, warczę na wszystkich i ciągle płaczę.

Rysy mu złagodniały.

- Tibbie, słyszałaś kiedyś o tym, że mężczyzna potrzebuje seksualnego zaspokojenia, a kiedy pożąda jakiejś kobiety, ta potrzeba staje się jeszcze silniejsza?

Próbowała z niezłym skutkiem ukryć zakłopotanie, ale zauważył, że nerwowo splata dłonie.

- Oczywiście, że słyszałam. Ostatecznie asystuję ojcu. Znam naturalne funkcje męskiego ciała.

- To dobrze, że uważasz je za naturalne. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę, bo wiele kobiet uważa je za odrażające i nieczyste. Ale nie o to chodzi. Próbuję ci uświadomić, że mężczyzna traci apetyt, popada w irytację i w ogóle staje się nie do zniesienia, jeśli te potrzeby nie są zaspokojone. Te same potrzeby są równie naturalne dla kobiety, jak dla mężczyzny, więc zmiany w zachowaniu, kiedy nie znajdują spełnienia, również są podobne u kobiet i mężczyzn. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

- Tak - przyznała ostrym tonem, wyprowadzona z równowagi. - Ale nie uważam tego wykładu za zbyt taktowny. Umiem sobie radzić z wieloma sprawami, jak odbieranie porodów, leczenie oparzeń, odcisków i skaleczeń, ale ty jesteś jak wrzód na tyłku, Mackinnon, i nie wiem, co z tym zrobić. Nie umiem panować nad swymi uczuciami, podobnie jak ty, i możesz mi wierzyć, że gdybym miała wybór, zdecydowanie wolałabym cię nie lubić!

Oczy zaszły jej łzami, a wzburzenie osiągało niebezpieczny

poziom, więc nawet nie zwróciła uwagi na minę Nicka, wyrażającą niekłamanie zdumienie.

- I powiem ci coś jeszcze! Nienawidzę tego, jak się czuję w twojej obecności, i nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjedziesz!

- Tibbie - wykrztusił, jakby wydawanie głosu sprawiało mu ból. - Skarbie, podejdź do mnie.

- Chyba całkiem ci rozum odjęło! - zawołała. - No dalej, baw się w najlepsze. Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać. W jednej chwili robisz wszystko, żeby mnie uwieść, albo wręcz wciągnąć do łóżka, a za chwilę miotasz się ze złości i twierdzisz, że nie chcesz widzieć żadnej kobiety.

- Tibbie, kochanie, możesz do mnie podejść... chociaż na chwilkę?

- To jedyny sposób, żeby się przekonać, w jakim akurat jesteś nastroju? Słuchaj, jeżeli zamierzasz mnie wciągać do łóżka, to lepiej o tym zapomnij. A jeśli masz zamiar się wściekać i wydzierać, możesz to robić na odległość. Nic dziwnego, że mam w głowie zamęt. Nigdy nie wiem, czy powinnam zrobić krok do przodu, czy się wycofać! Już sama nie wiem, czego właściwie chcę.

- Ale ja wiem - rzekł cicho. - Jeśli tu podejdziesz, może będę umiał ci to dać.

- Jeśli ci chodzi o to, co podejrzewam...

- Potrzebujesz kogoś, kto cię zrozumie, Kto czuje to samo co ty, komu na tobie zależy i kto cię wysłucha, weźmie cię w ramiona i powie ci, że wszystko będzie dobrze.

Miał rację. I zaskoczył ją, mówiąc to wszystko. Jeszcze większym zaskoczeniem było to, że trafił w samo sedno problemu. Przez moment wahała się, zakłopotanie powstrzymywało ją przed podejściem do niego. Z drugiej strony jednak, stojąc z dala od niego, czuła się żałośnie osamotniona. Dokonała wyboru i natychmiast znalazła się w ciepłych, opiekuńczych ramionach Nicka. O ileż lepiej Wyglądał świat widziany z tego bezpiecznego kręgu. O ileż jaśniej świeciło słońce. Przeszłość stawała się

odległa i mglista, a przyszłość nabierała ostrzejszych form i kolorów.

A kiedy odnalazł jej usta, zapomniała o wszystkim, upojona słodyczą pocałunku, poczuciem, że w jej życiu zaczyna się coś nowego za sprawą tego cudownego, wrażliwego człowieka. Nie było słów, zamknięte oczy niczego nie widziały, ale serce wypełniło się po brzegi.

Niespodziewanie w jej myślach pojawił się Eric, jakby chciał odebrać blask tej promiennej chwili. Nie rób mi tego, błagała go w duchu. Przecież mnie nie chcesz! Nie zabieraj mi szczęścia! Nie kocham cię, Ericu. Nie kocham!

Jednak lęk pozostawał, wspomnienie wracało, natarczywe, bezlitosne. Do niego należała jej pierwsza miłość - najpierw słodka, choć zaprawiona goryczą, później już tylko gorzka, wreszcie zabarwiona rozpaczą. Ale był jej pierwszą miłością i na zawsze miał pozostać szczególną postacią w jej życiu, choćby tylko z tego powodu. Tym bardziej że był ojcem jej dziecka.

Proszę, błagała. Proszę, pomóż mi... Pomóż mi wyrzucić siebie z myśli. W moim życiu już cię nie ma, Ericu. Więc w myślach także cię nie chcę.

Poddając się zniewalającym pocałunkom Nicka, wyobrażała sobie, że Eric nie jest jedyną gwiazdą w jej wszechświecie, lecz tylko jedną z wielu, słabo świecącym punktem oddalonym o setki tysięcy mil. Nie potrafiła jednak do końca zapomnieć, że gwiazdy często nie są aż tak odległe, jak się wydaje, gdy patrzy się gołym okiem

15

Latem w Indianoli w niedzielę nikt nic nie robił.

Farmerzy nie orali. Skład handlowy był zamknięty. Szeryf dawał swojemu zastępcy dzień wolny. W Szklanym Pantofelku salonu rozrywkowego nie otwierano aż do późnego popołudnia. A stara pani Whitely w niedzielę nigdy nie zabierała swojego psa Bakera na spacer.

Poprzedni miesiąc minął jak wakacje, za krótki i wyjątkowo piękny. Teraz było lato, po marcowych i kwietniowych ulewach nie pozostało nawet śladu. Cały świat wokół Tibbie był nowy, niebo miało barwę czystego błękitu, a kiedy się patrzyło na zatokę, woda lśniła niczym kropelki rosy na żywozielonym liściu.

Epidemia żółtej febry prawie minęła, ale po Collu widać było wyczerpanie. Był zmęczony i wychudły, a bruzdy na jego twarzy znacznie się pogłębiły. Jednakże czuł się szczęśliwy, że uporał się z najgorszą epidemią w życiu.

- Jestem szczęśliwy, jak zdechła świnia na słońcu - mawiał.

Nick od jakiegoś czasu poruszał się o kulach i wszędzie go było pełno. Przypominał bezpańskiego szczeniaka, który przygarnięty przez rodzinę, wkrótce stał się jej ulubieńcem. Bo w istocie wszyscy za nim przepadali. Nawet babcia, która zwykle nie od razu nabierała przekonania do obcych, wyrażała się o nim wyjątkowo dobrze.

- Musi się czuć coraz lepiej - zauważyła któregoś popołudnia. - Lata, jakby miał mrówki w portkach. Tylko popatrz, jak go nosi. Rwie się do odlotu, ledwie może wytrzymać na miejscu.

Tibbie, siedząca obok babki na huśtawce zawieszanej na ganku, spojrzała na Nicka, który stał na podwórzu i wyglądał na drogę.

- Wczoraj otrzymał przesyłkę z opisem zmian w budowanym przez niego statku. Mówił mi dziś rano, że człowiek, dla którego buduje ten statek, chce się z nim spotkać w San Antonio. A w zeszłym tygodniu powiedział, że już dawno powinien być w Nowym Orleanie. Zbyt wiele czasu zmarnował, ma zaległości w pracy, musi odbyć parę podróży w interesach. Wystarczy, żeby się zachowywał nerwowo.

Tibbie nie powiedziała nic więcej, ponieważ jej uwagę zwróciła Beth, biegnąca przez podwórze, żeby pokazać coś Nickowi. Beth przerwała na lato lekcje fortepianu i była z tego powodu bardzo szczęśliwa. Teraz radośnie biegała krok w krok za Nickiem. Stanowili doprawdy wyjątkowy widok: Nick kuśtykający o kulach i depczące mu po piętach Beth z Fortuną, która niestety rosła w zastraszającym tempie.

Przy stodole lśniła w słońcu świeżo utkana pajęczyna, a obok, w zagrodzie, maciora, leżąc na boku w chłodnym błocie, karmiła jedenaścioro prosiąt. Rodzina dzikich kaczek zwanych grzechotkami zadomowiła się w stawie ze słoną wodą, a w sadzie widziano małego rudego wilka, który mieszkał w niedalekich zaroślach.

Wszystko wskazywało na to, że w czerwcu klinika nie będzie obłożona, jako że ostatnio leczono głównie typowe, niegroźne przypadłości, zapisując przeważnie środki na przeczyszczenie lub sole glauberskie dla wywołania przeciwnego efektu. Od czasu do czasu trzeba było opatrzyć stłuczony palec, podać surowicę na ukąszenie węża albo zastosować jakąś maść na pęcherze. Mimo wszystko miesiąc upływał całkiem spokojnie.

W drugim tygodniu czerwca Coll oświadczył, że Nick jest na tyle zdrowy, by mógł wrócić do domu. Tego ranka Tibbie

pomogła mu się spakować, żeby mógł pojechać do miasta z jej ojcem. Kiedy skończyli, wzięła do ręki niewielką torbę i ruszyła do drzwi, Nick wyciągniętą kulą zagroził jej drogę.

Przez chwilę patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. Nick podziwiał delikatny owal jej twarzy, miękką złocistą falę, jaką włosy tworzyły nad czołem. Tak wiele rzeczy chciał jej powiedzieć, lecz teraz żadna z nich nie wydawała mu się ważna. Tibbie opuściła głowę. Magiczny nastrój prysnął. Oboje wiedzieli, że doktor czeka w wozie przed domem.

- Może się zdarzyć, że przez parę tygodni nie będę mógł się z tobą zobaczyć.

- Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień - powiedziała cicho.

- Wiem, ale mówię to, bo mi na tobie zależy. Chcę, żebyś rozumiała, dlaczego mnie tu nie będzie przez jakiś czas. Znam cię i wiem, że zaczniesz sobie wyobrażać najgorsze. Będziesz wątpić we mnie i w moje uczucia do ciebie zaraz po moim wyjściu z tego domu. Muszę jak najszybciej pojechać do Galveston. Potem muszę znaleźć tydzień lub dwa na wyjazd do Nowego Orleanu. Z powodu mojego wypadku jesteśmy znacznie opóźnieni z terminem, bo nie miał kto wszystkim pokierować.

- Myślałam, że Porter...

- Porter jest świetny, jeśli chodzi o wykonywanie moich decyzji, ale sam nie może ich podejmować.

- Rozumiem. Uważaj na siebie. Nie szalej jak wariat na tych swoich świeżo poskładanych nogach, bo skończy się na tym, że wrócisz do kliniki.

Czuł się okropnie, widząc łzy w jej oczach. Wiedział, że nie rozumiała nic z tego, co jej mówił. Dla niej był taki sam jak tamten drań. Nick opuszczał ją i czuł się z tego powodu jak zdrajca. Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Kocham cię, Tibbie. I zależy mi na tobie. Nie chcę cię zostawiać nawet na pięć minut, a co dopiero na parę tygodni. Ale dałem słowo. Ludzie na mnie liczą. Jakim byłbym człowiekiem, gdybym zawiódł? Chcę, żebyś zrozumiała. To jest dla mnie tak samo ważne jak oddychanie.

- Rozumiem. Naprawdę.

Pokręcił głową.

- Nie, aniele, nie sądzę, żebyś naprawdę rozumiała. - Ruszył do drzwi.

- Nick

Odwrócił się, a Tibbie do niego podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego, jakby już nigdy miała go nie puścić. Potarł podbródkiem czubek jej głowy.

- Wiem - rzekł miękko. - Ja czuję to samo. - Pocałował ją w usta, a potem sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek brązowego papieru obwiązany sznurkiem. - To dla ciebie, żebyś lepiej pamiętała.

Obróciła zwinięty papier w dłoni.

- Skąd to masz?

- Przyszło w przesyłce wraz z innymi rzeczami. - Spoważniał. - Nie otwieraj, dopóki nie odjadę.

Przyciskając zawiniątko do piersi, odprowadziła Nicka do drzwi i stała w progu, dopóki wóz ojca nie zniknął jej z oczu. A potem wyszła z domu. Otworzyła paczuszkę dopiero w sady, siedząc pod tym samym drzewem, pod którym kiedyś siedziała z Nickiem. Odwinęła dwie warstwy papieru, ostatni stanowiła cienka lawendowa bibułka. Kiedy Tibbie ją rozwinęła, wypadł mały aniołek wyrzeźbiony z marmuru. Zacisnęła go w dłoni i rozpłakała się.

Trzy dni później, skończywszy splotać włosy Beth w warkocz, stała w kuchennych drzwiach, przyglądając się, jak córka biega po podwórzu z kwiczącą wniebogłosy Fortuną. Effie miesiła ciasto na chleb, a babcia, siedząc w bujanym fotelu, wyszywała poduszkę do igieł.

- Będzie dziś nieznośny upał - stwierdziła staruszka. - Już teraz jest goręcej niż w piekle.

- Bo nie ma wiatru. Dlatego wydaje się tak gorąco - powiedziała Tibbie.

Babcia podniosła się z fotela, zabierając ze sobą robótkę.

- Chyba przeniosę się na ganek i będę się wachlować.
- Założę się, że połowa Indianoli właśnie to teraz robi - odezwała się Effie.

Rzeczywiście tak było, ponieważ lato w Indianoli działało na ludzi rozleniwiająco. Życie jakby zapadało w stan hibernacji; działało się tylko to, co absolutnie niezbędne, i nie było mowy o jakimkolwiek postępie. Ta niedziela nie różniła się od innych letnich niedziel. Słońce świeciło tak ostro, że od blasku aż bolały oczy, a na czystym niebie trudno by było znaleźć choć jedną chmurkę. Większość mieszkańców wyległa na frontowe werandy i siedziała tam, patrząc przed siebie lub co najwyżej machając wachlarzem. Kobiety rozprawiły o bezwstydnej Ruby Jewel Singer, która ufarbowała sobie włosy na nieprzyzwoity płomieniorudy kolor, a mężczyźni dzielili się powszechną obawą, że do końca lata może nie spaść ani kropla deszczu.

- Jest goręcej niż w kurzej wylęgarni - stwierdziła babcia Grace, udając się na poszukiwanie swego największego wachlarza.

- No, nie wiem - mruknął Coll, wstając od kuchennego stołu i przechodząc do tylnych drzwi. Postął chwilę w progu, z palcami zatkniętymi za szelki, i w końcu rzekł: - Według mnie, mamy dziś wyjątkowo piękny dzień. Dawno nie czułem się tak doskonale.

- Miło mi to słyszeć, doktorze Buchanan - ucieszyła się Effie, skubiąc listki geranium. - Bo czas porozmawiać o poważnych sprawach.

- Dlaczegoż to? - zdumiał się Coll i próbował chyłkiem przemknąć do salonu.

Effie natychmiast ruszyła jego śladem.

- Ponieważ mam całą listę rzeczy do zrobienia. Lina do studni całkiem się wytarła, zamek w drzwiach wejściowych się zacina, wiadro na mleko przecieka, a w tym tygodniu kozy trzy razy wdarły się do mojego ogródka przez zepsutą bramę.

- Na litość boską, kobieto! Dziś jest niedziela! - jęknął Coll, sadowiac się w ulubionym fotelu.

- A jutro poniedziałek i będziesz miał w klinice pełno stłuczonych palców i ciekących nosów.

- Przygotuj mi spis rzeczy do zrobienia, Effie. - Coll rozparł się wygodnie, opierając stopy na podnóżku.

- Spis? Dobre sobie! Jeszcze nie zrobiłeś tego, co było na poprzedniej liście, którą ci dałam.

- Przypuszczam, że zajmę się nimi w ciągu kilku następnych dni.

- A ja przypuszczam, że zajmiesz się nimi zaraz - powiedziała Effie, ściągając stopy męża z podnóżka i stawiając na podłodze.

- Niech pękne, jeśli nie jesteś najbardziej dokuczliwą kobietą, jaką znam.

Z wymiany zdań między rodzicami Tibbie wywnioskowała, że zaraz rozpocznie się albo kłótnia, albo nerwowa krzątanina, więc gestem dała znak córce i obie wymknęły się z domu, by pójść na spacer do sadu.

Beth pobiegła przodem i już za bramą czekała na matkę, ze skakanką przerzuconą przez ramię.

- Jak tu ładnie pachnie - zauważyła, pociągając nosem. - Pachnie latem, prawda, mamo?

- To zapach kapryfolium, które rośnie wzdłuż płotu - wyjaśniła Tibbie. - To ono ma taki ładny aromat.

Znalazły odpowiednie miejsce pod starą śliwą i usiadły w cieniu.

- Podoba mi się tu. Jest ładnie i chłodno - powiedziała Beth, ściągając buciki i pończochy. Po chwili przebierała bosymi palcami stóp w miękkiej ziemi. - Już wiem, dlaczego Fortuna lubi ryc w błocie - powiedziała. - Myślisz, że jej jest tak samo przyjemnie grzebać rykiem, jak mnie stopami?

- Jestem pewna, że tak.

Znudziwszy się nieskomplikowaną zabawą, dziewczynka podebrała się na nogi i oznajmiła:

- Teraz będę skakać na skakance. Patrz na mnie, mamo. Licz, ile razy przeskoczę, zanim skuszę.

Tibbie próbowała liczyć, ale nie było to łatwe, bo Beth raz

po raz znikąca za drzewami. W końcu przepadła gdzieś na dobre. Wróciła po kwadransie, zdyszana, z zarumienioną buzią, ciągnąc za sobą po ziemi niebieską wstążkę.

- Gdzie byłaś?
- Poszłam po Fortunę.

Rzeczywiście, za dziewczynką kroczyła świnia, pochrzając z zadowoleniem. Umorusany ziemią ryj sterczał dumnie uniesiony, paciorkowate oczka błyszcząły.

Zmęczona Beth usiadła obok matki. Fortuna wykopała wokół nich ryjem parę dołków, po czym również zległa na odpoczynek, z ciężkim westchnieniem kładąc łeb na kolanach Beth.

Czasami Tibbie mogłaby przysiąc, że w tej świni jest coś ludzkiego. Wystarczyło spojrzeć na wyraz błogości, malujący się na świńskim pysku. Tibbie oparła się o pień drzewa, a Beth, siedząca z podkurczonymi nogami, wsparta o matkę, pulchnymi paluszkami drapała Fortunę między uszami.

- Mamo?
- Hm?
- Czy świnki idą do nieba, jak umrą?

Pytanie wcale nie zdziwiło Tibbie, ponieważ córka bezustannie zadawała jej podobne. Udzielając odpowiedzi, myślała o tym, że Beth wkrótce zacznie zadawać inne pytania, na które niełatwo będzie odpowiedzieć. Jednym z nich będzie pytanie o ojca. Mała niedługo miała zacząć chodzić do szkoły, więc wszystko było jedynie kwestią czasu.

Tibbie nie zrobiła jeszcze nic, by przygotować córkę do tej chwili. Uznała, że najlepiej będzie poczekać, aż Beth spyta, i wówczas udzielić odpowiedzi stosownej do wieku dziewczynki. Tibbie nigdy nie okłamywała córki na temat jej ojca, ale też niewiele o nim mówiła. Beth wiedziała, że ma tatę, ponieważ od czasu do czasu ktoś z rodziny mówił, że ma jego uśmiech albo jego oczy, lub też, jak mawiała babcia: „Z każdym dniem coraz bardziej przypomina swego ojca”.

- Raz czy dwa razy zaciekawiona Beth spytała:
- Gdzie jest mój tata, mamo?

- Na morzu - odpowiadała wówczas Tibbie.
- Odwiedzi nas niedługo?
- Myślę, że nie. Mieszka za daleko. Potrzebowałyby wielu miesięcy, żeby tu dotrzeć, a jest bardzo zajęty.

Ponieważ Beth miała zaledwie pięć lat, takie wyjaśnienia zwykle jej wystarczały i zaraz zmieniała temat na inny, lepiej jej znany. Na przykład - Fortuna.

Co do Fortuny, to otrząsnęła się już wprawdzie po zamknięciu w chlewiku, lecz nadal okazywała Tibbie pewną nieufność.

Jednakże tej niedzieli Beth chciała się dowiedzieć jak najwięcej o szkole, jako że wkrótce miała skończyć sześć lat i być wystarczająco duża, żeby rozpocząć naukę.

- Jaka duża będę w moje urodziny?
- Mniej więcej taka sama jak jesteś, Beth. Do twoich urodzin pozostał zaledwie miesiąc.
- Ale dziadek mówił, że po urodzinach będę na tyle duża, żeby iść do szkoły! - powiedziała dziewczynka z nutą rozczarowania. - Nie chcę być dalej taka mała! Chcę iść do szkoły!
- Ależ pójdziesz, kotku. Na pewno. Dziadek miał na myśli, że będziesz w odpowiednim wieku, ponieważ nie można zacząć nauki w szkole przed ukończeniem sześciu lat.

Beth zrobiła wielkie oczy.

- Sześć? O rany! - Klasnęła w dłoń. - To znaczy, że Mały Pressy nie może!

Mały Pressy był najmłodszym dzieckiem Sayersów. Naprawdę miał na imię Preston, ale Beth nazwała go Małym Pressym i wkrótce wszyscy tak na niego mówili. Sayersowie w każdą niedzielę siedzieli obok Buchananów w kościele. A nie dalej jak tego ranka pani Sayers pozwoliła, by Beth wyprowadziła Małego Pressy'ego na zewnątrz zupełnie sama.

- On nie może pójść, prawda, mammo?
- Oczywiście, że nie. Mały Pressy ma dopiero dwa lata.

Beth, zanosząc się śmiechem, znów klasnęła i odwróciła głowę, żeby dać matce buziaka. Tibbie, zajęta czesaniem długich jasnych włosów córki, przyjęła całusa z uśmiechem, ale nie

podniosła głowy. Beth z powrotem się odwróciła, i wodząc wzrokiem po śladzie zrytej ziemi, rozglądała się za Fortuną.

- Mamo - odezwała się stłumionym, podobnym do szeptu głosem. - Kto to jest?

Tibbie zobaczyła samotnego jeźdźca zbliżającego się drogą.

- Nie wiem. Pewnie ktoś się wybrał z niedzielną wizytą.

- Do nas?

- Nie wiem. Musimy poczekać, aż podjedzie bliżej. Jeśli skęrci do naszej bramy, to znaczy, że do nas. A jeśli pojedzie dalej...

- To znaczy, że jedzie odwiedzić państwa Dinwiddies. - Beth wpatrywała się w nieznaną postać na koniu. - Mam nadzieję, że jedzie do nas. - Westchnęła. - Uwielbiam towarzystwo.

- Tak jak twój dziadek - zauważyła Tibbie. Podniósłszy głowę zobaczyła, że jeździec skęrcą w drogę prowadzącą do domu Buchananów. - Wygląda na to... O mój Boże! Szybko, Beth! Biegnij po dziadka! Pospiesz się! Biegnij tak szybko, jak tylko potrafisz!

Dziewczynka ruszyła pędem w stronę domu, a Fortuna z kwikiem pognała za nią.

Tibbie pozostała pod drzewem, tylko podniosła się z ziemi.

- Eric - wyszeptęła, kiedy przybysz zatrzymał konia kilka stóp od niej i patrzył na nią, siedząc w siodle.

Eric... Krew odpłynęła jej z twarzy. Eric... Przebiegł ją dreszcz. Eric... O, Boże! Eric... Bezskutecznie usiłowała nad sobą panować. Dłonie zwilgotniały jej od potu, serce waliło jak oszalałe, słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło.

Patrzyła na twarz przechowywaną w pamięci niczym ukochany portret: gęsto ocienione rzęsami zielone oczy, arystokratyczny nos, kształtne usta o lekko kpiącym wyrazie. Ale to nie był portret, bo te oczy, patrzące na nią z nieukrywanym pożądaniem, były żywe.

Miała świadomość, że wpatrując się w niego, pozwala mu dostrzec swą niepewność, ale nie była w stanie odwrócić wzroku. Miała przed sobą twarz, która od tak dawna nawiedzała ją

w snach. Z trudem pokonała odruch, by podbiec do niego i rzucić mu się w ramiona. Zamknęła oczy i omal nie straciła równowagi, bo zakreśliło jej się w głowie. Miała wrażenie, że stoi nad brzegiem otchłani, która woła ją i przyciąga, każe jej zrobić ten jeden krok, prowadzący do upadku w wieczną ciemność.

Otworzyła oczy, niepewna swej poczytalności, ale Eric stał przed nią, jak najbardziej rzeczywisty.

- Jeśli akurat byłeś w sąsiedztwie i postanowiłeś wpaść z wizytą, to nie rób sobie kłopotu! - powiedziała. - Nie jesteś tu mile widziany.

Usłyszała dobrze znany śmiech, ujrzała błyski rozbawienia w zielonych oczach. Czy to był człowiek, którego kochała przez tak wiele lat? To mocne, szczupłe ciało, które leżało na niej, doprowadzając ją do rozkoszy? Wyobraźnia podsunęła jej widok palców rozpinających pospiesznie guziki koszuli, gładkich brązowych ramion, połyskujących nagością w świetle świecy, odgłos skrzypiącego łóżka.

Eric.

Żywy, przystojny, promiennie uśmiechnięty. Stał przed nią z tym samym czarującym uśmiechem, w tak samo eleganckim ubraniu, podkreślającym wzrost i smukłość sylwetki. Eric, złocisty i oślepiający jak promień słońca. Eric, porywający jak północny wiatr.

Eric.

Niewierny kochanek powrócił.

- Cześć, Tibbie. Wyglądasz na jeszcze bardziej zaskoczona, niż przewidywałem.

- Po tylu latach niby czemu miałabym nie być zaskoczona. Odstłonił zęby w leniwym uśmiechu.

- Może powinienem do ciebie napisać i wyjaśnić.

- Co wyjaśnić, Ericu? Co takiego mógłbyś mi wyjaśnić?

- Pozwolisz, że do ciebie dołączę? Nie chcę z tobą rozmawiać siedząc w siodle, kiedy na mnie patrzysz tak, jakbyś zobaczyła ducha.

- A dlaczego nie? Właśnie tym jesteś. Duchem. Wspomnie-

niem. Nie istniejesz już naprawdę, Ericu. Musiałeś się stać duchem.

- Nie jestem duchem i mogę ci to zaraz udowodnić. - Zsunął się z siodła i stał obok konia, trzymając w ręku luźno wiszące wodze.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek udowadniał, chcę, żebyś odjechał.

Spojrzał w stronę domu.

- Czy to było to dziecko? - spytał. - To, którego się spodziewałaś?

- Kiedy ty się ulotniłeś? - Nim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Ma na imię Bethany. Nie nazywamy jej „tym dzieckiem”.

Skrzywił się nieznacznie, słysząc jej ostry ton. Tibbie mówiła dalej, ale Eric już nie słuchał, poświęcając całą uwagę dokładnym oględzinom. Nie widział tej kobiety od sześciu lat, lecz patrząc na nią, odnosił wrażenie, że zaledwie wczoraj leżała w jego objęciach na plaży. Pragnął podejść do niej, złożyć głowę na jej piersi i wypłakać swój żal, błagając ją, żeby mu przebaczyła i przyjęła go z powrotem. Pragnął wziąć ją w ramiona i usłyszeć, jak mówi mu, że wszystko będzie tak, jak dawniej. Nie ośmielił się jednak wykonać tego kroku. Jeszcze nie teraz. Staczając wewnętrzną walkę, nie od razu spostrzegł, że przestała mówić, i wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- To niemożliwe - rzekł - ale jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy. - Mówił prawdę. Była piękniejsza, bo teraz ujmowała nie tylko urodą rysów. Od razu zauważył, że ma w sobie siłę i poczucie godności. Nadal była piękna. Nadal była młoda. A różnica polegała na tym, że teraz była w pełni rozkwitłą kobietą. - Lata były dla ciebie łaskawe, Tibbie. - Wyczuła w jego głosie nutę szczerości, co było niepokojące. Eric nigdy nie był szczery i otwarty i z pewnością nie należał do osób, wyjawiających prawdziwe uczucia.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, mówił dalej:

- Pod wieloma względami jesteś taka sama, jaką cię zapamiętałem, a mimo to coś się w tobie zmieniło. Zawsze byłaś

typem kobiety, która wyróżnia się w tłumie, a teraz ta cecha jeszcze się uwydatniła. Jakbyś nabrała pewnego... blasku, który zawsze będzie cię odróżniał od innych kobiet. To coś oczywistego, a jednocześnie tajemniczego, niemal wyzywającego... właściwie nie cecha charakteru, a raczej sugestia, że pod tą delikatną kobiecą powierzchownością kryje się wolna, nieugięta dusza. Mam dziwne wrażenie, że nieśmiała dziewczyna, którą kiedyś znałem, wyrosła na kobietę zdolną do przemocy.

- Może masz rację. Mogłabym wbić nóż w twoje kłamliwe serce, gdybym czuła, że nie mam wyboru.

Skłonił głowę w ironicznym geście uznania, podchodząc bliżej.

- Zatem widzę, że mój powrót nie będzie taki łatwy, jak sądziłem.

- Nigdy nie należałam do tych, którzy rzucają perły przed wieprze.

- No, no! - Uśmiechnął się, wyciągając rękę, żeby ją pogładzić po policzku. Cofnęła się natychmiast. - Co będzie dalej? Co zrobimy z naszą przeszłością?

- Nie mamy wspólnej przeszłości.

- Czyżbyś zapomniała o tych cudownych chwilach, kiedy byliśmy razem, kiedy mnie przyjmowałaś w swoim...

- Nie musisz mi niczego przypominać.

- Świetnie, więc co teraz zrobimy?

- Nic nie zrobimy. Nie ma powodu, żebyśmy próbowali.

- Mamy córkę. Czy to nie jest wystarczający powód?

Zaśmiała się drwiąco.

- To nie był wystarczający powód sześć lat temu. Dlaczego miałby być teraz?

- Byłem wtedy młodym durniem.

- Nadal nim jesteś, skoro sądzisz, że wciąż nas coś łączy.

- Tibbie, proszę cię. Nie możesz zapomnieć albo przynajmniej wybaczyć?

- Zapomnieć? Co zapomnieć? Zapomnieć, jak twarz ci zastygła w zimną maskę, kiedy ci powiedziałam, że jestem w ciąży? Zapomnieć, jak się zachowałeś, porzucając mnie? Chyba oszalałeś!

- Do licha! Nie porzuciłem cię. Mój ojciec...
- Tak - przerwała mu cicho. - Pamiętam, jak powiedziałaś, że twój ojciec ma wobec ciebie inne plany. Córka bogatego sąsiada, tak?

- Tak. - Spuścił wzrok.

- I ożeniłeś się z nią... żeby zadowolić ojca, ma się rozumieć.

- Tak, ożeniłem się z nią, ale to nie tak było. Nigdy jej nie kochałem! Ożeniłem się z nią tylko dlatego, że ojciec mi groził.

- A teraz przyjeżdżasz tu do mnie, po latach, mając żonę! Czy ty masz rozum?

- Umarła dwa lata temu.

- Mieliście dzieci?

- Nie. - Czyż nie było ironią losu, że kobieta, którą kochał, ale nie poślubił, urodziła mu dziecko, podczas gdy ta, którą poślubił, choć nie kochał, nie mogła tego zrobić.

- To smutny koniec małżeństwa, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że teraz jest jej lepiej.

- Tibbie, proszę cię, wysłuchaj mnie spokojnie.

- Po co?

- Chciałbym poznać moją córkę, spędzić z nią trochę czasu.

Chciałbym pomóc...

- Wcześniej nie chciałeś pomagać. Zrzuciłeś na mnie całą odpowiedzialność.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Nie mów mi tylko, że nie pamiętasz! Ja pamiętam! „Mój Boże! Co teraz zrobisz?” powiedziałaś. Czy to ci brzmi znajomo?

Jej słowa obudziły dawne wspomnienie. Ericowi mina zrzedła.

- „Mój Boże! Co teraz zrobisz?”

- Zastanawiałam się, co my teraz zrobimy, Ericu.

- Twój ojciec jest lekarzem, nie może czegoś zrobić? Jesteś za młoda, żeby zostać matką. Nie potrzebujesz dziecka tak wcześnie. Nie patrz tak na mnie. Mogłabyś mieć inne dzieci, jak będziesz starsza”.

Tibbie patrzyła na niego zupełnie tak samo, jak tamtego dnia, zła, zdumiona, wstrząśnięta.

- Chcę ci wszystko wynagrodzić. Dlatego właśnie wróciłem.
- Jakikolwiek jest powód twojego powrotu, teraz nie ma żadnego znaczenia.

- Owszem, ma!

- Czyżby? A miało dla ciebie znaczenie, żeby się ze mną pożegnać? Albo chociaż zostawić jakąś wiadomość? Zadałeś sobie trud, żeby do mnie napisać chociaż raz przez te sześć lat? Opuściłeś mnie. Myślałam, że dlatego, że ci na mnie nie zależy, tak jak mnie już nie zależy na tobie.

Poderwał głowę, aż przez moment myślała, że ją uderzy. Opanował się jednak, choć nie bez trudu. Tibbie czuła, że jest na siebie zły, bo dał się zapędzić w koziego róg. Zapamiętała, że Eric nie mógł ścierpieć porażki, nie znosił, kiedy racje kogoś innego brały górę.

Wiedziała, że wykorzysta jej milczenie i zmieni temat, kierując rozmowę z powrotem na dobrze mu znane, niebezpieczne tory. Zastanawiała się, ile kobiet dało się nabrać na jego giętki język od czasu, gdy ją opuścił.

- Zawsze zapierałaś mi dech w piersi. Nadal jest tak samo.

- No to wciągnij powietrze i zabieraj się stąd. Nie jesteś tu mile widziany, Ericu. Już nie. Nie ma tu nic, co by do ciebie należało, nie ma żadnego powodu, żebyś wracał.

- Mam córkę.

Znów miała wrażenie, że stoi na skraju przepaści, a ziemia usuwa jej się spod nóg. Coś w niej krzyczało: „Nie! Weź się w garść! Nie pozwól mu!”

- Ty miałaś tylko kilka chwil przyjemności. To ja mam córkę.

- Ona jest tak samo moją córką.

- Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Ja ją urodziłam. Ja ją wykarmiłam. Ja się nią zajmowałam, kiedy była chora. Nie obchodziło cię, że noszę twoje dziecko. Więc dlaczego teraz cię obchodzi? Nigdy nawet nie napisałeś, żeby się dowiedzieć, czy masz syna czy córkę. Oto jak ci zależało.

- Tibbie, proszę... Nie wróciłem po to, żeby się z tobą kłócić.

- Więc po co wróciłeś?

- Bo nadal cię Kocham.

Świat zawirował jej przed oczyma. Zbyt wiele uczuć, zbyt wiele emocji tłumionych przez sześć lat nagle wymknęło się spod kontroli, wprawiając ją w stan oszołomienia. Już samo jego nagłe pojawienie się po latach było szokujące. Miała tyle wspomnień o tym człowieku, o upojnych nocach spędzonych razem. Pamiętała też jednak, jak się czuła, kiedy ją opuścił, jak bardzo go potrzebowała, jak omal nie oszalała z tęsknoty. Wezbrała w niej niepowstrzymana fala gniewu. Jak śmiał teraz powracać? Przed oczyma Tibbie znienacka przepłynęła twarz Nicka, wzbudzając w niej jednocześnie radość i lęk. Eric. Eric z krwi i kości stał przed nią w nienagannie skrojonych modnych spodniach, lśniących brązowych butach do kolan, śnieżnobiałej koszuli z rękawami zawiniętymi na umięśnionych rękach, rozpiętej pod szyją, by odsłonić opaloną bezwłosą pierś. Dobrze pamiętała aksamitną gładkość jego skóry...

Przypomniła sobie, jak wyglądał wtedy nocą na plaży, gdy blask księżyca wydobywał z mroku jego nagą męską sylwetkę na tle połyskującej tajemniczo wody, a wiatr od zatoki niósł przyjemną ochłodę rozgrzanym ciałom. Przypomniła sobie, jak podszedł do niej, wziął ją za rękę i poprowadził do wody, jak stali nadzy, poddając się pieszczocie fal. Nie mogła zapomnieć, jak wziął ją w ramiona i powiedział, że ją kocha. A potem zaniósł na koc i kochał się z nią do utraty tchu.

Powiedział, że ją kocha...

A wkrótce potem już go nie było.

- Tibbie, Kocham cię.
- Kłamca!
- Wróciłem, żeby cię prosić o rękę.

Zemdlała.

Eric niósł ją w stronę domu, kiedy spotkał jej ojca, nadbiegającego z lekarską torbą w ręku. Coll pociemniał na twarzy, rozpoznałszy Erica. Pochylił się nad córką.

- Co się stało?
- Zemdlała.

- Trudno się dziwić. Ja ją wezmę.
- Chciałbym sam ją zanieść - upierał się Eric.
- Czemu? Żeby ją znów porzucić? - rzucił ze złością Coll, biorąc od niego Tibbie.

Jakiś czas później ocknęła się w swoim pokoju. Przy łóżku czuwała Effie. Tibbie zapytała ją o Beth.

- Rysuje obrazki dla babci Grace. Co się stało, Tib? Co tu robi Eric?

- O Boże! - Tibbie zakryła usta dłonią zaciśniętą w pięść. - Myślałam, że wrócił po Beth. - Zaczęła płakać. - Myślałam, że wrócił po to, by mi ją zabrać!

- Skąd wiesz, że nie po to?

- Powiedział mi.

- Więc czego tu szuka?

- Poprosił mnie... o rękę.

- Niesłychane! On coś knuje, to pewne jak noc po dniu. - Patrząc z troską na córkę, Effie poklepała ją po ręce. - Nie wierz w nic, co mówi ten człowiek. To nicpoń, zdolny do wszystkiego.

- Och, mammo... nie wiem, co mam robić!

- A ja nie wiem, jak możesz tak mówić. Daj mu kosza. Odeślij go, skąd przyszedł.

- Ale wyglądał inaczej, nie to, że starzej, tylko smutno. Mam wrażenie, że naprawdę żałuje tego, co się stało, że nadal mnie kocha...

- Skoro tak myślisz, to masz pamięć krótszą niż żaba ogon.

- A jeśli mówił prawdę? Jeśli naprawdę chce się ze mną ożenić?

- Prawda w ustach takiego typu gości rzadziej niż łotr w kościele. Lepiej o tym nie zapominaj.

- A jeśli powiem, że nadal go kocham?

- No nie, to dopiero śmiechu warte! - uniosła się Effie. - Nie kochasz go bardziej niż ja. Kochasz wspomnienie, które idealizowałaś przez lata. Zdejmij z oczu różowe okulary, dziewczyno. Musisz zobaczyć tego człowieka takim, jaki jest naprawdę. Jest niedobry.

- Gdzie tata?
- W swoim gabinecie, rozmawia z Erikiem.
- Tu jestem - odezwał się Coll, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Stał obok żony i spojrzał na córkę. - Co on ci powiedział?

- Że wrócił po to, by mnie prosić o rękę.

Effie spojrzała na męża.

- Tobie powiedział to samo?

- Owszem.

Effie zmarszczyła czoło:

- Chyba mu nie uwierzyłeś?

- Ależ tak, uwierzyłem. Myślę, że naprawdę chce się ożenić z Tibbie. Nie jestem tylko pewien dlaczego.

- Ona uważa, że się zmienił - powiedziała Effie.

- Wątpię - krótko wyraził swą opinię Coll. - Nie rób sobie nadziei, złotko.

Lecz Tibbie obawiała się, że nadzieja już zakiełkowała w jej sercu. Rodzice zostawili ją samą, żeby doszła do siebie i przemyślała wszystko spokojnie. Wychodząc, ojciec udzielił jej rady:

- Nie ulegaj nastrojowi chwili. Pragnienie, by coś się zmieniło, samo niczego nie zmienia. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać, tato. Obiecuję.

Nie było to jednak łatwe. Eric stanowił symbol jej młodości. Jego powrót był jak przebudzenie, jak odrodzenie jej niezniszczalnego ducha. Eric wrócił. I obsypał ją magicznym pyłem.

Zjawił się z wizytą następnego ranka.

- Nie chcę go widzieć - powiedziała Tibbie do matki.

- Nie mam ci tego za złe, ale chyba powinnaś.

Tibbie zrobiła wielkie oczy.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeszcze się z niego całkiem nie wyleczyłaś i nigdy się nie wyleczysz, jeżeli go odpawisz, wciąż żywiąc do niego te uczucia. Ma ci coś do powiedzenia. Musisz go wysłuchać i dopiero wtedy zdecydować. Jeśli postanowisz go odesłać, to nie będzie cię prześladowało jego wspomnienie.

Eric czekał w salonie, siedząc na krześle przy oknie. Na jej widok poderwał się na nogi.

- Usiądź, Ericu. Rozumiem, że masz mi coś do powiedzenia, coś, czego nie powiedziałaś wczoraj.

- Owszem.

- Jest dziś mnóstwo pacjentów, więc mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Nie potrwa długo.

Usiadła naprzeciw niego na kanapie, uważając, by nie znaleźć się za blisko.

- Słucham.

- Wiele razy o tym myślałem, przeprowadzałem wiele prób, więc nie sądziłem, że będzie mi tak trudno. Nie wiem, od czego zacząć.

- Chyba najlepiej od początku.

- Nie... nie byłem całkiem uczciwy wobec ciebie, kiedy się dowiedziałem o ciąży. Powiedziałem ci, że ojciec zaplanował dla mnie małżeństwo, i rzeczywiście tak było. Mój ojciec jest silnym, władczym człowiekiem, ale miałem zamiar wrócić do domu, żeby zerwać zaręczyny.

- Dlaczego nie mogłeś mi o tym powiedzieć?

- Bałem się, że zechcesz pojechać ze mną albo wyjść za mnie od razu. Tibbie, znam mojego ojca lepiej niż ktokolwiek inny. Gdybym się wtedy z tobą ożenił i zabrał cię ze sobą, zatrułby życie nam obojgu. Wiedziałem, że jeśli ożenię się z tobą przed zerwaniem zaręczyn, to mnie wydziedziczy. - Potrząsnął głową. - Trudno się przyznać, ale byłem tchórzem. Nie potrafiłem ci powiedzieć prawdy.

- Nie byłeś tchórzem, Ericu. Byłeś draniem! - szepnęła blada jak płótno.

- Tibbie, kochałem cię. - Zrobił błagalną minę. - Bałem się powiedzieć wszystko w obawie, że cię stracę. Miałem najszczerzy zamiar po ciebie wrócić.

- Stracić mnie czy porzucić, co za różnica?

- Wtedy myślałem tylko o tym, żeby być z tobą, mieć cię

dla siebie. Wierzyłem, że jakoś sobie ze wszystkim poradzę. Kiedy cię opuszczałem, miałem zamiar jechać do domu i uporządkować swoje sprawy, zerwać zaręczyny i postawić się ojcu, a potem wrócić po ciebie.

- Więc uciekłeś jak złodziej, w środku nocy?

- Bałem się, że mnie znienawidzisz, jak się dowiesz. Wiedziałem, że mnie kochasz. Zakładałem, że twoja miłość jest dość mocna, by przetrwać do mojego powrotu.

- I...?

- Powiedziałem o tobie ojcu. A on na to, że nie mogę zerwać zaręczyn. Zostały podpisane pewne dokumenty. Moja... rodzina mojej żony jest jedną z najbogatszych na Hawajach. Mój ojciec jest bogaty, ale ma niewiele w porównaniu z jej rodziną. Wielkie sumy pieniędzy już przeszły z rąk do rąk. Ojciec powiedział nie tylko to, że mnie wydziedziczy, zagroził, że każe mnie zamknąć w więzieniu za złamanie umowy. Nic nie mogłem zrobić. Małżeństwo z tobą nie wchodziło w grę.

- Rozumiem. - Odwróciła głowę, nad czymś zamyślona. Kiedy znów na niego spojrzała, zobaczył w jej złocistych oczach świeży błysk gniewu. - Wszystko zgrabnie wyjaśniłeś. Poza jednym. Nie powiedziałaś, dlaczego chciałeś, żeby mój ojciec pomógł mi się pozbyć Bethany.

- Miliony razy żałowałem tych słów. Byłem zaskoczony, nie potrafiłem jasno myśleć. To było takie głupie i zupełnie do mnie niepodobne. Na swoją obronę mam tylko to, że przedkładałem moją miłość do ciebie ponad dziecko. - Głos mu zadrżał na widok niedowierzania w jej oczach. Opanował się jednak natychmiast. - Po pierwsze, wiedziałem, że nie zdążę popłynąć na Hawaje i z powrotem, zanim urodzisz dziecko. Bałem się, że kiedy wyjadę, możesz poślubić kogoś innego... żeby dać dziecku nazwisko. Jak miałem znieść myśl, że wrócę po ciebie, a ty będziesz już żoną innego?

- To, co proponowałeś, było morderstwem twojego własnego dziecka. Jak mogłeś?

- Codziennie zadawałem sobie to pytanie. Pytanie bez odpowiedzi.

- Więc popłynąłeś na Hawaje i zostałeś tam, nie zadając sobie trudu, żeby do mnie napisać.

- Pisałem. Wiele razy.

- I mam uwierzyć, że wszystkie twoje listy zaginęły na morzu?

- Nie, nigdy nie dotarły aż tak daleko. Dopiero po śmierci mojej żony zwrócił mi je człowiek, który obiecał je wysłać. Był moim oddanym przyjacielem, ale w przeszłości popełnił jakiś błąd i mój teść trzymał go w szachu. Nie mając innego wyjścia, musiał być mu posłuszny. Odmówił jednak zniszczenia listów, co kazano mu zrobić. - Eric sięgnął do stołu i Tibbie po raz pierwszy ujrzała paczuszkę owiniętą sztywnym papierem i przewiązaną sznurkiem. Podał jej listy. - Są tu wszystkie, nadal zapieczętowane, tak jak wtedy, gdy je dawałem Eliasowi.

Wzięła od niego listy drżącymi rękami.

- Powiedziałeś, że twoja żona umarła dwa lata temu. Czemu wówczas do mnie nie napisałeś?

- Chciałem ci powiedzieć, co się stało, porozmawiać z tobą, zobaczyć cię osobiście. Wiedząc, że możesz już być mężatką, przysiągłem sobie, że jeśli rzeczywiście tak jest, wyjadę, nie widząc się z tobą.

- I to ci zajęło dwa lata?

- Ledwie miałem czas uporządkować swoje sprawy po śmierci żony, kiedy moja matka ciężko zachorowała. Nie mogłem jej opuścić. Umarła pół roku temu.

- Więc jesteś tu teraz.

- Tak, jestem tu i czekam, żeby zobaczyć, co się między nami stanie. - Widząc, jak rysy jej tężeją, dodał szybko: - Błagam, jeszcze nic nie mów. Nie proszę cię o natychmiastową decyzję. Proszę tylko o to, żebyś przeczytała te listy, spędziła ze mną trochę czasu, pozwoliła mi poznać córkę. Daj mi trochę czasu, bym mógł dowieść swoich uczuć do ciebie, czasu na to, by przygasł twój ból i gniew.

Stała przed kominkiem, odwrócona plecami do Erica.

- Nie wiem. Minęło dużo czasu. Spotkałam kogoś innego.

- Kochasz go?

- Jeśli nawet jeszcze nie, to jestem bliska.

Słyszając, że wstaje, odwróciła się do niego. Wyglądał jak nieśmiały chłopiec, niepewny, co ma dalej robić,

- Chciałbym przyjść znowu, może zobaczyć Bethany, jeśli pozwolisz.

Pokiwała głową.

- Powiedz mi, co myślisz, co czujesz. Nadal jesteś na mnie wściekła?

Westchnęła, patrząc na jego zasepioną twarz.

- Nie, nie jestem wściekła. Na początku byłam, ale to minęło. Miałam poczucie krzywdy i złamane serce. Nie potrafiłam uwierzyć, że mogłeś mnie porzucić w taki sposób.

- Mówiłem ci, że chciałbym ci to wszystko wynagrodzić.

- Nie jestem pewna, czy to możliwe, Ericu. - Podeszła do drzwi. - Odprowadzę cię.

Poszedł za nią do wyjścia.

- Jeśli przyjdę znowu, zgodzisz się ze mną zobaczyć?

- Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, ale możesz zobaczyć Beth.

Skinął głową.

Patrzyła, jak wychodzi, niepewna, na co się zgodziła. Z jakiegoś powodu nie mogła się wyzbyć przeczucia, że posiała wiatr i może przyjdzie jej zbierać burzę.

16

Tego popołudnia Eric znowu przyszedł. Tibbie wyprowadziła go z domu, żeby mógł się spotkać z Beth, która bawiła się z Fortuną koło stodoły. Był niepokieszony, widząc, że jego córka bawi się ze świnia.

- Przecież to obrzydliwe zwierzęta. - Skrzywił się.

- Wcale nie. Może trudno ci w to uwierzyć, ale świnie są wyjątkowo czystymi stworzeniami.

- Beth, nie masz nikogo innego do zabawy poza tą świnia? - nie ustępował Eric.

- Pewnie, że mam - zapewniła go dobrodusznie. - W kościele bawię się z Małym Pressym. A na lekcjach fortepianu widuję Melissę Abernathy. Ale lubię się bawić z Nickiem. Jego lubię najbardziej. - Zwracając się do Tibbie, dodała: - Czy Nick znowu do nas przyjedzie?

- Raczej nieprędko - odparła Tibbie.

- Obiecał mi przywieźć niespodziankę - pochwaliła się Beth.

- No to z pewnością przywiezie. - Tibbie obejrzała się w stronę domu. - Już prawie czas na kolację. Idź się umyj, słyszysz?

Beth pokiwała głową i z piskiem pobiegła za Fortuną.

Na kuchennych schodach omal nie zderzyli się z babcią Grace.

- Pamiętasz Erica, prawda, babciu?

- Wolabym nie pamiętać - rzuciła staruszka, przeszywając

gościa niechętnym spojrzeniem. - Gdzie jest Nick? - zwróciła się do Tibbie.

- Kim jest ten Nick, o którym wszyscy mówią? - zainteresował się Eric.

Przeszli przez dom na frontowy ganek. Tibbie przycupnęła na schodach, a Eric usadowił się na wiszącej huśtawce. Powiedziała mu o Nicku. Była zmęczona niedopowiedzeniami i tajemnicami. Nie miała pojęcia, jak w końcu potoczy się sprawa z Erikiem, ale jednego była pewna - musieli być ze sobą od tej pory całkowicie szczyrzy, niezależnie od tego, do czego ta szczerść miała ich doprowadzić.

Słuchał w milczeniu, odezwał się dopiero wtedy, gdy skończyła.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi o nim wcześniej.

- Widziałam się z tobą zaledwie trzy razy. Wcześniej, to znaczy kiedy?

- Miałem na myśli z własnej inicjatywy, bez mojego pytania.

- A co to zmienia?

- Nie wiem. Może w ogóle byś mi nie powiedziała, gdybym nie zapytał?

- Nie próbuj mnie przypierać do muru, Ericu.

- Ani mi się śni! Po prostu żałuję, że nie powiedziałaś mi wcześniej, to wszystko. Nie lubię, jak się coś przede mną ukrywa.

Tibbie potrzęsęła głową, a potem oparła czoło na podciągniętych kolanach. Widząc, jak podziały na nią jego zarzuty, Eric z westchnieniem podniósł się z huśtawki i usiadł obok niej na stopniu.

Nie cofnęła się, kiedy wyciągnął rękę i zaczął jej masować zeszywniały kark. Napięte mięśnie rozluźniały się pod delikatną, choć zdecydowaną pieszczotą jego mocnych palców.

- Przepraszam. To dlatego, że na każdym kroku spotykam się z niechęcią. Chwilami czuję się jak Jakub czekający na Rachele.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Dlaczego? Jakub został zmuszony do ożenku z Lią podstępem. Ty poślubiłeś żonę z własnej nieprzymuszonej woli.

- Zostałem zmuszony.
- Miałeś wybór.
- Czy to już zawsze będzie stać między nami? - Odwrócił wzrok. - Czasem myślę, że nigdy nie będziesz moja. - Zaśmiał się gorzko. - Pewnie nadal będę za tobą gonił, kiedy będę stary jak te wzgórza i z siwą brodą, długą jak rzeka Kolorado.
- Do tego czasu ja będę już taka stara, że nie będziesz chciał za mną gonić.
- Zawsze będę chciał - powiedział cicho, nagle poważniejąc.
- Ericu... nie wiem, co mam ci powiedzieć.
- Nic nie mów. Jeśli mam choćby najmniejszą szansę pokonać tego Nicka, chętnie poczekam. Ale jeśli masz zamiar wyjść za niego, to mi powiedz.

Te słowa, wypowiedziane miękkim, niemal błagalnym tonem, mocno ją poruszyły.

- Ja... Nie prosił mnie o rękę.
- Dzięki Bogu! - ucieszył się Eric. Podniósłszy się ze stopnia, porwał w ramiona babcię Grace, która akurat stanęła w drzwiach, i parę razy okręcił ją w powietrzu. Następnie ucałował ją w policzek z głośnym cmoknięciem, podpierając się na jednej ręce przesadził barierkę ganku, przebiegł przez podwórze i z rozpędu wskoczył na grzbiet swego konia. Poderwawszy zwierzę do galopu, pomachał kapeluszem, wydając przy tym okrzyk, który wywabił na ganek Effie.

- Co się tu dzieje? Hałas taki, jakbyśmy zostali napadnięci przez Indian.

- Chciałabym, żeby to było aż takie proste. - Tibbie westchnęła.

Po odjeździe Erica, tak pospiesznym, że czuła się nieco urażona, długo siedziała na ganku, obserwując krowy pasące się po drugiej stronie drogi.

Tej nocy leżała w łóżku bezsennie, rozmyślając o Ericu i o jego niespodziewanym powrocie. Nigdy by nie uwierzyła, że jeszcze go zobaczy. Czyż życie nie jest pełne niespodzianek? Myślała o tym wszystkim, co jej powiedział, o listach, które jej

dał, i o tym, jak płakała nad każdym z nich. Po przeczytaniu ich nie miała wątpliwości, że Eric ją kochał, szczerze i głęboko. Nawet jej matka, dotąd bardzo sceptyczna, czytając je, zapłakała.

- Cóż... - powiedziała Effie, wycierając oczy rękawem fartucha. - To chyba nie jego wina, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Nie twierdę, że był w porządku ani że się z nim zgadzam. Postąpił jak tchórz, ale skąd można wiedzieć, czy każdy z nas nie zachowałby się podobnie, będąc na jego miejscu? Cóż, człowiek powinien umieć wybaczać.

- Chcesz powiedzieć, że ja nie umiem wybaczać?

- Nie wkładaj mi słów w usta. Mówię, co myślę, tak ogólnie.

Leżąc w łóżku, Tibbie próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby sprawy ułożyły się inaczej. A gdyby Eric przekonał ojca, by mu pozwolił się z nią ożenić? Gdyby przyjaciel wysłał listy? A gdyby Eric zwlekał jeszcze kilka miesięcy z decyzją powrotu? To tylko strata czasu, skarciła się w duchu. Co się stało, to się nie odstanie, więc nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Eric ma swoje przeznaczenie do spełnienia, a ja mam swoje. Tylko jedno pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi, kiedy wreszcie odpłynęła w sen. Czy jej przeznaczeniem był Eric, czy Nicholas?

Następnego ranka złożył jej wizytę Porter Masterson.

- Dla mnie? - zdziwiła się, kiedy wręczył jej długie białe pudełko, przewiązane różową wstążką.

- Nick by mnie, zabił, gdybym to dał komuś innemu - odparł Porter ze śmiechem. - Przysłał je dziś rano z Galveston.

Po odjeździe Portera Tibbie pospieszyła do swojego pokoju. Zdążyła rozwiązać wstążkę, nim jeszcze dotarła do drzwi. Nim je zamknęła, na pudełku nie było pokrywki, a nim podeszła do łóżka, w jednej ręce trzymała rozłożoną piękną białą parasolkę z koronki, w drugiej bilecik, na którym było napisane:

Naliczyłem dziewięć piegów na Twoim nosie, kiedy Cię ostatnio widziałem. Ten drobiazg pomoże upilnować, żeby nie było ich dziesięć, kiedy wrócę.

Zawsze Twój Nicholas.

Tej nocy wszystkie myśli Tibbie krążyły wokół niego. Gdzie teraz był? Czy często o niej myślał? Wstała z łóżka i usiadła w fotelu pod oknem. Oparłszy czoło o chłodną szybę, z narastającym smutkiem patrzyła na podwórze, ciche i zamarte. Wysoko na niebie wisiał księżyc, wielki, biały, okrągły, rzucając na ziemię bladą poświatę, w której nawet najostrejsze kształty nabierały przyjaznej miękkości. Ten sam księżyc, pomyślała, świeci Nicholasowi Mackinnonowi, niezależnie od tego, gdzie teraz jest.

Dni mijały, a ona często myślała o Nicholasie, chociaż go nie widywała. Jak na ironię, o Ericu, którego widywała codziennie, myślała bardzo rzadko. Może gdyby ci dwaj mężczyźni zamienili się miejscami, byłoby odwrotnie. Teraz wydało jej się dziwne, że tak łatwo pokochała Nicka, a tak trudno było sobie uświadomić, że go kocha.

W następny wtorek Eric zabrał ją łodzią na zatokę. Opowiadał jej dużo o Hawajach, o wyspie Maui, o jej legendach, wioskach i ludziach. Opowiedział też o swojej rodzinie, o śmierci matki i despotycznym ojcu.

- Zawsze kochałem go całym sercem, choć czułem, że faworyzuje moich braci. Może właśnie dlatego starałem się go zadowolić, spełniać każde jego żądanie, w nadziei, że zyskam miłość człowieka, niezdolnego do obdarzania kogokolwiek tym uczuciem.

- Och, Ericu. - Pochyliła się, żeby dotknąć jego ręki, w której trzymał wiosło.

- Już dobrze. - Westchnął. - Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że ludzie, których kocham, nie odwzajemniają mojej miłości. Dziwi mnie tylko, że wciąż próbuję.

- Poddawanie się niczego nie rozwiązuje.

- Podobnie jak ciągłe porażki. - Uśmiechnął się półgębkiem i uderzył wiosłem o wodę tak mocno, że Tibbie aż podskoczyła, a potem pisnęła, ochlapana fontanną kropel. Nie zdejmując rękawiczki, ze śmiechem zanurzyła dłoń, ochlapując go znacznie mocniej niż on ją.

- Hej! - zawołał rozbawiony. - Zapłacisz mi za to.

Ułożyła się wygodnie na dziobie łodzi i patrzyła na rozświetloną słońcem jasną czuprynę Erica. Słońce bez wątplenia służyło jego męskiej urodzie. Westchnęła, przebierając palcami w przyjemnie orzeźwiającej wodzie. Nietrudno było się zakochać w tym jasnowłosym mężczyźnie. Zamknawszy oczy, przypominała sobie, jak ze śmiechem wślizgiwał się w jej otwarte ramiona. A potem już się nie śmiał i nic nie mówił, tylko wyrażał wszystko swoim chętnym, zręcznym ciałem. Dopiero gdy leżeli zaspokojeni, spleceni w objęciach, znów zaczynał mówić, a ona słuchała, tak jak teraz.

- Ślicznie wyglądasz, Tibbie, moja najdroższa. - Nim zdążyła otworzyć oczy, dopadł jej ust. Jego pocałunek był ciepły i uroczy, jak taniec słonecznych promieni na jego włosach.

Jednak tej nocy, kiedy już leżała w łóżku, myślała o Nicholasie.

W środę Eric zabrał ją na jeżyny do zagajnika porastającego brzegi strumienia. Kiedy koszyk był już pełen, rozłożyli pod dębem koc i Eric podawał jej pachnące dojrzałe owoce wprost do ust. Sok spłynął jej po brodzie i niechybnie poplamiałby sukienkę, gdyby Eric nie przechylił jej głowy i nie osuszył pocałunkami słodkiego śladu.

Lecz i tej nocy, leżąc w łóżku, myślała o Nicholasie.

W czwartek Eric zjawił się z torbą produktów zakupionych w mieście.

- Ugotuję obiad dla ciebie i twojej rodziny - oznajmił, wypraszając wszystkich z kuchni. Kiedy obiad był gotowy, zgromadzili się przy stole, żeby zjeść najgorszy posiłek, jaki kiedykolwiek jedli. Przez półtorej godziny zaśmiewali się z tłuczonych ziemniaków, które były niedogotowane i trzymały się łyżki jak klej. Coll chciał sobie nałożyć trochę na talerz, ale ponieważ

nie chciały się odkleić, zaczął potrząsać łyżką. Puścili przy trzecim potrząśnięciu, przeleciały nad stołem i wylądowały w zupie Effie. Chcąc ratować zachlapaną bluzkę matki, Tibbie chwyciła serwetkę, przy gwałtownym ruchu wywracając kieliszek z czerwonym winem.

Nie było jeszcze tak źle do momentu, kiedy babcia Grace, wpatrując się w krwisty kawałek kurczaka na swoim talerzu, spytała:

- Mam go dobić czy od razu pochować?

Tego było już za wiele. Wszyscy dosłownie pokładali się ze śmiechu, nie zważając na to, że jedzenie jest okropne, bluzka Effie cała w plamach, a najlepszy biały obrus w stanie kompletnej ruiny. Wstali od stołu wprawdzie głodni, lecz zadowoleni.

Ale tej nocy, leżąc w łóżku, Tibbie myślała o Nicholasie.

W piątek Eric zabrał ją do miasta, żeby przywieźć zaopatrzenie dla Colla. Siedząc obok niego na koźle, słuchała, jak mówi, i patrzyła, jak skóra wokół jego zielonych oczu marszczy się podczas uśmiechu. Kiedy szepnął jej coś do ucha, roześmiała się, a on podniósł jej drobną dłoń do ust i ucałował palce.

Nie było nic niezwykłego w tym, że Nick powrócił do Indianoli. Niezwykłe było tylko to, że wrócił akurat tego dnia i że właśnie w tym momencie wyszedł ze sklepu.

Pograżony w rozmowie z Porterem, odruchowo spojrzął na ulicę. I natrafił wzrokiem na Tibbie. Nie zauważyła ani jego, ani Portera; wóz, grzechocząc na kamieniach, pojechał dalej. Nick poczuł, że coś w nim pęka. Był w stanie znieść niemal każdą torturę zadaną przez Tibbie, ale nie mógł pozwolić, żeby robiła z niego głupca. Nie siląc się na wyjaśnienia, przeprosił Portera i skierował się do stajni.

Lecz kiedy Tibbie z Erikiem mijali stocznię, Tibbie myślała o Nicholasie.

Niedługo później Nick pojawił się przed drzwiami domu Buchananów. Godzinę po odjeździe Erica do kliniki weszła Effie i powiadomiła Tibbie, że Nick chce się z nią widzieć.

Nick? Tutaj? Teraz? Serce zabiło jej mocniej, radość, że znów

go zobaczy, rozkwitła w niej niczym kwiat. Usta same się uśmiechnęły. Zobaczą Nicka, zobaczą Nicka, myślała gorączkowo.

- Teraz? - Tylko tyle potrafiła powiedzieć.

Effie przyjrzała jej się z dziwną miną.

- Tak sądzę. Stoi przed drzwiami. Gdyby chciał zobaczyć się z tobą później, nie przychodziłby tu teraz.

Wychodząc z kliniki, Tibbie myślała o tym, jak bardzo za nim tęskniła. To dowodziło niezbicie, że go kocha, że potrzebuje jego siły, zrozumienia, czułości, jego uśmiechu, a nawet jego złości.

Do spotkania doszło w salonie, ale nie pozostali tam długo. Nick chwycił ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz domu.

- Go ty robisz? - zdziwiła się.

- Chcę z tobą pomówić - mruknął z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Niemal biegnąc, by dotrzymać mu kroku, Tibbie nie mogła się nadziwić samej sobie, że tęskniła za tym człowiekiem, zwłaszcza za jego złością.

Ciągnąc ją za sobą, Nicholas przypomniał sobie nagle, jak podbiegła i rzuciła mu się w ramiona, kiedy widzieli się ostatnim razem. Jednakże zaraz potem przypomniał sobie, jak siedząc na wozie obok tamtego mężczyzny, śmiała się, kiedy całował jej palce. Wolał się nie zastanawiać, co jeszcze pozwalała całować temu draniowi.

Podczas gdy Nick oddawał się swym ponurym podejrzeniom, Tibbie doszła do wniosku, że takiego Nicholasa Mackinnona jeszcze nie zna. Nadal wyglądał piekielnie przystojnie, ale zaciśnięta szczęka i szorstkość ruchów współgrały z zimnym błyskiem gniewu w niebieskich oczach. Miała wrażenie, że jest zdolny zabić.

- Nie możemy rozmawiać w środku? - spytała.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo mogę stracić panowanie nad sobą i zrobić coś, na co od dawna miałem ochotę.

- Co?

- Wytrząść cię po siedzeniu albo potrząsnąć tobą tak, że ci zęby powypadają.

- Za co? - wydukała oszołomiona Tibbie.

- Zaraz ci powiem - wycedził.

Nim dotarli do sadu, Nick trochę ochłonał, ale jego determinacja, by wyjaśnić sprawę do końca, bynajmniej nie osłabła. Kiedy złość zaczęła go opuszczać, zrozumiał, że nie powinien mieć pretensji do Tibbie. Ale oddał jej swoje serce, więc musiał walczyć, bo miał zbyt wiele do stracenia.

Kiedy przechodzili przez skrzypiącą bramę, Nick puścił jej rękę.

- Przepraszam, że się uniosłem - powiedział.

- Należały mi się przeprosiny - mruknęła, rozcierając czerwony ślad po jego palcach na nadgarstku. Widziała, jak odetchnął głęboko. - Słyszałeś o Ericu?

- Owszem, nie tylko słyszałem, ale też widziałem.

- Co widziałeś?

- Was oboje w mieście.

- I jesteś na mnie zły, że pojechałam do miasta? - Teraz w niej zaczęła wzbierać złość. - Chcesz powiedzieć, że zjawiłeś się niespodziewanie w moim domu, przeraziłeś mnie śmiertelnie i zaciągnąłeś do sadu jak jakąś dzikuskę tylko dlatego, że pojechałam do miasta?

- Bo pojechałaś do miasta z nim, siedzieliście sobie razem na wozie i gruchaliście jak zakochane ptaszki.

- Nieprawda! Niby gdzie miałam siedzieć? Z tyłu wozu, na worku jęczmienia? Naprawdę o to jesteś na mnie zły? - spytała z niedowierzaniem, unosząc bezradnie rękę.

- Nie. - Chwycił jej dłonie i leciutko uściśnął. - Jestem zły, że on znów wkroczył w twoje życie.

- To nie tak.

- W każdym razie wszystko na to wskazuje. Od czasu jak przyjechał, jesteście nierozłączni.

- Widzę, że nie traciłeś czasu, szpiegując mnie.

- Widzę, że nie traciłaś czasu, dając mi powody do szpiegowania.

Chwyciła się pod boki.

- Niby co to ma znaczyć?

- Jesteś z nim cały czas. Nie odprawiłaś go. Całe miasto o tym mówi. Chyba z pięćdziesiąt osób zdażyło mnie spytać, czy wiem, na kiedy wyznaczycie ślub. Jakie są twoje zamiary w stosunku do niego?

Tibbie starała się zrozumieć gniew Nicka, ale jego napastliwość działała jej na nerwy. Nie miał prawa robić jej wyrzutów ani oskarżać.

- Po co wrócił?

- Poprosić, żebym za niego wyszła.

- Cholera!

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie znała takiego Nicka. Ten, jakiego znała, był zawsze miły i troskliwy. Zawsze okazywał zrozumienie.

- Nick, proszę...

- Proszę? Proszę, zrozum? Proszę, bądź miły? Proszę, pozwól mi się bawić twoim sercem? Proszę, odejść? Czego ty, u diabła, ode mnie chcesz? - Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął. - Czego ty chcesz? Mam się czepiać z nadzieją każdego twojego słowa, dopóki nie zdecydujesz, którego z nas wolisz?

- To nie w porządku!

- Nie w porządku? Powiem ci, co jest nie w porządku! Jego powrót! To jest nie w porządku!

- Spróbuj zrozumieć...

- Co zrozumieć? Że masz w głowie zamęt? Że żal ci odesłać tego drania? Do licha, musiał do ciebie trafić najprostsza drogą i nie zabrało mu to wiele czasu.

Wymierzyła mu policzek tak mocny, że aż mu głowa odskoczyła.

- Dziękuję, że powiedziałaś, co tak naprawdę o mnie myślisz. To, bardziej niż wszystko inne, co zrobiłaś, pomogło mi podjąć decyzję.

- Tibbie...

- Trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę cię więcej widzieć. - Odwróciła się na pięcie i uciekła.

Złapał ją, nim zdążyła dobiec do bramy.

- A myślałaś, że co zrobię, kiedy się dowiem, że zgodziłaś się znów z nim spotykać?

- Zostaw mnie!

Przyciągnął ją do siebie.

- Biedna mała Tibbie. Tak trudno jej się zdecydować. Kiedy cię całuje, porównujesz jego pocałunki z moimi? Czy może o moich już całkiem zapomniałaś?

- Nigdy nie porównywałam twoich pocałunków ani niczego innego, jeśli chcesz wiedzieć.

- Nie wierzę ci.

Odepchnęła go od siebie.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś taki. Nawet nie chcę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś taki. Winisz mnie za coś, co wcale nie jest prawdą. Potrzebuję twojego zrozumienia, Nick, twojego wsparcia, nie oskarżeń.

- Co, według ciebie, mam zrobić? Myślałaś, że przybiegnę cię pocieszać, kiedy ty myślisz o innym? Oczekujesz, że pocałunkami pomogę ci podjąć decyzję?

Nim zdążyła odpowiedzieć, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie gwałtownym ruchem. Zesztywniała, kiedy wpił się w jej usta, rozgniatając wargi, napierając zębami na zęby. Jeszcze nigdy w taki sposób jej nie całował, natarczywie, bez czułości, jakby chciał ją ukarać. Upokorzenie wyzwoliło gniew, dobrze znajoma bliskość nie była tym razem miła. Wiedziała, że ją ranił dlatego, że sam czuł się zraniony.

Kiedy wreszcie przerwał pocałunek, pozostała nieruchoma w jego objęciach. Zamknawszy oczy, odwróciła głowę, próbując się uspokoić. Był jej tak drogi. Czuł się skrzywdzony. Sama tak dobrze rozumiała cierpienie. Nie chciała mu przysparzać więcej bólu. Nie chciała powiedzieć czegoś, czego by potem żałowała.

Nie musiała nic mówić. Widząc jej zamknięte oczy i odwróconą

głowę, Nick sam udzielił sobie odpowiedzi: do jej życia powrócił Eric, więc dla niego nie było już miejsca.

- Niech cię diabli! - wykrztusił. - Niech cię wszyscy diabli!

Odepchnął ją od siebie, a kiedy otworzyła oczy, był już przy bramie.

- Nick!

Przystanął i odwrócił się do niej.

- Nie musisz nic mówić. Nie jestem aż tak głupi, jak ci się wydaje, ani tak głupi jak ty. Bo ja przynajmniej wiem, kiedy się mnie odrzuca.

Moment później już go nie było.

Mylił się, bo wiedziała, kiedy była odrzucana, a najbardziej przykre było to, że to Nick ją odrzucał. Tej nocy, po raz pierwszy od sześciu lat, płakała aż do świtu.

Następnego ranka, mimo bólu głowy i podpuchniętych oczu, wybrała się do miasta w nadziei, że go spotka. Przez całą noc prześladował ją widok cierpienia w jego oczach. Nie chciała, żeby między nimi tak było. Idąc, zastanawiała się, co mu powie, jakie zada pytania, jakich udzieli odpowiedzi. Kierowała nią świadomość, silniejsza od dumy, że Nicholas cierpi z jej powodu. Mogła znieść wszystko, tylko nie to.

Jej dobra wola na nic się jednak nie zdała, bo kiedy dotarła do stoczni, okazało się, że Nicka tam nie ma. Zastała natomiast Portera.

- Panna Buchanan - powitał ją z uśmiechem, przytrzymując otwarte drzwi biura. - Proszę wejść.

- Dziękuję. - Tibbie weszła do środka i rozejrzała się.

- Proszę usiąść. - Porter podsunął jej krzesło. Usiadł naprzeciw niej za schludnie uprzątniętym biurkiem. Obok stało drugie, zavalone papierami, a przy nim puste krzesło.

- Tamto należy do Nicka? - domyśliła się.

- Czy ja wyglądam na takiego bałaganiarza? - spytał Porter z uśmiechem.

Tibbie także się uśmiechnęła.

- Nie, nie wygląda pan.
- Dziękuję. Rozumiem, że szuka pani Nicka?
- Owszem.
- Nie ma go tu. Był wcześniej, muszę dodać, że w paskudnym nastroju, a potem wyszedł z... - Porter zaczął kaszleć, następnie rzekł szybko: - Muszę powiedzieć, że byłem zadowolony, że wychodzi. Jeszcze go nie widziałem w tak okropnym humorze.

- Mówił pan, że z kim wyszedł?

- Nie mówiłem.

- Proszę. To ważne.

Porter westchnął.

- Pewnie mnie za to obedrze ze skóry. - Spojrzał na ściągniętą, pobladłą twarz Tibbie. - Wstąpiła Tansy Peabody i Nick zabrał ją na lunch.

Wstał, kiedy Tibbie podniosła się z miejsca, i odprowadził ją do drzwi. Już w progu podziękowała Porterowi, podając mu rękę.

- Będę wdzięczna, jeśli nie powie pan Nickowi, że tu byłam.

- Rozumiem. Oczywiście, nic nie powiem.

Tibbie wolno wracała z miasta, tak głęboko zamyślona, że nie zauważyła nadjeżdżającej drogą bryczki, dopóki ojciec nie zawołał jej po imieniu. W milczeniu przejechała z nim resztę drogi do domu; nie miała ochoty na pogawędkę, choć Coll był akurat wyjątkowo rozmowny i nie zwracał uwagi na jej usposobienie.

- Podjęłaś już decyzję?

- Niezupełnie.

- Musisz wybrać jednego z nich. Nie możesz mieć obydwu.

- Może nie wybiorę żadnego.

Coll smagnął lejcami szeroki zad kłaczy, która w odpowiedzi lekko przyspieszyła kroku.

- To by było fatalne, Tibbie. Powinnaś by mężatką.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Byłabyś dobrą żoną. Zostałaś wychowana do tej roli. Należysz do kobiet, które potrzebują kochającego męża i dzieci. Ale najważniejszym powodem, według mnie, jest

Beth. Dorasta do wieku, kiedy ludzkie gadanie będzie ją ranić. Nie możesz jej przed tym ochronić. Potrzebuje domu i taty. Nie masz prawa jej tego pozbawiać.

Powróciwszy do domu, Tibbie marzyła tylko o tym, żeby się położyć do łóżka i wypłakać, ale córka zauważyła ją, kiedy wysiadała z bryczki, i przybiegła do niej przez podwórze.

- Mamo, chodź, zobacz Fortunę. Ona jest taka słodka!

Tibbie zmusiła się do uśmiechu i pozwoliła, by dziewczynka zaprowadziła ją za dom. Tu Tibbie nie musiała już udawać dobrego humoru, ujrzała bowiem siedzącą w dziecięcym wózku Fortunę, ubraną w sukienkę Beth i jej kapelusik.

- Masz rację, Beth. Jest słodka. Chodź ze mną, zrobimy sobie gorącą czekoladę - powiedziała do córki, zawracając do domu.

Beth chwyciła ją za rękę.

- Mamo, czy Eric będzie moim ojcem?

Serce podeszło Tibbie do gardła.

- Eric jest twoim ojcem.

- Ale czy będzie z nami mieszkał?

- Nie wiem. A chciałabyś, żeby tak było?

Beth zmarszczyła czoło.

- Może. - Nagle buzia jej się wypogodziła, a oczy zrobiły wielkie i okrągłe. - Ale o wiele bardziej lubię Nicka.

Ja też, pomyślała Tibbie. Ja też. I poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Eric przyszedł tego wieczoru po kolacji. Sądząc po jego minie, Tibbie domyśliła się, że wie o wizycie Nicka.

Usiedli na ganku. Chwilę potem Effie przyniosła im po kawałku ciasta z agrestem. Eric jak zwykle był wobec niej czarujący i żartami doprowadził ją do śmiechu. Tibbie nie była w stanie spróbować ciasta, z obawą czekając, kiedy Eric zagadnie ją o Nicka. Dwie kłótnie z dwoma mężczyznami to było stanowczo zbyt wiele jak na jeden dzień.

Jednakże, ku jej zdziwieniu, zjadł z apetytem całą porcję ciasta, opowiadając jej coś wesoło i w ogóle nie wspominając o Nicku.

Później przeszli się kawałek drogą, rozmawiając. Kiedy już wracali, Eric powiedział:

- Wiesz, że nie mogę zostać w Indianoli i w nieskończoność czekać na twoją decyzję. - Wziął ją za rękę. - Tibbie, kocham cię. Chcę, żebyś była moją żoną. Chcę stworzyć dom naszej córce, dać jej nazwisko. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Oczywiście, że znaczy.

- Chcę, żebyś powiedziała, że pojedziesz ze mną.

Zastanawiała się, dlaczego los zawsze tak dziwnie kieruje jej życiem. Gdyby tego dnia inaczej ułożyło się między nią i Nickiem, mogłaby powiedzieć Ericowi, by wracał na Hawaje bez niej. Może powinna to zrobić tak czy inaczej. Pomyślała jednak o Beth i o tym, co rano powiedział ojciec. Wiedziała, że Coll ma rację.

- Potrzebuję więcej czasu.

- Do licha! Tylko taką masz wymówkę? Nie możesz chociaż wymyślić czegoś innego? Och, skarbie, przepraszam. - Wziął ją w ramiona i pocałował, szepcząc jej do ucha: - Wybacz mi, Tibbie. Po prostu potrzebuję twojej odpowiedzi.

- Wiem, Ericu. Wiem. Tylko że nie umiem ci jej udzielić.

17

Późnym popołudniem następnego dnia Tibbie siedziała na beczce po gwoździach w stodole, rozmyślając. Wciąż nie mogąc dojść do siebie po ostatnim spotkaniu z Nicholasem Mackinnonem, wybrała stodołę, bo wydała jej się jedynym miejscem, gdzie nikt jej nie znajdzie.

Tup-tup, tup-tup.

No, prawie nikt.

Podniósłszy wzrok, ujrzała niepokonaną tropicielkę Fortunę, zmierzającą prosto w jej kierunku. Twarde raciczki wybijały równy rytm na klepisku. Pomyśleć, że Tibbie zadała sobie tyle trudu, żeby się przemknąć do stodoły niepostrzeżenie... Nie jest dobrze, kiedy się trzeba ukrywać po to, żeby spokojnie pomyśleć, pomyślała z nutką goryczy.

Na widok Tibbie Fortuna zatrzymała się gwałtownie. Zakręcony ogonek pomachał przyjaźnie, na ryjku pojawił się wyraz błogości, przypominający uśmiech.

- Idź sobie - powiedziała Tibbie. - Chcę być sama. - W małych świńskich oczkach zgasł błysk rozmarzenia. Świnie, jak wiadomo, słyną z wrażliwości, a Fortuna miała szczególniey talent do wyczuwania nastrojów. Tibbie przez chwilę przyglądała się niezwykleму zwierzęciu, aż w końcu powiedziała z rezygnacją: - No dobrze, ale bądź cicho. Nie jestem w nastroju do zabawy.

Wyraz świńskiego pyska znów stał się pogodny. Fortuna kwiknęła triumfalnie, przydreptała do Tibbie i pochrzając z zadowoleniem, zwała się na ziemię. Ułożywszy ryj między wyciągniętymi przed siebie przednimi nogami, zaczęła węszyć, wzniesając obłoczki kurzu. Tibbie podrapała ją czule między uszami i powróciła do swoich rozmyślań.

Od jej rozmowy z Nicholasem minął już ponad tydzień. Och, widziała go, a jakże, gdy jechał powozem z tą wymoczkowaną Corą Belle Hamilton, odprowadzał Corę Belle Hamilton i jej kuzynkę Ruthie na niedzielne nabożeństwo, szedł ulicą pod rękę z Honey Butler, stał przed sklepem, śmiał się z jedną z dziewczyn pracujących w Szklanym Pantofelku.

Ale nie przyszedł, żeby się z nią zobaczyć.

Jestem cierpliwy, ale nie będę czekał bez końca.

Te słowa ciągle wracały, żeby ją prześladować.

Nie będę czekał bez końca... Nie będę czekał bez końca... Nie będę czekał bez końca...

Przed oczyma zaczęły jej przepływać twarze: Cora Belle Hamilton, Honey Butler, Ruthie Faye Brewster, dziewczyna ze Szklanego Pantofelka. Ogarnęła ją złość. Sądząc po tym, co widziała, wcale nie czekał.

Z narastającą irytacją zebrała w dłonie fałdy spódnicy i podniosła się, nadeptując na Fortunę, o której całkiem zapomniała.

Świnka poderwała się z ziemi jak oparzona, kwicząc przeraźliwie, i okręciwszy się parę razy w kółko, pognała przed siebie, wzniesając tumany kurzu, jakby specjalnie chciała nim zasypać Tibbie. Było jasne, że delikatne świńskie uczucia poważnie ucierpiały, i Tibbie musiała coś wymyślić, żeby z powrotem wkraść się w łaski Fortuny.

Idąc do domu, zastanawiała się, jak rozwiązać ten problem i co zrobić, żeby świnka dała się przebłagać.

Nikt nie widział Fortuny przez resztę dnia. Nawet Beth nie udało się wywabić jej na podwórze. Skruszona Tibbie nabrała do wiadra ciepłych pomyj i poszła do chlewika.

Znalazła Fortunę przy drewnianym korycie, wpatrującą się smętnie w wodnistą masę, stanowiącą jej poprzedni posiłek.

- Już dobrze, ty obraźalska, przyniosłam ci coś na przeprosiny. Łupiny z ziemniaków, cukinia, grzanki, budyń ryżowy, kukurydza i liście kapusty, wszystko to rozmoczone w ciepłym mleku i zmieszane z otrębami. - Przełała zawartość wiadra do koryta. - Wybaczysz mi? Jesteśmy znów przyjaciółkami?

Fortuna zajrzała do koryta. Spojrzała na Tibbie. Chrząknąwszy parę razy, zanurzyła ryj w pomyjach. Potem kwicząc, zatoczyła kilka kółek, bryzgając spod nóg rozmiękłym nawozem, by wreszcie przewrócić się na grzbiet, machając raciczkami w powietrzu.

Kiedy w końcu wróciła do koryta i zaczęła jeść, mlaskając z zachwytem, Tibbie powiedziała z ulgą:

- Rozumiem, że moje przeprosiny zostały przyjęte.
- Też mi się tak wydaje.

Odwróciwszy się, Tibbie ujrzała Colla, stojącego przy płocie z rękami opartymi na górnej poprzeczce.

- Nadepnęłam na nią dziś rano. Przez cały dzień się dąsała.
- Zauważyłem właśnie, że jest jakoś cicho w obejściu. Nawet Beth nie była w stanie jej udobruchać, co?

- Nie. Jej uczucia zostały bardzo poważnie nadwerężone. Miałam co innego w głowie, kiedy ją nadepnęłam, więc nie próbowałam jej od razu przebłagać.

- I musiałś jej przynieść wiadro przysmaków.
- Właśnie.

- Co najwyraźniej poskutkowało. Wygląda na zachwyconą.
- O, tak. Niewiele trzeba, żeby ją uszczęśliwić.
- A ciebie, Tib? Czego trzeba, żebyś ty była szczęśliwa?
- Czemu pytasz mnie o takie rzeczy? Jestem szczęśliwa.

Myślałam, że o tym wiesz.

- Żadna kobieta nie jest szczęśliwa, kiedy próbuje wybierać pomiędzy dwoma mężczyznami.

- Nie próbuję wybierać. A może raczej już wybrałam. Nie chcę żadnego z nich.

- No, to dopiero wiadro pomyj.
- To prawda!

- Co masz zamiar zrobić, Tib? Poważnie. Eric zaczyna się niecierpliwić. Albo wyraż zgodę, albo go odpraw. A Nick...

- Myślę, że zmienił zdanie.

Coll parsknął śmiechem.

- Jeśli tak sądzisz, to niewiele wiesz o miłości i mężczyznach. - Ruszył w stronę domu. Tibbie towarzyszyła mu przez kawałek drogi, a potem zatrzymała się przy bramie. - Nie kręć się za długo po nocy - poprosił, odchodząc.

- Dobrze. - Usiadła na huśtawce Beth i odruchowo zaczęła się kołysać. Wieczór był cieplejszy i bardziej wilgotny niż zwykle, duszne powietrze utrudniało oddychanie, odbierało człowiekowi resztki sił. Właśnie w takich niezbyt sprzyjających warunkach Tibbie najlepiej się rozmyślało. Zatrzymała huśtawkę i siedziała pochylona, z łokciami na kolanach i brodą opartą na dłoniach. Ocknęła się, kiedy Eric podszedł bezszelestnie i pchnął huśtawkę, tak że Tibbie omal z niej nie spadła.

- Nie mogłem się oprzeć - wyznał.

- Przyszłam tu, bo chciałam pobyć sama - zachnęła się.

- Musisz koniecznie na mnie warczeć? - spytał. - Do tego między nami doszło? Nie możesz się już do mnie zwracać przyjaźnie? - Podszedł bliżej i pogłodził ją po policzku. - Pod wieloma względami jesteś wciąż tą samą słodką Tibbie, którą znałem sześć lat temu. A jednak się zmieniłaś...

- Dorosłam.

- Tak - przyznał z zadumą. - Chyba tak.

Jego ton ujął ją za serce.

- Och, Ericu... - Zaszlochała. - Czemu wszystko musi się zmieniać? Dlaczego nie możemy po prostu wrócić do tego, co było wcześniej?

- Chcesz powiedzieć, że już nie możesz mnie kochać? Nie tak, jak kochałaś wtedy?

Kiedy nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową, pokazując mu, że nie radzi sobie z emocjami, ojcowskim gestem pogłaskała ją po głowie.

- Rozumiem, że nie ma powrotu do tego, co było. Ale nie chce mi się wierzyć, byśmy nie mogli razem pójść do przodu.

- Naprawdę tego chcesz? - spytała przez łyzy. - Pójść naprzód?

- Przecież po to wróciłem, prawda?

- Nie wiem, Ericu. Naprawdę po to?

- Oczywiście. Ale trudno mi cię przekonać. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, lecz nie miałem pojęcia, że tyle przeciwności spotkam na tej drodze.

- Nie chodzi o to, bym ci była przeciwna...:

- Wiem. Raz cię skrzywdziłem... strasznie. Minęło wiele czasu. Jest ktoś inny...

- Nie tylko o to chodzi.

- Można się było tego spodziewać. Jesteś piękną, godną pożądania kobietą. Miałem świadomość, że nie mogę znów wkroczyć w twoje życie i zacząć w tym miejscu, gdzie przerwałem. Powinienem przynajmniej być wdzięczny losowi, że nie jesteś mężatką. - Mówił bardzo cicho, prawie szeptem. - Musiałem spróbować. - Uśmiechnął się i Tibbie odniosła wrażenie, że cofnęła się w czasie. Miała przed oczyma swą młodzieńczą miłość - zielone oczy z czającym się gdzieś w głębi kpiącym błyskiem, urodziwe regularne rysy ukochanej twarzy, niesforne jedwabiste kosmyki jasnych włosów. To był ten sam zuchwały, dumny mężczyzna, który wdarł się w życie szesnastoletniej dziewczyny i wyrzucił jej świat do góry nogami. Zastanawiała się, jak wiele innych kobiet uległo czarowi tej pięknej twarzy, tym uwodzicielskim oczom i uśmiechowi. I nagle sobie uświadomiła, że wcale jej to nie obchodzi. A nie obchodzi jej, ponieważ go nie kocha. Kochała go kiedyś, dawno temu. Ale to nie wystarczało, by nadal go kochać.

Pochylił się, chwytając liny huśtawki i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją delikatnie w usta.

- To za wspomnienia, które mi dałaś.

Pierwszego lipca Cornelia Dickerson wychodziła za Dextera, syna sędziego Wainwrighta. Dickersonowie i Wainwrightowie

byli najbogatszymi rodzinami w Indianoli, więc ślub był wydarzeniem, którym żyło całe miasto. Nie wyłączając Tibbie Buchanan.

Stała przed lustrem w swoim pokoju, oglądając nową suknię, którą sprawiła sobie specjalnie na tę okazję. Opadły ją wątpliwości. Miała zamiar uszyć sobie coś zupełnie odmiennego od strojów, jakie posiadała, lecz w miarę szycia stawało się jasne, że powstaje sukienka tak samo skromna i zwyczajna, jak cała reszta jej garderoby. Materiał miał wprawdzie kolor złocistego bursztynu i doskonałe współgrał z barwą jej włosów i oczu, ale wybrany przez nią fason i krój nie wykorzystywały walorów tkaniny.

Suknia właściwie nie była brzydka. Była po prostu skromna. Niewyszukana, jak niewyszukaną potrawą jest talerz owsianki. Tibbie westchnęła. Miała wrażenie, że całe życie żywi się wyłącznie owsianką. Raz, ten jeden raz, miała ochotę pozwolić sobie na trochę luksusu.

Jednak niezależnie od tego, na co miała ochotę, suknia pozostawała skromna i prosta jak szklanka ciepłego mleka czy dzień bez wiatru. Mam dość tych siermiężnych ubrań, pomyślała. Choć raz chciałabym włożyć coś wyzywającego i... i czerwonego. Przewrotnie, grzesznie, cudownie czerwonego. Purpurowego. Krwistoczerwonego. Bezwstydneho. Karminowego. Coś takiego, jak noszą inne dziewczęta w moim wieku. Zaraz jednak przypomniała sobie, że inne dziewczęta w jej wieku nie muszą pokutować za życiowe błędy. Jeszcze raz uważnie przyjrzała się kreacji.

- Cóż - powiedziała sobie - nie ma co narzekać. Suknia jest prosta i będzie musiała taka pozostać.

Effie, która właśnie weszła do pokoju, przyjrzała się córce krytycznie.

- Nie wyglądasz zbyt efektownie.
- Wiem, ale jest za późno, żeby z tym cokolwiek zrobić.
- Hm. - Effie obeszła córkę dookoła. - Nigdy nie wolno się poddawać! Wydaje mi się, że to musiało być myślą przewodnią dla Stewartów. - Nie odrywała wzroku od sukni. - Jeszcze nie cała nadzieja stracona.

Tibbie przyjrzała się swemu odbiciu.

- Nie jestem taka pewna - bąknęła. Suknia wyglądała nad wyraz pospolicie.

Effie niestrudzenie krążyła wokół córki, tu unosząc i nadrzucając, tam naciągając i przyszczypując.

- Ten kolor wyjątkowo do ciebie pasuje.

- Ta suknia jest tak nijaka, że robi mi się niedobrze! - Tibbie skrzywiła się.

- Krój jest rzeczywiście prosty, ale nie taki znów zły. Mogło być gorzej. Zaraz wrócę - powiedziała Effie, wychodząc z pokoju.

Wróciła po minucie, niosąc koszyk z przyborami do szycia.

Tibbie stała przed lustrem, wpatrzona w swoje odbicie. Próbowwała nadrzucać i przyszczypywać, jak wcześniej matka, lecz niezależnie od jej starań, suknia wciąż wyglądała nieciekawie.

- Modliłam się o cud - mruknęła zrezygnowana - ale może powinnam się modlić o jakie nieszczęście. Przynajmniej bym się nie rozczarowała.

- Och, przestań! - skarciła ją matka. - Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Ja zawsze będę wołała cud od nieszczęścia. - Wyciągnęła z koszyka długi pas koronki o barwie kości słoniowej i ułożyła na łóżku. Po chwili do koronki dołączyła kilka metrów turkusowej satyny. Znowu przyjrzała się sukni. - Poczekaj, mam pomysł - oznajmiła i znowu wyszła.

Tym razem wróciła z kłębkami złotej wstążki i bukietem złotych satynowych różyczek.

- Odciełaś je od swojej starej wizytowej sukni - rozpoznała Tibbie.

- A wstążka jest od starego kostiumu do konnej jazdy - wyjaśniła Effie. - A teraz zobaczmy, co się da zrobić.

Przez godzinę lub nawet więcej pracowała igłą, tu dodając kokardkę, tam koronkową wstawkę, doszywając wstążkę, zbierając fałdy spódnicy w turniurę.

- Od tyłu wygląda całkiem dobrze - powiedziała Tibbie. - Ale czym zakryję halkę z przodu?

- Hm... - strapiła się Effie. - Zobaczymy, czy nie da się

wykorzystać na podszewkę tego brązowego materiału z kostiumu do jazdy konnej.

Dało się i to z doskonałym skutkiem. Suknia zmieniła się nie do poznania, cała była teraz brązowo-złota, z turkusową szarfą upiętą w kokardę. Na szarfie rozkwiły małe złote różyczki, a prosty w kroju stanik zdobiły trzy rzędy koronkowej falbanki, biegnącej od ramion do pasa, gdzie łączyły się w jednym punkcie, zakończone złotym, ozdobnie plecionym sznurem.

- Trzeba odstąpić więcej ciała - zawyrokowała babcia Grace, wchodząc do pokoju. - Mężczyźni lubią odstąpięte ciało.

- Tak myślisz? - zastanowiła się Effie, oceniając swoje dzieło. - Może masz rację. Ja mam wrażenie, że coś jest nie tak ze stanikiem. Myślałam o dodatkowej falbanie albo kokardzie... ale może masz rację.

- Więcej ciała - powtórzyła z uporem babcia.

- Chyba masz rację. Pod szyją jest za wysoko.

Effie wzięła do ręki nożyczki i zrobiła wycięcie w kształcie litery V. Tibbie spojrzała w lustro i omal się nie zachłysnęła.

- Mamo! Ten dekolt sięga do pasa!

- He! He! He! - zaśmiała się babcia. - Panu Nicholsonowi oko zbieleje.

- Mogę nawet nie spotkać pana Nichol... Mackinnona - powiedziała Tibbie. - Słyszałam, że ostatnio pokazuje się z Corą Belle Hamilton.

- Już ty się o nią nie martw - pocieszyła ją Effie. - Po prostu zabija czas.

- Z każdą niezamężną kobietą w Indianoli, jak słyszałam - wtrąciła Tibbie.

- Uczyłam cię nie przywiązywać wagi do plotek.

- Ale nic nie poradzę na to, że je słyszę.

Effie nic nie odpowiedziała, więc Tibbie zmieniła temat.

- Nie sądzisz, że powinniśmy dodać jeszcze jeden rząd koronki, żeby wycięcie nie było tak głębokie? - Próbowwała podciągnąć stanik wyżej. Matka trzepnęła ją po rękach.

W końcu osiągnęły kompromis. Zostawiły głębokie wycięcie, ale Effie zgodziła się osłonić je kawałkiem pięknej koronki.

- Dzięki temu widać i nie widać - ucieszyła się Tibbie.

- To jakby stwierdzić, że mówisz z sensem i bez sensu - mruknęła sceptycznie Effie.

Chichocząc pod nosem, babcia zebrała się do wyjścia.

- Biedny pan Nicholson. Kiedy cię zobaczy w tej sukni, całkiem zgłupieje. Całkiem straci głowę.

Jednakże już podczas ślubu Tibbie wcale nie była tego tak pewna.

Rozmawiała właśnie szeptem z Mairi i Leticją Kildaire o pięknej sukni ślubnej Cornelii Dickerson, kiedy uniósłszy wzrok, dostrzegła Nicholasa Mackinnona.

- Powinien być jakiś przepis, zabraniający tak dobrze wyglądać - powiedziała Leticja, podążając za wzrokiem Tibbie.

Tibbie była skłonna się z nią zgodzić. Nicholas stanowił zaiste wspaniały okaz męskiej urody. Bez wątpienia prezentował się szaleńczo przystojnie, szczególnie w stroju, który miał na sobie. Lśniące mosiężne guziki surduta błyszcząły, choć i tak wydawały się matowe w porównaniu z olśniewającym uśmiechem Nicka skierowanym do Honey. A ta lgnęła do niego mocniej niż kora do drzewa.

Tibbie, ma się rozumieć, nic to nie obchodziło. Po prostu nie mogła tego nie zauważyć. Nie tylko ona zresztą. Całkiem spora część żeńskiej populacji Indianoli, zarówno zamężnej jak i niezamężnej, rzucała w jego stronę powłóczyście spojrzenia.

- Tylko popatrz - szepnęła Mairi, kiedy po opuszczeniu kościoła przechodziły przez ulicę do domu Dickersonów.

Tibbie usłuchała siostry, przyglądając się z zaciekawieniem, jak Honey niezdarne udaje potknięcie, opierając się całym ciałem na Nicku.

- Jak może sobie pozwalać na coś tak obrzydliwego - powiedziała Leticja. Tibbie jej nie słuchała, bo w tym momencie przypomniała sobie, jak sama się czuła w objęciach Nicka.

- Tibbie Buchanan, wyglądasz doprawdy... słodko - zaszcze-

biotała Honey, podchodząc do nich, gdy Nick przystanął, żeby zamienić słowo z grupą znajomych.

- Dziękuję.

- Wspaniały ślub, prawda? Nie wzbudził w was ochoty, żeby... no wiecie... też się związać? - spytała szeptem.

- Nie - odpowiedziały wszystkie trzy jednocześnie. - Nie wzbudził.

Honey sprawiała wrażenie trochę zbitej z tropu.

- Może dlatego, że nie zabiega o wasze względy mężczyzna taki jak Nicholas Mackinnon - powiedziała wyniośle.

- Honey, mam w domu czerwoną sukienkę. Jest mniej krzykliwa od ciebie - rzuciła Tibbie, nie bez złośliwości.

Honey odpowiedziała śmiechem.

- Tibbie Buchanan, wiem, że już się nie ubierasz na czerwono, odkąd... - Spojrzała na Tibbie triumfująco. - Sama wiesz od kiedy.

Tibbie, Mairi i Leticia patrzyły, jak Honey oddała się, żeby dołączyć do Nicka. Przez chwilę żadna z nich się nie odzywała.

- Ona jest okropna - stwierdziła w końcu Mairi. - Ale muszę przyznać, że nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się teraz znaleźć na jej miejscu.

- Mairi Buchanan - upomniała ją Leticia, dodając szturchańca w bok. - Nie mogę uwierzyć, że mówisz coś takiego!

- A dlaczego nie?

- Chyba słyszałam, jak mówiłaś, że chłopcy nic cię nie obchodzą - zdumiała się Leticia.

- Bo nie obchodzą - potwierdziła Mairi, nie odrywając wzroku od Mackinnona. - Ale przecież on nie jest chłopcem.

- Lepiej się nie gap. Nic ci z tego nie przyjdzie. Moja mama słyszała od mamy Cassie, że pan Mackinnon bardzo często bywa w domy Honey.

- I co to znaczy? - spytała Mairi, zerkając ukradkiem na siostrę.

- Według mamy Cassie, to znaczy, że wkrótce odbędzie się jeszcze jeden ślub.

Dwie godziny nudnego weselnego przyjęcia były doprawdy ciężką próbą wytrzymałości i Tibbie nie miała ochoty na więcej.

Nie pomógł nawet zaprawiany alkoholem poncz, którym poczęstował ją Buddy Pointdexter. Czując, jak podłoga kołysze się jej pod stopami, Tibbie udała się do tylnego wyjścia w nadziei, że łagodny wietrzyk od zatoki trochę ją orzeźwi.

Słońce już prawie zaszło i zaczęto zapalać latarnie przed domem. Resztki słonecznego światła, jakby ociągając się z odejściem, oblewały Tibbie matową złocistą poświatą, czepiając się bursztynowych fałd sukni i jasnych splotów jej warkocza.

Wróciwszy do salonu, natychmiast zobaczyła Nicka i Honey. Nick także ją zobaczył. Zesztywniała w bezruchu, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Wodził za nią wzrokiem przez całe popołudnie. Przed paroma minutami zauważył, że nie ma jej w środku, więc cały czas spoglądał na drzwi. Z zobaczył ją od razu, kiedy weszła. Tego wieczoru było w niej coś szczególnie pociągającego, jakby zapowiedź kobiecej uległości, która sprawiała, że patrząc na nią, czuł żywsze pulsowanie krwi. Miała twarz delikatną i gładką jak dziecko, lecz osłaniała ją wachlarzem, trzymanym z dojrzałym kobiecym wdziękiem. Nie mógł oderwać oczu od jej przesłoniętego koronką dekoltu, falującego lekko w rytm oddechu. Miał ochotę położyć na nim ręce. Miał ochotę... . Tibbie odwróciła głowę i szybko wyszła na zewnątrz. Nick zrobił krok w tamtą stronę, zamierzając wyjść za nią, kiedy poczuł na ramieniu dłoń Honey. Przystanął, westchnął i zawrócił.

Podczas drogi powrotnej do domu Tibbie była wyjątkowo milcząca, skupiona myślami na Nicku.

- Co się stało? Zdenerwowałaś się, widząc Nicka z Honey? - spytała Mairi współczująco.

- Chyba zawsze ciężko jest patrzeć na kogoś, kogo się kocha, widząc, że już mu na tobie nie zależy.

- Wygadujesz straszne głupoty - obruszyła się Mairi.

- Ale to prawda! Ludzie nawet mówią, że Nick i Honey planują się pobrać.

- Bzdury! Oczekujesz, że w to uwierzę? Przecież mam oczy.

Widziałam, jak na ciebie patrzył przez cały wieczór. Honey równie dobrze mogłaby być dla Nicka bryłą marmuru.

Tibbie aż się skurczyła, słysząc słowo „marmur”, bo natychmiast przypomniało jej maleńkiego aniołka, którego dostała w prezencie od Nicka.

- Czemu miałyby na mnie patrzeć?

- Bo się w tobie kocha, niezguło.

- W takim razie dlaczego był dziś z Honey?

- Na litość boską! Kocha się w tobie, ale ma swój honor. Jeśli uważa, że ty kochasz innego, nie będzie ci się narzucał. Jeśli jest przekonany, że wolisz Erica, da ci dużo czasu na podjęcie decyzji. Ale nie jest, durniem. Nie będzie czekał bez końca.

Serce Tibbie napełniło się żalem i rozpaczą. Słowa Mairi boleśnie przypominały to, co powiedział Nick. Mówił też, że jeśli będzie chciała go znaleźć, to wie, gdzie szukać. Jednak myśl, że miałyby do niego pójść, stanąć przed nim z sercem na dłoni i czekać, czy je przyjmie, czy podepcze, była przerażająca.

Widząc emocje malujące się na twarzy siostry, Mairi poklepała ją po ramieniu.

- Nie dawałaś mu zbyt wiele zachęty przez cały ten czas, kiedy ci okazywał swoje uczucie. Według mnie, jeśli go pragniesz, będziesz musiała przełknąć dumę i sama do niego pójść. Przemyśl to, zamiast się nad sobą rozczulać.

- Przemyślę - obiecała Tibbie.

Były już przed domem.

- To dobrze - Mairi westchnęła - bo jeśli to potrwa dłużej, to chyba oszaleję. - Wysiadły z powozu.

Zmierzając przez hol do salonu, Tibbie powiedziała:

- W ten sposób właśnie ludzie tracą zmysły! - Jej słowom towarzyszył rytmiczny brzęk drutów babci Grace, która z zapałem coś dziergała. Zeskanowała o przerobiła pona.

- Co ona mówi? - spytała, podnosząc wzrok znad robótki.

- Powiedziała, że w ten sposób ludzie tracą zmysły - powtórzyła głośno Effie.

- Aha - mruknęła babcia.

- Miło spędziłyście wieczór? - Effie zwróciła się do córek.
- Tak, raczej tak - odparła Tibbie, opadając na najbliższe krzesło.

- Co ona mówi? - spytała babcia.
- Powiedziała tak! - zawołała Effie.
- Aha - mruknęła babcia.
- Nadal nie możesz zdecydować, którego wolisz? - spytała

Effie.

- Już nie - odparła Tibbie.
- Co ona mówi? - spytała babcia.
- Powiedziała, że już nie! - zawołała Effie.
- Aha - mruknęła babcia.
- Jak już mówiłam, nie możesz mieć obydwu - przypomniała

Effie.

- Chcę tylko jednego z nich - zapewniła ją Tibbie.
- Co ona mówi? - spytała babcia.
- Mówi, że chce tylko jednego z nich! - odrzyknęła Effie.
- Aha.
- Którego? - spytała Effie.
- Nicka - odpowiedziała Tibbie.
- Co ona mówi?
- Powiedziała, że gdzie diabeł nie może, tam pośle starą kobietę! - zawołała Effie, tracąc cierpliwość.
- Aha - mruknęła babcia.

Patrząc z troską na córkę, Effie uniosła rękę w geście bezradności.

- Tibbie Ann, jeśli idzie o mężczyzn, to za dobrze ci się powodzi.

Po tych słowach wyszła z salonu.

Babcia Grace spojrzała na wnuczkę znad okularów.

- Co ona powiedziała?

Tibbie wyszła za matką do holu.

Nazajutrz o wpół do czwartej po południu Effie wkroczyła do pokoju Tibbie i powiedziała:

- Może byś poszła nad zatokę i trochę popływała? Jesteś

stanowczo zbyt błada. Myślę, że popołudnie na słońcu dobrze by ci zrobiło.

Myśl o zatoce jeszcze pogłębiła tęsknotę Tibbie, ale postanowiła stłumić w sobie żal, że już nigdy nie zobaczy Nicka. Połykając łzy, przebrała się w swoją najstarszą sukienkę, zdejmując z siebie wszystkie halki. Zdjęła z wieszaka przy drzwiach słomkowy kapelusz i ruszyła przez wydmy w kierunku zatoki.

Plaża nad zatoką była prawdziwie uroczym miejscem, gdzie przychodziły z Mairi bawić się jako dzieci. Później, już bardziej dorosłe i śmiałe, ściągaly sukienki i pływały w samych koszulkach. Nikt obcy nigdy tam nie zaglądał. Zatoka znajdowała się na uboczu. I należała do niej.

Powrót do miejsca znanego z dzieciństwa zawsze podnosi na duchu, choćby tylko na parę godzin. Szła odludną ścieżką, wdychając rozgrzane powietrze, pachnące morską trawą, która porastała piasek dokoła. Woda w zatoce odbijała słoneczne promienie, prawie niewidoczne fale dotykały piasku i zaraz się cofały. Tibbie zeszła po łagodnym zboczu ostatniej wydmy, zatrzymała się kilka stóp od skraju wody, rzuciła kapelusz na piasek i usiadła, żeby ściągnąć buty.

Już bosa, wyciągnęła nogi przed siebie, poruszając palcami, i zamknęła oczy, wystawiając twarz do słońca. Nad jej głową pojawiły się dwie mewy; przez chwilę krążyły leniwie, aż w końcu widocznie uznały, że nie będzie im rzucać jedzenia, i odleciały.

Poszła na spacer plażą, podtrzymując spódnicę podciągniętą do kolan, lecz kiedy mimo to nasiąkała wodą, Tibbie wróciła do miejsca, gdzie leżał kapelusz i buty, i zostawiła tam także sukienkę. Ostatecznie nikt nie mógł jej tu zobaczyć, poza kilkoma krabami i brązowym pelikanem, siedzącym na wystającej z piasku beczce. Uwolniona z sukni, dopiero teraz w pełni poczuła na skórze pieczętę słońca i wiatru, który swobodnie przenikał przez cieniutką tkaninę koszuli.

Wbiegła do wody i nie zatrzymywała się, dopóki nie zrobiło się za głęboko, by dosięgać dna, i musiała płynąć. Pływała najpierw na brzuchu, potem na plecach, paskając i chlapiąc.

Już dawno nie czuła się taka wolna. Miała ochotę położyć się na plecach i dać się wodzie nieść aż na otwarte morze, za latarnię morską, za wyspę Padre, za łodzie majaczące w oddali, daleko od nieszczęść i kłopotów.

Usłyszawszy cichy plusk, spojrzała w dół i zobaczyła przepływającą pod nią ławicę drobnych rybek. Zawróciła, płynąc wolno, równymi mocnymi ruchami, dopóki znów nie wyczuła piaszczystego dna. Podnosząc głowę, dostrzegła ciemną sylwetkę jeźdźca zmierzającego w jej stronę. Słońce oświetlało go od tyłu, więc nie była w stanie rozpoznać twarzy. Ogarnął ją strach. Od jak dawna mógł tu być? Niewiele myśląc, zawróciła i rzuciła się biegiem przed siebie.

Słyszała chłopot wody, rozdieranej uderzeniami końskich kopyt. Był tak blisko, że dosięgały jej wzniecane przez konia fontanny wody. Z początku bała się, że nieznamy jeździec może ją zaciągnąć za wydmy i zgwałcić, teraz zaś rodził się w niej inny lęk. Jechał za nią tak, jakby chciał ją stratować.

Krzyknęła przeraźliwie, kiedy para silnych rąk podniosła ją z wody, choć wiała się i kopała. Przerzucona przez męskie uda obejmujące siodło, miotała się rozpaczliwie, aż poczuła mocne klepięcie w pośladki, obciążone jedynie mokrą koszulą.

- Tibbie, co się z tobą, u diabła, dzieje?

- Mackinnon! - wydukała resztką tchu.

Chwycił ją niczym szmacianą lalkę, wcale nie siląc się na delikatność, i usadził przed sobą. Trzymając ją za ramiona, przyglądał jej się z miną, która zawsze doprowadzała ją do pasji, ponieważ była dla niej nieodgadniona.

- Mogłeś mi powiedzieć, że to ty - wyrzuciła z siebie ze złością, próbując odkleić od ciała mokrą koszulę, w nadziei, że wówczas nie będzie tak bardzo prześwitywać.

- Oszczędź sobie fatygi. Zdażyłem zobaczyć dosyć, by przez wiele dni wyć do księżycy.

- Dlaczego mówisz takie bzdury? - obruszyła się.

- Cicho bądź, naiwna istoto - mruknął pod nosem, zamykając jej usta pocałunkiem. Skwapliwie podała mu gorące, spragnione

wargi, przylgnęła do niego z całą tłumioną dotąd namiętnością. To jakby go ośmieliło, bo jęknął i napał na nią jeszcze mocniej. Czują, jak ubranie nasiąka mu wilgocią z jej koszuli.

Całował ją zapamiętale, do utraty tchu, wodząc rękami po całym jej ciele. Z każdego miejsca, gdzie jej dotykał, rozchodziło się w głąb ciała przyjemne ciepło, aż wypełniło ją po brzegi, stopniowo przechodząc w rodzaj obezwładniającej słabości.

Ponaglił konia do wyjścia z wody.

- Masz zamiar mnie zgwałcić?

- To nie byłby gwałt - powiedział, a ona musiała się z nim zgodzić. - Ale nie, nie mam takiego zamiaru.

- To dobrze. - Westchnęła ciężko.

- Ale też nie zamierzam cię tak od razu puścić.

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Znowu się zatrzymali.

- Dlaczego? Dlaczego nie zamierzasz mnie puścić?

- Bo nie pozwolę, żebyś sama stawiała czoło Ericowi i ojcu. - Widząc jej zdziwienie, wskazał coś za jej plecami. - Najwyraźniej nas dostrzegli i jadą w tę stronę.

- O, nie - jęknęła, krzyżując ręce na piersi.

- To się na nic nie zda - powiedział, stawiając ją na piasku. - Spróbuj zakryć to, co najważniejsze.

Porwała z ziemi sukienkę i przycisnęła do siebie kurczowo.

- Ty draniu! - odezwał się Eric, podjeżdżając do nich. - Powiniennem cię zabić. Nie mogłeś jej dać czasu na podjęcie decyzji, nie próbując jej jeszcze raz zaciągnąć do łóżka? Mam prawo...

- Ericu - przerwała mu - uspokój się!

- Tibbie, nic nie mów - włączył się Nick. - To ciebie nie dotyczy.

Spojrzała na Erica.

- Zdjęłam sukienkę, żeby...

- Łatwo mogę sobie wyobrazić, po co zdjęłaś sukienkę - wycedził. - Mam tylko nadzieję, że warto było.

- My wcale... On nigdy...

- Tego już nigdy się nie dowiem, prawda?

- Nie! - rzuciła ostro. - Nie dowiesz się i oboje wiemy, z jakiego powodu.

Dołączył do nich Coll.

- Tibbie, ubierz się. Możemy porozmawiać o tym w domu.

- Nie ma o czym rozmawiać - stwierdził Nick.

- Człowieku, gdzie ty ją, u diabła, wiozłeś, półnagą i przetrzuconą przez siodło?

- Na suchy ład.

- Rycerz przybył na ratunek - zadrwił Eric. - Ciekawa bajeczka.

- Zwykle nie uprawiam tego, o co mnie podejrzewasz, na końskim grzbiecie - powiedział spokojnie Nick. - Od tego są łóżka.

- Jestem pewien, że w niejednym zagrażałeś miejsce.

- Dość tego - nie wytrzymał Coll. - Tibbie, wracaj do domu.

Tibbie czuła, że mogłaby zabić ojca i Erica jednym strzałem, a potem jeszcze przyłożyć im strzelbą po głowach. Od dawna marzyła tylko o tym, żeby się znaleźć w ramionach Nicka, a kiedy już się w nich znalazła, musiało się zjawić pół Indianoli? To było nie w porządku. Ostatni raz spojrzała na Nicka i serce jej podskoczyło, bo on także na nią patrzył. Widząc żal i tęsknotę w jego niebieskich oczach, postanowiła pójść do niego nazajutrz i wyznać mu wszystko, co nosiła w sercu. A potem powiedzieć Ericowi, że nadszedł czas, by wyjechał.

Jakiś czas później, kiedy Coll z Erikiem weszli do salonu, Tibbie zwróciła się do nich obu:

- Nie chcę słyszeć ani słowa, od żadnego z was.

I wyszła.

18

Tej nocy babcia umarła we śnie.

Tibbie znalazła ją, kiedy weszła do jej pokoju, wymachując listem ozdobionym kwiatkami i tęczą, który napisały razem z Beth. Tibbie podeszła do okna i odciągnęła zasłony, po czym z uśmiechem zrobiła jakąś uwagę na temat śpiochów.

Jednak kiedy zbliżyła się do łóżka babci i zobaczyła, że staruszka jest biała jak narcyz, a jej okazały siwy warkocz leży na piersi, szary i zmatowiały, słowa zamarły jej na ustach.

Krzyknęła.

Coll stwierdził, że babcia nie cierpiała, tylko po prostu zasnęła. Położono ją w salonie, gdzie schodzili się wszyscy, którym była droga i bliska. Uczesano ją i upięto spleciony warkocz w schludny kok. Twarz zmarłej przybrała ten sam nieprzenikniony wyraz, który Tibbie widywała zawsze, ilekroć babcia miała jakiś sekret. Teraz Grace leżała spokojnie w swojej prostej sosnowej trumnie, wyglądając równie arystokratycznie jak jej szlachetnie urodzeni rosyjscy przodkowie. Przyjaciele, sąsiedzi i członkowie wspólnoty parafialnej przychodzili, by złożyć rodzinie kondolencje.

Tibbie przez cały czas dzielnie się trzymała. Nie uroniła ani jednej łzy, które ścisnęły ją za gardło. Jedyne blada, ściągnięta twarz zdradzała jej głęboki smutek. Widząc Tibbie w takim stanie, znajomi dzielili się z Effie swoimi uwagami.

- Widzę, że jest dla ciebie prawdziwą podporą - powiedziała pani Timms.

- Zawsze znajduje się ktoś, kto w takich chwilach ma w sobie dość sił, żeby pomóc reszcie rodziny - stwierdziła Rebecca Moody.

Jeb Whittaker zaś powiedział:

- Czasami przychodzi taka chwila, że musimy oprzeć się na kimś tak silnym jak Tibbie.

Tymczasem sama Tibbie marzyła o tym, żeby porządnie się wypłakać i doznać ulgi w potwornym bólu, który wzbierał w niej aż do chwili, kiedy zasnęła, zmęczona wydarzeniami dnia.

Pogrzeb babci odbył się dwa dni później. Tibbie wciąż nie uroniła ani jednej łzy, nie była w stanie.

Dopiero po południu, kiedy stała przy grobie babci z bukietem szybko więdnących kwiatów w ręku, patrząc na świeżo wykopaną ziemię i mając przed oczami twarz staruszki taką, jaką widziała po raz ostatni, zaczęła płakać. Równie żywo i wyraźnie przypominała sobie ostatnią rozmowę z babcią.

Tibbie prowadziła krowy z pastwiska, kiedy zauważyła babcię i Beth idące w jej stronę. Córeczka natychmiast puściła się pędem w stronę Tibbie.

- Mamo, mamusiu... mogę poprowadzić krowy? Proszę...

Tibbie chwyciła córkę i ze śmiechem okręciła się z nią dookoła.

- A dlaczego taka śliczna mała dziewczynka jak ty chce prowadzić takie brzydkie krowy?

- Bo je kocham. I wcale nie są brzydkie! Są śliiiczne!

Tibbie popatrzyła na stado szarobrazowych krów z łbami z czarną łątą, o rogach przypominających wieńce. Nagle jedna z nich przystanęła i popatrzyła na Tibbie swoimi ogromnymi, brązowymi oczami, jakby wiedziała, że o niej mowa.

- Tak - odpowiedziała Tibbie, żartobliwie mierzwiąc włoski Beth. - Rzeczywiście są śliczne.

Postawiła córkę na ziemi i podała jej kij, po czym podeszła do babci. Z zaciekawieniem patrzyły, jak Beth próbuje radzić sobie z krowami, z których większość żyła tu dłużej niż ona.

Tibbie zauważyła, że oczy babci szklą się podejrzenie. Położyła jej rękę na ramieniu.

- Co się stało, babciu? Źle się czujesz?

- Co pasuje?

Podnosząc głos niemal do krzyku, Tibbie powtórzyła pytanie.

- Aaa! Jak się czuję? Doskonale, tylko po prostu moje ciało już się pomału zużywa.

Beth cicho skarciła opieszalą krowę i dźgnęła ją kijem. Babcia uśmiechnęła się.

- Żałuję, że nie zobaczę, jak ta mała dorośnie. Wydaje mi się, że jest do mnie bardzo podobna.

- Nie mów tak. - Tibbie zmusiła się do uśmiechu i lekkiego tonu głosu. - Pewnie to samo powiesz jej dzieciom - oznajmiła donośnie.

- Nie. Ostatnio bardzo często śni mi się twój dziadek. Ciągle mam ten sam sen. Widzę dziadka... Boże! Wygląda tak młodo! Jak wtedy, gdy braliśmy ślub. Zawsze stoi w cieniu drzew przy altanie, w której spotykaliśmy się, gdy udało mi się wymknąć z domu. Mam wrażenie... że na mnie czeka, i sędzę, że tak właśnie jest. Nie żyje już od tak wielu lat, ale wciąż bardzo go kocham. Myślę, że to właśnie dlatego ponownie nie wyszłam za mąż. - Nagle jej oczy rozblęły, a głos zabrzmiał dźwięczniej. - Boże! Ile wspaniałych chwil przeżyliśmy razem, jak bardzo się kochaliśmy. Twój dziadek był wspaniałym mężczyzną.

- A ty jesteś najwspanialszą kobietą, jaką znam - powiedziała Tibbie, zadowolona, że znajdują się na pastwisku, gdzie nikt nie słyszy, jak głośno musi wykrzykiwać.

Babcia zmrużyła oko i poklepała dłoń wnuczki.

- Nie pozwól mi się tak zachowywać. Jesteś za młoda na wpadanie w łzawy, sentymentalny ton. Zachowaj sobie takie nastroje na starość, kiedy nie będziesz już miała nic lepszego do roboty. Dano mi długie, szczęśliwe życie i wiele wspaniałych chwil. Ale już zbyt długo przebywam z dala od twojego dziadka i myślę, że czas wrócić do domu.

Babcia zawsze nosiła delikatną belgijską chusteczkę za man-

kietem rękawa czarnej jedwabnej sukni. Tego dnia chusteczka była jej potrzebna; wyciągnęła ją powoli i otarła oczy, po czym rozłożyła ją i przyjrzała się jej uważnie.

- Moja matka zawsze nosiła przy sobie taką belgijską chusteczkę. Oczywiście były znacznie misterniejszej roboty, koronka była kosztowniejsza, dobrze to zapamiętałam. Kiedyś powiedziała mi, że kobiety w naszej rodzinie zawsze nosiły koronkowe chusteczki. Pamiętała to od czasów swojej prababki. - Westchnęła i wsunęła chusteczkę za mankiet. - Mogły sobie na to pozwolić w czasach, gdy Rosja błyszczała jak brylant w diademie Europy.

Widząc, że zbliżają się do domu, Tibbie jeszcze raz podniosła głos do krzyku, tym razem o ton słabszego.

- Dobrze wiesz, że wyglądasz na połowę swoich lat.

- Oczywiście, że wiem! Ale czas ma swoje prawa. Uderzenia mojego starego serca coraz bardziej przypominają mi bicie żałobnego dzwonu.

- Lepiej dołóż starań, żeby jeszcze z nami być. Nie pozwalam ci odejść.

Lecz babcia kontynuowała swoją wypowiedź, jakby nie słysząc słów wnuczki.

- Obawiam się, że moja świeczka już się dopala. - Chwyciła wnuczkę za rękę i wsunęła jej coś w dłoń. - Chcę, żebyś to wzięła.

Tibbie rozchyliła palce i zobaczyła mały srebrny zegarek babci. Natychmiast popatrzyła na stanik sukni, w miejsce, w którym babcia zawsze go przypinała.

- Nie mogę go przyjąć - powiedziała, podając zegarek babci.

Lecz staruszka łagodnym gestem odepchnęła jej rękę.

- To przypomnienie, że czas nie stoi w miejscu, niezależnie od tego, jak bardzo mitrzymy go po drodze. Chcę, żebyś zapamiętała moje słowa. Czas szybko mija, ale pozostawia swój cień. Bóg daje nam szansę, ale nie będzie nas budził, jeśli będziemy spać.

Tibbie ze ściśniętym sercem patrzyła na grób babki. Czuła tak wielki ból w piersi, że dziwiła się, iż jej serce w ogóle jeszcze bije. Doświadczała potęgi śmierci. Smutek i żal sprawiły, że ły

potoczyły się po jej policzkach i opadły na stanik czarnej sukni z bombazyny.

Ostatnio Nicholas dużo podróżował, zarówno w interesach, jak i z powodu Tibbie. Wrócił do Indianoli dzień po pogrzebie. Gdy tylko usłyszał wiadomość, udał się do Buchananów, by złożyć im kondolencje, nie tylko dlatego, że zmarła była babką Tibbie. Szczerze lubił tę staruszkę.

Spędził jakiś czas z rodziną. Tibbie nie było w domu.

Jadąc do miasta, cały czas zastanawiał się, gdzie się podziewa. Najprawdopodobniej spędzała czas z Erikiem. Szybko odegnał od siebie tę myśl i zaczął sobie wmawiać, że powinien zapomnieć o Tibbie.

Lecz ona nie należała do kobiet, które łatwo jest wymazać z pamięci. Myśli o niej nieustannie rozpraszały go i niepokoiły. Spędzał kolejne noce z coraz to innymi kobietami, nie zwracając na nie większej uwagi niż na swego konia. Doznawał krańcowo różnych nastrojów, czując na przemian to nadzieję, to rozpacz. Tibbie dawała mu tak niewiele zachęty, że coraz trudniej było mu pielęgnować w sobie nadzieję. Należała do kogoś innego i gdyby miał choć odrobinę rozsądku, już dawno by o niej zapomniał. Eric miał wielkie szczęście, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nick toczył wewnętrzny dialog:

To nie mój problem.

No właśnie, więc przestań o niej myśleć przez cały czas.

Przecież nie myślę.

Ej, czyżby?

Ależ to prawda, nie myślę o niej, kiedy śpię.

Tak nazywasz te krótkie drzemki pomiędzy rzucaniem się na łóżku i przewracaniem?

Nie myślę o niej, kiedy pracuję.

Chodzi o te chwile, kiedy wpatrujesz się w przestrzeń? Czy o te, kiedy piszesz jej inicjały na ukończonych rysunkach?

To nie ma znaczenia. Ona pragnie Erica.
Powinieneś to sobie ciągle powtarzać.
Ależ to robię. Tylko że to nie pomaga.
Dlaczego?
Myślę, że zawsze chcemy mieć coś nieosiągalnego.
A ty jej pragniesz?
Tak.
W takim razie działaj.
To nie takie proste.
Tylko tchórze poddają się rozpacz.
Drewno zostało stworzone po to, by pływać, kamienie, by
tonąć. Nie mogę walczyć z przeznaczeniem.
Przeznaczenie... tak nazywasz swoje ograniczenia?
Z niektórymi rzeczami nie da się walczyć.
Nawet z Bożą pomocą?
Myślę, że Bóg ma ważniejsze sprawy.
Tak, na przykład uciszanie wiatru dla ostrzyżonej owcy.
Na litość boską, ona ma wyjść za mąż! Za innego!
No i co z tego? Jeszcze nie jest mężatką.
Ale będzie.
Czy jeśli Bóg daje ci mleko, prosisz go o wiadro?
Nie wiem, czy Bóg dał mi mleko.
Ech, nieświadomość... jest jak wygodna, miękka poduszeczka.
Co mam zrobić?
Jeśli chcesz mieć owoc, musisz wspiąć się na drzewo.
Spędził męczące cztery dni w San Antonio, załatwiając ostatnie
sprawy związane z ukończeniem budowy statku. Był potwornie
zmęczony. Prawdopodobnie właśnie dlatego tak obsesyjnie myślał
o Tibbie. Tymczasem Tibbie Buchanan prowadziła swoje własne
życie. Będzie musiał jak najszybciej zająć się swoimi sprawami,
gdyż w przeciwnym razie reszta dni upłynie mu na durzeniu się
w żonie innego mężczyzny. Jechał, czując ogromne znużenie
i żałując, że nie zdążył się ogolić i umyć przed wizytą u Bu-
chananów.

Minął kościół. Poczuł miły chłód, przejeżdżając pod olb-

rzymimi drzewami osłaniającymi cmentarz. Popatrzył na trawiaste pagórki, schłudne kamienne tablice, kilka kopczyków świeżo usypanej ziemi, po czym spojrział w róg cmentarza, gdzie znajdował się świeży grób otoczony czarnym żelaznym płótem. Zatrzymał się gwałtownie.

Coś przyciągnęło jego uwagę. Po chwili zorientował się, że jest to czyjaś sylwetka na wpół schowana w cieniu drzewa, ubrana w czerń zlewającą się z ciemnym, błyszczącym listowiem tak, że nie od razu ją zauważył. Jednak gdy poruszyła się i promień słońca oświetlił jej głowę, jasne włosy rozbłysły jak złoto.

Tibbie.

Skierował konia przez otwartą bramę i krętą drogą dojechał do miejsca, z którego wyraźnie widział ją siedzącą plecami do niego. Marszczona czarna suknia otaczała ją jak kokon smutku. Podjechał bliżej, zatrzymał wałacha i przywiązał go do drzewa, po czym ruszył w stronę Tibbie, myśląc, że nie powinna być tu teraz sama. Dotyczyło to również i jego. Podeszedł bliżej, usłyszał jej szloch i zauważył przywiedłe jaskry w zbielejącej dłoni. Trzymała je kurczowo, jakby dotyk jej ręki miał powstrzymać je od śmierci.

- Tibbie...

Na dźwięk jego głosu zerwała się na nogi, szybko otarła policzki i odwróciła się w jego stronę.

Chodź tu, kochanie, chodź i wypłacz się na moim ramieniu. Pozwól, żebym cię tulił, koł twoj ból. Podejdz do mnie, podaj mi rękę... zrób cokolwiek, żeby pokazać mi, że jeszcze nie jest za późno, że ci zależy, pomyślał.

Nie dostrzegł jednak na jej twarzy ani w zachowaniu niczego, co stanowiłoby potwierdzenie jej uczucia czy choćby chęci przyjęcia pomocy, powiedział więc tylko:

- Tibbie, nie powinnaś tu przebywać sama. Tak jest ci jeszcze ciężiej.

Och, Nick, Nick! Proszę, przytul mnie. Przytul mnie, powiedz mi, że żyję. Powiedz, że mi wybaczasz. Że jeszcze nie jest za późno, powtarzała w myślach.

Nie wyczytawszy jednak z jego twarzy ani zachowania dowodów przebaczenia ani miłości, powiedziała po prostu:

- Przyniosłam tu tylko kwiaty. - Popatrzyła na pęk w swojej dłoni. - Jaskry i dziką marchew. Kiedy byłam małą dziewczynką, zbierałam je z babcią. - Zapatrzyła się w przestrzeń i uśmiechnęła drżącymi wargami. - To dziwne, ale po latach pamiętamy nie wielkie wydarzenia, tylko małe codzienne sprawy... które pozornie nie mają żadnego znaczenia. Na przykład takie kwiaty. Przychodzi mi na myśl, że przez długi czas sądziłam, że z jaskrów robi się masło i dopiero kiedy powiedziałam o tym babci, wyprowadziła mnie z błędu. Kochała kwiaty. Opowiedziała mi o nich tak wiele... i nauczyła też tatę.

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić twojego ojca żywo interesującego się kwiatami.

- Ale to prawda... przynajmniej jeśli chodzi o to, czego nauczyła go babcia. Oczywiście, była to praktyczna wiedza.

- No jasne. Kropla tojadu, zmielone skrzydło nietoperza, oko ropuchy, dwa włosy z byczego ogona...

Uśmiechnęła się do niego. Miał wrażenie, że chmury rozstały się i wyjrzało pomiędzy nich słońce.

- Nie mówię o zabobonach. Kwiaty mają właściwości lecznicze, a babcia dużo wiedziała na ten temat. Powiedziała tacie, że herbatka z fiołków pomaga na ból głowy, dzika kapusta przynosi ulgę w przypadku skurczów i astmy, kropla plewimaczka albo kostka cukru uśmierza kaszel, krwawnik tamuje krwawienia.

Wskazała dziką marchew.

- Niektórzy ludzie nazywają ją „koronką królowej Anny”. Pochodzi z tej samej rodziny co pietruszka. Grecy kładli pietruszkę na grobach, żeby powiedzieć swoim bliskim, że wciąż o nich pamiętają. Nie mamy tu pietruszki, więc pomyślałam... - Wyglądała tak, jakby miała ochotę znów się rozpłakać, lecz wzięła głęboki oddech i zmusiła się do opanowania. - Babcia mówiła, że pietruszka wolno kiełkuje, bo musi przedtem dziewięć razy iść do diabła. Mówiła, że kiedy była małą dziewczynką, sadzili pietruszkę w Wielki Piątek, żeby zrobić na złość diabłu.

Wyglądała bardzo smutno, cała w czerni, pełna bólu, z opuchniętą twarzą noszącą ślady pospiesznie otartych łez.

- To do niej podobne - stwierdził, marząc o tym, by wziąć Tibbie w ramiona.

- Och, Nicholas, tak bardzo mi jej brakuje.

Nie potrafił się jej oprzeć, kiedy zwracała się do niego „Nicholas”.

- Wiem. - Wyciągnął do niej rękę. Tibbie wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. Znow zaczęła płakać, nie była w stanie się opanować.

- Jest mi tak głupio - powiedziała nosowym głosem, po czym, jakby zdawszy sobie sprawę, że znajduje się w jego ramionach, odwróciła się gwałtownie. - Przepraszam, zmoczyłam ci ubranie.

- Nie szkodzi - powiedział, przybierając lekki ton. Wyjął z kieszeni chusteczkę i podał Tibbie.

Pokręciła głową, ale w końcu przyjęła chusteczkę i odwróciła się, by wydmuchać nos. Patrzył na jej plecy, po raz pierwszy zauważając, jak bardzo są wąskie, jak szczupła jest jej talia. Od kołnierzyka do kraju sukni biegł rząd maleńkich guzików, które mogły zniechęcić każdego mężczyznę, jednak jemu przypominały przede wszystkim, co się pod nimi kryje. Miał ochotę ją odwrócić, przytulić do siebie i powiedzieć, że ma prawo do płaczu. Miał ochotę trzymać ją wtedy w ramionach.

Stał jednak w pewnej odległości od niej, czując swoją bezradność, gdy ukryła twarz w dłoniach, a jej wątłymi ramionami wstrząsnął szloch. Nie pozostawał obojętny na jej ból. Czyżby czuł jej łzy pod swoimi powiekami? Co powinien teraz powiedzieć? Co mógł zrobić? Boże! Jak mógł jej pomóc? Może po prostu powinien tylko pozwolić jej się wypłakać.

Nie był jednak w stanie dłużej słuchać jej bolesnego szlochania. Położył dłonie na jej ramionach, czując, że wzdryga się pod wpływem jego dotyku.

- Hej - powiedział. - Może będzie ci lepiej, jeśli o tym porozmawiamy?

Potrząsnęła głową. Patrzył, jak małe kolczyki z agatami kołyszą się w jej uszach.

- Nie - odpowiedziała, ponownie wytarłszy nos. - Nie można dzielić żałoby. Trzeba przeżyć ją samemu - dodała nosowym głosem.

- Ale nie musisz być wtedy sama. Towarzystwo bliskiej osoby pomaga.

Wydawała się go nie słuchać.

- To stało się zbyt nagle. Nie byłam przygotowana na jej odejście. Wciąż mogłam się od niej wiele nauczyć. Chciałam, żeby zobaczyła jeszcze tak wiele rzeczy.

Na przykład twój ślub, pomyślał.

- Śmierć zawsze wybiera niewłaściwy czas. Zawsze jest za wcześnie albo za późno.

Tak samo miłość, natychmiast przyszło mu do głowy.

- Ale tak mi jej brak. Już nigdy jej nie zobaczę.

Ani ja ciebie.

- To tak bardzo boli.

To prawda, boli jak wszyscy diabli.

- Wiem - powiedział. - Utrata kogoś, kto stanowił część twojego życia... bardzo boli. Ale twoja babcia nigdy całkiem nie umrze. Jej życie nie zostało wymazane. Znow ją zobaczysz. Wspomnienia nigdy nie umierają.

Odwróciła zalaną łzami twarz.

- Dmuchał w dogasające ognisko, Tib, i patrz, jak węgiel zaczyna się żarzyć.

Łzy znów pociekły jej po twarzy. Nie był w stanie znieść widoku Tibbie stojącej samotnie ze swoim bólem. To nieważne, że miał ją tylko na chwilę, a teraz w jej życiu pojawił się ktoś inny. Nie miało znaczenia to, że kiedy jej dotykał, bał się, że nie będzie potrafił się powstrzymać.

- Tibbie, nie bierz na siebie tak wiele. - Podał jej rękę. Chętnie wtuliła się w jego ramiona, przyciskając moką twarz do jego szyi. W końcu poczuła tak wielkie wyczerpanie, że nie mogła już dłużej płakać.

Mimo że uspokoiła się, nadal trzymał ją w ramionach, opierając podbródek o jej głowę i gorączkowo szukając odpowiednich słów, które mogłyby przynieść jej pocieszenie. Nie potrafił jednak wymyślić niczego sensownego i w końcu postanowił pocieszać ją w jedyny znany sobie sposób, oferując jej swoją czułość.

Przez dłuższy czas stali razem, ciasno spleceni.

- Dlaczego musimy umierać? - powiedziała w końcu.

Odsunął się nieznacznie i położył dłonie na jej plecach.

- Nie wiem, Tib. Ale przynajmniej pod tym względem wszyscy jesteśmy równi. Jest w tym nawet pewne pocieszenie... świadomość, że odchodząc, zostawiamy za sobą wszystkie niesprawiedliwości tego świata. Śmierć nie odróżnia biedaków od królów.

- Babcia Grace powiedziała mi kiedyś, że czuje się, jakby wyrosła z życia, które zaczęło ją uwierać jak para zbyt ciasnych butów. Może właśnie tego pragnęła. - Pokiwała głową. - Ona wiedziała... na dzień przed śmiercią po południu powiedziała mi, że często widuje we śnie mojego dziadka. Dała mi swój zegarek. Powiedziała, że Bóg daje szansę, ale nie obudzi mnie, jeśli będę spała.

Jej równy oddech dowodził, że najgorsze miała już za sobą, przynajmniej w tej chwili. Nie cofnęła się jednak, więc skorzystał z okazji, by jeszcze raz ją przytulić. Nieznaczne usztywnienie ciała, któremu towarzyszyło przyspieszenie oddechu, powiedziały mu, że Tibbie zdaje sobie sprawę, że już zbyt długo przebywają w swoich ramionach, i nie można tego usprawiedliwiać sytuacją. Wzniosłe myśli zostały wyparte przez bardziej przyziemne.

Odchylił się, by na nią spojrzeć. Rumieniec na jej policzkach zdradzał, że musiała myśleć o tym samym co on. Przez chwilę wahał się, mając ochotę znów przyciągnąć ją do siebie i wiedząc, że nie powinien tego robić.

Pochyliła się i położyła kwiaty na grobie babci, chcąc choć trochę odsunąć się od Nicholas'a. Popatrzył na kopczyk i białą marmurową tablicę: SOPHIA ANASTASIA.

- Sophia Anastasia? Dlaczego w takim razie wszyscy nazywali ją Grace?

- Tata często się z nią droczył i mówił, że to dlatego, że miała tyle gracji, ale babcia twierdziła, że po prostu chciała mieć bardziej amerykańskie imię. A mama powiedziała, że ojciec babci zawsze nazywał ją swoim łabędziątkiem pełnym gracji.

Zauważyła, w jaki sposób się jej przygląda, i szybko zmieniła temat.

- Ojej, co ja zrobiłam z twoją koszulą! Jest cała mokra i pognieciona.

- To prawda.

- No tak. Dobrze, że zostawiłeś swojego konia. Pewnie bym go wystraszyła. Wiem, że wyglądam tak, że na mój widok by się spłoszył.

- Rzeczywiście można się wystraszyć.

Patrzył na nią, dostrzegając wszystkie oznaki jej zakłopotania, drżący głos, szybkie łapanie oddechu, unikanie jego wzroku. To było nawet korzystne. Gdyby dłużej patrzyła na niego, znów wzięłby ją w ramiona.

Miał ochotę tulić ją i całować, dopóki nie zapomniaby o śmierci, rodzinie, odpowiedzialności i potrzebie cieszenia się szacunkiem lokalnej społeczności. Lecz przede wszystkim pragnął całować ją tak, żeby zapomniwała o Ericu. Jednak nawet nie drgnął.

Cofnęła się. Sprawiała wrażenie onieśmiałonej.

- Słyszałam, że niedługo wyjedziesz z Indianoli - powiedziała.

- Tak, już niedługo. - Oparł się o drzewo i wsunął kciuki za pas spodni.

- To musi być wspaniałe, być wolnym i móc jechać, gdzie się chce.

- Są też minusy takiej sytuacji.

Kiedy na niego spojrzała, napotkała tak chłodny i nieobecny wzrok, że z trudem zebrała się na odwagę, żeby dalej na niego patrzeć. Dlaczego nie dostrzegał uczuć w jej wzroku? Czyżby nie wiedział, co przeżywała na myśl o jego odejście? Po raz ostatni postanowiła przełknąć dumę.

- Myślę, że to wspaniałe... budować statki, spędzać tyle czasu nad morzem. Bardzo chciałabym zobaczyć te miejsca, które odwiedziłaś, chciałabym móc popłynąć tam, gdzie mi się zamarzy. - Zabierz mnie z sobą, Nicholas, miała ochotę krzyknąć. Zabierz mnie z sobą.

- Pewnie będziesz miała okazję. Przecież Eric pochodzi z Hawajów, prawda? Słyszałem też, że prowadzi ciekawe życie.

Serce zamarło jej w piersi. Nie mogła uwierzyć w to, że Nicholas nie rozumie, co usiłuje mu powiedzieć. A może dobrze ją rozumiał, tylko nie był już nią zainteresowany? Jeszcze niedawno trzymał ją w ramionach i całował, mówił, że ją kocha. Czy jego uczucia mogły tak nagle się odmienić? Chwyciła się za łokcie i zadrżała, choć wcale nie było jej zimno.

- Wydaje mi się, że trudno znaleźć kogoś, kto ma życie ciekawsze od budowniczego statków.

- Myślę, że Eric nie może narzekać na brak wrażeń. Ale co sprawiło, że nagle tak ci się spodobało budowanie statków?

Odwrociła wzrok.

- Po prostu ostatnio to mnie interesuje.

- To na pewno ciekawe życie, ale czasami dotkliwie odczuwa się samotność, ponieważ rzadko mogę przebywać dłużej w jednym miejscu.

- To znaczy, że zawsze trzeba wtedy prowadzić wędrownie życie? Czy nigdy nie myślałaś o tym, żeby gdzieś się osiedlić? Założyć rodzinę? Mieć dzieci?

- Nie buduje się zamków na piasku, Tibbie. Życie to nie bajka. - Mówił teraz zdecydowanym tonem. - Nie prowadzę interesu odziedziczonego po przodkach. Dopiero go rozwijam. Mój brat i ja walczymy z upływającym czasem, mając nadzieję, że zdążymy nauczyć się jak najwięcej, zanim umrze wuj Robert. Spędzam wiele czasu na morzu. To niebezpieczne.

W końcu zrozumiała, co miał na myśli. Nie mogłaby przy nim oczekiwać tego, co czekało ją u boku Erica. Nie byłby mężem pochodzącym z bogatej szanowanej rodziny, nie zapewniłby jej poczucia bezpieczeństwa i w ogóle mogłaby cieszyć

się mężem tylko wtedy, gdy nie przebywałby na morzu. Nie mogłaby oczekiwać dostatniego życia, ogromnego majątku i okazałej rezydencji, budzącej powszechną zazdrość okolicznych mieszkańców. Nicholas był dumnym mężczyzną, lecz jego majątek przedstawiał się nader mizernie w porównaniu z majątkiem Erica.

Powróciło dojmujące poczucie utraty i potęgi śmierci. Było duszno i gorąco, oddychała z trudem. Czuła się tak, jakby już znalazła się w swojej trumnie, miejscu, z którego nigdy nie ucieknie.

- No tak - powiedziała, siląc się na obojętny ton. - Spędziłam tu o wiele więcej czasu, niż zamierzałam. Na pewno jestem już potrzebna w domu.

- Przyszłaś tu pieszo?

- Tak. Wolałam się przejść. Chciałam być sama.

Zacisnęła szczęki.

- Rozumiem.

Niczego nie rozumiem, pomyślał. Odkąd ją poznałem, nie rozumiem niczego.

Tego wieczoru Tibbie siedziała w bujanym fotelu przy oknie w sypialni. Na zewnątrz zachodzące słońce barwiło okolicę na kolor ciepłej czerwieni, różowiac długie, wąskie szyje stada gęsi na podwórzu.

Powróciły wspomnienia. Oczami wyobraźni ujrzała dziadka zaprzęgającego kozę do wozu, którym miała pojechać na przejażdżkę z Mairi. Po drugiej stronie wozu stał stary pies myśliwski, którego nazwała Rabusiem, ponieważ zawsze kręcił się w poszukiwaniu łupu. Drogą nadchodziła jej przyjaciółka, Carrie Jo Newcomb, niosąc na ramieniu koszyk, w którym znajdowały się cztery małe kotki, które zamierzała rozdać. Wszyscy już nie żyli: dziadek zmarł we śnie pod koniec tamtego lata, a Coll zastrzelił Rabusia po tym, jak został ugryziony przez wściekłego skunka. Przypomniała sobie, jak bawiły się kozą z Mairi, kiedy usłyszały,

że Carrie Jo utonąła przy przekraczaniu Spider Creek z koszykiem na ramieniu. Tibbie żałowała, że nie może wrócić do tamtych czasów: powiedziałyby dziadkowi, że go kocha, i uściskałyby go za zaprzęgnięcie kozy do wozu; inaczej zachowałyby się tego ranka, kiedy Rabuś chciał się z nią bawić, a ona była zbyt zajęta swoimi lalkami i go odegnała, nie wiedząc, że zajmie się pogonią za skunksem. Może też wszystko ułożyłoby się inaczej dla Carrie Jo, gdyby zgodziła się z nią pójść rozdawać kociątka.

Trudno było pogodzić się z tym, że niczego nie da się już zmienić.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, jakie znaczenie mogą mieć te słowa. Czyż właśnie to samo nie czekało jej w przypadku Nicka? Groziło jej to, że zrozumie swój błąd dopiero wtedy, gdy będzie już za późno. Przypomniała sobie swoją rozmowę z Mairi na krótko przed śmiercią babci. „Trudno powiedzieć, żebyś go zachęcała w czasie, kiedy mówił ci o swoich uczuciach. Jeśli chcesz z nim być, musisz schować swoją dumę i do niego pójść”, powiedziała wtedy siostra.

- Dobrze! -wykrzyknęła, wstając. -Zrobię to jutro z samego rana.

19

Następnego ranka za piętnaście ósma Tibbie Anne Buchanan siedziała przy biurku, pisząc list do Nicholasa Mackinnona. Stojący obok kosz był już po brzegi wypełniony kartkami papieru. Do pokoju wlatywał słodkawy zapach kapryfolium, oplatającego drzewo przed oknem, ale Tibbie nie zwracała na to uwagi. Była zbyt zajęta darcie kolejnej kartki i wpychaniem jej do przepełnionego kosza. Przez chwilę patrzyła na pustą kartkę, jakby w nadziei, że pod wpływem spojrzenia odpowiednie słowa same pojawią się na papierze.

Dlaczego nie potrafisz napisać tego listu?

Spokojnie, Tibbie. To proste.

Oczywiście! Od piątej rano starała się przelać swoje myśli i uczucia na papier, co, łagodnie mówiąc, nigdy nie było jej najmocniejszą stroną. Z pokrzepiającym westchnieniem ponownie uniosła pióro i tym razem napisała krótki prosty list do Nicholasa, w którym powiadamiała go, że będzie na niego czekać nazajutrz w sadzie o piętnastej, a jeśli on nie przyjdzie, zrozumie, że ich wzajemna sympatia jest już sprawą przeszłości.

Schowała list do najgłębszej kieszeni i poszła do stoczni, zastanawiając się po drodze, co powie Nickowi, kiedy go zobaczy. Pomyślała, że wręczy mu list, prosząc, żeby przeczytał go po jej odejściu, po czym uprzejmie przeprosi go i sobie pójdzie.

Natomiast po powrocie do domu rozpocznie się najdłuższe czekanie w jej życiu.

Doszedłszy do stoczni, udała się prosto do biura Nicka. Drzwi były zamknięte, więc zapukała trzy razy. Gdy nikt nie odpowiedział, odwróciła się i zstąpiła ze schodków, lecz po chwili się zatrzymała. Co z tego, że nikogo nie ma? Może przecież wsunąć list pod drzwi, a Nick z pewnością znajdzie go po powrocie. Jednak kiedy zaczęła wsuwać kopertę pod drzwi, zawahała się. A jeśli podmuch powietrza przy otwieraniu drzwi przesunie list albo koperta wsunie się pod dywan? Nie mogła ryzykować. Nie w przypadku tego listu.

Spróbowała otworzyć drzwi. Ustąpiły, więc weszła do środka. Gabinet wyglądał tak, jak go zapamiętała. Biurko, na którym panował wzorowy porządek, należące do Portera, znajdowało się po jednej stronie, a biurko Nicka, zavalone papierzyskami - po drugiej. Podeszła do okna i popatrzyła na teren stoczni. Natychmiast zauważyła Nicka i Portera - rozmawiali z krępyim mężczyzną, który wręczył Porterowi gruby plik papierów. Wszyscy trzej uścisnęli sobie ręce, po czym Nick i Porter skierowali się w stronę biura.

Czując, że opuszcza ją odwaga, Tibbie postanowiła zostawić list na biurku Nicka. Nie chciała go teraz spotykać. Być może zaoszczędzi tym sobie widoku, jak mnie papier w silnych palcach i wrzuca go do kosza na śmieci.

Podbiegła do biurka Nicka, położyła list na blacie i szybko wyszła z pokoju. Z niewiadomego powodu sam widok Nicka podniósł ją na duchu. Czowała, że mu na niej zależy. Tak! Odetchnąwszy z ulgą, pospiesznie oddaliła się ulicą, a zaraz za rogiem okręciła się kilka razy, powtarzając:

- Kocham, kocham, jestem zakochana!

- Miło mi to słyszeć - powiedział głęboki męski głos. Natychmiast się odwróciła, zakrywając usta dłonią, zawstydzona. Z ulgą stwierdziła jednak, że to głos syna pana Plummera, Archiego.

- Dziękuję - powiedziała, obdarzając go uśmiechem, po czym okręciła się jeszcze raz i poszła do domu.

Nick przytrzymał drzwi Porterowi, który niósł stertę papierów.

- Połóż je na moim biurku - powiedział. - Przejrzę je później.

Porter zrobił jakąś uwagę na temat Josiaha Bitterwortha, który ostatnio bardzo przybrał na wadze, po czym położył papiery na biurku Nicka i usiadł za swoim.

Następny dzień włókł się dla Tibbie dłużej niż tysiącletnie. Nie wiedziała, czemu wybrała dla siebie tak boleśnie długie oczekiwanie. Postanowiła, że już nigdy w życiu nie zrobi czegoś podobnie głupiego. Dlaczego nie poprosiła go, żeby spotkał się z nią wczoraj? Jeszcze nigdy w życiu czas tak bardzo jej się nie dłużył.

Oczywiście po części wynikało to z faktu, że wstała o piątej rano, a ubrała się o wpół do szóstej, gotowa na spotkanie o trzeciej po południu. Zresztą można powiedzieć, że wtedy ubrała się po raz pierwszy. O drugiej po południu co najmniej trzykrotnie włożyła na siebie po kolei wszystkie suknie, jakie miała w szafie. Przyglądając się sobie w lustrze, czuła coraz większe rozczarowanie. W końcu doszła do wniosku, że wszystkie sukienki są smutne, brzydkie i pospolite, więc nie ma znaczenia, którą z nich zdecyduje się włożyć. Dlaczego nie przewidziała tego, że kiedyś będzie jej potrzebna choć jedna ładna sukienka? Znowu zajrzała do szafy. Szara. Brązowa. Buroniebieska. Czarna. Czerwonawobrazowa. Ciemnoszara. Ciemnobrązowa. Granatowa. Nie znajdowała w szafie niczego, co mogłaby włożyć na tak niezwykłą okazję. Z pewnością jednak zupełnie inaczej wyglądały sukienki w szafie siostry.

- Oczywiście, że możesz włożyć moją zieloną suknię w kratkę - powiedziała Mairi. - A gdzie się wybierasz?

- Eee... postanowiłam skorzystać z twojej rady, Mairi. Mam zamiar spotkać się z Nickiem o trzeciej.

- Och, Tibbie, to wspaniale! To takie romantyczne! - Mairi urwała i przyjrzała się siostrze. - Ale ta kraciasta sukienka nie nadaje się na taką okazję. Tibbie, dzisiaj musisz włożyć tę suknię, którą miałam na sobie z okazji ukończenia szkoły!

- Och, nie mogę!

O wpół do trzeciej Tibbie stała przed owalnym lustrem i przyglądała się sobie w białej sukni Mairi.

- Wyglądasz wspaniale! Kiedy cię zobaczy, będzie żałował, że nie wyznaczyłaś spotkania z samego rana!

Mairi odprowadziła wzrokiem wychodzącą siostrę, a potem patrzyła, jak ta wraca.

- Zapomniałam czegoś - powiedziała Tibbie, wbiegając na schody. Po chwili szybko zbiegła na dół. - Mój anioł - wyjaśniła, unosząc marmurowego aniołka - prezent od Nicka.

To była najdłuższa droga w jej życiu, lecz Tibbie cieszyła się każdą jej chwilą. Cudownie było iść ścieżkami, które przemierzała tysiące razy, mając świadomość, że nigdy nie czyniła tego z taką radością i entuzjazmem. Słońce zdążyło już wypalić poranną mgiełkę okrywającą pola, sprawiając, że wszystko dookoła było suche i roztaczało miłą woń. Balsamiczne powietrze nie było zbyt gorące, na niebie unosiły się pierzaste chmurki. Tibbie odnosiła wrażenie, że gdyby uniosła rękę, bez trudu ściągnęłaby jedną z nich na ziemię.

Weszła na ostatnie wzgórze po drodze do sadu i poczuła ukłucie rozczarowania, nie dostrzegłszy konia Nicka, uwiązanego do płotu. Zegarek babci, przypięty do stanika sukni, wskazywał za pięć trzecią, więc Nick nie był jeszcze spóźniony, po prostu to ona przyszła za wcześnie. Czowała jednak lekkie rozczarowanie, że Nick jeszcze nie przyjechał, jako że wyobrażała sobie swoje wielkie wejście przez zardzewiałą bramę, w białej sukni Mairi, z włosami związanymi kokardą po raz pierwszy od urodzenia Beth.

Tibbie znów spojrzała na zegarek. Wpół do piątej. Nie przyszedł. Wszystkie zakłęcia świata niczego tu nie mogły zmienić.

Kiedy dochodziła do domu, spotkała na ścieżce Mairi i Fortunę. Beth kołysała się na huśtawce. Mimo iż Tibbie starała się nie

okazywać żadnych emocji, czuła, jak jej serce ściska się na widok córki i myśli o tym, co się może stać. Wiedziała, że mała uwielbia Nicka i będzie bardzo rozczarowana, że już nigdy w życiu go nie zobaczy.

- Proszę, zajmij się przez chwilę Beth - zwróciła się do Mairi. - Nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie.

- Och, Tibbie, co się stało?

- Nic. Absolutnie nic. Po prostu nie przyszedł.

- Nie wierzę.

- Lepiej uwierz.

- Nick nie...

- Właśnie to zrobił.

- Pozwól mi się z nim spotkać. Jestem pewna...

- Jeśli piśniesz komukolwiek choćby słówko na ten temat, nie odezwę się do ciebie do końca życia.

- Och, Tibbie, proszę... pozwól, że będę ci towarzyszyć. Nie chcę, żebyś była teraz sama.

- Jestem do tego przyzwyczajona.

Tibbie odwróciła się i pospieszyła do domu, mając nadzieję, że Beth jej nie zauważy, zanim nie zniknie we wnętrzu. Córeczka rzeczywiście jej nie dostrzegła. Tibbie pomyślała, że to jedyna pomyślna rzecz, jaka się dziś zdarzyła.

Wstępując na schody, powtarzała:

- Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł pozwolić mi czekać na siebie, wiedząc, co muszę czuć... i to właśnie Nick, który tak bardzo chciał ulżyć mi w cierpieniu, ukoić ból? - Przez cały okres znajomości przychodziły jej do głowy różne określenia Nicka, ale aż do dzisiejszego dnia nie było wśród nich słowa „kłamca”.

Tuż przed kolacją Mairi zajrzała do jej pokoju. Po kilku próbach siostra zdała sobie sprawę, że Tibbie nie chce mówić o tym, co się stało, więc tylko serdecznie ją uściskała.

- Beth pomaga mamie przygotowywać kolację. Powiedziałam im, że źle się czujesz i że przyniosę ci jedzenie do pokoju.

- Nie chcę nic jeść.

- Wiem, ale tak czy owak muszę ci przynieść kolację, bo w przeciwnym razie przyjdzie tu tata. Kiedy powiedziałam mu, że źle się czujesz, już tu szedł. Udałam zakłopotaną i zaczerwieniłam się, wstrzymując oddech i ostentacyjnie się nadymając, żeby domyślił się, wiesz czego. Oczywiście wcale się nie domyślił, ale mama natychmiast odgadła, o co mi chodzi, i szepnęła mu do ucha. - Mairi podeszła do łóżka siostry, zaścieliła je, wzruszyła poduszki i zapytała, czy *może* okazać się pomocna. Tibbie potrząsnęła głową i zapatrzyła się w okno. Wychodząc, Mairi powiedziała: - Obiecałam Beth, że jutro pójdziemy na spacer z Fortuną, więc o nic się nie martw.

Przez cały wieczór Mairi zaglądała do pokoju siostry, lecz Tibbie niezmiennie siedziała skulona w fotelu przy oknie, wpatrując się w okoliczny krajobraz, który jeszcze kilka godzin temu wydawał jej się taki radosny i wyjątkowy. Czuła głębokie upokorzenie, wstyd i smutek.

Zastanawiała się, kiedy cała historia rozniesie się po miasteczku jak trujące opary unoszące się nad zatrutą studnią. Boże! Nie będzie w stanie przeżyć tego jeszcze raz! Jak będzie mogła przechadzać się ulicami Indianoli, widząc lekceważące, niechętnie spojrzenia i słysząc złośliwe komentarze? A co z Nickiem? Przecież nie będzie mogła przez cały czas siedzieć w domu. Wcześniej czy później wpadną gdzieś na siebie. Z wszystkich upokarzających doznań spotkanie z nim będzie najboleśniej. Nie. Po prostu nie może już go widzieć, wiedząc, że każde spotkanie będzie przypominać jej to, jak rzuciła mu się do stóp, a on po prostu ją zlekceważył. Zraniona, z duszą zgruchotaną jak szkło pod butem Nicka, była w stanie myśleć jedynie o ucieczce.

Niestety, jedynym sposobem na ucieczkę z Indianoli było zwrócenie się do Erica.

Nie chcąc tracić ani chwili, gwałtownie zerwała się z fotela. Uniosła białą suknię siostry z podłogi i popatrzyła na zegarek babci.

Było wpół do dziewiątej wieczorem. Spojrzała na tacę z kolacją, którą przyniosła jej Mairi. Zmusiła się do przełknięcia paru

kęśów i ułożyła jedzenie na talerzu tak, by wyglądało, że solidnie się posiliła. Nie chciała ryzykować wizyty zaniepokojonego ojca. Pomyślała, że ze względu na Beth powinna o wszystkim powiedzieć Mairi. Będzie potrzebowała pomocy siostry przy pakowaniu rzeczy córki. Przyszła jej na myśl Fortuna. Beth będzie rozpaczała po stracie ukochanego zwierzęcia. Może uda się przekonać Erica, by zabrał także świnię.

Mairi otworzyła drzwi.

- No, wyglądasz już dużo lepiej.

- Czuję się jak znoszone buty. - Tibbie podeszła do szafy i wyciągnęła walizkę.

- Co ty robisz?

- Pakuję się.

- Ale po co? Co ty wyprawiasz? Czy Nick... - W chwili, gdy to powiedziała, Mairi zdała sobie sprawę, że zamierzała zadać niedorzeczne pytanie. Przecież Tibbie na pewno nie miała od niego żadnej wiadomości, chyba że wspiałby się do niej po drzewie rosnącym za oknem. Już kiedyś się to zdarzyło. Wprawdzie żaden mężczyzna nie dostał się w ten sposób do domu, ale jako młode dziewczyny Mairi i Tibbie parę razy wyszły z pokoju przez okno tylko po to, żeby móc się potem tym pochwalić. Jednak Tibbie nie wyglądała tak, jakby otrzymała jakąś dobrą wiadomość. Sądząc po karcącym spojrzeniu, bardzo krytycznie oceniła rozumowanie Mairi.

- Tibbie, proszę, powiedz mi, co ty wyprawiasz.

- Po pierwsze, mam zamiar zobaczyć się z Erikiem. - Włożyła trzy nocne koszule do walizki. - Po drugie, jadę z nim na Hawaje. - Złożyła cztery sukienki i położyła je na koszulach. - Po trzecie, mam zamiar wyjść za niego za męża, gdy tylko tam dopłyniemy. - Włożyła do walizki spódnice. - Po czwarte, uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby być dla niego dobrą, kochającą żoną i stworzyć jak najlepszy dom dla Beth i ewentualnych innych naszych dzieci. - Szybko dorzuciła do walizki koszulki, pończochy i buty, a nawet kilka książek, wśród których była Biblia.

- Zabierasz ze sobą Beth?

Tibbie popatrzyła na siostrę z politowaniem, dając jej do zrozumienia, że to pytanie jest jeszcze głupsze niż poprzednie.

- A jak myślisz, co powinnam z nią zrobić? Utopić ją w zatoce?

- Masz zamiar powiedzieć mamie i tacie?

- Ty to zrobisz.

Mairi zaczęła wycofywać się do drzwi.

- O, nie, na pewno nie. Tibbie Anne Buchanan, gotowa jestem zrobić dla ciebie prawie wszystko i w gruncie rzeczy to robię, ale teraz przekroczyłaś granicę. Możesz mnie smażyć w oleju, palić na stosie, wypalać mi oczy rozżarzonym prętem, tuczyć mnie jak gęś, dopóki się nie udławię, ale nawet nie śmieję sugerować, że to ja mam powiedzieć o tym rodzicom.

- W porządku. Napiszę do nich list, a ty im go wręczysz. - Widząc wyraz nieustępliwości w oczach siostry, Tibbie zmieniła swoje rozporządzenie. - Będziesz mogła położyć go na stole w kuchni. W środku nocy, kiedy nikogo tam nie będzie.

- Dlaczego nie chcesz im powiedzieć?

- Wiesz, co by się działo. Chcieliby, żebym jeszcze trochę poczekała, wszystko jeszcze raz przemyślała albo najpierw wzięła ślub, żebym zostawiła tutaj Beth... Na pewno wymyśliliby tysiące przeszkód. Im mniej osób wie, co planuję, tym lepiej.

- To dlaczego mi powiedziałaś?

- Bo muszę komuś powiedzieć. Bo jesteś *moją siostrą*. Bo chciałabym, żebyś pomogła mi spakować rzeczy Beth i wyprowadziła ją z domu, gdybym nie mogła sama tego zrobić.

Tibbie zamknęła walizkę.

- A teraz znieś na dół tę tacę i powiedz im, że śpię.

- Co zamierzasz zrobić?

- Napiszę do nich list. A później, kiedy wszyscy położą się spać, spotkam się z Erikiem.

Mairi podeszła do siostry i wzięła ją w ramiona.

- Och, Tibbie, to okropne! Może już nigdy cię nie zobaczę... ani Beth!

- Ale będziesz miała Fortunę! - powiedziała Tibbie. Uśmiechnęła się do Mairi, która wybuchnęła płaczem w reakcji na ten żart. - Nie płacz. Oczywiście, że się zobaczymy. Przecież jesteśmy siostrami. Zaprosimy cię do siebie, a na pewno też czasami będziemy przyjeżdżać do Indianoli. Na szczęście Erica będzie na to stać.

- Tak, można powiedzieć, że pod tym względem ci się poszczęściło. A jednak wołałabym, żeby to był...

Tibbie spiorunowała siostrę wzrokiem. Mairi zamknęła buzię tak szybko, że ugryzła się w język.

- Dobrze ci tak - stwierdziła Tibbie.

Po wyjściu siostry przez pewien czas przechadzała się po pokoju, po czym napisała długi list do rodziców, w którym wszystko im wyjaśniła. Potem znów zaczęła przemierzać pokój nerwowym krokiem. Za piętnaście pierwsza w nocy wymknęła się z domu.

Dotarwszy do pokoju Erica, zapukała cicho. Był jeszcze w dziennym ubraniu. Zaskoczenie i zdumienie na jego twarzy wynagrodziło jej wszystkie wysiłki.

- Tibbie! Co ty tu robisz o tej porze? - Nagle zauważył walizkę i zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Szybko wpuścił Tibbie do pokoju i zamknął drzwi. Delikatnie dotknął jej policzka, odsuwając zbłąkane pasemko włosów, które utkwilo w kąciu jej warg.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że jestem gotowa z tobą jechać na Hawaje, jeśli wciąż tego chcesz.

Otworzył usta, ale nie pozwoliła mu powiedzieć ani słowa.

- Lepiej mnie posłuchaj, zanim podejmiesz decyzję. Przedstawię ci moje warunki. - Uśmiechnęła się, jak ktoś szykujący się do ubicia interesu. - Po pierwsze, nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, co robimy, zanim stąd wypłyniemy. Po drugie, chcę, żebyśmy wzięli ślub, jak tylko dojedziemy do twojego domu, albo na pokładzie statku, jeśli małżeństwo tam zawarte będzie uznane za legalne. Po trzecie, chcę, żeby pojechała z nami Beth i Fortuna...

- Czy Fortuna to już nie czwarty warunek? - przerwał jej.
- Nie - odpowiedziała dobitnie. - Beth i Fortuna są nierozdzielne. A jako czwarty warunek chcę usłyszeć twoją obietnicę, że przynajmniej raz w roku przyjedziemy tu albo moja rodzina będzie mogła nas odwiedzić.

Otoczył ją ramionami.

- Gzy to wszystko, czy też masz jeszcze warunek numer pięć?
- Prawdę mówiąc, mam - powiedziała z powagą. - Więc po piątę, proszę, byś mi obiecał, że będziesz się starał ze wszystkich sił, żebym nigdy nie żałowała tego, co robię.

- Och, Tibbie, masz na to moje słowo. - Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Eric porwał ją w ramiona i przycisnął do siebie, jednocześnie pochylając się nad nią w oczywistych zamiarach.

- Eric, nie mamy czasu na...

Uciszył ją w najlepszy ze znanych sobie sposobów, nakrywając jej usta pocałunkami. Jedną ręką gładził ją po ramieniu, a drugą coraz mocniej przyciskał Tibbie do siebie.

Nie był to zły pocałunek, zważywszy na to, kto ją całował.

Musiała go długo przekonywać, ale w końcu udało jej się oderwać jego myśli od całowania i zmusić do skupienia się na omawianiu wyprawy.

- Dlaczego tak na to nalegasz? - zapytał.

- Ponieważ wiem, dokąd dopłyniemy, natomiast nie mam pojęcia, dokąd mogą zaprowadzić nas te pocałunki.

Roześmiał się i stwierdził, że jest cudowna, po czym usiadł na wygodnym fotelu, wziął Tibbie na kolana i wysłuchał, co miała do powiedzenia.

- Rano? - Wstał tak gwałtownie, że omal nie upuścił jej na podłogę. - Przepraszam - powiedział. - Tibbie, najśrodsza, nie ma mowy, żebyśmy zdążyli wypłynąć rano.

- Myślałam, że masz tu jeden ze statków ojca?

- Tak, ale...

- W takim razie dlaczego nie możemy wypłynąć rano?

- Potrzebujemy zapasów żywności, musimy wytyczyć trasę i przygotować statek do wypłynięcia.

- Przecież możemy popłynąć do Galveston albo do Nowego Orleanu i tam wszystko załatwić. - Popatrzyla na niego uważnie. - Posłuchaj, Eric. Jeśli w ogóle mnie chcesz, musimy wypłynąć rano.

Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Tak jest, *ma generale!*

Jednak kiedy tym razem pochylił się, by ją pocałować, Tibbie odchyliła się i uciekła do wyjścia. Przystanąwszy po drugiej stronie drzwi, powiedziała:

- Będę przy twoim statku o jedenastej. Nieco wcześniej Mairi przyprowadzi Beth. - Zastanawiała się, czemu Eric przygląda się jej rozbawionym wzrokiem. - A tak na marginesie, jak się nazywa twój statek?

Odrzucił jasnowłosą głowę do tyłu i roześmiał się, ukazując białe zęby.

- „Nordic Star” - odpowiedział cicho. - Myślałaś, że mógłbym przypłynąć po ciebie jakimś innym?

Następnego ranka wszystko przebiegało zgodnie z planem. Punktualnie o jedenastej Tibbie weszła na pokład „Nordic Star” i wpadła w ramiona Erica.

- Beth jest tutaj? - zapytała, dobrze wiedząc, że córeczka znajduje się na pokładzie, jako że przed chwilą widziała ją żegnającą się z Mairi.

- Jest w swojej kajucie.

„W swojej kajucie”. Boże! Postanowiła poruszyć ten temat po wypłynięciu.

- A Fortuna?

- Nie wchodziła na pokład z taką radością jak Beth. Musieliśmy ją uwiązać.

- Och, Ericu, nie!

- Wypuścimy ją, jak wypłyniemy.

Tibbie rozejrzała się.

- Gdzie jest kajuta Beth? Muszę do niej pójść. Pewnie jest śmiertelnie przerażona.

- Myślę, że nie. Drugi oficer uczy ją węzłów, a tej małej diablicy bardzo się to podoba.

- Chcę ją zobaczyć.

Eric uściśnął ją mocno.

- Za chwilę. Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, czy naprawdę traktujesz to poważnie?

Odchyliła się i popatrzyła mu w oczy.

- Nie uważasz, że narobiłabym trochę za dużo zamieszania jak na żart? Ericu, to byłoby zbyt wiele nawet dla mnie! Oczywiście, że traktuję to poważnie.

Uśmiechnął się promiennie.

- Naprawdę? Naprawdę?

- Nie, Ericu, Po prostu mówię różne rzeczy, ale wcale tak nie myślę.

Chwycił ją na rękę i okręcił.

- Nie będziesz żałować tego, co robisz, Tib.

- Już żałuję - wydyszała. - Za chwilę mnie udusisz.

Eric puścił ją.

- Weźmiemy ślub, gdy tylko dopłyniemy na miejsce. - Położył rękę na jej ramionach i przyjrzał się jej uważnie. - Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Niejeden raz zastanawiała się nad odpowiedzią na to pytanie, gdyż była pewna, że Eric je zada. Kiedyś potwornie ją zranił, ale nie miała zamiaru odpłacać mu pięknym za nadobne i mówić mu prawdy. Zresztą nic by to nie dało. Postanowiła wyjść za Erica i zamierzała szanować go, jak długo będzie jego żoną.

- Mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim wydało mi się to właściwe. Jesteś ojcem Beth.

- Kochasz mnie?

Miała wrażenie, że traci grunt pod nogami. W tym momencie powiedzenie tylko części prawdy nie miało żadnego znaczenia; półprawda była wręcz najlepsza dla wszystkich zainteresowanych. Tylko egoistka mogłaby teraz myśleć wyłącznie o sobie.

- Zawsze cię kochałam. - Zauważywszy efekt, jaki wywarły jej słowa, poczuła wyrzuty sumienia.

Była to jednak prawda, że kiedyś go kochała. Był jej pierwszą miłością, ojcem jej dziecka. Reszta przyjdzie później.

A jeśli nie przyjdzie?

Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pozostawał tylko jeden problem.

Fortuna nie cierpiała morza i wszystkiego, co się z nim wiązało, ze statkami włącznie. Poza tym nienawidziła przebywania na uwięzi. Połączenie tych dwóch rzeczy stworzyło mieszanekę wybuchową. Uwiązana już od ponad godziny świnia, która zazwyczaj była rozkosznym zwierzakiem, teraz w niczym go nie przypominała. Uznawszy, że ma dość swojego położenia, zaczęła ze wszystkich sił walczyć o uwolnienie, przeraźliwie kwicząc, chrząkając i czyniąc potworny rejewach. Beth, która uwielbiała Fortunę i opiekowała się nią jak matka, zawsze reagowała na skargi zwierzęcia. Słyszając przerażające odgłosy, natychmiast oderwała się od węzła, który pracowicie wiązała, i wybiegła z kajuty. Niedługo później pędziła już ulicą w poszukiwaniu zbiegłej świni.

Tymczasem Tibbie robiła, co tylko w jej mocy, żeby trzymać Erica w przyzwoitej odległości od siebie, co najwyraźniej wprawiało go w gniew. Dobrze wiedziała, że nie jest głupcem. Kajuta, którą miała z nim dzielić, znajdowała się w sporej odległości od kajuty Beth i miejsca uwiązania Fortuny. W rezultacie nie słyszała całego zamieszania ani krzyków córki.

- Ericu, czy możesz powstrzymać się od zadawania mi tych wszystkich pytań do czasu wypłynięcia z portu? Jestem bardzo zdenerwowana. Niecodziennie ucieka się z domu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Eric otworzył.

- Co tam? - zapytał pierwszego oficera.

Pierwszy oficer, który uwiązał świnie, zauważył jej zniknięcie. Dobrze znając Erica, postanowił natychmiast go o tym poinformować.

- Świnia uciekła.

- Cholera! Jest na pokładzie?

- Nie wiem. Wysłałem ludzi na poszukiwanie.

Eric popatrzył na drzwi kajuty.

- Nie rozpovídajcie o tym... dopóki nie wypłyniemy.

Drugi oficer, który uczył Beth wiązać węzły, nie znał Erica

tak dobrze jak pierwszy oficer, więc kiedy dziewczynka uciekła z kajuty, uznał za oczywiste, że nadal znajduje się na pokładzie i nie warto zwracać Ericowi głowy.

Tak więc Eric wiedział, że świnia uciekła, nie zdawał sobie jednak sprawy, że zbiegła ze statku, nie miał też pojęcia, że Beth pobiegła za swoim ukochanym zwierzęciem. Tibbie wiedziała tyle samo co on. I tak „Nordic Star” wypłynął bez Beth i jej świnki Fortuny.

Można powiedzieć, że zarówno Beth, jak i Fortuna miały więcej szczęścia niż Tibbie, jako że Mairi, po wyjściu z portu, a nie spiesząc się do domu, wolno szła ulicą, wstępując do kolejnych sklepów. Wychodząc z jednego z nich, zauważyła Fortunę truchtającą chodnikiem.

Przywołała ją i pochyliła się, by chwycić postronek, kiedy zauważyła siostrzenicę biegnącą ulicą w zabrudzonej sukni.

- Beth! - zawołała. - Chodź tutaj!

Bez chwili zastanowienia chwyciła Beth za rękę, a Fortunę za postronek i skierowała się szybko w stronę portu, słuchając po drodze opowieści dziewczynki. Jednak zbliżywszy się do nabrzeża, zobaczyły odpływający „Nordic Star”.

- Czy mama jest na tym statku?

Mairi przytuliła Beth.

- Tak, kochanie, obawiam się, że tak. - Przykucnęła i otarła oczy dziecka. - Nie płacz. Kogo twoja mama kocha najbardziej w świecie?

- Mnie.

- Właśnie. Kiedy tylko zorientuje się, że nie ma cię na pokładzie, zawróca.

Tymczasem Tibbie była bliska ataku hysterii.

- Chcę natychmiast zobaczyć się z Beth!

Wiedząc, że nie odnaleziono jeszcze świni, Eric nie chciał, by Tibbie spotkała się z córką, przypuszczał bowiem, że gdy te dwie się zjednoczą, będą zadrećcać go losem zwierzęcia.

- Tibbie, powiedziałem ci, że zobaczysz się z nią, kiedy tylko będzie to możliwe. - Modlił się w duchu, żeby świnia została jak najszybciej odnaleziona, gdyż chciał uniknąć pierwszej małżeńskiej kłótni przed ślubem.

Trochę jednak spóźnił się ze swoimi modłami, a zdał sobie z tego sprawę, gdy zauważył lecący w jego stronę kałamarz. Uchylił się i kałamarz go nie trafił, nie można jednak było tego powiedzieć o atramencie. Chcąc zapobiec rozwaleniu kajuty przez rozszalałą Tibbie, związał jej ręce, a kiedy zaczęła wierzgać nogami i wyzywać go, zdecydował się także skrępować jej nogi. Zaplamiony atramentem, wybiegł ze zdemolowanej kajuty, mając nadzieję, że kiedy wróci, Tibbie minie już atak hysterii i uda mu się ją ułagodzić.

Niestety, później było jeszcze gorzej.

- Śmiesz mi mówić, że moja córka wybiegła ze statku?! - krzyknął Eric do pierwszego oficera.

- Właśnie się tego dowiedziałem. Chyba pobiegła za tą swoją świnia i obie zniknęły.

Eric udał się do lekarza pokładowego.

- Potrzebuję jakiegoś środka uspokajającego dla mojej narzeczonej. Jest bardzo zdenerwowana.

- Proszę podać jej dwie krople tego specyfiku w szklance wody.

Eric spełnił polecenie doktora, choć nakłonienie Tibbie do zażycia lekarstwa zajęło mu mnóstwo czasu.

- No, kochanie, wypij to. Na pewno zaschło ci w gardle.

- Co to jest? - wychrypiała. - Trucizna?

- To tylko woda. Wypij.

Wypiła lekarstwo. Eric poczekał aż do wystąpienia pierwszych efektów działania kropel, a widząc, że Tibbie opadają powieki, powiedział jej o Beth i Fortunie.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, by je znaleźć. Ale dopiero po dwóch godzinach od wypłynięcia dowiedziałem się, że nie ma ich na pokładzie.

- Chcę wrócić - powiedziała, lekko oszołomiona. - Zawróćmy. To był błąd.

Eric zeszywniał, chwycił ją za rękę i mocno potrząsnął.

- To nie był błąd. Nie chcę więcej tego słyszeć.
- Chcę wrócić!
- Zgodziłaś się popłynąć na Hawaje i tam właśnie płyniemy.
- Zgodziłam się, ale tylko razem z Beth.
- Nastąpił splot nieszczęśliwych okoliczności. Później sprowadzimy Beth. Poślę po nią kogoś zaufanego.
- Ty sukinsynu - wymamrotała i zapadła w głęboki sen.

20

Nick i Porter po pracy wstąpili na drinka do Szklanego Pantofelka. Właśnie stamtąd wychodzili, kiedy natknęli się na Mairi.

- Cześć, Mairi - powiedział Nick, unosząc kapelusz.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Gdyby nie było tu Beth, powiedziałabym ci, co o tobie myślę, ty zimny draniu!

- Brr! - zawołał Porter, odprowadzając wzrokiem piękną, ciemnowłosą kobietę, małą dziewczynkę i tłustą białą świnie.

Nick był zaskoczony wybuchem Mairi, ale najbardziej zastanowiło go zachowanie Beth. Córeczka Tibbie, która zawsze uśmiechała się promiennie na jego widok, tym razem rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie, ale zdążył zauważyć ślady łez na małej, ściągniętej smutkiem twarzyczce. Nawet świnia zachowywała się inaczej niż zwykle i była jakaś dziwnie osowiała. Co tu się, do diabła, dzieło? Nie miał pojęcia, ale był pewien, że musiało to mieć coś wspólnego z Tibbie. Pokręcił głową.

- Dokąd idziesz? - zapytał Porter.

- Popełniłem błąd - powiedział Nick. - Za wcześnie wyszedłem z Pantofelka. Miałem zamiar dziś się upić.

Porter popatrzył na przyjaciela znikającego za drzwiami Szklanego Pantofelka, zastanawiając się, co się dzieje i do czego to wszystko może doprowadzić.

Tymczasem Mairi udała się do domu, myśląc o tym, że wołałaby teraz spotkać pluton egzekucyjny niż rodziców, którym będzie musiała opowiedzieć, co się stało. Później, po jej relacji. Elfie zażyła pigułkę nasenną i położyła się do łóżka, Beth natomiast bała się spać w swoim pokoju i przeniosła się do ciotki. A Coll? Podszedł do szafki lekarskiej, wyjął z niej butelkę francuskiej brandy, którą zamierzał otworzyć na weselu którejś z córek, przeszedł na tylny ganek, usiadł na najniższym stopniu schodów i zaczął pocieszać Fortunę, która złożyła mu łeb na kolanach. Zrobił to, co nie zdarzyło mu się od trzydziestu lat - postanowił się upić. Mniej więcej w połowie butelki nalał trochę brandy na talerz dla Fortuny. Po raz pierwszy tego dnia świnia poruszyła ogonkiem.

Następnego ranka Coll obudził się i zdał sobie sprawę, że osiągnął swój cel. Zszedł na dół, wywiesił tabliczkę NIECZYNNE na drzwiach kliniki i dołączył do leżącej w łóżku żony.

W drugim końcu miasteczka Nick Mackinnon obudził się z najgorszym kacem w życiu. Kiedy nie przyszedł do pracy. Porter zajął do niego, a widząc, jak fatalnie czuje się Nick, Udał się prosto do doktora Buchanana w nadziei, że znajdzie się jakieś lekarstwo na cierpienia przyjaciela.

Wrócił po godzinie.

- Przykro mi, przyjacielu - powiedział. - Poszedłem do doktora Buchanana, ale tam dzieje się coś dziwnego.

Nick otworzył jedno oko i popatrzył na Portera.

- Naprawdę, możesz mi wierzyć. Tam dzieje się coś podejrzanego. Na drzwiach wisi tabliczka NIECZYNNE. Kiedy zapukałem, otworzyła ta śliczna brunetka, która wczoraj obso-baczyła cię w mieście. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ofuknęła mnie: „Nie umie pan czytać?” i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. - Nick jęknął. - Czekaj! To jeszcze nie wszystko. Kiedy wyszedłem, zauważyłem tę świnie, chyba tę samą, która była w mieście. Leżała na grządce i chrapała. Nick, gotów jestem przysiąc, że ta świnia miała kaca.

Nick rzucił w Portera poduszką, przewrócił się na bok i zamknął oczy.

Następnego dnia obudził się już w dużo lepszym nastroju i postanowił otworzyć oczy. Jeszcze nigdy nie czuł się tak fatalnie. Wychodząc z łóżka, przeklinał wszystkie alkohole. Godzinę później, siedząc przy swoim biurku w stoczni, przeklinał kobiety, gdyż właśnie skończył przeglądać stos papierów, które przed kilkoma dniami Porter położył na jego biurku. Kiedy je posegregował, zauważył niewielką kopertę.

Otworzył ją i szybko przebiegł wzrokiem list od Tibbie. Potem przeczytał go jeszcze kilka razy, zatrzymując się na dłużej przy słowach „będę na Ciebie czekać jutro o piętnastej w sadzie”. Popatrzył na początek listu, gdzie kształtne pismo Tibbie głosiło „poniedziałek wieczorem”. Poniedziałek wieczorem. Jakim dniem było więc „jutro”? Jeśli pisała ten list w poniedziałkowy wieczór, mogła położyć go na biurku dopiero we wtorek. Popatrzył na kalendarz. To we wtorek Josiah Bitterworth przyniósł te papiery. Teraz już wszystko rozumiał. Przypomniał sobie, jak przytrzymał drzwi przed Porterem, jak poprosił go, żeby położył papiery na biurku. Nie wiedział, że leży tam list Tibbie. Znow spjrzał na kalendarz. Jeśli zostawiła wiadomość we wtorek, zamierzała się z nim spotkać w środę. W środę? Co robił w środę? Znow zerknął na kalendarz. Nie znalazłszy tam żadnych zapisków, przypomniał sobie, że większość tego dnia spędził na statku, a chociaż na chwilę wpadł do biura, nawet nie dotknął papierów na biurku; nie zrobił tego również w czwartek. To był dzień... Boże! To był dzień, w którym wpadł na Mairi i Beth, wychodząc ze Szklanego Pantofelka. Nic dziwnego, że usłyszał cierpkie słowa od Mairi. Spjrzał w kalendarz. Jaki był dziś dzień? Sobota? A co zdarzyło się w piątek?

Byłem pijany, przypomniał sobie.

Jęknął i ukrył głowę w dłoniach. Biedna dziewczyna musiała

przeżyć straszliwe upokorzenie. To pewnie dlatego doktor Buchanan zamknął klinikę. Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość.

Gwałtownie zerwał się na nogi. Zaskoczony Porter uniósł głowę.

- Coś cię ugryzło?

- Tak! - krzyknął Nick. - Miłość!

Porter odłożył pióro, a Nick, widząc, że przyjaciel przygląda mu się podejrzliwie, powiedział:

- Wydaje ci się, jak widzę, że postradałem zmysły... może zresztą tak jest. Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. - Wybiegł z biura jak strzała.

Podjechał na kasztanie aż pod sam dom Tibbie i zeskoczył na ganek, zanim jeszcze wałach zdążył się zatrzymać. Słyszając jego łomotanie, Mairi otworzyła drzwi, zobaczyła, kto stoi na progu, i usiłowała je zatrzasnąć, ale Nick zdążył wsunąć nogę, uniemożliwiając jej to, po czym wepchnął się do środka.

- Wyjdź stąd!

- Mairi, gdzie jest Tibbie?

- Wyjdź stąd, bo zawołam ojca, a możesz mi wierzyć, że jest taki wściekły, iż najpierw strzeli ci między oczy, a dopiero potem zacznie zadawać pytania.

Nick rzucił kapelusz na wieszak w holu, wszedł do salonu i usiadł.

- W takim razie go przyprowadź. Może w końcu on mi powie, co się tu dzieje, nawet jeśli najpierw mnie zastrzeli.

Mairi odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Kocham ją, Mairi. Możesz jej to ode mnie powiedzieć?

Mairi przystanęła i popatrzyła na niego. Wtedy zobaczył, że jest zalana łzami.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła. Ale nie mam już siostry, z którą mogłabym porozmawiać, a wszystko przez ciebie!

Nick zerwał się na nogi.

- O czym ty mówisz?

- O mojej siostrze! To przez ciebie wyjechała!

- Wyjechała - powtórzył, sztywniejąc z przerażenia. - Dokąd? - zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

- Na Hawaje.

- Boże! Dlaczego?

- To ty mi powiedz. To ty dręczyłeś ją dniami i nocami, aż wreszcie przyznała, że jest w tobie zakochana, a kiedy to zrobiła, zacząłeś jej unikać jak trędowatej.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Powinieneś chyba zapytać, czego nie zrobiłeś, nie uważasz? Nie spotkałeś się z nią po tym, kiedy schowała dumę do kieszeni i napisała do ciebie...

- List - domyślił się i serce zamarło mu w piersi. Przez cały czas cierpliwie starał się pozyskać jej zaufanie, a kiedy wreszcie mu się to udało, sprawił jej srogi zawód. Łamiącym się głosem opowiedział Mairi historię listu, wpatrzony w nuty na fortepianie z palisandru.

- Mairi, przepraszam, niedługo wrócę.

Musiał wyjść z tego domu, zaczerpnąć powietrza. Najpierw przechadzał się bez celu, nie patrząc, dokąd idzie, aż do chwili, gdy zatrzymał się przed starą zardzewiałą bramą prowadzącą do sadu. „Będę na Ciebie czekać w sadzie”...

Podszedł do drzewa, pod którym siedział z nią w tamtym odległym dniu. Była wtedy zima, drzewo było nagie i zimne, tak jak teraz jego serce. Zrozpaczony, usiadł, złożył ręce na kolanach i pochylił głowę. Czuł się pokonany. Nie znajdował innego słowa na określenie tego, co przeżywał. Tibbie wyjechała.

Wstał z ciężkim westchnieniem. Nie było sensu spędzać tu całego wieczora. I tak jej tu nie znajdzie. Nagle uniósł głowę i zaczerpnął tchu. Owszem, nie znajdzie Tibbie w tym sadzie, ale przecież wiedział, gdzie należy jej szukać. W tym momencie nie obchodziło go, czy kiedykolwiek skończy budowę statku. Zamierzał popłynąć na Hawaje, bijąc po drodze rekord prędkości. Nie zastanawiał się nad tym, czy Tibbie zdażyła już wyjść za Erica. Czuł, że należy do niego, i zamierzał ją zabrać, choćby miał ją zakneblować i związać.

Ruszył w stronę bramy i nagle trącił coś czubkiem buta. Popatrzył na ziemię; zauważył coś niewielkiego i jeszcze zanim wdeptał to w ziemię, wiedział już, co znalazł. Cofnął nogę i uniósł przedmiot, a potem długo obracał go w dłoni. Był to aniołek, prezent dla Tibbie, wręczony jej w dniu, w którym opuszczał klinikę, marmurowy aniołek, którego zamówił w Nowym Orleanie. Widocznie rzuciła nim o drzewo, ponieważ miał złamane skrzydła. Wsunął go do kieszeni i wyszedł z sadu. Wstąpił jeszcze do Mairi, by powiedzieć jej, że zamierza popłynąć po Tibbie.

- Myślisz, że ci się uda? Wyprzedzają cię o trzy dni, a statek Erica jest bardzo szybki.

- Mój też - odpowiedział Nick.

- Kiedy wypływasz?

- O świcie. Mam jeszcze jedno pytanie: czy Tibbie wyszła za niego, zanim wypłynęli?

Mairi uśmiechnęła się i dotknęła rękawa koszuli Nicka.

- Nie. Powiedziała, że wezmą ślub na Hawajach.

- Mam nadzieję, że nie zmusi jej do szybszego ślubu.

- Nie sądzę, żeby chciał to zrobić. Pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Jestem pewna, że zależy mu na wyprawieniu wesela, które wszyscy będą długo pamiętać. Lubi być w centrum uwagi.

Nick uśmiechnął się szeroko.

- O, to mu mogę zagwarantować - powiedział.

Później, nocą, Nick został wyrwany ze snu przez łomotanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał, ze złością otwierając drzwi. Zbaraniał na widok Mairi stojącej na ganku z kapturem naciągniętym na głowę. - Na miłość boską, co tu robisz o tej porze i to w dodatku w nocnej koszuli?

Mairi popatrzyła w dół i zorientowała się, że koszula rzeczywiście wystaje spod peleryny. Mocniej ściągnęła poły okrycia.

- Chcesz mnie zastrzelić? - zapytał Nick cierpkim tonem.

Cofnął się, zapiaął koszulę i gestem zaprosił dziewczynę do środka. Żwawo przestąpiła próg, lecz potknęła się o fałdy

peleryny i wylądowała tak blisko zielonej sofy obitej adamaszkiem, jakby tam właśnie zamierzała spocząć.

- Wiem, że to cię rozzłości, ale zanim zdecydujesz się mnie rzucić sępom na pożarcie, chcę ci powiedzieć, że się zdecydowałam.

- Na co? - zapytał Nick.

- Chcę z tobą jechać.

- Czy to ma być...

- Nie, to nie żart. Mówię poważnie.

- Ja też i moja odpowiedź brzmi: „nie”! - Podszedł do biurka załanego papierami, nalał whisky na dwa palce do szklaneczki i postawił ją na stoliku, pokazując Mairi, że to dla niej.

- O, nie. Nie piję alkoholu.

- Myślę, że na ogół nie latasz też nocami po mieście w koszuli nocnej. Pij! - Jego głos zabrzmiał groźnie; Mairi szybko chwyciła szklaneczkę i wlała w siebie jej zawartość, po czym przez kilka minut zanosiła się kaszlem. - Jeśli chcesz włączyć się po mieście w nocnej koszuli, to nie będę ci w tym przeszkadzał, ale nie dopuszczę do tego, żebyś weszła na pokład mojego statku.

- Nick, błagam. Nie bądź tak głupio uparty. Moja siostra prawdopodobnie znajduje się w połowie drogi do Chin, a ty zachowujesz się, jakby nic się nie stało.

- Nie płynie się do Chin w drodze na Hawaje i dobrze zdaję sobie sprawę, że niepokoisz się o siostrę, ale jesteś tu potrzebna. Tymczasem na morzu byłabyś tylko utrapieniem!

- Nie podnoś na mnie głosu! Nigdy by nie doszło do tej sytuacji, gdybyś jasno określił swoje zamiary.

- Określił swoje zamiary?! - wykrzyknął. - A co ja, do diabła, robiłem przez te wszystkie miesiące?

- Nie poprosiłeś ojca o jej rękę.

- Przecież nie chodziło mi o jej rękę!

Mairi przestraszyła się go na tyle, że aż podskoczyła, więc Nick uspokoił się nieco i przybrał łagodniejszy ton głosu.

- Mairi, zaprowadzę cię do domu, jeśli wcześniej nie zostaną aresztowany albo zastrzelony, a potem popłynę po twoją siostrę. -

Nagle przyszło mu coś do głowy. - Chodź. - Chwyć dziewczynę za rękę i poprowadź ją do wyjścia.

- Pozwolisz mi?

- Tylko na to, żebyśmy przez chwilę szli razem.

Parę minut później Nick wciągnął Mairi na schody innego domu.

- Kto tu mieszka? - zapytała szeptem, gdy Nick cztery razy zapukał do drzwi.

- Wkrótce się przekonasz - powiedział. Drzwi otworzył zdumiony Porter. Spojrzył na Nicka, na zegarek, a potem potrząsnął nim i przyłożył do ucha. Dopiero wtedy zobaczył Mairi i cicho gwizdnął.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Nick, wpychając oboje do środka.

Porter uważnie przyjrzał się Mairi, stojącej teraz w kręgu światła.

- Przyprowadziłeś ją do mnie? A co ja mam z nią zrobić?

Nick żartobliwie uniósł brew.

- Chwileczkę! - krzyknęła Mairi, rzucając się do ucieczki.

- Poczekaj chwilę, zobaczymy, co się kryje pod tą peleryną. Mairi wymierzyła Nickowi kopniaka.

- Porter, musisz obchodzić się z nią łagodnie. Wkrótce zostanie moją szwagierką.

Mairi pisnęła i rzuciła się na Nicka, ale Porter roześmiał się, odciągnął ją i zamknął drzwi. Nick zbiegał ze schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz. Słyszał za sobą krzyki Mairi i brzęk tłuczonego szkła. Zastanawiał się, które z nich pierwsze podziękuje mu po powrocie.

Pół godziny później był już w porcie i ładował swoje bagaże na statek.

21

Tibbie nie nadawała się na żeglarzkę.

Poczuła mdłości, jeszcze zanim Indianola zniknęła im z pola widzenia. Sprawę pogorszył jeszcze Eric, który próbował ją pocieszać, twierdząc, że złe samopoczucie szybko minie i Tibbie wkrótce będzie zjadać zupę z mątwy.

Musiała szybko udać się do toalety w swojej kajucie i już tam pozostać.

Wychowała się w nadbrzeżnej części Teksasu, ale jej kontakt z zatoką ograniczył się do pływania małą łódką z Mairi, gdy były dziewczynkami. Była typowym szczurem lądowym, nie lubiła morza. Nie rozumiała swoich braci, którzy nie tylko dobrze znosili morskie podróże, ale postanowili związać swoje życie z morzem. Ona miała dość już po pięciu minutach. Do tej pory wiedziała, że woda służy do picia, do kąpieli i do podziwiania. Teraz zobaczyła, że przyprawia też o chorobę.

Kiedy Tibbie spędzała większość czasu w swojej kajucie, pochylona nad toaletą, Nicholas płynął daleko za nią, straciwszy cztery dni w Nowym Orleanie, gdy przeniósł swoje bagaże na własny statek. Wreszcie „Caledonia” wyruszyła w rejs i Nick spędzał teraz większość czasu przy sterze, myśląc o Tibbie. Ciepły wiatr nad zatoką owiewał mu twarz. Patrzył na bezmiar wody, myśląc o tym, że gdzieś tam, o trzy albo cztery dni przed

nim, znajduje się ukochana. „Caledonia” była jednak bardzo szybkim statkiem i sądził, że dogoni „Nordic Star” jeszcze przed dopłynięciem do Rio de Janeiro.

Cholerna wariatka! Znalazła sobie sposób na swoje kłopoty: wpadanie w panikę. Nick dobrze zdawał sobie sprawę, co nią kierowało. Wiedział, że Tibbie wierzyła, iż rozwiąże wszystkie swoje problemy, powtarzając słowa przysięgi, że łącząc się z Erikiem sakramentalnym węzłem małżeńskim, unicestwi swoje uczucia i pragnienia. Tak jakby stała teraz tuż przed nim, powiedział:

- To się nie uda, moja droga. To się nie uda, ponieważ nawet kilka oceanów między nami nie wystarczy, żeby wymazać mnie z pamięci.

Nie była to zbyt przyjemna podróż. Wprawdzie Tibbie przestała wymiotować - nawet ktoś tak młody i silny jak ona nie byłby w stanie znieść tego dłużej - ale pozostawała nieugięta w swoim postanowieniu nieodzywania się do Erica. Rozwiązał jej ręce i nogi kilka godzin po tym, jak przestał działać środek nasenny, ale do tego czasu zdążył wynieść z kajuty wszystkie wartościowe przedmioty, uznawszy, że resztę może pozostawić jej do zniszczenia, gdyby znów miała atak furii. Istotnie atak znów nastąpił, ale trwał bardzo krótko. Tibbie była już bardzo wyczerpana i zaraz potem zasnęła jak kamień. Trzeciego dnia zdała sobie sprawę z bezcelowości takiego zachowania. Musiała pogodzić się z tym, że Eric nie zamierza zawrócić, zajęła się więc obmyśleniem innego rozwiązania, na przykład ucieczki, gdy wpłyną do najbliższego portu.

Ten plan został unicestwiony, kiedy Eric powiedział:

- I niech ci nie przyjdzie do głowy, że uciekniesz ze statku. Zatrzymamy się tylko raz, a ja przedtem zamknę cię w kajucie.

Poza tym odezwał się do niej zaledwie kilka razy. Miała wrażenie, że woli trzymać się od niej z daleka. Kiedyś wszedł do kajuty i zobaczył, że Tibbie myje głowę, polewając włosy wodą z dzbanka, który zostawił jej rano.

- To jest woda do picia. Jeśli będziesz ją marnować na mycie włosów, będziesz potem pić słoną wodę.

Następnym razem odezwał się do niej, kiedy próbowała pomóc marynarzom zwiąć linę. Chociaż miała ją w rękach tylko przez krótką chwilę, dorobiła się brzydkich otarć na obu dłoniach. Zobaczywszy jej ręce, Eric powiedział:

- Następnemu, który będzie próbował cię czegoś nauczyć, obetnę rące żywnościowe.

Tak więc, aby oderwać się od myślenia o chorobie morskiej, obawy przed utonięciem, odmowie Erica zawiezienia jej do domu i po prostu z nudów, Tibbie zaczęła prowadzić dziennik podróży. Jej pierwsze notatki były raczej nieporadne i dotyczyły niezliczonych prac na pokładzie, zawierały również nieznaną jej dotąd słowa marynarskiego żargonu, zrozumiałego dla wszystkich ludzi morza, niezależnie od ich pozycji na statku. W kajucie było prawie zupełnie ciemno, kiedy zaczynała swoje pierwsze zapiski, z luków na rufie nie dochodziło żadne światło. Leżała na swojej koi, cały czas lekko się kołyszącej, skulona przy kręgu światła małej lampki naftowej, i opisywała życie na statku.

Kapitan jest odpowiedzialny za statek i nawigację (ale E. czasami mu pomaga). Kapitan również czyni obserwacje w południe i decyduje o kursie statku. Jest tu naprawdę pierwszym po Bogu i może nawet zabić w razie buntu.

Druga notatka zawierała krótki opis olinowania, omasztowania i ożaglowania, wyjaśnienia terminów „rufa”, „żagiel gniezdny” i „refowanie”. Wcześniej tego dnia stanęła przy burcie statku, wystawiając twarz na podmuchy zachodniego wiatru. *Wkrótce spodziewamy się złapać pasaty, które pomogą nam dopłynąć do Indii Zachodnich* - napisała, dosłownie cytując Trevora. Trevor, jak wyjaśniła w swoim dzienniku, był służącym do obsługi oficerów i pasażerów; jedynym mężczyzną, z którym Eric pozwalał jej rozmawiać, a ponieważ nie odzywała się do Erica, pozostał jej tylko Trevor.

W dalszej części dziennika dokładniej opisywała ożaglowanie, które wymagało nieustannej uwagi. E. - pisała, nie chcąc wymieniać pełnego imienia - *mówi, że żagle są jak kobieta*. Kiedy wyjaśniał jej, że żagle trzeba naprawiać, chronić przed przetarciem, a czasem zastępować nowymi, udawała, że nie słucha, ale zastanawiała się, czy to ostatnie odnosi się także do kobiet.

Trzecia notatka dowodziła, że Tibbie coraz bardziej przyzwyczajają się do życia na morzu. Prawdę mówiąc, nie miała innego wyjścia.

Wiatr chłłoszcze napięte żagle, prawą burtę górnego pokładu. Muszę nauczyć się radzić sobie z drganiami i kołysaniem statku.

Potem zapisała:

Coraz lepiej radzę sobie z utrzymywaniem równowagi, chociaż olbrzymie szare fale uderzają w statek jedna po drugiej. Najpierw atakują prawą burtę, sprawiając, że bukszpryt podnosi się do góry, tak jakby jakiś morski potwór został wyrwany ze snu i uniósł się ze swego postania na dnie morza.

Następnego ranka okazało się, że Eric zabronił Trevorowi z nią rozmawiać. Po chwili buntu Tibbie doszła do wniosku, że oszaleje, jeśli do nikogo się nie odezwie. Znalazła Erica na rufie statku i zapytała go, kiedy dopłyną do jednej z wysepek, które widywała od czasu do czasu.

- Mamy zapasy wystarczające na opłynięcie przylądka Horn, zanim rzucimy kotwicę. Wpłyniemy do portu dopiero wtedy, gdy znajdziemy się na Pacyfiku i miniemy Valparaiso.

Następnego dnia po południu stała obok Erica przy pulpicie nawigacyjnym, patrząc na mapę morską z wyznaczoną trasą rejsu.

- Gdzie teraz jesteśmy?

- Tutaj, blisko równika, wkrótce opłyniemy przylądek St. Roque i skierujemy się w stronę przylądka Horn. To będzie trudna żegluga, dopóki nie miniemy Tierra del Fuego.

Tierra del Fuego. Łąd, który nazywa się Ziemia Ognista, nie wydawał się jej zbyt przyjazny.

Kolejna notatka wyglądała następująco:

Piątek, 15 lipca 1849

Dzisiaj Eric ustąpił i powiedział, że mogę rozmawiać z członkami załogi. Przez pozostałą część popołudnia patrzyłam, jak pierwszy oficer, pan Tripp, sprawdza żagle. Wszedł na każdy maszt, sprawdzał każdy żagiel, drzewce, lik, węzeł i linę. Pilnie notował, jakie naprawy są konieczne.

Sobota, 16 lipca 1849

W ciągu ostatniej doby pokonaliśmy rekordową odległość 402 mil. Dzień na pokładzie zaczyna się bardzo wcześnie. Kucharz i steward wstają na jeden dzwonek (o 4.30). Na dwa dzwonki pełniący wachtę dostają kawę. Załoga je o 7.30, w południe i o 17.30. Najczęściej dostają soloną wołowinę i wieprzowinę, którą marynarze nazywają „słoniną”, ziemniaki, fasolę, czerstwe pieczywo, a czasami deser śliwkowy, którym jest po prostu budyń z suszonymi owocami i melasą. Marynarze nie cierpią ryb i świeżego mięsa. Pan Tripp mówi, że to dlatego, iż lubią na coś ponarzekać, a „kiedy marynarze przeklinają, to dobry znak”.

Niedziela, 17 lipca 1849

Wczoraj wieczorem otwarto sklepik dla załogi, jak zawsze w soboty, marynarze mogli kupić sobie ubrania i tytoń, które później są odpisywane od ich poborów. Reszta wieczoru upłynęła im na czytaniu, naprawianiu ubrań i paleniu.

Poniedziałek, 18 lipca 1849

Mamy teraz typowy równikowy klimat. Ustał wiatr, w powietrzu jest cisza, czasami tylko przerywana lekkimi podmuchami marszczącymi wodę. Z nieba leje się gorący, wilgotny żar. Wszystko jest śliskie i mokre, nic nie chce schnąć. Ludzie poruszają się

jakby w zwolnionym tempie, a żagle uderzają o maszty, wydając odgłosy przypominające wystrzały z pistoletu. Kiedy statek się kołysze, drewno strasznie skrzypi. Chociaż jest gorąco, są tu chyba najpiękniejsze noce, jakie w życiu widziałam, ze wspaniałymi (pewnie powinnam raczej napisać: zapierającymi dech w piersiach) zachodami słońca. Kiedy zapada noc, niebo jest usiane gwiazdami, które odbijają się w wodzie. Krzyż Południa znajduje się teraz nisko na południu, ale Eric mówi, że wkrótce będziemy go mieli nad sobą.

Wtorek, 19 lipca 1849

Dzisiaj znajdujemy się na 28 stopniu szerokości geograficznej południowej i 29 stopniu 32 minucie długości geograficznej zachodniej. Mieliśmy nagły szkwał, który na kilkanaście minut zburzył lustrzaną tafłę morza i spowodował powstanie białych grzywaczy. Załoga szybko rzuciła się do rei, żeby chwycić wiatr, ale ten ucichł równie szybko, jak się pojawił. Pan Tripp nazywa takie wiatry miniszstormami. Późnym popołudniem przepłynęliśmy równik. To był jak dotąd mój najlepszy dzień na morzu, ponieważ czułam się całkiem dobrze, a ceremonia powitania Neptuna i golenie przez niego - co zdarza się tylko przy przekraczaniu równika - były znakomitą zabawą. Marynarz przebrany za Neptuna miał na sobie szatę z płótna i perukę oraz brodę ze sznurków. Brzytwą była obręcz do beczek, a mydłem tłuszcz nakładany pędzlem. Żałowałam, że nie ma tu Bethany. Dzisiaj po raz pierwszy mogłam o niej myśleć, nie płacząc. Bardzo za nią tęsknię i martwię się, że brakuje jej mamy. Pocięszam się tylko tym, że Beth jest kochana przez członków mojej rodziny, którzy na pewno troskliwie się nią opiekują, a ona jest wystarczająco bystra, żeby zrozumieć, że nie przebywam z dala od niej z własnej woli. Codziennie rysuję statek i chcę dać jej te moje prace, kiedy znów będziemy razem, co, mam nadzieję, nastąpi już wkrótce.

Piętnaście dni później napisała w swoim dzienniku:

3 sierpnia 1849

Pan Tripp mówi, że będziemy okrążyć przylądek o najgorszej z możliwych pór roku, ponieważ na południowej półkuli panuje zima. Wiatry są bardzo dokuczliwe i ostre, a pan Tripp przewiduje, że wkrótce zaczną się bójkę pomiędzy członkami załogi. Eric pokazał mi przylądkowe mewy z nakrapianymi skrzydłami. Wyglądają tak, jakby nie mogły się zdecydować, czy wolą mieć skrzydła pasujące do czarnych głów, czy białej reszty, więc wybrały obie możliwości. Kucharz daje mi różne resztki jedzenia, które rzucam tym mewom. To hałaśliwe nienasycone ptaszyska, które jedzą chyba wszystko. Rzuciłam kiedyś kawałek Uny, a jeden z nich natychmiast go połknął.

8 sierpnia 1849

Załoga jest bardzo zajęta stawianiem specjalnie wzmocnionych żagli i przygotowywaniem statku na pampéro - silne szkwały, które wkrótce zaczną wiać od strony ujścia rzeki szerokiego na 130 mil. Już dzisiaj silnie wieje. Pan Tripp mówi, że w nocy pogoda bardzo się pogorszy.

9 sierpnia 1849

Pan Tripp naprawdę doskonale zna się na żegludze, ponieważ dzisiaj zrobiło się potwornie zimno, mamy sztorm, grad i śnieg. Walcząc z silną falą przeciwną, załoga musi ciągle obsługiwać pompy. Eric polecił mi zejść pod pokład, więc siedziałam w swojej kajucie, zastanawiając się, jak to możliwe, że przylądek jest gorszy niż ryczące czterdziestki. Eric później zszedł na dół i powiedział mi, że na pokładzie wybuchła kolejna bójka, ale na szczęście została szybko stłumiona. Pan Harkins, drugi oficer, został zraniony nożem w ramię. Po długich przekonywaniach udało mi się dostać od Erica pozwolenie na obejrzenie rany. Zdezynfekowałam ją środkiem odkażającym i opatrzyłam. Po tym wydarzeniu Ericowi zebrało się na amory, ale udałam bardzo zmęczoną i poszłam do swojej kajuty. Jak do tej pory, Eric był bardzo cierpliwy, ale dobrze wiem, jaką ma naturę, i jestem

pewna, że ta wymuszona cierpliwość nie potrwa już długo. Cały czas myślę o Nicholasie i zastanawiam się nad swoją poczytalnością. Nie rozumiem, jak mogłam zrobić coś tak nierozsądnego i zgodzić się wyjść za Erica. Nie powinnam była podejmować tak poważnej decyzji, kiedy byłam dotknięta i rozgoryczona. Teraz, kiedy wszystko sobie przemyślałam, doszłam do wniosku, że coś musiało się stać, bo Nick jest człowiekiem, który na pewno przyszedłby na spotkanie, choćby po to, żeby się ze mną pożegnać. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się dowiem, co się wtedy stało. Czasami mam wrażenie, że moja duma zwróciła się przeciwko mnie i ukąsiła mnie jak jadowity wąż.

13 sierpnia 1849

Dni są coraz krótsze - słońce wschodzi o 8.30, a zachodzi o 15.30. Cieśnina Magellana znajduje się na zachód od nas. Wszyscy są przygotowani na najgorsze. Wiatry są coraz silniejsze i zimniejsze, tak że na pokładzie założono liny sztormowe, które chronią załogę często pracującą po pas w wodzie. Potem członkowie załogi mają pięć minut na koniec każdej wachty na wysuszenie ubrań w pomieszczeniu, w którym zazwyczaj trzyma się żagle, a które zostało opróżnione i wyposażone w piecyk. Poza tym jest bardzo zimno, więc pewnie marynarze będą chorować po wyjściu z rozgrzanego pomieszczenia na ten ziąb. Było ciemno, kiedy mijaliśmy archipelag i byłam bardzo rozczarowana, że nic nie widziałam, ale Eric powiedział mi, że to tylko wyspy, na którym żyją jedynie ptaki. Jutro zmierzmy się ze słynnymi falami koło przylądka Horn. Obawiam się, że dziś w nocy nie zasnę.

14 sierpnia 1849

Spędziliśmy prawie cały dzień, usiłując trzymać kurs na zachód, idąc pod wiatr i oddalając się od nawietrznego brzegu. Minęliśmy dwa większe statki skierowane na południowy zachód. Pogoda była tak okropna, że nie zdołaliśmy ich rozpoznać. Pan

Tripp powiedział, że słyszał o statkach, które walczyły o przyjęcie kursu na zachód przez dziewięćdziesiąt dni, a w końcu musiały rezygnować. Jestem zaskoczona, że przyłádkowe mewy i albatrosy krązą nad nami cały czas. Widocznie ta pogoda im nie przeszkadza. Przeczytałam książkę kapitana Peterby'ego, z której dowiedziałam się, że Horn zawdzięcza swą nazwę holenderskiemu żeglarzowi Schoutenowi, który odkrył go w 1616 roku. Pan Tripp próbował mnie dzisiaj rozweselić, opowiadając mi o tym, że kiedyś szkwał był tak silny, iż kiedy marynarz otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, został przenicowany na drugą stronę. Statek silnie się kołysał, lampy huśtały się na linach. Najważniejsze wydarzenie dnia miało miejsce przy kolacji, kiedy statek nagle gwałtownie się przechylił, a na Erica wylała się zupa rybna. Po kolacji pan Tripp opowiadał mi o morzu i różnych żeglarskich przesądach, ale niewiele to pomogło na mój melancholijny nastrój.

17 sierpnia 1849

Dzisiaj rano minęliśmy kolejną przeszkodę koło przyłádku, Diego Ramirez Rocks - szare, poszarpane skały wystające z chłostanej wiatrem wody. Po południu sztorm przycichł. Żarty pana Trippa w końcu zaczęły mnie śmieszyć. Muszę przyznać, że czuję wielką ulgę, że ten straszny przyłádek jest już za nami. Ziemia Ognista znajduje się teraz na wschód od nas, co bardzo nas cieszy. Zajrzałam dzisiaj do dziennika okrętowego i aż zadrżałam na widok nazw takich jak: Cieśnina Ostatniej Nadziei, Bezużyteczna Zatoka, Zwodnicza Skała, Odludna Wyspa, Przesmyk Głodu - na szczęście wszystkie te miejsca mamy już za sobą. Popatrzyłam dziś w luk mojej kajuty i zobaczyłam w górze Krzyż Południa. Uznałam to za dobry znak. Dzisiaj do snu ukołysze mnie łagodniejszy już łopot żagli.

31 sierpnia 1849

Całkowicie opłynęliśmy już przylądek Horn i znów znaleźliśmy się w rejonie ryczących czterdziestek - silnych wiatrów zachodnich na półkuli południowej w okolicy 40 stopnia szerokości geograficznej. Eric powiedział, że ciśnienie spada. Pan Tripp przewiduje sztormy. Zdaniem Erica, przed upływem dwóch tygodni powinniśmy zawinąć do Valparaiso. Trudno sobie wyobrazić, jak się będę czuła, mogąc znów stąpać po stałym lądzie. A co gorsza, nie wyobrażam sobie potem powrotu na statek. Coraz trudniej żyje mi się ze świadomością, że popełniłam wielki błąd. Dzisiaj po raz pierwszy poprosiłam Erica, żeby pozwolił mi wrócić do domu.

7 września 1849

Pan Tripp miał rację. Przez cały tydzień mieliśmy sztormową pogodę - wiatr nie był tym razem tak gwałtowny i potwornie zimny jak w okolicach przylądka, ale i tak mocno nam dokuczył i napędził sporo strachu. Jeszcze dwukrotnie napomknęłam Ericowi, że chcę wrócić do domu, ale zagroził, że każe przywiązać mnie do masztu i wychłostać, jeśli jeszcze raz wrócę do tego tematu. Na szczęście morze wreszcie jest spokojne. Chyba dzisiaj, po raz pierwszy od kilku tygodni, dobrze się wyśpię.

8 września 1849

Po śniadaniu znalazłam Erica studiującego mapy morskie i poprosiłam go, żeby w Valparaiso wsadził mnie na statek, do Nowego Orleanu. Odmówił mi, ale nie był jakiś szczególnie wściekły; tymczasem, kiedy ubrałam się, żeby wyjść na ląd, stwierdziłam, że moja kajuta jest zamknięta. Najwyraźniej Eric zapomniał o swojej wcześniejszej obietnicy. Widziałam więc Valparaiso tylko przez luk w kajucie. Kiedy Eric wrócił, nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi o rewanz, ale moja szkocka krew zawrzała, więc zamknęłam kajutę od środka.

- Wyjdiesz, kiedy zgłodniejesz - powiedział Eric.

Cisnęłam kubkiem w drzwi.

13 września 1849

Czwartego dnia mojej głodówki pan Tripp i trzech marynarze wyłamali drzwi mojej kajuty. Byłam tak słaba, że już wcześniej położyłam się na koi. Eric zamierzał ostro mnie skarcić, ale pan Tripp zaniósł mnie do kuchni i wydał polecenia kucharzowi. Potem uniósł pokrywę olbrzymiego garnka i zajrzał do środka.

- Co to jest? - zapytał.*
- Zupa żółwiowa.*
- W takim razie karm ją tą zupą, aż wyrosną jej odnóża pławne.*

W październiku „Nordic Star” wpłynął do Lahainy.

Jeszcze raz mnie zdenerwujesz, a popamiętasz!

Błady i kruchy Hans Neilson leżał w okazałym łożu z baldachimem, stojącym w sypialni; w drzwiach stał Eric, jego syn, po prawie rocznej nieobecności w domu.

Gdzie też był tym razem? W Chinach? Afryce? Egipcie? Na Grenlandii? A co ważniejsze, dlaczego wrócił do domu? Prawdopodobnie dotarły do niego wiadomości o pogarszającym się stanie zdrowia ojca. Hans objął zmęczonym wzrokiem syna, widząc, że wygląda równie zdrowo jak w dniu, w którym wpadł do tego samego pokoju i wybuchnął: „Czekam już zbyt długo! Tym razem mam zamiar ożenić się z kobietą, którą sobie wybrałem!”

Hans zastanawiał się, czy ma przed sobą kobietę, o której syn marzył przez cały czas, ale ewentualna przyszła synowa nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Co też Eric wymyślił tym razem? Zawsze był zbyt porywczy, popędliwy.

Westchnął, wspomniawszy syna jako śliczne, delikatne dziecko, zbyt dobrze wychowane, by biegać półnago po plaży jak dzikus, tak jak czynili to jego bracia. Zawsze był idealnym, niezwykle spokojnym chłopcem. Hans niepokoił się, że pod tą potulnością kryje się mężczyzna, który wie, czego chce i zazwyczaj to osiąga.

Chociaż syn fizycznie był bardziej podobny do matki niż do swoich braci, był mu bardzo drogi.

Kiedy Eric rozglądał się po pokoju, Hans uważnie przyjrzał się stojącej obok młodej kobiecie w pogniecionej podróżnej sukni. Przypuszczał, że to ona wypowiedziała tę pogroźkę, która dobiegła go zza drzwi, lecz sprawiała wrażenie zbyt kruchej na to, by dać Ericowi nauczkę. Hans wiedział jednak, że pozory często mylą. Zdenerwował go przede wszystkim fakt, że syn zmusił tę młodą damę, by przysłała tu, do łóżka starego umierającego człowieka. Przypuszczał, że to właśnie było powodem jej gniewu. Lecz kiedy Eric uśmiechnął się do ojca, podszedł do łóżka i przyklęknął obok niego, Hans natychmiast zapomniał o młodej kobiecie i jej niezadowoleniu.

- Dawno przyjechałeś?

Eric roześmiał się.

- Przed chwilą. Jak widzisz, nawet się nie wykapałem ani nie przebrałem. Jak się czujesz?

- Coraz gorzej. Cieszę się, że wróciłeś.

- Przyjechałem najszybciej, jak tylko mogłem.

- Widziałeś się z braćmi?

- Tylko z Larsem. Słyszałem, że Hans jest w Honolulu.

Eric wstał i jego ojciec znów mógł popatrzeć na dziewczynę.

Amerykanka, pomyślał, oglądając jej drobną figurkę. Uznał ją za Amerykankę z tą samą pewnością, z jaką przypisał jej głos przed chwilą grożący Ericowi. Żadna kobieta z bardziej cywilizowanych części świata nie ośmieliłaby się wypowiedzieć takich słów, ale te Amerykanki... Były bardzo śmiałe. Miały duży temperament i diabelski spryt, a tę małą charakteryzowało jedno i drugie. Chciała poskromić Erica! Hans miał nadzieję, że dożyje tej chwili.

Popatrzył na syna.

- To jest Tibbie, ojczu. Tibbie Buchanan.

- Jest pani Amerykanką.

- Nie. Teksanką.

- Aaa - powiedział Hans, a jego oczy niespodziewanie roz-
błyły dziwnym blaskiem. - To wszystko wyjaśnia.

- Co? - zapytał Eric.

- Nic. Tylko to, że jest urocza. Słyszałem, że Amerykanki są bardzo urodziwe, a najpiękniejsze kobiety rodzą się w Teksasie. - Twarz dziewczyny nie złagodniała po tym osobliwym komplemente.

- Proszę, podejdź tu, moja droga. Niech ci się lepiej przyjrzę.

Kiedy postąpiła krok do przodu, Eric zsunął kaptur z jej głowy, ujawniając burzę pięknych złocistych włosów. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem, ale w jej oczach kryła się furia. Spiorunowała Erica wzrokiem.

No, daj mu nauczkę, pomyślał Hans.

Nie znał się na kobietach. Wychował się w rodzinie misjonarzy, którzy gardzili sprawami płci. Był jednak wrażliwy na piękno, a ta dziewczyna była niezwykle urodziwa. Kiedy tak stała obok Erica, oboje wyglądali jak opromienione złocistym blaskiem postacie wyrzeźbione przez Michała Anioła. Stanowili niezwykle urodziwą parę, potwierdzającą doskonałość Boskiego Stworzenia, jak Adam i Ewa.

Pomimo wygniecionego ubrania, dziewczyna miała w sobie coś królewskiego, a nawet pewien rys surowości. Jej oczy wyrażały mądrość życiową nieczęsto spotykaną u kobiet w jej wieku. Hans zastanawiał się nad historią jej życia.

- Hans Neilson. Jestem ojcem Erica. Żałuję, że nie możemy być sobie przedstawieni w odpowiedniejszych okolicznościach.

- Nie martw się, ojciec - powiedział Eric. - Jak ci już powiedziała, pochodzi z Teksasu. Oni tam rezygnują z wszelkich wymogów etykiety, gdzie tylko jest to możliwe.

Złośliwy komentarz Erica nie zbił dziewczyny z tropu. Jej oczy o barwie bursztynu rozbłyły tylko jeszcze większą wrogością. Dopiero wtedy Hans zauważył sine obwódki pod oczami i zmęczenie rysujące się na jej twarzy. Biedaczka musiała być skrajnie wyczerpana.

- W takim razie zrezygnujmy z ceremonii powitalnej. Ta młoda dama ledwie trzyma się na nogach. Ericu, poproś Lilię, żeby przygotowała dla niej pokój.

Tibbie nerwowo chodziła po pokoju na piętrze. Woda do kąpieli stygła w szybkim tempie. Tibbie zdążyła porwać już na strzępy śliczną nową suknię, którą dla niej przygotowano. Eric próbował wymuszać na niej pewne zachowania i ją kontrolować, więc zamierzała posunąć się tak daleko w swoim buncie, jak tylko będzie to możliwe. Był już najwyższy czas, żeby Eric zrozumiał pewne rzeczy.

Drzwi otworzyły się. Eric zjrzał do środka, lecz gwałtownie się cofnął, gdy w jego stronę poleciał nocnik, który po chwili głośno uderzył w drzwi. Za nocnikiem powędrowała połowa porcelany znajdującej się w pokoju, aż na podłodze utworzył się taki stos, że trudno było wejść do środka. Gdy wreszcie Ericowi się to udało, Tibbie była już w połowie drogi przez okno. Złapał ją, zanim zdążyła skoczyć na drzewo rosnące pod domem. Otrzymał kilka kopniaków w brzuch, nim zdołał wciągnąć ją do pokoju. Już w środku rozpaczliwie próbowała kopnąć go jeszcze kilka razy, ale zręcznie unikał jej ciosów.

- Masz natychmiast mnie wypuścić! - wydyszała, walcząc o złapanie tchu i starając się wyrwać z jego uścisku. Wiła się tym gwałtowniej, im bardziej stanowczy wygląd przybierała jego twarz.

- Przestań się szarpać, to cię puszczę.

- Nie o takie uwolnienie mi chodzi. Chcę wrócić do domu.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Zawarliśmy pewną umowę i zamierzam dopilnować, żebyś dotrzymała słowa.

- Nie wyjdę za ciebie, więc możesz wybić to sobie z głowy. Byłam głupia, że się na to zgodziłam.

- To nieważne. Liczy się fakt, że się zgodziłaś, i zamierzam postępować tak, jak zaplanowaliśmy.

- Nie możesz mnie do niczego zmusić.

- Nie mam takiego zamiaru. Cały czas mam nadzieję, że uda nam się dojść do porozumienia.

- Chcę tylko, żebyśmy porozumieli się w sprawie mojego powrotu do domu.

- Tibbie - powiedział zdyszonym głosem. - Bądź rozsądna.

- Po co? Żebyś znów mnie związał?

- To twoja wina. Odkąd wpłynęliśmy do portu trzy godziny temu, trzy razy próbowałaś uciekać. Puściłem ci płazem to, że wyskoczyłaś za burtę, kopiąc eskortującego cię mężczyznę...

- Strażnika - poprawiła go Tibbie.

Eric kontynuował wypowiedź.

- ...tak mocno, że wpadł do wody. Ostrzegłem cię przed wejściem do powozu, a ty mimo to natychmiast wyszłaś z drugiej strony. Więc musiałem cię związać. Nie miałem już ochoty oglądać następnej próby ucieczki.

- A więc to wszystko moja wina.

- Na pewno nie zmuszałem cię do ucieczki, kiedy zatrzymaliśmy się na ulicy, a ja poszedłem zobaczyć, co się dzieje... a potem musiałem ścigać cię ładny kawał drogi.

Tibbie zniosła to wszystko całkiem dzielnie. Widziała, jak mężczyzna, którego niegdyś kochała, ojciec jej dziecka, zmienia się z amanta w strażnika więziennego. A teraz, po kilku miesiącach spędzonych na morzu, odmawiał jej prawa do powrotu do domu, uporczywie trzymając się tego, że przed wyjazdem zgodziła się wyjść za niego za męża. Był na tyle zuchwały, że zamierzał doprowadzić do ślubu, mimo iż Tibbie nie miała już na to ochoty. Została doprowadzona do ostateczności i przyparta do muru. Przypomniawszy sobie wszystkie niegodziwości Erica i swoje własne poczucie odtrącenia, niespodziewanie wymierzyła mu silny cios w lewy policzek. W tym momencie nie miało znaczenia to, że potwornie zabołała ją ręka; cieszyła się, że złamała mu nos.

Zdała sobie z tego sprawę wcześniej niż Eric, gdyż dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego to, co się stało. Zanim wyjął chustkę, krew płynęła mu już z nosa jak rzeka i nie był w nastroju do rozmowy. Wyszedł z pokoju bez słowa, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Przez trzy dni trzymał się od niej z dala, a Tibbie kilkakrotnie podejmowała próby ucieczki.

Najpierw po prostu chciała wyjść przez okno, lecz kiedy zamierzała skoczyć na drzewo, zauważyła, że go tam nie ma. Eric kazał jej ścigać.

Potem usiłowała wykraść się z pokoju w środku nocy, gdy zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Niestety, wkrótce zrozumiała, dlaczego nie bał się, że może uciec. Przywiązał do gałki sznurek, który uruchomił dzwonek w jego pokoju, ledwie otworzyła drzwi. Zatrzymał ją, zanim zdążyła dojść do schodów.

Za trzecim razem symulowała ciężką chorobę, domagając się lekarza, którego zamierzała poprosić o pomoc. Po szybkim badaniu doktor oznajmił, że przystawi jej pijawki i zrobi lewatywę. Gdy Tibbie zobaczyła, że lekarz wyciąga z torby jakiś dziwny aparat z nieprawdopodobnie długą rurką, natychmiast wróciła do zdrowia.

W końcu próbowała ukryć się w koszu na brudną bieliznę, który stał w holu. Przez ponad godzinę dusiła się pod stertą przeпоconej pościeli. Poczuła ulgę i przypływ nadziei, gdy kosz został przeniesiony, jak się spodziewała, do pralni. Kiedy odstawiono kosz i ucichły głosy, Tibbie powoli się wygrzebała i uniosła wieko. Niestety, kosz nie znajdował się w pralni.

Stał w pokoju brata Erica, Larsa.

- Cześć - powiedział Lars na widok złocistych włosów i ogromnych bursztynowych oczu. - Jeszcze nikt nie zadał sobie tyle trudu, żeby złożyć mi wizytę.

- Muszę przyznać - powiedziała Tibbie, gramoląc się z kosza - że nie miałam takiego zamiaru.

Lars siedział przy inkrustowanym złotem biurku, z piórem w ręku. Odłożył pióro i wskazał Tibbie fotel. Gdy usiadła, powiedział:

- Domyślam się tylko, że jesteś kobietą, z którą mój brat zamierza się ożenić, i coś mi się wydaje, że wcale nie podoba ci się ten pomysł.

Tibbie potrząsnęła głową.

- Wcale mi się nie podoba.

- W twoim życiu jest ktoś inny?

- Tak. Tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie było za późno.

- Nigdy nie jest za późno. - Roześmiał się i od razu stał się bardzo podobny do Erica.

- Obawiam się, że jest. Widzisz, nie mam już pomysłów. - Z rozpaczą popatrzyła na kosz na bieliznę. - To była moja ostatnia nadzieja.

Lars roześmiał się. Patrzył na uroczą istotę siedzącą w fotelu koło jego łóżka, żałując, że nie poznał jej przed bratem. Trochę pocieszała go myśl o tym, że będzie sobie z boku obserwował, jak brat będzie się męczył z tą kobietą. Lars nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że tak się stanie. W jej głowie aż roiło się od pomysłów i w odpowiednim czasie z pewnością znajdzie jakiś sposób wydostania się z matni. A Eric zawsze robił to, na co miał ochotę. Najwyższy czas, żeby dostał nauczkę.

Nauczka przyglądała się Larsowi dużymi, okrągłymi oczami.

- Możesz poszczuć mnie psami. Nie poddam się, nawet gdybym trafiła do więzienia i była głodzona. W przeszłości zniosłam wiele upokorzeń. Pochodzę z silnej szkockiej rodziny, która musiała stawiać czoło wielu trudnościom.

- Znosisz to zaskakująco dzielnie. Nawet król nie zachowałby się tak dumnie w swej ostatniej godzinie.

- Moja prababka była rosyjską arystokratką,

- Boże! - powiedział, bezskutecznie starając się powstrzymać uśmiech. - Masz takie pochodzenie, że dziwię się, iż nie wbiłaś mi sztyletu w serce, gdy tylko zorientowałaś się, że jesteś w moim pokoju.

- My, Szkoci, nie mordujemy niewinnych.

- Ale Eric jest moim bratem. Jego wina jest także moją winą.

- To ty go do tego namówiłaś?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie jesteś niewinny.

- Eric powiedział, że ma z tobą dziecko.

- Gdybym mogła coś zmienić, chciałabym mieć Beth, ale wybrałabym dla niej innego tatusia.

Lars odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Opowiedz mi o swojej córce.

Przez godzinę Tibbie opowiadała Larsowi o Bethany. Powiedziała mu też o tym, jak zakochała się w Ericu, jak ją porzucił, i o narodzinach Beth. Nie kryła niczego, powiedziała mu nawet o Nicholasie. Kiedy skończyła, Lars zamyślił się.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Wygląda na to, że Ericowi potrzebne jest bardzo gorzkie lekarstwo.

- Uważam, że i tak nie będzie wystarczająco gorzkie.

- Sądzisz, że przyda mu się nauczka?

- Nie jestem jego sędzią ani ławą przysięgłych. Chcę tylko, żeby zostawił mnie w spokoju i pozwolił wrócić do domu.

- A może zgodziłabyś się na małżeństwo...

Zerwała się na nogi.

- Nigdy w życiu!

Dał jej znak, żeby się uspokoiła i usiadła.

- Wysłuchaj mnie, a potem możesz sobie zrywać się z fotela jak wystraszona owieczka.

Na wszelki wypadek usiadła na brzegu krzesła.

- Nie chciałem ci proponować wyjścia za mąż, mówiłem tylko o zgodzie na małżeństwo. Wtedy Eric przestanie cię zadrezczać, a ty tymczasem coś wymyślisz.

- A jeśli nic mądrego nie przyjdzie mi do głowy?

Lars uważnie przyjrzał się Tibbie. Nawet w przyćmionym świetle jej oczy lśniły bursztynowym blaskiem. Miała mocną szczękę i pięknie wykrojone wargi o stanowczym wyrazie, a jej słowa i czyny ujawniały typowo szkockie zdecydowanie, poparte teksańską pewnością siebie. Była fascynująco pełną sprzeczności. Bardzo kobieca, delikatna i łagodna, miała w sobie zuchwałość i odwagę, która zawstydziłaby niejednego starego marynarza.

- Zawsze możesz odmówić wyjścia za niego za mąż w ostatniej chwili. Czasami narzeczone odwołują ślub na dzień, dwa przed zaplanowanym terminem.

Tibbie przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami, po czym uśmiechnęła się.

- Eric będzie wściekły.

- Tak, ale będzie taki w każdej sytuacji. W swoim czasie wszystko zrozumie.

- Po tym, jak mnie zadusi?

Lars roześmiał się.

- Muszę powiedzieć, że zaczynam żałować, iż pospieszyłem ci z pomocą. Będzie mi ciebie brakowało.

Usłyszawszy jakieś głosy w korytarzu, powiedziała:

- Lepiej już sobie pójdę, zanim ktoś zauważy, że mnie nie ma. - Lars pokiwał głową. Tibbie wstała. - Niedługo znów do ciebie przyjdę - powiedziała i ruszyła do drzwi.

Zawołał ją, gdy trzymała już rękę na gałce.

- Nie sprzeciwiaj mu się tak - poradził.

- W granicach rozsądku- odparła. Wychodząc, usłyszała chichot Larsa.

Dotrzymała słowa. Wkrótce, dokładnie dwa dni później, znów go odwiedziła. Tym razem jednak nie przybyła do jego pokoju w koszu na bieliznę.

- Już wiem, co zrobię - powiedziała, wpatrując się w swoje dłonie na kolanach.

Lars przyjrzał się jej uważnie.

- Przypuszczam, że trudno ci zaufać mi, ponieważ jestem bratem Erica.

- Zastanowię się nad tym, kiedy dopracuję już wszystkie szczegóły. Na razie plan jest jeszcze w fazie wstępnej.

Lars obdarzył ją uśmiechem, tak bardzo podobnym do uśmiechu brata.

- Rozumiem. - Skrzyżował ręce na piersiach. - Jak ci się układa z Erikiem?

- Jest tak, jak mówiłeś. Dał mi spokój, kiedy zgodziłam się na małżeństwo. Prawdę mówiąc, prawie w ogóle go nie widuję.

- Domyślam się, że planuje huczne wesele... największe, jakie kiedykolwiek odbyło się na wyspie.

- To dobrze - odpowiedziała Tibbie. - Im większe wesele, tym lepiej.

23

Trzy dni przed ślubem Tibbie modliła się o dobrą pogodę i jak największą liczbę osób obecnych na ceremonii. Mogło się to wydać dziwne u kobiety, która nie chciała wychodzić za mąż, ale zgodnie z opracowanym planem okazałe wesele było gwarancją pełnego sukcesu.

Eric pojawiał się bardzo rzadko. Poprzedniego wieczoru odbyła się tradycyjna hawajska uczta na cześć narzeczonych i wtedy Tibbie udało się porozmawiać z nim po raz pierwszy od czterech dni. Był tak czuły i miły, że chwilami wręcz zapomniała o tym, jak źle ją dotąd traktował. Najprawdopodobniej był zadowolony, że znów udało mu się dostać to, czego chciał. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby nagle odmówiła wzięcia ślubu, znów stałby się dla niej tak samo podły jak dawniej.

Dzień wesela był słoneczny od samego rana, a niebo przybrało piękną, błękitną barwę. Tibbie stała na balkonie z ażurową balustradą oplecioną gałęziami ociekającymi szkarłatnymi kwiatami hibiskusa i białymi orchideami. Widziała stąd uśpione teraz wulkaniczne stożki wznoszące się w oddali nad tropikalnymi lasami rosnącymi nad morzem po jednej stronie wyspy. Druga strona była chłostana wiatrem i wypalona słońcem, które ogrze-

wało wąski pas szarego piasku nad zatoczką. Tibbie wszędzie widziała pierwotne piękno, jako że dom Erica stał wśród wzgórz tworzących zieloną dolinę upstrzoną polami uprawnymi, ciągnącymi się aż po plażę. Czuła morską wilgoć na skórze, a łagodne, ciche uderzenia lal brzmiały w jej uszach jak dźwięk srebrnych dzwoneczków. Zapowiadał się znakomity dzień na wesele, tak jakby jej modlitwy zostały wysłuchane. Niemniej jednak teraz wszystko zależało od niej.

Piętnaście minut przed rozpoczęciem ceremonii Tibbie poprawiała orchidee wsunięte w kokardy we włosach i przyjrzała się sobie w lustrze, w którym... zobaczyła uśmiechniętą twarz Nicka. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, odwróciła się i spojrzała wesołe niebieskie oczy.

- Nicholas!
- We własnej osobie.
- Co...? Skąd...? Jak...?

Uśmiechał się coraz szerzej i podchodził coraz bliżej, aż w końcu chwycił ją za ręce.

- Czy to jakiś test sprawdzający, czy umiem kończyć pytania? „Co ja tu robię? Skąd się tutaj wzięłem? Jak się tu dostałem?” Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jestem tutaj i tylko to się liczy.

- Boże, to prawda. - Był jeszcze przystojniejszy niż dotychczas, pięknie opalony. Wczesnopopołudniowe słońce mieniło się w jego włosach. Czuła wielkie zakłopotanie, wpatrując się w niego z miłością, wystrojona w suknię ślubną, z kwiatami we włosach. Za chwilę miała przecież poślubić innego... no, nie całkiem poślubić.

Pod wpływem nagłego impulsu rzuciła mu się w ramiona. Nick zamknął oczy. Spodziewał się różnych jej reakcji, ale tej nie przewidział. Tibbie zarzuciła mu ramiona na szyję, jej włosy otoczyły go złotym kokonem. Ujął jej głowę w dłonie i przez chwilę obwodził kciukiem jej wilgotne wargi, by po chwili wsunąć palce głęboko w jej włosy i przyciągnąć ją do siebie. Z ustami tuż przy jej wargach szeptał:

- Tibbie, kochanie, mam ci tyle do powiedzenia, ale teraz

nie ma na to czasu. Znalazłem twój list dopiero po twoim wyjeździe i ruszyłem za tobą, gdy tylko dowiedziałem się, co się stało. Myślisz, że teraz, skoro wyznałaś mi, że mnie kochasz, pozwolę ci wyjść za innego?

Cofnęła się, jakby nagle zawstydzila się swojej reakcji.

- Jak mnie tu znalazłeś? Skąd wiedziałeś, dokąd pojechałam?

- Mairi mi powiedziała. - Zbliżył się o krok i pogładził jej policzki wierzchem dłoni. Cofnęła się, a ponieważ za sobą miała już tylko ścianę, opuścił ręce i przycisnął ją całym ciałem.

- Musisz stąd iść - powiedziała niepewnym tonem, myśląc tylko o tym, żeby wydać mu się na tyle ponętną, by ją pocałował. Nie chciała sama robić pierwszego kroku. - Nie widzisz, że przygotowuję się do ślubu?

Widocznie wyglądała kusząco, gdyż nagle znalazła się w jego ramionach. Nakrył jej usta swoimi, a jej ciało zostało ogarnięte tak wielkim pożądaniem, że stała się dziwnie bezwolna. Z westchnieniem przywarła do Nicka, ciesząc się jego pieszczotami. Nagle przerwał pocałunek, jakby dopiero teraz dotarły do niego jej słowa.

- Co powiedziałaś?

- Że musisz wyjść. Przygotowuję się do ślubu i nie mam już zbyt wiele czasu.

- Tibbie, chcę z tobą porozmawiać.

- Nick, nie mamy czasu. Za pięć minut muszę być na ceremonii. Odszukaj mnie potem. Wtedy o wszystkim porozmawiamy.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Teraz. Teraz jest najlepszy czas na moje oświadczenia.

- Do tej pory jakoś się nie spieszyłeś. Co sprawiło, że chcesz to zrobić akurat teraz?

- Powiedziałem ci, że cię kocham. Myślałem wtedy, że to wystarczy. Chciałem, żebyś przyzwyczaiła się do mojego uczucia, zanim zacznę nakłaniać cię do małżeństwa. A poza tym nigdy nie wyobrażałem sobie, że oświadczę się kobiecie, która wcześniej nie powie, że odwzajemnia moje uczucie. Nigdy też nie stwarzałaś

mi okazji do szczerzej rozmowy. Bałem się, jak zareagujesz na moje oświadczenia, bo widziałem, że byłaś rozdrażniona, kiedy wyznałem ci miłość.

- Dziękuję ci za wyjaśnienie. A teraz zmykaj stąd, zanim ktoś cię zobaczy.

- Możesz stąd wyjść tylko ze mną.

- Nie ujdziemy nawet pięciu kroków. Połowa mieszkańców tej wyspy pracuje dla ojca Erica.

- Nie ufasz mi.

- Nick, ty niczego nie rozumiesz.

- Zgadza się.

- W takim razie uspokój się i zaufaj mi. Wszystko ci później wyjaśnię.

- Zrób choć jeden krok, a pożałujesz.

- Nicholasie Mackinnon, nie śmieję mi grozić!

- Przestań gadać i posłuchaj.

- Muszę się przygotować.

Chwytał ją za ramię i wciągnął za parawan.

- Pięknie wyglądasz. - Uniósł welon i włożył jej na głowę.

- Nie tak. Źle go włożyłaś.

- W takim razie doskonale komponuje się z tym ślubem, bo oboje wiemy, że to zły pomysł. - Chciała wyjść, ale przytrzymał ją i przyciągnął do siebie. Szybko przesuwając rękami po jej ciele, aż nagle zdała sobie sprawę, że wsunął rękę pod spódnicę i dotyka jej uda.

Zareagowała szczerym oburzeniem.

- Przestań! Oszalałaś?!

- Tak, na twoim punkcie.

- Nie mogę iść do ślubu zdyszana. Przestań!

- Czyżbyś dyszała z mojego powodu, Tib?

Klepnęła go w rękę.

- Zawsze wydawało mi się, że masz więcej rąk niż inni mężczyźni.

Uniósł brwi.

- A ilu było tych mężczyzn?

- Nie myśl, że uda ci się zmienić temat.

Patrzył na nią, zauroczony. Wyglądała jak kamea, cała w bieli, z pokrytymi jeszcze rosą kwiatami we włosach. W stojącym za nią lustrze Nick podziwiał jej wąską talię i kremową jedwabną spódnicę z turniurą i długim trenem, przybraną niezliczonymi różyczkami z satyny.

Kiedy jej się przyglądał, zastanawiała się, czy powinna powiedzieć mu o swoich planach, w końcu uznała jednak, że im mniej będzie wiedział, tym lepiej. Powinien po prostu jej zaufać. Widząc jego smutne spojrzenie, poczuła wyrzuty sumienia, ale postanowiła się tym nie przejmować, wmawiając sobie, że ma tysiące powodów, żeby się na niego gniewać, choćby ten, że nie zjawił się wtedy w sadzie i nie uchronił jej przed tym, do czego to doprowadziło. Sama nie mogła uwierzyć w to, że znajduje się tak daleko od domu na tropikalnej wyspie, udając, że wychodzi za męża, podczas gdy w tym samym czasie oświadcza się jej ktoś inny.

Chwycił ją za rękę.

- Masz talent do denerwowania mnie nie na żarty.

Próbowała wyrwać się z jego żelaznego uścisku, modląc się w duchu, by wreszcie coś dotarło do jego tępej głowy. Gotów był wszystko zepsuć.

- Zrozum, nie tylko nachodzisz kobietę w dniu jej ślubu...

- Nie wyjdiesz za niego. Zostaniesz moją żoną.

- Powiedziałam ci, że oświadczasz mi się w nieodpowiednim momencie.

- Dlaczego? Uważam, że wybrałem świetną chwilę. Jesteś właśnie ubrana do ślubu.

. - Jesteś pomyłony.

- Zakochany mężczyzna nigdy nie zachowuje się rozsądnie. To po prostu niemożliwe. A teraz przestań mnie dręczyć i powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię! Ale czy mógłbyś...

Uniemożliwił jej dalszą wypowiedź, nakrywając jej usta pocałunkiem. Kiedy wreszcie ją uwolnił, oddychał z trudem,

podobnie jak ona. W jego poważnym spojrzeniu kryło się błaganie.

- Kocham cię od dawna i patrzyłem, jak się wahasz, dawałem ci czas na to, żebyś poznała swoje uczucia, ale nie wiedziałem, że jesteś zbyt uparta, żeby zdobyć się na szczerą nawet wobec siebie!

Dobiegły ich dźwięki muzyki.

- Zaraz po mnie przyjdą. Muszę iść. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Nick, jeśli mnie kochasz, zaufaj mi. Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić.

Przejęcie malujące się na jego twarzy wstrząsnęło nią do głębi. Nigdy nie spodziewałaby się, że dumny, pewny siebie Nicholas może być tak bezbronny. Dało jej to poczucie siły, ale jednocześnie ogarnął ją smutek. Popatrzyła na niego, czując, że za chwilę pęknie jej serce. Miała ochotę wszystko mu powiedzieć. Przez chwilę wpatrywali się w siebie; dwoje Szkotów, którzy nagle znaleźli się w matni. Zdecydowane niebieskie oczy mierzyły się z równie zdeterminowanymi bursztynowymi. Napięcie aż wibrowało w powietrzu. Zauważyła, że rysy Nicka stężały. Po chwili obrócił się na pięcie.

- Dobrze, rób to po swojemu - powiedział.

I już go nie było.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, czując, że jest rozpalona i ma sucho w ustach. Zrobiło jej się niedobrze, ale nie była w stanie przełknąć śliny, by powstrzymać mdłości. Piekące łzy wypłynęły jej spod powiek na policzki. Czy Nick zaufa jej i poczeka, czy wyjedzie stąd bez niej?

Nie była w stanie znieść myśli o tym, że miałaby go już nigdy nie zobaczyć. Miała ochotę poddać się bólowi i cierpieniu, opaść na podłogę, tworząc żałosny kopczyk chłodnego, szeleszczącego jedwabiu, lecz ze względu na szkockich i rosyjskich przodków, którzy od wieków dzielnie znosili trudy życia, postarała się utrzymać na nogach.

Nie wiedziała, jak udało jej się zstąpić ze schodów i dojść do sali balowej, odświętnie przystrojonej na wesele, ani jak przeszła

szpalerem utworzonym przez ponad pięćset osób przybyłych na uroczystość. Ale skoro dobiegła już do tego momentu, nie zamierzała się wycofać. Popatrzyła na Erica, stojącego w sztywnej, aroganckiej pozie, z wyrazem triumfu na twarzy. Myślał, że udało mu się ją złamać, ale bardzo się mylił, biorąc jej chwilową rezygnację za swoje zwycięstwo. Przypomniała sobie, jak babcia mówiła, że nawet cap cofa się o krok albo dwa, zanim kogoś ubodzie. Zrobiła już swój krok w tył. Teraz z promiennym uśmiechem stanęła obok Erica.

Pastor zwrócił się do pana młodego:

- Ericu, czy chcesz związać się z tą kobietą świętym węzłem małżeńskim? Czy ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozdzieli?

- Tak.

Zwróciwszy się do Tibbie, powtórzył słowa małżeńskiej przysięgi.

- Tibbie, czy chcesz związać się z tym mężczyzną świętym węzłem małżeńskim? Czy ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozdzieli?

- Nie.

Pastor rozdziawił usta, a jego twarz pokryła się czerwonymi plamami. Z trudem wydobywszy głos ze ściśniętego gardła, powtórzył:

- Nie?

Przez pewien czas do Erica nie docierało to, co przed chwilą usłyszał. Jednak po chwili przeżył ciężki wstrząs. Odwrócił się z twarzą wyrażającą wściekłość. Przez chwilę Tibbie bała się, że ją uderzy, ale kiedy popatrzył na tłum gości, wśród których panowała grobowa cisza, natychmiast się opanował. Po raz ostatni popatrzył na Tibbie.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - zapytał. - Naprawdę aż tak mnie nienawidzisz? Czy jestem wampirem, że wbijasz mi kołek w serce?

- Przykro mi, Ericu. Tylko w ten sposób mogłam cię po-

wstrzymać. Inaczej nigdy nie pozwoliłbyś mi wyjechać. - W sali jak wystrzał rozbrzmiało pełne przerażenia westchnienie pięciuset gości.

- Muszę powiedzieć, że zadziałałaś bardzo skutecznie, bo mam nadzieję, że już nigdy w życiu cię nie zobaczę. - Odwrócił się i machnięciem ręki odprawił mężczyzn, którzy z groźnymi minami ruszyli w stronę Tibbie. - Jest wolna, może wyjechać - powiedziała. - Tylko niech mi się nigdy nie pokazuje na oczy. - Jednak wychodząc z sali, głęboko upokorzony, przypomniał sobie promienną twarz Tibbie, taką samą jak w dniu, w którym powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, w dniu, w którym odwrócił się do niej plecami i odszedł.

Wkrótce w sali zapanowało ogólne podniecenie. Żywo rozprawiano o tym, co się stało. Pastor uniósł rękę, ale zanim zdążył coś powiedzieć, tętent końskich kopyt zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

Sala balowa miała drzwi z trzech stron. Wszystkie wejścia były teraz otwarte, by wpaść przez nie wiatr od morza. Jednak Tibbie nie czuła podmuchów wiatru, nie zdawała sobie także sprawy z tego, że w sali znów zapanowała cisza. Wciąż stała w tym samym miejscu, ściskając w dłoni ślubną wiązanekę. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały zdziwienie. Popatrzyła w stronę, z której dochodził tętent kopyt, na trawiasty pagórek nad morzem. Zgromadzeni goście także z niedowierzaniem patrzyli na około dwunastu jeźdźców, którzy, zbliżywszy się do domu, wjechali prosto do sali balowej. Gdyby nie była tak przerażona, roześmiałyby się na ich widok. Ludzie gapili się na to, co się dzieje, jak sfora psów stepowych na spłoszone stado.

Jeden z jeźdźców w masce, najwyraźniej bardziej zuchwały niż pozostali, wysforował się naprzód. Tibbie zauważyła, że zmierza w jej stronę. Zanim zdążyła krzyknąć, spod peleryny wyłoniło się silne męskie ramię. Pochyliwszy się nisko nad koniem, nie zwalniając, jeździec uniósł Tibbie i posadził ją na siodle.

Wyjechali przez drzwi z drugiej strony sali, przyspieszyli, objeżdżając dom i zjechali z trawiastego zbocza. Darń pryskała spod końskich kopyt. Tibbie nie wiedziała, dokąd jada, gdyż ilekroć chciała unieść głowę, jeździec ją powstrzymywał. Dopiero kiedy usłyszała, jak spod końskich kopyt bryzga woda, zrozumiała, że szalenciec pędzi prosto do morza.

Ogarnięta panicznym strachem, zaczęła się szamotać i wierzgać nogami. Już prawie zdołała się wyprostować, kiedy czyjaś pięść uderzyła ją w szczękę.

Odzyskawszy przytomność, zorientowała się, że znajduje się w kajucie na statku. Gdy wróciła jej ostrość wzroku i zdolność myślenia, zobaczyła twarz Nicholasa Mackinnona. Miał na sobie skórzane bryczesy i kamizelkę na białej batystowej koszuli. Był opalony i postawny, taki, jakiego pamiętała.

W oddali rozległo się bicie dzwonu kościelnego.

- Jakiś anioł dostaje skrzydła - powiedziała.

Na to wspomnienie Nick sięgnął do kieszeni i wyjął z niej marmurowego aniołka, którego kiedyś jej podarował.

- Skoro mówimy o aniołach, to chyba zgubiłaś swojego.

Podszedł do niej, trzymając aniołka w wyciągniętej dłoni. Wzięła go, przypominając sobie dzień, w którym uciekając z sadu, kiedy Nick nie przyszedł na spotkanie, z całej siły cisnęła aniołkiem o drzewo.

- Niestety, nie ma skrzydeł.

- Nie szkodzi - uznała, zarzucając mu ramiona na szyję. Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. - Och, Nicholas! Nie widzisz? Teraz mam swoje własne skrzydła.

Wciąż był na nią zły z powodu tego, co zrobiła.

- Masz szczęście, że udało ci się to przeżyć. Co ty sobie, u licha, wyobrażałaś, idąc do ślubu i mówiąc Ericowi „nie” w obecności pięciuset osób?

- To był mój plan.

- Zupełne szaleństwo.

- Wcale nie. Nick. posłuchaj. Nie rozumiesz, że to był jedyny sposób? Gdybyś uprowadził mnie przed ślubem, wysłaliby za nami tuzin statków. Rodzina Erica jest bardzo zamożna i wpływowa.

- I z tego powodu postanowiłaś go upokorzyć na oczach połowy mieszkańców wyspy! Teraz wyśle za tobą łowców głów, wariatko.

- Znam go i wiem, co myśli. Między nami wszystko skończone. Gdybym płonęła na stosie, nawet by na mnie nie splunął.

Nick roześmiał się.

- Trudno byłoby mi go za to winić.

Z jękiem opadła na kolę.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego przyjechałaś mi na pomoc, kiedy nie było to już potrzebne.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Kochana Tib, czy zamierzasz przejść przez życie, niczego nie rozumiejąc?

- Widać taki już mój los - odparła kwaśno, a Nick znów wybuchnął śmiechem.

Po chwili spoważniał, ale jego rozplamione spojrzenie wciąż wyrażało czułość i miłość.

- Przyjechałam, słodka Tibbie, ponieważ domyśliłem się, że opracowałaś taki plan, który grozi ci śmiercią lub uwięzieniem.

- Nie wiem, dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, żeby w ogóle mnie bronić przed czymkolwiek. Jestem uparta, samowolna, mam porywcze usposobienie i jestem szczerą aż do bólu, co nie przysparza mi przyjaciół. Moja rodzina przyczepiła się do mnie jak rzep. Mówię za dużo, mam fatalny zwyczaj robienia wszystkiego pochopnie, a kiedy rozdawano ludziom cnotę cierpliwości, musiałam chyba stać za drzwiami. A na dodatek Mairi powiedziała mi, że chrapie.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

- Kochana Tibbie, nie rozumiesz, że wolę cię mieć z wszystkimi twoimi wadami, niż cię utracić?

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś naprawdę mnie znał.

- Ależ znam cię. Znam odurzające wspomnienie jasnych włosów w kolorze miodu i bursztynowych oczu, a także usta, które potrafią kłać, ale i całować mnie tak, że krew wrze mi w żyłach. Jesteś krzepka i silna jak statki, które buduje, o delikatnych liniach, a twoje żagle są pełne i wydęte od wiatru. Trzymasz się obranego kursu, ponieważ jesteś twarda i lojalna jak one. Myślisz, że nie wspominałem cię w czasie długich samotnych nocy, które upłynęły od chwili, kiedy widziałem cię po raz ostatni?

Popatrzyła na niego ze zrozumieniem, w końcu domyśliwszy się o co mu chodziło. Kochała go wcześniej, ale w tradycyjny, konwencjonalny sposób. Chciała, żeby uklęknął przed nią na kolano i obiecał jej, że wybuduje dom z białym płotem i różanym ogrodem. Teraz zrozumiała, że kochała przede wszystkim swoje wyobrażenie o nim, a nie konkretnego mężczyznę. Chciała mieć Mackinnona i całą resztę jak prezent opakowany i przewiązany białą satynową wstążką. Chciała, żeby przypominał innych mężów i obiecał, że spędzi swoje życie, w banalny i nudny sposób dogadzając żonie. Tymczasem on podziwiał ją za odwagę i zdecydowanie, i nigdy nie spodobałaby mu się kobieta letnia jak woda do kąpieli. Mogła być gorąca jak słońce albo zimna jak lód, ale kochał ją za szczerść uczuć. Nagle odnalazła siłę w jego prawości, uczciwości i dojrzałości. Był jedynym mężczyzną, z którym mogła czuć się naprawdę szczęśliwa, chciała tylko uzyskać od niego jedną obietnicę - że będzie ją kochał i okazywał cierpliwość i zrozumienie, jak zawsze do tej pory, czekając, aż sama wszystko przemyśli.

Choć wcale się nie zmienił, rozumiała, że Nick jest ucieleśnieniem wszystkiego, co zawsze kochała, jest promieniem słońca tańczącym na wodzie w upalny letni dzień, pieśnią ptaka, błękitem bławatków w sadzie, niewysłowionym szczęściem trzymania nowo narodzonego dziecka, dumną, piękną twarzą babki, ciepłymi, silnymi ramionami, w których znalazła pocieszenie w żałobie, pulsującym rytmem szkockiej i rosyjskiej krwi tętniącej jej w żyłach. Nie dał jej niczego, a jednocześnie

ofiarował wszystko: świadomość, że jest piękna i szlachetna, pełnię życia, ból, namiętność i szczęście, umiejętność dawania bez oczekiwania na rewanż.

- Jakoś dziwnie ucichłaś. Czy stoczona bitwa została wygrana?

- Zawsze będą jakieś bitwy - powiedziała - i wątpię, żebym wszystkie wygrała.

Nie odpowiedział, tylko przyglądał się jej uważnie.

- Muszę jakoś posprzątać ten bałagan, który sama sobie zrobiłam, uciekając w środku nocy z jednym mężczyzną, a potem dając się uprowadzić drugiemu, i to w dniu ślubu. Wracam do domu nie z tym mężczyzną, z którym uciekłam. Czy uda mi się jakoś dojść do siebie po tym wszystkim?

Nagle zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Ludzie zawsze będą plotkować i szeptać sobie coś na ucho, domyślać się wielu rzeczy i ubarwiać swoje opowiadania, by uczynić je bardziej wiarygodnymi, łącząc fakty i domysły, ale nigdy nie będą znali całej prawdy.

Nie będą wiedzieli, że zrozumiała Nicka i wprost zapytała go, czy chce mieć upartą żonę. Nie będą mieli pojęcia, jak wyglądał opromieniony blaskiem słońca wpadającym przez luk do kajuty, gdy odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Nigdy nie będą w stanie wyobrazić sobie sposobu, w jaki przemierzył małą kajutę trzema szybkimi krokami i wziął Tibbie w ramiona, unosząc ją z łóżka i okręcając dookoła, aż zaszumiało jej w głowie.

Jak mogliby objąć swymi ciasnymi umysłami, ile znaczeń kryło w sobie zwykłe ujęcie jej za rękę i pociągnięcie jej za sobą ciemnymi korytarzami i małymi schodkami na dziób statku, gdzie długo stali ciasno spleceni ramionami, wpatrując się w zieloną wodę, w przyszłość, a wiatr smagał ich twarze?

Zapewne za wiele lat ludzie odwiedzający Lahainę staną na chłostanych wiatrem wzgórzach i popatrzą na senną wioskę i morze. Nie będą jednak mieli pojęcia o okazałym domu, który niegdyś tam stał, ani o młodej kobiecie, Tibbie, i mężczyźnie, który ją stamtąd uprowadził. Patrząc na skrzącą się w słońcu wodę, być może odniosą wrażenie, że słyszą srebrzysty śmiech

dzwoniący na grzbiecie fali albo widzą konia wynurzającego się z oceanu. A w dni, kiedy słońce znajdzie się dokładnie nad ich głowami, może wyda im się, że widzą piękny statek z błyszczącym czarnym bukszprytem i żaglami pełnymi wiatru.

A jeśli zdarzy się, że znajdą się nad morzem, kiedy zacznie wiać wiatr *Moae*, być może usłyszą śpiew tubylców:

Gdzie jesteś, wietrze *Moae*,
Zabrałeś mi ukochaną.

Będą to śpiewali w cieniu drzew *kukui*, rozmawiając o dawnych czasach, kiedy półbóg Maui zwolnił bieg słońca, a słońce, La, paliło Maui, Molokai, Lanai i Kahoblawe. Opowiedzą też o koniu czarnym jak bezksiężycowa noc, który wyłonił się z mgieł okrywających krater Haleakala i pognał nad rzekami czarnej Jawy, rozbryzgując siarkę i ziejąc ogniem, z *Ka-poho-i-kahi-ola*, duchem wybuchów, na grzbiecie. Opowiedzą, jak biegł szybciej niż *hplua*, ścigany przez *Ke-o-ahi-kama-kaua*, ducha lawy, a jego kopyta dzwoniły głośniejsze niż *Kane-Hekili*, boga grzmotu, gdy galopował przez wulkaniczne stożki i smagane wiatrem zbocza aż do wybrzeża, gdzie znajdowała się wioska Lahaina. Powiedzą też, jak wbiegł na górę, porwał pannę młodą panu młodemu, wsadził ją na swego konia i popędził z nią plażą, by zniknąć w morzu.

Epilog

Tibbie i Nicholas stali w cieniu drzew rosnących nad potokiem Tehuacana Creek, na zachód od Waco w stanie Teksas. W pobliżu widniały stare tablice nagrobne, na których czas zatarł już litery.

Obok nich w powozie siedziały dwie młode kobiety, osłaniające się parasolkami z falbanami, a nieopodal trzech niecierpliwych młodzi mężczyźni dosiadali swych koni czystej krwi.

- Tato - odezwał się jeden z nich. - Jak długo tu jeszcze będziemy?

- To zależy - odparł Nicholas. - Chciałem, żeby wasza mama zobaczyła to miejsce. Jeśli jej się spodoba, być może kiedyś tu zamieszkamy.

- Tutaj? - jęknęła szesnastoletnia dziewczyna. - Chciałbyś wyjechać z Nantucket i zamieszkać w Teksasie? W tym miejscu? - Rozejrzała się dookoła. - Przecież tu jest tylko trawa.

- Ale to jest dobra trawa, Molly.

- Co jest napisane na tych nagrobkach? - To pytanie zadała druga dziewczyna, starsza od siostry, panna o lśniących, jasnych włosach.

- Napisy już się zatarły, Beth. Ale było na nich nazwisko mojej matki i mojego brata Andrew.

- Możemy pojechać już do Waco, tato?

Nick popatrzył na najstarszego syna, Johna. Miał siedemnaście lat i rozsądzała go młodzieńcza energia - o co zresztą Nick nie miał do niego pretensji. Z wszystkich dzieci to właśnie John był do niego najbardziej podobny, chociaż wiele cech odziedziczył po rosyjskich przodkach Tibbie. Wysoki i ogorzały jak Indianin, miał arystokratyczną, dumną postawę i był zabójczo przystojny.

Czternastoletni Matthew dźgnął Johna w żebra.

- Po prostu chcesz pokazać się w miasteczku i patrzeć, jak dziewczyny mdleją na twój widok.

- Jesteś wściekły, bo wcale by nie mdlały, gdybyś to ty przechodził - powiedział dwunastoletni Stewart.

- Tato, jedźmy już. Zaraz się tu usmażę - poprosiła Molly, energicznie się wachlując.

Nick wziął Tibbie za ramię i przełożył parasol do drugiej ręki.

- Jest ci gorąco, kochanie?

- Trochę - odpowiedziała. - Ale cieszę się, że tu przyjechaliliśmy.

- Ja też, zwłaszcza że tak dawno tu nie byłem.

Pomógł Tibbie wsiąść do powozu, a sam wsiadł z drugiej strony i chwycił lejce. Smagnawszy zad klaczy, gwałtownie skręcił i skierował się w dół zbocza, w stronę bramy.

- Pamiętam, że kiedyś była tu droga wysypana żwirem - powiedział.

- Boże - westchnął John. - Ojciec znów wpada w sentymentalny nastrój.

- Opadły go wspomnienia - stwierdziła Molly; wyglądała bardzo wytwornie na tylnym siedzeniu powozu.

- Człowiek może znieść tylko pewną dawkę wspomnień - powiedział John.

- Dziadek mówi, że najłatwiej być szczęśliwym, kiedy się ma dobre zdrowie i krótką pamięć - wtrącił Matthew.

- Wie, co mówi - stwierdziła Tibbie ze śmiechem.

Zjechali ze wzgórza. Nick zatrzymał powóz i popatrzył na porośniętą trawą ziemię ciągnącą się aż po gęstwinę drzew nad potokiem. Nie widział już nagrobków, ale wiedział, że tam są.

Tibbie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie bądź taki ponury, Nicholas. Przeszłość jest piękna, ale młodzi są niecierpliwi i nigdy nie chcą słuchać tych historii.

- Gdybyś mogła cofnąć czas, kochanie, to czy jeszcze raz byś za mnie wyszła?

- Tak, tyle że znacznie wcześniej.

Po raz ostatni popatrzył na leszczynowy zagajnik, żegnając się z przeszłością. Potem smagnął klacz lejcami i powóz wolno stoczył się ze wzgórza, zostawiając za sobą ciszę przerywaną tylko szeptem wiatru w wysokiej trawie.

Mówił on, że Komancze byli najbardziej wojowniczym plemieniem indiańskim na południowym zachodzie.